

STUART MACBRIDE

CHŁÓD

GRANITU

1

Martwe rzeczy zawsze były dla niego czymś szczególnym. Delikatny chłód. Dotyk skóry. Intensywna słodka woń, jaką wydzielają, kiedygniły. Kiedy wracały do Boga.

Ta, którą trzymał, jeszcze całkiem niedawno żyła.

Jeszcze przed kilkoma godzinami była pełna życia.

Szczęśliwa.

Brudna. Niedoskonała. Skalana...

Teraz stała się czysta.

Delikatnie, z czułością odłożył ją na szczyt stosu, dołączył do pozostałych.

Wszystkie były kiedyś żywe; poruszały się, hałasowały, były brudne, niedoskonałe, skalane. Ale teraz były u Boga. Teraz zaznały pokoju.

Zamknął oczy i wciągnął powietrze głęboko do płuc, pławiąc się w zapachach - niektóre były świeże, inne mdłe, a wszystkie cudowne. Tak musi pachnieć Bóg, pomyślał. Uśmiechnął się do swojej kolekcji. Tak musi pachnieć niebo. Kiedy zewsząd otaczają cię umarli.

Uśmiech rozpromienił mu twarz jak ogień płonący budynek. Naprawdę

powinien wziąć lekarstwo, ale jeszcze nie teraz. Później.

Najpierw nacieszy się tymi wszystkimi martwymi rzeczami.

2

Niebo sikało na ziemię. Deszcz bębnił o niebieskie ściany i dach foliowego namiotu policyjnego, dudnił w zamkniętej przestrzeni, zagłuszał monotonne buczenie przenośnych generatorów, uniemożliwiał rozmowę. Choć w poniedziałkową noc kwadrans po północy ludzie nie byli szczególnie rozmowni.

7

Przed nimi, na lodowatej ziemi, leżał David Reid.

W jednym końcu rozstawionego krzywo namiotu znajdował się odgrodzony niebieską policyjną taśmą półtorametrowy odcinek przydrożnego rowu. Ciemna, połyskująca tłusto woda lśniła w świetle latarek. Reszta namiotu osłaniała brzeg rzeki, porośnięty poźółkłą przed zimą trawą, wdeptaną teraz w błoto.

W namiocie było ciasno. Zjawiło się czterech policjantów z biura identyfikacji ofiar w Aberdeen w jednoczęściowych białych kombinezonach: dwóch posypywało wszystko białym proszkiem i oblepiało taśmą do zdejmowania odcisków palców, trzeci robił zdjęcia, czwarty filmował całą scenę dla potomności. Do tego dochodzili: jeden zielony na twarzy posterunkowy, lekarz dyżurny, sierżant z dochodzeniówki, który najlepsze lata miał już chyba za sobą, oraz gość honorowy - mały David Brookline Reid, który za trzy miesiące obchodziłby czwarte urodziny.

Musieli wyciągnąć go z zimnego, wypełnionego wodą rowu, zanim lekarz

mógł stwierdzić zgon. Chociaż wątpliwości być nie mogło: dzieciak nie żył od dawna. Leżał teraz na plecach na kwadratowej płachcie niebieskiej folii, wystawiony na widok publiczny. Koszulkę z napisem „X-Men” miał zadartą aż pod szyję. Poza tym był nagi.

Znów błysnął flesz; wypalił szczegóły i kolory, pozostawiając na siatkówkach oczu powidok, który za nic nie chciał zniknąć.

Stojący w kącie sierżant Logan McRae zamknął oczy. Próbował wymyślić, co powie matce Davida Reida. Chłopiec zaginął trzy miesiące temu. Trzy miesiące niepewności. Trzy miesiące nadziei, że dziecko się znajdzie, całe i zdrowe. A David przez cały ten czas leżał martwy w rowie.

Przetarł dłonią zmęczoną twarz; poczuł pod palcami ostry zarost. Jezu słodki, ile by dał za papierosa. Przecież w ogóle nie powinien tu być!

Spojrzał na zegarek i aż jęknął. Z ust uleciał biały pióropusz pary. Minęło czternaście godzin, odkąd poprzedniego ranka zgłosił się na służbę. Tak właśnie wygląda łagodny powrót z urlopu.

Lodowaty podmuch powietrza wdarł się do środka. Logan podniósł wzrok i zobaczył ociekającą wodą postać, która wpadła do namiotu. Pani patolog.

Doktor Isobel MacAlister: trzydzieści trzy lata, krótkie włosy, brunetka, metr sześćdziesiąt. Pojękuje cicho, kiedy gryzie się ją w wewnętrzną stronę ud. Miała na sobie nieskazitelny, dopasowany do figury szary spodniom i czarny płaszcz, i tylko sięgające do kolan kalosze trochę psuły efekt.

Z zawodowym zainteresowaniem rozejrzała się po zatłoczonym wnętrzu. Zamarła na widok Logana, ale zanim odwróciła wzrok, jakoś niepew-

nie się uśmiechnęła. Właściwie nie było w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę, jak musiał wyglądać: nieogolony, wory pod oczami, rozczochrane,

pozlepiane deszczem ciemne włosy.

Isobel otworzyła usta - i zaraz je zamknęła.

Deszcz walił jak młotem o dach namiotu. Słysząc było trzask migawki aparatu, wysoki pisk ładującej się lampy błyskowej, pomruk generatorów - ale cisza i tak była ogłuszająca.

Dopiero lekarz przerwał milczenie:

-Cholera jasna...

Stał na jednej nodze, wytrząsając wodę z drugiego buta.

Isobel przybrała profesjonalny wyraz twarzy.

- Stwierdzono zgon? - zapytała, podnosząc głos, żeby było ją słychać.

Logan westchnął. Magiczna chwila minęła.

Lekarz dyżurny stłumił ziewnięcie i wskazał na leżące pośrodku małe, wzdęte ciało.

- Ano tak. Jest całkiem martwy. - Wcisnął ręce głęboko w kieszenie.

Głośno pociągnął nosem. - Na mój gust nie żyje już od jakiegoś czasu. Ze dwa miesiące co najmniej.

Isobel kiwnęła głową i postawiła torbę lekarską na folii przy zwłokach.

- Myślę, że ma pan rację.

Przykucnęła i przyjrzała się martwemu dziecku z bliska.

Lekarz przez chwilę kołysał się na palcach; błocko mlaskało mu pod podszwami. Isobel włożyła lateksowe rękawiczki i zaczęła wypakowywać instrumenty chirurgiczne.

- No dobra - odezwał się lekarz. - Zawoła mnie pani, gdyby czegoś potrzebowała?

Isobel obiecała, że tak właśnie zrobi, a lekarz uklonił się lekko, przecisnął

obok Logana i wyszedł w mrok, na deszcz.

Logan patrzył na czubek głowy Isobel, wspominając wszystko to, co zamierzał jej powiedzieć, gdy tylko znów się spotkają. Chciał wszystko naprawić. Chciał poskładać w całość to, co rozpadło się na kawałki w dniu, gdy Angus Robertson trafił do aresztu zagrożony wyrokiem od trzydziestu lat do dożywocia. Tyle tylko, że kiedy wcześniej wyobrażał sobie tę scenę, na ziemi nie leżał zamordowany chłopiec. Trochę go to przygnębiało.

Powiedział więc co innego:

- Może mi pani powiedzieć, kiedy nastąpił zgon?

Podniosła wzrok znad rozkładającego się ciała. Zarumieniła się lekko.

9

- Doktor Wilson niewiele się pomylił - odparła, nie patrząc mu w oczy. - Dwa do trzech miesięcy. Po sekcji będę wiedziała dokładniej. Znacnie jego tożsamość?

- David Reid. Trzy lata. - Logan westchnął. - Od sierpnia na liście zaginionych.

- Biedny maluch.

Isobel wyjęła z torby małe słuchawki z mikrofonem, założyła je na głowę i sprawdziła, czy wszystko działa. Włożyła nową kasetę do dyktafonu i zaczęła oględziny Davida Reida.

Było wpół do drugiej nad ranem, a deszcz wcale nie zamierzał zelżeć. Sierżant Logan McRae stał pod powykręcany dębem, który osłaniał go przed wiatrem. Flesz fotografa wypełniał namiot staccatem błyskawic. Przy każdym błysku sylwetki znajdujących się w środku ludzi rysowały się na niebieskiej folii jak w ponurym teatrze cieni.

Cztery silne reflektory skwierczały w ulewnym deszczu, zalewając okolice namiotu ostrym białym światłem. Generatory dudniły ciężko w sinych obłokach dieslowskich spalin. Zimne krople syczały na gorącym metalu. Poza kręgiem światła panował nieprzenikniony mrok.

Dwa reflektory celowały w rów w miejscu, gdzie wychodził spod namiotu. Po listopadowych deszczach był wypełniony po brzegi wodą. Policjanci nurkowie, ubrani w granatowe suche skafandry z neoprenu, z zaciętymi minami brodzili po pas w wodzie, obmacując dno. Dwaj ludzie z biura identyfikacji starali się rozpiąć nad nimi drugi namiot, aby ochronić przed ulewą ewentualne dowody zbrodni. Klęli przy tym, na czym świat stoi. W walce z wiatrem i deszczem byli skazani na porażkę.

Dwa i pół metra od nich toczył swoje wody Don - cichy, wezbrany i mroczny. Na powierzchni tańczyły drobinki blasku: światło reflektorów odbijało się od czarnej wody. Odblask na przemian rozbryzgiwał się i odzyskiwał kształt w strugach ulewy. Jedna rzecz w Aberdeen z pewnością spisywała się na medal: deszcz.

W górnym biegu rzeka wylała już w kilkunastu miejscach, zalewając okolice i zmieniając pola w jeziora. Nawet tutaj, kilometr od ujścia do Morza Północnego, woda była rwąca.

Na drugim brzegu, za rzędem nagich drzew, wznosiły się wieżowce Hayton: pięć nijakich prostokątów, oznaczonych zimnym żółtym światłem. Mające za kurtyną deszczu na przemian pojawiały się i znikały. To była potworna noc.

Pospiesznie zebrana ekipa poszukiwawcza uważnie przeczesywała brzeg rzeki w obu kierunkach. Było wprawdzie za ciemno, żeby coś zna-

leżąc, ale wiadomość o prowadzonych przy świetle latarek poszukiwaniach będzie się dobrze prezentować w porannych serwisach informacyjnych.

Logan pociągnął nosem, wcisnął ręce w kieszenie i spojrzał w górę stoku, w stronę oślepiająco białych reflektorów telewizji. Przyjechali nie-
długo po nim, żądni widoku trupa. Zaczęło się od lokalnej prasy - dzien-
nikarze zasypywali pytaniami każdego, kto nosił policyjny mundur. Potem
zjawiły się grubsze ryby: BBC i ITV, kamery i prezenterzy z grobowymi
minami.

Policja w Grampian wydała standardowy komunikat, jak zwykle kom-
pletnie pozbawiony szczegółów. Bóg jeden wiedział, o czym gadali dzien-
nikarze na górze.

Odwrócił się do nich plecami i przez chwilę śledził wzrokiem podry-
gujące latarki brnącego w ciemnościach zespołu poszukiwawczego.

Nie powinien dostać tej sprawy. W każdym razie nie pierwszego dnia
po powrocie. Co prawda reszta funkcjonariuszy wydziału kryminalnego
albo była na szkoleniu, albo chłała na umór na czyjejs przedemerytalnej
bibie. Nawet inspektor się nie zjawił - McPherson, który miał pomóc Lo-
ganowi wdrożyć się w obowiązki, był zajęty: musiał dać sobie pozszywać
głowę, którą ktoś próbował mu urznąć kuchennym nożem. I tak oto padło
na sierżanta Logana McRae: prowadził poważną sprawę morderstwa,
modląc się w duchu, żeby niczego nie spieprzyć, zanim nie uda mu się jej
komuś przekazać. Witamy w pracy.

Zielony na twarzy posterunkowy wytoczył się z namiotu i dołączył do
Logana pod dębem. Błoto cmokało mu pod butami. Wyglądał tak, jak
Logan się czuł - albo jeszcze gorzej.

-Chryste Panie...

Zadrzał i wcisnął papierosa do ust z takim impetem, jakby bez niego głowa miała mu się rozpaść na kawałki. Po namyśle poczęstował stojącego obok sierżanta, ale Logan odmówił. Posterunkowy wzruszył ramionami, z kieszeni na piersi wygrzebał zapalniczkę i zapalił papierosa, który rozżarzył się w ciemności jak węgielek.

- Kurewski widok jak na pierwszy dzień w pracy, co, panie sierżancie? Biały obłok uleciał w mrok. Logan wciągnął dym głęboko do poharatanych płuc, zanim wiatr zdążył go rozwiać.

- Co Iso... - Zmitygował się. - Co powiedziała doktor MacAlister?

Namiot znów rozbłysnął światłem. Błysk zamroził cienie marionetek

-To, co wcześniej lekarz. Biedny dzieciak został czymś uduszony.

Reszta prawdopodobnie wydarzyła się już później.

Logan zamknął oczy. Ze wszystkich sił starał się nie myśleć o wzdętym ciałku.

11

- No właśnie. - Posterunkowy w zadumie pokiwał głową; czerwony ognek papierosa poruszył się w górę i w dół. - Przynajmniej już wtedy nie żył. Zawsze to jakaś pociecha.

Concraig Circle znajdowało się w nowszej części Kingswells, pięć minut jazdy od samego Aberdeen, które z roku na rok podpełzało coraz bliżej przedmieść. Tutejsze domy reklamowano jako „eleganckie wille, budowane na zamówienie”, ale wyglądały jak klocki pozlepiane w pośpiechu przez człowieka dysponującego mnóstwem żółtej cegły i kompletnie pozbawionego wyobraźni.

Dom pod numerem 15 stał u wylotu krętego zaułka. Ogród był jeszcze za

młody, żeby wyrosło w nim coś więcej niż prostokątny trawnik obwiedziony kikutami krzewów; wiele roślin nadal miało metki sklepów ogrodniczych. Mimo że dochodziła druga nad ranem, przez zamknięte żaluzje na parterze sączyło się światło.

Sierżant Logan McRae, siedzący w fotelu pasażera w służbowym samochodzie WK, westchnął ciężko. Mogło mu się to nie podobać, ale chwilowo był w tym śledztwie najstarszy stopniem, a to oznaczało, że właśnie on musi zawiadomić matkę Davida Reida o śmierci synka. Przynajmniej nie był całkiem sam: wziął sobie do pomocy policjantkę z wydziału spraw rodzinnych i jeszcze jedną posterunkową.

- Chodźcie - powiedział w końcu. - Nie ma sensu dłużej tego przeciągać.

Drzwi otworzył im barczysty mężczyzna po pięćdziesiątce, z twarzą czerwoną jak cegła. Miał wąsy i przekrwione, wrogo patrzące oczy. Rzucił okiem na mundur posterunkowej Watson i burknął:

- Najwyższy czas, psia wasza mać!

Stał nieruchomo w progu z rękami założonymi na piersi. Logan zamknął usta. Nie tego się spodziewał.

- Muszę porozmawiać z panną Reid.

- Tak? No to się spóźniłeś, bucu! Te zasrane gazety dzwoniły tu już piętnaście minut temu! Chcieli dostać jakąś wypowiedź, mendo jedne. - Z każdym słowem mężczyzna coraz bardziej podnosił głos, aż w końcu zaczął krzyczeć Loganowi prosto w twarz. - Trzeba było najpierw zawiadomić nas!
- Uderzył się pięścią w pierś. - Jesteśmy jego rodziną, do ciężkiej cholery!

Logan się skrzywił. Skąd, do diabła, dziennikarze dowiedzieli się o znalezieniu zwłok Davida Reida? Tak jakby ta rodzina nie dość wycierpiała.

- Przykro mi, panie...

12

• Reid. Charles Reid. - Mężczyzna znów skrzyżował ramiona na piersi.

Nadał się jeszcze bardziej. - Jestem jej ojcem.

• Panie Reid, nie wiem, skąd prasa dowiedziała się o tej sprawie, ale obiecuję panu, że ten, kto jest za to odpowiedzialny, dostanie takiego kopa w tyłek, że pofrunie stąd do Stonehaven. - Logan zawiesił głos. - Wiem, że to niczego nie zmieni, ale w tej chwili naprawdę muszę pilnie porozmawiać z matką Davida.

Reid patrzył na niego spode łba, aż w końcu usunął się na bok. Logan zajrzał przez oszklone drzwi do saloniku. Ściany były pomalowane na pogodny żółty kolor. Na jaskrawoczerwonej sofie siedziały dwie kobiety: starsza wyglądała jak pomalowany w kwiaty okręt liniowy, młodsza przypominała żywego trupa.

Młodsza nie podniosła wzroku, gdy policjanci weszli do pokoju: gapiła się tępo w ekran telewizora, na którym klauni dręczyli słonika Dumbo. Logan spojrział wyczekująco na funkcjonariuszkę WSR, która robiła, co mogła, byle tylko nie patrzeć mu w oczy.

Wziął głęboki wdech.

- Panno Reid?

Żadnej reakcji.

Przykucnął przed sofą i zasłonił sobą telewizor. Patrzyła przez niego na wskroś, jakby w ogóle go tam nie było.

- Panno Reid? Alice?

Nie poruszyła się, za to druga kobieta zmarszczyła brwi i wyszczerzyła zęby. Oczy miała spuchnięte i zaczerwienione. Łzy błyszczały na tłustych

policzkach.

- Jak pan śmie?! - warknęła. - Wy cholerne obiboki, bezużyteczne pier...

- Sheila!

Mężczyzna podszedł bliżej. Kobieta umilkła. Logan znów skupił uwagę na niemej postaci na sofie.

- Alice - powtórzył. - Znaleźliśmy Davida. Na dźwięk imienia syna jej oczy zabłyśły.

- Davida?

Ledwie poruszyła ustami. Głos miała niewiele głośniejszy od szeptu.

- Przykro mi, Alice. David nie żyje.

- David...

- Został zamordowany.

Przez chwilę było cicho, a potem jej ojciec wybuchnął:

- Skurwysyny! Skurwiele! Miał trzy latka!

- Przykro mi.

Nic innego nie przychodziło Loganowi do głowy.

13

- Przykro ci? Przykro?! - Reid odwrócił się do niego. Poczzerwieniał jeszcze bardziej. - Gdybyście, nieroby jedne, wcześniej raczyli wyjąć palce z dupsk i zaczęli go szukać, żyłby dziś! Trzy miesiące!

Policjantka z wydziału spraw rodzinnych próbowała pogłaskać go łagodnie, ale Reid nie zwracał na nią uwagi. Trząśł się ze złości. Łzy napłynęły mu do oczu.

- Trzy pieprzone miesiące!

Logan podniósł rękę.

- Panie Reid, proszę się uspokoić, dobrze? Rozumiem, że jest pan poruszony...

Uderzenie nie powinno zaskoczyć Logana - ale jednak zaskoczyło. Pięść wyrznęła go w brzuch jak cegła, rozdzierając świeże blizny. Ogień rozlał mu się po wnętrznościach. Otworzył usta do krzyku, ale w płucach nie miał już ani odrobiny powietrza.

Kolana się pod nim ugięły. Szorstka dłoń złapała go za klapy marynarki, szarpnęła i przytrzymała na nogach, druga pięść szykowała się do zrobienia mu z twarzy krwawej miazgi.

Posterunkowa Watson coś krzyknęła, ale Logan nie słuchał. Rozległ się trzask. Trzymająca go ręka rozluźniła uścisk. Osunął się na dywan i zwinął w kulę, osłaniając płonący bólem brzuch. Usłyszał wściekły ryk, a potem krzyk posterunkowej Watson, która groziła, że złamie Reidowi rękę, jeśli się nie uspokoi.

Reid zawył z bólu.

- Charlie! - wrzasnął kwiecisty pancernik. - Proszę go puścić, na li tość boską!

Posterunkowa Watson powiedziała coś wysoce niecenzuralnego. Zrobiło się cicho.

Radiowóz z wyjącą syreną przemknął Anderson Drive. Logan znów siedział w fotelu pasażera. Twarz miał szarą i mokrą od potu. Obiema rękami ścisnął brzuch i zgrzytał zębami na każdym wyboju.

Charles Reid siedział z tyłu, skuty kajdankami i przypięty pasami bezpieczeństwa. Był przerażony.

- Boże, przepraszam! Nie chciałem!

Posterunkowa Watson zahamowała z piskiem opon. Radiowóz zatrzymał

się pod drzwiami prowadzącymi na ostry dyżur, na jednym z miejsc oznaczonych „Tylko dla karettek”. Pomogła Loganowi wysiąść, ostrożnie, jakby był ze szkła. Spojrzała na Reida.

- Nie waż mi się ruszyć dupska z wozu - ostrzegła. - Czekał tu na mnie. Bo jak nie, to ci flaki wypruję.

14

Na wszelki wypadek włączyła alarm i zamknęła Reida w samochodzie. Doszli aż do recepcji, zanim Logan zemdłał.

3

Komenda policji w Grampian. Siedmiopiętrowy wieżowiec z szarego betonu i szkła z lasem anten radiowych na dachu stał trochę na uboczu, przy końcu Queen Street, obok Sądu Okręgowego i naprzeciwko szarego, granitowego tortu Kolegium Marischala. Za rogiem znajdowało się Centrum Sztuki - zbudowana w czasach wiktoriańskich pseudoromańska niby-świątynia. Komenda stanowiła dowód zamiłowania architekta do paskudnych budowli, ale przynajmniej było z niej blisko do ratusza i chyba tuzina pubów.

Puby, kościoły i deszcz. Trzy rzeczy, których Aberdeen ma w nadmiarze.

Poranne niebo było ciemne, chmury wisiały nisko, sodowy blask ulicznych latarni nadawał ulicom paskudny, chorowity wygląd. Nocny potop trwał, grube krople odbijały się od mokrych chodników. Studzienki już się pozatykały. Pomrukujące basowo autobusy brnęły ulicami, obryzgując wodą wszystkich frajerów, którzy w taki dzień wyszli z domu.

Logan kłął pod nosem i jedną ręką przytrzymał rozchylające się poły płaszcza, życząc męczeńskiej śmierci wszystkim sukinsynom prowadzącym

autobusy. Miał fatalną noc: najpierw prawy prosty w brzuch, a potem trzy godziny oględzin i poszturchiwania przez lekarzy na ostrym dyżurze. Kwadrans po piątej rano wyrzucili go na dwór, w lodowaty deszcz, obwiązanego elastycznym bandażem, z fiolką proszków przeciwbólowych w garści.

Udało mu się zdrzemnąć. Całą godzinę.

Kłapiąc przemoczonymi butami i ociekając wodą, wszedł do holu od strony Queen Street i stanął przy łukowato wygiętym biurku w recepcji. Z domu siedł niecałe dwie minuty, ale to wystarczyło, żeby przemókł do suchej nitki.

- Dzień dobry panu - powiedział zza szyby sierżant o kanciastej twarzy.

Logan go nie znał. - W czym mogę pomóc?

Uśmiechnął się uprzejmie.

Logan westchnął.

15

- Dzień dobry, sierzancie. Miałem pracować z inspektorem McPhersonem...

Uprzejmy uśmiech zniknął bez śladu, gdy recepcjonista zdał sobie sprawę, że ma przed sobą policjanta.

- To będzie trudne - odparł. - Dostał nożem w głowę. - Wykonał ręką gest, jakby chciał kogoś dźgnąć. Logan z trudem powstrzymał odruch nakazujący mu odskoczyć. - Pan... - Recepcjonista zerknął do notatnika na biurku, przerzucił kilka stron wstecz, kilka w przód, w końcu znalazł to, czego szukał: - Sierżant McRae, tak?

Logan przytaknął i pokazał mu legitymację.

- W porządku - powiedział recepcjonista z nieprzeniknioną twarzą.

- Proszę się zgłosić na odprawę do inspektora Inscha, o godzinie... - Spojrzał na zegar. - Zaczęła się pięć minut temu. - Błysnął zębami w uśmiechu.
- A inspektor Insch nie lubi, kiedy ktoś się spóźnia.

Na odprawę o siódmej trzydzieści Logan spóźnił się dwanaście minut. Pokój był pełen zasepionych policjantów obojga płci, którzy jak jeden mąż odwrócili się i spojrzeli w jego stronę, gdy wśliznął się przez drzwi i cicho zamknął je za sobą. Inspektor Insch - potężny łysy mężczyzna w garniturze jak spod igły - przerwał w pół zdania i z marsową miną patrzył, jak Logan kuśtyka do pustego krzesła w pierwszym rzędzie.

- Jak mówiłem... - Spiorunował spóźnialskiego wzrokiem. - Wstępny raport patologa stwierdza, że zgon nastąpił około trzech miesięcy temu. Trzy miesiące to dużo, zwłaszcza przy takich piekielnych deszczach, które skutecznie zacierają ślady, ale to jeszcze nie znaczy, że nie mamy tam czego szukać: przeczesujemy teren w promieniu kilometra od miejsca znalezienia zwłok.

Publiczność odpowiedziała zgodnym jękiem. Mieli do przeszukania szmat ziemi - i żadnych szans znalezienia czegokolwiek. W każdym razie nie po trzech miesiącach. Wciąż lało jak z cebra. Zapowiadała się długa, mokra, gówniana robota.

- Wiem, że to upierdliwe - ciągnął inspektor. Wygrzebał z kieszeni żelatynowego misia, obejrzał go, zdmuchnął przyklejony do niego paproch i wrzucił żelkę do ust. - Ale nic mnie to nie obchodzi. To trzyletnie dziecko i musimy złapać skurwiela, który je zabił. Nie spieprzcie tego. Rozumiemy się?

Na chwilę zawiesił głos, jakby prowokował podwładnych, żeby mu zaprzeczyli.

- Świetnie. A skoro już mowa o tym, co można spieprzyć... Wczoraj ktoś dał cynk „Press and Journal”, że znaleźliśmy Davida Reida.

16

Wziął do ręki poranną gazetę. Nagłówek krzyczał: „Znaleziono zwłoki zamordowanego chłopczyka!” Na pierwszej stronie znalazły się dwa zdjęcia: jedno przedstawiało uśmiechniętego Davida, drugie - policyjny namiot, rozświetlony od środka fleszem fotografa. Na ścianach namiotu rysowały się cienie stojących w nim funkcjonariuszy.

- Zadzwonili do matki z prośbą o komentarz... - inspektor podniósł głos i spochmurniał jeszcze bardziej - .. zanim my zdążyliśmy biedaczce powie dzieć, że jej syn nie żyje! - Cisnął gazetę na stół i uderzył otwartą dłonią w blat. Słuchacze odpowiedzieli gniewnym pomrukiem. - Jutro albo pojutrze zjawi się u nas komisja wydziału wewnętrznego. Ale możecie mi wierzyć, - ciągnął z naciskiem - że to polowanie na czarownice, jakie wam szykują, będzie przypominało piknik dla pluszowych misiów w porównaniu z tym, co ja wam urządzę. Kiedy dowiem się, kto to zrobił, powieszę go za jaja. - Powiódł dookoła gniewnym wzrokiem. - To wszystko. Przydziały na dziś.

Przysiadł na skraju biurka i zaczął wyczytywać nazwiska: kto robi wywiad wśród sąsiadów, kto przeszuka teren, a kto zostanie, żeby odbierać telefony. Nie padło tylko jedno nazwisko - sierżanta Logana McRae.

- Zanim się rozejdziecie... - Inch podniósł ręce jak kapłan udzielający błogosławieństwa wiernym. - Chciałbym przypomnieć, że w recepcji są w sprzedaży bilety na tegoroczną pantomimę. Nie zapomnijcie sobie kupić.

Policjanci wyszli, szurając nogami - jedni zostawali przy telefonach i z satysfakcją spoglądali na nieszczęśników, których czekało całodzienne brodzenie w błocie. Logan trzymał się z tyłu, wypatrując znajomych twarzy.

Wystarczył rok chorobowego i już nie kojarzył żadnych nazwisk.

Inspektor zauważył, że nie ma zajęcia i zawołał go do siebie.

- Co się stało w nocy? - zapytał, gdy ostatni funkcjonariusz wyszedł i zostali sami w pokoju operacyjnym.

Logan wyciągnął notes i zaczął czytać:

- O dwudziestej drugiej piętnaście niejaki Duncan Nicholson znalazł zwłoki...
- Nie o to pytam. - Inspektor usadowił się na krawędzi biurka i skrzyżował ramiona na piersi. Masywna sylwetka, łysina i garnitur upodabniały go do eleganckiego Buddy, tylko minę miał nieco mniej przyjazną. - Było po drugiej, kiedy posterunkowa Watson zawiozła pana na ostry dyżur. Niecałe dwadzieścia cztery godziny na służbie i już pierwsza noc w szpitalu. Dziadek Davida Rei da aresztowany za napaść na funkcjonariusza. Jakby tego było mało, wchodzi pan na odprawę, kulejąc. Spóźniony.

Logan niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

- Widzi pan, inspektorze, pan Reid był bardzo poruszony. To nie jego wina. Gdyby nie zadzwonili z „Journala”...

17

- Miał pan pracować z inspektorem McPhersonem - przerwał mu Inch.

- No... tak.

Inch w zadumie pokiwał głową. Wyciągnął z kieszeni następnego misia i - tym razem nie obierając go ze śmieci - zaczął żuć, mówiąc:

- Nieaktualne. McPhersonowi muszą polatać łeb. Do czasu jego powrotu jest pan mój.

Logan starał się ukryć rozczarowanie. Przez dwa lata był podwładnym McPhersona - do momentu, gdy Angus Robertson piętnastocentymetrowym

nożem myśliwskim rozplątał mu brzuch. Lubił swojego szefa. Wszyscy wiedzieli, że dla niego pracuje.

O Inschu wiedział tylko tyle, że nie toleruje idiotów. I że wszystkich ma za idiotów.

Inspektor rozsiadł się wygodniej i zmierzył Logana wzrokiem.

- Nie umrze mi pan tu chyba, co, sierżancie?
- Staram się, panie inspektorze.

Insch pokiwał głową. Jego twarz, miała nieprzenikniony, nieobecny wyraz. Zapadło krępujące milczenie. To była ulubiona sztuczka inspektora Inscha: wystarczyło zrobić dostatecznie dużą przerwę w przesłuchaniu, a prędzej czy później podejrzany musiał coś powiedzieć. Niesamowicie, co ludziom potrafiło się w takiej sytuacji wypsnąć: rzeczy, o których nie chcieli wspominać; rzeczy, których naprawdę woleliby nie zdradzać Inschowi.

Ale Logan się nie odezwał.

W końcu inspektor pokiwał głową.

- Czytałem pańskie akta. Skoro McPherson nie uważa pana za durnia, u mnie ma pan kredyt zaufania. Ale jeśli znów wyląduje pan w szpitalu, tak jak wczoraj, rozstaniemy się. Czy to jasne?
- Tak, panie inspektorze. Dziękuję.
- W porządku. Niniejszym ogłaszam zakończenie pańskiego okresu adaptacyjnego. Mam dość tych zabaw w kotka i myszkę: albo się pan nadaje do roboty, albo nie. Za kwadrans zaczyna się sekcja zwłok. Pójdzie pan na nią.

Inspektor zsunął się z biurka i obmacał kieszenie w poszukiwaniu Zelków.

- Od ósmej piętnaście do jedenastej trzydzieści będę na spotkaniu szefostwa. Potem czekam na szczegółowy raport.

Logan zerknął przelotnie na drzwi i wrócił spojrzeniem do inspektora.

- Coś panu chodzi po głowie, sierzancie?

Logan skłamał, mówiąc, że nie.

- To dobrze. Po tej wycieczce na ostry dyżur przydzielam panu posturką Watson w charakterze anioła stróża. Przyjdzie o dziesiątej. Nie chciałbym pana widzieć bez niej. I bez dyskusji, proszę.

18

- Tak jest, panie inspektorze. Super. Dostał niańkę.

- No, do roboty.

Logan prawie zdążył wyjść na korytarz, kiedy Insch dodał: -1 radzę panu nie wkurzać tej Watson. Nie bez powodu nazywają ją Żyletą.

Komenda policji regionu Grampian była wystarczająco duża, żeby móc się pochwalić własną kostnicą, która mieściła się w piwnicy - wystarczająco daleko od stołówki, by nie obrzydzać ludziom posiłków. Kostnica była duża, biała i nieskazitelnie czysta. Pod jedną ścianą ciągnęły się chłodzone boksy na zwłoki. Buty Logana popiskiwały na terakocie, kiedy wszedł do środka przez dwuskrzydłowe drzwi. Prosektorium wypełniała woń środków odkażających, której prawie udawało się zamaskować odór śmierci. Oba zapachy tworzyły specyficzną mieszankę. Logan nauczył się kojarzyć ją z kobietą, która teraz stała samotnie przy stole do autopsji.

Doktor Isobel MacAlister miała na sobie chirurgiczny strój: pastelowe zielone spodnie i koszulę, czerwony fartuch z gumy, czepek przykrywający krótko przycięte włosy. Zmyła makijaż, żeby nie zanieczyścić zwłok. Podniosła wzrok, słysząc kroki, i otworzyła szeroko oczy.

Logan się zatrzymał.

- Cześć - powiedział z nikłym uśmiechem.

Podniosła rękę, jakby chciała mu pomachać.

-Cześć...

Wróciła spojrzeniem do małego nagiego ciała na stole. David Reid, trzy lata.

•Jeszcze nie zaczęliśmy - powiedziała. - Masz być świadkiem? Logan kiwnął głową. Odchrząknął.

•Miałem cię wczoraj zapytać... Co u ciebie?

Nie patrząc mu w oczy, zaczęła poprawiać leżące na tacy narzędzia.

Nierdzewna stal lśniła w blasku lamp.

W końcu westchnęła i wzruszyła ramionami.

- No wiesz... - Jej dłoń zatrzymała się przy skalpelu. Błyszczący metal odcinał się wyraźnie od matowych gumowych rękawiczek. - A u ciebie?

Logan też odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Po staremu.

Cisza stawała się nie do zniesienia.

- Isobel, ja...

Drzwi otworzyły się i do sali wszedł Brian, asystent Isobel, w towarzystwie prokuratora i drugiego patologa.

19

- Przepraszamy za spóźnienie. Sami państwo wiecie, ile papierkowej roboty jest z tymi wypadkami śmiertelnymi! - Brian odgarnął opadające mu do oczu włosy i uśmiechnął się przymilnie do Logana. - Witam, ser zancie. Miło znów pana widzieć.

Podali sobie ręce i Brian pospiesznie włożył czerwony gumowy fartuch. Patolog i prokurator skinęli Loganowi na powitanie, przeprosili Isobel za

spóźnienie i usiedli, gotowi obserwować, jak pracuje. Isobel miała prowadzić sekcję. Zgodnie z wymogami szkockiego prawa drugi patolog - mężczyzna po pięćdziesiątce, z nadwagą, łysy, z włoskami w uszach - musiał być obecny, aby potwierdzić słuszność jej konkluzji. Chociaż i tak nie odważyłby się sprzeciwić. Tym bardziej że nigdy się nie myliła.

- No dobrze - powiedziała Isobel. - Zaczynamy.

Nałożyła słuchawki, sprawdziła mikrofon i szybko załatwiła początkowe formalności.

Logan patrzył, jak bez pośpiechu bada szczątki dziecka. Po trzech miesiącach leżenia w rowie, przykryte płytą wiórową, zwłoki przybrały prawie czarną barwę. Pod wpływem magii procesów gnilnych nabrzmiały jak balon. Małe plamki bieli znaczyły napuchniętą skórę w miejscach, gdzie porosła grzybem. Smród był straszny, ale Logan wiedział, że to dopiero początek. Będzie gorzej.

Obok zwłok stała metalowa tacka, na którą Isobel wykladała znalezione śmieci: źdźbła trawy, skrawki mchu, kawałki papieru - wszystko, co przykleiło się do ciała po śmierci, mogło im pomóc ustalić tożsamość mordercy.

- O Boże... - westchnęła, zaglądając w otwarte usta dziecka. - Zado mowił nam się tu jakiś insekt.

Szcypczykami sięgnęła ostrożnie między zęby Davida. Przez jedną makabryczną sekundę Logan bał się, że wyciągnie stamtąd trupa główkę, ale w szczypcach wił się tylko zwykły pędrak. Isobel podniosła szarawą larwę do światła, patrząc, jak przebiera odnóżami w powietrzu.

- Musiał się tam zakraść w poszukiwaniu pożywienia - stwierdziła.

- Wątpię, żebyśmy mieli z niego jakiś pożytek, ale przezorny zawsze ubez

pieczony.

Wrzuciła larwę do fiolki z płynem konserwującym.

Logan patrzył, jak robak tonie w formalinie.

Półtorej godziny później stali na parterze przy automacie z kawą, zostawiwszy asystentowi Isobel pozszywanie zwłok Davida.

Logan czuł się fatalnie. Nigdy przedtem nie widział, jak jego była dziewczyna wywraca martwego trzylatka na nice. Przypomnił sobie jej dłonie, spokojne i fachowe, którymi cięła, wyciągała, mierzyła, podawała

20

Brianowi plastikowe fiolki z kawałkami i plasterkami organów wewnętrznych, żeby je posegregował i oznakował...

Wzdrygnął się. Isobel przerwała monolog i zapytała, czy dobrze się czuje.

- Zimno mi trochę. - Uśmiechnął się z wysiłkiem. - Co mówiłaś?
- Przyczyną śmierci było uduszenie jakimś cienkim i gładkim przedmiotem, takim jak kabel elektryczny. Na plecach, między łopatkami, widać wyraźne zasinienie; na czole, nosie i policzkach skóra jest otarta. Napastnik przypuszczalnie rzucił dziecko twarzą na ziemię, przygwoździł je kolanem i udusił. - Isobel zachowywała zawodowy spokój, jakby codziennie szatkowała małe dzieci. Logan pierwszy raz uświadomił sobie, że pewnie tak właśnie jest. - Nie znalazłam śladów spermy, ale po tak długim czasie... - Wzruszyła ramionami. - W każdym razie uszkodzenia odbytu wskazują, że doszło do penetracji.

Logan skrzywił się i wylał kawę do kosza na śmieci. Isobel zmarszczyła brwi.

- Nie wiem, czy to cię pocieszy, ale gwałtu dokonano post mortem. Chłopiec już nie żył.

- Uda się zdobyć próbkę DNA?
 - Nie sądzę. Obrażenia wewnętrzne sugerują jakiś sztywny przedmiot, raczej nie penis. Może kij od szczotki?

Logan zamknął oczy i zaklął. Isobel wzruszyła ramionami.

- Przykro mi - powiedziała. - Davidowi odcięto genitalia, chyba jakimś sekatorem. Sierpowate ostrza. Po śmierci, bo krew zdążyła już skrzepnąć. Może nawet nastąpiło stężenie pośmiertne.

Przez chwilę milczeli, nie patrząc na siebie. Isobel zgmiotła w dłoniach plastikowy kubek.

- Tak mi... przykro... Skręciła kubek w drugą stronę. Logan pokiwał głową.
- Mnie też - powiedział i poszedł sobie.

4

Posterunkowa Watson czekała na niego w recepcji, opatulona po same uszy w grubą policyjną kurtkę; wodoodporny materiał lśnił od deszczu. Spięte w ciasny kok włosy upchnęła pod wysoką czapkę. Noc miała czerwony jak czerwone światło na skrzyżowaniu.

21

Uśmiechnęła się na jego widok, kiedy podszedł z rękami w kieszeniach i głową pełną wspomnień z sekcji zwłok.

- Dzień dobry, panie sierżancie. Jak brzuch?

Logan uśmiechnął się z wysiłkiem. Wciąż czuł woń martwego dziecka. - Nie najgorzej. A pani jak się czuje? Wzruszyła ramionami.

- Cieszę się, że znów mam dzienną zmianę. - Rozejrzała się po pustej

recepcji. - Jaki mamy plan?

Logan spojrział na zegarek. Dochodziła dziesiąta; za półtorej godziny Insh wyjdzie ze spotkania.

- Może się przejeździemy?

Wzięli służbowy samochód - niebieskiego, rdzewiejącego vauxhal-la. Watson prowadziła, Logan siedział obok niej i wyglądał przez zalane deszczem okno. Mieli akurat dość czasu, żeby przemknąć przez miasto do Bridge of Don, gdzie ekipa poszukiwawcza brodziła w wodzie i błocie, wypatrując śladów, których zapewne nie było.

Garbaty autobus z turkotem przetoczył się w poprzek ich drogi, bryzgając wodą na wszystkie strony. Cały był oblepiony reklamami świątecznych towarów i sklepów w zachodniej części miasta.

Watson nastawiła wycieraczki na największą szybkość, zgrzyt gumy na szkle był teraz słyszalny nawet przez szum dmuchaw ogrzewania. Od wyjazdu z komendy nie rozmawiali.

- Kazałem sierżantowi dyżurnemu udzielić Reidowi upomnienia i zwolnić go - odezwał się w końcu Logan.

Posterunkowa Watson pokiwała głową.

- Spodziewałam się tego.

Wjechali na skrzyżowanie tuż za luksusową terenówką.

- Właściwie to nie była jego wina.

Watson wzruszyła ramionami.

- Nie mogę tego oceniać, sierżancie. To pana prawie zabili.

Terenówka - która pewnie nigdy nie zmagiała się z gorszymi przeszkodami niż wyboje na Holburn Street - niespodziewanie włączyła prawy migacz i stanęła jak wryta na środku skrzyżowania. Watson zakląła, próbując wcisnąć

się w sznur pojazdów po prawej stronie.

- Szlag by trafił tych facetów za kółkiem... - mruknęła, ale przypomniawszy sobie o Loganie, zaraz się zmytygowała. - Przepraszam, sierżancie.

-Nic się nie stało...

Logan wrócił myślami do Charlesa Reida i nocnej wizyty w Szpitalu Królewskim. Reid naprawdę nic nie zawinił. Ktoś zadzwonił do jego cór-

22

ki i zapytał, co czuła na wieść o tym, że w przydrożnym rowie znaleziono zwłoki jej trzyletniego synka. Właściwie nic dziwnego, że wyładował gniew na pierwszym, kto mu się nawinął pod rękę. Winny był ten, kto zawiadomił „Press and Journal”.

- Zmiana planów - stwierdził Logan. - Poszukamy wrednego dzien-
nikarza.

„The Press and Journal. Wiadomości lokalne od 1748”. Taki napis zdobił pierwszą stronę każdego numeru gazety, ale gmach, który dzieliła z „Evening Expressem”, prezentował się o wiele mniej dostojnie. Niski, piętrowy potworek ze szkła i betonu stał tuż przy Lang Stracht, przycupnięty za wysokim ogrodzeniem z siatki jak markotny rottweiler. Od ulicy nie było wjazdu na posesję i Watson musiała przejechać przez zapuszczone podwórko mieszczące kilka stłoczonych salonów samochodowych i parking. Ochroniarz zerknął tylko na jej mundur, wyszczerzył w uśmiechu zdekompletowane zęby, podniósł szlaban i machnął ręką, żeby wjeżdżali.

Na obłożonej wypolerowanym granitem ścianie, przy drzwiach obrotowych, złote litery głosiły: „Aberdeen Journals Ltd”, nad nimi zaś mosiężna

tabliczka przypominała fakty historyczne: „Założone przez Jamesa Chalmersa w 1748...” i tak dalej. Loganowi nie chciało się czytać reszty.

Białoliliowe ściany recepcji były prawie całkiem puste - monotonię przełamывała tylko drewniana tablica upamiętniająca pracowników wydawnictwa poległych w II wojnie światowej. Spodziewał się bardziej gazetowego wystroju: słynne pierwsze strony w ramkach, nagrody, zdjęcia dziennikarzy. A tak miało się wrażenie, że redakcja dopiero niedawno przeniosła się do nowego budynku i nie zdążyła go jeszcze udekorować. Cherlawe rośliny doniczkowe stały na wściekle kolorowej posadzce: płyty udającego marmur jaskrawoniebieskiego linoleum miały złoto-różowe obwódki.

Recepcjonistka wyglądała niewiele lepiej: miała zaczerwienione oczy, oklapnięte blond włosy i roztaczała woń mentolowych pastylek na kaszel. Podniosła na gości półprzytomny wzrok i wysmarkała nos w brudną chusteczkę.

- Witamy w Aberdeen Journals - powiedziała bez cienia entuzjazmu w głosie. - W czym mogę państwu pomóc?

Logan wyciągnął legitymację i podstawił ją dziewczynie prosto pod ciekący nos.

- Sierżant McRae. Chciałbym porozmawiać z człowiekiem, który wczoraj w nocy dzwonił do domu Alice Reid.

Recepcjonistka zerknęła na legitymację, przeniosła wzrok na Logana, potem na Watson. Westchnęła.

23

-Nie mam pojęcia, kto to był. - Pociągnęła nosem. - Przychodzę tu tylko w poniedziałki i środy.

- Kto może to wiedzieć?

Dziewczyna odpowiedziała wzruszeniem ramion. Kichnęła.

Watson wzięła z pobliskiego stojaka egzemplarz porannej gazety i z łoskotem rzuciła go na biurko. „Znaleziono zwłoki zamordowanego chłopczyka!” Postukała palcem w podpis: „Colin Miller”.

-Ato kto?

Recepcjonistka wzięła do ręki gazetę i przyjrzała się jej spod zmrużonych powiek. Nagle twarz jej się wydłużyła.

-A, ten...

Zmarszczyła brwi i pstryknęła przełącznikiem na centralce.

•Tak? - rozległo się z głośnika telefonu. Recepcjonistka podniosła słuchawkę. Kiedy się odezwała, jej głos zmienił się z nosowego uprzejmego na nosowy aberdeński.

•Lesley? Tu Sharon... Jest tam u was nasz Złoty Chłopiec? - Przerwa. - Tak, policja go szuka... Nie wiem, zaczekaj. - Zasłoniła mikrofon dłonią i spojrzała na Logana. - Chcecie go aresztować? - spytała znów uprzejmie, z nadzieją w głosie.

Logan otworzył usta, ale zaraz znów je zamknął.

- Chcemy mu tylko zadać parę pytań - odparł w końcu.

-Aha... - Sharon była niepokieszona. - Nie - powiedziała do słuchawki. - Nie przymkną drania. - Pokiwała głową i wyraźnie się rozpromieniła. - Zapytam.

Zatrzepotała rzęsami i wygięła usta w podkówkę, ze wszystkich sił usiłując nadać swojej twarzy uwodzicielski wyraz. Z tym opuchniętym, czerwonym nosem miała mizerne szanse, ale naprawdę się starała.

- Skoro nie chcecie go aresztować, może moglibyście przynajmniej trochę go pobić?

Posterunkowa Watson mrugnęła porozumiewawczo.

- Zobaczymy, co się da zrobić. Gdzie on jest?

Dziewczyna wskazała wyjście ewakuacyjne na lewo od recepcji.

- Śmiało, możecie go nawet okaleczyć.

Uśmiechnęła się i naciśnięciem guzika otworzyła zamek.

Redakcja przypominała wyłożony dywanem magazyn - była ogromna, pozbawiona ścian działowych i miała podwieszony sufit. W środku musiało się znajdować chyba ze dwieście biurk, pogrupowanych w małe skupiska: *Wiadomości, Artykuły, Felietony, Skład...* Ściany były tak samo bladofioletowe jak w recepcji - i tak samo gołe. Nie było żadnych przegródek, przez co zawartość przylegających do siebie biurk przelewała

24

się z jednego na drugie; tony papieru, żółtych karteczek samoprzylepnych i nagryzmołonych odręcznie notatek ściekały z blatu na blat jak oglądana w zwolnionym tempie lawina.

Monitory komputerów migotały w padającym z góry świetle. Zgarbieni nad nimi dziennikarze przygotowywali informacje do następnego wydania. Nie licząc wszechobecnego pomruku komputerów i turkotu kserokopiarki, panująca w redakcji cisza sprawiała niesamowite wrażenie.

Logan podszedł do pierwszej z brzegu osoby: starszego mężczyzny w workowatych spodniach z brązowego sztruksu, poplamionej kremowej koszuli i krawacie, na którym zostały ślady co najmniej trzech potraw, jakie jego właściciel zjadł na śniadanie. Czubek jego głowy dawno już pożegnał się z włosami, ale błyszczącą łysinę pokrywały cienkie, zaczesane na pożyczkę pasemka. Facet oszukiwał tylko samego siebie.

- Szukamy Colina Millera - powiedział Logan, pokazując mu legity

mację.

Dziennikarz uniósł brwi.

- Tak? Chcecie go aresztować?

Logan schował dokument do kieszeni.

- Nie miałem takiego zamiaru, ale zaczynam się wahać. Czemu pan pyta?

Reporter podciągnął opadające spodnie i uśmiechnął się z miną niewiniątka.

- Tak sobie, bez powodu. Cisza. Jeden, dwa, trzy, cztery...

- No dobrze - odezwał się Logan. - To gdzie on jest? Dziennikarz mrugnął i ruchem głowy wskazał łazienkę.

- Nie mam zielonego pojęcia, panie sierżancie - odparł dobitnie, wypowiadając każde słowo oddzielnie i wyraźnie.

Na koniec spojrzał jeszcze znacząco w stronę toalety i uśmiechnął się szeroko.

Logan kiwnął głową.

- Dziękuję. Bardzo nam pan pomógł.

- Wcale nie. Raczej „bredziłem jak potłuczony”, jak przystało na „starego pierdziela”.

Dziennikarz wrócił do swojego biurka, a Logan i Watson najkrótszą drogą ruszyli w kierunku łazienek. Logan ze zdumieniem patrzył, jak posterunkowa bezceremonialnie wparowuje do męskiej toalety. Pokręcił głową i wszedł za nią do wyłożonego białymi i czarnymi płytkami wnętrza.

- Colin Miller?! - zawołała Watson.

Odpowiedziały jej krzyki dziennikarzy, mężczyźni pośpiesznie dopinali rozporki i uciekali z łazienki, aż został tylko jeden: niski, krępy,

barczysty. Miał idealną fryzurę, a ubrany był w ciemnoszary i - na oko - drogi garnitur. Pogwizdywał bezgłośnie, kołysząc się na palcach stóp w przód i w tył.

Watson zmierzyła go wzrokiem.

- Colin Miller?

Obejrzał się przez ramię i uśmiechnął nonszalancko.

- Chcesz potrzymać? - zapytał, mrugając porozumiewawczo. Jego akcent wyraźnie wskazywał, że pochodzi z Glasgow i wcale się z tym nie kryje. - Lekarz zabronił mi dźwigać ciężary...

Posterunkowa Watson powiedziała mu bez ogródek, co może zrobić ze swoją propozycją.

Logan rozdzielił ich, zanim mogła zademonstrować, dlaczego nazywają ją Żyletą.

Miller zamrugnął, zakołysał się jeszcze raz, zapiął rozporek i odwrócił od pisuaru. Złote sygnety błyszcząły prawie na wszystkich palcach. Na szyi, wyłożony na jedwabną koszulę i krawat, lśnił złoty łańcuch.

•Pan Colin Miller? - zapytał Logan.

•Owszem. A co, chcecie autograf?

Z wyniosłą miną podszedł do umywalki, podwijając rękawy i odsłaniając przy tej okazji coś grubego i złotego na prawym nadgarstku oraz zegarek wielki jak małżeńskie łoże na lewym. Właściwie nie należało się dziwić, że jest taki muskularny: taka masa biżuterii z pewnością swoje ważyła.

•Chcemy porozmawiać z panem o Davidzie Reidzie, trzyletnim chłopcu, który...

•Wiem, o kim pan mówi. - Miller odkręcił wodę. - Robiłem materiał na

pierwszą stronę o tym dziecku. - Uśmiechnął się i wycisnął trochę mydła na dłoń. - Trzy tysiące słów szczerego dziennikarskiego złota. Bo taka jest prawda: zabite dzieciaki to szczerze złoto. Jakiś czub zamorduje dziecko i nagle wszyscy chcą przy śniadaniu poczytać o małym ciałku w rowie. Przecież to się we łbie nie mieści!

Logan z trudem powstrzymał się od złapania go za kołnierz i wyrznięcia twarzą o pisuar.

- W nocy zadzwonił pan do matki chłopca - powiedział tylko, wciskając pięści w kieszenie. - Skąd pan wiedział, że znaleźliśmy ciało?

Miller uśmiechnął się w lustrze do Logana.

- Nie trzeba być geniuszem, panie inspektorze...
- Sierzancie. Sierżant McRae.

Dziennikarz wzruszył ramionami i wetknął dłonie pod suszarkę do rąk.

26

- Tylko sierżant? - Podniósł głos, żeby przekrzyczeć szum suszarki. - Mniej -sza o to. Jeśli pomoże mi pan złapać tego świra, zostanie pan inspektorem.
- Jeśli ja pomogę panu go złapać... - Logan zacisnął powieki. Przed oczami stanął mu obraz Millera, krwawiącego z rozbitego nosa wprost do pisuaru. - Kto panu powiedział, że znaleźliśmy zwłoki Davida Reida? - zapytał przez zaciśnięte zęby.

Pstryk. Suszarka się wyłączyła.

- Przecież mówię: nie trzeba być geniuszem. Znaleźliście martwe dziecko. Kto to mógł być, jeśli nie mały Reid?

- Nikomu nie mówiliśmy, że to zwłoki dziecka.

- Nie? Cóż, widocznie nastąpił szczęśliwy zbieg okoliczności. Logan zmarszczył brwi.

- Kto panu powiedział?

Miller z uśmiechem obciągnął koszulę, pilnując, żeby zgodnie z obowiązującą modą z rękawów marynarki wystawało po centymetrze wykrochmalonego białego mankietu.

- Nie słyszał pan o tajemnicy dziennikarskiej? Nie muszę ujawniać tożsamości informatorów, a wy nie możecie mnie do tego zmusić. - Zawiesił głos. -Ale jeśli ta milutka pani posterunkowa chciałaby się zabawić w Matę Hari, może dałbym się przekonać... Kobieta w mundurze! Coś pięknego!

Watson warknęła coś i wyjęła składaną policyjną pałkę.

Drzwi męskiej toalety otworzyły się gwałtownie; nastrój prysł. Do środka wpadła wysoka kobieta z grzywą kręconych, kasztanowych włosów, z rękami wspartymi na biodrach i ogniem w oczach.

-Co tu się wyrabia, do cholery? - Spojrzała spode łba na Logana i Watson. - Połowa dziennikarzy stoi na korytarzu z obsikanyimi spodniami! - Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, odwróciła się do Millera. - A ty co tu jeszcze robisz?! Za pół godziny jest konferencja prasowa w sprawie tego zabitego dziecka! Brukowce rzucą się na ten materiał jak sępy, a to jest nasza sprawa i tak ma zostać!

- Pan Miller pomaga nam w śledztwie - wtrącił Logan. - Chcę się dowiedzieć, kto mu powiedział...
- Zamierza go pan aresztować?

Logan zawahał się nie dłużej niż sekundę, ale to wystarczyło.

- Tak mi się właśnie zdawało. - Kobieta wyprostowanym palcem wskazała Millera. - Jazda! Nie płacę ci za podrywanie policjantek w kiblu!

Miller uśmiechnął się i zasalutował.

- Tak jest! - Mrugnął do Logana. - Muszę lecieć. Rozumie pan, obo

wiązki...

Ruszył w stronę drzwi, ale posterunkowa Watson zastąpiła mu drogę.

27

- Panie sierzancie... ?

Pogładziła pałkę, rozpaczliwie szukając pretekstu, który pozwoliłby jej użyć przeciw głowie Millera. Logan zmierzył wzrokiem oboje.

- Proszę go puścić - powiedział. - Wrócimy do tej rozmowy, panie Miller.

Miller wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Z pewnością. - Ułożył prawą dłoń na kształt pistoletu i wycelował w Watson. - Do zobaczenia, pani posterunkowa.

Na szczęście nie odpowiedziała.

Wyszli na parking. Watson ciężkim krokiem podeszła do vauxhalla, szarpnięciem otworzyła drzwi, cisnęła czapkę na tylne siedzenie, z impetem usiadła za kierownicą, trzasnęła drzwiami i zaklęła szpetnie.

Logan nie mógł się z nią nie zgodzić. Miller z pewnością z własnej woli nie ujawni źródła informacji. A jego przełożona, jędza z loczkami, dała im jasno do zrozumienia - w dziesięciominutowej tyradzie — że nie zamierza go do tego zmuszać. Szanse mieli więc podobne jak FC Aberdeen na zdobycie mistrzostwa ligi.

Ktoś zastukał w okno samochodu. Logan podskoczył. W strugach deszczu uśmiechała się do niego czyjaś wielka, rozpromieniona twarz, osłonięta od góry „Evening Expressem”, który miał chronić rzadką pożyczkę przed ulewą. To był ten sam starszy dziennikarz, który „wcale im nie powiedział”, że odrażający Miller jest w toalecie.

•Logan McRae! - zawołał. - Wiedziałem! Od razu pana poznałem!

•Serio? - Logan skulił się w fotelu.

Reporter w spłowiałych sztruksach z zapalem pokiwał głową.

- Pisałem o tym nie dalej jak rok temu: „Bohaterski policjant pchnięty nożem w starciu z Potworem z Mastrick!” - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Rany, to był materiał... I tytuł niezły. Szkoda tylko, że w „bohater-skim policjancie” nie ma aliteracji. - Wzruszył ramionami i przez otwarte okno wsadził do środka rękę. - Martin Leslie, *Artykuły*.

Logan podał mu rękę. Z każdą mijającą chwilą czuł się coraz bardziej nieswojo.

- Jezu Chryste, Logan McRae... Został pan już inspektorem?

Logan odparł, że nie, że nadal jest sierżantem. Dziennikarz się rozgniewał.

- Bez żartów! To dranie! Zasłużył pan na awans! Przecież ten Angus Robertson to był kawał skurczybyka... Słyszał pan o tym, że w Peterhead sam sobie wyciął wyrostek robaczkowy? - Leslie zniżył głos. - Naostrzył śrubokręt i bach! Prosto w brzuch. Teraz musi srać do takiej małej torebeczki...

Logan milczał. Leslie oparł się o dolną krawędź okna i wetknął głowę do środka wozu.

- Nad czym pan teraz pracuje? - zapytał.

Logan patrzył prosto przed siebie, przez przednią szybę, na długą, szarą, paskudną Lang Stracht.

•No... - Odchrząknął. - Więc ja...

•Jeśli interesuje się pan tym fiutkiem Colinem... - zaczął dziennikarz półgłosem. Urwał w pół zdania, zasłonił sobie usta ręką i spojrzał przeproszająco na posteiunkową Watson. - Przepraszam, kotku, nie

chciałem cię urazić.

Watson odpowiedziała wzruszeniem ramion. W końcu całkiem niedawno sama obrzuciła Millera o wiele gorszymi wyzwiskami.

Leslie uśmiechnął się z zażenowaniem.

-No, w każdym razie... Przeszedł do nas, gnojek jeden, ze „Scottish Suną” i ma się za posłańca niebios... Podobno go stamtąd wykopali, tak słyszałem. - Spochmurniał. - Niektórzy z nas nadal wyznają pewne zasady! Nie dyma się własnych kumpli! Nie dzwoni się do matki zabitego dziecka, dopóki policja jej nie zawiadomi! Ale skurwiel myśli, że każde draństwo ujdzie mu na sucho, jeśli tylko zrobi z tego materiał. - Pauza pełna goryczy. - I wypisuje bzdety.

Logan przyjrzał mu się w zadumie.

- Wie pan, kto mu powiedział, że znaleźliśmy Davida Reida?

Dziennikarz pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia. Ale jeśli się czegoś dowiem, dam panu pierwszemu znać. Z przyjemnością zobaczę, jak chociaż raz to on zostanie wydymany.

- W porządku... - Logan pokiwał głową. - No, na nas już czas...

Watson wyjechała tyłem z miejsca parkingowego i starszy dziennikarz został sam w strugach deszczu.

- Powinien pan być inspektorem! - zawołał jeszcze. - Tak, tak, inspektorem!

Kiedy przejeżdżali przez bramę, Logan poczuł, że się rumieni.

-To fakt, panie sierzancie - powiedziała posterunkowa Watson, patrząc, jak jego twarz przybiera buraczkową barwę. - Jest pan dla nas wszystkich wzorem.

Powoli otrząsał się z zakłopotania, kiedy w drodze powrotnej do komendy przebijali się przez Anderson Drive. Z początku prowadziła tędy obwodnica Aberdeen, ale cierpiące na rozlazłość wieku średniego miasto rozrosło się i zapełniło okolicę domami z zimnego szarego granitu, czyniąc z Anderson Drive pękający w szwach pas miejskiej zabudowy. Przejazd tędy w godzinach szczytu był prawdziwym koszmarem.

Deszcz nie ustawał, na co mieszkańcy Aberdeen reagowali tak jak zawsze: garstka ludzi wlokła się pieszo zakutana w nieprzemakalne kurtki, z postawionymi kapturami, mocno ściskając parasole, które lodowaty wiatr usiłował im wyrwać z rąk- a reszta po prostu szła przed siebie i przemakała do suchej nitki. Wszyscy przywodzili na myśl obdarzone morderczymi skłonnościami ofiary chowu wsobnego. Kiedy zaświeci słońce, zrzucą grube wełniane płaszcze, wygładzą twarze i zaczną się uśmiechać - ale zimą wyglądali jak aktorzy z castingu do horroru.

Logan patrzył tępo przez okno na mijających ich ludzi. Gospodyni domowa. Kobieta z dziećmi. Facet w budrysówce i kretyńskiej czapce. Sprzątacze z szuflą i przydzielonym mu przez ratusz wózkiem, w tej chwili pełnym martwych zwierząt. Dziecko z foliową torebką w ręce. Gospodyni domowa z wózkiem inwalidzkim. Mężczyzna w kilcie...

- Ciekawe, o czym myśli w taki dzień jak dzisiaj... - mruknął Logan.

Watson wrzuciła bieg. Samochód posunął się kilkanaście centymetrów do przodu.

- Kto, sprzątacze? Wstać, zeskrobać jakieś truchła z jezdni, zjeść obiad, zeskrobać następne...
- Nie o nim mówię. - Logan popukał palcem w szybę. - O tym. Za-

stanawiam się, czy wstając, myśli: Mam pomysł. Ubiorę się tak, żeby przy najbliższym powiewie wiatru było mi widać tyłek.

Jakby za sprawą magii wiatr uczeplił się kiltu i podwiął go, odsłaniając rozległą połąć białej bawełny.

Watson uniosła brwi.

-Cóż... - Przecisnęła się obok błyszczącego niebieskiego volvo.

-Przynajmniej ma czyste gatki. Nie przyniesie mamie wstydu, kiedy potrąci go autobus.

- Fakt.

Logan włączył radio i bawił się przyciskami tak długo, aż z głośników ryknęły dźwięki Northsoundu, miejscowej stacji reklamowej. Posterunkowa Watson skrzywiła się, słysząc czytana ze szkockim akcentem reklamę podwójnych okien. Jej twórcom udało się jakimś cudem upchnąć mniej więcej siedem tysięcy słów i tandetną melodyjkę w niespełna sześciosekundowym dżinglu.

- Rany boskie... - mruknęła z niedowierzaniem. - Jak pan może słuchać tego jazgotu?

Logan wzruszył ramionami.

30

- To lokalna stacja. Lubię ją.

Watson wcisnęła gaz, zanim światło zdążyło się zmienić na czerwone.

- Radio One, tego się słucha, a nie jakiegoś Northsoundu. Poza tym nie powinno się słuchać radia w radiowozie. W każdej chwili może przyjść wezwanie.

Logan postukał w tarczę zegarka.

- Jedenasta. Będą wiadomości. Lokalne. Dobrze wiedzieć, co słyszeć

na własnym podwórku.

Po reklamie okien wysłuchali reklamy salonu samochodowego w Inverurie, zagranej w niezrozumiałym poza Aberdeen dialekcie doryckim, potem zapowiedź występów baletu z byłej Jugosławii, a na koniec reklamy nowej knajpki w Inverbervie. Dopiero po tym wszystkim zaczął się serwis informacyjny, który niczym nie różniłby się od codziennej papki, gdyby jeden fragment nie przykuł uwagi Logana. Wyprostował się w fotelu i podkreślił głośność.

- ...dzisiaj rano. W sądzie okręgowym w Aberdeen trwa proces Geralda Cleavera. Pięćdziesięciosześcioletni mieszkaniec Manchesteru jest oskarżony o molestowanie seksualne ponad dwadzieścioro dzieci, kiedy pracował jako pielęgniarz w szpitalu dziecięcym w Aberdeen. Wrogo na stawiony tłum zgromadził się pod gmachem sądu, obrzucając wyzwiskami Cleavera, który przyjechał na rozprawę pod eskortą policji...

- Mam nadzieję, że dadzą mu popalić - mruknęła Watson. Przeskoczyli skrzyżowanie. Skręcili w boczną uliczkę i Watson przy spieszyła.

- ... Do rodziców zamordowanego Davida Reida z całego kraju napływają wyrazy współczucia. Ubiegłej nocy nad Donem znaleziono zwłoki chłopca...

Logan dźgnął palcem guzik i wyłączył radio w pół zdania.

•Gerald Cleaver to mały, wstrętny skurwiel - powiedział. Jakiś rowerzysta wyjechał chwiejnie na środek jezdni, pokazał wyprostowany środkowy palec taksówkarzowi i zaklął. - Przesłuchiwałem go w śledztwie w sprawie gwałtów i morderstw w Mastrick. Nie był podejrzany, ale znajdował się na liście dyżurnych łajdaków. Przymknęliśmy go. Miał ręce jak

łapy ropuchy, zimne i lepkie. I cały czas się drapał... - Wzdrygnął się na to wspomnienie. - Tym razem się nie wymiga: dostanie od czternastu lat do dożywocia. W Peterhead.

•Dobrze mu tak.

Więzienie w Peterhead. Tam właśnie trafiali gwałciciele, pedofile, sadyści, seryjni mordercy... Tacy jak Angus Robertson; ludzie, których trzeba było chronić przed normalnymi, przyzwoitymi przestępcami. Mogli pchnąć

31

zbrojeńca nożem. Ta-dam! Prosimy worek kolostomijny dla starego, biednego Angusa Robertsona. Logan jakoś nie umiałby mu współczuć.

Watson coś powiedziała, ale Logan, skupiony na Potworze z Mastrick, nie dosłyszał. Sądząc po jej minie, zadała mu jakieś pytanie.

- Hm... - mruknął, grając na zwłokę. - To znaczy?

Standardowa zagrywka opóźniająca.

Posterunkowa Watson zmarszczyła brwi.

- To znaczy, co powiedział lekarz? W nocy, na ostrym dyżurze?

Logan chrząknął i z wewnętrznej kieszeni kurtki wyjął plastikową buleczkę. Zagrzechotało.

- Jedna tabletką co cztery godziny, najlepiej po posiłku. - Od rana łyknął już trzy. - Nie popijać alkoholem.

Watson uniosła brwi, ale nic nie powiedziała.

Dwie minuty później wjechali na piętrowy parking na tyłach komendy, kierując się do części przeznaczony dla samochodów służbowych. Oficerowie i wyżsi rangą członkowie cywilnego personelu mieli prawo korzystać z parkingu, pozostali pracownicy musieli sobie radzić na własną rękę - co najczęściej oznaczało pozostawienie wozu na Beach Boulevard, pięć minut

od komendy. Kiedy lało jak z cebra, warto było być kimś.

Inspektora Inscha zastali siedzącego na skraju biurka w pokoju operacyjnym. Huśtał jedną nogą, słuchając raportu posterunkowego z notatnikiem. Zespół poszukiwawczy nie miał dobrych wiadomości: od porzucenia ciała upłynęło zbyt wiele czasu. W dodatku pogoda była fatalna i gdyby nawet jakieś ślady przetrwały poprzednie trzy miesiące, ostatnia sześciogodzinna ulewa zmyłaby je bez śladu. Insch milczał, gdy posterunkowy odhaczał kolejne niepowodzenia; po prostu siedział i pojadał cukierki w kształcie butelek coca-coli.

Posterunkowy skończył i patrzył wyczekująco na inspektora, aż ten skończy żuć i coś powie.

- Niech szukają dalej, jeszcze przez godzinę. Jeśli nic nie znajdą, na tym skończymy. - Insch podsunął posterunkowemu prawie pustą torebkę. Policjant, zachwycony, wziął jeden cukierek i włożył go do ust. -Nikt nam przynajmniej nie zarzuci, że zlekceważyliśmy sprawę.

- Tak jest - powiedział posterunkowy z pełnymi ustami. Insch odesłał go i skinął na Watson i Logana.
- Sekcja zwłok - zażądał bez zbędnych wstępów.

Wysłuchał opowieści Logana o zbezczeszczeniu zwłok Davida Reida w podobnej pozie, jak przedtem raportu z poszukiwań: w milczeniu, obojętnie, pojadając. Kiedy buteleczki coli się skończyły, wyciągnął paczkę owocowych galaretek.

32

- Cudnie - mruknął, kiedy Logan skończył. - Czyli po Aberdeen biega sobie seryjny morderca pedofil.
- Niekoniecznie - wtrąciła Watson. Wybrała z paczki pomarańczową

galaretkę z napisem „Sherry”. - Mamy tylko jedne zwłoki i nawet nie wiemy, czy mordercą jest ktoś stąd...

Insch pokręcił głową.

Logan wziął dla siebie „Porto”.

- Ciało przeleżało w rowie trzy miesiące, niezauważone przez nikogo.

Morderca miał czas, żeby wrócić, długo po tym, jak nastąpiło stężenie po śmiertne, i wziąć sobie pamiątkę. Wiedział, że kryjówka jest bezpieczna; musiał być stąd. Wrócił i zabrał kawałek ciała, czyli że ma to dla niego szczególną wagę. To nie był przypadkowy kaprys: gość długo wszystko planował. Obmyślił jakiś poroniony rytuał, a potem go odprawił. I zrobi to ponownie, jeśli jeszcze nie zrobił.

Insch pokiwał głową.

- Niech pan wyciągnie z archiwum wszystkie zawiadomienia o zaginionych dzieciach z ostatniego roku, zrobi listę i przypnie ją tutaj, na ścianie. Któryś maluch mógł wpaść w łapy tego zboka.
- Dobrze, panie inspektorze.

- Jeszcze jedno... - Insch starannie zamknął opakowanie galaretek i schował je do kieszeni. - Dzwonili z „Journala”. Podobno naprzykrzał się pan ich nowemu ulubieńcowi.

Logan przytaknął.

- Nazywa się Colin Miller, wcześniej pracował w „Scottish Sun”. To on...

- Czy kazałem panu narażać się gazetom, sierżancie?

Logan urwał w pół zdania. I umilkł na chwilę.

- Nie, panie inspektorze. Po prostu przejeżdżaliśmy tamtędy i pomyślałem...
- Sierżancie... - powiedział inspektor powoli i dobitnie. - Cieszę się, że

pan myśli; to dobry znak i cenna zaleta u policjanta. - Teraz szykowało się wielkie „ale”; Logan czuł to przez skórę. - Ale nie życzę sobie, żeby moi podwładni bez mojego pozwolenia wkurzali miejscowych dziennikarzy. Będziemy musieli opublikować apel do mieszkańców miasta; czeka nas tuszowanie strat, jeżeli ktoś coś spartoli w śledztwie. Potrzebujemy życzliwej prasy.

- Rano powiedział pan...

- Powiedziałem, że zgnoję tego, kto rozmawiał z prasą. I zrobię to. Ale to my spieprzyliśmy sprawę, a nie gazety. Czy to jasne?

To była wina Logana. Posterunkowa Watson z nieoczekiwanym zainteresowaniem zaczęła się wpatrywać w czubki butów.

33

- Tak, panie inspektorze - odparł Logan. - Przepraszam.

- W porządku. - Insch wziął z biurka kartkę papieru i podał ją stosownie zmieszanemu sierżantowi. - Ekipa poszukiwawcza nic nie znalazła. To nie jest żadna niespodzianka. Nurkowie przeszukują dno rzeki, ale przez ten deszcz niewiele mogą zdziałać: ta francowata rzeka przerwała wały powodziowe w tysiącu miejsc. Właściwie mamy fart, że zwłoki w ogóle się znalazły, bo za jakieś dwa dni Don zalałby rów i szszszuuu! - Machnął ręką. Na palcach zalśniły mu kryształki cukru z galaretek. - Ciało Davida Reida spłynęłoby prosto do Morza Północnego. Następny przystanek: Norwegia. Nigdy byśmy go nie znaleźli.

Logan postukał się po zębach raportem z autopsji, wpatrując się w punkt w przestrzeni zawieszony tuż nad czubkiem łysej głowy inspektora.

- Czy to nie za duży zbieg okoliczności? - zapytał, marszcząc brwi. - Ciało leży w rowie przez trzy miesiące, ale jeśli nie zostanie odkryte, zanim rzeka

przerwie brzegi, nikt go nigdy nie znajdzie. - Przeniósł wzrok na inspektora. - David Reid spłynie do morza i nikt o nim słowa nie napisze. Nie będzie rozgłosu. Morderca nie przeczyta o swoich dokonaniach. Nie będzie sławny.

- Podoba mi się ten tok rozumowania. - Inch pokiwał głową. - Niech ktoś ściągnie gościa, który znalazł ciało... - Zerknął do notatek. - Duncan Nicholson. Sprowadźcie go tu i wymagujcie, tylko porządnie, żeby się spocił. W nocy byliśmy dla niego za miękcy. Jeżeli facet trzyma trupa w szafie, chcę się o tym dowiedzieć.

- Zaraz pošlę dyżurny radiowóz...

Nic więcej Logan nie zdążył powiedzieć, bo w tej samej chwili drzwi otworzyły się z łoskotem i do pokoju wpadł zdyszany posterunkowy. Stał jak wrośnięty w ziemię, aż zapiszczały obcasy.

- Panie inspektorze! - wykrztusił. - Zaginęło następne dziecko.

6

Matka Richarda Erskine'a miała nadwagę, zszargane nerwy i sama właściwie była jeszcze dzieckiem. Wszędzie w salonie szeregowego domu w Torry stały i wisiały zdjęcia w drewnianych ramkach. Wszystkie przedstawiały to samo: uśmiechniętego Richarda Erskine'a. Pięć lat. Jasne włosy, krzywe zęby, dołeczki w policzkach, ogromne okulary. Całe życie chłopca było rozpisane w klaustrofobicznym pokoju, od urodzin do... Logan porzucił tę myśl, zanim zapędził się za daleko.

34

Matka miała na imię Elizabeth: dwadzieścia jeden lat, długie czarne

włosy szesane w tył, odsłaniające okrągłą twarz; niebrzydka, jeśli wybaczyć jej podpuchnięte oczy, rozmazany tusz do rzęs i zaczerwieniony nos. Chodziła po pokoju tam i z powrotem, ogryzając paznokcie do krwi.

- Złapał go, prawda? - powtarzała w kółko wysokim, przerażonym głosem. - Dopadł Richiego! Dopadł i zabił!

Logan pokręcił głową.

- Tego nie wiemy. Może pani syn po prostu się zagapił i zapomniał, która godzina. - Rozejrzył się po obwieszonych fotografiami ścianach, szukając choćby jednego, na którym chłopiec naprawdę wyglądałby na szczęśliwego. - Jak długo go nie ma?

Pani Erskine zatrzymała się w pół kroku i spojrzała na niego spode łba.

•Trzy godziny! Już panu mówiłam! - Machnęła ręką mniej więcej w kierunku posterunkowej Watson. - Wie, że się o niego zamartwiam! Nie spóźniłby się! Nie spóźnił... - Dolna warga zadrżała jej, łzy znów napłynęły do oczu. - Czemu go nie szukacie?

•Wysłaliśmy na ulice radiowozy i funkcjonariuszy. Wszyscy szukają pani syna, pani Erskine. Proszę mi powiedzieć, co wydarzyło się dziś rano. Kiedy dokładnie zniknął?

Rękawem wytarła oczy i nos.

-Miał... miał wrócić ze sklepu prosto do domu. Poszedł po mleko i ciasteczka czekoladowe... Miał zaraz wrócić!

Znów zaczęła chodzić po pokoju, tam i z powrotem, tam i z powrotem.

•Do którego sklepu poszedł?

•Do tego naprzeciw szkoły. To niedaleko! Nigdy nie puszczam go samego, ale dziś nie mogłam wyjść z domu! - Pociągnęła nosem. - Czekaliśmy na montera, miał naprawiać pralkę, ale nie chcieli mi powiedzieć,

o której dokładnie przyjdzie. Tylko że rano! Gdyby nie to, nigdy bym go samego nie puściła! - Przygryzła wargę. Szloch wstrząsnął jej ciałem. -
To wszystko moja wina!

- Nie ma pani przyjaciółki albo sąsiadki, która mogłaby zostać z...

Watson wskazała Loganowi kuchnię, skąd właśnie wyszła sterana życiem starsza kobieta, niosąc tacę z herbatą. Stały na niej tylko dwa kubki. Nie brano pod uwagę, że policjanci też mogliby się napić; powinni jak najszybciej spadać na ulicę i szukać zaginionego pięciolatka.

- Wstyd i hańba! - stwierdziła starsza kobieta, stawiając tacę na stole, na stercie „Cosmopolitanów”. - Żeby tacy zbrodniarze chodzili po ulicach! Powinni gnić w pierdłu! Nawet nie miałoby daleko.

35

Miała na myśli Craiginches, otoczony murem zakład karny mieszczący się przy pobliskim skrzyżowaniu.

Elizabeth Erskine wzięła do rąk podany jej kubek z herbatą z mlekiem. Ręce tak jej się trzęsły, że gorący płyn wychlapywał się przez brzegi naczynia. Patrzyła, jak krople wsiąkają w jasny, niebieski dywan.

- Nie ma... - Pociągnęła nosem. - Nie macie państwo przypadkiem papierosa? Rzuciłam, kiedy byłam w ciąży z Richiem...

- Przykro mi, ale nie. Też musiałem rzucić. - Logan wziął do ręki stojące na kominku najnowsze zdjęcie. - Możemy je wziąć?

Matka pokiwała głową. Logan podał fotografię posterunkowej Watson.

Pięć minut później stali w ogródku na tyłach domu, skuleni pod niedorzecznie małym daszkiem nad drzwiami. Niewielki prostokąt trawy zniknął pod rozprzestrzeniającą się powoli siatką kałuż. Po ogródku walało się kilkanaście zabawek, umytych deszczem do czysta. Zza płotu spoglądały na

nich następne szare i mokre domy.

Torry nie było może najgorszą dzielnicą miasta, ale z pewnością należało do ostatniej dziesiątki. Tu właśnie znajdowały się liczne w Aberdeen przetwórnice rybne. Co tydzień trafiały do nich tony białych ryb, które następnie ręcznie patroszono i filetowano. Pieniądze były nie najgorsze, jeśli człowiekowi nie przeszkadzała ziała i smród. Ogromne pojemniki z niebieskiego plastiku, pełne rybich ości i bebeczków, kuliły się przy drodze; deszcz nie odstraszył spasionych mew, które nurkowały spod nieba, porywając rybnie łby i napychając sobie dzioby wnętrzościami.

- I co pan na to? - spytała Watson. Włożyła ręce głęboko do kieszeni dla ochrony przed zimnem.

Logan wzruszył ramionami. Patrzył, jak deszczówka wylewa się z przepełnionej łyżki żółtej dziecięcej koparki.

- Przeszukaliście dom?

Watson wyjęła notatnik.

- Zgłoszenie odebraliśmy o jedenastej pięć. Matka wpadła w histerię.

Dyżurny podesłał na miejsce dwóch ludzi z komisariatu w Torry, a ci zaczęli od dokładnego przeszukania domu. Dzieciak nie schował się w kredensie, ciała nie ma w zamrażarce.

- Rozumiem.

Koparka była stanowczo za mała dla pięcioletniego dziecka. Właściwie większość zabawek nadawała się dla trzylatków. Może to pani Erskine nie chciała, żeby jej synek dorósł?

- Myśli pan, że to ona go zabiła? - Watson obserwowała Logana, jak wodzi wzrokiem po zalanym wodą ogródku.

- Nie, raczej nie. Ale gdyby się okazało, że tak, a my tego nie spraw-

dziliśmy. .. Gazety by nas ukrzyżowały. Co wiadomo o ojcu?

36

- Sąsiadka twierdzi, że nie żyje. Zmarł przed urodzeniem syna.

Logan pokiwał głową: to wyjaśniało nadopiekuńczość matki. Nie chciała stracić syna.

- Jak przebiegają poszukiwania?

- Obdzwoniliśmy kolegów Richarda: od niedzieli po południu nikt go nie widział.

- A ubrania? Ulubiony miś? Coś w tym guście?

- Wszystko jest na swoim miejscu. Czyli raczej nie uciekł z domu.

Logan spojrzał jeszcze raz na porzucone zabawki i wrócił do środka. Inspektor lada chwila przyjedzie i będzie pytał o nowiny.

-Hm... - Kątem oka obserwował posterunkową Watson. Przez kuchnię i korytarz wyszli do drzwi frontowych. - Pracowała pani wcześniej z inspektorem Inschem, prawda?

Posterunkową przytaknęła.

-O co chodzi z tymi... - Udał, że napycha sobie usta cukierkami. - Próbuje rzucić palenie?

Watson wzruszyła ramionami.

- Nie wiem, panie sierżancie. Może to jakaś nerwica natręctw? - Zmar szczyła w zadumie brwi. - A może po prostu tak ma, bo jest wielkim, grubym draniem.

Logan nie wiedział, czy się śmiać, czy udawać wstrząśniętego. -Ale jedno panu powiem, sierżancie: to diabelnie dobry policjant. Nikt go dwa razy nie wykiwa.

Logan sam już doszedł do takiego wniosku.

- No dobrze. - Zatrzymał się przy drzwiach. W korytarzu, podobnie jak w salonie, pełno było fotografii chłopca. - Proszę zanieść to zdjęcie na ksero. Będziemy potrzebowali ze sto egzemplarzy...
- Chłopcy z miejscowego komisariatu już się tym zajęli: czterej ludzie chodzą po domach na całej trasie, którą Richard mógł przejść w drodze do sklepu, i rozdają jego zdjęcia.
- Nie tracą czasu... - Logan docenił to.
- To prawda.
- Dobrze, ściągnijmy tu jeszcze z sześciu mundurowych, niech im pomogą.
 - Wyjął telefon komórkowy i zaczął wybierać numer, ale zawahał się przy ostatniej cyfrze. - No, no...
- Co się stało, panie sierżancie?

Przy krawężniku zatrzymał się szpanerski wóz. Ze środka wygramolił się niewysoki facet, zakutany w czarny płaszcz, i zaczął się mocować z dobranym do płaszcza parasolem.

- Sępy się zlatują.

37

Logan sięgnął po stojący w kącie parasol i wyszedł na deszcz. Zimne krople bębniły o płótno, kiedy na szczycie schodów czekał na Colina Millera.

- Pan sierżant! - Miller wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Dawnośmy się nie widzieli! Dalej się pan prowadzi z tą milutką... - Uśmiechnął się od ucha do ucha, widząc stojącą w drzwiach nachmurzoną Watson. - Pani posterunkowa! Właśnie o pani mówiliśmy.
- Czego? - Jej głos był bardziej lodowaty niż szare popołudnie.
- Najpierw obowiązek, potem przyjemność, dobrze? - Miller wygrzebał z

kieszoni nowiutki dyktafon i wycelował go w ich stronę. - Zaginęło następne dziecko. Czy...

Logan zmarszczył brwi.

- Skąd pan wie o następnym zaginięciu?

Miller wskazał przez ramię na zalaną deszczem ulicę.

- Radiowozy jeżdżą po całej okolicy i nadają przez megafony rysopis chłopaka. A niby skąd się miałem o tym dowiedzieć?

Logan miał nadzieję, że nie wygląda na zawstydzonego. Miller mrugnął porozumiewawczo.

• Niech pan się tak nie przejmuj. Ja nieustannie robię z siebie idiotę.

Mniejsza z tym. - Podniósł wyżej dyktafon. - Czy sprawa zniknięcia tego dziecka wiąże się jakoś ze znalezieniem...

• Bez komentarza.

• Panie sierżancie!

Za plecami Millera zatrzymał się następny samochód, tym razem opatrzone logo szkockiej sekcji BBC. Media będą miały używanie: wczoraj znaleziono zwłoki dziecka, dziś zaginął drugi chłopczyk... Wszyscy dziennikarze wyciągną takie same wnioski jak Miller. Logan oczyma wyobraźni widział już jutrzejsze nagłówki: „Kolejny atak pedofila mordercy?!” Komendant się wścieknie.

Miller odwrócił się, zaciekawiony, co przykuło uwagę Logana, i zmartwiał.

- Amoże byśmy...

- Przykro mi, panie Miller. W tej chwili nie mogę panu udzielić żadnych informacji. Proszę czekać na oficjalne oświadczenie.

Długo czekać nie musieli. Pięć minut później przyjechał zbryzgany

błotem rangę rover Inscha. Tymczasem pod domem zebrał się już tłum dziennikarzy, tworząc zjeżony obiektywami i mikrofonami mur u stóp schodów. Kulili się pod czarnymi parasolami. Jak na pogrzebie.

Insch nawet nie wysiadł z samochodu: opuścił tylko szybę w oknie i gestem przywołał Logana. Kamery śledziły sierżanta, kiedy z pożyczonym parasolem przeszedł na drugą stronę ulicy i zatrzymał się przy rangę

38

roverze. Musiał się wysilić, żeby nie skrzywić się z obrzydzeniem. Ze środka zaleciała go woń mokrego spaniela.

- No, no... - Inspektor ruchem głowy wskazał kamerzystów. - Chyba wieczorem będziemy w telewizji. - Powiódł dłonią po łysej głowie. - Do brze, że umyłem włosy.

Logan uśmiechnął się z wysiłkiem. Dokuczały mu świeże blizny na brzuchu: otrzymany poprzedniej nocy cios dawał znać o sobie.

- Świetnie - ciągnął Insch. - Mam wygłosić oświadczenie dla prasy, ale zanim to zrobię, chciałbym wiedzieć, czy w świetle najnowszych wydarzeń zrobię z siebie durnia, czy nie.

Logan wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że matka mówi prawdę.

-Ale?

- Sam nie wiem. Traktuje syna, jakby był, ze szkła. Nigdzie sam nie wychodzi, zabawki ma dla dzieci młodszych o dwa lata... Tak jakby wyciskała z niego całą radość życia.

Insch uniósł brwi; zmarszczki przecięły różowe bezwłose czoło. Nie odpowiedział.

• Nie twierdzę, że nie został uprowadzony. - Kolejne wzruszenie ramion.

-Po prostu...

- Rozumiem. - Insch przyglądał marynarkę. Samochód mógł mieć brudny i cuchnący, ale włożył najlepszy garnitur i krawat. - Jeżeli zlekceważymy tę sprawę, a chłopak znajdzie się gdzieś uduszony i bez wacka, wpadniemy w gówno po same uszy.

Komórka Logana eksplodowała kakofonią gwizdów i pisków. Dzwonili z posterunku przy Queen Street: zgarnęli Duncana Nicholsona.

- Co? Nie. - Logan się uśmiechnął. Przycisnął telefon do ucha. - Po trzymajcie go w celi. Niech się poci. Zaraz tam będę.

Zanim Logan i Watson wrócili do komendy, poszukiwania ruszyły pełną parą. Insch ściągnął trzykrotnie więcej ludzi, niż to sugerował Logan, i teraz ponad czterdzieścioro policjantów - w tym czwórka z psami - przemierzało miasto w marznącej mżawce, przeszukując wszystkie ogrody, budynki publiczne, szopy, krzaki i rowy między domem Richarda Erskine'a i sklepami przy Victoria Road.

Sierżant dyżurny poinformował ich, że Duncan Nicholson trafił do najpodlejszej celi w całej komendzie. I spędził w niej już blisko godzinę.

Po drodze zajrzeli jeszcze do stołówki na filiżankę herbaty i zupę. Posilali się niespiesznie, a Nicholson siedział w celi sam jak palec i zamartwiał się na śmierć.

39

- No dobrze - odezwał się Logan, kiedy skończyli jeść. - Może by zawlec Nicholsona do pokoju przesłuchań, pomarszczyć się trochę i pomilczeć groźnie? Ja sprawdzę, jak idą poszukiwania, i za piętnaście, dwa dziesięć minut wpadnę do was. Powinien już zacząć pękać.

Watson wstała od stolika, spojrzała tęsknie na leguminę i wyszła ze stołówki z zamiarem uprzykrzenia życia Duncanowi Nicholsonowi.

Logan znalazł oficera administracyjnego w pokoju operacyjnym i wypytał go o najświeższe wiadomości: zespół poszukiwawczy nic nie znalazł; rozpytywanie wśród sąsiadów też nic nie dało. Wziął z automatu kubek z herbatą i sączył japołoli. Łyknął następny proszek przeciwbólowy. Kiedy upłynęło dwadzieścia minut, zszedł do pokoju przesłuchań numer 2.

Pokój był mały, ze ścianami pomalowanymi na paskudny beżowy kolor. Duncan Nicholson siedział przy stole naprzeciwko milczącej i nachmurzonej posterunkowej Watson. Był wyraźnie zdenerwowany. W pomieszczeniu obowiązywał zakaz palenia, co bynajmniej nie poprawiało mu humoru. Na blacie przed nim leżał stosik strzępków papieru. Kiedy drzwi się otworzyły i do środka wszedł Logan, skrawki pofrunęły w powietrze i opadły na wytarty niebieski dywan.

- Witam, panie Nicholson. - Logan usiadł na brązowym plastikowym krześle obok Watson. - Przepraszam, że musiał pan czekać.

Nicholson poruszył się niespokojnie. Kropelki potu zbierały mu się na górnej wardze. Miał trzydzieści dwa lata, ale wyglądał na czterdzieści pięć. Kępki sinoszarej szczeciny pokrywały wygoloną różową skórę głowy. W każdym uchu miał co najmniej trzy kolczyki, a poza tym wyglądał tak, jakby złożono go do kupy w jakiś poniedziałkowy poranek, zanim fabryka Nicholsonów na dobre obudziła się po weekendzie.

- Siedziałem w celi godzinami! - powiedział, wyrzucając z siebie całe oburzenie, na jakie było go stać. - Godzinami! A tam nie było kibla! Mało mi pęcherz nie pękł!

Logan pokręcił głową.

- Ojoj... Z pewnością doszło do jakiejś pomyłki, panie Nicholson. Zgłosił się pan do nas z własnej, nieprzymuszonej woli, prawda? Nie było łazienki? Porozmawiam z sierżantem dyżurnym, żeby się to nie powtórzyło. - Uśmiechnął się przyjaźnie, rozbrajająco. - Ale skoro już tu wszyscy siedzimy, to może byśmy zaczęli, co?

Nicholson skinął głową i uśmiechnął się lekko. Poczuci się pewniej.

- Pani posterunkowa, w pani ręce...

Logan podał Watson dwie nowiutkie taśmy. Rozpakowała je i wetknęła do zawieszzonego na ścianie rejestratora. To samo zrobiła z dwoma kasetami wideo. Wcisnęła „Nagrywanie”. Rejestrator pstryknął i zapiszczał.

40

-Przesłuchanie pana Duncana Nicholsona - zapowiedziała Watson i podała wymagane regulaminem szczegóły: nazwiska, datę i czas.

- Panie Nicholson... - zagaił z uśmiechem Logan. - A może po prostu Duncanie?

Mężczyzna po drugiej stronie stołu zerknął nerwowo ponad jego ramię na umieszczoną w rogu pokoju kamerę. Po chwili wahania kiwnął głową.

- Dobrze, Duncanie. Dziś w nocy znalazłeś zwłoki Davida Reida. Zgadza się?

Nicholson przytaknął.

- Musisz coś powiedzieć, Duncanie. - Uśmiech Logana rozszerzał się z każdą chwilą. - Taśma nie słyszy, kiedy kiwasz głową.

Wzrok Nicholsona znów spoczął przelotnie na szklanym oku kamery. -Eee... Tak, przepraszam. No więc znalazłem. Znalazłem go dziś w nocy.

- A co robiłeś nocą w takim miejscu?

Nicholson wzruszył ramionami.

- Byłem... na spacerze. Wie pan, jak to jest: ścięliśmy się z żoną i poszedłem się przejść.

- Nad rzekę? W środku nocy?

Uśmiech Logana przybladł.

- No... tak. Często tam chodzę, żeby... pomyśleć i w ogóle.

Sierżant założył ręce na piersi, przyjmując pozę identyczną jak siedząca obok niego posterunkowa.

- Więc poszedłeś nad rzekę pomyśleć. I całkiem przypadkowo natoczyłeś się na zwłoki zamordowanego dziecka, tak?
- No... Po prostu... Proszę posłuchać, ja...
- Przypadkiem znalazłeś zwłoki dziecka. W zalanej wodą rowie. Przykryte płytą wiórową. Po ciemku. W ulewnym deszczu.

Nicholson otworzył usta raz, potem drugi, ale nic nie powiedział.

Logan czekał w milczeniu prawie dwie minuty. Nicholson z każdą chwilą coraz bardziej się denerwował; na głowie pot perlił mu się tak samo jak wcześniej na wardze. Woń przetrawionego czosnku biła od niego falami.

- Wcześniej się... napiłem, nie? I nad tą cholerną rzeką się przewróciłem, mało się nie zabiłem!
- Przewróciłeś się na brzegu rzeki. Lało jak z cebra, ale kiedy przyjechała policja, nie miałeś na ubraniu najmniejszej plamki! Byłeś czyściu-teńki, Duncanie. Jakoś to nie pasuje do człowieka, który niedawno sturlał się po błotnistej skarpie i wpadł do rowu, nie uważasz?

41

Nicholson przetarł łysinę dłonią. Krótkie włosy zachręściły cicho w dusznej ciszy sali przesłuchań. Pod pachami widać było ciemnoniebieskie

plamy potu.

- Bo ja... Wróciłem do domu, żeby po was zadzwonić, i się przebrałem.

-No tak. - Logan znów posłał mu olśniewający uśmiech. - Gdzie byłeś trzynastego sierpnia tego roku między wpół do trzeciej i trzecią po południu?

- Gdzie... Nie wiem.

•A gdzie byłeś między dziesiątą i jedenastą dziś rano? Nicholson wytrzeszczył oczy.

•Dzisiaj rano? O co chodzi? Nikogo nie zabiłem!

-A ktoś tak powiedział? - Logan spojrzał na Watson. - Czy oskarżyłem pana Nicholsona o morderstwo?

- Nie, sierżancie.

Nicholson poruszył się niespokojnie na krześle. Logan położył na stole listę zaginionych dzieci z ostatnich trzech lat.

•Gdzie byłeś dziś rano, Duncanie?

•Oglądałem telewizję.

- A gdzie byłeś... - Logan pochylił się i zaczął czytać z listy: -piętnastego marca, od szóstej do siódmej? Dwudziestego siódmego maja, między wpół do piątej i ósmą?

Odczytał wszystkie daty ze spisu. Nicholson siedział naprzeciwko, pocił się i odpowiadał półgłosem. Mówił, że nigdzie nie wychodził. Siedział w domu. Oglądał telewizję. Jego alibi mogli potwierdzić tylko Jeny Springer i Oprah Winfrey, w dodatku głównie z powtórek.

-No cóż... - stwierdził Logan, kiedy doszedł do końca listy. - Kiepsko to wygląda, prawda?

- Palcem nie tknąłem tych dzieciaków!

Logan rozparł się wygodnie na krześle i znów zastosował milczącą taktykę inspektora Inscha.

-Naprawdę! Przecież, do kurwy nędzy, sam do was przyszedłem, kiedy znalazłem tego chłopaka! Przyszedłem czy nie?! Po co miałbym to robić, gdybym go zabił?! Poza tym w życiu nie zabiłbym dziecka. Ja kocham dzieci!

Posterunkowa Watson uniosła pytająco brwi. Nicholson spochmurniał.

- Nie w tym sensie! Przecież mam bratanków i siostrzeńców. Nigdy nie zrobiłbym takiego świństwa.
- No to zacznijmy od początku. - Logan pochylił się nad stołem. - Co robiłeś nad Donem w środku nocy, w padającym deszczu?

42

- Przecież mówiłem: zdenerwowałem się...
- Jakoś ci nie wierzę. Mam przeczucie, że kiedy dostaniemy raport z poszukiwań, znajdzie się w nim dowód na to, że miałeś coś wspólnego ze śmiercią chłopca. A może się mylę?
- Nic nie zrobiłem! - Nicholson uderzył otwartą dłoń w stół. Skrawki papieru pofrunęły w powietrze jak płatki śniegu.

-Mamy cię w garści, Nicholson. Oszukujesz sam siebie, myśląc, że się wyłgasz. Tak sobie myślę, że chwila w areszcie świetnie ci zrobi. I wrócimy do naszej rozmowy, kiedy dojdiesz do wniosku, że jesteś gotowy mówić prawdę. Koniec przesłuchania. Godzina trzynasta dwadzieścia sześć.

Logan kazał posterunkowej Watson odprowadzić Nicholsona do aresztu. Począł, aż wróci.

- Co pani o nim myśli?
- Wątpię, żeby to zrobił. Nie ten typ. Za tępy, żeby przekonująco kłamać.

- To fakt. Ale i tak kłamie. Nie wierzę, że poszedł po nocy na przechadzkę. Kiedy się człowiek nawali, nie chodzi błąkać się nad rzeką w taką pogodę. Miał powód, żeby tam pójść, tylko my tego powodu na razie nie znamy.

Za oknem samochodu przesuwiał się szary i smutny port w Aberdeen. Przy nabrzeżu cumowała garstka jednostek zaopatrzeniowych żeglugi przybrzeżnej; kurtyna deszczu trochę tłumiała radosne żółcie i pomarańcze ich kadłubów. Lampy rozjaśniały półmrok popołudnia. Dźwigi przenosiły kontenery z ciężarówek na czekające przy brzegu statki.

Logan i Watson wracali do Tony, do domu Richarda Erskine'a. Jedna osoba widziała zaginionego - niejaka pani Brady zwróciła uwagę na blondynka w czerwonej kurtce i niebieskich dżinsach, jak szedł przez pustkowie na tyłach jej domu. Więcej sygnałów nie mieli.

Zbliżało się wpół do trzeciej, pora kolejnego serwisu informacyjnego. Logan włączył radio, z którego wybrzmiały jeszcze ostatnie takty starej piosenki Beatlesów, zanim zaczęły się wiadomości. Jak można się było spodziewać, zaginięcie małego Erskine'a stało się nowiną dnia. Z głośników w samochodzie zagrzmiął głos inspektora Inscha, zwracającego się z prośbą do mieszkańców miasta, aby zgłaszali się na policję, jeśli wiedzą coś o miejscu pobytu chłopca. Insch miał talent dramatyczny, o czym wiedział każdy, kto widział go w dorocznej bożonarodzeniowej pantomimie, ale umiał trzymać go na wodzy, gdy spiker zadawał mu oczywiste w tej sytuacji pytania:

43

- Czy to możliwe, że Richarda uprowadził ten sam pedofil, który od-

powiada za śmierć Davida Reida?

- Spodziewamy się znaleźć Richarda całego i w dobrym zdrowiu. Jeżeli ktoś ze słuchaczy mógłby nam pomóc, bardzo proszę o telefon do sierżanta dyżurnego pod numer 0 800 555 999.
- Dziękuję, inspektorze. Dalsze wiadomości. Trwa proces Geralda Cleavera, pięćdziesięciosześcioletniego byłego pielęgniarza z Manchesteru. Proces toczy się pod wzmocnioną ochroną policji po tym, jak obrońcy oskarżonego, Sandy'emu Moir-Farquharsonowi, grożono śmiercią. W rozmowie z „Northsound News” pan Moir-Farquharson...
- Mam nadzieję, że coś wyniknie z tych pogrózek. - Logan sięgnął do wyłącznika i zgasił radio, zanim z głośników popłynął głos adwokata. Sandy Moir-Farquharson zasłużył sobie na groźby. To właśnie on, krętacz i łajdak, przekonywał sąd, że Angus Robertson zasługuje na łagodne traktowanie; to on twierdził, że Potwór z Mastrick nie jest jedynym winnym śmierci tamtych kobiet. Niepotrzebnie reagowały histerycznie na jego zaloty; prowokowały go sposobem ubierania się; krótko mówiąc - same się o to prosiły.

Podczas ich krótkiej nieobecności liczba dziennikarzy czatujących przed domem Richarda Erskine'a niemal się podwoiła. Samochody stały jeden przy drugim. Zjawily się nawet dwa wozy transmisyjne. Watson musiała zaparkować bardzo daleko i pieszo ruszyli w stronę domu, kuląc się pod jednym parasolem.

Oprócz szkockiej BBC na miejscu były już Grampian, ITN i Sky News. Oślepiające telewizyjne reflektory wypalały kolor z granitowych ścian. Nikt nie zwracał uwagi na deszcz, chociaż z nieba cały czas lały się strugi lodowatej wody.

Blondynka z ogromnym biustem, spikerka wiadomości Channel Four, stała z mikrofonem przed kamerą, na tyle daleko od centrum wydarzeń, żeby w kadrze mieścił się dom i cały tłum.

- ...narzuca się pytanie: czy w takiej chwili uwaga mediów naprawdę powinna się koncentrować na pogrążonej w bólu rodzinie? Kiedy...

Watson bezceremonialnie weszła w kadr, biało-niebieską parasolką zasłaniając widok kamerzyście.

- Stop! - ktoś krzyknął.
- To nie był przypadek - szepnął Logan do posterunkowej, gdy dziennikarka bluznęła przekleństwami.

Watson odpowiedziała uśmiechem i zaczęła się przeciskać przez tłum przy schodach. Logan przyspieszył kroku, udając, że nie słyszy chóralnych skarg, pytań i próśb o komentarz.

44

W salonie, oprócz matki Richarda i jej sąsiadki, zastali tylko funkcjonariuszkę wydziału spraw rodzinnych. Insha nie było nigdzie widać. Logan zajrzał do kuchni i poczęstował się herbatnikiem z otwartej paczki, leżącej na blacie obok elektrycznego czajnika. Przeszklone drzwi prowadziły do ogródka na tyłach domu. Na szkle rysował się potężny cień stojącej za nimi postaci.

Ale to też nie był Insch, tylko otyły posterunkowy z dochodzeniówki. Na twarzy widać było ciemne smugi popołudniowego zarostu. Stał na ganku pod daszkiem i odpalał papierosa od papierosa.

- Dzień dobry, sierżancie - rzucił od niechcienia. Nie wyprężył się na baczność ani nie zgasił papierosa. - Gówniana pogoda, co?

Nie był z Aberdeen: akcent zdradzał, że pochodzi z Newcastle.

- Przyzwyczaj się pan.

Logan wyszedł na ganek i stanął obok niego, oddając się rozkoszom biernego palenia.

Posterunkowy wyjął papierosa z ust i włożył w jego miejsce palec. Paznokciem podrapał dziąsło między trzonowcami.

- Jakoś wątpię. To znaczy, dla mnie deszcz nie nowina, ale, jak Boga kocham, takiego syfu jeszcze nie widziałem. - Znalazł w końcu między zębami to, czego szukał, i pstryknął tym w deszcz. - Myśli pan, że do weekendu będzie tak lało?

Logan spojrział na niskie, ciemnoszare chmury.

- Do weekendu? - Pokręcił głową i zaciągnął się dymem z nie swojego papierosa. -To jest Aberdeen. Będzie padać do marca.
- Bzdura!

Basowy, stanowczy głos dobiegł dokładnie zza ich pleców. Logan odwrócił się: w drzwiach stał inspektor Insch z rękami w kieszeniach.

- Proszę nie słuchać sierżanta McRae, kpi sobie z pana.

Insch wyszedł na dwór i na ganku zrobiło się jeszcze ciasniej. Logan i posterunkowy ostrożnie odsunęli się na boki.

- Do marca... - Insch włożył do ust galaretkę owocową. - Do marca?! Sierzancie, nie wypada tak okłamywać biednego posterunkowego. To jest Aberdeen. - Westchnął i znów schował ręce. - Tutaj, psiakrew, pada cały czas.

Stali w milczeniu i patrzyli, jak deszcz robi to, co potrafi najlepiej.

- Mam przynajmniej jedną dobrą wiadomość, panie inspektorze - za gaił w końcu Logan. - Moir-Farquharsonowi ktoś groził śmiercią.

Insch się uśmiechnął.

-No myślę. Sam pisuję pogróżki.

- Broni w sądzie Geralda Cleavera.

45

Insch ponownie westchnął.

- Jakoś nie jestem zdziwiony. Ale to teraz problem inspektor Steel. Ja szukam Richarda Erskine'a.

7

Zwłoki znaleziono na miejskim wysypisku śmieci w Nigg, na południe od Aberdeen, dwie minuty jazdy od domu Richarda Erskine'a. Dzieci na wycieczce klasowej pod hasłem „Recykling i ekologia” przyjechały na wysypisko o godzinie piętnastej dwadzieścia sześć. Miały płaszcze przeciwdeszczowe i kalosze, a na miejscu włożyły maseczki na gumce i grube robocze rękawice. O piętnastej trzydzieści siedem zarejestrowały się w biurze przepustek i w młazszczącym bloku weszły na teren wysypiska, prosto w sterty zużytych pieluch, tłuczonego szkła, odpadków kuchennych i wszelkich innych śmieci codziennie wyrzucanych przez tysiące mieszkańców Aberdeen.

Ośmioletnia Rebecca Johnston pierwsza ją zobaczyła: lewa stopa wystawała z podartego czarnego worka foliowego. Pod niebem kołowały stada mew: ogromne, spasionie ptaszyska darły się wniebogłosy, pikując i krążąc w jakimś dzikim balecie. Jedna z mew przysiadła i skubnęła zakrwawiony palec - i to właśnie zwróciło uwagę Rebeki.

Punktualnie o szesnastej zawiadomiono policję.

Smród był niewiarygodny, nawet w tak wilgotny i wietrzny dzień. Na Doonies Hill deszcz wydawał się jeszcze zimniejszy niż w mieście. Dudnił na karoserii, miotany podmuchami wiatru, które kołysały rdzewiejącym vauxhallem. Grzejniki pracowały pełną parą ale Logan i tak miał dreszcze. Dmuchawy nie dawały sobie rady z zaparowanymi szybami.

Przemokli z Watson do suchej nitki. Deszcz zdawał się nie zauważać „nieprzemakalnych” policyjnych kurtek, wsiąkał w spodnie i ściekał do butów.

Nikt z biura identyfikacji ofiar jeszcze się nie zjawił. Logan i Watson osłonili zwłoki prowizorycznym namiotem z czystych worków i pustych pojemników na śmieci. Wyglądał, jakby wiatr miał go za moment rozszarpać, ale przynajmniej częściowo chronił ciało przed deszczem.

- Gdzie oni są, do cholery?

Logan zrobił sobie iluminator w zaparowanej przedniej szybie. Walka z szarpaną wiatrem folią i opornymi pojemnikami zepsuła mu humor.

46

Łyknięty przy obiedzie środek przeciwbólowy powoli przestawał działać i teraz każdy ruch sprawiał mu ból. Stęknął, wyjął z kieszeni fiolkę i wytrząsnął pastylkę na dłoń. Połknął ją na sucho.

W końcu na wyjeżdżonej w śmieciach drodze zjawiła się brudnobiała, nieoznakowana furgonetka z włączonymi reflektorami. Biuro identyfikacji ofiar.

- Najwyższy czas! - burknęła Watson.

Wygramolili się z samochodu i stanęli w zacinającym deszczu.

Za furgonetką pieniało się Morze Północne - szare i ogromne; lodowaty wiatr smagał ląd, pierwszy, jaki napotkał od opuszczenia norweskich fiordów.

Samochód się zatrzymał. Jakiś podenerwowany facet patrzył przez przednią szybę na ginące w ulewie wysypisko.

- Nie rozpuściecie się! - zawołał Logan. Był obolały, przemarznięty, mokry i nie miał najmniejszej ochoty tracić więcej czasu.

Czworo funkcjonariuszy kryminalistyki bez entuzjazmu wynurzyło się z wozu. Rozpięli policyjny namiot nad zaimprovizowaną przez Logana i Watson osłonę. Wyrzucili zbędne worki, wypchnęli na deszcz pojemniki i ustawili generatory, które ożyły z głośnym rykiem, zalewając okolicę powodzią białego światła.

Gdy tylko znalezisko zostało zabezpieczone przed deszczem, w drzwiach furgonetki pojawił się Wilson, lekarz dyżurny.

- Dobry wieczór wszystkim. - Jedną ręką postawił kołnierz płaszcza; w drugiej trzymał torbę lekarską. Obrzucił spojrzeniem szambo dzielące go od foliowego namiotu i westchnął. - Mam nowiuteńkie buty. A zresztą...

Zaczął brnąć w stronę namiotu. Logan i Watson szli krok w krok za nim.

Funkcjonariusz z paskudnym trądzikiem na twarzy i notesem w rękach nie pozwolił im wejść do środka, dopóki nie wpiszą się na listę obecności i nie włożą - pod jego czujnym, podejrzliwym spojrzeniem - białych papierowych kombinezonów.

Samotna ludzka noga sterczała z morza foliowych worków, widoczna od kolana w dół, trochę jak wynurzająca się z wody ręka Pani Jeziora; brakowało tylko Excalibura. Kamerzysta policyjny filmował, jak jego koledzy starannie zbierają śmieci z worków otaczających ten, z którego wystawała noga, i pakują je do czystych folii do późniejszego przebadania.

-Potrzyma pani? - Wilson wręczył torbę posterunkowej Watson.

Przytrzymała ją bez słowa, a on wyjął lateksowe rękawiczki i naciągnął je

na dłonie jak chirurg przed operacją. - Zróbcie nam miejsce - ponaglił ekipę.

47

Cofnęli się i przepuścili go do ciała. Czubkami palców złapał wystającą stopę tuż poniżej stawu skokowego.

- Nie wyczuwam pulsu. Albo mamy tu odciętą kończynę, albo ofiara nie żyje. - Pociągnął ostrożnie. Śmieci w torbie się przemieściły; cała ekipa zgodnie syknęła z bólem: to był ich teren! - Zgadza się: ta noga ma dalszy ciąg. Stwierdzam zgon.

Wilson wstał i wytarł rękawiczki o spodnie.

- Dzięki - mruknął Logan.

- Nie ma sprawy. Mamy poczekać z wami na patologa i prokuratora? Logan pokręcił głową.

-Nie ma sensu, żebyśmy tu wszyscy odmrażali tyłki. Dziękuję. Dziesięć minut później fotograf z biura identyfikacji wetknął głowę do namiotu.

- Przepraszam za spóźnienie: jakiś idiota poszedł popływać w porcie i zapomniał zabrać własnych rzepek kolanowych. Chryste Panie, ależ ziąb!

W środku nie było ciepłej, ale przynajmniej nie padało.

- Czołem, Billy - powiedział Logan, kiedy brodacz rozpinał płaszcz.

Billy schował do kieszeni długi biało-czerwony szalik i czerwoną czapkę z pomponem, z wyszytym napisem „Up the Dons”. Był łysy jak kolano.

Logan wytrzeszczył oczy.

- Co ci się stało w głowę?

Billy zmarszczył brwi, naciągając papierowy kombinezon.

- Nie zaczynaj, dobrze radzę. I tak myślałem, że nie żyjesz.

- Poprawiło mi się - odparł Logan z uśmiechem. Fotograf przetarł

chusteczką okulary i obiektyw aparatu.

- Ktoś tu czegoś dotykał? - zapytał, ładując świeżą rolkę filmu.

- Wilson na próbę pociągnął za nogę, ale poza tym nikt nic nie ruszał. Billy założył na aparat potężną lampę błyskową. Włączył ją i kilka razy w nią puknął, aż ze środka dobiegł wysoki dźwięk.

- No, panie i panowie... Cofnąć się, proszę.

Ostre sinobiałe światło z trzaskiem wypełniło ciasną przestrzeń. Aparat zaterkotał, flesz zajęczał piskliwie. I jeszcze raz, i znowu...

Billy powoli kończył, kiedy zadzwonił telefon. Logan zaklął i wyjął komórkę z kieszeni. To Insch dopominał się o najświeższe informacje.

- Przykro mi, panie inspektorze, ale ciągle czekamy na patologa. - Logan musiał podnieść głos, żeby nie zagłuszył go rozbryzgujący się na folii deszcz. - Bez niego nie możemy ruszyć ciała, nie mogę oficjalnie zidentyfikować ofiary.

Insch zaklął. Logan ledwie go słyszał.

48

- Przed chwilą mieliśmy anonimowy telefon. Dziś rano ktoś widział, jak chłopiec, którego rysopis odpowiada Richardowi Erskine'owi, wsiadał do czerwonego hatchbacka.

Logan spojrział na siną stopę sterczącą ze śmieci. Informacja przyszła za późno, żeby uratować chłopca.

- Proszę mi dać znać, jak tylko patolog się zjawi.

- Dobrze, panie inspektorze.

Isobel MacAlister chyba przed chwilą zeszła z wybiegu dla modelek: długi płaszcz, ciemnozielony spodnium, kremowa bluzka z postawionym

kołnierzykiem, dyskretne kolczyki z perłami, artystycznie zmierzwione włosy - i kalosze o trzy numery za duże. Wyglądała tak pięknie, że aż bolało.

Weszła do namiotu i zamarła bez ruchu na widok Logana, który stał w kącie i ociekał wodą. Prawie się uśmiechnęła. Postawiła lekarską walizeczkę na worku na śmieci i od razu przeszła do rzeczy:

- Stwierdzono zgon?

Logan kiwnął głową. Miał nadzieję, że jego głos nie zdradzi, jak bardzo go poruszył jej widok.

- Wilson był tu pół godziny temu. Spoważniała.
- Przyjechałam najszybciej, jak mogłam. Mam jeszcze inne obowiązki. Logan się skrzywił. Podniósł ręce w obronnym geście.

- Niczego nie sugeruję. Po prostu wyjaśniam, kiedy stwierdzono zgon, to wszystko.

Serce waliło mu jak młotem, dudniło w uszach, zagłuszało deszcz. Isobel nie spuściła wzroku. Twarz miała nieprzeniknioną. Zimną.

- Rozumiem... - powiedziała w końcu, odwracając się do niego plecami.

Naciągnęła standardowy biały kombinezon na elegancki spodniom, przypięła mikrofon, wyrecytowała standardową formułkę - kto, kiedy i gdzie - i wzięła się do pracy.

- Ludzka noga, lewa, widoczna od kolana w dół, wystaje z worka na śmieci. Paluch został uszkodzony, najprawdopodobniej już po śmierci...

- Mewa go skubała - wyjaśniła Watson.

Odpowiedzią był chłodny uśmiech.

- Dziękuję. Na paluchu widać ślady zerwania dużego morskiego pta

ka. - Isobel dotknęła bladej, martwej skóry. Wydeła wargi i zaczęła obmacywać palce stopy, drugą ręką przyciskając kłęb palucha. - Musimy wyjąć zwłoki z worka, jeśli mam określić przybliżony czas zgonu.

49

Dała znak ludziom z ekipy kryminalistycznej, którzy na rozmięklej powierzchni wysypiska rozłożyli świeży arkusz folii. Przeciągnęli worek z nogą na folię. Billy pstrykał bez przerwy.

Isobel przykucnęła przy worku i rozcięła go jednym pociągnięciem skalpela. Śmieci posypały się na folię. Nagie ciało było zwinięte w kłębek i utrwalone w pozycji płodowej za pomocą brązowej taśmy klejącej. Loganowi mignęły blond włosy. Wzdrygnął się. Martwe dzieci wyglądały na mniejsze, niż to pamiętał.

Widoczna spod zwojów taśmy skóra miała delikatny, mleczny odcień bieli. Na ramionach rysowały się blade fioletowe plamy. Dziecko leżało w torbie do góry nogami i krew spłynęła w najniżej położone rejony ciała.

- Macie nazwisko? - spytała Isobel.
- Richard Erskine. Lat pięć.

Isobel spojrzała na Logana. W jednej ręce trzymała skalpel, w drugiej torebkę na dowody rzeczowe.

- Nie sędzę. To dziewczynka i miała trzy, może cztery lata. Logan zerknął na oklejone taśmą zwłoki.
- Jest pani pewna?

Isobel schowała skalpel. Wyprostowała się powoli i spojrzała na Logana jak na idiotę.

- Studia medyczne na uniwersytecie w Edynburgu straciły może dawną rangę, ale uczyli nas tam, jak odróżnić dziewczynkę od chłopca. Brak

penisa to ważna wskazówka.

Logan chciał zadać narzucające się pytanie, ale Isobel nie dała mu dojść do słowa.

- Nie, nie został odcięty jak u małego Reida. Nigdy go tam nie było.

- Podniosła walizeczkę. - Jeśli mam określić czas zgonu, muszę zrobić sekcję. - Skinęła na człowieka z ekipy, który rozwinął przed nią foliowy dywan. - Zapakujcie ją i przewieźcie do kostnicy. Tam się nią zajmę.

Odpowiedzią było ciche: „Dobrze, proszę pani”, i Isobel wyszła. Walizeczkę zabrała, ale chłód pozostał. Funkcjonariusz z biura identyfikacji odczekał, aż znajdzie się poza zasięgiem głosu, zanim mruknął:

- Zimna suka.

Logan wybiegł z namiotu. Dogonił ją, kiedy wsiadała do samochodu.

- Isobel? Isobel, zaczekaj.

Wycelowała kluczyki w stronę auta. Mrugnęły kierunkowskazy, otworzyła się pokrywa bagażnika.

- Coś więcej będę mogła powiedzieć dopiero w kostnicy. - Stanęła na jednej nodze, ściągnęła kalosz i wrzuciła go do wyłożonej folią skrzynki. Włożyła zamszowy but.

50

•O co ci chodzi?

•Nie rozumiem.

Zaczęła się mocować z drugim kaloszem, starając się nie zabrudzić eleganckich butów.

•Posłuchaj, tak czy inaczej będziemy pracować razem, prawda?

•Wiesz o tym. - Ściągnęła kombinezon, wcisnęła go do pudła z kaloszami. Zatrzasnęła bagażnik. - Ale to nie ja mam z tym problem.

-Isobel...

Jej głos ochłodził o jakieś dwadzieścia stopni:

- Specjalnie chciałeś mnie upokorzyć? Jak śmiesz kwestionować mój profesjonalizm?!

Gwałtownym szarpnięciem otworzyła drzwiczki wozu, usiadła za kierownicą i zatrzasnęła Loganowi drzwi przed nosem.

-Isobel...

Okno zjechało w dół. Isobel spojrzała na ociekającego wodą Logana.

-Co?

Nic nie przychodziło mu do głowy.

Zmarszczyła brwi. Przekręciła kluczyk, zawróciła na trzy na śliskiej drodze i z rykiem silnika zniknęła w ciemności. Logan odprowadził wzrokiem tylne światła samochodu, zaklął pod nosem i wrócił do namiotu.

Dziewczynka leżała tam, gdzie przedtem; ekipa była zbyt zajęta złowieniem pani patolog, żeby zająć się wykonaniem jej poleceń. Logan westchnął i przykucnął przy smutnym, oblepionym taśmą zawiniątku.

Twarzy nie było widać: taśma szczelnie oklejała całą główkę. Rączki dziecka były przyciśnięte do piersi, kolana podciągnięte pod brodę. Wyglądało jednak na to, że mordercy zabrakło taśmy, zanim solidnie unieruchomił nogi ofiary - to dlatego lewa stopa wystawała % worka i padła żerem mewy.

Wyjął telefon i zadzwonił do centrali, gdzie usłyszał, że nikt nie zgłosił zaginięcia małej dziewczynki. Znów zaklął półgłosem i wybrał numer Inscha, żeby przekazać mu złą wiadomość.

- Halo? Tak, tu sierżant McRae... Nie, panie inspektorze. - Wziął głę boki wdech. - To nie jest Richard Erskine.

Odpowiedziało mu długie, zdumione milczenie.

- Jest pan pewny?

Logan pokiwał głową, chociaż Insch nie mógł tego widzieć.

- Na sto procent. Tu mamy dziewczynkę, trzy, może cztery latka. Nikt nie zgłosił zaginięcia takiego dziecka.

Słuchawka bluznęła przekleństwami.

- To samo sobie pomyślałem, panie inspektorze.

51

Ludzie z ekipy pokazali mu na migi, że chcieliby już zabrać ciało do kostnicy. Skinął przyzwalająco głową. Mężczyzna, który nazwał Isobel zimną suką, wyjął komórkę i zadzwonił po dyżurny karawan. Nie wypadało przewozić zwłok w obskurnej furgonetce.

- Czy pana zdaniem coś łączy te dwa zgony? - W głosie Inscha nadzieja mieszała się ze zdenerwowaniem.
- Wątpię. - Logan patrzył, jak ludzie z ekipy przekładają drobne ciało do o wiele za dużego worka na zwłoki. - Ofiara jest dziewczynką, nie chłopcem. Inny był sposób pozbycia się zwłok: owinięto ją kilometrami taśmy do pakowania. Nie ma śladów duszenia. Na razie nie wiadomo, czy została wykorzystana seksualnie; musimy poczekać na sekcję zwłok. Insch znowu zaklął.

- Proszę im powiedzieć, że sekcja ma się odbyć jeszcze dzisiaj, jasne?

Nie chcę przez całą noc siedzieć na dupie i czekać, aż gazety wymyślą następny horror. Dzisiaj!

Logan się skrzywił; nie uśmiechała mu się perspektywa przekazywania Isobel tego polecenia. W takim nastroju jak teraz najchętniej zrobiłaby mu wiwisekcję.

- Każcie ją umyć i obfotografować. Przygotujcie plakaty: Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie.

-Tak jest.

Dwaj ludzie podnieśli worek i delikatnie przenieśli go w róg namiotu, po czym ostrożnie zaczęli zbierać śmieci wysypane z torby, w której znaleziono zwłoki; pakowali je, numerowali próbki, opisywali odpadki: skórki z bananów, butelki po winie, skorupki jaj... Mała nie zasłużyła nawet na najpłytszy grób. Po prostu wyrzucono ją na śmietnik.

Logan mówił właśnie Inschowi, że odezwie się, gdy tylko będzie miał coś nowego, kiedy posterunkowa Watson zawołała:

-Zaczekajcie!

Rzuciła się naprzód i ze sterty śmieci wygarnęła zmięty kawałek papieru.

Paragon ze sklepu.

Logan kazał Inschowi poczekać. Watson rozwinęła brudny papierek: pochodził z Tesco w Danestone i potwierdzał zakup pół tuzina wiejskich jaj, kartonu śmietanki, dwóch butelek cabernet sauvignon i opakowania awokado. Zapłacono gotówką.

- Szlag by to... - mruknęła Watson, oddając rachunek Loganowi. - Miałam nadzieję, że zapłacił kartą.
- Za dużo byśmy mieli szczęścia.

Logan obracał świstek w dłoniach. Jajka, wino, ekskluzywna śmietanka, awokado... Jego uwagę zwrócił napis na samym dole. Uśmiechnął się.

52

- Co się stało? - spytała zdenerwowana Watson. - Co w tym śmiesznego?

Rozpromieniony Logan pomachał jej paragonem.

-Panie inspektorze... - powiedział do słuchawki. - Posterunkowa Watson znalazła w torbie ze zwłokami rachunek ze sklepu... Nie, gotówką. - Gdyby Logan uśmiechnął się jeszcze szerzej, chyba górna połowa czaszki by mu odpadła. - Ale zbiera punkty premiowe na karcie klubowej.

O tej porze przez South Anderson Drive jechało się tragicznie - ale na North Anderson Drive było jeszcze gorzej: przez całe miasto ciągnął nieprzerwany sznur samochodów. Godziny szczytu.

Prokurator w końcu dotarł na miejsce zbrodni, wysłuchał raportu z przebiegu śledztwa, poskarżył się, że to już drugie martwe dziecko w ciągu dwóch dni (wyglądało na to, że to wina Logana) i czym prędzej zniknął. Logan odczekał, aż usiądą z Watson w przytulnym, zaparowanym samochodzie, zanim wyraził głośno i dosadnie, co by zrobił prokuratorowi, gdyby miał do dyspozycji kaktus i tubkę maści rozgrzewającej.

Z wysypiska do Tesco jechali ponad godzinę. Sklep miał rewelacyjną lokalizację: niedaleko Donu, nieopodal starej oczyszczalni ścieków, blisko cmentarza Grove i ubojni kurcząt. W pobliżu znaleziono zwłoki Davida Reida.

Ruch był spory: wszyscy urzędnicy z pobliskiego kompleksu przemysłowego kupowali alkohol i gotowe posiłki do odgrzania w mikrofalówce na kolejny wieczór przed telewizorem.

Tuż przy wejściu mieściło się biuro obsługi klienta, w którym zastali młodego mężczyznę z długim blond kucykiem. Logan kazał mu zawołać kierownika. Dwie minuty później zjawił się niski, łysawy człowieczek w wąskich okularach. Miał na sobie taką samą granatową bluzę jak wszyscy członkowie personelu i tylko plakietka na piersi stwierdzała „Colin Branagan, kierownik”.

- Słucham, w czym mogę państwu pomóc?

Logan pokazał mu swoją odznakę.

- Panie Branagan, interesuje nas jeden z pańskich klientów. W środę robił tu zakupy. - Wyciągnął zafoliowany paragon. - Zapłacił gotówką, ale zbiera punkty premiowe. Czy mając numer karty, możecie nam państwo podać jego nazwisko i adres?

Kierownik wziął rachunek do ręki. Przygryzł wargę.

-No nie wiem... Rozumie pan, obowiązuje nas ustawa o ochronie danych osobowych. Nie mogę tak po prostu rozdawać informacji o klientach na prawo i lewo. Pozwaliby nas do sądu. - Wzruszył ramionami. - Przykro mi.

Logan zniżył głos prawie do szeptu:

- To ważne, panie Branagan. Prowadzimy śledztwo w niezwykle poważnej sprawie.

Branagan przetarł łysinę ręką.

- Nie wiem... Musiałbym zapytać w centrali...
- Bardzo proszę.

Centrala odpowiedziała, że z przykrością musi odmówić; jeżeli Logan chce uzyskać dostęp do danych osobowych klientów sklepu, musi złożyć oficjalną prośbę na piśmie albo przedstawić nakaz sądowy. Od Ustawy o ochronie danych osobowych nie można robić wyjątków.

Logan powiedział centrali o zwłokach dziewczynki w worku ze śmieciami.

Centrala zmieniła zdanie.

Pięć minut później Logan wyszedł ze sklepu, trzymając w rękach kartkę formatu A4, na której wydrukowano nazwisko i adres właściciela karty oraz

łączną liczbę punktów premiowych, jakie zgromadził od września.

8

Norman Chalmers mieszkał w ciasnej, dwupiętrowej czynszówce przy Rosemount Place. Długa jednokierunkowa ulica wykręcała w tym miejscu w prawo, a szare, brudne budynki garbiły się nad nią tnąc niebo na kawałki, aż został z niego tylko wąski pasek wściekłych chmur, zabarwionych na pomarańczowo przez uliczne latarnie. Przy krawężniku jeden przy drugim stały zaparkowane samochody. Ich sznur przerywały tylko masywne komunalne kontenery na śmieci, skute łańcuchami w pary. Każdy z nich mógł pomieścić tygodniowy zapas odpadków z sześciu mieszkań.

Nieustanny deszcz łomotał o dach samochodu. Posterunkowa Watson robiła już kolejną rundkę wokół kwartału bloków, szukając miejsca do zaparkowania, i klęła pod nosem jak szewc. Logan - udając, że jej nie słyszy - patrzył przez okno na mijany po raz trzeci budynek. Czynszówka pod numerem 17 niczym się nie różniła od sąsiednich: trzy kondygnacje szarych granitowych bloków, oznaczone zaciekami rdzy z niszczących rynien. Światło sączyło się zza zasuniętych firanek, stłumiony dźwięk telewizorów ledwie przebijał się przez szum ulewy.

Za czwartym razem Logan poradził Watson, żeby dała sobie spokój z szukaniem miejsca i przyblokowała któryś z samochodów pod domem Chalmersa.

54

Zatrzymali się. Posterunkowa wyskoczyła z wozu i przebiegła między dwoma samochodami przy krawężniku; krople deszczu odbijały się jej od

szpiczastej czapki. Logan ruszył za nią, mamrocząc wściekle pod nosem, gdy wdepnął po kostkę w kałużę. W mlaskających wilgocią butach podszedł do drzwi wejściowych: ciemnobrązowej, całkiem nijakiej bryły drewna pod ozdobnym architrawem, tak grubo jednak pokrytym nagromadzonymi przez lata warstwami farby, że niewiele detali pozostało do podziwiania. Z lewej strony na chodnik lała się struga wody z rynny złamanej w połowie wysokości.

Watson wcisnęła przycisk nadawania w krótkofalówce. Dał się słyszeć szum zakłóceń.

- Wszyscy gotowi?
- Zgłaszam się. Wejście zabezpieczone.

Logan podniósł wzrok. Wóz B-71 stał na zakręcie uliczki. B-81 też potwierdził gotowość: obserwowali drugi koniec ulicy, aby mieć pewność, że nikt się tamtędy nie wymknie. Posterunek w Bucksburn wypożyczył Loganowi dwa radiowozy i paru znających okolice funkcjonariuszy. Tym w samochodach trafiła się lepsza fucha niż pieszym.

- Gotowy.

Głos brzmiał żałośnie - z pewnością posterunkowi Milligan albo Barnett, którzy tym razem wyciągnęli krótszą słomkę. Ogródki na tyłach kamienic były od następnej ulicy oddzielone murem, na który nieszczęśnicy musieli się wdrapać, żeby obserwować dom od tyłu. Po ciemku, w błocie i marznącym deszczu.

- Gotowy.

Watson spojrzała wyczekująco na Logana.

Nie było domofonu. Po obu stronach drzwi znajdowały się po trzy guziki dzwonków, schlapane tą samą brązową farbą, którą pomalowano

drzwi. Pod przyciskami kryły się karteczki z nazwiskami mieszkańców: „Norman Chalmers” wypisano niebieskim długopisem na wybrzuszonej tekturce, umocowanej przyklepcem na poprzedniej wizytówce. Drugie piętro, prawe drzwi. Logan cofnął się i spojrzał na fasadę domu. W mieszkaniu paliło się światło.

- W porządku.

Nacisnął środkowy guzik, opatrzony podpisem „Anderson”. Dwie minuty później drzwi otworzył zdenerwowany mężczyzna pod trzydziestkę. Miał gęstą grzywę włosów, toporne rysy i ogromny siniak na kości policzkowej. Nie przebrał się jeszcze po pracy: nosił żółtą koszulę i tani szary garnitur z wyświeconymi na kolanach spodniami. Cały wydawał się wymięty. Na widok munduru posterunkowej Watson zbladł.

- Pan Anderson? - zapytał Logan, na wszelki wypadek wsuwając stopę w półotwarte drzwi.

-Eee... tak, słucham? - Mężczyzna miał silny edynburski akcent. - O co chodzi?

Cofnął się w głąb sieni. Wytarte podeszwy skrzypnęły na kremowo--brązowej terakocie.

Logan uśmiechnął się uspokajająco.

- O nic, czym musiałby się pan martwić. - Przeszedł przez próg. - Chcieliśmy porozmawiać z jednym z pańskich sąsiadów, ale chyba dzwonek u niego nie działa - skłamał.

Anderson uśmiechnął się niepewnie.

-Aha... Rozumiem.

Logan przyjrzał mu się bacznie.

- Proszę wybaczyć, że się wtrącam, ale nabił pan sobie paskudnego

siniaka.

Anderson odruchowo dotknął sinozielonej opuchlizny.

-Ja... Wpadłem na kant drzwi - odparł, nie patrząc Loganowi w oczy.

Razem weszli po schodach i podziękowali za pomoc panu Andersonowi, który wrócił do swojego mieszkania na parterze.

- Straszny nerwus - zauważyła Watson, kiedy szczęknął zatrzask, trzasnął zamek i zagrzehotał zakładany łańcuch. - Myśli pan, że ma coś na sumieniu?

Logan pokiwał głową.

- Każdy ma coś na sumieniu. A ten siniak? Wpadł na drzwi, akurat.

Ktoś mu zdrowo przyłożył.

Watson spojrzała na drzwi.

- I co, bał się to zgłosić?
- Pewnie tak. Ale to nie nasza sprawa.

Wytarty dywan na schodach skończył się na pierwszym piętrze - dalej były już tylko gołe deski, które skrzypiały i pojękiwały pod stopami. Na drugim piętrze znajdowało się troje drzwi: jedne musiały prowadzić na wspólny strych, pozostałe dwa do mieszkań, z których jedno należało do Normana Chalmersa.

Na ciemnoniebieskich drzwiach, pod wizjerem, wisiała mosiężna szóstka. Watson stanęła przy ścianie obok drzwi, żeby nie było jej widać ze środka. Logan zastukał lekko - tak jak mógłby to uczynić nieśmiały sąsiad z dołu, który przyszedł pożyczyć filiżankę śmietanki albo jedno awokado.

Coś skrzypnęło, telewizor zabrzmiał głośniejsze, szczęknęła otwierana zasuwka i klucz przekręcany w zamku. W progu stanął mężczyzna po

trzydziestce, z długimi włosami, krzywym nosem i równo przystrzyżoną brodą.

-Tak...?

Więcej nie zdążył powiedzieć, bo posterunkowa skoczyła jak tygrys, chwyciła go za rękę i wykręciła ją w sposób zgoła nieprzewidziany przez matkę naturę.

-Oco... Ej!

Watson popchnęła go w głąb mieszkania.

-Aaa! Złamię mi pani rękę!

Posterunkowa wyjęła kajdanki.

-Norman Chalmers? - spytała, zakładając mu je na przeguby dłoni.

- Ja nic nie zrobiłem!

Logan wszedł do środka, przeciskając się obok Watson i wijącego się w jej uścisku aresztanta, i zamknął za sobą drzwi. Przedpokój był malutki.

Wchodziło się z niego albo bezpośrednio do mikroskopijnej kuchenki, albo - przez jedno z trojga pozostałych drzwi - w głąb mieszkania. Oczy aż bolały od jaskrawych farb na ścianach.

-Panie Chalmers... - zaczął Logan, otwierając na chybił trafił pierwsze z brzegu drzwi. Prowadziły, jak się okazało, do pomalowanej na intensywnie zielony kolor łazienki. - Może siądziemy sobie i porozmawiamy?

Za następnymi drzwiami znajdował się duży pomarańczowy salon z obitą brązowym sztruksem sofą, repliką gazowego oświetlenia, systemem kina domowego i komputerem. Sporą połać ścian zajmowały plakaty filmowe i olbrzymi regał z płytami DVD.

-Urocze gniazdko, panie Chalmers... A może po prostu Norman? Mogę tak do pana mówić?

Logan rozsiadł się na paskudnej sofie - i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że jest pokryta kocim włosiem. Chalmers nie ukrywał rozdrażnienia. Ręce miał skute za plecami, posterunkowa Watson cały czas go przytrzymywała.

- O co chodzi, do ciężkiej cholery?!

Drapieżny uśmiech Logana przywodził na myśl rekina.

- Po kolei. Pani posterunkowa, zechce pani zapoznać pana Chalmersa z przysługującymi mu prawami?
- Chcecie mnie aresztować? Za co? Nic nie zrobiłem!
- Proszę nie krzyczeć, nie ma potrzeby. Posterunkowa...
 - Normanie Chalmers, zostaje pan zatrzymany pod zarzutem zamordowania niezidentyfikowanej dziewczynki.
- Co takiego?!

57

Chalmers szarpał się w kajdankach, słuchając dalszego ciągu, i cały czas krzyczał, że nic nie zrobił, nikogo nie zabił, zaszła pomyłka. Logan odczekał, aż się zmęczy, zanim podsunął mu pod nos plik opatrzonych stosownymi pieczęciami i podpisami dokumentów.

- To jest nakaz rewizji. Byłeś nieostrożny, Normanie. Znaleźliśmy zwłoki.

- Ja nic nie zrobiłem!
- Trzeba było wziąć świeży worek. A ty co? Zabiłeś ją i wyrzuciłeś razem z resztą śmieci. Nie sprawdziłeś, czy w torbie nie ma czegoś, co mogłoby cię zdradzić. - Logan pokazał zafoliowany paragon sklepowy.
 - Awokado, cabernet sauvignon, śmietanka, pół tuzina wiejskich jaj. Masz kartę klubową?

- To jakiś obłąd! Nikogo nie zabiłem!

Posterunkowa Watson dostrzegła wybrzuszenie w tylnej kieszeni Chalmer-sa: portfel. W portfelu, między Visą kartą miejscowej wypożyczalni wideo, tkwiła karta klubowa Tesco. Jej numer zgadzał się z numerem na rachunku.

- Proszę się ubrać, panie Chalmers. Przejedziemy się.

W pokoju przesłuchań numer 3 panowało nieznośne gorąco. Kaloryfer bezlitośnie pompował ciepło w ciasną, beżową przestrzeń, a Logan nie umiał go wyłączyć. Nie dało się nawet otworzyć okna - musieli więc znosić upał i zaduch.

Obecni: sierżant Logan McRae, posterunkowa Watson, Norman Chalmers, inspektor Inch.

Inspektor nie odezwał się ani słowem, odkąd wszedł do pokoju: stał z tyłu, oparty o ścianę, i pochłaniał ogromne ilości lukrecyjnych ciasteczek. Pocił się.

Pan Chalmers doszedł do wniosku, że nie będzie współpracował z policją.

- Powtarzam: nie powiem ani słowa, dopóki nie sprowadzicie mojego adwokata.

Logan westchnął. Już to przerabiali. Wielokrotnie.

- Nie zobaczysz się z adwokatem, dopóki nie zakończymy przesłuchania.
- Żądam adwokata! I to już!

Logan zacisnął zęby, zamknął oczy i policzył w duchu do dziesięciu.

-Normanie... - Postukał aktami o blat. - Nasi ludzie przeszukują w tej chwili twoje mieszkanie. Szukają śladów po dziewczynce i znajdą je, dobrze o tym wiesz. Ale jeśli zgodzisz się z nami już teraz porozmawiać, w sądzie będzie to wyglądało o wiele lepiej.

Norman Chalmers gapił się w przestrzeń.

- Chcemy ci pomóc, ale i ty musisz nam pomóc. Mała dziewczynka nie żyje...

- Coś pan, kurwa, głuchy?! Chcę adwokata! - Chalmers założył ręce na piersi i rozparł się na krześle. - Znam swoje prawa.

- Swoje prawa?
- Mam prawo do adwokata. Nie możecie mnie przesłuchiwać bez prawnika!

Na jego twarzy zagościł pewny siebie uśmiech.

Inspektor Insch prychnął, a Logan omal nie parsknął śmiechem.

- Skądże. Jesteśmy w Szkocji. Zobacysz się z adwokatem, ale dopiero kiedy z tobą skończymy. Nie wcześniej.
- Żądam adwokata!
- Na litość boską!

Logan rzucił dokumenty na stół. Zawartość teczek rozsypała się po blacie, w tym zdjęcie dziecka owiniętego taśmą do pakowania. Chalmers nawet na nie nie spojrzał. W końcu w małym pomieszczeniu zadudnił basowy głos Inscha:

- Sprowadźcie mu adwokata.
- Słucham? - Logan nie ukrywał zdziwienia.
- Słyszał pan. Sprowadźcie mu adwokata.

Minęło czterdzieści pięć minut, a oni nadal czekali.

Insch wsunął do ust następne kolorowe ciasteczko i zaczął głośno żuć.

- On to robi celowo. Gnojek zasrany, chce nas zdenerwować.

Drzwi się otworzyły - w samą porę, żeby ten, kto wchodził do pokoju, usłyszał uwagę inspektora.

- Słucham? - zapytał gość z nieskrywaną dezaprobatą w głosie.

Przyjechał prawnik Normana Chalmersa.

Logan zerknął na niego i omal nie zawył z rozpaczy. Wysoki, szczupły mężczyzna w eleganckim płaszczu, drogim czarnym garniturze, białej koszuli i niebieskim jedwabnym krawacie miał zatroskaną minę i więcej siwych włosów, niż kiedy poprzednio się widzieli, ale jego uśmiech wciąż tak samo działał Loganowi na nerwy. Tak samo jak wtedy, kiedy adwokat przesłuchiwał go, próbując dowieść, że zmyślił całą sprawę. Że to Angus Robertson, Potwór z Mastrick, jest prawdziwą ofiarą.

- Bez obawy, panie Moir-Farquharson - powiedział Inch, wymawiając nazwisko adwokata zgodnie z pisownią: Far-kuar-son, zamiast tradycyjnego Fakerson. Wiedział, że rozdrażni to Farquharsona. - Miałem na myśli innego gnojka. Miło, że pan wpadł.

59

Adwokat z westchnieniem rzucił płaszcz na oparcie jedyne wolnego krzesła.

- Mam nadzieję, że nie musimy przechodzić przez to wszystko od początku, panie inspektorze.

Wyciągnął z aktówki cienki, srebrny laptop. Pomruk twardego dysku, kiedy uruchomił komputer, był ledwie słyszalny.

- Co ma pan na myśli, panie Far-kuar-son?

Adwokat zmarszczył brwi.

- Dobrze pan wie. Jestem tu po to, żeby reprezentować mojego klienta, a nie wysłuchiwać pańskich obelg. Niech mnie pan nie zmusza, żebym

znów poskarżył się komendantowi na pańskie zachowanie.

Insch spochmurniał, ale nie odpowiedział.

- Co my tu mamy... - Moir-Farquharson postukał w klawiaturę. - Kopia zarzutów. Chciałbym się naradzić z moim klientem na osobności, zanim wydamy oficjalne oświadczenie.
- Taa? - Insch odkleił się od ściany, oparł pięści na blacie stołu i zawisł groźnie nad Chalmersem. - A my chcielibyśmy zapytać pańskiego „klienta”, dlaczego zamordował czteroletnie dziecko i wyrzucił jego zwłoki na śmietnik!

Chalmers zerwał się z miejsca.

- Nie zrobiłem tego! Dlaczego mnie nie słuchacie?! Nic nie zrobiłem!

Sandy Moir-Farquharson położył mu dłoń na ramieniu.

- W porządku, nie musi się pan tłumaczyć. Proszę usiąść. Ja będę mówił za pana, dobrze?

Chalmers spojrzał na niego, kiwnął głową i osunął się na krzesło. Insch ani drgnął.

- Panie inspektorze, powtórzę to, co powiedziałem przed chwilą: chcę porozmawiać z moim klientem bez świadków. Potem pomożemy panom w śledztwie.
- To tak nie działa. - Insch zmarszczył brwi. - Nie ma pan prawa kontaktować się z tym gnojkiem. Zaprosiliśmy pana wyłącznie przez grzeczność. - Nachylił się nad stołem tak bardzo, że prawie dotknęli się nosami.
- Ja tu rządę, nie pan.

Moir-Farquharson uśmiechnął się. Nie tracił zimnej krwi.

- Panie inspektorze - zaczął pojednawczo. - Doskonale znam zawilości szkockiego prawa. Proszę jednak, aby w geście dobrej woli pozwolił mi

pan porozmawiać z klientem w cztery oczy.

-A jeśli się nie zgodzę?

-To będziemy tu siedzieć do wieczora. Albo do czasu, aż upłynie sześć godzin, bo na tyle wolno wam aresztować podejrzanego. Decyzja należy do pana.

60

Insch spojrział na niego wilkiem, schował ciasteczka do kieszeni i wyszedł z pokoju, zabierając ze sobą Logana i posterunkową. Na korytarzu było znacznie chłodniej, za to powietrze aż zgęstniało od inwektyw. Kiedy Insch skończył przeklinać adwokata, kazał posterunkowej Watson pilnować drzwi, żeby ani aresztowany, ani jego prawnik nie wymknęli się cichcem.

Nie była zachwycona, bo zadanie przypadło jej niezbyt chwalebne - ale takie właśnie polecenia wykonują posterunkowi. Kiedy zostanie inspektorem, sama będzie rozstawiać krawężników po kątach.

- Jeszcze jedno, posterunkową... - Insch nachylił się nad nią i ciągnął konspiracyjnym szeptem: - Świetnie się pani dziś spisała. Mówię o tym paragonie. Wspomnę o tym, komu trzeba.

Watson uśmiechnęła się szeroko.

- Dziękuję, panie inspektorze.

Logan z inspektorem poszli do pokoju operacyjnego.

- Dlaczego to musiał być właśnie on? - Insch zaparkował na skraju biurka. - Za dwadzieścia minut mam próbę kostiumową! - Westchnął ciężko: było oczywiste, że nie zdąży. - Teraz to już na pewno gównu wyciągniemy z Chalmersa. Boże, chroń nas przed nawiedzonymi prawnikami!

Sandy Moir-Farquharson cieszył się ogromną sławą. W całym mieście próżno by szukać drugiego obrońcy, który mógłby się z nim równać. Był

najlepszym adwokatem, z uprawnieniami do występowania w sądach wszystkich instancji. Od lat prokuratura usiłowała przeciągnąć go na swoją stronę, przekonać do roli oskarżyciela, dzięki któremu przestępcy trafialiby do więzień, zamiast wychodzić na wolność. Ale drań nie chciał o tym słyszeć. Miał do wykonania misję: chronił ludzkość przed błędami wymiaru sprawiedliwości. Bronił niewinnych. I przy każdej nadarzającej się sposobności brylował w telewizji. Był prawdziwą zmorą dla policji.

Ale w głębi ducha Logan wiedział, że gdyby sam wpadł kiedyś w tarapaty, chciałby, żeby bronił go właśnie Moir-Farquharson.

- Dlaczego zgodził się pan przerwać przesłuchanie, kiedy Wąż o to poprosił?

Insch wzruszył ramionami.

- I tak nic byśmy z Chalmersa nie wydusili. A teraz, jeśli Wąż coś wymyśli, przynajmniej się pośmiejemy.

- Myślałem, że jest zajęty bronieniem naszego ulubionego gwałciciela, Geralda Cleavera.

Insch znów wzruszył ramionami i wygrzebał z kieszeni torebkę z ciasteczkami.

- Zna go pan. Tamtą sprawę pociągnie jeszcze tydzień, najwyżej dzień dni. Szuka czegoś nowego, żeby znów zabłysnąć przed kamerami.

61

Poczęstował Logana, który wybrał sobie kokosowy krążek z lukrecjowym środkiem.

- Coś tam na pewno znajdziemy - stwierdził sierżant. - Dziewczynka musiała być u niego w mieszkaniu. W worku były resztki jedzenia, butelki po winie; niemożliwe, żeby wsadził ją do środka gdzie indziej niż w do

mu.. . Chyba że ma jeszcze jeden lokal, w którym też je i pije.

Insch chrząknął, wkładając rękę w głąb torby.

- Może faktycznie ma jeszcze jakieś mieszkanie. Albo dom. Rano trzeba to będzie sprawdzić, tak na wszelki wypadek. - Znalazł w końcu to, czego szukał: anyżkowe kóleczo z niebieskimi grudkami. Wepchnął je sobie do ust. - Proszę posłuchać: sekcja zwłok jest zaplanowana na za piętnaście ósma, dziś wieczorem. - Spuścił wzrok. - Myślałem, że może mógłby pan...

- Mam tam być?

- To moja rola, bo to ja prowadzę śledztwo, ale... Gdyby to...

Insch sam miał córeczkę mniej więcej w wieku ofiary. Widok krojonej na kawałki czterolatki byłby dla niego wyjątkowo przykry. Co nie zmieniało faktu, że Logan wcale nie palił się do zastępstwa - zwłaszcza gdyby to doktor MacAlister miała przeprowadzać sekcję.

- Pojadę - powiedział w końcu, tłumiąc westchnienie. - Jako prowadzący śledztwo i tak powinien pan przesłuchać Chalmersa...

- Dziękuję.

W dowód wdzięczności inspektor wręczył Loganowi ostatnie ciasteczko.

Logan zjechał windą do kostnicy, modląc się w duchu, żeby tego dnia Isobel miała wolne. Przy odrobinie szczęścia sekcję przeprowadzi któryś z jej zastępców - ale sądząc po ostatnim braku fartu, mocno w to wątpił.

W prosektorium było nienaturalnie jasno i przewiewnie jak na tak późną porę; blask lamp raził oczy, odbity od stalowych blatów i drzwiczek chłodni. Temperatura była niewiele wyższa niż na dworze. Szczodra dawka środka dezynfekującego prawie zamaskowała odór rozkładu, unoszący się w powietrzu po porannej sekcji. Zapach Davida Reida.

Przyjechał w samą porę, żeby zobaczyć, jak pracownicy kostnicy wyladowują dziewczynkę z za dużego worka na zwłoki. Nadal była owinięta przyklepcem, tyle że posypano go drobniutkim proszkiem pozwalającym zdjąć odciski palców.

Westchnął ciężko. Po drugiej stronie metalowego stołu stała Isobel we własnej osobie, dyrygując układaniem małych zwłok na blacie. Miała na sobie kompletny strój chirurga; czerwony gumowy fartuch był jeszcze

62

czysty, bez śladów krwi. Prokurator i drugi patolog również byli na swoich miejscach, ubrani w kombinezony. Isobel opisywała im wysypisko, na którym znaleziono zwłoki.

Kiedy podniosła wzrok na Logana, bezbarwne gogle nie mogły ukryć rozdrażnienia w jej spojrzeniu. Ściągnęła z ust chirurgiczną maseczkę.

- Wydawało mi się, że to inspektor Insch prowadzi to śledztwo - zauważyła. - Gdzie tym razem się podziewa?
- Przesłuchuje podejrzanego.

Isobel naciągnęła maskę, mamrocząc z dezaprobatą.

- Najpierw nie przychodzi na autopsję Reida, teraz też nie ma czasu...

Ale co mnie to właściwie obchodzi...

Zawiesiła głos, włączyła mikrofon i wyrecytowała wymaganą przez procedury formułę wstępną. Prokurator posłał Loganowi niechętnie spojrzenie; najwyraźniej podzielał niezadowolenie pani patolog.

Ostry brzęczyk telefonu Logana przerwał Isobel, która właśnie wymieniała świadków sekcji. Spojrzała na niego spode łba.

- Na moich sekcjach obowiązuje zakaz używania telefonów komórkowych!

Przepraszając wylewnie, Logan wyciągnął telefon z kieszeni i wyłączył go. Jeśli to coś ważnego, zadzwonią jeszcze raz.

Wściekła jak osa Isobel zakończyła wstęp, wzięła do ręki lśniące stalowe nożyce i zaczęła po kawałku odcinać przyłepiec, na bieżąco opisując stan zwłok.

Dziewczynka była naga.

Kiedy Isobel próbowała odsłonić jej głowę, omal nie wyrwała przy tym sporej kępy włosów. Rozcieńczyła klej acetonem. Ostry zapach przebił się przez wypełniającą prosektorium antyseptyczną woń i przenikający ją smród zgnilizny. Należało się cieszyć, że te zwłoki nie przeleżały trzech miesięcy w rowie.

Isobel odłożyła nożyce na tacę. Asystent zaczął pakować kawałki przylepca do numerowanych plastikowych torebek. Dziewczynka leżała na stole, nadal skulona jak płód. Isobel pomału rozruszała jej stawy, aż udało się ułożyć zwłoki na wznak. Teraz dziecko wyglądało, jakby spało.

Czteroletnia blondyneczka, grubiotka, z mnóstwem siniaków na ramionach i udach; ciemne krwiaki wyraźnie odcinały się od woskowej skóry.

Policyjny fotograf, którego Logan widział pierwszy raz w życiu, dokumentował kolejne etapy pracy pani patolog.

- Będzie mi potrzebny ładny portret - poprosił Logan.

Fotograf skinął głową i pochylił się nad zimną, martwą buzią. Błysk, trrr. Błysk, trrr.

63

- Głębokie nacięcie biegnące od lewego barku w dół ramienia, najprawdopodobniej... - Isobel pociągnęła za rączkę dziecka, rozchylając krawędzie rany. - Tak, sięga aż do kości. - Szturchnęła brzegi rany palcem

w rękawiczce. - Rana zadana pośmiertnie. Jedno cięcie ostrym, płaskim ostrzem, być może tasakiem. - Pochyliła się nad rozcięciem, niemal przy ciskając twarz do zwłok. Pociągnęła nosem. - Wyrażna woń wymiocin w okolicy rany... - Wyciągnęła rękę. - Szczypce.

Asystent podał jej narzędzie. Pogrzebała nim w ranie i wyciągnęła ze środka coś w rodzaju kawałka szarej chrząstki.

- W ranie znajdują się resztki na wpół strawionego pożywienia.

Logan bardzo się starał nie wyobrazić sobie tamtej sceny. Na próżno. Westchnął.

- Próbował ją poćwiartować. Żeby pozbyć się ciała.

- Skąd ten pomysł? - zdziwiła się Isobel, z jedną ręką opartą lekko o pierś dziecka.

- Gazety nieustannie trąbią o poćwiartowanych zwłokach. Chcąc się pozbyć dowodu zbrodni, postanowił pociąć ciało na kawałki. Tylko że to nie takie proste, jak by się mogło wydawać. Nawet na dobre nie zaczął i już zrobiło mu się niedobrze - tłumaczył beznamietnie Logan. - Dlatego owinał ją taśmą klejącą, wsadził do worka na śmieci i wystawił przed bramę, żeby śmieciarze ją zabrali.

W Londynie nazwano by ich specjalistami do spraw utylizacji odpadów, ale w Aberdeen byli po prostu śmieciarzami. Prokurator pokiwał głową.

- Pięknie. Może pan mieć rację. - Spojrzał na Briana, asystenta Isobel, który pracowicie pakował kawałki chrząstek do plastikowej probówki.

- Proszę zrobić analizę DNA.

Isobel nie zwracała na nich uwagi. Otworzyła dziecku usta, przycisnęła język szpatułką- i cofnęła się odruchowo.

- Wypiła jakiś środek czyszczący, i to całkiem sporo, sądząc po stanie

jamy ustnej. Na skórze i zębach są ślady jak po żrącym wybielaczu. Dowiemy się więcej, kiedy zbadamy treść żołądka. - Jedną ręką przymknęła usta dziewczynki, drugą podłożyła jej pod głowę. — Można? - skinęła na fotografa. - Proszę to pstryknąć. - Przesunęła palce, wodząc nimi po nasadzie czaszki. - Z tyłu głowy ślad po silnym uderzeniu. Nie było to tępe narzędzie, ale coś szerokiego, zwężającego się, z czubkiem.

- Kant stołu? - podsunął Logan. Coraz mniej mu się to podobało.
- Nie. Coś ostrego i twardego jak narożnik kominka. Albo cegła.
- Czy to uderzenie było przyczyną śmierci?

64

- Jeśli nie zabiło jej wypicie bielinki... Za wcześnie na wnioski. Muszę otworzyć czaszkę.

Na wózku obok stołu leżała piła do kości. Logan nie chciał patrzeć, co będzie dalej.

A żeby tak szlag trafił tego pieprzonego Inscha i jego córeczkę! To on, nie Logan, powinien tu teraz stać i patrzeć, jak Isobel kroi czteroletnią dziewczynkę na kawałki.

Isobel zatoczyła skalpelem łuk od jednego ucha dziecka do drugiego, nacinając skórę na całej długości. Z kamienną twarzą wcisnęła palce pod skórę i ściągnęła skalp jak skarpetkę. Logan zamknął oczy, usiłując nie słyszeć dźwięku, jaki wydawała oddzielana od ciała skóra. Jakby ktoś przełamał na pół sałatę.

Czaszka została odsłonięta.

Od jazgotu piły bolały zęby. W wyłożonym kafelkami wnętrzu niósł się donośnym echem. Loganowi żołądek podszedł do gardła.

A Isobel przez cały czas relacjonowała swoje posunięcia - bezbarwnym, wypranym z emocji głosem. W tej chwili cieszył się, że już nie są razem. Nie dałby się jej dotknąć tej nocy. Po czymś takim.

9

Logan stał pod betonowym okapem przy wejściu do komendy głównej policji i wodził wzrokiem po pobliskich smętnych domach. Zanosilo się na kolejną deszczową noc i tutaj, na skraju miasta, na pustych ulicach panował wieczorny, senny spokój. Sklepy pozamykano już parę godzin wcześniej, ci, którzy chcieli się napić, pochowali się w pubach, gdzie będą siedzieć aż do zamknięcia. Tłum przed sądem rozproszył się i zbierze się ponownie dopiero rano.

W komendzie też zrobiło się cicho. Ludzie z dziennej zmiany dawno skończyli pracę: jedni poszli na piwo, inni tonęli właśnie w ramionach ukochanych - niekoniecznie swoich własnych, jak w wypadku inspektor Steel. Zmiana wieczorna była najedzona i senna po obfitym obiedzie i próbowała siłą rozpędu przetrwać ostatnie trzy godziny dzielące ją od północy i końca dnia. Nocny dyżur zaczynał się dopiero za godzinę.

Powietrze było zimne, czyste, z ledwie wyczuwalnym śladem spalin - co znacznie bardziej mu odpowiadało niż smród przypalanej kości. Już nigdy więcej nie chce oglądać wnętrza dziecięcej czaszki. Skrzywił się,

65

pstryknięciem zdjął pokrywkę fiolki i łyknął następny proszek przeciwbólowy. Brzuch wciąż miał obolały po uderzeniu Reida.

Ostatni raz zaciągnął się świeżym powietrzem, zadygotał i wszedł do

maleńkiej recepcji. Sierżant dyżurny spojrział na niego podejrzliwie - a po chwili rozpromienił się w uśmiechu rozpoznania.

- Logan McRae! Jak Boga kocham! Mówili, że pan wrócił.

Logan wyteżył pamięć, usiłując przypisać jakieś nazwisko do mężczyzny w średnim wieku, z sumiastym wąsem i powiększającą się raptownie łysiną. Bez skutku.

Sierżant dyżurny odwrócił się i zawołał:

- Gary? Gary, chodź zobaczyć, kto przyszedł!

Inny mężczyzna, otyły, w źle dopasowanym mundurze, wychylił się zza lustrzanego przepierzenia. W jednej ręce trzymał okazały kubek z herbatą, w drugiej - karmelowy wafelek.

-Co jest?

- Patrz! - Wąsacz wskazał Logana. - To on.

Logan uśmiechnął się niepewnie. Co to za goście, do licha? I nagle coś zaskoczyło.

- Erie! Nie poznałem cię. - Spojrział na łysinę sięgającą wysoko ponad okulary sierżanta. - Ludzie, co wam się stało z włosami? Widziałem dziś Billy'ego: jest łysy jak kolano!

Erie przeczesał palcami rzednące loki i wzruszył ramionami.

- To oznaka męskości. Poza tym spójrz na siebie: jak ty wyglądasz? Duży Gary wyszczerzył zęby w uśmiechu; drobinki czekolady z wafelka sypały mu się na pierś niczym brudny łupież.

- Sierżant Logan McRae zmartwychwstał! Erie pokiwał głową.
- Zmartwychwstał, jak nic. Gary upił łyk herbaty.

- Przypominasz mi tego gościa, który wstał z martwych. Jak on się nazywał? W Biblii o nim pisali...

- Jezus? - podsunął Erie.

Duży Gary klepnął go otwartą dłonią w potylicę. -Nie chrzań, Jezusa bym pamiętał. Taki drugi był, trędowaty, czy coś... No i go, rozumiesz, wskrzesili.

- Łazarz? - zasugerował Logan, wycofując się pomalutku.

- No jasne! Łazarz! - Gary promieniał. Kawałki czekolady kleiły mu się do zębów. - Łazarz McRae, tak cię teraz będziemy nazywać.

66

Inscha nie było w gabinecie ani w pokoju operacyjnym, Logan zajrzał więc w następne oczywiste miejsce: do pokoju przesłuchań numer 3. Zastał tam inspektora w towarzystwie posterunkowej Watson, Sandy'ego-- Węża i Normana Chalmersa. Insch był wyraźnie zde gustowany, rozmowa chyba nie układała się po jego myśli.

Logan poprosił go uprzejmie na słówko, wyszedł na korytarz i poczekał, aż inspektor oficjalnie wstrzyma przesłuchanie. Chwilę później Insch dołączył do niego. Koszulę miał prawie przezroczystą od potu.

- Jezu, tam jest jak w saunie... - Otarł twarz ręką. - Jak sekcja? Logan podał mu cienką szarą teczkę, którą dała mu Isobel.

- To wstępne ustalenia. Wyniki badań będą pod koniec tygodnia. Insch zaczął przeglądać dokumentację.

- Właściwie wnioski są oczywiste - ciągnął Logan. - To ktoś inny zabił Davida Reida. Inna metoda działania, inny pomysł na pozbycie się

zwłok, ofiara płci żeńskiej, nie męskiej...

-O kurwa... - stęknął inspektor, doszedłszy do rubryki *Prawdopodobna przyczyna śmierci*.

-Na razie nie można wykluczyć nieszczęśliwego wypadku - dodał Logan.

Insch jeszcze raz zaklął i ciężkim krokiem ruszył w stronę stojącego przy windach automatu z kawą. Wcisnął odpowiednie guziki i podał Loganowi kubek gryzącej, brunatnej, rozwodnionej cieczy z cienką warstewką białej pianki na wierzchu.

- W porządku. W sprawie Reida Chalmers odpada. Logan pokiwał głową.

- A morderca dalej jest na wolności i poluje na małych chłopców. Insch oparł się o automat, który zachwiał się niepokojąco. Znow otarł pot z twarzy.

- O co chodzi z tym wybielaczem?

- Wlany pośmiertnie: nie dostał się do płuc ani żołądka. Może morderca chciał zatrzeć ślady DNA.

- Udało mu się?

Logan wzruszył ramionami.

- Isobel nie znalazła spermy.

Inspektor oklapł. Utkwił tępy wzrok w dokumentach.

- Jak on mógł zrobić coś takiego? Przecież to dziecko...

Logan milczał. Wiedział, że inspektor myśli w tej chwili o swojej córeczce i usilnie stara się nie łączyć obrazów, które podsuwa mu wyobraźnia. W końcu Insch się wyprostował. Oczy mu błysnęły.

- Przyszpilimy gnoja za jaja do ściany.

-Ale ten uraz głowy... Może mała po prostu upadła, pechowo uderzyła głową...

- Nadal możemy go dorwać za ukrywanie zgonu, pozbycie się zwłok, próbę wprowadzenia organów ścigania w błąd, może nawet morderstwo. Wystarczy przekonać sąd, że ją popchnął.

- Łykną to?

Insch wzruszył ramionami i z podejrzliwą miną napił się kawy-z mlekiem i podwójnym cukrem.

-Nie, ale warto spróbować. Jest tylko jeden szkopuł: brak śladów pobytu małej u Chalmersa w mieszkaniu. W dodatku od wieków nikt tam nie sprzątał, sypialnia wyglądała jak przysłowiowy chlew. Chalmers twierdzi, że nie zna dziewczynki. Nigdy nie widział jej na oczy.

- A to niespodzianka. Co mówi Sandy-Wąż?

Insch z rozeźloną miną obejrzał się na drzwi pokoju przesłuchań.

- To samo, co zawsze, łachudra. - Otarł czoło z potu. - Nie mamy dowodów.

- A paragon?

-Poszlaka, nic więcej. Twierdzi, że ktoś inny mógł upchnąć zwłoki w worku już po tym, jak śmieci zniknęły z mieszkania Chalmersa. I ma skurczybyk rację. - Insch westchnął. - Jeżeli nie znajdziemy mocnych dowodów łączących Chalmersa z dziewczynką, będzie po zawodach; Sandy--Wąż rozszarpie nas na strzępy. A i tak najpierw prokurator musiałby za-ryzykować i pchnąć sprawę do sądu, co jest mało prawdopodobne, dopóki nie mamy konkretów... - Podniósł wzrok znad kawy. - Nie spodziewam się, żeby zostawił odciski palców na przylepcu, co?

- Przykro mi. Taśma była wytarta do czysta.

Coś tu nie grało. Po co ktoś miałby się mozolić z usuwaniem odcisków palców z przylepca, a potem pakować zwłoki dziecka do własnej torby ze śmieciami?

- Cóż, chyba musimy zignorować kompletny brak dowodów przeciwko Chalmersowi i po prostu go przymknąć. Ale mam złe przeczucia. To się nie uda... - Inch zawiesił głos i wzruszył ramionami. - Pocieszam się tylko tym, że zepsujemy humor Sandy'emu: nie pobryluje sobie przed sądem.

- Może nowe pogrozki pomogłyby mu przełknąć to rozczarowanie? Inch się uśmiechnął.
- Zobaczę, co się da zrobić.

Norman Chalmers został oficjalnie aresztowany i odesłany do celi, gdzie miał oczekiwać na wezwanie do sądu. Sandy Moir-Farquharson

68

wrócił do kancelarii. Inspektor Inch udał się na próbę kostiumową. Logan i Watson poszli do pubu.

Archibald Simpson zaczynał jako bank, dopiero później główną salę kasową, przekształcono w bar. Ozdobne rozety na suficie i wysokie gzymsy rozmazywały się w oparach tytoniowego dymu, ale gości bardziej od detali architektonicznych interesowały tanie drinki.

Ponieważ pub znajdował się dwie minuty drogi od komendy, cieszył się ogromną popularnością wśród policjantów po służbie. Zebrała się w nim większość ekipy poszukiwawczej. Cały dzień spędzili na dworze, w ulewnym deszczu, przeszukując błotniste brzegi Donu albo rozpytujac o

Richarda Erskine'a. Dziś szukali zaginionego dziecka, jutro będą szukali trupa. Wszyscy znali statystyki: jeżeli zaginione dziecko nie zostało odnalezione w ciągu sześciu godzin, najprawdopodobniej było już martwe. Tak jak trzyletni David Reid albo niezidentyfikowana dziewczynka w prosektorium, z ogromną blizną w kształcie litery Y na piersi - a wszystkie jej wnętrzności zostały usunięte, obejrzone, zważone, popakowane do słoików, opisane i skatalogowane jako dowody zbrodni.

Przez pierwszą część wieczoru dyskutowali poważnym tonem o martwych i zaginionych dzieciach. Drugą część wypełniło im narzekanie na śledztwo wydziału spraw wewnętrznych w sprawie przecieku informacji do prasy. Zmiana nazwy z „wydział skarg i zażaleń” nie przysporzyła żandarmom popularności.

Trzecią- i ostatnią - część spotkania poświęcili na solidne upicie się.

Któryś z posterunkowych (Logan nie pamiętał jego nazwiska), zataczając się, przyniósł do stolika następną kolejkę. Osiągnął właśnie to stadium upojenia, w którym wszystko wydaje się niezwykle zabawne, chichotał więc jak wariat, kiedy ćwierć litra piwa wylało się na stół i ściekło na spodnie brodatego policjanta z wydziału kryminalnego.

Logan nie miał ochoty wchodzić w rolę opiekuna młodszych kolegów, zabrał więc swój kufel i chwiejnym krokiem ruszył w stronę automatów do gier. Przy jednym z nich skupiła się grupka policjantów w cywilu. Przekrzykiwali się i dopingowali nawzajem. Wyminął ich bez słowa.

Posterunkowa Watson stała samotnie, od niechcienia pstrykając w pulpit jednorękiego bandyty. Światelka w obudowie migwały, maszyna piszczała i dźwięczała metalicznie. W jednej ręce trzymała niedopitą butelkę budweisera, drugą co i rusz wciskała guziki automatu. Bębenki wirowały z

wizgiem.

- Zadowolona? - zapytał Logan. Na ekranie wyświetliły się dwie cytryny i zamek.

Nie odwróciła się do niego.

69

- Brak dowodów, psiakrew!

Grzmotnęła w przycisk na obudowie. Wyświetliła się kotwica.

•Musimy szukać dalej - powiedział Logan. Napił się piwa. Przyjemne ciepło rozlewało mu się ze środka głowy po całym ciele. - W mieszkaniu nasi ludzie nic nie znaleźli...

•Nie znaleźliby gówna w kiblu. A paragon?

Watson wrzuciła następne dwa funty do szczeliny i uderzeniem pięści włączyła automat. Logan wzruszył ramionami. Kotwica, cytryna, sztabka złota. Watson skrzywiła się ze złości.

- Przecież wszyscy wiemy, że to on! - burknęła, uruchamiając bębenki.

-A teraz musimy to udowodnić. Ale gdyby nie pani, w ogóle byśmy go nie aresztowali. - Słowo „aresztowali" sprawiło Loganowi nieco kłopotu, ale Watson chyba niczego nie zauważyła. Szturchnął ją lekko w ramię. - To było cwane, z tym paragonem.

Mógłby przysiąc, że prawie się uśmiechnęła, wrzucając następnego funta.

- Ale to nie ja zauważyłam, że zbiera punkty. - Nie odrywała oczu od automatu.

- Ja też bym nie zauważył, gdyby nie znalazła pani tego świstka.

Uśmiechnął się szeroko i pociągnął kolejny łyk. Watson spojrzała na niego. Chwiał się na nogach prawie w rytm muzyki.

- Zapomnieliśmy już o „cztery razy dziennie po jednej tabletkie, nie

popijać alkoholem"?

Logan mrugnął porozumiewawczo.

- Ja nikomu nie powiem. A pani? Uśmiechnęła się.
- Opieka nad panem to robota na pełny etat. Logan stuknął kuflem w butelkę w jej ręku.
- I za to wypiję!

10

O szóstej natarczywe popiskiwanie budzika wyrwało Logana ze snu. Miał potężnego kaca. Usiadł na skraju łóżka, zwiesił głowę i oparł ją na rękach. Cała czaszka pulsowała mu bólem, a w żołądku szykowałą się rewolucja; zaraz zwymiotuje. Stęknął, dźwignął się z łóżka, powlókł do drzwi sypialni i ruszył dalej, do łazienki.

70

Po co tyle wypił? Przecież na opakowaniu wyraźnie piszą, żeby nie zapijać proszków alkoholem...

Kiedy było po wszystkim, oparł się o umywalkę i opuścił głowę, przytykając ją do zimnych kafelków. Ostra woń żółci drażniła mu nozdrza. Uchylił jedno oko - w sam raz na tyle, żeby dostrzec półlitrową szklankę stojącą na spłuczce. Zostało mu jeszcze pół fiolki tabletek, które dostał w szpitalu za pierwszym razem, kiedy blizny były jeszcze świeże. Drżącą ręką wyjął buteleczkę i przez chwilę zmagął się z zatyczką, która miała utrudnić otwarcie pojemnika dzieciom. Nalał wody do szklanki, łyknął dwie spore kapsułki i powłócząc nogami, wszedł pod prysznic.

Nie poczuł się lepiej, ale przynajmniej przestał cuchnąć jak skrzyżo-

wanie popielniczki z browarem. Wyszedł do przedpokoju, wycierając włosy, i usłyszał uprzejme kasznięcie.

Określił się na pięcie. Serce zabiło mu jak szalone, dłonie odruchowo zacisnęły się w pięści.

W drzwiach do kuchni stała posterunkowa Watson, ubrana w jedną z jego starych koszulek. Trzymała w ręce plastikową łopatkę do smażenia. Rozpuszczone kasztanowe włosy opadały lokami na ramiona. Spod koszulki wystawała para nagich nóg - i to całkiem ładnych.

- Zimno? - spytała Watson z uśmiechem.

Logan nagle zdał sobie sprawę, że stoi przed nią nagusieńki. Pospiesznie zasłonił rękami newralgiczne miejsca. Potężny rumieniec, którym się oblał, sięgał od pięt po czubek głowy.

Posterunkowa spoważniała; czoło między równymi brązowymi brwiami przecięła mała zmarszczka. Spojrzała na poznaczony wypukłymi bliźniakami brzuch Logana.

- Było kiepsko?

Logan odchrząknął. Kiwnęła głową.

• Nikomu tego nie życzę. Ale... To znaczy...

• Kanapkę z bekonem? Nie znalazłam jajek. W ogóle niewiele znalazłam.

Stał przed nią, zasłaniając się rękami i czując zgoła niestosowną zapowiedź zbliżającego się wzrodu.

• To jak? Kanapka będzie w porządku?

• Tak... Jasne, chętnie zjem.

Watson wróciła do kuchni, a Logan popędził do sypialni i trzasnął drzwiami.

Chryste Panie, ile wypili?! Nie popijać alkoholem! Nic nie pamiętał. Nawet nie wiedział, jak Watson ma na imię. Jak mógł iść do łóżka z kobietą, której imienia nie zna?!

71

Wytarł się do sucha, rzucił ręcznik w kąt i naciągnął czarne skarpetki na jeszcze wilgotne stopy.

Jak mógł do tego dopuścić? Przecież razem pracowali, była posterunkową, a on sierżantem. Jej przełożonym! Insch wpadłby w szal, gdyby się dowiedział, że spotyka się z podwładną.

Podskakując na jednej nodze, włożył spodnie - po czym zdał sobie sprawę, że zapomniał o bieliźnie. Zrzucił spodnie.

- Coś ty najlepszego zrobił, dumniu? - zapytał, zwracając się do swojego wystraszonego odbicia w lustrze. - Ona z tobą pracuje!

Odbicie patrzyło na niego bez słowa. Wyraz konsternacji z wolna ustępował przed szelmowskim uśmiechem.

-Niezła jest, co?

Musiał przyznać, że odbicie ma rację. Watson była inteligentna, atrakcyjna. .. I sprząłaby na kwaśne jabłko każdego, kto próbowałby ją potraktować jako przygodę na jedną noc. Przecież Insch mówił, że nie bez kozery nazywają ją Żyletą.

-Rany boskie...

Wywłókł z szafy czystą białą koszulę, omal nie udusił się krawatem w turecki wzorek i wreszcie wypadł z powrotem do przedpokoju. Zawahał się. Jak właściwie powinien się zachować? Przyznać się, że nic nie pamięta? Skrzywił się. Fajnie by to wyglądało:

- Cześć. Przepraszam, ale nie pamiętam, jak się kochaliśmy. Dobrze ci

było? A, i jeszcze jedno: jak ci na imię?

Nie miał wyboru: musi trzymać język za zębami i czekać na jej pierwszy ruch. Wziął głęboki wdech i wszedł do kuchni.

Pachniało smażonym bekonem i starym piwem. Posterunkowa i jej śliczne nogi stały sobie przy kuchence; Watson przewracała na patelni bekon, który skwierczał i syczał. Logan miał właśnie zamiar wygłosić jakiś komplement i przełamać lody, ale omal nie wyskoczył ze skóry, słysząc głos za plecami:

- Uch... Posuń się. Dłużej nie ustoję na nogach.

Odwrócił się i stanął twarzą w twarz z młodym sponiewieranym mężczyzną. Obcy miał jednodniowy zarost, podkrążone oczy, luźny strój i drapał się po tyłku, czekając, aż Logan przepuści go w drzwiach do kuchni.

- Przepraszam... - mruknął Logan.

Odsunął się. Chłopak, szurając nogami, wyminął go i zwałił się ciężko na krzesło.

- Jezu, moja głowa...

Nowo przybyły ukrył wspomnianą część ciała w dłoniach i oparł o blat stołu.

72

Watson obejrzała się przez ramię na wystrojonego Logana.

- Proszę siadać - powiedziała.

Wzięła do ręki dwie świeże kromki chleba tostowego, wsadziła między nie całą zawartość patelni, odłożyła kanapkę na stół i wrzuciła nowe mięso do smażenia.

-Eee... Dzięki.

Skacowany chłopak wyglądał dziwnie znajomo. Czyżby należał do ekipy poszukiwawczej? A może to ten, co oblał piwem brodacza z wydziału

kryminalnego? Watson rzuciła na stół następną kanapkę - tym razem przeznaczoną dla jęczącego faceta.

- Nie musiała pani robić śniadania.

Logan uśmiechnął się do Watson, która zsunęła na patelnię ostatnią porcję wędzonego boczku. Buchnął obłok pary, który spróbowała rozgonić łąpatką. Kropelki tłuszczu skapnęły na blat.

A co, miałam czekać, aż on je zrobi? - Wskazała skacowanego chłopaka. Chyba nie zdąży dobiec do toalety, gdyby zjedzenie kanapki go przerosło. - Nie wiem, jak pan, ale nie lubię mieć ekstradodatków w jedzeniu.

W drzwiach pojawiła się następna na wpół znajoma twarz.

- Boże, Steve... - powiedział kolejny gość. - Jak ty wyglądasz? Gdy by cię Insch zobaczył, toby się wściekł... - Urwał w pół zdania, widząc Logana w garniturze. - Dzień dobry, panie sierżancie. Świetna impreza. Dzięki, że nas pan przenocował.

-No... Nie ma za co. Impreza?!

Facet się uśmiechnął.

-Jej... Niezłe nogi, Jackie. Kanapka z bekonem! Myślisz, że mógłbym...

- Mowy nie ma. - Watson przyrządziła następną kanapkę. - MacNeil kupił tylko cztery paczki, właśnie się skończyły. Poza tym muszę się już zbierać. - Wzięła stojącą na blacie butelkę z keczupem i wycisnęła nie przyzwoitą ilość czerwonej mazi wprost do kanapki. - Trzeba było wcześniej wstać.

Nowy zmarszczył twarz, nie kryjąc zazdrości. Posterunkowa Watson odgryzła potężny kęs i zaczęła żuć z satysfakcją, uśmiechając się szeroko keczupowym uśmiechem.

Nowy gość nie zamierzał się poddać bez walki. Usiadł na ostatnim

wolnym krześle i oparł łokcie na stole.

- Rany, Steve, naprawdę wyglądasz fatalnie - powiedział z troską w głosie. - Na pewno chcesz to zjeść? - Wskazał leżącą na blacie kanapkę.
- Strasznie tłusty ten bekon.

73

- Nie słuchaj go, Steve - wymamrotała Watson z pełnymi ustami. - Zjedz, a od razu ci się polepszy.

-No pewnie - powiedział bezimienny. - Zjedz to, Steve. Smakowite kawałki martwej świni. Smażone we własnej słoninie. Ociekające tłuszczem. Supersprawa, kiedy chce ci się rzygać.

Steve poszarzał.

- Nie ma to jak kawał słoniny, żeby ukoić...

Dalej nie trzeba było mówić. Steve zerwał się od stołu, zasłonił usta ręką i popędził do łazienki. Kiedy dobiegły stamtąd odgłosy wymiotowania, nowy uśmiechnął się z zadowoleniem, sięgnął po zapomnianą kanapkę i wcisnął ją sobie do ust. Tłuszcz pociekł mu po brodzie.

-Mmm... Pycha.

- Jesteś skończonym draniem, Simonie Rennie!

Drań Simon Rennie mrugnął porozumiewawczo do Jackie Watson.

- Przeżyją najsilniejsi.

Logan odsunął się od stołu i żując kanapkę, usiłował sobie przypomnieć, co takiego wydarzyło się wieczorem i w nocy. Nie pamiętał żadnej imprezy, po wyjściu z pubu miał dziurę w pamięci, a i przed wyjściem nie wszystko pamiętał jak należy. Wyglądało jednak na to, że urządził przyjęcie i zaprosił na nie część ekipy poszukiwawczej. Brzmiało to sensownie: mieszkał przy Marischal Street, dwie minuty piechotą od Queen Street i komendy. Co nie

zmieniało faktu, że nie pamiętał nic a nic z okresu po tym, jak wyrzucono ich z baru. Posterunkowy, który chwilowo zajmował toaletę - Steve - nastawił w szafie grającej *A Kinda Magic Queenów* i zaczął się rozbierać. Trudno byłoby to nazwać striptizem: za mało seksapilu, a za dużo pijackiego zataczania się po sali.

W każdym razie personel pubu uprzejmie poprosił ich o opuszczenie lokalu.

To tłumaczyło, dlaczego połowa aberdeedńskiej policji siedziała albo u niego w kuchni, obżerając się bekonem, albo w łazience, rzygając jak daleko widzą. Nie rzucało jednak światła na kwestię posterunkowej Jackie Watson i jej ślicznych nóg.

- No dobrze... - powiedział, patrząc, jak Watson zajada kanapkę. - Jak to się stało, że przypadła pani rola kucharki?

To całkiem neutralne pytanie. Nikt nie domyśliłby się podtekstu: czy spaliśmy ze sobą?

Otarła usta wierzchem dłoni i wzruszyła ramionami.

- Padło na mnie. Kanapki robi ten, kto pierwszy raz trafi na nocną imprezę, ale ponieważ to jest pański lokal, pan odpada. Ja byłam następna w kolejce.

74

Logan pokiwał głową, udając, że wyjaśnienie trafiło mu do przekonania. Było bardzo wcześnie i jego mózg jeszcze nie wszedł na właściwe obroty. Uśmiechnął się więc tylko, mając nadzieję, że w żaden sposób nie umniejsza znaczenia tego, co - być może - wydarzyło się w nocy.

- No dobrze. - Wstał od stołu i strząsnął okruchy do kosza. - Muszę lecieć. Wpół do ósmej jest odprawa, a ja mam jeszcze coś do zrobienia. - Miło,

konkretnie, profesjonalnie. Nikt nic nie powiedział. Nikt nawet na niego nie spojrzał. - Wychodząc zamknijcie drzwi na klucz. Zobaczymy się na komendzie. .. - Zawiesił głos, oczekując jakiegoś sygnału ze strony Watson. Jackie! Nie posterunkowa Watson, tylko Jackie. Ale nic: Jackie była bez reszty pochłonięta jedzeniem. - Dobrze. - Ruszył do drzwi. - Widzimy się później.

Na dworze było jeszcze ciemno; o tej porze dnia słońce pojawi się na niebie najwcześniej za pięć miesięcy. Miasto budziło się ze snu, kiedy ruszył Marischal Street w stronę Castlegate. Latarnie wciąż się paliły, podobnie jak bożonarodzeniowe lampki - ulubione ozdoby dwunastodniowego okresu świątecznego w Aberdeen, rozciągnięte stąd aż do końca Union Street.

Przystanął i zaciągnął się zimnym powietrzem poranka. Ulewny deszcz ustąpił miejsca rzadkiej mżawce, w której rozmazywały się świąteczne światełka: białe jak kość lampki, porzeźbione w kształty podrygujących dżentelmenów i pływających łabędzi, odcinały się od stalowoszarego nieba. Ulice powoli zapełniały się samochodami. Witryny sklepowe przy Union Street promieniały bożonarodzeniową radością i epatowały tanimi błyskotkami. Nad nimi szary granit wznosił się na wysokość trzech i więcej pięter. Okna były ciemne: ludzie jeszcze nie wstali, biur jeszcze nie otwarto. Ulica pławiła się w biało-bursztynowej poświacie świątecznych lampek i ozdób. Była prawie piękna. Czasem Aberdeen umiało mu przypomnieć, dlaczego wciąż tu mieszka.

W pobliskim kiosku kupił półlitrowy sok pomarańczowy i dwie bułki, a potem tylnymi drzwiami wszedł do komendy. Nareszcie sucho. Sierżant dyżurny podniósł wzrok na Logana, kiedy ten idąc po schodach, otrząsał się z wody.

- Dzień dobry, Łazarzu.

Logan udał, że nie słyszy.

Pokój operacyjny pachniał mocną kawą, przetrawionym piwem i powszechnym kacem. Frekwencja była stuprocentowa, co zdziwiło Logana. Nawet posterunkowy Steve - rzygający ekshibicjonista - siedział gdzieś z tyłu. Wyglądał fatalnie.

Ściskając w ręku plik skserowanych portretów nieżyjącej dziewczynki, Logan znalazł sobie miejsce możliwie najbardziej z przodu i czekał na zagajenie Inscha. Inspektor chciał, żeby wystąpił na odprawie i uświadomił

75

wszystkim, jak niewiele wiedzą o czterolatce, którą dzień wcześniej znaleziono na wysypisku śmieci w Nigg.

Podniósł wzrok znad kartek. Posterunkowa Watson - Jackie — uśmiechała się do niego. Odpowiedział jej uśmiechem. Teraz, kiedy organizm oswoił się trochę z sytuacją i otrząsnął z początkowej paniki, zaczynało mu się to podobać. Od rozstania z Isobel upłynęły cztery miesiące; fajnie byłoby zacząć znów się z kimś spotykać. Po zakończeniu odprawy poprosił inspektora o przydzielenie mu innego opiekuna. Nikt przecież nie spojrzał krzywo na ich znajomość, kiedy nie będą razem pracować.

Uśmiechnął się zatem do posterunkowej Jackie Watson, która ukryła zgrabne nogi w regulaminowych czarnych spodniach. Ona też się uśmiechnęła. Świat był piękny.

Nagle zdał sobie sprawę, że wszyscy się do niego uśmiechają. Nie tylko Watson.

- Słuchamy, sierzancie.

Odwrócił się. Insch spoglądał na niego wyczekująco. ^Aaa...

Tak, dziękuję, panie inspektorze.

Wstał i podszedł do biurka, na którym siedział inspektor. Miał nadzieję, że

wygląda na mniej zakłopotanego, niż naprawdę jest.

- W dniu wczorajszym, o godzinie szesnastej, Andrea Murray, dziekan Wydziału Nauk Społecznych Kincorth Academy, zadzwoniła pod numer alarmowy i zgłosiła znalezienie ludzkiej stopy, wystającej z worka ze śmieciami na miejskim wysypisku w Nigg. Stopa należała do niezidentyfikowanej dziewczynki, lat cztery: biała, długie blond włosy, niebieskie oczy. - Logan podał plik portretów pierwszej z brzegu osobie, prosząc, aby jeden egzemplarz zatrzymała dla siebie, a resztę podała dalej. Kserokopie były identyczne i przedstawiały zdjęcie z prosektorium: okrągła buzia, zamknięte oczy, na policzkach ślady po przylepcu. - Morderca próbował poćwiartować zwłoki, ale miał na to za słaby żołądek. Nie dał rady.

Zebrani w sali policjanci zareagowali zgodnym pomrukiem oburzenia i niesmaku.

- To oznacza... - Logan podniósł głos. - To oznacza, że najprawdopodobniej był to dla niego pierwszy raz. Gdyby wcześniej kogoś zabił, może nie miałby takich problemów.

Zapadła cisza. Inch pokiwał głową z aprobatą.

Logan puścił w obieg drugi komplet kserokopii.

-Zeznania Normana Chalmersa. Aresztowaliśmy go wieczorem, po tym, jak posterunkowa Watson znalazła ślad łączący go z workiem na śmieci, w którym znaleziono zwłoki ofiary. Jest podejrzany o dokonanie morderstwa.

Ktoś klepnął posterunkowa po ramieniu. Uśmiechnęła się.

76

- Mamy jednak pewien problem - ciągnął Logan. - Nie znaleźliśmy żadnych dowodów na to, że dziewczynka w ogóle była u Chalmersa w domu. A jeśli tam jej nie trzymał, to gdzie? Dlatego jeden zespół dokładnie

sprawdzi wszystkie powiązania i interesy podejrzanego. Może wynajmuje od kogoś garaż? Może pilnuje komuś mieszkania? Może ma krewnych, którzy niedawno trafili do domu opieki społecznej, zostawiając mu rodziną rezydencję? Może pracuje w takim miejscu, że może tam bez wzbudzenia podejrzeń podrzucić zwłoki?

Odpowiadały mu potakujące kiwnięcia głów.

-Zespół drugi: pochodzicie po całym Rosemount, popytacie ludzi. Kim była ta dziewczynka? Jak Chalmers ją poznał? Ktoś podniósł rękę. -Tak?

- Jak to możliwe, że nikt nie zgłosił jej zaginięcia?

- To dobre pytanie. Czteroletnie dziecko znika, co najmniej od dwudziestu czterech godzin nie ma go w domu i nikt nie zgłasza tego na policję.

Zgadzam się, coś tu śmierdzi. - Logan rozdał trzeci i ostatni zestaw dokumentów. - To jest lista z Ministerstwa Zdrowia-, znajdują się na niej wszystkie rodziny zameldowane w Aberdeen, które mają dzieci płci żeńskiej w wieku zbliżonym do wieku ofiary. I to będzie zajęcie dla zespołu trzeciego. Macie porozmawiać z tymi ludźmi i zobaczyć dzieci na własne oczy. Nikomu nie wierzcie na słowo. Czy to jasne?

Cisza.

- W porządku. Przydziały na dziś.

Logan wyznaczył trzy czteroosobowe ekipy i kazał im brać się do roboty. Pozostali wiercili się niespokojnie na krzesłach i szeptali między sobą, czekając, aż „ochotnicy” wyjdą.

- Proszę o uwagę - odezwał się Inch. Nie musiał podnosić głosu: wystarczyło, że otworzył usta, i wszyscy byli cicho. - Widziano chłopca, którego rysopis odpowiada wyglądowi małego Richarda. Wsiadał do czerwonego hatchbacka. Są świadkowie, którzy twierdzą, że od kilku miesięcy

widywali podobny wóz kręcący się po okolicy. Całkiem możliwe, że to nasz zbok robił rozpoznanie. - Inspektor popatrzył po ludziach, nawiązując kontakt wzrokowy z każdym z osobna. - Richard Erskine zaginał dwadzieścia dwie godziny temu. Nawet jeśli nie porwał go żaden skurwiol, w nocy lało i był przymrozek. Dzieciak miał marne szanse, a to oznacza, że musimy się bardziej postarać i pospieszyć. Jeśli będzie trzeba, wywrócimy to przekłete miasto do góry nogami, ale w końcu go znajdziemy.

Aura determinacji była prawie namacalna; mąciła ją tylko dławiąca woń skacowanych ciał.

77

Insch przydzielił ludzi do ekip poszukiwawczych i rozsiadł się wygodnie na biurku. Policjanci powoli opuszczali salę, Logan został i czekał na szczegółowe polecenia. Patrzył, jak inspektor woła do siebie Steve'a Ekshibicjonistę i każe mu zostać. Mówił coś - tak cicho, że Logan nie słyszał ani słowa, ale domyślał się, do czego inspektor zmierza. Młody posterunkowy najpierw się zarumienił, a potem poszarzał ze strachu.

- No, do widzenia. - Insch skinął głową. - Proszę zaczekać na korytarzu.

Steve Ekshibicjonista wyszedł ze spuszczoną głową, szurając nogami. Wyglądał jak zbity pies.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Insch przywołał Logana.

- Dziś mam dla pana niewdzięczną robotę - zaczął, wyjmując z kieszeni marynarki dużą torebkę rodzyneków w czekoladzie. Chwilę się z nią szarpał, w końcu poddał się i rozdarł zębami. - Że też muszą to draństwo tak zaklejać... - Wypluł kawałek folii i wetknął palec w powstały otwór. - Poproszono nas, żebyśmy udzielili policyjnego wsparcia miejskiemu ze

społowi do spraw ochrony środowiska.

Logan z trudem powstrzymał jęk rozpacz.

• Żartuje pan?

• Nie. Mają dostarczyć komuś zawiadomienie, a nerwus, który się tym zajmuje, robi w portki ze strachu. Jest przekonany, że jeżeli nie potrzymamy go za rączkę, ktoś go stuknie. Komendant chce, żebyśmy im pomogli, a to oznacza, że musi nas być widać, jak wspieramy służby miejskie.

Insch wycelował otwór w torbie z rodzynkami w stronę Logana. Logan grzecznie odmówił: skacowanemu żołądkowi rodzynki za bardzo przypominały szczurze bobki.

- Panie inspektorze, czy naprawdę nie wystarczyłyby do tego zwykły posterunkowy?

Insch pokiwał głową. Logan mógłby przysiąc, że w jego oczach błysnęły złowrogie ogniki.

- Wystarczyłyby. I wystarczy. A pan pojedzie z nim i go przypilnuje.

- Wytrząsnął trochę bobków na dłoń i wrzucił sobie do ust. - To jeden z przywilejów rangi: nadzoruje pan osoby niższe stopniem.

Zapadła znacząca cisza - której sens całkowicie umknął Loganowi.

- No - odezwał się Insch, wskazując mu drzwi. - Jest pan wolny.

Logan wyszedł, ni w ząb nie pojmując, o co chodziło w tej całej scenie. Insch siedział na skraju biurka i szczyrzył zęby jak wariat. Wiedział, że sierżant wkrótce wszystko zrozumie.

Na korytarzu czekał smutny Steve. Jego twarz odzyskała trochę barw, z szarej zrobiła się czerwona z chorobliwie zielonkawą nutą, ale wciąż

wyglądała makabrycznie. Oczy miał zaczerwienione i przekrwione, a jego oddech zalatywał miętą, która jednak nie maskowała woni parującego mu wszystkimi porami alkoholu.

-Panie sierzancie... - Uśmiechnął się nerwowo. - Nie powinienem chyba prowadzić. - Zwiesił smętnie głowę. - Przepraszam.

Logan uniósł brwi i otworzył usta - ale zaraz je zamknął. Najwidoczniej to właśnie był policjant, którego miał pilnować.

Steve rozkleił się, kiedy zjeżdżali windą na parter.

- Jak on się o tym dowiedział, skurczybyk? - Skulił się w kącie, trzy mając głowę w dłoniach. - Wszystko wie, wszystko!

Loganowi dreszcz przeszedł po kręgosłupie.

- Wszystko?

Czy to znaczy, że inspektor wie także o tym, że Logan spił się i poszedł do łóżka z posterunkową Watson? Steve jęknął.

- Wie, że wyrzucono nas z pubu, że się rozbierałem... - Spojrzał na Logana żałośnie zaróżowionymi oczami jak królik, któremu robią wiwisekcję. - Powiedział, że mam szczęście, że mnie od razu nie wylał. Rany boskie...

Wydawało się, że zaraz się rozplacze, ale wtedy winda zrobiła „ping” i otworzyły się drzwi na parking, gdzie dwóch policjantów w mundurach szarpało się z długowłosym chłopakiem w dżinsach i koszulce, próbując go wyciągnąć z radiowozu. Na koszulce rysowała się śliczna krwawa choinka, odwrócona do góry nogami. Chłopak miał rozkwaszony nos.

- Pierdolone gnoje! - Rzucił się w stronę Logana, ale posterunkowy, który go trzymał, nie zwolnił uścisku. - Sami się, kutafony, dopraszali! - Brakowało mu paru przednich zębów.

- Przepraszam, panie sierzancie. - Policjant odciągnął aresztanta.

Logan zapewnił, że nic się nie stało, i razem z posterunkowym Steve'em przeszli przez parking. Mogli wyjść przez recepcję, ale nie chcieli, żeby ktoś jeszcze oglądał różowookiego posterunkowego. Poza tym siedziba władz miasta była dość blisko, a krótki spacer z pewnością dobrze zrobi Steve'owi.

Po dusznym upale komendy mżawka wydawała się wprost orzeźwiająca. Stanęli na podjeździe prowadzącym z ulicy do garażu, z twarzami wystawionymi na deszcz, do czasu, aż przepłoszył ich klakson jadącego samochodu.

Radiowóz zamrugał światłami. Logan i skacowany Steve pomachali przepraszająco i obeszlili komendę z boku. Pod gmachem sądu zbierali się już pierwsi protestujący, z transparentami i plakatami, wypatrując Geralda Cleavera. I wyczekując okazji do powieszenia go na najbliższej latarni.

79

Nerwus czekał na nich w głównym gmachu, przestępując z nogi na nogę i co chwilę zerkając na zegarek, jakby bał się, że ucieknie mu z nadgarstka, jeśli spuści go z oczu na dłużej niż trzydzieści sekund. Przyjrzał się z troską Steve'owi i podał Loganowi rękę.

- Przepraszam, że musieli panowie czekać - powiedział, chociaż stał w tym samym miejscu na długo przed nimi.

Przedstawili się sobie nawzajem. Logan zapomniał nazwiska Nerwusa trzydzieści sekund później.

- Możemy jechać?

Urzędnik poprawił skórzaną aktówkę, znów spojrział na zegarek i zaprowadził ich do forda fiesty, któremu na pierwszy rzut oka pomoc mogło już tylko ostatnie namaszczenie.

Logan usiadł w fotelu pasażera i wskazał Steve'owi miejsce z tyłu, za

kierowcą. Powody były dwa: nie chciał, żeby urzędnik dokładnie obejrzał sobie sponiewieranego posterunkowego, a poza tym gdyby Steve'owi znów zrobiło się niedobrze, przynajmniej nie obrzyga Logana.

Kiedy jechali przez miasto, kierowcy gęba się nie zamykała: narzekał na fatalną pracę w urzędzie miejskim i skarżył się, że nie może się zwolnić, bo straciłby wysługę lat i związane z nią przywileje. Logan nie słuchał go - od czasu do czasu wtrącał tylko: „To straszne” albo „Wiem, co pan czuje”, i patrzył na przesuwane się wolno za oknem szare ulice.

W godzinach szczytu zbliżał się ten moment, w którym wszyscy, którzy powinni wyjechać do pracy pół godziny temu, nagle zdali sobie sprawę, że się spóźnią. Co śmielsi siedzieli za kółkiem i palili papierosy przy otwartym oknie; dym wypływał na zewnątrz, deszcz kropił do środka. Logan im zazdrościł.

Dręczyło go przecucie, że przemowa Inscha o „przywilejach rangi” miała jakieś drugie dno. Nieprzyjemne drugie dno. Przesunął dłonią po czole. Miał wrażenie, że pod palcami wyczuwa zgrubienia opuchniętego mózgu.

Właściwie nie było nic dziwnego w tym, że inspektor zmył Steve'owi głowę. Wcięty posterunkowy mógł narobić wstydu całej policji; Logan już sobie wyobrażał te nagłówki w gazetach: „Rozebrany gliniarz groził mi swoją pałką!” Na miejscu Inscha też by zdrowo Steve'a objechał.

I nagle doznał olśnienia. Insch powiedział mu to prosto w oczy:

-To jeden z przywilejów rangi: nadzoruje pan osoby niższe stopniem.

Logan był sierżantem, Steve posterunkowym. Razem poszli do pubu, razem się uzbdryngolili, a potem Logan nie kiwnął palcem, żeby powstrzymać Steve'a przed striptizem.

Jęknął cicho.

To zadanie miało być karą nie tylko dla Steve'a, ale i dla niego.

Dwadzieścia pięć minut później wysiadali z samochodu Nerwusa przed na wpół zrujnowaną stodołą, pierwszym z wielu sfatygowanych zabudowań farmy, leżącej na obrzeżach Cults. Zielsko zarosło drogę, na której końcu przycupnął ponury, zaniedbany budynek mieszkalny; ściany z szarego kamienia płakały ściekającym po nich deszczem. Otaczały go rozpadające się budynki gospodarcze, tonące w sięgających pasa chwastach i trawach. Jeszcze wyżej sterczały pojedyncze krostawce i polny szczaw o zbrązowiałych przed zimą liściach i łodygach. Dwa okna w szarym dachu przypominały puste, wrogo patrzące oczy. Na wyblakłych czerwonych drzwiach ktoś namalował ogromną szóstkę. Na każdym budynku był zresztą wymalowany białą farbą numer. Ściany i dachy lśniły od wilgoci, odbijając płaskie, szare światło dnia.

- Przytulnie tu - stwierdził Logan, próbując rozładować ciężką atmosferę.

I wtedy to poczuł. - Chryste Panie!

Nakrył ręką nos i usta.

Przywitał ich dławiący odór rozkładu. Smród mięsa, które za długo leżało na słońcu.

Zapach śmierci.

11

Posterunkowy Steve zgiął się wpół - raz, drugi, a potem popędził w krzaki, gdzie głośno i obficie zwymiotował.

-A nie mówiłem? - powiedział Nerwus. - Coś okropnego, prawda?

Miałem rację?

Logan przytaknął i pokiwał głową, chociaż podczas jazdy w ogóle go nie słuchał.

- Sąsiedzi już od poprzednich świąt skarżą się na smród. Wysyłaliśmy listy, pisma, ale nie było odpowiedzi. - Nerwus przycisnął aktówkę do piersi. - Listonosz już nawet nie chce tu dostarczać przesyłek.

-No proszę... - mruknął Logan. To już wiadomo, czemu nikt nie odpowiadał na urzędowe pisma. Szlag by to... Odwrócił się plecami do wymiotującego posterunkowego i zaczął brnąć przez dżunglę chwastów w stronę domu. - Zobaczmy, czy ktoś tam jest.

Nie zdziwił się, kiedy Nerwus puścił go przodem.

81

Dawniej dom musiał być całkiem schludny: na kruszącym się kamieniu pozostały drobinki białej farby, na ścianach wisiały powykęcane, rdzewiejące uchwyty na donice z kwiatami - ale te dni dawno minęły. Darń pozatykała rynny i woda z dachu przelewała się przez ich krawędzie. Drzwi od wieków nie były odnawiane: kapryśna pogoda zdarła z nich resztki farby, pozostawiając gołą połąć wyblakłego drewna, do której przybito metalowy numer, teraz obrośnięty rdzą i brudem i całkowicie nieczytelny. Klamka nie wyglądała lepiej. Na deskach ktoś odręcznie namalował ogromną, białą szóstkę.

Logan zapukał. Cofnęli się od progu i czekali. I czekali. I czekali. I...

- Cholera jasna! - zaklął i ruszył przez gąszcz wokół domu, zaglądając po drodze w okna.

W środku było ciemno. Z trudem rozróżniał kontury mebli: bezkształtne plamy, ledwie widoczne za brudnymi taflami szkła. Obszedł dom dookoła, pozostawiając po sobie wyraźnie wydeptaną ścieżkę. Przymknął oczy.

Bardzo starał się nie zakląć po raz kolejny.

- Nikogo tu nie ma - stwierdził. - 1 od miesiący nie było.

Gdyby ktoś tu mieszkał, wydeptałby ścieżkę od drogi do drzwi wejściowych.

Nerwus spojrzał na dom, potem na Logana, na zegarek. W końcu wygrzebał z aktówki notes.

- Niemożliwe. - Zaczął czytać z pierwszej kartki. - Mieszka tu pan Bernard Philips. - Pogmerał przy guzikach płaszcza, znów zerknął na zegarek. - Jest pracownikiem... eee... służb miejskich.

Logan otworzył usta, zamierzając powiedzieć coś bardzo, bardzo obelżywego, ale zmienił zamiar.

- Jak to: jest pracownikiem służb miejskich? - wycedził. - To nie mogliście mu po prostu wręczyć listu, kiedy rano przyszedł do pracy?

Nerwus zajrzał do notesu. Bardzo się starał nie patrzeć Loganowi w oczy. Nic nie powiedział.

Na litość boską... - Właściwie nie miało to wielkiego znaczenia: skoro już przyjechali, mogli sprawę załatwić do końca. - Czy pan Philips jest teraz w pracy? - zapytał Logan, usiłując zamaskować rozdrażnienie.

Nerwus pokręcił przecząco głową.

- Wziął dziś wolne.

Logan przetarł oczy, starając się rozmasować czający się za nimi ból. No, taka informacja to już coś.

- No dobrze. Skoro twierdzi pan, że on tu mieszka...

- Bo to prawda!

- Jeśli faktycznie mieszka na tej farmie, to na pewno nie w tym domu. -

Sierżant odwrócił się plecami do ciemnego, zaniedbanego budynku.

Resztę zabudowań rozrzucano po terenie farmy na pozór bez ładu i składu. Wszystkie były ponumerowane. - Spróbujmy tam - powiedział w końcu, wskazując zdezelowaną stodołę z namalowanym numerem 1: równie dobre miejsce do rozpoczęcia poszukiwań jak każde inne.

Roztrzęsiony, blady jak ściana Steve dołączył do nich przy stodole. Wyglądał jeszcze gorzej niż rano. Jedno trzeba było Inschowi przyznać: kiedy chciał kogoś ukarać, wiedział, jak to zrobić.

Drzwi stodoły numer 1 były niechlujnie pomalowane tanią zieloną farbą. Nie tylko drzwi zresztą: farba była na ścianach, na framudze, na trawie pod nogami... Logan skinął na posterunkowego, ten jednak stał bez ruchu, wlepiając w niego przerażony wzrok. W tym miejscu śmierdziało jeszcze bardziej niż pod domem.

- Posterunkowy, otwórzcie drzwi - polecił Logan.

Postanowił, że sam nie będzie tego robił - w końcu ma się kim wyręczyć. Impas trwał dłuższą chwilę, ale w końcu Steve złapał za uchwyt na drzwiach i odparł:

- Tak jest, panie sierżancie.

Ciężkie wrota przesuwwały się na powykrzywianych, zardzewiałych szynach. Posterunkowy zacisnął zęby i szarpnął. Drzwi skrzypnęły, uchyliły się - i wydostał się zza nich najpotworniejszy smród, z jakim Logan miał w życiu do czynienia.

Wszyscy trzej zatoczyli się do tyłu.

Przez drzwi wysypała się mała lawina martwych, opalizujących błękitno much. Rozsypały się na ziemi, roszone drobną mżawką.

Posterunkowy Steve oddalił się pospiesznie, aby znów zwymiotować.

Budynek w pewnym okresie pełnił funkcję obory. Był niski, podłużny, miał nagie ściany z granitowych bloków i dach kryty łupkiem. Środkiem biegł podwyższony chodnik z sięgającymi kolan drewnianymi barierkami - i była to jedyna wolna przestrzeń we wnętrzu. Wszędzie poza tym zalegały gnijące truchła małych zwierząt.

Sztywne, powykręcane zwłoki pokrywał ruszający się, wijący dywan białych larw.

Logan cofnął się trzy kroki i skoczył pod mur, żeby tam zwymiotować. Czuł się tak, jakby znów dostał serię ciosów w żołądek: każdy skurcz boleśnie wstrząsał poblížnionym brzuchem.

W budynkach numer 1, 2 i 3 też znaleźli martwe zwierzęta. Numer 3 nie był zapełniony do końca, pozostały tam jeszcze dobre trzy, cztery metry odkrytej betonowej posadzki, na którą sączył się gęsty, żółty śluz. Martwe muchy chrzęściły pod butami.

83

Gdzieś w czasie oględzin drugiej szopy Logan zmienił zdanie na temat Inscha: inspektor nie był człowiekiem, który przykładowie karze pijanych posterunkowych, tylko skończonym skurczybykiem.

Zajrzeli do wszystkich budynków; za każdym razem, kiedy Steve otwierał drzwi, żołądek podchodził Loganowi do gardła. Cała procedura - z wymiotowaniem i przeklinaniem - trwała chyba z tydzień, a potem usiedli na rozpadającym się murku, pod wiatr od farmy, przyciskając kolana do piersi i oddychając przez usta.

Znaleźli truchła psów, kotów, jeży, mew, nawet paru saren; cokolwiek za życia biegało, pęzało lub fruwało - po śmierci trafiło na tę farmę jak na jakąś

nekromancką arkę. Z tą różnicą, że okazów poszczególnych gatunków było znacznie więcej niż po parze.

- Co z nimi zrobicie? - zapytał Logan. W ustach wciąż miał gorzki smak żółci, mimo że wyjadł Steve'owi pół paczki mocnych miętówek.

Nerwus podniósł na niego wzrok. Oczy miał zaczerwienione od regularnego wymiotowania.

- Będziemy musieli je uprzętać i spalić farmę. - Przetarł dłonią spoconą twarz. Wzdrygnął się. - To potrwa...
- Lepiej wy niż...

Logan urwał w pół zdania. Na końcu prowadzącej na farmę dróżki coś się poruszyło.

Mężczyzna miał na sobie wyblakłe džinsy i jaskrawą, pomarańczową kurtkę. Szedł wyasfaltowanym odcinkiem drogi. Głowę miał spuszczoną, nie widział nic poza własnymi stopami.

- Cśś! - syknął Logan. Jedną ręką chwycił Nerwusa, drugą posterunkowego. - Posterunkowy, wy zajdziecie go od tyłu - powiedział i wskazał stodołę z numerem 2.

Odprowadził wzrokiem Steve'a, przemykającego przez mokre zarośla, odczekał, aż zajmie wyznaczoną pozycję, i złapał urzędnika za klapy kurtki.

- Ma pan okazję doręczyć pismo - powiedział, wstając.

Człowiek w pomarańczowej kurtce podniósł głowę, dopiero znalazłszy się niespełna dwa metry od nich. Nazwisko brzmiało obco, ale twarz Logan rozpoznał od razu: to był Sprzątac.

Usiedli na prowizorycznej ławce w szopie numer 5, tuż za progiem. Bernard Duncan Philips, lepiej znany jako Sprzątac, urządził w niej sobie coś na kształt mieszkania. Leżący w kącie kłęb koców, starych ubrań i fo-

liowych worków był zapewne łóżkiem. Nad tym barłogiem wisiał toporny krucyfiks, na którym półnagi Action-Man udawał Chrystusa.

84

Przy łóżki piętrzyła się sterta pustych puszek i kartoników po jajkach, a obok stała kuchenka gazowa - maleńka, podobna do tej, którą ojciec Logan zawsze zabierał do wozu kempingowego, kiedy jechali na wakacje do Lossiemouth. W tej chwili szumiała cicho, grzejąc czajnik z wodą na herbatę.

Sprzątaczu - bo trudno było myśleć o nim jako o Bernardzie - siedział na rozklekotanym drewnianym krześle, ozdobnym pogrzebaczem poszturchując ogień w małym kominku, a właściwie elektryczną namiastkę ognia z dwóch polan, równie martwą jak zwierzęta w stodołach pierwszej, drugiej i trzeciej. Wyglądało jednak na to, że ta zabawa sprawia mu frajdę. Nucił pod nosem melodię, której Logan nie umiał rozpoznać.

Od chwili jego przybycia urzędnik z rady miasta zachowywał zdumiewający spokój, przedstawiając mu sytuację w prostych, krótkich słowach: masy martwych zwierząt muszą zniknąć.

- Z pewnością to rozumiesz, Bernardzie - mówił, postukując palcem w karty notesu. - Nie możesz tu trzymać martwych zwierząt, bo to poważne zagrożenie dla zdrowia, twojego i innych ludzi. Jak byś się czuł, gdyby ktoś się przez nie pochorował?

Sprzątaczu wzruszył ramionami i szturchnął sztuczny płomień.

- Mama zachorowała - powiedział.

Logan ze zdumieniem odnotował, że mówi praktycznie bez żadnego akcentu. Spodziewał się, że człowiek, którego miasto zatrudnia do zeskrobywania zabitych zwierząt z ulic, będzie brzmiał bardziej „tubylczo”. Niektórych okolicznych mieszkańców w ogóle nie dawało się zrozumieć - ale nie Sprzątacza.

Było oczywiste, że ten człowiek, siedzący na rozpadającym się krześle i grzejący się przy elektrycznym kominku, miał jakieś klasyczne wykształcenie.

- Zachorowała i odeszła - ciągnął Sprzątac. Pierwszy raz podniósł wzrok. - Jest teraz u Boga.

Pomijając brud i zarost, był całkiem przystojny: dumny nos, szare oczy, ogorzałe policzki. Gdyby go wykąpać i posłać do fryzjera, nie powstydziliby się go Royal Northern Club, gdzie elita Aberdeen ucztowała przy pięciodaniowych obiadach.

- Wiem, Bernardzie, wiem o tym. - Nerwus uśmiechnął się ciepło.

- Jutro przyślemy ludzi, którzy zaczną uprzętać zwierzęta, dobrze?

Sprzątac upuścił pogrzebacz. Narzędzie upadło na beton z głośnym klekotem, który poniósł się echem w pustym, kamiennym wnętrzu.

- Są moje - powiedział. Zbierało mu się na płacz. - Nie możecie mi odebrać moich rzeczy! Są moje.

-Trzeba się ich pozbyć, Bernardzie. Dla twojego bezpieczeństwa.

-Ale one są moje...

Nerwus wstał i skinął na Logana i Steve'a.

85

- Przykro mi, Bernardzie, naprawdę. Wpół do dziewiątej przyjedzie ekipa sanitarna. Jeśli chcesz, możesz im pomóc.
- To moje rzeczy.
- Bernardzie...? Chcesz im pomóc?
- Moje martwe rzeczy...

Wrócili do miasta z otwartymi oknami, próbując zapomnieć o smrodzie farmy Bernarda Duncana Philipsa. Smród wgrzył im się w ubrania i we

włosy, gryzący, obrzydliwy. Nie przeszkadzało im nawet to, że mżawka przeszła w regularny deszcz, który sączył się do środka przez otwarte okna. Przemoknięcie nie było wygórowaną ceną.

- Teraz trudno się tego domyślić, kiedy człowiek na niego patrzy - powiedział Nerwus, kiedy jechali Holburn Street w stronę siedziby rady miasta w St. Nicholas House. - Ale to był bystry chłopak. Skończył historię średniowieczną na Uniwersytecie St. Andrews. Tak słyszałem.

Logan pokiwał głową. Spodziewał się czegoś podobnego.

- Co się z nim stało?
- Schizofrenia. - Urzędnik wzruszył ramionami. - Bierze leki.
- Opieka środowiskowa?
 - Jest zupełnie niegroźny - zapewnił Nerwus, ale głos mu drżał. To dlatego tak nalegał na eskortę policji. Bał się Sprzątacza. - I wykonuje pożyteczną pracę, naprawdę.
- Zbiera martwe zwierzęta z dróg.
 - Nie można ich przecież tak zostawić, żeby gnily na poboczu, prawda? To znaczy, dopóki to są jeże i króliki, to jeszcze pół biedy; samochód i tak robi z nich miazgę, którą potem zjedzą kruki czy inni padlinożercy. Ale psy, koty i różne takie... No wie pan... Ludzie nie są zachwyceni, kiedy codziennie po drodze do pracy muszą przejeżdżać obok zabitego labradora. - Nerwus zatrzymał forda. Przed nimi autobus włączał się do ruchu.
 - Nie wiem, co byśmy poczęli bez Bernarda. Zanim został zwolniony ze szpitala, nikt nie chciał podjąć się tej roboty, za żadne pieniądze.

Logan musiał przyznać, że dawno już nie widział rozjechanego zwierzęcia na ulicach Aberdeen.

Nerwus wysadził ich przy komendzie. Podziękował za pomoc, przeprosił

za smród i odjechał. Logan i posterunkowy Steve rzucili się biegiem do drzwi, przy każdym kroku rozchlapując kałuże. Zanim wpadli do recepcji, przemokli do suchej nitki.

Sierżant dyżurny, mężczyzna o ostrych rysach, spojrzął na nich, gdy chlupiąc wodą w butach, deptali ułożone z kafelków godło policji Gram-pian: oset w koronie, z dewizą „Semper Vigilo”.

86

- Pan sierżant McRae? - zapytał, podnosząc się z krzesła i wyciągając szyję jak ciekawska papuga.

-Tak?

Logan czekał na jakieś nawiązanie do Łazarza. Duży Gary i Erie na pewno opowiedzieli już o nim wszystkim w komendzie.

- Inspektor Insch czeka na pana w pokoju operacyjnym.

Logan spojrzął na swoje przemoczone spodnie i nasiąkniętą wodą marynarkę. Wiele by dał za prysznic i suche ubranie.

- Nie może poczekać jeszcze kwadrans?

Sierżant dyżurny pokręcił głową.

- Raczej nie. Był bardzo konkretny. Powiedział: jak tylko przyjdzie, niech się stawi w pokoju operacyjnym.

Posterunkowy Steve poszedł się suszyć, a Logan, mamrocząc pod nosem, podążył do windy. Wściekłym gestem wcisnął przycisk. Na drugim piętrze ciężkim krokiem ruszył korytarzem, którego ściany przybrano już świątecznymi kartkami, przypiętymi do korkowych tablic pomiędzy „Kto widział tę kobietę”, „Nic nie usprawiedliwia przemocy domowej”, listami gończymi i plakatami informacyjnymi wywieszonymi przez biuro rzecznika prasowego. Drobinki radości w morzu cierpienia i żalości.

W operacyjnym panowało ożywienie. Posterunkowi obojga płci biegali we wszystkie strony z plikami papierów w rękach albo odbierali dzwoniące bez przerwy telefony. A pośrodku tego tumultu na skraju biurka siedział inspektor Inch, zaglądając przez ramię policjantowi, który notował coś, trzymając słuchawkę telefonu wciśniętą między bark i policzek.

Coś się musiało wydarzyć.

- Co się stało? - zapytał Logan, precyzyjnie się przez tłum.

Inspektor uciszył go gestem i nachylił się nad blatem, coś czytając.

W końcu wydał jęk zawodu i odwrócił się do Logana. Uniósł brwi, widząc, w jakim stanie jest sierżant.

- Był pan na basenie?

- Nie, panie inspektorze. - Logan czuł, jak woda ścieka mu po karku i wsiąka w przemoczony kołnierzyk. - Pada.

Insch wzruszył ramionami.

- Jak to w Aberdeen... Nie mógł się pan wysuszyć przed przyjściem?

Zachłapie mi pan mój wypieszczony, czysty jak łza pokój operacyjny.

Logan przymknął oczy. Postanowił nie połykać haczyka.

- Sierżant dyżurny powiedział, że to pilne.
- Zaginęło następne dziecko.

87

Szyby samochodu zaparowywały tak szybko, że dmuchawy nie nadążały ich osuszać. Logan nastawił nawiew na maksimum i podkręcił ogrzewanie, ale świat na zewnątrz nadal był niewyraźny i rozmyty. Inspektor Inch siedział w fotelu pasażera i żuł coś w zadumie. Logan spod przymkniętych powiek obserwował ociekające deszczem ulice, usiłując przebić się do

Hazlehead, gdzie zgłoszono zaginięcie dziecka.

- To ciekawe... - zauważył Insch. - Odkąd wrócił pan do pracy, mieliśmy dwa zaginięcia, znaleźliśmy zwłoki dziewczynki i zwłoki chłopca, a w porcie wyłowiliśmy z wody martwego mężczyznę bez kolan. To wszystko w trzy dni. W Aberdeen to rekord. - Wsunął palce do torebki z Zelkami i wyjął z niej coś o kształcie ameby. - Pan nam chyba przynosi pecha.
- Dziękuję, panie inspektorze.
- Statystyki przestępstw diabli wzięli. Moi ludzie albo szukają zaginionych dzieci, albo próbują ustalić tożsamość dziewczynki z worka ze śmieciami. Jak mam ścigać włamywaczy, oszustów i ekshibicjonistów, skoro wszyscy posterunkowi są zajęci? - Insch westchnął i podsunął torebkę Loganowi.
- Nie, dziękuję.
- Wie pan co? Z wysoką rangą wcale nie wiąże się aż tyle przywilejów, jak by się mogło wydawać.

Logan kątem oka zerknął na inspektora. Insch nie należał do ludzi, którzy uważają się nad sobą- przynajmniej nic o tym nie wiedział.

- Ale nadzorowanie niższych stopniem należy do nich, prawda? Na grubo ciosanej twarzy Inscha pojawił się uśmiech.
- Podobała się panu kolekcja Sprzątacza?

Od początku wiedział, że stodoły są pełne gnijących trupów zwierząt!

Specjalnie ich tam wysłał!

- Chyba nigdy przedtem tak nie wymiotowałem.

-A jak posterunkowy Jacobs?

Logan już miał zapytać, kim jest posterunkowy Jacobs, kiedy zdał sobie sprawę, że inspektor ma na myśli Steve'a Ekshibicjonistę.

- Nieprędko zapomni ten dzień. Insch pokiwał głową.
- To dobrze.

Logan miał wrażenie, że inspektor chce jeszcze coś dodać, ale Insch tylko włożył do ust następną żelkę i uśmiechnął się złowieszczo.

Hazlehead leżało na samym skraju miasta, dosłownie o rzut kamieniem od rozciągających się dalej pól uprawnych: na tyłach Hazlehead Academy tylko krematorium dzieliło cywilizację od łagodnie pofalowanych zago-

88

nów. Szkoła słynęła z narkotyków i przemocy wśród uczniów, ale w Powis i [Sa.ndila.nds](#) bywało gorzej.

Zajechali pod jeden z bloków przy głównej drodze. Nie był tak duży jak wieżowce w mieście - miał zaledwie sześć pięter. Otaczały go wiekowe, strupieszale drzewa. W tym roku późno potraciły liście, które zbierały się na ziemi w czarne, oślizłe sterty i zatykały studzienki.

- Ma pan parasol? - spytał inspektor. Pogoda była beznadziejna.

Logan odparł, że tak, w bagażniku, i Insch kazał mu go przynieść. Sam wysiadł dopiero wtedy, gdy sierżant z rozłożonym parasolem stanął przy samych drzwiach samochodu.

- To się nazywa dobra obsługa. - Inspektor wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Chodźmy. Porozmawiamy z rodziną.

Państwo Lumleyowie zajmowali narożne mieszkanie na jednym z górnych pięter. Logan ze zdumieniem stwierdził, że winda nie cuchnie szczy-nami, a na ścianach nie widać jeżących się błędami ortograficznymi graffiti. Wyszli z windy na jasno oświetlony korytarz. W połowie jego długości stał

posterunkowy i dłubał w nosie.

Na widok inspektora porzucił prace wykopaliskowe i wyprężył się na baczność.

- Panie inspektorze!

- Długo tu stoicie, posterunkowy? - zainteresował się Insch, zerkając ponad jego ramieniem w stronę mieszkania Lumleyów.

- Dwadzieścia minut, panie inspektorze.

Niespełna dwieście metrów od bloku znajdował się maleńki lokalny komisariat. Zajmował dosłownie kilka pokoi, ale spisywał się należycie.

- Ktoś już chodzi po domach? Wypytuje sąsiadów?

Policjant przytaknął.

- Troje posterunkowych, panie inspektorze. A radiowóz jeździ po okolicy i nadaje rysopis przez megafon.

- Kiedy chłopiec zniknął?

Posterunkowy wyjął notes z kieszeni i otworzył go od razu na właściwej stronie.

- Matka zgłosiła zaginięcie o dziesiątej trzynastcie. Chłopiec bawił się na dworze...

Logan wytrzeszczył oczy.

- W taką pogodę?!

- Matka twierdzi, że mały lubi deszcz. Ubiera się wtedy jak Miś Paddington.

- Cóż... - Insch wsunął ręce głęboko w kieszenie. - Ludzie są różni. Koledzy?

- W szkole.
- Dobrze, że ktoś tam jeszcze bywa. Sprawdziliście szkołę? Może nasz mały przyjaciel postanowił się tam przejść i czegoś nauczyć?

Posterunkowy pokiwał głową.

- Najpierw obdzwoniliśmy kolegów, a zaraz potem zatelefonowaliśmy do szkoły. Od dziesięciu dni nikt go tam nie widział.

- Pięknie... - westchnął Insch. - No dobrze, proszę się odsunąć. Porozmawiamy z rodzicami.

Mieszkanie było kolorowe i wesołe - zupełnie jak dom w Kingswells, w którym David Reid mieszkał, zanim go uprowadzono, uduszono, zabito, zgwałcono i okaleczono. Na ścianach wisiały zdjęcia - jak w domu Erskine'a w Torry, z tą różnicą, że ten pięciolatek prezentował się trochę mniej schludnie z rozczochranymi rudymi włosami i mnóstwem piegów.

- To zdjęcie sprzed dwóch miesięcy. Miał wtedy urodziny.

Logan odwrócił się od ściany i spojrzał na kobietę stojącą w progu salonu. Wyglądała oszałamiająco: miała długie do ramion, poskręcane w loki włosy, drobny zadarty nos i ogromne zielone oczy. Widać było, że płakała. Kiedy prowadziła ich do salonu, Logan starał się nie gapić na jej okazały biust.

- Znaleźliście go? - Mężczyzna w podniszczonym niebieskim kombi-
nezonie i skarpetkach zerwał się z miejsca.
- Daj panom trochę czasu, Jim. - Kobieta położyła mu dłoń na ramieniu. -
Dopiero przyszli.
- Pan jest ojcem dziecka? - spytał Insch, przysiadając na oparciu błękitnej
sofy.
- Ojczymem. - Mężczyzna usiadł z powrotem. - Jego ojciec to łajdak...
- Jim!

- Przepraszam. Nie przepadamy za sobą nawzajem.

Logan zaczął niespieszne oględziny radosnego pokoju. Demonstracyjnie długo podziwiał zdjęcia i bibeloty, kątem oka obserwując Jima ojczyma. Nie byłby to pierwszy przypadek, kiedy pasierbowi nie spodobał się nowy mąż mamusi. Niektórzy ludzie traktowali dzieci partnera jak własne, innym wciąż przypominały, że nie byli pierwsi. Że ktoś przed nimi bzykał osobę, którą pokochali. Zazdrość potrafi być straszna - zwłaszcza kiedy ktoś zechce ją wyładować na pięcioletnim dziecku.

Faktem było, że na wszystkich zdjęciach cała trójka wyglądała, jakby świetnie się ze sobą czuli. Z drugiej strony - mało kto chwali się fotografiami, na których widać siniaki, ślady po przypalaniu papierosem i połamane kości.

90

Szczególnie zauroczyła go scena z jakiejś ciepłej plaży: wszyscy troje byli w kostiumach kąpielowych i uśmiechali się do obiektywu. Matka miała fantastyczną figurę, dodatkowo podkreśloną przez bikini w kolorze butę licowej zieleni. Efektu nie psuła nawet blizna po cesarskim cięciu.

- Korfu- wyjaśniła pani Lumley. - Co roku jeździmy z Jimem w jakieś ładne miejsce. Rok temu byliśmy na Korfu, w tym roku na Malcie. Za rok jedziemy na Florydę, żeby pokazać Peterowi Myszkę Miki... - Przygryzła wargę.- Peter ją uwielbia... i... Boże, znajdźcie go, błagam!

Wtuliła się w ramiona męża.

Insch spojrział znacząco na Logana, który kiwnął głową i zaproponował:

- Może napijemy się herbaty? Panie Lumley, zaprowadzi mnie pan do kuchni?

Pół godziny później Logan z Inschem stali u stóp schodów i wyglądali na

ulicę. Lało jak z cebra.

- I co pan powie? - spytał Insch, wyciągając torebkę cukierków.

- O ojczymie? Naprawdę lubi dzieciaka. Szkoda, że nie słyszał pan, jak się zarzekał, że Peter, kiedy dorośnie, będzie grał w piłkę w Dons. Nie pasuje mi do roli złego ojczyma.

Inspektor był tego samego zdania. Kiedy Logan parzył herbatę i rozmawiał z panem Lumleyem, Insch ostrożnie wypytywał matkę.

- Mnie też nie. Chłopiec nie miał żadnych wypadków, tajemniczych chorób, niespodziewanych wizyt u lekarza.

- A dlaczego nie był dziś w szkole? - spytał Logan, częstując się galaretką.

- Jakiś byczek regularnie go tłucze, bo Peter ma rude włosy. Matka trzyma go w domu i czeka, aż szkoła coś z tym zrobi. Ale nie powiedziała o tym mężowi; boi się, że się wścieknie, kiedy usłyszały, że ktoś dokucza małemu.

Insch wsunął do ust żelkę i westchnął.

- Dwa zaginięcia w ciągu dwóch dni. - Nawet nie starał się ukryć przygnębienia. - Mam nadzieję, że po prostu zwiął. Naprawdę nie chcę oglądać następnego dziecka w prosektorium. - Znow westchnął ciężko, jakby zapadł się w sobie.
- Znajdziemy ich - powiedział Logan z przekonaniem, którego wcale nie czuł.
- Pewnie, że znajdziemy. - Inspektor wyszedł na deszcz, nie czekając, aż sierżant rozłoży parasol. - Martwych.

Nie rozmawiali, wracając do komendy. Niebo pociemniało, burzowe chmury rozpostarły się od horyzontu po horyzont, miasto utonęło w półmroku, chociaż była dopiero druga po południu. Włączyły się latarnie uliczne. W ich żółtym blasku dzień wydawał się jeszcze ciemniejszy.

Inspektor miał, rzecz jasna, rację: nie znajdą zaginionych chłopców żywych. Na pewno nie, jeśli uprowadził ich ten sam człowiek. Isobel stwierdziła przecież, że gwałtu dokonano pośmiertnie.

Logan prowadził jak automat przez całą Anderson Drive.

Peter Lumley przynajmniej trochę poużywał sobie życia, nie to co biedny Richard Erskine przy nadopiekuńczej matce. Logan nie potrafił sobie wyobrazić, że mama zabiera małego Erskine'a na Korfu, Malte, Florydę. To zbyt niebezpieczne dla jej pupilka. Peter miał fart, że trafił mu się taki fajny ojczym...

- Miał pan już nalot inkwizycji? - spytał Insch, kiedy wjechali na rondo na końcu Queen Street. Na środku, na olbrzymim granitowym postumencie stał posąg królowej Wiktorii. Ktoś założył jej na głowę gumowy pacholek.

- Wydziału wewnętrznego? Nie. Jeszcze nie.

Właśnie, czekała go jeszcze jedna przyjemność.

- U mnie byli dziś rano. - Insch westchnął ciężko. - Jakiś nabzdyczony dupek w odprasowanym mundurze, który prawdziwą pracę policyjną zna tylko z książek, będzie mi tłumaczył, jakie to ważne, żeby znaleźć źródło przecieku do prasy. Tak jakbym sam o tym nie wiedział. Mówię panu, dorwę tego...

Brudna jak siedem nieszczęść furgonetka - ford - zajęła im drogę. Logan wgniół hamulec w podłogę i zaklął.

- Zatrzymujemy go! - Inch cały się rozpromienił. Jak tylko komuś uprzykrzą życie, poprawi im się humor.

Urządzili kierującej fordem kobiecie połajankę i kazali się jej stawić o dziewiątej następnego dnia na komendzie, z prawem jazdy i dokumentami wozu. Niewiele, ale zawsze coś.

W operacyjnym nadal panował chaos. Telefony dzwoniły bez przerwy, bo w południowych serwisach Northsound Radio i telewizja podały rysopis zaginionego. Wszystkie główne programy rzuciły się na tę historię; Aberdeen i cała miejska policja znalazły się w centrum zainteresowania mediów. Inch wiedział, że albo szybko załatwi sprawę, albo urwą mu łeb i dadzą się nim pobawić.

92

Trochę czasu zajęło im zweryfikowanie doniesień świadków, którzy mogli widzieć któregoś z poszukiwanych. W większości przypadków tracili tylko czas, ale na wszelki wypadek należało sprawdzić wszystkie. Jeden z techników wprowadzał raporty do komputera. Wpisywał miejsce, datę i godzinę zdarzenia do HOLMES-a, potężnego systemu śledczego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, który badał wszelkie możliwe korelacje i generował tony dokumentacji. Większość wyników do niczego się nie nadawała, ale czasem trafiało się w ich zalewie coś użytecznego.

Tyle że Logan uważał to wszystko za stratę czasu: Peter Lumley i tak już nie żył. Bez względu na to, ile starszych pań widziało go w Peterhead czy Stonehaven. Leżał martwy gdzieś w rowie, półnagi i zbezczeszczony.

Oficer administracyjny, kobieta chuda jak szczapa - i stanowczo zbyt inteligentna na to, żeby tak wyglądać - podała Inchowi stos papierów: raporty wygenerowane przez HOLMES-a podczas ich nieobecności. In-

spektor przekartkował plik.

- Gówno - powtarzał, odrzucając niechciane dokumenty przez ramię.

- Gówno, gówno, gówno.

Za każdym razem, kiedy HOLMES trafiał w raporcie na jakieś nazwisko, zalecał przesłuchanie tej osoby. Nawet jeśli mieli zgłoszenie od staruszki, która w czasie, kiedy dziecko zaginęło, karmiła swojego kota, Pana Tibblesa, HOLMES domagał się zatrzymania Pana Tibblesa.

- To nie ma sensu. - Następne kilka kartek sfrunęło na podłogę. - To też. - Po wstępnej selekcji zostało ledwie kilkanaście kartek. - Reszta do sprawdzenia - zalecił Insch i oddał kobiecie znacznie odchudzony plik.

Oficer administracyjny zsalutowała mu cierpliwie i zostawiła ich samych.

- Wie pan co? - Insch zmierzył Logana krytycznym spojrzeniem.
-Wygląda pan gorzej, niż ja się czuję.
- Nie mam nic do roboty, panie inspektorze.
- Coś panu powiem. Insch przysiadł na skraju biurka i wziął do ręki stertę raportów. Wręczył ją Loganowi. - Jeśli chce się pan na coś przydać, proszę je przejrzeć. To z Rosemount, z dzisiejszego ranka; nasi ludzie robili tam rekonesans. Po południu Norman Chalmers stanie przed sądem. Może uda się panu ustalić tożsamość dziewczynki, zanim ten skurwiel wyjdzie za kaucją.

Logan znalazł sobie pusty pokój możliwie najdalej od zgiełku pokoju operacyjnego. Posterunkowi odwalili kawał dobrej roboty: godziny raportów wskazywały, że niektóre domy odwiedzili więcej niż raz, aby mieć pewność, że rozmawiali ze wszystkimi mieszkańcami.

Nikt nie znał dziewczynki. Nikt nie rozpoznał jej na zdjęciu z kostnicy. Tak jakby nie istniała, dopóki ktoś na wysypisku nie wypatrzył jej nogi sterczącej z worka na śmieci.

Przyniósł z magazynu plan miasta i powiesił go na ścianie zarekwirowanego gabinetu. W operacyjnym wisiał już taki sam, pokreślony, podziurawiony szpilkami i pooklejany samoprzylepnymi karteczkami, ale Logan chciał mieć własny. Jedną czerwoną pineską zaznaczył wysypisko śmieci, drugą Rosemount, Wallhill Crescent 17.

Worek na śmieci, w którym znaleziono zwłoki dziewczynki, pochodził z mieszkania Normana Chalmersa - tyle że w mieszkaniu nie znaleziono żadnych śladów obecności dziecka. Łączyła ich tylko zawartość worka. Można było iść z tym do sądu, ale dobry adwokat - a Sandy Moir-Farquharson nie był po prostu „dobry”; skurczybyk był geniuszem - nie zostawi suchej nitki na tak skonstruowanym akcie oskarżenia.

- No właśnie.

Logan przysiadł na biurku, skrzyżował ramiona na piersi i wbił wzrok w dwie czerwone pineski na planie. Cały czas wracał myślami do tego worka na śmieci. Kiedy aresztowali Chalmersa, w mieszkaniu było pełno kociej sierści; przez cały wieczór w pubie wyskubywał sobie kocie włosy ze spodni, a uparte szare kłaczkę do tej pory kleiły mu się do marynarki. Gdyby dziewczynka przebywała w tym mieszkaniu, podczas sekcji zwłok Isobel na pewno coś by znalazła.

A zatem dziecka w ogóle tam nie było. To już wiedzieli. Właśnie dlatego Inch zażyczył sobie skrupulatnego zbadania interesów Chalmersa, żeby dowiedzieć się, gdzie indziej mógł przetrzymywać dziewczynkę. Jednakże

poszukiwania nie przyniosły efektów. Jeżeli Chalmers miał kryjówkę, do której zabrał dziecko, to nikt poza nim nie wiedział o jej istnieniu.

- A jeśli to nie on? - zapytał na głos Logan.
- Co: nie on? Posterunkowa Wat... Jackie.
- Jeśli to nie Norman Chalmers zamordował tę dziewczynkę? Twarz Watson stężała.
- To on.

Logan z westchnieniem dźwignął się z biurka. Można się było spodziewać, że Watson będzie drażliwa: nadal miała nadzieję, że paragon ze sklepu pomoże rozwikłać sprawę.

- Powiem inaczej: jeśli nie on ją zabił, zrobił to ktoś inny. Zgoda?

Watson wzniosła oczy do góry.

- Ktoś, kto miał dostęp do śmieci Normana Chalmersa - dodał po spiesznie Logan.

94

- Nie ma kogoś takiego! Kto by w nich grzebał?

Logan postukał palcem w plan miasta, aż papier zachrząścił.

- W Rosemount są takie duże, komunalne kontenery na ulicach. Każdy może tam wyrzucić swój szajs. Jeżeli to nie Chalmers zabił, morderca mógł podrzucić zwłoki tylko w dwóch miejscach: albo w Rosemount... - Zno wu dźgnął mapę palcem. - Albo tutaj, na wysypisku. Ale gdyby wkładał je do worka na wysypisku, nie zostawiłby sterczącej z worka nogi. Bo po co? Znacznie łatwiej byłoby po prostu zagrzebać ciało w śmieciach. - Wyjął pineskę z rejonu Nigg i popukał się plastikową końcówką po zębach. - Stąd wniosek, że morderca nie podrzucił ciała na wysypisku. Trafiło tam w śmieciarce, razem z masą innych śmieci. A zabita dziewczynka trafiła do

worka, kiedy znajdował się jeszcze w pojemniku na ulicy.

Posterunkowa Watson nie zamierzała łatwo ustąpić.

- Ale nadal wszystko wskazuje na Chalmersa. Jeśli to nie on ją zabił, skąd się wzięła w jego worku na śmieci?

Logan wzruszył ramionami. To właśnie należało wyjaśnić.

- A po co ludzie chowają rzeczy do worków? Żeby łatwiej było je nieść. Żeby je ukryć. Żeby... - Odwrócił się do biurka i zaczął przeglądać poranne raporty. - Nie można przecież tak po prostu wozić zwłok dziecka samochodem i szukać kontenera, do którego dałoby się je wyrzucić.

- Zaczął układać raporty w kolejności numerów domów przy Wallhill Crescent. - Poza tym ktoś, kto ma samochód, wywozi ciało za miasto i grzebie je w płytkim grobie gdzieś przy Garlogoie albo w okolicy New Deer. Na odludziu, gdzie znajdują je dopiero po latach. Albo wcale.

- Może się przestraszył?

Logan kiwnął głową.

- Właśnie. Wpadł w panikę i pozbył się ciała w najprostszy możliwy sposób. Nie wybrzydzał, nie szukał dogodnego kontenera. Tym bardziej że zwłoki były tylko oklejone przyklepcem. Mała dziewczynka, martwa, naga, oblepiona taśmą... Z takim ładunkiem nie można się obnosić. Ten, kto wyrzucił zwłoki, wybrał najbliższy pojemnik.

Podzielił raporty na dwie kupki: w jednej zebrał te dotyczące mieszkań z domów odległych o jeden lub dwa numery od siedemnastki, w drugiej - pozostałe. Pierwszy stosik obejmował trzydzieści mieszkań.

- Mogę prosić o przysługę? - Przepisał trzydzieści nazwisk na czystą kartkę. - Proszę to zanieść do archiwum kryminalnego. Może ktoś z nich jest notowany: upomnienie, areszt, mandat za złe parkowanie... Cokolwiek.

Posterunkowa Watson powiedziała mu, że traci czas. Że Norman Chalmers jest winny jak sto diabłów. Ale zabrała listę nazwisk i obiecała wrócić, kiedy wszystko sprawdzi.

95

Logan kupił w automacie tabliczkę czekolady i kubek rozpuszczalnej kawy -jadł i pił, czytając raporty po raz drugi. Ktoś kłamał. Ktoś wiedział, co się działo z dziewczynką. Ktoś ją zabił, próbował poćwiartować, a potem wyrzucił na śmietnik.

Tylko kto?

Co roku w północno-wschodniej Szkocji zgłaszano zaginięcie ponad trzech tysięcy ludzi. Trzy tysiące zaginionych w ciągu dwunastu miesięcy. A oni mieli tu czteroletnie dziecko, martwe od co najmniej dwóch dni, jeśli wierzyć wnioskowi z autopsji, i nikt się o nie nie dopytywał. Dlaczego nikt nie zgłosił zaginięcia? Może nikt nie zauważył, że zniknęła?

Z kieszeni dobiegł znajomy, ogłuszający dźwięk. Logan zaklął i wyjął telefon.

- Logan, słucham.

Sierżant dyżurny poinformował go, że na dole czeka na niego gość.

Logan zmarszczył brwi i spojrzał na rozłożone na biurku papiery.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Zaraz zejść.

Wyrzucił kubek po kawie i opakowanie z czekolady do kosza i zszedł na parter. Ktoś za bardzo podkreślił ogrzewanie. Przemoczeni goście siedzieli w recepcji, czekali i schli, a okna dokumentnie zaparowały.

- Tam, panie sierżancie. - Sierżant recepcjonista wskazał mu kierunek.

Colin Miller, Złoty Chłopak „Press and Journal”, stał przy gablocie z listami

gończymi. Przepisywał interesujące go szczegóły do palmtopa. Woda rytmicznie skapywała na podłogę z czarnego eleganckiego płaszcza.

Odwrócił się i uśmiechnął na widok Logana.

-Łazarz! - Wyciągnął rękę na powitanie. - Miło cię znów widzieć. Ładnie tu macie.

Szerokim gestem ogarnął ciasną, duszną recepcję z przemoczonymi gośćmi i zaparowanymi oknami.

- Jestem sierżant McRae, nie Łazarz

Colin Miller mrugnął.

- Wiem przecież. Po naszym wczorajszym spotkaniu trochę sobie powęszyłem. Ta twoja posterunkowa jest naprawdę niczego sobie, nawiasem mówiąc. W każdej chwili dałbym się jej puknąć. Wiesz, co mam na myśli, nie?

Znów mrugnął porozumiewawczo.

- Czego pan chce, panie Miller?
- Ja? Chciałbym zaprosić mojego ulubionego detektywa na lunch.
- Jest trzecia.

Logan nagle zdał sobie sprawę, że poza czekoladą i dwoma bułkami nic nie jadł od rana, od przygotowanej przez posterunkowa Watson kanap-

96

ki z bekonem. A kanapka skończyła rozbryźnięta na trawie w należącym do Sprzątacza pałacu strachów. Umierał z głodu. Miller wzruszył ramionami.

- To będzie późny lunch. Z herbatką... - Rozejrzał się teatralnie po recepcji i konspiracyjnie zniżył głos. - Moglibyśmy sobie nawzajem pomóc. Wiem coś, co może się panu przydać. - Wyprostował się i rozpromienił.
- To jak? Na koszt gazety...

Logan się zawahał. Obowiązywały go stanowcze reguły ograniczające

możliwość przyjmowania prezentów; nowoczesna policja dokładała wszelkich starań, żeby nikt nie mógł oskarżyć jej o korupcję. A Colin Miller był ostatnim człowiekiem, z którym chciałby spędzać wolny czas. Ale jeśli naprawdę coś wiedział...

W dodatku był głodny jak wilk.

- Chodźmy - powiedział.

Usiedli w boksie w kącie restauracyjki przy Green. Miller zamówił butelkę chardonnay i tagliatelle z wędzonym łupaczem i papryką Logan zadowolił się szklanką wody mineralnej i lasagne. I pieczywem czosnkowym. I sałatką.

- Hej, Łazarzu... - Miller patrzył, jak Logan wgryza się w pieczywo.

- Oni was tam w ogóle nie karmią?

- Logan - odparł Logan z pełnymi ustami. - Nie Łazarz. Logan.

Miller odchylił się na oparcie krzesła i zakręcił winem w kieliszku, podziwiając grę kolorów.

-Czy ja wiem... Mówiłem przecież, że trochę węszyłem, tu i tam. Łazarz to całkiem niezła ksywa dla człowieka, który wrócił z zaświatów.

- Nie wróciłem z zaświatów.

- Właśnie, że tak. Z historii choroby wynika, że przez pełne pięć minut byłeś martwy.

Logan spochmurniał.

- Skąd pan zna moje szpitalne akta?

Miller wzruszył ramionami.

- Żyję z tego, że wiem różne rzeczy, Łazarzu. Wiem na przykład, że wczoraj znaleźliście na wysypisku martwe dziecko. Wiem, że już kogoś przyskrzyniliście w związku z tą sprawą. Wiem, że ty i pani patolog byliście razem przez jakiś czas.

Logan zeszywniał.

Miller podniósł rękę w uspokajającym geście.

- Spokojnie, tygrysie. Jak mówiłem: to mój zawód.

Kelner podał główne dania. Nastrój trochę się poprawił: Logan nie bardzo mógł jednocześnie jeść i stroić fochy.

97

- Powiedział pan, że ma coś dla mnie - przypomniał, zając sałatkę.
- Owszem. Wyłowiliście wczoraj w porcie zwłoki faceta bez rzepek. Logan wbił wzrok w kęs lasagne na widelcu. Czerwony mięsny sos błyszczał i kapał na talerz, jasne kawałki ciasta przezierały spod niego jak odłamki kości. Ale jego żołądek nie dał się łatwo zniechęcić. -I co?

- Nie wiecie, kto to.

- A pan wie?

- Naturalnie - odparł Miller, bawiąc się kieliszkiem. - To mój zawód. Logan czekał na ciąg dalszy, ale Miller tylko pociągnął łyk wina.

- Więc kto to jest? - spytał w końcu.

- O właśnie. W tym miejscu możemy zacząć sobie nawzajem pomagać. - Miller się uśmiechnął. - Ja coś wiem, ty coś wiesz. Powiesz mi, co wiesz, ja ci powiem, co ja wiem. Obaj na tym skorzystamy.

Logan odłożył widelec. Od momentu, kiedy dziennikarz zaprosił go na lunch, spodziewał się takiego rozwoju sytuacji. Odsunął talerz.

- Dobrze pan wie, że nic nie mogę powiedzieć.

- Wiem, że możesz mi powiedzieć znacznie więcej, niż oficjalnie mówicie prasie. Możesz mi opowiedzieć o sprawie od podszewki.

- Wydawało mi się, że ma pan już informatora.

Skończył już jeść i mógł się całkowicie skupić na narastającej w nim złości.

Miller wzruszył ramionami i nawinął na widelec sporą porcję makaronu.

- Niby tak, ale ty masz lepszą pozycję, Łazarzu. Jesteś, jeśli można tak powiedzieć, na scenie. Zaraz, zanim uciekniesz stąd cały najeżony, przypominam: to jest handel. Coś za coś. Powinni cię byli awansować na inspektora, kiedy złapałeś Angusa Robertsona. Facet zabił piętnaście kobiet, a ty go ująłeś, i to sam. Że też ci nie dali medalu, facet! - Dołożył do makaronu kęs wędzonej ryby. A skończyło się na poklepaniu po plecach. Co, może dostałeś nagrodę? Guzik dostałeś. - Miller wycelował widelec w Logana. - Myślałeś, żeby napisać o tym książkę? Dostałbyś zajebistą za liczkę: seryjny gwałciciel i morderca grasuje na ulicach, nikt go nie może złapać, aż tu nagle pojawia się sierżant McRae! - Miller się rozkręcał. Wymachiwał widelcem jak dyrygent batutą, nie bacząc na odwijający się makaron. - Sierżantowi i dzielnej pani patolog udaje się wytropić bandzióra, ale pani patolog zostaje przez niego złapana! Potem rozróżba na dachu: krew, bójka, śmiertelne obrażenia, sierżant cudem unika śmierci, morderca dostaje od trzydziestu lat do dożywocia. Kurtyna. Oklaski. - Uśmiechnął się i wepchnął do ust resztę makaronu. - Superhistoria. Ale musiałbyś się

98

pospieszyć, bo ludzie mają krótką pamięć. Mam kontakty, mogę ci pomóc. Kurczę blade, zasługujesz na to!

Upuścił widelec na talerz i z kieszeni marynarki wyjął nieduży portfel.

- Proszę. - Pokazał Loganowi granatową wizytówkę. - Zadzwoń do Phila i powiedz mu, że masz jego numer ode mnie. On cię ustawi. To najlepszy agent literacki w Londynie, nie żartuję. - Położył wizytówkę na

stole. - Nie chcę nic w zamian. Potraktuj to jako gest dobrej woli.

Logan podziękował, ale nie wziął wizytówki.

-A od ciebie... - Miller wrócił do jedzenia. - Chciałbym się dowiedzieć, o co biega z tymi zabitymi dziećmi. Rzecznik prasowy pieprzy jak zwykle: żadnych szczegółów. Żadnych konkretów.

Logan pokiwał głową. To był standardowy tryb postępowania: gdyby powiedzied mediom całą prawdę, zaraz zaczęłyby się artykuły, rekonstrukcje wydarzeń, debaty telewizyjne na żywo. I wszystkie czuby na świecie wydzwaniałyby na policję, podając się za nowego Potwora z Mastrick albo używając innej wyświechtanej ksywki, przydzielonej przez dziennikarzy człowiekowi, który porywał, zabijał i okaleczał małych chłopców, a potem wyżywał się seksualnie na ich zwłokach. Gdyby policja nie miała żadnych tajemnic, nikt nie umiałby stwierdzić, który telefon jest fałszywy, a który nie.

- Wiem, że mały David Reid został uduszony - ciągnął Miller. To wie dzieli wszyscy. - Wiem, że został wykorzystany seksualnie. - To samo: nic nowego. - Wiem, że skurwiel obciął mu ptaszka sekatorem.

Logan aż podskoczył na krześle.

- Skąd, do cholery...
- Wiem, że wepchnął mu coś w pupę. Pewnie mu nie stanął, więc wziął...
- Kto to panu powiedział?

Miller - jak zwykle - wzruszył ramionami i zapatrzył się w kieliszek.

Mówiłem: to mój...

- .. .zawód. Nie wydaje mi się, żeby potrzebował pan mojej pomocy.
- Interesuje mnie przebieg śledztwa. Chcę wiedzieć, co robicie, żeby gnoja złapać.
- Śledztwo jest prowadzone wielotorowo.

- Martwy chłopczyk w niedzielę, martwa dziewczynka w poniedziałek, plus dwa porwania. Seryjny zabójca grasuje w mieście.

- Nie ma dowodów na to, że coś te sprawy łączy.

Miller odsunął się od stołu, westchnął i dolał sobie wina.

- Widzę, że nadal mi nie ufasz. Rozumiem cię. Wyświadczę ci przy usługę, żebyś się przekonał, że porządny ze mnie facet. Gość, którego

99

wyłowiliście w porcie, nazywał się George Stephenson. Znajomi mówili na niego Geordie.

- Proszę mówić dalej.

- Był żołnierzem Malka Majchera. Słyszałeś o nim?

Słyszał. Maik Majcher, czyli Malcolm McLennan, główny edynburski importer broni, narkotyków i litewskich prostytutek. Mniej więcej przed trzema laty próbował zalegalizować przynajmniej część swojej działalności i wszedł w handel nieruchomościami. Firma McLennan Homes wykupiła znaczne połacie ziemi na obrzeżach Edynburga i postawiła na nich pudełkowate domki, a potem zaczęła się rozglądać po okolicach Aberdeen i przebojem weszła na rynek. Maik Majcher naraził się miejscowym przedsiębiorcom budowlanym, którzy na początku nie zdawali sobie sprawy, że McLennan gra zupełnie inaczej, niż są przyzwyczajeni: ostro i o wysokie stawki. Nikt nigdy go nie złapał - ani edynburski wydział kryminalny, ani policja w Aberdeen. Nikt.

- Wszystko wskazuje na to, że Geordie przyjechał do Aberdeen, żeby załatwić Maikowi pozwolenia na budowę pod najnowszą inwestycję: trzy sta domów w pasie zieleni rozciągającym się stąd do Kingswells. Odrobina korupcji, koperta komu trzeba... Tylko że Geordie miał pecha, bo trafił na planistę, który nie dał się kupić. - Miller pokiwał głową. - Tak, tak,

mnie też to zaskoczyło. Nie myślałem, że jeszcze są tacy. No, ale planista powiedział: „Odejdź, szatanie!”, i Geordie odszedł, ale niezbyt daleko. I zaraz wrócił. - Wykonał gest, jakby kogoś popychał. - Bach, prosto pod dwieście czternastkę jadącą do Westhill. Plask!

Logan uniósł brew. Czytał o tym, że ktoś z rady miasta wpadł pod autobus, ale nikt nie sugerował, że nie był to wypadek. Planista leżał w szpitalu na intensywnej terapii. Lekarze wątpili, żeby dożył świąt.

Miller mrugnął porozumiewawczo.

- To nie koniec. Geordie ponoć miał kłopot z wyścigami: obstawiał konie u wszystkich miejscowych bukmacherów. I to ostro. Ale fartu nie miał za grosz. Bukmacherzy w Aberdeen nie są może tacy... przedsiębiorczy jak ci na południu, ale też nie są Teletubisiami, i w końcu Geordie wyładował w morzu twarzą w dół. Ktoś odrąbał mu rzepki maczetą. - Rozparł się wygodnie na krześle, wyszczerzył zęby i pociągnął solidny łyk wina.

- No i co? Ciekawa historyjka?

Logan musiał przyznać, że tak.

- Cieszę się. - Miller oparł łokcie na stole. - Twoja kolej.

Logan wrócił na komendę z taką miną, jakby ktoś wcisnął mu do ręki wygrywający los na loterię. Nawet deszcz przestał padać, dzięki czemu po drodze z Green na Queen Street w ogóle nie zmókł.

100

Insch w dalszym ciągu siedział w pokoju operacyjnym, wydawał rozkazy i słuchał raportów. Zamieszanie wskazywało, że nie znaleźli ani Richarda Erskine'a, ani Petera Lumleya. Myśl o tym, że dwaj mali chłopcy być może leżą gdzieś tam martwi, trochę ostudziła entuzjazm Logana. Przestał cieszyć

się jak głupi.

Odciągnął inspektora na bok i zapytał, kto prowadzi sprawę człowieka bez rzepek.

- A co? - spytał podejrzliwie Insch.
- Mógłbym mu podsunąć kilka ciekawych tropów.
- Taaak?

Logan pokiwał głową i powtórzył inspektorowi, co powiedział mu przy lunchu Colin Miller.

- Skąd pan to wszystko wie? - Insch był naprawdę zainteresowany.
- Od Colina Millera. To dziennikarz z „Press and Journal”, ten, którego kazał mi pan nie drażnić.

Twarz Inscha przybrała nieprzenikniony wyraz.

- Mówiłem, żeby go nie drażnić. Nie kazałem panu włączyć mu do łóżka.
- Słucham? Wcale nie...
- Który to już raz spotkał się pan z tym Millerem, sierzancie?
- Wczoraj zobaczyłem go po raz pierwszy w życiu.

Insch zmarszczył brwi. Milczał. Czekał, aż Logan sam wyrwie się z czymś kompromitującym.

- Panie inspektorze... - Logan nie mógł się powstrzymać. - To on do mnie przyszedł. Może pan zapytać w recepcji. Powiedział, że może nam pomóc.
- A co pan zaoferował mu w zamian?

Zapadło milczenie, jeszcze bardziej niezręczne niż przed chwilą.

- Pytał o postępy w śledztwie w sprawie zaginięć i morderstw.
- I co pan odpowiedział?

- Że... Że najpierw muszę pana zapytać o zdanie, panie inspektorze. Insch

się uśmiechnął.

- Grzeczny chłopak. - Wyjął z kieszeni paczkę galaretek i podsunął ją Loganowi. - Ale jeśli mnie pan okłamał, zniszczę pana.

13

Darmowy lunch przyprawił Logana o dramatyczną niestrawność. Okłamał inspektora i pozostało mu tylko modlić się, żeby Insch się o tym nie

101

dowiedział. Colin Miller opowiedział mu o trupie bez rzepek, a Logan wyjawiał mu szczegóły śledztwa w sprawie zaginionych dzieci. Był przekonany, że postępuje właściwie: tworzy więź z informatorem, zawiera sojusz z prasą - tymczasem Insch zareagował tak, jakby szpiegował na rzecz wroga. Logan poprosił o pozwolenie na zdradzenie informacji, które już dziennikarzowi sprzedał, i Insch w końcu się zgodził - ale niech Bóg ma sierżanta w opiece, jeśli inspektor się dowie, że kolejność wydarzeń była dokładnie odwrotna.

Drugą osobą, która nie powinna poznać prawdy, był oficer z wydziału wewnętrznego, który - w starannie odprasowanym czarnym mundurze, jakby złożonym z idealnych kantów i lśniących guzików - siedział właśnie po drugiej stronie stołu w pokoju przesłuchań. Inspektor Napier: rzednące rude włosy i nos jak otwieracz do butelek. Zadawał mnóstwo pytań o powrót Logana do służby, o rekonwalescencję, o jego status policyjnego bohatera, o lunch z Colinem Millerem.

Logan uśmiechał się szczerze i łął, jak umiał najlepiej.

Pół godziny później siedział z powrotem w zarekwiirowanym gabinecie, wpatrywał się w wiszący na ścianie plan miasta i próbował rozmasować

narastającą w piersi zgagę. Przede wszystkim zaś starał się nie myśleć o tym, że mogą go wylać.

W kieszeni na piersi miał granatową wizytówkę od Millera. Może dziennikarz miał rację? Może rzeczywiście zasługiwał na coś lepszego? Może powinien napisać książkę o Angusie Robertsonie: *Polowanie na Potwora z Mas trick*. Nawet nieźle to brzmiało...

Kiedy on wyszedł na lunch, posterunkowa Watson zajrzała do pokoju i podrzuciła mu świeżą stertę komputerowych wydruków: wyciągi z archiwów karnych i cywilnych, dotyczące wszystkich podejrzanych, których wypisał jej na kartce. Przejrzał je bez entuzjazmu: żadnego z tych ludzi nie poszukiwano za porywanie, mordowanie i wyrzucanie na śmietnik małych dziewczynek.

Ale Watson przyłożyła się do pracy i przygotowała szczegółową roz-piskę: wiek, numer telefonu, miejsce urodzenia, numer ubezpieczenia, zawód, czas zameldowania pod aktualnym adresem. Nie miał pojęcia, skąd wytrzasnęła te wszystkie informacje, ale mógł tylko żałować, że do niczego mu się nie przydadzą.

Rosemount zawsze stanowiło coś w rodzaju kulturowego tygla Aberdeen i lista Watson nieźle to ilustrowała: przybysze z Edynburga, Glasgow, Aberdeen, Inverness, Newcastle... Nawet jakaś para z wyspy Man - to dopiero egzotyka.

Westchnął i sięgnął po plik zeznań, których autorów już wcześniej sobie upatrzył, bo mieszkali najbliżej interesującego go pojemnika na śmieci.

102

Przeglądał po kolei przygotowane przez Watson notki biograficzne i porównywał je z zeznaniami, próbując złożyć z nich spójny obraz kolejnych mieszkańców. Nie było to łatwe: kiedy posterunkowy spisywał zeznanie, automa-

tycznie przekładał je na specyficzny policyjny język- sztywny, udziwniony i tak bardzo odległy od codziennej mowy, że śmiać się chciało.

- „Rankiem udałem się do pracy” - czytał Logan na głos - „zabrawszy uprzednio worek ze śmieciami z kuchni i wrzuciwszy go do kontenera przed domem...”

Kto tak mówi, do diabła? Normalni ludzie „chodzą” do pracy; „udają się” tylko policjanci.

Cofnął się do pierwszej strony, ciekawy, kogo dotknęło tak pocieszne przekłamanie cytatu. Nazwisko wydało mu się dziwnie znajome... To musiał być ktoś z kamienicy Chalmersa: Anderson... Uśmiechnął się. To do niego zadzwonili, żeby wejść do domu, nie płosząc Chalmersa. Watson podejrzewała, że ma coś na sumieniu.

Z przygotowanej przez nią notki wynikało, że pan Cameron Anderson ma dwadzieścia kilka lat i pochodzi z Edynburga- co wyjaśniało, dlaczego ma takie imię. Cameron. Pracował w firmie specjalizującej się w inżynierii podwodnej i produkującej zdalnie sterowane pojazdy dla przemysłu naftowego. Pasowało to do niego: Logan oczyma wyobraźni widział, jak grzebie przy zdalnie sterowanych batyskafach.

Opis drugiej z kolei osoby na nic mu się nie zdał, trzeciej również, ale cierpliwie brnął przez kolejne pozycje na liście. Przecież jeśli wśród tych ludzi znajdował się morderca, nie wyskoczy z kartki i nie powie mu o tym prosto w oczy.

W końcu odłożył ostatnie zeznanie. Przeciągnął się, aż mu kręgosłup zatrzeszczał. Potężne ziewnięcie zakończyło się cichym beknięciem. Za kwadrans siódma. Przesiedział nad tymi papierami prawie cały dzień. Czas iść do domu.

Korytarze były wyludnione. Większość spraw papierkowych załatwiała się w ciągu dnia i kiedy ekipa administracyjna wychodziła z pracy, w komendzie robiło się cicho i spokojnie. Logan zajrzał do pokoju operacyjnego, ciekawy, czy wydarzyło się coś nowego w czasie, gdy on przegryzał się przez papiery.

Zastał tam niewielu ludzi: dwóch policjantów odbierało telefony, dwóch innych archiwizowało raporty z ostatniej zmiany. Nie zdziwił się, słysząc, że nic nowego się nie wydarzyło. Chrzanić to.

Nie było śladu Richarda Erskine'a, nie znaleziono Petera Lumleya, nikt nie przyszedł zidentyfikować leżących w kostnicy zwłok dziewczynki.

- Jeszcze siedzisz, Łazarzu?

103

Logan się odwrócił. Za nim stał Duży Gary. W jednej ręce trzymał dwa kubki, w drugiej paczkę herbatników. Ruchem głowy wskazał windę.

- Na dole czeka gość, która pyta, kto kieruje śledztwem w sprawie zaginięcia dzieci. Myślałem, że już wyszedłeś.
- Kto to taki?
- Podobno ojczym tego drugiego chłopaka.

Logan jęknął z rozpaczy. Chciał pomóc, ale przede wszystkim miał ochotę odszukać posterunkową Watson i dowiedzieć się wreszcie, czy się z nią przespał, czy nie. A jeśli tak, to czy miałyby ochotę na powtórkę.

- Zejdę do niego.

Ojczym Petera Lumleya spacerował tam i z powrotem po różowym linoleum w recepcji. Zdjął kombinezon i przebrał się w brudne dzinsy i cienką kurtkę, która nie powstrzymałaby chyba nawet kichnięcia, o moc-

niejszym wietrze nie wspominając.

- Panie Lumley?

Lumley okręcił się na pięcie.

- Dlaczego przerwali poszukiwania? - Twarz miał bladą, pożółkłą i szorstką od sinego zarostu. - Przecież gdzieś musi być? Dlaczego go nie szukają?!

Logan zaprowadził go do jednego z małych pokoików dla gości. Lumley ociekał wodą i trząśł się z zimna jak galareta.

•Dlaczego go nie szukacie?

•Szukaliśmy go przez cały dzień, ale teraz jest za ciemno. Nic nie widać...

Powinien pan wrócić do domu.

Lumley pokręcił głową, rozbryzgując kropelki wody.

- Muszę go znaleźć! To dziecko! Ma pięć lat!

Osunął się na pomarańczowe plastikowe krzesło.

Telefon Logana zaczął wygrywać swoją melodyjkę. Sierżant wyjął go z kieszeni, wyłączył i schował z powrotem, nie patrząc na wyświetlacz.

•Przepraszam. A jak się czuje matka?

•Sheila? - Lumley prawie się uśmiechnął. - Lekarz coś jej dał. Peter jest dla niej wszystkim.

Logan pokiwał głową.

- Wiem, że wolałby pan o tym nie rozmawiać, ale czy ktoś zawiadomił ojca Petera, że chłopiec zaginął?

Twarz Lumleya zmartwiała.

•Pieprzyć go.

•Panie Lumley, ojciec ma prawo wiedzieć...

-Pieprzyć go! - Mężczyzna przesunął dłonią po twarzy. - Skurwiel spieprzył do Surrey z jakąś swoją biurwą. Sheila i Peter zostali bez gro-

sza. Wie pan, co przysyła synowi na Boże Narodzenie? Albo na urodziny? Gównu mu przysyła. Nawet kartki mu się nie chce napisać. Widać, jak mu zależy na dziecku. Zastrany gnój...

- W porządku, przepraszam, że o nim wspomniałem. - Logan wstał. - Proszę posłuchać: rozesłemy do wszystkich załóg radiowozów komunikat, żeby szukały pańskiego syna. Nic więcej nie możemy dziś zrobić. Proszę wrócić do domu, odpocząć. Rano wznowimy poszukiwania.

Lumley skrył twarz w dłoniach. Logan położył mu rękę na ramieniu, czując, jak dreszcze przechodzą w milczący szloch.

- Już dobrze. Chodźmy, podwiozę pana do domu.

Wzięli z garażu jeden ze służbowych wozów wydziału kryminalnego, sfatygowanego i brudnego vauxhalla. Lumley nie odezwał się przez całą drogę z Queen Street do Hazlehead: siedział obok Logana i gapił się przez okno, wypatrując zaginionego pięciolatka.

Nawet najgorszy cynik musiałby przyznać, że ten człowiek naprawdę kocha pasierba. Przez chwilę Logan zastanawiał się, czy ojciec Richarda Erskine'a też błąka się po nocy, w deszczu, i do tej pory go szuka - dopóki nie przypomniał sobie, że facet zmarł, zanim chłopiec przyszedł na świat.

Zmarszczył brwi. Objechał rondo, za którym rozciągało się właściwe Hazlehead. Jakieś wspomnienie nie dawało mu spokoju... No właśnie: kiedy byli z Watson w domu Erskine'ów, nikt słowem nie wspomniał o ojcu chłopca. Wszystkie zdjęcia przedstawiały tylko Richarda i jego nadopiekuńcza matkę - a przecież można by się spodziewać, że znajdzie się tam miejsce dla choćby jednej fotografii zmarłego ojca. A tak - nie wiedział nawet, jak gość miał na imię.

Lumley wysiadł pod klatką swojego bloku. Logan nie bardzo umiał powiedzieć: „Proszę się nie martwić, panie Lumley, znajdziemy Petera...” - bo w głębi ducha był przekonany, że chłopiec już nie żyje, nie powiedział więc nic, wydał tylko kilka współczujących chrząknięć i pomruków, po czym odjechał w mrok.

Kiedy blok Lumleyów zniknął mu z oczu, wyciągnął telefon, włączył go i zadzwonił na komendę. Usłyszał wyjątkowo zmęczony głos którejś z posterunkowych:

- Policja, słucham? Zawrócił w stronę miasta.

- Mówi sierżant McRae. Coś się stało? Chwila wahania, a potem:

- Przepraszam, panie sierżancie, dziennikarze nie dają nam spokoju. Telefony się urywają: BBC, ITV, Northsound, wszystkie możliwe gazety...

Loganowi wcale się to nie podobało.

- Dlaczego?

- Sandy-Wąż, niech go szlag trafi, robi dym. Wyszło na to, że jesteśmy niekompetentni i chcemy zwalić wszystkie morderstwa na jego klienta, bo nie mamy pojęcia, co robić. Wywłókł sprawę Judith Corbert. Mówi, że to powtórka z rozrywki.

Logan westchnął. Po Judith Corbert został tylko palec serdeczny lewej ręki, z obrączką. Sandy Moir-Farquharson nie zostawił na akcie oskarżenia suchej nitki. Mąż wyszedł na wolność, chociaż wszyscy wiedzieli, że to on zabił. A Wąż dostał czek na okrągłą sumkę, trzy razy wystąpił w talk-show i raz w BBC Crime Special. Trzech dobrych policjantów rzucono sępom na pożarcie. Minęło siedem lat, a on znów ją wyciągnął, żeby im dopiec.

Wjechał na Anderson Drive, kierując się do Tony - tam, gdzie zaginął mały Richard Erskine.

- To do niego podobne... Co im powiedzieliście?
- Żeby się wypchali i zadzwonili do rzecznika prasowego.

- I słusznie. A teraz muszę was prosić, żebyście coś dla mnie sprawdzili, dobrze? Czy znamy imię ojca Richarda Erskine'a?

- Chwileczkę... - W słuchawce rozległy się dźwięki niemiłosiernie masakrowanego *Light My Fire*. Logan zdążył dojechać do Riverside Drive, zanim ludzki głos zastąpił fatalne wykonanie piosenki. - Przykro mi, nie mamy w aktach danych ojca. Ale z tego, co widzę, zmarł, zanim syn się urodził. O co chodzi?

- Pewnie o nic... Ale proszę posłuchać: jadę teraz do Erskine'ów. Proszę zadzwonić do wydziału spraw rodzinnych, ktoś od nich powinien tam jeszcze być, jakaś kobieta...

Matka zrozpaczona po stracie dziecka... Nie przydzieliliby jej przecież mężczyzny do opieki. - Jest na miejscu.

- Świetnie. Proszę dać jej znać, że chcę się z nią spotkać przed domem za mniej więcej... - Logan wyrzwał przez okno na przesuwane się za nim szare domy. Okna lśniły żółtym blaskiem. - Dwie minuty.

Czekała na niego i patrzyła, jak robi z siebie idiotę, próbując sensownie zaparkować. W końcu dał sobie spokój, zostawił służbowego vauxhalla z jednym kołem na krawężniku, zapiął płaszcz i wysiadł, starając się wyglądać na mniej speszzonego, niż naprawdę był.

Funkcjonariuszka wydziału spraw rodzinnych była bardziej poukładana: miała parasol.

- Dobry wieczór - przywitała go, kiedy wcisnął się pod osłonę parasolki. -

Co się stało?

- Zastanawiałem się, czy wie pani coś o...

Oślepiający błysk rozciął kurtynę deszczu. Logan obejrzał się przez ramię.

-A to co znowu?

Po drugiej stronie ulicy stało sfatygowane bmw. Przez uchylone okno po stronie pasażera sączył się dym z papierosa.

- To chyba „Daily Mail” - wyjaśniła policjantka. - Przyjechał pan, więc pomyśleli, że coś jest na rzeczy. No to bach fleszem. Jeśli dokleją do tego jakiś materiał, jutro będzie pan na pierwszej stronie.

Logan odwrócił się plecami do wozu, żeby na następnych zdjęciach widać było co najwyżej tył jego głowy.

- Wie pani coś o ojcu dziecka?

Wzruszyła ramionami.

- Tylko tyle, że nie żyje. Sąsiadka powtarza, że niezły był z niego skurczybyk.
 - To znaczy? Bił żonę? Zdradzał?
 - Nie mam pojęcia, ale ta stara wiedźma opowiada o nim, jakby mówiła o Hitlerze, tylko pozbawionym charyzmy.
- Cudnie...

W domu zmieniło się tylko jedno: atmosfera. Na ścianach wciąż wisiały dziwaczne zdjęcia matki z dzieckiem, tapeta jak poprzednio była odpychająca, ale powietrze stało się gęste od papierosowego dymu.

Pani Erskine wierciła się na sofie, nie mogąc usiedzieć ani chwili spokojnie czy chociaż prosto. W rękach trzymała spory kryształowy kieliszek z jakimś przezroczystym trunkiem, w ustach - na wpół wypalonego papierosa.

Stojąca na stoliku butelka wódki była w połowie pusta.

Jej przyjaciółka - sąsiadka, która nie parzyła herbaty policjantom - siedziała na fotelu i wykręcając długą, pomarszczoną szyję, usiłowała zobaczyć, kto przyszedł. Małe, świńskie oczka zabłyśły, gdy rozpoznała Logana; pewnie miała nadzieję, że przynosi złe wieści. Nic tak nie cieszy jak nieszczęście bliźniego.

Logan przysiadł na sofie, obok pani Erskine. Spojrzała na niego tępo. Dwucentymetrowy kawałek popiołu spadł jej na sweter.

- Nie żyje, prawda? Richard nie żyje?

Oczy miała przekrwione od płaczu i wódki, twarz pobrużdżoną i zaczerwienioną. Przez ostatnie dziesięć godzin postarzała się o dziesięć lat.

Sąsiadka przycupnęła na krawędzi fotela, wyczekując chwili prawdy.

- Na razie nie wiemy - odparł Logan. - Chciałem zadać pani jeszcze kilka pytań, dobrze?

Pani Erskine pokiwała głową. Wciągnęła do płuc kolejną porcję nikotyny i smoły.

107

- Chodzi o ojca Richarda.

Kobieta zeszywniała, jakby ktoś podłączył ją do prądu.

•Richard nie ma ojca!

•Gnojek nie chciał się z nią ożenić - dodała sąsiadka z nieskrywaną satysfakcją. Czekala na wiadomość o śmierci dziecka, ale wywleczenie bolesnej przeszłości też nie było najgorsze. - Posunął ją, kiedy miała piętnaście lat, a potem nie chciał się z nią ożenić! Gówniarz.

-No właśnie. - Niezameżna pani Erskine podniosła opróżniający się systematycznie kieliszek w udawanym salucie. - Gówniarz!

- Ale dalej chciałby widywać dziecko - ciągnęła teatralnym szeptem sąsiadka. - Wyobraża pan sobie? Nie chce go uznać, ale chciałby zabierać go do parku i grać z nim piłkę, szmacciarz jeden! - Pochyliła się i szczerze dolała przyjaciółce wódki. - Powinien być jakiś paragraf na takich jak on.

Logan odwrócił się gwałtownie w jej stronę.

- Jak to: dalej chciałby widywać dziecko?!

- Nie pozwalam mu się zbliżyć do mojego żołnierzyka. - Pani Erskine drżącą dłonią podniosła kieliszek do ust i jednym haustem opróżniła go do połowy. - Przysyła jakieś drobiazgi, kartki, listy... Ale ja wszystko wyrzucam. Od razu.

- Powiedziała nam pani, że ojciec nie żyje. Pani Erskine nie kryła zdumienia.

- Wcale nie.

- A co to za różnica?! I tak nie ma z niego za grosz pożytku - wtrąciła z wyższością sąsiadka.

I nagle Logan zdał sobie sprawę, co naprawdę zaszło. Posterunkowa Watson powiedziała mu, że ojciec Richarda nie żyje, bo tak właśnie mówiła ta zgryźliwa stara menda.

- Rozumiem... - wycedził, starając się nie tracić zimnej krwi. - Czy ojciec wie, że chłopiec zaginął?

Drugi raz w ciągu godziny zadawał to samo pytanie. Tym razem znał odpowiedź.

- To nie jego zasrany interes! - wrzasnęła sąsiadka. Jej głos wprost ociekał jadem. - Zrzekł się wszystkich praw do chłopaka, bo nie chciał go uznać. Wyobraża pan sobie, co to znaczy dla Richarda? Wie pan, jak

wygląda życie nieślubnego dziecka? Zresztą na pewno już wie! - Wskażała leżący na dywanie „Sun” z ogromnym nagłówkiem: „Kolejny atak pedofila psychopaty!”

Logan przymknął oczy i westchnął głęboko. Stara megiera działała mu na nerwy.

- Pani... Panno Erskine, jak się nazywa ojciec chłopca?

- A na cholerę wam to?! - Sąsiadka zerwała się na równe nogi. Teraz grała rolę szlachetnej obrończyni, chroniącej pijaną w dym krowę na sofie.

- To nie jego zasrany interes!

Logan odwrócił się do niej.

- Siadaj i się zamknij.

Sąsiadka zamarła z otwartymi ustami.

•Ja... Ja sobie wypraszam!

•Jeśli natychmiast nie przestanie pani drzeć mordy, ta oto sympatyczna posterunkowa zabierze panią na komendę, gdzie zostanie pani oskarżona o składanie fałszywych zeznań. Czy to jasne?

Usiadła i zamilkła.

- Panno Erskine? Muszę wiedzieć, jak nazywa się ojciec.

Matka Richarda dopiła wódkę i wstała. Zachwiała się na nogach, zatonęła w lewo i skręciła w przeciwnym kierunku - do kredensu. Zaczęła grzebać na jednej z niższych półek, strącając na podłogę pudełka i kartki papieru.

- Jest! - zawołała w końcu triumfalnie, podnosząc do góry teczkę z artystycznie wystrzępionym brzegiem i tłoczoną złotą tasiemką na boku. W takiej teźce można by się spodziewać pamiątkowego zdjęcia ze szkoły.

Prawie rzuciła ją Loganowi.

W środku znajdowało się zdjęcie chłopca, na oko czternastoletniego. Miał wyraziste brwi i lekko mrużył powieki, ale podobieństwo do zaginionego pięciolatka od razu rzucało się w oczy. W narożniku, na cętkowanym szaroniebieskim tle, widniał napis: „Najdroższej Elisabeth - zawsze będę cię kochał. Darren XXX”. Pismo było po dziecinnemu staranne.

Całkiem poważne zobowiązanie, jak na kogoś, kto jeszcze dobrze nie dorósł.

- Ukochany z dzieciństwa? - spytał Logan, obracając teczkę w dłoniach. Obok złotej naklejki z nazwiskiem, adresem i numerem telefonu fotografa widniała druga, biała: „Darren Caldwell, klasa trzecia, Ferryhill Academy”.

- Łobuz, nie ukochany! - krzyknęła sąsiadka, napawając się każdym słowem.

- Wie pani, gdzie mieszka?

- Kiedy ostatnio o nim słyszałam, dał nogę i wyniósł się do Dundee.

Uwierzyłby pan? Do Dundee! - Zapaliła następnego papierosa, zaciągnęła się potężnie, aż czubek załśnił czerwienią, i wydmuchnęła dym przez nos. - Nie mógł się, gówniarz, doczekać, aż zwieje. Tu dorasta jego syn, bez ojca, a ten przy pierwszej nadarzającej się okazji spieprza do Dundee!

- Znów dmuchnęła dymem. - Na to powinien być paragraf.

109

Logan postanowił nie przypominać jej, że skoro i tak nie wolno nru było widywać dziecka, nie miało to wielkiego znaczenia, gdzie mieszka. Zapytał pannę Erskine, czy może zatrzymać zdjęcie Darrena.

- Jeśli o mnie chodzi, może je pan nawet spalić.

Wyszedł.

Deszcz dalej padał, stare bmw stało na swoim miejscu, z którego kierowca miał dobry widok na dom. Logan pochylił głowę, osłonił twarz kołnierzem i pobiegł do swojego samochodu. Nastawił ogrzewanie i dmuchawy na maksimum i pojechał na komendę.

Pod szklano-betonowym gmachem tłoczyli się telewizyjni kamerzyści. Spikerzy z grobowymi minami patrzyli w obiektywy kamer i z poważnym wyrazem twarzy wygłaszali ważne opinie na temat policji regionu Grampian. Posterunkowa, z którą rozmawiał przez telefon, nie żartowała: Sandy-Wąż naprawdę narobił zamieszania.

Wjechał na parking na tyłach komendy, zostawił samochód, ominął recepcję i poszedł prosto do pokoju operacyjnego, gdzie znów panowało zamieszanie. Tym razem jego ośrodkiem była umęczona rzeczniczka prasowa komendy. Przyciskając do piersi notatnik, usiłowała wyciągnąć jakieś informacje z czworga oficerów dyżurnych, którzy z kolei próbowali odbierać wszystkie dzwoniące jednocześnie telefony. Rozpromieniła się na widok Logana: nareszcie znalazł się ktoś, z kim mogła podzielić się stresem.

- Panie sierżancie... - zaczęła, ale Logan uciszył ją gestem i podniósł słuchawkę jednego z chwilowo milczących telefonów.
- Chwileczkę - powiedział.

Wybrał numer archiwum, gdzie ktoś błyskawicznie odebrał telefon.

- Proszę o znalezienie w rejestrze pojazdów danych pana Darrena Caldwell'a - mówił, dokonując szybkich obliczeń w pamięci. Darren bzyknął pannę Erskine, kiedy miała piętnaście lat. Dziewięć miesięcy ciąży. Richard ma pięć lat. Zakładając, że byli w tej samej klasie, kiedy ich „wieczna miłość” przybrała aspekt fizyczny, Darren musiał teraz mieć dwadzieścia jeden, może dwadzieścia dwa lata. - Ma niewiele ponad dwadzieścia lat

i podobno mieszka w Dundee... - Pokiwał głową, gdy policjant w archiwum powtórzył dyktowane mu informacje. - Zgadza się. Ile czasu potrzebuje? Dobrze, poczekam.

Rzeczniczka prasowa wyglądała, jakby ktoś wrzucił jej żywego śledzia do majtek.

- Dziennikarze nas rozszarpia! - poskarżyła się, gdy Logan czekał na informacje z archiwum. - Sandy, ten przeklęty adwokat bandzior, obrzuca nas najgorszym błotem! - Twarz miała czerwona jak burak; rumieniec

110

zaczynał się na skraju blond grzywki i spływał aż na szyję jak ślad po oparzeniu słonecznym. - Co im powiedzieć? Mamy coś? Cokolwiek, żeby było widać, że nie drepczemy w miejscu?

Logan zasłonił dłonią mikrofon i wyjaśnił, że śledztwo prowadzone jest wielotorowo.

- Niech się pan nie wygłupia! - wybuchnęła. - Przecież właśnie tak im odpowiadam, kiedy nie mamy zielonego pojęcia, co się dzieje! Nie mogę znów im tego powiedzieć!

- Proszę posłuchać, nie wyczaruję aresztanta z... Halo?

Odpowiedział mu głos w telefonie:

- Na całym północnym wschodzie mieszka piętnastu Darrenów Caldwellów, w tym tylko jeden w samym Dundee, ale to facet pod czterdziestkę.

Logan zaklął.

- Jest za to Darren Caldwell, który ma dwadzieścia jeden lat i mieszka w Portlethen.
- W Portlethen?

To miejscina leżąca dziesięć kilometrów na południe od Aberdeen.

- Tak. Jeździ czerwonym renault clio. Podać panu numer rejestracyjny?

Logan przymknął oczy i podziękował w duchu Bogu, że coś wreszcie zaczyna się układać. Mieli świadka, który widział, jak chłopiec odpowiadający rysopisowi Richarda Erskine'a wsiada do czerwonego hatchbacka. Zapisał numer rejestracyjny i adres właściciela wozu, podziękował i uśmiechnął się do rzeczniczki.

- Co? Co się stało? Co pan ma?!
- Jesteśmy o krok od zatrzymania podejrzanego.
- Jakiego podejrzanego? Kogo chcecie aresztować? Ale Logan już wybiegł.

14

jamochód prowadził posterunkowy, którego Logan wyciągnął z szatni. Jechali na południe, regularnie łamiąc ograniczenia szybkości. Logan siedział obok niego, wpatrując się w pogrążone w ciemności krajobrazy. Z tyłu siedziało jeszcze dwoje funkcjonariuszy. Ruch o tej porze był niewielki i szybko dojechali pod dom, gdzie miał mieszkać Darren Caldwell.

Był to nowiuτέńki wolno stojący dom na południu Portlethen, jeden z wielu identycznych, nowiuτέńkich domów postawionych przy krętej

111

uliczce. Trawnik przed wejściem miał dosłownie kilka metrów kwadratowych. Otaczały go przywiedle krzewy różane, z których kwiatów ocalały dosłownie pojedyncze płatki - deszcz stracił resztę, teraz rozmiękłymi kopczykami spoczywały pod krzakami. W świetle lamp ulicznych miały chorobliwie brunatny odcień.

Na podjeździe, za składanym pachołkiem, stało ciemnoczerwone renault clio.

Logan kazał kierowcy zaparkować za rogiem.

- Słuchajcie - powiedział, odpinając pasy. - Załatwimy to kulturalnie.

Wy pójdziecie na tyły domu; dajcie znać, kiedy zajmiecie pozycję, wtedy my zadzwonimy do drzwi. Jeśli facet zacznie uciekać, łapiecie go. - Odwrócił się do siedzącej za nim policjantki. Skrzywił się z bólu, gwałtowny ruch szarpnął świeżą bliznę na brzuchu. - Podejźmy do domu, ale proszę stanąć tak, żeby nie było pani widać; jeśli Caldwell zobaczy policjantów przed drzwiami, może się wypłoszyć. Nie chciałbym tu urządzać obłęzenia. Jasne?

Posterunkowi zgodnie pokiwali głowami.

Logan wysiadł. Noc była lodowata. Intensywny deszcz przeszedł w marznącą mżawkę, która wysączyła całe ciepło z jego twarzy i dłoni, zanim zdążył podejść do drzwi. Dwaj posterunkowi zniknęli za domem.

Lampy paliły się w dwóch oknach, z salonu dobiegał dźwięk włączonego telewizora. W łazience lała się woda. Logan sięgnął do dzwonka.

Telefon zagrał swoją upiorną melodyjkę. Sierżant zaklął i odebrał.

- Logan, słucham. Dzwonił Insch.
- Co się dzieje?
- Mogę oddzwonić za chwilę, panie inspektorze?

- Nie, nie może pan! Właśnie dzwonili do mnie z komendy. Podobno zabrał pan troje ludzi i pojechaliście kogoś aresztować! Co się dzieje, do ciężkiej cholery?! - Ze słuchawki dobiegły jakieś stłumione hałasy, zagrała muzyka. - Psiakrew! Wchodzę. Czekam na wyjaśnienia, sierżancie, jak tylko zejdziesz ze sceny. Bo jak nie... - Kobięcy głos, natarczywy, spięty, za słabo jednak słyszalny, żeby Logan mógł zrozumieć słowa. - Dobrze, już idę.

W słuchawce zapadła cisza.

Posterunkowa spojrzała pytająco na Logana.

- Inspektor właśnie wchodzi na scenę - wyjaśnił, chowając telefon.

- Bierzmy się do roboty. Przy odrobinie szczęścia za godzinkę spotkamy się z inspektorem w barze i będziemy mieli dla niego dobre wiadomości.

Nacisnął przycisk dzwonka.

Przez okno łazienki bluznęły przekleństwa. Przynajmniej zyskali pewność, że ktoś jest w domu. Logan zadzwonił jeszcze raz.

112

- Chwileczkę! Chwileczkę, już idę!

Jakieś półtorej minuty później na przeszklone drzwi wejściowe padł cień ludzkiej sylwetki, klucz zgrzytnął w zamku, drzwi się uchyliły i pokazała się twarz mężczyzny.

-Tak?

- Darren?

Mężczyzna spochmurniał. Gęste czarne brwi zmarszczyły się nad lekko zezującymi oczami. Darren Caldwell może i postarzał się pięć lat, odkąd zrobiono mu szkolne zdjęcie, ale właściwie wcale się nie zmienił. Miał może mocniejszą szczękę i fryzurę raczej od fryzjera niż spod nożyczek mamusi, ale poza tym wyglądał tak samo.

-Tak...

Logan gwałtownie pchnął drzwi.

Caldwell zatoczył się do tyłu, potknął o niski stolik i padł na wznak.

Logan z posterunkową weszli do domu, zamykając za sobą drzwi.

Logan cmoknął z dezaprobatą i pokręcił głową.

- Powinien pan zainstalować sobie łańcuch na drzwiach, panie Cald

well. Żeby uprzykrzyć życie nieproszonym gościom. Nigdy nie wiadomo, kto się czai na progu.

Gospodarz wstał i zacisnął pięści.

- Kim pan jest?
- Ładny dom, panie Caldwell. - Logan przepuścił posterunkową do przodu, żeby osłoniła go przed ewentualnym atakiem. - Możemy się rozejrzeć?
- Nie macie prawa!
- Ależ mamy. - Logan wyjął nakaz rewizji i pomachał nim Caldwellowi przed nosem. - Skąd zaczniemy?

Dom był o wiele mniejszy, niż się z zewnątrz wydawało. Dwie sypialnie - jedna z ledwie mieszczącym się w niej podwójnym łóżem, przykrytym żółto-szarą narzutą robioną na szydełku, i słoiczkami kremu nawilżającego na toalecie, druga z wąskim łóżkiem przy ścianie i biurkiem na komputer. Z plakatu nad łóżkiem spoglądała skąpo ubrana, wyzywająca dziewczyna z ustami wygiętymi w podkówkę. Łazienka była w najbardziej paskudnym odcieniu awokado, jaki Logan w życiu widział. W kuchni ledwie starczało miejsca, żeby we troje mogli stanąć obok siebie - a i to pod warunkiem, że nie będą się za bardzo kręcić. W salonie dominował panoramiczny telewizor i olbrzymia sofa w kolorze limetki.

Nigdzie nie było śladu zaginionego pięciolatka.

- Gdzie on jest? - spytał Logan. Grzebiąc w szafkach, wyjmował na blat puszek fasoli, zupy, tuńczyka.

113

Darren spojrział w lewo i prawo - niemal jednocześnie.

- Kto gdzie jest?

Sierżant z westchnieniem trzasnął drzwiczkami szafki.

- Dobrze wiesz. Twój syn. Gdzie jest Richard Erskine? Co z nim zrobiłeś?
- Nic. Nie widziałem go od miesiący. - Caldwell zwiesił smutno głowę. - Ona mi nie pozwala.
- Widziano cię, Darrenie. Świadkowie widzieli twój wóz.

Logan wyjrzał przez kuchenne okno, ale zobaczył w nim tylko własne odbicie.

-No bo... - Darren pociągnął nosem. - Czasem tam podjeżdżałem. Próbowałem go zobaczyć, wie pan, jak się bawi czy coś... Ale ona nie wypuszcza go z domu, nie? Nie chce, żeby był jak inne dzieci.

Logan zgasił światło. Kuchnia pogrążyła się w mroku. Nieoświetlona szyba przestała udawać lustro: za oknem rozpościerał się ogród na tyłach domu. Dwóch policjantów czuwało na posterunku, dygocząc z zimna. W rogu ogródka stała niewielka szopa.

Uśmiechnął się i włączył światło. Wszyscy troje zmrużyli oczy.

- Co się stało?
- Chodź. - Złapał Darrena za kołnierz. - Zajrzymy do szopy.

Ale i tam nie było Richarda Erskine'ego. Znaleźli tylko kosiarkę do trawy, dwa rydelki, torbę nawozu i sekator.

- Niech to szlag!

Zebrali się w salonie, popijając ciekawą herbatę. W piątkę - dołączyli do nich dwaj przemoczeni do suchej nitki posterunkowi - zatłoczyli pokój. Gospodarz siedział na sofie. Z każdą mijającą minutą miał coraz bardziej nieszczęśliwą minę.

- Gdzie on jest? - spytał znowu Logan. - Prędzej czy później będziesz musiał nam powiedzieć, na co czekasz?

Caldwell spojrzał na niego spode łba.

- Nie widziałem go. Nie wiem, o czym pan mówi.
- No dobrze. - Logan przysiadł na oparciu sofy. - Gdzie byłeś wczoraj o dziesiątej rano?

Caldwell westchnął teatralnie.

- W pracy.

- I możesz to udowodnić, tak?

Darren uśmiechnął się złowrogo.

- A żebyś wiedział. Proszę bardzo... - Sięgnął po stojący na stoliku telefon i wcisnął go Loganowi w rękę. Spod stosu „Hello!” wyciągnął książ-

114

kę telefoniczną. - Warsztat Broadstane - powiedział, ze złością kartkując książkę. - Zadzwońcie do nich i poproście Ewana. To mój szef Zapytajcie, gdzie byłem. No, śmiało!

Kiedy Logan brał do ręki słuchawkę i książkę telefoniczną, przyszła mu do głowy paskudna myśl: a co będzie, jeśli Darren mówi prawdę?

Warsztat Broadstane miał w książce własną reklamę: kiczowaty rysunek przedstawiał uśmiechnięty klucz nastawny i uszczęśliwioną śrubę z nakrętką. Ogłoszenie zapowiadało: „Czynne całą dobę”, więc Logan od razu wybrał numer. Zabrzmiał jeden sygnał w słuchawce, potem drugi, trzeci, następny... Już chciał się rozłączyć, kiedy usłyszał ogłuszające i chrapliwe:

- Warsztat, słucham?
- Halo? - powiedział Logan, kiedy już odzyskał słuch. - Ewan?
- Kto mówi?
- Sierżant Logan McRae, komenda policji Grampian. Czy pracuje u

pana Darren Caldwell?

- A jeśli tak, to co? - W głosie po drugiej stronie słuchawki zabrzmiała podejrzliwa nuta. - Co on takiego zrobił?
- Czy może mi pan powiedzieć, gdzie przebywał pan Caldwell wczoraj między godziną dziewiątą i jedenastą rano?

Darren rozsiadł się wygodnie na sofie, uśmiechając się z wyższością.

Logana przeszedł dreszcz.

- Naprawialiśmy elektrykę w volvo. A co?

- Jest pan pewien?

Chwila ciszy. A potem:

- Jasne, że jestem pewien, do cholery! Byłem w warsztacie, więc gdyby

Darrena przy mnie nie było, na pewno bym zauważył. O co chodzi, do diabła?

Logan stracił dalsze pięć minut na splawienie rozmówcy. Odłożył słuchawkę.

- Chyba jesteście panu winni przeprosiny, panie Caldwell stwierdził, starając się ukryć rozczarowanie.

- A owszem! - Caldwell wstał i wskazał im drzwi. - A teraz jazda szukać mojego syna. Jasne?

Był na tyle uprzejmy, że zatrzaskał za nimi drzwi.

Powlekli się w deszczu do rdzewiejącego vauxhalla. Przejechali taki szmat drogi - na darmo. I nie miał dobrych wiadomości dla inspektora Inscha. Miał nadzieję, że przedstawienie się udało; może inspektor będzie w dobrym humorze i nie wyrwie mu nóg z dupy.

Kierowca dodał gazu. Okna błyskawicznie zaparowały, włączył więc dmuchawy na pełną moc - ale niewiele to dało. Zdjął przypinany agrafką

krawat i zaczął przecierać szybę, ale tylko rozmazał klejącą się do niej wilgoć.

Siedzieli i czekali, aż na szybach z wolna pojawią się suche placki.

- Myśli pan, że to uczciwe alibi? - spytała siedząca z tyłu posterunkowa.

Logan wzruszył ramionami.

- Warsztat jest otwarty dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zajedźmy tam teraz, wracając do miasta.

Ale w głębi serca czuł, że alibi będzie nie podważenia. Darren Caldwell nie mógł uprowadzić syna, który poszedł do sklepu po mleko i ciastka.

A taki był pewny swego!

W końcu dmuchawy usunęły mgłę z szyb i dało się wyjrzeć na zewnątrz. Kierowca włączył reflektory i ruszył. Zawrócili na trzy w ślepej uliczce i zaczęli wracać tą samą drogą, którą przyjechali. Logan odprowadził wzrokiem dom Caldwell. Taki był pewny swego...

Jadąc przez Portlethen w stronę dwupasmówki do Aberdeen, obserwował światła zbliżających się supermarketów i marketów budowlanych. W supermarkecie sprzedawali alkohol - a w tej chwili miał nieodparte wrażenie, że powrót do domu z butelką wina pod pachą będzie świetnym pomysłem. Namówił kierowcę na krótki objazd.

Troje posterunkowych zostało w samochodzie, a Logan włóczył się wśród półek, wyładowując koszyk chipsami i marynowaną cebulką. Wyjeżdżali z komendy z nadzieją, że znajdą zaginione dziecko całe i zdrowe i wrócą w chwale bohaterów. Tymczasem wracali z pustymi rękami, a on sam wyszedł na durnia.

Dorzucił do koszyka butelkę shiraz i zaklął pod nosem, gdy zdał sobie

sprawę, że zgniół połowę chipsów. Z głupią miną wrócił do regału z przekąskami i wymienił solone okruszki na nową paczkę.

Pomyślał o Darrenie Caldwellu, jak żyje w swoim małym domku bez możliwości zobaczenia syna, jak jeździ w kółko po Torry, wypatrując małego Richarda. Biedaczysko. Logan nie miał dzieci. Raz trafił się niepewny moment, kiedy jego dziewczyna miała dwa tygodnie spóźnienia, ale - dzięki Bogu - nic z tego nie wynikło. Mógł sobie tylko wyobrażać, jakie to uczucie: mieć syna i całkowicie dać się wykluczyć z jego życia.

Działy tylko dwie kasy: w jednej siedziała dziewczyna o skórze składającej się głównie z pieprzyków i znamion, w drugiej - staruszek z pomarszczoną twarzą i trzęsącymi się rękami. Oboje pracowali w żółwym tempie.

Kobieta stojąca przed Loganem kupiła chyba wszystkie możliwe gotowe posiłki: curry z frytkami, pizzę z frytkami, kurczaka z frytkami, hamburgery z frytkami, lasagne z frytkami... W jej wózku nie było ani grama

116

warzyw, ale znalazło się miejsce dla sześciu dwulitrowych butelek dietetycznej coli i ciasta czekoladowego. Czyli zakupy były w porządku.

Staruszek w kasie walczył ze skanerem kodów paskowych, a Logan błędził myślami daleko od sklepu. Wszystkie małe sklepy i zakłady - szewc, zakład fotograficzny, pralnia chemiczna, sklepik z ohydnyimi szklanymi klaunami i figurkami z porcelany - miały pogaszone światła i spuszczone rolety. Gdyby ktoś odczuł nagłą, niepowstrzymaną chęć posiadania porcelanowego collie grającego na dudach, musiałby wrócić następnego dnia.

Posunął się o krok do przodu. Klientka przed nim zaczęła pakować gotowe obiady do foliowych toreb.

Przy wejściu do sklepu zabrzmiała ogłuszająco głośna melodyjka z telewizyjnego programu dla dzieci. Logan podniósł wzrok. Starsza kobieta stała obok jednej z zabawek - dużej plastikowej niebieskiej lokomotywki, huśtającej się łagodnie w przód i w tył i wydającej odgłos „puf, puf!”. Kobieta kołysała się w zgodnym rytmie z lokomotywką, aż melodyjka się urwała i zabawka ze zgrzytem znieruchomiała. Wtedy babcia wyjęła z torebki portmonetkę i zaczęła w niej grzebać w poszukiwaniu drobnych *na* kolejną przejażdżkę - niestety, bez powodzenia. Z wnętrzości lokomotywki wynurzyła się zasmucona dziewczynka, wzięła babcię za rękę i razem wyszły ze sklepu. Mała smutno zerkała przez ramię.

- .. .przy pakowaniu?
- Słucham? - Logan otrząsnął się z zamyślenia i spojrzał na kasjera.
- Pytałem, czy pomóc przy pakowaniu? - Staruszek podniósł paczkę chipsów. - Zakupów. Czy pomóc panu spakować zakupy?
- Aha... Nie, dziękuję.

Schował wino, chipsy i marynaty do torby foliowej i wyszedł na parking. Powinien chyba kupić po piwie przemoczonym, zmarzniętym i rozczarowanym policjantom, których na próżno ciągał po okolicy, ale teraz było już na to za późno.

Usłyszał dziecięcy śmiech. Dziewczynka ze sklepu pluskała się w kałuży, babcia śmiała się i klaskała jej do wtóru. Stanął i z coraz bardziej nachmurzoną miną patrzył na tę scenę.

Skoro ojciec Richarda Erskine'a nie mógł widywać dziecka, to zakaz obejmował też pewnie dziadków. Wszyscy na tym tracili...

Główna sypialnia nie wyglądała na pokój dwudziestodwuletniego mężczyzny - szydełkowana narzuta, krem nawilżający... Prędzej ten drugi

pokój, z komputerem i półnągą dziewczyną z plakatu.

Wskoczył do wozu. Postawił zakupy pod nogami. Uśmiechnął się.

- Co wy na to, żebyśmy złożyli panu Caldwellowi jeszcze jedną wizytę?

Czerwone renault stało na swoim miejscu, ale tym razem towarzyszyło mu jasnoniebieskie volvo kombi, zaparkowane przed domem, z dwoma kołami na chodniku. Logan uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Zatrzymajmy się tam, gdzie przedtem. Wy dwaj na tyły, my wejdzie my od frontu.

Odczekał minutę, żeby policjanci zajęli pozycję, po czym podszedł do drzwi i kciukiem wcisnął przycisk dzwonka.

Otworzył mu Darren Caldwell. Na jego twarzy odmalowało się najpierw rozdrażnienie, potem panika, następnie złość - wszystko w mgnieniu oka.

•Cześć, Darren. - Logan wsunął stopę w drzwi, żeby nie zatrzęsnięto mu ich przed nosem. - Masz coś przeciwko temu, żebyśmy jeszcze raz się rozejrzeli?

•Czego, kurwa, chcecie?

•Darren? - Głos należał do kobiety, był wysoki i lekko drżał. - Darren, w ogródku jest policja!

Caldwell odwrócił się w stronę kuchni, a potem wrócił wzrokiem do Logana.

•Darren! Co robimy?!

•Wszystko w porządku, mamusiu. - Caldwell zwiesił głowę. - Wstaw wodę na herbatę.

Cofnął się od progu, przepuszczając Logana i towarzyszącą mu policjantkę.

Na środku salonu stały torby z zakupami. Logan zajrzał do pierwszej z

brzegu - nowiućkie ubranka dla dziecka.

Dobiegająca pięćdziesiątki kobieta wyjrzała z kuchni, przyciskając do piersi ściereczkę. Przesuwała ją w palcach jak paciorki różańca.

- Darren...

- Nie martw się, mamusiu. Już za późno. - Caldwell przysiadł ciężko na paskudnej zielonej sofie. - Zabierzecie go, prawda?

Logan skinął na policjantkę, żeby stanęła w drzwiach salonu.

- Gdzie on jest?

- To nie jest w porządku! - Matka Darrena machnęła Loganowi ścierką przed twarzą. Na ściereczce wyszyto tańczącą owieczkę. - Dlaczego nie mogę widywać wnuka? Dlaczego chłopiec nie może mieszkać z ojcem?

- Pani Caldwell... - Logan próbował coś powiedzieć, ale ona jeszcze nie skończyła.

- Ta wredna krowa zabrała go i nie pozwala nam się z nim spotykać! Mam wnuka i nigdy go nie widuję! Jaką trzeba być matką, żeby się tak zachowywać?! Jaka matka zabrania ojcu spotykać się z synem?! Nie zasługuje na niego!

U8

- Gdzie jest Richard?

- Nic im nie mów, Darren!

Darren wskazał mniejszą z dwóch sypialni, za plecami posterunkowej.

- Właśnie poszedł spać - odparł półgłosem. Logan ledwie go usłyszał.

Postemnkowa ruchem głowy wskazała drzwi do pokoju i spojrzała pytająco na sierżanta. Na jego znak zniknęła w sypialni i wróciła po chwili, prowadząc zaspanego chłopczyka w kraciastej żółto-niebieskiej piżamie.

Maluch ziewnął i powiódł wzrokiem po otaczających go dorosłych.

- Chodź, Richardzie - powiedział Logan. - Jedziemy do domu.

15

Radiowóz stał pod domem Darrena Caldwell'a z wyłączonymi światłami i cicho pracującym silnikiem. Jeden z ludzi Logana odczytywał Caldwellowi listę przysługujących mu praw. Matka aresztowanego siedziała na sofie i zalewała się łzami. Mały Richard Erskine spał jak zabity.

Logan westchnął i wyszedł za próg. Mżyło. W domu panował zaduch, sierżantowi zaczynało się robić żal Darrena. Przecież sam był jeszcze prawie dzieckiem. I chciał tylko jednego: widywać syna, może czasem zabrać go na trochę do siebie. Patrząc, jak dorasta. Tymczasem skończy z adnotacją w policyjnej kartotece i - najprawdopodobniej - sądowym zakazem zbliżania się do Richarda.

Pochłodziło. Oddech skraplał się w białe kłaczkę pary. Logan zastanawiał się, co zrobić z właścicielem warsztatu: zapewnienie pracownikowi fałszywego alibi kwalifikowało się jako utrudnianie śledztwa. Teraz nie miało to wielkiego znaczenia. Odzyskali chłopca, bo bez względu na alibi Caldwell został złapany na gorącym uczynku...

Ale utrudnianie śledztwa to poważny zarzut.

Schował ręce głęboko do kieszeni i powiódł wzrokiem po ulicy. Ciche domy, ciemne okna, czasem nerwowe drgnienie zasłon, kiedy któryś z sąsiadów próbował dyskretnie wybadać, co robi policja w domu Caldwellów.

Udzielić ostrzeżenia? Czy postawić oficjalny zarzut?

Wzdrygnął się i odwrócił, zamierzając wrócić do środka. Jego wzrok

prześliznął się po obwiedzionym umierającymi różami ogródku i spoczął na niebieskim volvo. Wyciągnął komórkę i z pamięci wybrał numer warsztatu.

119

Pięć minut później zaszył się z Darrenem Caldwellem w małej kuchni. Odesłał ludzi do salonu z kubkami herbaty w rękach i zdumieniem na twarzach. Caldwell zgarbił się, oparł ciężko o zlew i przez swoje odbicie w szybie wyjrzał do ogrodu.

- Pójdę siedzieć, prawda? - spytał głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

- Na pewno nie chcesz nic zmienić w swoich zeznaniach?

Odbicie w szybie przygryzło wargę i pokręciło głową.

- Nie. To moja wina. - Caldwell otarł łzy rękawem i pociągnął nosem.

- To ja go zabrałem.

Logan oparł się o blat.

• Nieprawda.

• Właśnie że tak!

• Byłeś w pracy. Volvo, które naprawialiście, należy do twojej matki.

Dzwoniłem do warsztatu; sprawdziłem numer rejestracyjny. Pożyczyłeś matce swój wóz i to ona porwała Richarda. Nie ty.

• Ja! Mówiłem już, że to ja!

Logan milczał. Cisza się przedłużała. W salonie ktoś włączył telewizor: dało się słyszeć stłumione głosy i nagrany na taśmie śmiech.

- Na pewno tego chcesz?

Chciał.

Wrócili na komendę w milczeniu. Darren Caldwell gapił się przez okno

na błyszczące od deszczu ulice. Logan przekazał go sierżantowi dyżurnemu w areszcie. Dyżurny kazał chłopakowi wyłożyć zawartość kieszeni na niebieską plastikową tackę i dorzucić do tego pasek i sznurówki. Wydał pokwitowanie. Twarz Caldwell'a lśniła od potu, oczy były czerwone i załzawione. Logan walczył z wyrzutami sumienia.

W budynku panowała cisza. Ruszył po schodach do recepcji. Dyżur miał Duży Gary: siedział za biurkiem z telefonem przy uchu i uśmiechem na twarzy.

- Nie, proszę pana, nie... Naturalnie, zdaję sobie sprawę, że to musiał być dla pana szok... Na spodnie... Tak, zapisuję...

Niczego nie zapisywał. Rysował za to obrazek przedstawiający policjanta w radiowozie rozjeżdżającego mężczyznę ubranego w garnitur.

Rozjeżdżający do złudzenia przypominał Dużego Gary'ego, a rozjeżdżany był łudzaco podobny do ulubionego adwokata wszystkich policjantów.

Logan zaśmiał się, przysiadł na skraju biurka i słuchał.

- Zgadzam się, oczywiście. To straszne... Nie, wcale tak nie myślę, proszę pana. - Gary napisał na kartce „Nadęty gnojek” i rojem strzałek po-

120

łączył napis z rozjeżdżanym człowiekiem w garniturze. - Przekażę wszystkim radiowozom w okolicy, aby szukały chuligana. Natychmiast się tym zajmujemy. - Odłożył słuchawkę na widełki i dodał: - Jak tylko burmistrz wpadnie na komendę i zrobi wszystkim łaskę.

Logan wziął do ręki notatnik i przyjrzał się wesołej karykaturze.

- Nie wiedziałem, że masz taki dryg do rysowania, Gary.
- To był Wąż. - Gary uśmiechnął się w odpowiedzi. - Ktoś wylał na niego kubeł bluzgu, nazwał go „kochasiem gwałcicieli” i zwiął.

- Serce mi krwawi, jak to słyszę...

- Są dla ciebie wiadomości. Jakiś pan Lumley dzwonił chyba ze sześć razy w ciągu ostatnich dwóch godzin. Pyta, czy znaleźliśmy jego syna. Jest zrozpaczony.

Logan westchnął ciężko. Ekipy poszukiwawcze wróciły do domów - do rana i tak nic więcej nie dałoby się zrobić.

- Udało ci się złapać Inscha?

Gary pokręcił głową, aż mu się zatrzęsły policzki. Spojrzał na zegarek.

- Bez szans. Przedstawienie skończy się za... jakieś pięć minut. A sam wiesz, jak się wścieka, jeśli się do niego dzwoni, kiedy oddaje się ciałem i duszą sztuce. Nie wiem, czy ci opowiadałem, jak kiedyś...

Drzwi do recepcji otworzyły się z impetem i odbiły od ściany, do środka wparował inspektor Insch, spowity obłokiem złota i szkarłatu, w popiskujących na linoleum pantoflach z podwiniętymi noskami.

- McRae! - ryknął.

Jego twarz, ukrytą pod grubą warstwą makijażu, wykrzywił wściekły grymas. Kiedy zerwał przyklejoną koziąbrodkę i sumiaste wąsy, został po nich zaróżowiony ślad wokół ust. Biała kreska na czole oznaczała pewnie miejsce, w którym opierał się turban. Łysina inspektora błyszczała w świetle lamp.

Logan wyprężył się na baczność. Otworzył usta, żeby zapytać, jak udało się przedstawienie, ale inspektor nie dał mu dojść do słowa.

- Do stu tysięcy piorunów, co pan sobie wyobraża, sierzancie?! - Zerwał klipsy i rzucił je na biurko. - Nie...

- Richard Erskine. Znaleźliśmy go.

Pod makijażem cała krew odpłynęła z twarzy inspektora. - Co?

- Znaleźliśmy Richarda Erskine'a. Żyje.

-To ma być żart?!

- Nie. Za dwadzieścia minut odbędzie się konferencja prasowa. Matka już tu jedzie. - Logan krytycznym spojrzeniem obrzucił kostium teatralnego zbrojcy. - Świetnie wypadnie pan w telewizji.

121

Środowy poranek rozpoczął się stanowczo za wcześnie: za kwadrans szósta telefon już dzwonił jak oszalały.

Zaspany Logan wygramolił się spod pierzyny i próbował namacać budzik, ale tylko zrzucił go z szafki. Podniósł zegarek, zobaczył, która jest godzina, zaklął i opadł na łóżko. Przetarł ręką twarz, próbując choć trochę ją ożywić.

Telefon nadal dzwonił.

- Odpieprz się! - warknął.

Telefon nic sobie z tego nie robił.

Zwłókł się z łóżka, przeczłapał do salonu i podniósł słuchawkę.

- Czego?!

•No, no, cóż to za maniery... - zabrzmiał znajomy głos z akcentem z Glasgow. - Może byś tak otworzył drzwi? Jaja sobie odmrozę!

•Słucham?

Zadzwoił domofon. Logan znów zaklął.

- Proszę poczekać - rzucił do słuchawki, odkładając ją na stół.

Wyszedł z mieszkania i potykając się, zbiegł po schodach. Na dworze było jeszcze ciemno, ale przynajmniej deszcz przestał padać. Ulice skuł lód, odbijający żółte światło latarni. Na progu stał Colin Miller z telefonem komórkowym w jednej i białą foliową torbą w drugiej ręce. Był jak zwykle nienagannie ubrany - w ciemnoszary garnitur i czarny płaszcz.

- Chryste Panie, ależ kurewski ziąb! - Z ust Millera buchnął kłęb pary.
- Wpuścisz mnie? - Pokazał Loganowi torbę. - Przyniosłem śniadanie.

Logan zmrużył oczy.

- Masz pojęcie, która jest godzina?
- Mam. A teraz wpuść mnie, zanim to gównno zamarźnie.

Usiedli przy stole w kuchni. Logan powoli wracał do życia, Miller buszował po szafkach, czajnik z wodą pomrukiwał i podskakiwał na kuchence.

- Masz jakąś normalną kawę? - zapytał, trzasnąwszy drzwiczkami szafki.
- Tylko rozpuszczalną.

Miller z westchnieniem pokręcił głową.

- Jak w kraju Trzeciego Świata... Nieważne. Jakoś to zniosę.

Wyjął dwa duże kubki, nasypał do środka brązowych granulek, dodał cukru. Zmierzył podejrzliwym wzrokiem stojący w lodówce karton odłuszczonego mleka, powąchał go i postawił na stole razem z tubką masła.

- Nie wiedziałem, co jesz, wziąłem croissanty, paszteciki i bułeczki.
Częstuj się.

Logan wyjął z torby dwie bułki. Posmarował jedną masłem, ugryzł pieczywo i sapnął z zadowoleniem.

122

- Nie rozumiem, jak możesz jeść taki szajs - stwierdził Miller, podając mu kubek z kawą. - Wiesz, co w nich jest?

Logan pokiwał głową.

- Tłuszcz, mąka i sól.

- Nie tłuszcz, tylko słonina. Tylko jakiś czubek z Aberdeen mógł wpaść na pomysł, żeby wypiekać bułki, które wyglądają jak krowie placki.

Zawierają pół tony nasyconych tłuszczów zwierzęcych i drugie pół tony soli! Nic dziwnego, że padacie na serce jak muchy.

Miller przyciągnął sobie torbę i wyjął croissanta. Odłamywał po kawałku, smarował masłem i dżemem i maczał w kawie.

- I kto to mówi - mruknął Logan, patrząc, jak na powierzchnię kawy w kubku dziennikarza wypływa cienka lśniąca warstewka tłuszczu. - Przecież to wy wymyśliliście pizzę smażoną w oleju.

- Fakt, punkt dla ciebie.

Logan odczekał, aż Miller oderwie następny kąsek rogalika, umoczy go w kawie i zapcha sobie nim usta, po czym zapytał, dlaczego przyszedł o tak niehumanitarnej porze.

- To już kumpel nie może po prostu wpaść do kumpla na śniadanie?

- Brzmiała stłumiona, niewyraźna odpowiedź. - No wiesz, to takie towarzyskie i...

- I?

Miller wzruszył ramionami.

- Wczoraj świetnie się spisałeś. - Wyjął z torby drugiego croissanta i najnowszy „Press and Journal”. Na pierwszej stronie wydrukowano zdjęcie z konferencji prasowej. Duży, wyrazisty nagłówek oznajmiał: „Policjant bohater znajduje zaginione dziecko”. - Sam go znalazłeś. Jak?

Logan wziął pasztecik i ze zdumieniem stwierdził, że jest jeszcze ciepły. Skubiąc francuskie ciasto i obsypując gazetę okruchami, czytał i jadł jednocześnie. Musiał przyznać, że artykuł jest niezły. Nie zawierał zbyt wielu faktów, ale z tych paru, które się w nim znalazły, Miller stworzył historię znacznie ciekawszą, niż była w rzeczywistości. Wyglądało na to, że nie bez

powodu jest uważany za złote dziecko dziennikarstwa. Znalazł nawet miejsce na przypomnienie innego sukcesu, jakim było schwytanie Potwora z Mastrick, aby nikt nie miał wątpliwości, że sierżant Logan McRae naprawdę zasługuje na miano policjanta bohatera.

- Zaimponowałeś mi - przyznał Logan. Miller się uśmiechnął. - Nie ma żadnych błędów ortograficznych.
- Jesteś bezczelny.
- Co cię tu sprowadza?

123

Miller rozsiadł się wygodnie, podnosząc kubek z kawą na wysokość piersi, choć nie na tyle blisko, aby ryzykować zaplamienie nowiutkiego garnituru.

- Dobrze wiesz: chcę usłyszeć, jak to było. Chcę dostać coś, czego inni nie będą mieli. To... - Wskazał zdjęcie na pierwszej stronie gazety.

- To nam nie zapewni poczytności przez dłuższy czas: dziś, jutro i koniec. Dzieciak jest cały i zdrow, porwał go własny ojciec... Sprawa rodzinna. Obeszło się bez krwi, bez flaków, to nikogo nie przerazi. Gdyby maluch zginął, pisalibyśmy o sprawie tygodniami, a tak? Najdalej pojutrze ludzie przestaną się tym interesować.

- Trochę to cyniczne... Miller wzruszył ramionami.
- Mówię, co myślę.

- I dlatego kumple z pracy cię nie lubią?

Dziennikarz nawet nie mrugnął. Włożył tylko do ust następny kawałek umoczonego w kawie croissanta.

- No cóż... Nikt nie lubi mądraków, zwłaszcza takich, przy których sam wychodzi na durnia. „Nie umiesz pracować w zespole!” - dodał z

udawanym aberdeenskim akcentem. - „U nas takie sprawy załatwia się inaczej!” „Jeśli się nie zmienisz, wykopimy cię!” - Prychnął. - Nie lubią mnie, ale drukują, prawda? Odkąd tu jestem, miałem więcej kawałków na okładce niż te stare pierdziele przez całe życie!

Logan się uśmiechnął. Trafił w czuły punkt.

•Wracając do rzeczy... - Miller dojadł rogalik i zlizął okruszki z palców. - Powiesz mi, jak znalazłeś dzieciaka, czy nie?

•Mowy nie ma! Miałem już jedną rozmowę z gościem z wydziału wewnętrznego. Szukają człowieka, który powiedział ci o znalezieniu zwłok małego Reida. Dadzą mi w kość, jeśli zacznę mleć ozorem bez oficjalnego pozwolenia.

- Tak jak wczoraj? - spytał Miller z miną niewiniątka.

Logan spiorunował go wzrokiem.

- Dobrze, dobrze. - Miller zaczął sprzątać po śniadaniu. - Czuję bluesa. Musi być coś za coś, tak?

- Powiedz mi, kto jest twoim informatorem.

Miller pokręcił głową.

•Na to nie licz. - Schował mleko i masło do lodówki. - Co zrobiłeś z informacjami, które ci dałem?

•No... Sprawdzamy je - skłamał Logan.

Zwłoki w porcie! Trup bez rzepek! Insch objechał go za rozmawianie z prasą i Logan na śmierć zapomniał porozmawiać z inspektorem prowadzącym tamto śledztwo. Naburmuszył się i na nic innego nie miał czasu.

124

- W porządku. Ty porozmawiasz ze swoim inspektorem, a ja ci powiem, gdzie widziano George'a Stephensona przed śmiercią. Pasuje? - Wyjął z

portfela pachnącą jeszcze drukiem wizytówkę i położył ją na stole. - Czekam do wpół do piątej. „Jak policjant bohater odnalazł zaginionego chłopca?” Pojutrze nikt się tym nie zainteresuje. Daj znać, jak coś będziesz wiedział.

16

Nie było już sensu wracać do łóżka. Podreptał pod prysznic, a potem powlókł się do komendy. Ulica przypominała szklaną tafłę - służby miejskie jak zwykle spisały się doskonale, nie posypując nawierzchni piaskiem. Na szczęście przynajmniej nie padało. Chmury były fioletowe i ciemnoszare; do wschodu słońca pozostały jeszcze ponad dwie godziny.

Komenda przypominała grobowiec. Armia dziennikarzy, obozująca przed gmachem poprzedniego dnia, zniknęła, pozostawiając po sobie tylko stos petów. Leżały w rynsztoku jak zamrożone robaki.

- Cześć, Łazarz! - powitał go jowialnie Duży Gary, kiedy skręcał do windy.
- Cześć, Gary. - Sierżant nie miał ochoty na kolejny przyływ uprzejmości.
- Hej! - zawołał Gary, rozejrzawszy się i upewniwszy, że nikogo nie ma w pobliżu. - Słyszałeś? Inspektor Steel znów zaliczyła czyjąś żonę. Logan mimo woli zatrzymał się i odwrócił.
- Czyją tym razem?
- Andy'ego Thompsona, z księgowości.
- No, no... - Logan się skrzywił. - Desperatka. Duży Gary uniósł brwi.
- Mówisz? Ja tam zawsze uważałem, że babeczka jest niczego sobie. Zza

lustrzanej przegrody, oddzielającej stolik dyżurnego od reszty maleńkiego biura, wychyliła się łysa głowa ozdobiona okazałym wąsem. Policjant spojrzał Loganowi w oczy.

- Panie sierżancie... - To Erie, druga połowa duetu Gary i Erie. - Moglibyśmy zamienić słówko na osobności?

Zaskoczony Logan wszedł za weneckie lustro. Większość miejsca w pokoiku zajmowały szafki na akta, komputery i piętrzące się pod ścianami pudła z wszelakim śmieciem. Naprzeciw nich stał podłużny,

125

wyszczerbiony stół z laminatu, zarzucony papierami i pojemnikami na korespondencję. Logan miał złe przeczucia.

- O co chodzi? - zapytał, przysiadając na krawędzi stołu. Zupełnie jak Insch.
- O Duncana Nicholsona. - Erie skrzyżował ramiona na piersi. Widząc pytające spojrzenie Logana, westchnął ciężko. - Ściągnął go pan tutaj na przesłuchanie. - Nadal żadnej reakcji. - To on znalazł martwe dziecko przy moście!

-Aaa... Ten gość.

- Tak, ten. Siedzi w areszcie od poniedziałku. - Erie zerknął na zegarek. - Czterdzieści trzy godziny! Albo przedstawimy mu zarzuty, albo trzeba go wypuścić!

Logan zamknął oczy i zaklął. Na śmierć zapomniał o Nicholsonie.

- Czterdzieści trzy godziny?!

Prawo dopuszczało najwyżej sześciogodzinne zatrzymanie. -Tak.

Erie patrzył kamiennym wzrokiem, jak Logan cierpi. Dzień od rana dawał sierżantowi w kość.

- Zwolniłem go w poniedziałek wieczorem - wyjaśnił Erie, uznawszy, że Logan dość już się wycierpiał. -Nie mogliśmy go dłużej trzymać. I tak siedział za długo.
- W poniedziałek?! - Dwa dni temu! - Czemu nie daliście mi znać?
- Dzwoniliśmy chyba dziesięć razy. Miałeś wyłączony telefon. Wczoraj wieczorem też próbowaliśmy. Jeżeli chcesz zamykać ludzi, musisz się potem nimi zająć, zamiast ich podrzucać nam. Nie jesteśmy niańkami. Logan zaklął pod nosem: wyłączył telefon na czas sekcji zwłok dziewczynki.
- Przepraszam, Erie.
- Sierżant dyżurny pokiwał głową.
- W porządku. W książce wpisów nie ma śladu, sam się tym zająłem. Nic się nie wydarzyło. Przywieźliśmy go, chwilę potrzymaliśmy, zwolniliśmy. Tylko żeby się to nie powtórzyło, dobrze?
- Dzięki.

Szurając nogami, powłókł się do pokoju, który zajął dzień wcześniej. Po drodze wziął sobie kawę z automatu. Komenda powoli ożywała, do pracy przychodziły pierwsze ranne ptaszki. Zamknął za sobą drzwi, opadł ciężko na krzesło za biurkiem i zagapił się na wiszący na ścianie plan miasta. Patrzył - i wcale nie widział ulic ani rzek.

Duncan Nicholson. Zapomniał o tym, że zostawił go w celi, żeby go zmiękczyć. Spuścił głowę, opierając ją o stos zeznań.

126

- Łajdak... - mruknął w papier. - Łajdak, łajdak, łajdak...

Ktoś zapukał do drzwi. Logan wyprostował się gwałtownie. Leżący na samej górze stosiku arkusz sfrunął na podłogę. Sierżant schylił się po niego z

grymasem bólu. Do pokoju zajrzała posterunkowa Watson.

- Dzień dobry, panie sierzancie - powiedziała. Zaniepokoiła się, widząc jego zbolaną minę. - Co się stało?

Logan uśmiechnął się z wysiłkiem i usiadł prosto.

•Nic - skłamał. - Wcześniej pani przyszła.

•Idę do sądu. Wczoraj wieczorem złapałam gościa, który onanizował się w damskiej przebieralni na basenie w Hazlehead.

•Facet z klasą.

Uśmiechnęła się w odpowiedzi i Logan od razu poczuł się lepiej.

- Nie mogę się doczekać, kiedy przedstawię go mamie. No, muszę lecieć. Gość zeznaje w sprawie Geralda Cleavera, a ja mam go nie spuszczać z oka. Chciałam tylko powiedzieć, że zaimponował nam pan, znajdując tego chłopca.

Logan też się uśmiechnął.

- Praca zespołowa.

-Nieprawda. Wieczorkiem znów idziemy się napić... To nie będzie duża biba, po prostu drink albo dwa. Gdyby chciał się pan przyłączyć... Nic nie sprawiłoby mu większej przyjemności.

Podniesiony na duchu, udał się do pokoju operacyjnego na poranną odprawę. Posterunkowa Jackie Watson znów miała ochotę umówić się z nim na wieczór - no, przynajmniej chciała, żeby dołączył do niej i kolegów, kiedy po pracy pójdą na jednego. Co mniej więcej wychodziło na to samo. Mniej więcej. Nadal nie porozmawiali o tym, co wydarzyło się poprzedniej nocy.

I w dalszym ciągu mówiła do niego „sierzancie”. Z drugiej strony - on też zwracał się do niej „posterunkowa”, czyli niezbyt romantycznie.

Kiedy otworzył drzwi do pokoju operacyjnego, przywitały go ogłuszające oklaski. Zarumienił się i czerwony jak burak usiadł w pierwszym rzędzie.

- No dobrze, wystarczy - powiedział inspektor Inch, uciszając wszystkich gestem. Oklaski powoli umilkły. - Panie i panowie - mówił dalej. - Jak wicie, ubiegłej nocy sierżant Logan McRae odwiózł matce uprowadzonego Richarda Erskine'a, znalazłszy go w domu babki. - Uśmiechnął się do Logana. - No, proszę wstać.

Logan - czerwieniąc się coraz bardziej - dźwignął się z krzesła. Odpowiedziała mu nowa seria wiwatów.

127

- Tak wygląda prawdziwy policjant - ciągnął tymczasem Inch, wskazując sierżanta. Poprosił o ciszę, Logan usiadł. Czuł się jednocześnie podekscytowany, zachwycony i przerażony. - Znaleźliśmy Richarda Erskine'a. - Inspektor wziął do ręki leżącą na biurku szarą kopertę i wyjął z niej zdjęcie formatu piętnaście na dwadzieścia centymetrów. Przedstawiało piegoatego rudzielca, w którego uśmiechu brakowało paru mleczaków. - Nadal jednak szukamy Petera Lumleya i jest mało prawdopodobne, żebyśmy znaleźli go u babci, ale i tak trzeba to sprawdzić.

Wyjął następną fotografię, już nie tak sympatyczną: obrzmiała buzia, poczerniała, pokryta plamami pleśni, z ustami rozwartymi w męczeńskim krzyku. Pośmiertne zdjęcie Davida Reida.

- Tak będzie wyglądał Peter Lumley, jeśli go szybko nie znajdziemy. Musimy rozszerzyć obszar poszukiwań. Trzy zespoły: pole golfowe w Hazlehead, stajnie, park. Macie zajrzeć za każdy krzak, przekopać się przez każdą kupę piasku, przegrzebać każdą stertę gnoju.

Insch zaczął wyczytywać nazwiska.

Kiedy odprawa dobiegła końca i ludzie się rozeszli, Logan zrelacjonował mu postępy w sprawie martwej dziewczynki z wysypiska. Nie zajęło mu to dużo czasu.

- Co pan proponuje? - zapytał Inch. Przysiadł na biurku i zaczął przetrząsać kieszenie marynarki w poszukiwaniu słodyczy.

Logan musiał się bardzo postarać, żeby nie wzruszyć ramionami.

-Nie możemy zrobić wizji lokalnej. Nie mamy pojęcia, co miała na sobie w chwili śmierci. Poza tym nikt nam nie pozwoli odegrać wyrzucenia zwłok na śmietnik. Wszystkie gazety dostały jej zdjęcie, może coś z tego będzie.

Jedynym plusem sytuacji, w której Aberdeen stało się „szkocką stolicą zabitych dzieci”, był fakt, że wszystkie brukowce w kraju chętnie zamieszczały zdjęcia zabitej dziewczynki.

Inch znalazł miętówkę - nie pierwszej świeżości - i wsunął do ust.

- Proszę tego pilnować. Ktoś na pewno wie, kim była ta mała. Norman Chalmers miał wczoraj swoje piętnaście minut w sądzie. Został zatrzymany w areszcie bez możliwości zwolnienia za kaucją, ale prokurator nie jest zadowolony. Albo damy mu jakiś konkretny, albo Chalmers wyjdzie.
- Coś znajdziemy, panie inspektorze.
- Dobrze. Komendant się niepokoi, zaginięcia wyglądają fatalnie. Komenda Lothian i Borders cały czas „proponuje nam pomoc”. Przesłali nam nawet wstępny rys psychologiczny sprawcy. - Inch sięgnął po cztery spięte zszywką kartki. Pierwszą z nich zdołała odznaka policji Lothian i Borders. - Musimy się mieć na baczności, bo Edynburg chętnie przejąłby

tę sprawę, a wtedy wyjdziemy na prowincjonalnych półgłówków, **którzy** dla rozrywki posuwają owce.

- Fajnie. Co jest w tym profilu psychologicznym?
- To co zawsze w takich śmieciach. - Insch obracał kartki. - Bla, bla, bla, „charakterystyka miejsca zbrodni”, bla, bla, bla, „patologia ofiary”, bla, bla... -Zawiesił głos i uśmiechnął się krzywo. - O, tu jest: „Przestępca: najprawdopodobniej mężczyzna, rasy białej, w wieku od dwudziestu do trzydziestu lat, mieszka sam lub z matką. Najprawdopodobniej bardzo inteligentny, choć bez wybitnych osiągnięć szkolnych. Wykonuje prosty zawód, który pozwala mu nawiązywać kontakt z dziećmi”.

Logan pokiwał głową. Standardowy profil psychologiczny, pasujący prawie do każdego.

- To się panu spodoba - dodał Insch i czytał dalej, z udawaną emfazą:
- „Przestępca ma trudności z nawiązywaniem kontaktów z kobietami. Nie można wykluczyć choroby psychicznej...” Choroba psychiczna! Przecież to oczywiste, do cholery! - Inspektor już się nie uśmiechał. - Musi być chory psychicznie, skoro morduje dzieci!

Zmiał raport w dłoni i rzucił prosto do stojącego przy drzwiach kosza na śmieci. Papierowa kulka odbiła się od ściany, spadła na podłogę i potoczyła się pod drugi rząd krzeseł. Insch prychnął z niesmakiem.

-Wracając do tematu... Inspektor McPherson jeszcze co najmniej przez miesiąc będzie na zwolnieniu. Założyli mu trzydzieści siedem szwów na głowę. Pięknie, co? Nie ma to jak czub z kuchennym nożem w garści, który rzuci się na człowieka i załatwi mu miesiąc leżenia plackiem przed telewizorem. - Westchnął. Nie zauważył zbolalej miny Logana. - A to oznacza, że oprócz moich spraw spadną mi na głowę także te, którymi on

się zajmował: cztery włamania do urzędów pocztowych, trzy napaści z bronią w ręku, dwa gwałty i diabli wiedzą, co jeszcze. - Szturchnął Logana wyprostowanym palcem w pierś. - I dlatego to pan, sierżancie, przejmie sprawę dziewczynki w worku.

-Ale...

Insch podniósł ręce w obronnym geście.

- Wiem, to duża rzecz, ale ja już mam na głowie Davida Reida i Petera Lumleya. Może nic ich nie łączy, ale komendant na pewno by nie chciał, żeby seryjny zabójca paradował po ulicach i porywał sobie małych chłopców, kiedy przyjdzie mu na to chęć. Wszyscy nasi inspektorzy są zaważeni po uszy własnymi sprawami, a pan samodzielnie odszukał Richarda Erskine'a. Dziennikarze pana kochają. Ta sprawa spada na pana.

- Tak jest.

Logan już czuł rewolucję w żołądku.

129

- No dobra. - Insch zeskoczył z biurka. - Do roboty. A ja zobaczę, jakie cuda odziedziczyłem po McPhersonie.

Zarekwirowany gabinet czekał na Logana z utęsknieniem, zupełnie jakby wiedział, że teraz to on będzie dźwigał krzyż. Na biurku leżało zdjęcie, które rozesłali do gazet i telewizji - to z kostnicy, po retuszu, żeby dziewczynka wyglądała na trochę mniej martwą. Za życia musiała być ślicznym dzieckiem: czterolatka z kręconymi blond włoskami, które opadały jej na ramiona i otulały buzię; zadarty nosek, okrągłe policzki i podobno zielone oczy - podobno, bo na zdjęciu miała zamknięte powieki. Nikt nie lubił patrzeć martwym dzieciom w oczy. Logan powiesił fotografię na ścianie,

obok planu miasta.

Reakcja na apele w mediach była prawie żadna. Nie zgłosił się nikt, kto znałby dziewczynkę - ale to na pewno się zmieni wieczorem, kiedy telewizja ponownie pokaże jej zdjęcie. Zaczną się telefony od zatroskanych ludzi, którzy zasypią ich mnóstwem do niczego nieprzydatnych informacji-

Następne dwie godziny spędził na ponownym przeglądaniu zeznań. Raz je już czytał i nic nie znalazł, ale wiedział, że muszą zawierać odpowiedź. Ten, kto podrzucił zwłoki, musiał mieszkać blisko kontenera.

W końcu odstawił kubek wystygłej kawy, którą popijał od dobrej godziny, i rozprostował obolałe plecy. W ten sposób donikąd nie dojdzie. I nadal nie porozmawiał z nikim o trupie w porcie. Może czas zrobić sobie przerwę?

Pokój inspektor Steel znajdował się piętro wyżej. Był wyłożony niebieskim, wytartym dywanem i wyposażony w meble, które od nowości sprawiały wrażenie rozchwierutanych. Tabliczka na ścianie dużymi czerwonymi literami ogłaszała „Zakaz palenia”, ale nie zniechęcało to pani inspektor. Siedziała za biurkiem przy lekko uchylonym oknie, przez które prześwietlony słońcem papierosowy dym wypływał na zewnątrz.

Stanowiła dokładne przeciwieństwo Inscha. Insch był gruby, ona chuda; Insch łysiał, Steel wyglądała, jakby ktoś przylepił jej taśmą do głowy kudłatego terierka. Podobno miała dopiero czterdzieści dwa lata, ale wyglądała znacznie starzej. Lata nałogowego palenia zmieniły jej twarz w przytułek wszelkich możliwych zmarszczek. Była ubrana w spodnium z Markies w szarawym odcieniu, na którym spadające z petów drobinki popiołu nie zostawiały widocznych śladów. Bordowa bluzka, którą włożyła pod spód, miała mniej szczęścia.

Trudno było uwierzyć, że inspektor Steel jest największym kobieciarzem

w komendzie.

130

Rozmawiała półgębkiem przez przyciśnięty barkiem do ucha telefon komórkowy, nie wypuszczając przy tym trzymanego w kąciку ust papierosa.

- Nie. Nie. Nie - powiedziała właśnie w stanowczym staccato. - Po słuchaj: jak cię dorwę, zrobię ci nową dziurę w dupie. Nie... Nie obchodzi mnie, kogo będziesz musiał wyruchać. Albo do piątku dostarczysz sprzęt, albo się pogniewamy... A żebyś, kurwa, wiedział... - Podniosła wzrok, spojrzała na Logana i wskazała mu sfatygowane krzesło. - No, tak lepiej. Wiedziałam, że się dogadamy. Do piątku.

Rozłączyła się i uśmiechnęła złowrogo.

- Kuchnia z pełnym wyposażeniem - prychnęła. - Akurat. Daj takie mu palec, to złapie całą rękę. - Sięgnęła po paczkę papierosów King Size. Podsunęła ją Loganowi. - Zapalimy?

Logan odmówił, na co odpowiedziała uśmiechem.

- Nie? Właściwie słusznie: pieprzony nałóg. - Wywlokła papierosa z paczki, odpaliła go od tego, którego trzymała w ustach i zdusiła peta na parapecie. - Słucham, panie bohaterze. Co mogę dla pana zrobić?

Rozsiadła się wygodnie. Jej głowę spowił świeży obłok dymu.

- Chodzi o tego waszego pływaka, pana Bezrzepka. Steel uniosła pytająco brwi.

- Zamieniam się w słuch.

- To prawdopodobnie George Stephenson, zwany „Geordie”. Żołnierz Malcolma McLennana...

- Malka Majchera? Ja pierdolę... Nie wiedziałam, że prowadzi u nas interesy.

- Podobno Geordie przyjechał tu dogadać się z planistami miejskimi: trzysta domów w otulinie. Kiedy planista odmówił, Geordie wepchnął go pod autobus.

- Niemożliwe. - Steel była tak poruszona, że wyjęła papierosa z ust. - Ktoś w wydziale planowania nie wziął łapówki?

Logan wzruszył ramionami.

- Wygląda na to, że Geordie lubił grać na wyścigach, tyle że fortuna mu nie sprzyjała. Był winien miejscowym bukmacherom spore pieniądze.

Inspektor Steel odchyliła się na oparcie krzesła, grzebiąc ułamanym paznokciem w zębach.

- Imponujące... Skąd pan to wszystko wie?

- Od Colina Millera. To dziennikarz „P & J”.

Steel zaciągnęła się papierosem, którego czubek rozżarzył się pomarańczowo. Dym wychodził jej powoli z nosa. Mierzyła Logana wzrokiem. Pokój zdawał się kurczyć, gdy gęstniejące warstwy tytoniowej mgły przesłaniały ściany, aż zostało z niego tylko to jarzące się pomarańczem oczko.

131

- Insch mówił mi, że prowadzi pan sprawę dziecka w worku.

- To prawda, pani inspektor.

-1 że podobno jest pan w miarę do rzeczy.

- Dziękuję, pani inspektor - odparł Logan, chociaż wcale nie był pewien, czy to komplement.

- Nie ma za co dziękować. Jeśli człowiek ma trochę oleju w głowie, to się rzuca w oczy. Ludzie zaczynają mu zlecać różne sprawy. - Steel uśmiechnęła się do niego przez kłęby dymu, a Logan poczuł ciarki na ple-

cach. - Rozmawialiśmy z Inschym o panu.

-Tak?

Przez skórę czuł, że szykuje się jakaś niemiła niespodzianka.

- Dziś jest twój szczęśliwy dzień, bohaterze. Dostaniesz następną szansę, żeby zabłysnąć.

17

Logan poszedł prosto do Inscha. Inspektor przycupnął na skraju biurka jak olbrzymi, spasiony sęp i spokojnie słuchał skarg Logana na Steel, która zepchnęła na jego barki śledztwo w sprawie Bezrzepka. Przecież jest zwykłym sierżantem! Nie może prowadzić dwóch dochodzeń w sprawach morderstw jednocześnie! Insch słuchał, cmokał, przytakiwał, współczuł - a potem odparł, że praca w policji jest ciężka i Logan powinien przestać zgrywać primadonnę.

- Co słyhać w sprawie dziewczynki w worku?

Logan wzruszył ramionami.

- Wczoraj wieczorem poszedł w telewizji apel do ludzi i teraz mamy górę zgłoszeń do przejrzenia. Jedna damulka stwierdziła, że możemy odwołać poszukiwania, bo mała Tiffany bawi się u niej w ogródku, w piaskownicy. Głupia starucha... - Pokręcił głową. - Zapędziłem do tej roboty paru posterunkowych.

- Czyli co? Siedzi pan i czeka, aż coś wypłynie?

Logan zarumienił się - i przytaknął.

-W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie, żeby pogrzebał pan w sprawie tego pływaka.

-Nic konkretnego, ale... - Logan nie mógł spojrzeć inspektorowi w oczy. - Ktoś musi odbierać zgłoszenia...

Insch skrzyżował ręce na piersi.

132

- Niech pan posadzi przy telefonie jeszcze jednego posterunkowego.

-No i... i...

Bezradnie zamachał rękami. Nie potrafił wydusić z siebie: „Boję się, że to spieprzę”.

- Nie ma żadnego „no i”. Posterunkowa Watson panu pomoże, jak tylko wróci z sądu. - Insch spojrział na zegarek. - Nie przydzieliłem jej do żadnej ekipy poszukiwawczej.

Logan zwiesił głowę.

- Na co pan czeka, sierżancie? - Inspektor dźwignął się z biurka i wygrzebał z kieszeni napoczętą paczkę miętówek. Wziął jedną i skręcił sreberko jak lont przy lasce dynamitu. Rzucił dynamit Loganowi. - Proszę. Zaliczka na poczet premii świątecznej. A teraz niech pan stąd spada i bierz się do pracy.

Komenda Lothian i Borders nie kryła zachwyty na wieść o zwłokach, które mogły być zwłokami Geordiego Stephensona. Zanim jednak urzędzą przyjęcie z tortem i balonikami, chcieli mieć pewność, że truposz leżący u Logana w kostnicy to naprawdę ulubiony żołnierz Malka Majchera. Przysłali więc wszystko, co mieli na jego temat: odciski palców, akta i ładne, duże zdjęcie, które Logan wydrukował sobie na kolorowo. W dwunastu egzemplarzach. Geordie miał dużą twarz, toporne rysy, natapirowane włosy i wąsy jak gwiazdor filmów porno - gęba egzekutora

długów. Po śmierci był znacznie bledszy i bardziej pokiereszowany, ale o pomyłce nie mogło być mowy: to ten sam człowiek, którego wyłowiono w porcie z oderzniętymi rzepkami. W dodatku odciski palców też się zgadzały.

Logan zadzwonił do Lothian i Borders z dobrą wiadomością: Geordie Stephenson odbierał teraz długi w zaświatach. Obiecali, że podeślą mu kawałek tortu.

A skoro udało się zidentyfikować ofiarę, należało jeszcze ustalić, kto ją zabił. Logan był gotów założyć się o każde pieniądze, że śmierć Geordiego miała coś wspólnego z jego skłonnością do hazardu. To z kolei oznaczało, że będzie musiał złożyć wizytę wszystkim bukmacherom w Aberdeen, pokazać im zdjęcie Stephensona i obserwować ich reakcję.

Wychodząc, zajrzał jeszcze do swojego prywatnego pokoju operacyjnego. Idąc za radą Inscha, posadził jakąś rozsądnie wyglądającą posterunkowa - dziewczynę o piaskowobrazowych włosach i gęstych brwiach - przy telefonie i kazał jej koordynować pracę policjantów prowadzących wywiad w terenie. Siedziała przy zagraconym stole w słuchawkach, z mikrofonem, i właśnie zapisywała kolejną możliwą tożsamość zabitej dziewczynki. Kiedy skończyła, przedstawiła Loganowi raport z ostatnich wydarzeń - co zajęło jej najwyżej trzy sekundy, bo nic się nie wydarzyło. Obiecała, że zadzwoni do niego na komórkę, gdyby coś się zmieniło.

Teraz musiał już tylko zabrać posterunkową Watson z sądu i wziąć się do roboty.

Został jeszcze w sali sądowej, obserwującą barczystego młodzieńca, który właśnie zeznawał. Uśmiechnęła się, gdy Logan usiadł obok niej. -1 jak? - zapytał szeptem.

- Pomalutku.

Chłopak stojący na miejscu dla świadków mógł mieć najwyżej dwadzieścia jeden lat. Zaczerwieniona, dziobata twarz błyszczała od potu. Był ogromny - nie po prostu gruby, ale naprawdę potężnie zbudowany: masywna szczęka, dłonie jak bochny, ręce jak kłody. Wypożyczony w sądzie szary garnitur, który miał mu przydawać wiarygodności w roli świadka, był o wiele za mały i przy każdym ruchu trzeszczał w szwach. Ciemnoblond włosy wyglądały tak, jakby od wieków nie widziały grzebienia. Chłopak nerwowo poruszał rękami, mamrocząc pod nosem wspomnienia ze spotkania z Geraldem Cleaverem.

Miał jedenaście lat, kiedy ojciec po pijanemu tak go pobił, że spędził trzy tygodnie w miejskim szpitalu dziecięcym. I wpadł z deszczu pod rynnę. Gerald Cleaver, nocny pielęgniarz, przypinał go pasami do łóżka i praktykował na nim autorską kurację. Kazał mu robić rzeczy, przy których rumieniłyby się gwiazdy pornofilmów.

Oskarżyciel łagodnie wyciągał z niego szczegóły; mówił cicho, spokojnie, kojąco, nawet kiedy po twarzy chłopaka zaczynały płynąć łzy.

Logan starał się dzielić uwagę między przysięgłych i oskarżonego. Piętnaścioro przysięgłych wyglądało na wstrząśniętych, za to na twarzy Geralda Cleavera malowało się mniej więcej tyle samo uczuć, co na oseełce masła.

Oskarżyciel podziękował świadkowi, pogratulował mu odwagi i oddał go w ręce obrońcy.

- No to sobie posłuchamy...

Głos Watson wprost ociekał pogardą, gdy Sandy-Wąż wstał, poklepał swojego klienta po plecach i stanął przed przysięgłymi. Oparł się nonszalancko o barierkę i uśmiechnął do siedzących przed nim mężczyzn i kobiet.

- Martinie... - zaczął, nie patrząc na roztrzęsionego chłopaka. - Nie pierwszy raz stajesz przed sądem, prawda?

Oskarżyciel zerwał się na równe nogi, jakby ktoś podłączył go do prądu.

- Sprzeciw! Przeszłość świadka nie ma tu nic do rzeczy.

- Wysoki Sądzie... Staram się tylko ustalić wiarygodność świadka.

Sędzia spojrział na adwokata z góry, przez okulary do czytania.

134

- Oddalam sprzeciw.

- Dziękuję, Wysoki Sądzie. Martinie, stawałeś przed sądem już trzydzieści osiem razy, prawda? Byłeś oskarżony o kradzież z włamaniem, napaść, zabór mienia, posiadanie towarów zakazanych, posiadanie z zamiarem sprzedaży, kradzież w sklepie, podpalenie, ekshibicjonizm... W wieku czternastu lat próbowałeś odbyć stosunek płciowy z nieletnią, a kiedy nie chciała się zgodzić, pobiłeś ją. Lekarze musieli założyć czterdzieści trzy szwy, żeby połączyć jej twarz. Nigdy już nie będzie mogła mieć dzieci. A wczoraj aresztowano cię za masturbację w damskiej przebieralni...

- Wysoki Sądzie, zgłaszam stanowczy sprzeciw!

I tak to szło przez następne dwadzieścia minut. Sandy-Wąż cierpliwie rozszarpywał świadka na strzępy, aż zrobił z niego przeklinający, zapłakany, czerwony na twarzy wrak człowieka. Wszystkie upokorzenia, jakim poddał go Gerald Cleaver, zostały sprowadzone do fantazji i zaburzeń dziecka rozpaczliwie dopominającego się o uwagę dorosłych. Skończyło się na tym, że Martin rzucił się na adwokata z okrzykiem:

- Zabiję cię, skurwysynu!

Straż sądowa musiała go obezwładnić.

Sandy-Waż ze smutkiem pokręcił głową i podziękował świadkowi.

Watson klęła jak szewc przez całą drogę do aresztu sądowego, ale trochę się rozchmurzyła, gdy Logan powiedział jej o nowym zadaniu.

- Inspektor Steel kazała mi zająć się sprawą Geordiego Stephensona, trupa, którego wyłowili w porcie - zagaił, kiedy szli korytarzem łączącym salę sądową numer 1 z aresztem. - Kiedy powiedziałem, że sam nie dam sobie z tym rady, Insch zaproponował mi panią. Żeby, jak to powiedział, ktoś się o mnie troszczył.

Watson uśmiechem podziękowała za komplement. Nie przyszło jej do głowy, że Logan sam go wymyślił.

Martin Strichen trafił z sądu prosto do aresztu. Kiedy zajrzeli do niego, siedział już na wąskiej stalowej pryczy, z głową ukrytą w dłoniach, skąpany w migającym świetle jarzeniówki, i cicho płakał. Plecy marynarki pojękiwały pod napięciem; przy każdym szlochu szwy coraz bardziej się rozchodziły.

Logan nie wiedział, co o nim myśleć. Żadne dziecko nie powinno tak cierpieć jak ofiary Geralda Cleavera, ale sierżant miał świeżo w pamięci słowa Sandy'ego i wyrecytowaną przez niego listę przestępstw. Martin Strichen był paskudnym bandziorem - co w niczym nie usprawiedliwiało bestialstwa Cleavera.

Watson podpisała odbiór Strichena z celi i wyprowadzili go z sądu tylnym wyjściem, skutego i popłakującego. Do samochodu - Logan jak

135

zwykle wziął z komendy służbowego vauxhalla - nie było daleko. Watson popchnęła Strichena w dół, żeby wsiadając, nie uderzył się w głowę.

- Miała czternaście lat - powiedział nagle.

•Co? - Watson schyliła się i spojrzała mu prosto w podpuchnięte oczy. -
Co powiedziałeś?

•Tamta dziewczyna. Miała czternaście lat, tak jak ja. I chciała. Ale ja
nie mogłem. Do niczego jej nie zmuszałem, po prostu nie mogłem...

Ogromna kropla w kształcie łzy zawisała mu na czubku nosa i na oczach
Watson spadła, skrząc się w słońcu.

- Ręce.

Zapięła mu pasy. Źle by było, gdyby w razie wypadku policja musiała
się tłumaczyć z jakiegoś zaniedbania. Kiedy jej włosy musnęły mu twarz,
usłyszała szept:

- Cały czas się śmiała...

Odstawili pasażera do Craiginches i - uporawszy się z procedurą wpi-
sania go z powrotem na listę więźniów - mogli wziąć się do śledztwa zle-
conego Loganowi przez inspektor Steel.

Obeszli wszystkie szemrane lokale bukmacherskie w Aberdeen, poka-
zując zdjęcie Stephensona w roli gwiazdy porno, ale pracownicy
reagowali na Geordiego obojętnie. Gigantów - Williama Hilla i Ladbrokes
- nie było sensu odwiedzać: wątpliwe, żeby niewypłacalnemu klientowi
odcięli maczetą rzepki kolanowe.

Co innego Turf nTrack w Sandilands - ci wyglądali na zdolnych do
wszystkiego.

W latach sześćdziesiątych działała w tym miejscu piekarnia. Okolica
była wtedy ciut zamożniejsza - może bez przesady, ale przynajmniej
można było bez obaw spacerować po zmierzchu. Turf nTrack mieścił się w
kwartale razem z trzema identycznie podupadłymi i sfatygowanymi
lokalami. Wszystkie miały ściany pokryte graffiti, grube kraty w oknach i

wszystkie wielokrotnie napadano i okradano, grożąc właścicielom bronią. Wszystkie - poza Turf'n'Track, który za pamięci okolicznych mieszkańców okradziono tylko raz. Po tym razie bracia McLeodowie wytropili człowieka, który wparował do domu ich ojca z obrzynem, i zamęczyli go na śmierć, używając do tego zapalniczki i pesety. Podobno.

Dookoła piętrzyły się dwu-i trzypiętrowe betonowe bloki komunalne, wybudowane w pośpiechu i porzucone na pastwę losu. Kiedy człowiek na gwałt potrzebował dachu nad głową, nie miał pieniędzy i nie był wybredny, trafiał właśnie tutaj.

Plakat przed sklepem obok bukmachera obwieszczał: „Zaginiony: Peter Lumley”. Powyżej widniało zdjęcie uśmiechniętej, piegowatej buzi

136

pięcioletniego chłopca. Jakiś dowcipniś domalował mu okulary i wąsy i dopisał „Raaz daje dupy”.

Przed Turf n'Track nie było żadnych ogłoszeń. Powitały ich zaczer-nione okna i plastikowy szyld w zielono-żółtych kolorach. Logan pchnął drzwi. Znaleźli się w mrocznym wnętrzu, gdzie powietrze pachniało mokrym psem i tytoniem z ręcznie skręcanych papierosów. Od środka lokal bukmachera wyglądał jeszcze gorzej niż z zewnątrz: krzeselka z pomarańczowego plastiku były lepkie od brudu, spod klejącego się do butów linoleum, przez dziury wypalone papierosami i wydeptane przez klientów, wyzierała betonowa posadzka, przesycone dymem drewniane meble i sprzęty ociekały brudem. W poprzek sali biegła wysoka do piersi lada oddzielająca grających od stosów papierów i kas, i drzwi na zaplecze. W kącie siedział starszy mężczyzna. W ręce trzymał puszkę taniego piwa, u jego stóp warował posiwiasty na pysku owczarek niemiecki. Mężczyzna

patrzył w telewizor, na którym ściagały się rozjazgotane psy. Logan zdziwił się, widząc emeryta w takim miejscu - przypuszczał, że ludzie w tym wieku boją się sami wychodzić z domu. W końcu mężczyzna oderwał wzrok od telewizora i spojrzał na gości.

Szyję miał pokrytą tatuażami przedstawiającymi trupie czaszki i płomień. Prawe oko było zasnutę bielmem i na wpół przesłonięte powieką.

Logan poczuł szarpnięcie za rękaw.

- Czy to nie... - zaczęła szeptać Watson, ale staruszek ją uprzedził.
- Panie McLeod! - zawołał. - Jakież pojeby z policji do pana!
- Dougie, nieładnie tak się wyrażać - powiedział Logan, podchodząc bliżej.

Owczarek w mgnieniu oka poderwał się na nogi i obnażył kły. Na dźwięk jego gardłowego warkotu Loganowi przeszły ciarki po plecach. Spośród połamanych zębów psa sączyła się strużka śliny. Psisko miało swoje lata, ale i tak wyglądało przerażająco.

Nikt się nie ruszał. Pies warczał, staruszek patrzył spode łba na przybyszy, a Logan modlił się, żeby nie musieć za chwilę uciekać. W końcu zza drzwi na zaplecze wyjrzała okrągła twarz.

- Dougie? Co ci mówiłem o tym zasranym psie?

Staruszek uśmiechnął się, odsłaniając sztuczną szczękę w odcieniach brązu i zieleni.

- Powiedział mi pan, że kiedy te świnię przyjdą, ma im rozszarpać gardła.

Człowiek z zaplecza zmarszczył brwi, ale zaraz się rozpromienił.

- To prawda. Tak właśnie powiedziałem.

Był dobre trzydzieści lat młodszy od starca z psem, ale on i tak tytuło-

wał go „panem McLeodem”. Simon McLeod odziedziczył po ojcu toporne

137

rysy twarzy. Kawałek lewego ucha utracił w starciu z rottweilerem imieniem Killer, którego łeb zdobił teraz pokoik na zapleczu.

- Czego? - zapytał, oparłszy się na kontuarze. Logan wyciągnął kolorowe zdjęcie Geordiego.

- Zna go pan?

McLeod nawet na nie nie spojrzał.

- Pierdol się.

- To uprzejma propozycja, ale tym razem dziękuję. - Logan położył zdjęcie na blacie. - Zna go pan czy nie?

- W życiu go nie widziałem.

- To taki wyszczekany szczawik z Edynburga. Miał tu do wykonania robótkę, pracował dla Malka Majchera. Sporo obstawiał, a potem nie spłacił długu.

Simon McLeod spochmurniał.

- Niewielu mamy klientów, którzy nie płacą. Trzeba wiedzieć, jak prowadzić firmę.

- Proszę jeszcze raz mu się przyjrzeć, panie McLeod. Na pewno go pan nie rozpoznaje? Skończył w basenie portowym, bez rzepek kolanowych.

Simon otworzył szeroko oczy i zasłonił dłonią usta.

- To ten?! Rany, teraz sobie przypominam: oberznąłem mu rzepki i wrzuciłem go do wody. Trzeba było od razu tak mówić. Bo tak właśnie było: zaciukałem go, ale że jestem głupi, to nie umiem skłamać glinom, kiedy przychodzą zadawać kretyńskie pytania.

Logan ugryzł się w język i odliczył w myślach do pięciu.

•Zna go pan?

•Odpieprzcie się! Wasz smród drażni Winchestera. - McLeod wskazał warczącego wilczura. - Nawet gdybym go rozpoznał, prędzej zjadłbym gówno kurwie z dupy, niż wam o tym powiedział.

•Gdzie pański brat, Colin?

•Nie wasz zasrany interes. Spierdalajcie. Na co czekacie?

Logan zdawał sobie sprawę, że nic więcej nie wskóra. Zawrócił i cofnął się prawie do drzwi, kiedy coś sobie przypomniał.

- Oderznąłem mu rzepki... Skąd pan wiedział, że ktoś mu je obciął? Ja tego nie powiedziałem, stwierdziłem tylko, że ich nie miał!

McLeod parsknął śmiechem.

- Brawo, panno Marple. Kiedy ktoś ląduje w porcie bez kolan, to jest to pewien komunikat. Ale żeby miał sens, musi być wyraźny. Każdy kutas w mieście ma wiedzieć, że nie wolno tak pogrywać. A teraz zjeżdżać.

138

Stali na schodach przy wejściu do Turf'n'Track i patrzyli na pędzące po niebie chmury. Blednące słońce ledwie rozjaśniało jesienną słotę. Na betonowym parkingu przed sklepami dwie niesione wiatrem foliowe torebki bawiły się w berka.

Watson oparła się o balustradę biegnącą wzdłuż domów.

- Co dalej?

Logan wzruszył ramionami.

•Nie spodziewałem się, że coś wyciągniemy z McLeodów. Moglibyśmy przymknąć paru ich klientów, ale nie wyobrażam sobie, żeby Dougie się

złamał i zaczął sypać.

- Prędzej nas by złamał.

- Pokażemy zdjęcie sklepikarzom w okolicy. Nigdy nic nie wiadomo. Jeżeli nie wspomnimy ani słowem o McLeodach, może się czegoś dowiemy.

Pochodzący z Liverpoolu właściciel chińskiej knajpy z jedzeniem na wynos nie rozpoznał Geordiego Stephensona; nie znał go również żaden z jego pracowników, chociaż byli miejscowi. Wypożyczalnia wideo dawno została zamknięta, ale na szybach od środka, ledwie widoczne przez warstwy sprayu, tkwiły plakaty największych przebojów i filmów, które z pominięciem dystrybucji kinowej trafiły wprost na wideo. Ostatni w rzędzie był sklep spożywczy, sprzedający także prasę i alkohol. Właściciel zerknął tylko na mundur posterunkowej Watson i dostał nagłego zapalenia krtani - ale przynajmniej sprzedał Loganowi paczkę supermocnych miętówek.

Zanim wyszli na dwór, niebo zasnuły jeszcze ciemniejsze chmury. Światło dnia dogorywało. Spadły pierwsze krople deszczu: uderzały głucho o beton, pojedynczo, tworząc ciemnoszare plamy, które szybko rozszerzały się i łączyły, kiedy niebo rozdarło się na dwoje. Logan naciągnął marynarkę na głowę i pobiegł do vauxhalla. Watson uprzedziła go, wsiadła pierwsza i od razu włączyła ogrzewanie. Siedzieli i parowali pomału, dmuchawy robiły co w ich mocy, żeby przetrzeć okna. Zajadali miętów-ki i patrzyli na rozmazane sylwetki klientów, którzy biegiem wpadali do Chińczyka na wołowinę w pięciu smakach albo do kiosku po najnowszy numer „Skóry, Lateksu i Łańcuchów”.

Simon McLeod miał coś na sumieniu - w tej rodzinie nie było to nic niezwykłego. Problem polegał na tym, że trzeba im to udowodnić. McLeodowie należeli do starej szkoły, w której lekcji udzielano młotkiem. Nikt

nigdy nic nie widział. Nikt się nie skarżył.

- Dokąd teraz?
- Chyba do następnego z listy.

Watson wrzuciła wsteczny bieg i wyjechali z parkingu. Włączyła światła, zmieniając ulewę w deszcz srebrnych ostrzy. Wyjeżdżali właśnie

139

na główną ulicę, kiedy zupełnie znikąd pojawiło się zielone, przeżarte rdzą kombi.

- Kurwa mać! - wrzasnęła Watson. Wcisnęła hamulec w podłogę. Silnik zgasł.

Kombi zaparkowało niechlujnie pod Turf n'Track. Posterunkowa opuściła szybę i puściła przez okno wiazankę, w której najczęściej przewijał się motyw jej buta i tyłka kierowcy. Urwała w pół zdania.

- Eee... Boże! Przepraszam, sierzancie.

Logan uniósł pytająco brwi.

- Zapomniałam, że pan tu jest. - Zaczerwieniła się. -Ale ten gość nie wrzucił migacza, nie wiedziałam, że skręca... Przepraszam.

Logan odetchnął głęboko i przypomniał sobie przemowę Inscha o przywilejach rangi. Nie mógł teraz nie zareagować. Watson była przecież w mundurze! A jeśli dowiedzieliby się o tym dziennikarze?

- Myśli pani, że widok umundurowanej policjantki, która wychyla się przez okno i klnie jak szewc, przysłuży się wizerunkowi policji w społeczeństwie?
- Nic nie myślałam, sierzancie.
- Jackie... W takiej chwili wszyscy wychodzimy na idiotów. Drażnisz swoim zachowaniem tych, którzy cię widzą i tych, którzy dowiedzą

się o wszystkim z drugiej ręki. Ryzykujesz utratę pracy.

Odcień rumieńca na twarzy Watson przeszedł z truskawkowego w buraczkowy.

-Ja... Przepraszam.

Umilkła zakłopotana. Logan nic nie mówił, niespiesznie liczył w myślach do dziesięciu - i klął w duchu na czym świat stoi. Miał nadzieję, że zaimponuje posterunkowej dowcipem, że popisze się bystrością dedukcji. Że pokaże jej, jakim świetnym jest facetem - takim, z którym warto się przespać drugi raz. Nie zamierzał zmyć jej głowy. No, chyba że pod prysznicem...

Osiem. Dziewięć. Dziesięć.

- No dobrze... - Błysnął najbardziej przyjaznym uśmiechem. - Niko mu nie powiem, jeśli ty nie powiesz.

Nie spojrzała na niego.

- Dziękuję, sierzancie.

Włączyła silnik.

140

18

U dwiedzali pozostałych bukmacherów z listy, w samochodzie panowała uprzejma, lecz sztywna atmosfera. Posterunkowa Watson zwracała się do Logana „sierzancie” i odpowiadała na zadawane jej pytania, ale sama nie wychylała się z niczym, co bezpośrednio nie dotyczyło dochodzenia.

Popołudnie było beznadziejne. Wsiadali z wozu, wlekli się do bukmachera i pokazywali mu zdjęcie.

- Zna pan tego człowieka?

-Nie.

Zdarzało się, że do „nie” dorzucano gratis „spierdalać”. Czasem „spierdalać” nie było wypowiedziane głośno, ale zawsze dawało się je wyczuć. Zawsze - poza jednym wypadkiem: „J. Stewart i syn: Bukmacherzy od 1974” w Mastrick byli zdumiewająco, wręcz podejrzanie uprzejmi.

- Jezu, aż mnie ciarki przeszły - przyznał Logan, kiedy wrócili do samochodu. - Jeszcze się uśmiechają.

Wskazał widoczną za przednią szybą grubą kobietę z niechlujnym, siwiejącym kokiem na czubku głowy. Pomachała mu w odpowiedzi.

- Mnie się wydaje, że było miło - zauważyła Watson, wyjeżdżając z parkingu. Od godzin nie powiedziała tylu słów na raz.
- Nie miała pani jeszcze przyjemności z Mamą Stewart? - spytał Logan, kiedy ruszyli w drogę powrotną. Posterunkowa nie odpowiedziała. Uznał, że milczenie oznacza przytaknięcie i mówił dalej: - Kiedyś ją przytknąłem. - Wjechali w Lang Stracht, szeroką ulicę pociętą pasami dla autobusów i skrzyżowaniami, które dość swobodnie upstrzono pachółkami i przejściami dla pieszych. - Za pornografię. Jeździła starym fordem anglika po szkołach i handlowała z dziećmi. Nic naprawdę ostrego, żadnych zwierząt, nic z tych rzeczy: po prostu stary, dobry, niemiecki hardcore. Kasety i gazetki. - Logan prychnął z niedowierzaniem. - Połowa dzieciaków w Mastrick wiedziała o seksie więcej niż ich nauczyciele biologii. Dostaliśmy wezwanie, kiedy jakaś ośmiolatka spytała, czy można zajść w ciążę od minety.

Posterunkowa Watson uśmiechnęła się kącikiem ust.

Po lewej minęli biuro „Press and Journal”. Logan mimowolnie się

skrzywił. Od czasu przydzielenia sprawy dziewczynki w worku, z podniecenia i strachu kompletnie zapomniał o porannych odwiedzinach Colina Millera. Nie porozmawiał z Inschem o prośbie dziennikarza o wyłączność. A Miller obiecał mu dalsze informacje o Geordiem.

141

Wyjął telefon, żeby zadzwonić do inspektora, ale zdążył wstukać tylko dwie pierwsze cyfry numeru, kiedy radio zatrzeszczało i ryknęło ogłuszająco. Ktoś pobił Sprzątacza.

Nie chcieli posuwać się tak daleko. Tak twierdzili podczas rozmów z policją i prasą. Chcieli tylko mieć pewność, że ich dzieci będą bezpieczne. Bo przecież tak nie powinno być, prawda? Żeby dorosły facet kręcił się koło szkoły... I to nie pierwszy raz. Prawie codziennie stał pod bramą, kiedy dzieci wychodziły. No i ma nie po kolei w głowie, to wszyscy wiedzą. Dziwnie pachnie. Nie powinno tak być.

No i co z tego, że trochę go poobijali? Wielka rzecz... Przecież wcale tego nie chcieli - ale dzieci znikają. Sam pan rozumie: dzieci! Takie same jak te z podstawówki Garthdee. Jak ich własne córki i synowie. Gdyby policja szybciej zareagowała, sytuacja nie wymknęłaby się spod kontroli. W ogóle gdyby przyjeżdżali, kiedy się ich wzywa, wszystko wyglądałoby inaczej.

Właściwie, kiedy tak się nad tym zastanowić, wszystkiemu winna jest policja.

Mężczyzna po drugiej stronie stołu najlepsze swoje dni miał już za sobą. Na przykład dzień poprzedni - wtedy właśnie Logan ostatnio widział Bernarda Duncana Philipsa, lepiej znanego jako Sprzątacza. Wyglądał dość niechlujnie, ale przynajmniej nie odnosiło się wrażenia, że ktoś zmiażdżył mu

nos młotem kowalskim. Liczne siniaki błyskawicznie wystąpiły na twarz, jedno oko przybrało paskudnie fioletową barwę i całkiem zapuchło. Personel szpitala wypłukał mu krew z połówki brody, która teraz nastroszyła się i lśniła czystością. Wargi miał obrzmiałe jak parówki. Krzywił się z bólu przy każdym uśmiechu - choć uśmiechał się rzadko.

Oskarżenia wysuwane przez „zatroskanych rodziców”, którzy go pobili, brzmiały na tyle poważnie, że nie można było ich zignorować. Dlatego prosto z ambulatorium trafił do aresztu. Pasował do przysłanego przez Lothian i Borders profilu: mężczyzna rasy białej, po dwudziestce, problemy psychiczne, prosta praca, mieszka sam, brak partnerki. Nie pasowało tylko stwierdzenie o braku osiągnięć szkolnych: Sprzątaczk skończył mediewistykę.

No i patrzcie państwo, powiedział Insch, co mu to dało? Nic.

To było długie, trudne i skomplikowane przesłuchanie. Za każdym razem, kiedy wydawało się, że są o krok od wyciągnięcia ze Sprzątaczk jakiegoś spójnego zeznania, zmieniał temat w kompletnie przypadkowy sposób. Cały czas kołysał się na krześle, w przód i w tył. Ponieważ cierpiał na chorobę psychiczną, przepisy wymagały sprowadzenia „stosownej osoby

142

dorosłej”: obok kołyszącego się, bełkoczącego i śmierdzącego Sprzątaczk zasiadł więc pracownik więzienia w Craiginches.

Smród w pokoju był trudny do zniesienia: Eau de Padlina pour hom-me. Kąpiel naprawdę by się Sprzątaczkowi przydała. Insch przy pierwszej okazji wymknął się na korytarz, zostawiając przesłuchanie Loganowi i opiekunowi więziennemu, a sam zajął się weryfikacją niezbornych opowieści aresztanta.

Wiercąc się na krześle, Logan po raz tysięczny zastanawiał się, gdzie podział się inspektor.

- Chcesz jeszcze herbaty, Bernardzie? - zapytał.

Bernard milczał, zajęty składaniem kartki papieru: na pół, na pół, i znów na pół, a kiedy stawała się litą bryłką i nijak nie dawała się złożyć po raz kolejny, rozwijał ją starannie - i zaczynał od początku.

- Herbaty? Bernardzie? Chcesz herbaty?

Na pół. Na pół. Na pół.

Logan odchylił głowę na oparcie krzesła i zagapił się na sufit: szarawe, dziobate kasetony do złudzenia przypominały upstrzoną kraterami powierzchnię Księżyca. Boże, jakie to nudne. W dodatku dochodziła szósta! A on się umówił z posterunkową Watson na drinka.

Na pół. Na pół. Na pół.

Logan z opiekunem ponarzekali trochę na fatalną grę FC Aberdeen w ostatnim meczu i znów zapadła ponura cisza.

Na pół. Na pół. Na pół.

O szóstej dwadzieścia trzy inspektor zajrzał do pokoju przesłuchań i zawołał do siebie Logana.

- Wyciągnęliście z niego coś jeszcze? - zapytał, kiedy drzwi się za nimi zamknęły.
- Tylko dodatkową porcję smrodu.

Insch włożył do ust owocowego cukierka i zaczął go w zadumie ssać.

-Na razie nie łągał. Furgonetka miejskich służb oczyszczania codziennie po pracy, przed czwartą, odstawia go w to samo miejsce. Od lat. O czwartej dwadzieścia dwie ma autobus do Peterculter. Autobus kursuje jak w zegarku. Kierowcę, który by go zapamiętał, łatwo było namierzyć: tego smrodu nie da

się zapomnieć.

- A przystanek jest...

- Przy samej szkole. Podobno sam Sprzątacznik też uczył się w Garthdee, dopóki mu się w głowie nie poprzestawiało, a teraz czuje się tam bezpiecznie, bo to znajome miejsce.

- Czy któreś z naszych „zatroskanych rodziców” zapytało go chociaż, co tam robi codziennie po południu?

143

Insch parsknął z lekceważeniem i poczęstował się następnym cukierkiem.

- Akurat! Zobaczyli śmierdzącego obdartusa, który kręci się przy szkole, i postanowili spuścić mu manto. Ale on nie jest mordercą.

Czyli czekał ich powrót do zasmrodzonego pokoju przesłuchań.

- Na pewno nie chce pan nam nic więcej powiedzieć, panie Philips?

- spytał Insch, sadowiąc się na krześle.

Nie chciał.

- No dobrze. Z pewnością ucieszy pana wiadomość, że udało się nam potwierdzić pańskie zeznania. Zdaję sobie sprawę, że to pan został napadnięty, ale musieliśmy się upewnić, że oskarżenia pod pańskim adresem są bezzasadne. Rozumie mnie pan, prawda?

Na pół. Na pół. Na pół.

- W porządku. Poprosiłem pracowników urzędu miejskiego, żeby od jutra samochód odwoził pana na inny przystanek, kawałek dalej, nie przy samej szkole. Ludzie, którzy pana napadli, nie są szczególnie bystry i mogliby znów próbować zrobić panu krzywdę.

Cisza.

- Znamy ich nazwiska. - To nie było trudne: głupi dranie sami się

przedstawiali. A jacy byli z siebie dumni! Sprzątnęli z ulicy pedofila! Ura towali swoje dzieci przed losem gorszym od śmierci! I jakoś nie przyszło im do głowy, że dopuścili się bandyckiej napaści. - Jeżeli złożę pan skargę, na jej podstawie przedstawimy im zarzuty.

Logan zorientował się, że to właściwy moment: wyjął notatnik, szykując się do spisania słów Sprzątacza.

Na pół. Na pół. Na pół.

Od wielokrotnego składania papier zaczynał pękać na zgięciach. W końcu od narożnika oderwał się mały kwadracik. Sprzątacze zmarszczył brwi.

- Panie Philips? Może nam pan opowiedzieć, co się stało?

Pobity mężczyzna delikatnie oddzielił naderwany kawałek i położył go przed sobą na blacie, układając jego brzegi równoległe do krawędzi stołu. A resztę znów zaczął składać. Insch westchnął.

- To może zrobimy inaczej: sierżant opisz przebieg wydarzeń, a pan się tylko pod tym podpisze. Tak będzie łatwiej?
- Muszę zażyć lekarstwo.
- Słucham?
- Lekarstwo. Pora na lekarstwo.

Insch zerknął na Logana, który w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami.

144

- Pewnie w szpitalu dali mu jakiś środek przeciwbólowy.

Sprzątacze przestał się bawić papierkiem i położył obie dłonie na blacie.

- Nie przeciwbólowy. Lekarstwo. Muszę wziąć lekarstwo, bo inaczej nie będę mógł jutro iść do pracy. Przysłali mi list. Jeżeli chcę pracować, muszę brać lekarstwo.
- To nie potrwa długo, panie Philips, dosłownie parę minut. Może...

- Żadnych skarg. Żadnych minut. Lekarstwo.

-Ale...

- Skoro nie chcecie mnie aresztować ani przedstawić mi zarzutów, powinniście mnie wypuścić. Nie możecie mnie zmusić do złożenia skargi.

•Do tej pory nie mówił tak sensownie. Objął się ramionami i zadygotał.

•Proszę... Chcę wrócić do domu i zażyć lek.

Logan spojrział na posiniaczoną twarz i poszarpane ubranie i odłożył długopis. Sprzątacznik miał rację: nie mogli go zmusić, żeby złożył skargę na ludzi, którzy podbili mu oko, rozcięli wargę, prawie wybili trzy zęby, złamali żebro i skopali go po klejnotach - w końcu to były jego klejnoty i jeśli nie chciał, żeby ludzie, którzy go po nich kopali, ponieśli karę, należało uszanować jego decyzję.

Tyle że nie mogli go tak po prostu wypuścić na ulicę. Tamci idioci na pewno wciąż na niego czekają i to w towarzystwie dziennikarzy. „Tłum ujął mordercę dzieci!” Nie, „tłum” budził negatywne skojarzenia, a przecież ci żądni krwi durnie byli bohaterami, prawda? „Rodzice złapali pedofila zatrudnionego w urzędzie miejskim!” Tak, znacznie lepiej.

- Jest pan pewien, że właśnie tego pan chce, panie Philips? - zapytał inspektor.

Sprzątacznik pokiwał głową.

- Dobrze. Zwrócimy panu to, co pan miał przy sobie, i sierżant McRae odwiedzi pana do domu.

Logan zaklął w duchu, a pracownik więzienia aż się rozpromienił z zadowolenia, że to nie jemu przypadło w udziale niewdzięczne zadanie. Uśmiechając się zatem z ulgą podał Loganowi rękę na pożegnanie i czmychnął z pokoju.

Kiedy Bernard Duncan Philips kwitował odbiór zarekwirowanych drobiazgów, Insch - próbując wynagrodzić Loganowi paskudny przydział - poczęstował sierżanta cukierkiem. Zanim wróci do miasta, będzie naj- marniej wpół do ósmej, może nawet ósma. Musi dać znać Jackie, że się spóźni. Jeśli będzie miał fart, poczeka na niego, ale po wspólnym popołu dniu szanse na to były niewielkie.

- Czyli co? - spytał Logan, bez entuzjazmu biorąc cukierka do ręki.

- To nie jego szukamy?

145

- Nie. To tylko mały, nieszczęśliwy śmierzdel.

Patrzyli, jak posiniaczony aresztant z wysiłkiem schyla się i na nowo sznurkuje sobie buty.

- Muszę lecieć - rzucił Insch. - Za półtorej godziny kurtyna w górę! Poklepał Logana po ramieniu, okręcił się na pięcie i zaczął pogwizdy wać uverturę.

- Połamania nóg - powiedział sierżant do oddalających się pleców inspektora.

- Dziękuję, sierżancie.

Insch nawet się nie odwrócił, pomachał tylko wesoło ręką.

- Poważnie. Mam nadzieję, że przewróci się pan i złamie nogę. Albo kark - powiedział Logan, ale odczekał z wypowiedzeniem tych słów, aż drzwi zamknęły się za inspektorem.

Kiedy Sprzątacznik odzyskał wreszcie osobiste drobiazgi, Logan z wymuszonym uśmiechem wyprowadził go na parking na tyłach komendy. Kwitował właśnie wypożyczenie służbowego samochodu, kiedy jakiś zde- nerwowany posterunkowy złapał go za rękaw.

- Sierżant dyżurny prosił, żebym przekazał, że ma pan dwie wiadomości od jakiegoś pana Lumleya.

Logan jęknął. Telefonami od Lumleya powinna się zająć funkcjonariuszka z wydziału spraw rodzinnych; on i bez tego miał dość roboty. Natychmiast poczuł wyrzuty sumienia: facet stracił przecież syna. Wypadałoby oddzwonić. Przymknął oczy i przycisnął powieki palcami, próbując rozproszyć czający się pod nimi ból.

- Proszę mu powiedzieć, że odezwę się, jak tylko wrócę, dobrze?

Wyszli tylnym wyjściem. Cały front komendy rozświetlały telewizyjne jupitery, podkreślając szczegóły i kontury budynku. Reflektorów były dziesiątki. Przed końcem dnia cały kraj pozna twarz Sprzątacza. Nieważne, czy był winny, czy nie: jutro w porze śniadania co drugi obywatel będzie znał jego nazwisko.

- Wie pan co? Może dobrze byłoby wziąć ze dwa tygodnie wolnego? Niech ci idioci o panu zapomną...

Sprzątacz zacisnął dłonie na pasie bezpieczeństwa i równo co sześć sekund szarpał za niego delikatnie, sprawdzając, czy trzyma.

- Muszę pracować. Człowiek pozbawiony pracy traci cel w życiu. Praca nas definiuje. Bez definicji nie istniejemy.

Logan uniósł brwi.

-Jasne...

Facet nie był żadnym schizofrenikiem, tylko zwykłym wariatem.

146

- Za często powtarza pan ,jasne".

Logan otworzył usta, przemyślał sprawę i jednak się nie odezwał. Nie

było sensu kłócić się z czubkiem; gdyby o to mu chodziło, mógł wrócić do domu i porozmawiać z matką. Nie powiedział więc nic i jechali w ciszy. Deszcz słabł, a zanim dotarli do farmy Sprzątacza, ustał zupełnie.

Podjechali możliwie najbliżej zabudowań - dokąd sięgała droga. Przysłana z urzędu miasta ekipa sanitarna pracowała cały dzień bez wytchnienia i światła samochodu wyłowiły z półmroku dwa olbrzymie metalowe kontenery na śmieci - żółte, obdrapane i wielkości mikrobusów stały w gąszczu chwastów przy szopie numer 1. Wrota kontenerów były zamknięte potężnymi kłódkami, tak jakby obawiano się, że ktoś może próbować się do nich włamać i dobrać do gnijących zwierzęcych resztek.

Słyszając cichy szloch Sprzątacza, Logan uświadomił sobie, że kłódki były naprawdę całkiem niegłupim pomysłem.

- Moje piękne, piękne martwe rzeczy...

Łzy ściekały Sprzątaczowi po policzkach i wsiąkały w brodę.

- Nie pomagał im pan? - spytał Logan, wskazując na kontenery.

Sprzątacz pokręcił głową. Długie włosy przesłoniły mu twarz jak kurtyna trumnę w domu pogrzebowym. Kiedy odpowiedział, głos miał cichy i udręczony:

- Jak mógłbym pomóc Wizygotom splądrować Rzym?

Wysiadł i po zdeptanej trawie podszedł do jednego z budynków. Wrota stodoły były otwarte, światło samochodowych reflektorów padało na betonową posadzkę. Sterty zwierzęcych trucheł zniknęły. Jeden budynek uprzątnięty. Zostały jeszcze dwa.

Logan zostawił go popłakującego przy otwartych drzwiach stodoły.

Wieczór nie ułożył się dokładnie po myśli Logana. Kiedy wreszcie dotarł do pubu, posterunkową Watson wprawdzie jeszcze nie wyszła, ale nadal była odęta po reprimendzie, jakiej jej udzielili. A może nie, może po prostu cały czas unosiła się wokół niego woń Sprzątacza, mimo że przez całą drogę powrotną jechał z otwartymi oknami? „Och, jak twój smród się trzyma...”

Bez względu na to, o co jej chodziło, rozmawiała głównie z Simonem Renniem i jakąś posterunkową, której Logan nie znał. Nikt nie był dla niego nieuprzejmy, ale też jakoś nikt nie wychodził ze skóry, żeby okazać

147

mu życzliwość. A przecież mieli świętować! Logan znalazł Richarda Erskine'a! Żywego!

Po dwóch piwach dał sobie spokój i powlókł się smętnie do domu, zahaczając po drodze o pobliski sklep, gdzie kupił rybę z frytkami.

Nie zauważył ciemnoszarego mercedesa, przyczajonego obok latarni pod domem. Tak jak nie zauważył barczystego mężczyzny, który wysiadł zza kierownicy i naciągnął czarne skórzane rękawiczki. Nie słyszał, jak chrupnęły mu knykcie, bo skupił się bez reszty na otwieraniu drzwi jedną ręką i balansowaniu trzymaną w drugiej dłoni stygnącą kolacją.

- Nie zadzwoniłeś.

Niewiele brakowało, żeby upuścił tackę zjedzeniem.

Okręcił się na pięcie. Przed nim stał Colin Miller, swobodnie oparty o jakiś luksusowy wóz, z rękami założonymi na piersi. Mgła spowijała jego słowa.

- Miałeś zadzwonić przed pół do piątej.

Logan jęknął cicho. Chciał porozmawiać z Inschem, ale jakoś się nie złożyło.

-No tak... Rozmawiałem z inspektorem... Stwierdził, że to nie wypada. Kłamał w żywe oczy, ale Miller nie mógł tego wiedzieć - przynajmniej wyglądało na to, że Logan się starał.

- Nie wypada?

- Uważa, że jak na jeden tydzień, media i tak poświęciły mi za dużo uwagi.

- Jak łącać, to na całego. - Wiesz, jak jest... - Wzruszył ramionami.

- Nie wypada?! - Miller zmarszczył brwi. - Ja mu, kurna, pokażę, co wypada, a co nie.

Wyjął palmtop i zaczął w nim coś notować.

Następny dzień zaczął się od chyba dwudziestu kolizji drogowych. Żadna nie była poważna, a winą za wszystkie obarczono śnieg, którego przez noc spadło dwa i pół centymetra. Wpół do dziewiątej niebo miało barwę stalowoszarą i zwieszało się nad miastem na wyciągnięcie ręki. Maleńkie białe płatki opadały na Granitowe Miasto, topiąc się w zetknięciu z jezdniami i chodnikami, ale powietrze wręcz pachniało śniegiem: metaliczny posmak zwiastował rychłą śnieżycę.

Świeży egzemplarz „Press and Journal” wylądował na wycieraczce Logana z łoskotem przypominającym huk zatrzaszkiwanego grobowca - tylko że tym razem nie chodziło o jego pogrzeb. Chociaż nie był bez winy. Pierwszą stronę zajmowało ogromne zdjęcie inspektora Ins-cha w kostiumie do pantomimy. Była to jedna z fotografii promujących

148

spektakl i inspektor, wcielający się w nim w czarny charakter, krzywił się w złowrogim grymasie. Nagłówek brzmiał: „Inspektor zgrywa głupka, a nasze dzieci giną”.

-Mój Boże...

Dalej biegł inny tekst: „Czy pantomima naprawdę jest ważniejsza od złapania pedofila-mordercy, który grasuje po ulicach miasta?”

Colin Miller kontratakuję.

Logan stanął przy zlewie i czytał o tym, jak inspektor „brykał po scenie jak ostatni błazen, podczas gdy Logan McRae, policjant bohater, kontynuował poszukiwania małego Richarda Erskine'a". Dalej było jeszcze gorzej. Miller po mistrzowsku zmasakrował Inscha: z szanowanego funkcjonariusza policji zrobił gruboskórnego bydlaka. Cytował nawet nadkomisarza, który powiedział, że „to poważna sprawa, wymagająca wnikliwego śledztwa”.

-Mój Boże...

„Pracownik służb miejskich napadnięty przez zatroskanych rodziców” z trudem zmieścił się na stronie drugiej.

Na porannej odprawie Insch był w paskudnym humorze i wszyscy bardzo się starali, żeby nie zrobić ani nie powiedzieć niczego, co mogłoby spowodować wybuch. To nie był dobry dzień na wychylanie się.

Natychmiast po zakończeniu odprawy Logan wymknął się do swojego pokoju, usiłując nie dać po sobie poznać, że ma wyrzuty sumienia. Tym razem miał do dyspozycji tylko jedną posterunkową - tę od telefonów. Wszyscy poza tym mieli spędzić cały dzień na poszukiwaniu Petera Lumleya. Ktoś wsadził Inschowi petardę w tyłek, a inspektor postanowił podzielić się tym doświadczeniem z kim popadnie. Zostawał więc Logan, posterunkową i lista nazwisk.

Ludzie, których poprosił o przejrzenie akt opieki społecznej, niczego nie znaleźli: wszystkie małe dziewczynki były dokładnie tam, gdzie powinny.

Niektóre „wpadły na drzwi”, inne „spadły ze schodów, poparzywszy się uprzednio żelazkiem”, ale żyły. Czworogu rodzicom sąd postawił już zarzuty.

Ale to nie było jego jedyne zmartwienie. Współpraca z inspektorem Steel w sprawie Geordiego Stephensona polegała na tym, że Steel odpalała papierosa od papierosa, a Logan odwalał za nią całą robotę.

Na ścianie pojawił się nowy plan Aberdeen, upstrzony niebieskimi i zielonymi pineskami w miejscach, gdzie mieli lokale bukmacherzy. Niebieskie były „bezpieczne”, czyli takie, gdzie niewypłacalnym klientom nikt nie ścinał maczetą rzepek. Pineski zielone wyznaczały terytorium

149

rzepkożerców. Turf n'Track zasłużył na pineskę czerwoną, podobnie jak port, w którym znaleziono zwłoki. Obok planu wisiał pośmiertny portret Stephensona.

Nawet za życia nie był najprzystojniejszym facetem na świecie, a śmierć tylko mu zaszkodziła. Nastroszone włosy przylepiły mu się do głowy, pornowasy - gęste i czarne - wyraźnie odcinały się od woskowej skóry. Logan miał dziwne wrażenie, że gdzieś go już wcześniej widział.

Z informacji przysłanych przez Lothian i Borders wynikało, że w młodości był ze Stephensona niezły gagatek: napaści, trochę windykacji długów na zlecenie drobnych lichwiarzy, kradzież z włamaniem. Dopiero kiedy zatrudnił się u Malka Majchera, przestał wpadać w ręce policji. Maik bardzo pilnował tego, żeby jego ludzie nie przesiadywali w więzieniach.

- Co tam u pana?

Inspektor Steel stanęła w progu z rękami w kieszeniach szarej marynarki. Umazaną popiołem bluzkę zastąpiło coś złocistego i połyskliwego. Wory pod oczami przybrały głęboki siny odcień.

-Bez rewelacji.

Logan przysiadł na biurku i zaproponował jej krzesło. Usiadła z westchnieniem i cichym pierdnięciem. Udał, że niczego nie słyszał.

- Słucham.

Logan wskazał plan miasta.

- Odwiedziliśmy wszystkich bukmacherów zaznaczonych na zielono.

Tylko jeden wydaje się podejrzany. - Postukał w czerwoną pineskę. -Turf n'Track...

- Simon i Colin McLeodowie. Cudne chłopaki.

- Z jeszcze cudniejszymi klientami. Jednego z bywalców poznaliśmy osobiście, nazywa się Dougie MacDuff.

-O żesz... Bez jaj! - Steel wyjęła z kieszeni zgniecioną paczkę papierosów; wyglądały, jakby na nich usiadła. - Piesek Dougie. Doug Świntuch.. . - Wyciągnęła z pudełka spłaszczony papierosa. - Jak go jeszcze nazywają?

- Doug Narwaniec?

- Oczywiście: Doug Narwaniec. To po tym, jak zadławił gościa zrolowanym egzemplarzem „Dandy”. Wtedy jeszcze sikał pan w pieluchy. - Inspektor pokręciła głową. - Ja cię kręcę, to były czasy... Myślałam, że nie żyje.

- Trzy miesiące temu wyszedł z Barlinnie. Siedział cztery lata za to, że poharatał śrubokrętem przedstawiciela handlowego firmy budowlanej.

- W jego wieku? Stary, dobry Doug Narwaniec. - Steel wetknęła papierosa do ust i właśnie miała go zapalić, kiedy siedząca przy telefonie po-

150

sterunkowa chrząknęła znacząco i pokazała jej tabliczkę z napisem „Zakaz palenia”. Inspektor wzruszyła ramionami i wsunęła niezapalony papierosa

do kieszeni na piersi. - Jak wygląda?

- Jak pomarszczony staruszek.

- Serio? Szkoda. Kiedyś był z niego niezły gość. Pies na baby. Ale niczego mu nie udowodniliśmy... - Steel zawiesiła głos i zapatrzyła się w przeszłość. Dopiero po chwili westchnęła i otrząsnęła się z zadumy.

- I co, myśli pan, że McLeodowie maczali w tym palce?

Logan kiwnął głową. Przejrzał akta McLeodów i doszedł do wniosku, że obcięcie człowiekowi rzepek kolanowych doskonale wpisuje się w arsenał ich metod działania. I zawsze umieli być bezpośredni, kiedy chodziło o zarządzanie długami.

- Trudno to będzie udowodnić. Nie ma mowy, żeby przyznali się do zabicia Geordiego i wrzucenia go do wody w porcie. Będziemy potrzebowali albo świadka, albo dowodów rzeczowych.

Steel wstała i ziewnęła rozdzierająco.

- Tak to jest, jak się człowiek całą noc bzyka. - Mrugnęła porozumiewawczo. - Niech się pan skontaktuje z ekipą śledczą, niech szukają i robią wszystkie możliwe testy. Poza tym może warto jeszcze raz obejrzyć ciało. Jest w kostnicy.

Logan zeszywniał. Musiałby znów porozmawiać z Isobel. Inspektor Steel chyba zauważyła jego reakcję, bo oparła mu poźólką od nikotyny dłoń na ramieniu.

- Wiem, będzie panu ciężko. Zwłaszcza teraz, kiedy znalazła sobie nowego kochasia. Ale pieprzyć ją. Ma pan robotę.

Logan poruszył ustami jak ryba. Nie miał pojęcia, że Isobel z kimś się spotyka. Tak szybko? Kiedy on ciągle jeszcze jest sam?

Steel wsunęła ręce w kieszenie i sięgnęła po wymiętoszone papierosy.

- Muszę lecieć. Pęknę, jak zaraz nie przypalę. A, jeszcze jedno: gdyby się pan widział z Inschem, proszę mu powiedzieć, że podobało mi się jego zdjęcie w gazetach. - Znow mrugnęła. - Bardzo seksowne.

Inspektor Insch wcale nie wyglądał seksownie, kiedy Logan ponownie się z nim spotkał: zjeżdżał właśnie windą z najwyższego piętra, ze spotkania z komendantem. Elegancki, nowy garnitur miał ciemne plamy pod pachami i na plecach.

-Panie inspektorze... - odezwał się Logan. Nie patrzył Inschowi w oczy.

- Chcą, żebym zrezygnował z pantomimy - powiedział inspektor. Głos miał ściszony i matowy.

151

Wyrzuty sumienia całym stadem przemknęły Loganowi po grzbiecie i usadowiły się na czubku głowy niczym tabliczka z napisem „To moja wina! Wszystko przeze mnie!”

- Komendant twierdzi, że moja rola w przedstawieniu nie pasuje do wizerunku policji Grampian. I że nie możemy sobie pozwolić na złą prasę, kiedy trwa poważne śledztwo w sprawie morderstw dzieci... Albo ja zrezygnuję z pantomimy, albo komendant ze mnie. - Insch wyglądał, jakby ktoś wyciągnął mu korek i powoli spuszczał z niego powietrze. Takiego inspektora Logan jeszcze nie widział. A wszystko przez niego. - Ile lat już występuję w tym świątecznym przedstawieniu, dwanaście? Trzynaście? Nigdy nie było z tym problemów...
- Może zapomną? - zasugerował Logan. - No wie pan, sprawa przyschnie, a za rok nikt nic nie będzie pamiętał.

Insch pokiwał głową, ale nie wyglądał na przekonanego.

- Może. - Pulchnymi dłońmi rozmasował twarz. - Będę musiał powiedzieć Annie, że od dziś nie gram.
- Przykro mi, panie inspektorze.

Insch bohatersko próbował się uśmiechnąć.

- Niech pan da spokój. To nie pańska wina. Wszystko przez tego dra nia Millera. - Spochmurniał. - Kiedy się znów spotkacie, proszę mu powiedzieć, że ukręcę mu ten francowaty łeb i wepchnę w szyję.

Ciszę kostnicy mącił tylko pomruk klimatyzatorów. Wszystkie ciała uprzątnięto, puste metalowe stoły błyszcząły w blasku jarzeniówek. W prosektorium nie było nie tylko martwych, ale i żywych ludzi.

Logan na palcach prześliznął się pod ścianę utworzoną przez metalowe drzwiczki chłodzonych szuflad. Czytał tabliczki z nazwiskami, szukając George'a Stephensona, ale przystanął, kiedy znalazł inną: „Niezidentyfikowane dziecko płci żeńskiej, rasy białej. Wiek: około 4 lat". Oparł się o zimny uchwyt szuflady. Biedna mała leżała w kostnicy, martwa i zimna, bez nazwiska.

- Przepraszam - powiedział. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

Ruszył dalej. Nie znalazł żadnego Stephensona, natknął się za to na etykietkę „Niezidentyfikowany mężczyzna rasy białej. Wiek: około 35 lat". Inspektor Steel nie powiadomiła kostnicy, że udało im się zidentyfikować denata; oto następne zadanie dla Logana.

Odsunął zasuwkę i wyciągnął szufladę.

Na gładkim, stalowym blacie leżał duży i martwy człowiek w plastikowym worku. Logan zacisnął zęby i rozpiął suwak.

Popiersie, które wynurzyło się spod folii, do złudzenia przypominało portret na ścianie w pokoju Logana w komendzie - z tą tylko różnicą, że materialny Stephenson miał więcej zmarszczek, tak jakby ktoś zdjął skórę z twarzy, aby rozciąć piłą czaszkę i dostać się do mózgu, a potem naciągnął ją z powrotem. Twarz miała blady woskowy odcień; tylko w paru miejscach, tam, gdzie krew spłynęła po śmierci, skórę znaczyły fioletowe sińce. Na lewej skroni też widniał krwiał - na zdjęciu wyglądał jak cień w świetle flesza.

Główna atrakcja na razie pozostawała zasłonięta.

Odsunął zamek do końca, odsłaniając nagie ciało, które już za życia nie było w szczytowej formie, chociaż Lothian i Borders twierdzili, że w młodości George Stephenson z zapalem uprawiał sport i szczycił się swoją sylwetką. Mężczyzna na stalowym blacie miał piwny brzusek i grube ramiona, złożone w większym stopniu z tłuszczu niż mięśni. Nawet za życia skórę miał bladą, poznaczoną pieprzykami i upstrzoną słabo widoczną szkarłatną wysypką.

Nie miał rzepek: w obu owłosionych nogach ziały dziury w miejscu, gdzie przeciętny człowiek ma kolana. Ciało w okolicy stawów było poszarpane, z masy poszatkowanej tkanki wyzierały żółte kości. Ktokolwiek mu to zrobił, nie był estetą: przymusowy zabieg chirurgiczny wykonano z entuzjazmem dalece przekraczającym umiejętność.

Wzrok Logana ześliznął się niżej. Na kostkach zostały wyraźne ślady więzów. Podobnie jak przy nadgarstkach. Krwawe siniaki, poszarpana skóra. Ślady walki. Skrzywił się. Wyglądało na to, że Stephenson był związany i przytomny, kiedy któryś z McLeodów odrąbał mu rzepek.

Ciach! I ciach! A George był chłopem na schwał i na pewno łatwo się nie poddał, najprawdopodobniej potrzebni byli obaj bracia: Colin i Simon. Jeden go przytrzymał, drugi ciął maczetą.

Były i inne ślady: szramy, zadrapania, pozostałości nocy spędzonej w wodzie. Niektóre przypominały ślady zębów.

Nie czytał jeszcze raportu z sekcji zwłok, ale umiał rozpoznać ślady zębów. Przykucnął i przyjrzał się im z bliska: ciemnofioletowe pręgi na białej skórze. Trochę nieregularne, jakby brakowało paru zębów. McLeodowie nie wyglądali mu na gryzoni - w każdym razie nie Simon. Czyżby Colin? Z nim zawsze było coś nie tak, od początku, kiedy nadział żywego kota na ogrodzenie Union Terrace Gardens, aż do czasu, kiedy przyłapano go na obsrywaniu grobu matki. Miał nierówno pod sufitem. No i po pewnej bójce w barze karaoke brakowało mu zębów. Trzeba będzie poprosić zakład medycyny sądowej o odlew szczęki. Może będzie pasował do przechowywanego w aktach wzorca uzębienia Colina McLeoda.

153

Za jego plecami trzasnęły drzwi. Wyprostował się i zobaczył Isobel pogrążoną w rozmowie z Brianem, asystentem, który właśnie skończył mówić i wykonał zamaszysty gest obiema rękami. Isobel się roześmiała.

Jejku, Brian, jaki ty jesteś zabawny, z tą opadającą na czoło dziewczęcą grzywką i nosem jak kartofel.

Czyżby to on był tym kochasiem, o którym wspominała inspektor Steel? Nawet z ledwie pozszywanym brzuchem Logan skopałby go na kwaśne jabłko, i to najdalej w dwie minuty. Ciekawe, czyby mu się spodobało.

Na widok Logana Isobel przestała się śmiać.

• Witam... - Zarumieniła się lekko.

• Zidentyfikowaliśmy zwłoki. - Głos sierżanta był tylko odrobinę cieplejszy niż leżący obok niego trup.

- O, to dobrze... - Spojrzała na niego, potem na zwłoki. Skinęła na asystenta. - Brian się wszystkim zajmie.

Brian zapisał w małym notesie informacje dotyczące George'a Stephensa. Loganowi z najwyższym trudem udawało się zapanować nad głosem. Czy ten mały kutasek naprawdę posuwał Isobel? Czy teraz dla niego tak pomiaukiwała?

Asystent zamasztył gestem postawił ostatnią kropkę i schował notesik.

- Mam coś dla pana - powiedział.

Przez sekundę Logan był przekonany, że wyciągnie z kieszeni figi Isobel, ale Brian przeszedł na drugą stronę pomieszczenia i wziął do ręki szarą kopertę, leżącą na tacce z pocztą wewnętrzną.

- Wyniki badań krwi tej niezidentyfikowanej czterolatki. Zapowiada się interesująco.

Wręczył kopertę Loganowi i zajął się zapinaniem plastikowego worka i chowaniem zwłok w chłodni. Sierżant zaczął kartkować raport. Brian nie żartował. Wyniki naprawdę były interesujące.

W stołówce w porze lunchu wszyscy rozmawiali o tym samym: czy inspektor Inch pójdzie pod topór? Logan usiadł sam, daleko od innych, i jadł w milczeniu. Lasagne smakowała jak mokra tektura.

Nagle cała stołówka ucichła. Podniósł wzrok i ujrzał Inscha, podchodzącego do lady po stały zestaw: szkocki rosół, makaron zapiekany z serem, frytki, biszkopt z dżemem i budyń.

- Proszę cię, Panie Boże... - mruknął pod nosem Logan. - Niech idzie usiąść gdzieś indziej.

Ale Insch rozejrzał się po stołówce, wypatrzył go i ruszył prościutko do jego stolika. Logan odsunął niedojedzoną lasagne.

154

- Dzień dobry, panie inspektorze.

Ulżyło mu, kiedy Insch tylko chrząknął na powitanie i zaczął jeść zupę. Zaraz potem rzucił się na zapiekanekę, utopił frytki w occie, przysypał je solą, przykrył makaron warstwą pieprzu. Mlaks, mlask, mlask.

Logan czuł się jak idiota, siedząc tam i patrząc, jak inspektor je. Zaczął więc bez przekonania dziubać lasagne widelcem, rozbijać jej warstwową konstrukcję na papkę.

- Mam wyniki badań krwi tej małej dziewczynki - powiedział w końcu. - Była po uszy napompowana środkami przeciwbólowymi, głównie temazepamem.

Insch uniósł pytająco brwi.

-Nie zabiły jej, dawka nie była śmiertelna, ale podawano je systematycznie. Chłopaki z laboratorium podejrzewają, że działały uspokajająco. Była grzeczna i potulna.

Ostatni kęs makaronu zniknął w ustach Inscha, ostatnia frytka wytarła zmieszany z octem sos serowy. Inspektor przeżuwał w zadumie.

- Ciekawe - stwierdził w końcu. - Coś jeszcze?
- Jakiś czas temu miała gruźlicę.
- No! Nareszcie do czegoś dochodzimy. - Insch postawił talerz na pustej misce po zupie i wyciągnął deser na środek sceny. - Niewiele jest w Wielkiej Brytanii miejsc, gdzie można jeszcze złapać gruźlicę. Niech pan sprawdzi statystyki przychodni i szpitali z całego kraju, takie przypadki zawsze się odnotowuje. Ta mała też tam będzie. - Nagarnął

pełną łyżkę biszkopta i budyniu. Uśmiechnął się. - Najwyższy czas, żeby i nam się wreszcie poszczęściło.

Logan nie odpowiedział.

20

Matthew Oswald pracował dla magistratu od pół roku, kiedy skończył szkołę, zdobywszy kwalifikacje o wiele mniejsze od tych, na jakie liczyła jego matka. Ojcu było to obojętne: sam nie miał żadnych kwalifikacji - i co? Zaszkoziło mu to? Matthew wziął pudełko z drugim śniadaniem i poszedł pracować w przedsiębiorstwie oczyszczania miasta.

Życie śmieciarza nie było wcale takie złe, jak się wielu ludziom wydawało. Człowiek dużo przebywał na powietrzu, towarzystwo było w porzo, kasa nie najgorsza, a kiedy coś się popieprzyło, nikt od tego nie umierał.

155

W dodatku od czasu wynalezienia kontenerów na kółkach skończyło się dźwiganie ciężarów. Nie to, co kiedyś -jak powtarzał Jamey, ich kierowca.

Tak że w sumie życie było OK. Trochę szmalu w banku, fajni kumple w pracy, nowa dziewczyna, która nie miała nic przeciwko temu, żeby wkładał jej ręce pod bluzkę.

Potem przyszła propozycja nadgodzin. Powinien odmówić, ale większe pieniądze oznaczały abonamentowy bilet na cały sezon na stadion -a Matthew kochał FC Aberdeen. I właśnie dlatego włożył ten niebieski plastikowy kombinezon, rękawice z czarnej gumy, okulary ochronne i maskę. Jedyne odsłonięty kawałek skóry miał na czole, gdzie kaptur trochę mu się zsunął. Wyglądał jak koleś *Z Archiwum Xi* pocił się jak wszyscy diabli.

Deszcz ze śniegiem walił z szarego nieba, ale chłód wcale nie osuszał strumieni potu ściekających mu po grzbiecie prosto do bokserów. Za żadne skarby świata nie ściągnąłby jednak kombinezonu. W życiu!

Stęknął, dźwignął szufłę na wysokość barków i wrzucił następną porcję gnijących truchel do kontenera. Wszystko cuchnęło śmiercią. Czuł ją nawet przez maskę. Rozkładające się mięso. Wymiociny. Wczoraj zwymiotował śniadanie i lunch - ale dziś będzie inaczej. Dziś płatki zostaną tam, gdzie zostać powinny.

Przesrany dzień wczoraj, przesrany dzień dzisiaj. A zanosilo się jeszcze na przesrany dzień jutro. Nic, tylko przerzucanie padliny szufłą.

Aten pieprzony brudas, właściciel farmy, stał w drzwiach jednej z szop - tej, którą wczoraj wysprzątał. Jemu też nie przeszkadzał deszcz ze śniegiem: stał tak w podartej bluzie i robił smętne miny, patrząc, jak wywożą jego pomyloną kolekcję.

Rano Matthew rzucił okiem na gazetę, którą czytał ojciec. Rodzice dzieciaków z Garthdee spuścili gościowi łomot, bo kręcił się koło szkoły. Jego twarz pokrywała teraz mozaika sinozielonych sińców. I dobrze mu tak, skurwielowi, rozmyślał Matthew, wracając po następny ładunek martwych zwierząt.

W tej stodole przekopali się już prawie przez połowę sterty. Półtorej szopy z głowy, półtorej do przerzucenia, a potem długi prysznic, bilet na cały sezon i picie do wyrzygania. Ależ zaleje pałę, jak się skończy ta robota!

Takie właśnie szczęśliwe myśli wypełniały głowę Matthew, kiedy wbił szufłę w górę gnijącego mięsa i futra. Szczątki ześlizgiwały się z szufli - koty, psy, mewy, wrony i chuj wie co jeszcze. Zacisnął zęby i dźwignął szufłę.

I wtedy to zobaczył.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć - chciał zawołać gościa z rady miejskiej, który miał nadzorować sprzątanie, chciał mu powiedzieć, co znalazł, ale z jego ust wydobył się tylko piskliwy krzyk.

156

Upuścił pełną truchel szufłę i pędem wybiegł na dwór. Ślizgał się, potykał, w końcu osunął się na kolana, zdarł maskę z twarzy i zwymiotował całe śniadanie w śnieg.

Logan siedział w samochodzie naprzeciwko Turf nTrack i przez lornetkę obserwował lokal. Padał śnieg z deszczem. Pogoda zrobiła się naprawdę paskudna: drobny poranny śnieżek na jakiś czas ustał, a potem zaczęło się to: z brudnego nieba leciały grube zlepki śniegu, zimne, mokre, zdradzieckie. Już się ściemniało.

Obdzwonił wszystkie archiwa służby zdrowia w całym kraju, prosząc o dane dziewczynek leczonych w ostatnich czterech latach na gruźlicę. Podobnie jak Insch, był optymistą: to powinna być kaszka z mleczkiem - dziecko chorowało na gruźlicę, ale umarło zdrowe. Czyli było leczone, a fakt leczenia musiał zostać odnotowany gdzieś w aktach. Będą mieli nazwisko.

W radiu skończył się właśnie najnowszy jazgotliwy przebój i spiker zapowiedział popołudniowy serwis informacyjny. Logan włożył do ust miętówkę i podgłośnił.

- W procesie Geralda Cleavera pora dziś na mowy kończące. Pięćdziesięciosześcioletni mieszkaniec Manchesteru jest oskarżony o przestępstwa seksualne, których miał się dopuścić, pracując jako pielęgniarz w szpitalu dziecięcym w Aberdeen. Po blisko trzech tygodniach przesłuchań, w większości wstrząsających, jutro wieczorem przysięgli powinni udać się

na naradę. W związku z licznymi groźbami pod adresem Cleavera policja wzmocniła ochronę oskarżonego i gmachu sądu. Obrońca Cleavera, pan Moir-Farquharson, który sam również padł ofiarą gróźb podczas tego procesu, przedwczoraj w nocy został napadnięty. Napastnik wylał na niego wiadro świńskiej krwi.

Logan wydał cichy okrzyk radości i zrobił jednoosobową meksykańską falę na siedzeniu sfatygowanego służbowego samochodu.

- Nie dam się zastraszyć drobnej, niemającej racji mniejszości. To był głos Sandy'ego-Węża. - Musimy dopilnować, aby sprawiedliwości stało się zadość...

Logan zagłuszył dalszą część przemowy głośnym buczeniem i parsaniem.

Po drugiej stronie ulicy coś się poruszyło. Wyprostował się i podniósł lornetkę do oczu. Otworzyły się drzwi Turf'n'Tracks, Doug Narwaniec wystawił głowę na zewnątrz, spojrział w niebo i się schował. Pół minuty później bezceremonialnie wykopał na deszcz i śnieg Winchestera, owczarka, który wczoraj miał ogromną chęć odgryźć kawałek Logana. Pies najpierw próbował wrócić, oberwał kijem przez łeb i przygnębiony patrzył,

157

jak drzwi zatrzaskują mu się przed nosem. Stał bez ruchu dobrą minutę, a deszcz ze śniegiem wsiąkał mu w sierść. W końcu zbiegł po schodkach na parking. Zatoczył parę kółek, obwąchując latarnie i słupki, obsikując jedne, ignorując inne, aż w końcu skulił się, podkurczył zad i na środku betonowego placu zrobił solidną kupę.

Po czym wrócił pod drzwi i zaczął szczekać jak najęty, dopóki Doug nie wpuścił go do środka. Dosłownie dwa kroki za progiem otrząsnął się, obryzgując właściciela fontanną brudnej wody.

Logan z miejsca go polubił. Rozsiadł się wygodniej w samochodzie i zasłuchał w płynącą z głośnika muzykę.

Zielone, rdzewiejące kombi minęło go, skręciło w prawo, pod sklepy i z poślizgiem zatrzymało się na zanieczyszczonym przed chwilą parkingu. Był to ten sam samochód, który posterunkowa Watson obrzuciła stekiem wyzwisk. Logan westchnął: znów myślał o niej jako „posterunkowej Watson”. Już nie „Jackie śliczne nogi”. A wszystko przez to, że zrugął ją za obsobaczenie kierowcy tego wraka.

Kierowca kombi wziął coś z tylnego siedzenia, wyskoczył z wozu z plastikową siatką w ręce, pośliznął się na mokrym betonie i omal nie upadł na plecy. Miał postawiony kołnierz kurtki, ogoloną głowę osłaniał przed deszczem gazetą. Ślizgając się, wbiegł po nieużywanym podjeździe do Turf n'Track.

Logan zmarszczył brwi i wycelował w niego lornetkę, kiedy facet wchodził do bukmachera. Uszy miał obwieszane kolczykami, twarz zaszczerpniętą - i znajomą: Duncan Nicholson. Ten sam Duncan Nicholson, który przez przypadek znalazł zwłoki zamordowanego chłopca. W zalanej wodą rowie, pod płytą wiórową, w środku nocy, podczas ulewnego deszczu.

- Co ty tu robisz, szmato? - mruknął pod nosem Logan.

Nicholson nie mieszkał w Mastrick, lecz w Bridge of Don, po drugiej stronie miasta. Niezłą podróż sobie zafundował, zwłaszcza przy takiej pieknej pogodzie.

I ta torba. A właściwie - to, co w niej było.

Skrzek policyjnego radia wytrącił go z zamyślenia. Znalaziono następne zwłoki.

Ściemniło się, zanim dotarł na farmę na obrzeżach Cults. Obok otwartej

bramy stał radiowóz z dwójką nieszczęśliwych posterunkowych, ledwie widocznych przez zaparowane szyby. Blokował wjazd na farmę. Logan zatrzymał się przy nim i otworzył okno. Kierowca radiowozu zrobił to samo.

- ...dobry wieczór, panie sierżancie.

158

•Co się dzieje?

•Inspektor Insch już tu jest. Przyjechał też prokurator, a przed chwilą lekarz dyżurny. Ludzie z ekipy kryminalnej utknęli w korku. W jednej szopie trzymamy sześciu ludzi ze służb miejskich. Musieliśmy ich przytknąć, żeby nie zabili właściciela.

•Sprzątacza?

•Mhm. Siedzi w domu, z Inschem. Inspektor nie wypuści go, dopóki lekarz oficjalnie nie stwierdzi zgonu ofiary.

Logan pokiwał głową i powoli zamknął okno. Deszcz ze śniegiem zaczął prosto do samochodu.

- Panie sierżancie? - odezwał się kierowca radiowozu. - Czy to prawda, że wczoraj siedział w areszcie i żeśmy go puścili?

Żołądek podszedł Loganowi do gardła. Ta myśl prześladowała go, odkąd dowiedział się o nowych zwłokach. Przez całą drogę z Mastrick. Wypuścili Sprzątacza, nie postawiwszy mu zarzutów, a teraz zginęło kolejne dziecko. Rety, jeszcze sam odwiózł go do domu!

Deszcz ze śniegiem padał coraz obficiej - i było w nim coraz więcej śniegu. Wóz ślizgał się w koleinach, gdy Logan ruszył podjazdem w stronę zabudowań. Stodoły majaczyły w mroku, światło reflektorów wyławiało z ciemności szeroko otwarte wrota.

Drzwi szopy numer 2 - tej, którą dziś opróżniano - przegradzała niebieska

taśma policyjna.

Logan zatrzymał wóz za samochodem lekarza. Obok stał drugi radiowóz, pusty; posterunkowi spisywali zapewne zeznania ludzi, którzy znaleźli zwłoki. I powstrzymywali ich od rozszarpania Sprzątacza na kawałki. Jedno auto nie stało przy oblepionych śniegiem kontenerach na śmieci - rangę rover Inscha: tylko taki wóz, z napędem na cztery koła, poradził sobie z rozjeżdżoną bitą drogą i podjechał pod sam dom. Z okna na parterze sączyło się słabe żółte światło.

Logan przeniósł wzrok z przegrodzonego taśmą wejścia do szopy na dom, który to pojawiał się, to znikał w gęstniejącej śnieżycy. Im prędzej to załatwi, tym lepiej.

Na dworze było lodowato, a kiedy zgasił światła, zrobiło się też kompletnie ciemno. Sięgnął do wnętrza wozu i spod stosu plakatów ze zdjęciem Petera Lumleya wygrzebał latarkę. Boże, proszę Cię: niech to będzie on, a nie jakiś inny martwy dzieciak. Już dość.

Latarka dawała akurat tyle światła, żeby widział, gdzie stawia stopy. Śnieg zbierał się w zagłębieniach terenu, maskował je, groził pośliznięciem i upadkiem. Potykając się, Logan brnął przez trawę do budynku numer 2. Duże płatki śniegu kleiły mu się do marynarki.

159

Śmierdziało potwornie - ale nie aż tak strasznie jak pierwszego dnia, kiedy kazał posterunkowemu Steve'owi otworzyć ciężkie drewniane wrota. Wiatr rozwiewał odór, ale Logan i tak omal nie zwymiotował za progiem. Rozkaszłał się, wyciągnął chusteczkę i zasłonił nią nos i usta.

Połowa zwierzęcych trupów została usunięta. Beton był śliski od śluzu i rozkładających się płynów ustrojowych. Doktor Wilson, w przepisowym

białym jednorazowym kombinezonie, kuczał przy stercie truchel. Obok postawił otwartą torbę lekarską, podłożywszy pod nią foliowy worek na śmieci.

Logan też naciągnął kombinezon i ostrożnie wszedł na oślizłą posadzkę.

- ...dobry wieczór.

Lekarz odwrócił się do niego. Maską zasłaniała mu dolną połowę twarzy.

- Jak to jest, że zawsze dostaję wezwania do takiej paskudnej roboty?

- Ma pan fart.

Dowcip był marny, ale Wilson uśmiechnął się półgębkiem pod maską.

Gestem wskazał torbę, z której Logan wyjął lateksowe rękawiczki i maskę.

Smród nagle zniknął, ustępując przed obezwładniającą wonią mięty, od której łzy napłynęły mu do oczu.

- To vaporub Vicksa - wyjaśnił lekarz. - Stara sztuczka patologów.

Maskuje wszystkie smrodki.

- Co tu mamy?

Proszę Cię, Panie Boże, niech to będzie Peter Lumley.

- Trudno powiedzieć. Biedny maluch prawie całkiem się rozłożył.

Wilson odsunął się na bok i Logan wreszcie zobaczył to, co sprawiło, że Matthew Oswald wybiegł z krzykiem z szopy i zwymiotował śniadanie.

Z masy zwierzęcych truchel wystawała główka dziecka. Była zupełnie pozbawiona rysów: spod szarej mazi przezierały kości. Sierżant z trudem powstrzymał mdłości. -Chryste Panie...

- Nawet nie wiem, czy to chłopiec, czy dziewczynka. I nie dowiemy się tego, dopóki nie odkopimy ciała i go nie zbadamy.

Logan nie odrywał wzroku od makabrycznego znaleziska, pustych oczodołów, otwartych ust, zębów sterczących z obkurczonych dziąseł.

Brudne, pozlepiane włosy nie różniły się od sierści leżących dookoła zwierząt,

ale w ich ohydnej masie tkwiły dwie różowe spineczki. Jak u Barbie.

- Dziewczynka - stwierdził Logan i wstał. Miał dość. - Doktorze, nic tu po panu. Proszę stwierdzić zgon i zostawić resztą patologowi.

Wilson pokiwał smętnie głową.

- Chyba ma pan rację. Biedna mała...

160

Logan stał na dworze z twarzą wystawioną na wiatr i śnieg i czekał, aż chłód i wilgoć spłuczają mu z twarzy odór rozkładu - i tylko mdłości za nic nie chciały ustąpić. Trzęsąc się z zimna, patrzył, jak doktor Wilson brnie przez śnieg do samochodu, a gdy tylko wskoczył do środka, wyciągnął papierosy i otulił go obłok dymu.

— Cholerny farciarz...

Odwrócił się plecami do całej tej sceny i ruszył w zamieci do budynku mieszkalnego. Snop światła z latarki - biały pręt złożony z kłębiących się płatków - prowadził go w wysokiej trawie. Po dziesięciu krokach spodnie miał mokre aż do kolan, a buty pełne lodowatej wody. Kiedy dotarł do drzwi wejściowych, szcząkał zębami, których równy rytm szedł w zawody z wstrząsającymi nim dreszczami.

W kuchni paliło się światło, ale przez brudną szybę z trudem dało się dostrzec zarysy ludzkich sylwetek w środku. Darował sobie pukanie - po prostu pchnął barkiem drzwi. Wnętrze było w znacznie gorszym stanie, niż się spodziewał. Bóg jeden wiedział, od jak dawna nikt tam nie mieszkał, i dom zmienił się w zapleśniały grobowiec. Wodząc latarką na boki, wyławiał z mroku strzępy tapet i resztki mebli. W wielu miejscach tynk odpadł ze ścian, odsłaniając drewniany szkielet. Dziury obrosły ciemnym grzybem,

upodabniając się do oblepionych muchami otwartych ran. Przy schodach brakowało balustrady, jeden stopień był złamany w środku i oba jego końce sterczały w powietrzu. Za to na ścianach cały czas wisiały zdjęcia.

Starł trochę kurzu z najbliższego - i zobaczył uśmiechniętą, szczęśliwą kobietę. Oczyszczył je trochę bardziej i odsłonił małego chłopca, ładnie uczesanego, w eleganckim ubranku, uśmiechającego się do aparatu.

Podobieństwo rodzinne było oczywiste: Bernard Duncan Philips z matką w dawnych, lepszych czasach. Zanim zaczął zbierać trupy. Zanim w szopie numer 2 znalazły się zwłoki dziewczynki.

Kuchnia była zagracona i ciemna. Wszędzie stały kartony, rozmiękłe od stale panującej tu wilgoci. Pleśń pokrywała ściany; całe pomieszczenie nią śmierdziało. Na środku stał sfatygowany stół i dwa rozchwierutane krzesła.

Na jednym z nich siedział skulony Bernard Duncan Philips, Sprzątac. Inspektor Insch stał naprzeciwko niego, oparty o zlew. Nieduży świecznik, z dwoma zaledwie ogarkami, chociaż miejsca było w nim na pięć świec, oświetlał pomieszczenie. Kiedy Logan wszedł, żaden z mężczyzn się nie odezwał.

Insch patrzył na siedzącego z ponurą, kamienną miną. Myślał zapewne o tym samym co przed chwilą Logan: wczoraj mieli go w garści - i puścili wolno. A teraz znaleźli u niego nieżywe dziecko. Kolejne.

161

- Kazałem lekarzowi wracać do domu - odezwał się Logan. Półmrok tłumiał jego głos.

Insch nie odrywał wzroku od Sprzątacza.

- Co powiedział?

- To chyba dziewczynka. Trudno powiedzieć, w jakim wieku, ale nie żyje

od dawna. Może nawet od paru lat.

Insch pokiwał głową. Wyraźnie mu ulżyło. Skoro dziecko nie żyło od kilku lat, wczorajsze wypuszczenie Sprzątacza na wolność nie miało znaczenia. Nikt przez to nie zginął.

- Pan Philips odmówił komentarza. Prawda, panie Philips? Nie chce mi pan powiedzieć, kim była ta dziewczynka ani kiedy ją pan zamordował. Ciekawe, że teraz mamy już dwie martwe dziewczynki. A jeszcze ciekawsze, że jakiś świr biega sobie po mieście, morduje chłopców, wkłada im coś w pupy i obcina ptaszki. Bardzo zabawne.

Logan zmarszczył brwi. Davida Reida znaleźli martwego i okaleczonego w rowie na drugim końcu miasta. Sprzątacz kolekcjonował trupy. Nie porzuciłby takiego skarbu.

- Proszę posłuchać - zaczął, wcielając się w rolę dobrego gliny. - Ułóżmy panu zadanie. Opowie nam pan, co się stało, swoimi słowami, do brze? Na pewno nie chciał pan, żeby tak się to ułożyło, prawda?

Sprzątacz oklapł na krześle i oparł głowę o poharatany blat.

- Czy to był wypadek, Bernardzie? Samo się stało?
- Zabierają je. Zabierają moje nieżywe skarby.

Insch wyrznął potężną pięścią w stół. Świecznik i Sprzątacz podskoczyli. Stopiony wosk bryznął na blat. Bernard Duncan Philips znów powoli osunął się na stół, osłaniając głowę rękami.

- Pójdiesz siedzieć. Rozumiesz? Prosto do Peterhead, tam gdzie wszyscy psychole. Pedofile, gwałciciele, mordercy. Chcesz tam być czyjąś panienką? Chcesz znaleźć miłość swojego życia, jakiegoś kudłatego skurczybyka z Glasgow? Albo zaczniesz mówić, albo dopilnuję, żeby wsadzili cię do celi razem z najpaskudniejszym jebaką, jakiego tam mają!

Te słowa miały wywołać reakcję, ale nadzieje inspektora spełzły na niczym. Zapadło nerwowe milczenie, w którym Logan nagle wychwycił cichą melodię. Sprzątacznuciuł coś pod nosem. Brzmiało to jak hymn *Abide with me*. Nie trać do mnie cierpliwości.

Za oknem błysnęło światło. Logan przetarł brudną szybę: furgonetka biura identyfikacji ofiar zmagala się z błotnistym podjazdem, w końcu zatrzymała się przed budynkiem numer 2. Za nią jechał jeszcze jeden samochód: smukły i elegancki, z trudem radził sobie z zaśnieżoną dróżką. Zanim zajechał na farmę, technicy zaczęli wyładowywać sprzęt i przenosić go do trupiarni.

162

Kierowcą sportowego wozu okazała się Isobel. Logan westchnął.

- Są chłopaki z biura identyfikacji ofiar i patolog.

Patrzył, jak stawia kołnierz płaszcza, obchodzi samochód i otwiera bagażnik. Na brązowy kostium narzuciła beżowy płaszcz. Zdjęła włoskie buty, przebrała się w kalosze i poszła do stodoły.

Trzydzieści sekund później zgięta wpół walczyła na podwórku z mdłościami. Logan uśmiechnął się z ponurą satysfakcją. Nie wypadało zachowywać się jak człowiek przy podwładnych, co?

Insch odsunął się od zlewu i wyjął kajdanki.

- No, panie Philips, proszę wstać.

Logan patrzył, jak inspektor recytuje obojętnemu Philipsowi przysługujące mu prawa, a potem skuwa mu ręce za plecami i wywleka go na dwór, w zadymkę.

Zdmuchnął świece i wyszedł za nimi.

Tym razem „stosowną osobą dorosłą” był zmęczony życiem facet po pięćdziesiątce, z łysiną na czubku głowy i niedorzecznym wąsikiem: Lloyd Turner, były nauczyciel miejscowej szkoły, któremu niedawno zmarła żona i który rozpaczliwie szukał zajęcia, żeby nie siedzieć samotnie w domu. Siedział więc przy stole obok Bernarda Duncana Philipsa, mając przed sobą zgodnie nachmurzonych inspektora Inscha i sierżanta Logana McRae.

Małe pomieszczenie śmierdziało - ale tym razem nie tradycyjnym, nie wiadomo skąd się biorącym zapaszkiem spoconych stóp, lecz ciężkim, słodkawym odorem zgnilizny, jaki rozstaczał Sprzątacze. Siniaki, które Logan zauważył poprzedniego dnia, rozkwitły: ciemny fiolet i zieleń rozlały się po twarzy więźnia i znikwały w brudnej brodzie. Oparte na blacie dłonie - brudne, z czarnymi paznokciami - drżały nerwowo. Jediną czystą rzeczą był biały, papierowy kombinezon, który dali mu ludzie z biura identyfikacji ofiar, kiedy zabrali jego ubranie do laboratorium.

Logan i Insch spędzili w towarzystwie Sprzątacza trzy godziny - i niczego nie osiągnęli. Powtarzał w kółko, że okrada się go z ukochanych martwych skarbów. Próbowali być sympatyczni; próbowali być niemili; namówili wąsatego nauczyciela, żeby przemówił mu do rozsądku i uświadomił powagę sytuacji. Wszystko na nic.

163

Insch zakołysał się na krześle, aż plastik zatrzeszczał.

- No dobrze - westchnął. - Spróbujmy jeszcze raz.

Wszyscy się skrzywili - wszyscy poza Sprzątaczem, który nucił w najlepsze. Nie trać do mnie cierpliwości, psiakrew! Logan czuł, że jeszcze trochę i dostanie szau.

Nauczyciel podniósł rękę.

-Przepraszam, panie inspektorze... Wydaje mi się oczywiste, że w tym stanie Bernard nie nadaje się do przesłuchania. - Zerknął z ukosa na siedzącego obok śmierdzącego człowieka. - Nie jest tajemnicą, że ma kłopoty psychiczne. Potrzebuje pomocy, nie więzienia.

Insch z impetem przysunął krzesło do stołu.

-A dzieci, które leżą w kostnicy, powinny całe i zdrowe siedzieć w domach, zamiast ginąć z ręki jakiegoś czuba! - Skrzyżował ręce na piersi, przez co wydał się jeszcze większy niż w rzeczywistości. Zatrzeszczały szwy koszuli. - Chcę się dowiedzieć, gdzie jest Peter Lumley i ile jeszcze dzieci zabił Philips.

- Panie inspektorze, rozumiem, że pan wykonuje swoje obowiązki, ale Bernard nie jest w stanie odpowiadać na pańskie pytania. Proszę na niego spojrzeć!

Spojrzeni. Dłonie Sprzątacza miały się po blacie jak para poranionych ptaków. Wzrok miał nieobecny, utkwiony w dal. Właściwie nie było go z nimi w pokoju.

Logan spojrział na zegar: dwadzieścia po siódmej. Poprzedniego dnia Sprzątacz wcześniej upomniał się o lekarstwo.

- Mogę pana prosić na słówko, inspektorze? Wyjdźmy.

Podeszli do automatu z kawą, odprowadzani zaciekawionymi spojrzeniami. Wieść na pewno się rozeszła po komendzie, poszła w radiu, może nawet w wieczornych wiadomościach w telewizji: morderca dzieci z Aberdeen trafił za kratki. Teraz pozostało tylko czekać, aż zacznie mówić.

- Co pan kombinuje, sierżancie? - spytał Insch. Wybrał guzik oznaczający kawę ze śmietanką i dodatkowym cukrem.
- Nic dziś ze Sprzątacza nie wyciśniemy, panie inspektorze. Ma schi-

zofrenię. Bierze leki. Nawet jeśli coś powie, w sądzie zjedzą nas żywcem: psychicznie chory podejrzany, któremu odmówiono leków, a on przyznał się do wszystkiego po trzygodzinnym przesłuchaniu. Co by pan zrobił?

Insch podmuchał na zawartość plastikowego kubeczka i ostrożnie upił łyk. Kiedy się odezwał, mówił głosem bardzo zmęczonego człowieka.

- Ma pan rację, naturalnie.

Odstawił kawę na stolik i zaczął szukać w kieszeniach czegoś słodkiego, ale nie znalazł i Logan musiał go poczęstować swoją miętówką.

164

- Dziękuję. Od godziny chodzi mi to po głowie, tylko po prostu nie chciałem odpuścić. Na wszelki wypadek... - Insch westchnął. - Może Peter Luinley jeszcze żyje.

Obaj wiedzieli, że to tylko pobożne życzenia. Peter Lumley nie żył - po prostu jeszcze nie znaleziono jego zwłok.

- Co z miejscem zbrodni?
- Jak to: co?
- Ta dziewczynka może nie być jedynym trupem w stercie. - Była jeszcze jedna sprawa, ta, która zaniepokoiła Logana już na farmie. - David Reid... Został porzucony. To nie ten styl działania. Sprzątacze to kolekcjoner. Nie zostawiłby zwłok w rowie.
- Może czeka, aż nadgniją i dopiero wtedy je zbiera?
- Jeśli to on zabił, to także wyciął genitalia Reidowi. Powinny być gdzieś na farmie.

Insch się skrzywił.

- Pięknie, pięknie... Będziemy musieli przesiać te truchła sztuka po sztuce. Poszukać. Przysłowiowa igła w stogu siana. - Potężnymi dłońmi chwilowo

roztarł sobie twarz na miazgę. - No tak. - Odetchnął głęboko, wyprostował się i mówił dalej, z większym przekonaniem: - Nie chce po dobroci, to pograamy ostro. Dowiemy się, jaki ma związek ze zwłokami dzieci. Dziewczynkę znaleźliśmy u niego w domu, z nią nie ma problemu. Na pewno znajdziemy jakiś związek z morderstwami Reida i Lumleya. Proszę posłać tuzin posterunkowych w teren. Niech rozpytują wśród ludzi, gdzie widziano dzieci po raz ostatni. Muszę mieć świadka. Drugi raz się skurczybyk nie wymiga.

Tej nocy w snach Logana roilo się od gnijących dzieci. Biegały po mieszkaniu, chciały się bawić. Jedno siedziało na podłodze w salonie; kawałki skóry spadały na błyszczący parkiet, kiedy bębniło ile sił w cymbałki, które Logan dostał na czwarte urodziny. Ding, dong, brzęk. Kakofonia przypominała raczej dzwonek telefonu niż muzykę.

I wtedy się obudził.

Półprzytomny przeszedł do salonu i podniósł słuchawkę.

- Co jest? - burknął.

- Tobie też życzę wesołych świąt.

Colin Miller.

- Boże... - Logan przetarł twarz, usiłując się rozbudzić. - Jest wpół do siódmej! Coś jest nie tak z tym twoim wczesnym wstawaniem.
- Znaleźliście następne ciało.

Logan powlókł się do okna, ale nigdzie nie zobaczył drogiego wozu Millera. Tyle przynajmniej dobrego: dziś wesoła wróżka nie zaszczyci go wizytą.

165

-I co?

Miller nie od razu odpowiedział.

-1 aresztowaliście Bernarda Philipa. Sprzątacza.

Logana zamurowało. Wypuścił z ręki skraj firanki.

- Skąd o tym wiesz, do cholery?!

Z informacji prasowych nie sposób było odgadnąć tożsamości podejrzanego. W komunikacie znalazło się tradycyjne sformułowanie: „Dokonano aresztowania. Prokurator generalny został o tym fakcie powiadomiony”.

-Przecież wiesz: taki mam zawód. Biedne maleństwo zgniło w tej stercie główna... Chcę usłyszeć, co się u was dzieje, Łazarzu. Nadal wiem o Stephensonie coś, czego ty nie wiesz. Obaj na tym skorzystamy.

Logan nie wierzył własnym uszom.

- Dość! Po tym, co wczoraj zrobiłeś inspektorowi!
- To przecież normalna rzecz. On cię wykiwał, ja mu upuściłem powietrza. Napisałem coś złego o tobie? Choć jedno słowo?
- Nie o to chodzi.
- Aha, lojalność. Podoba mi się to. Cenna zaleta u policjanta.
- Przez ciebie wyszedł na idiotę.
- Mam propozycję: zapomnę o paniencie z pantomimy i spotkamy się na śniadaniu.
- Nie mogę. Muszę uzgadniać z Inschem wszystko, co powiem. Znów chwila ciszy.
- Uważaj, jak wykorzystujesz tę swoją lojalność. Może ci zaszkodzić.
- Słucham?! Co to ma znaczyć?!
- Zajrzyj do gazet. Przekonasz się, czy nie przyda ci się kumpel w prasie.

Logan odłożył słuchawkę i dygocząc, stał bez ruchu w ciemnym salonie. Nie było mowy, żeby wrócił do łóżka. Najpierw musiał się dowiedzieć, co takiego wymyślił Miller. Co było w gazetach.

Wpół do siódmej. Gazetę do domu przywiozą mu dopiero za półtorej godziny. Ubrał się szybko i ślizgając w śniegu po kostki, przemknął do Castlegate i najbliższego kiosku. Kiosk był mały. Należał do sklepików, które w przeszłości sprzedawały mydło i powidło. Na ścianach wisiały półki, na nich stały książki, czajniki, patelnie, żarówki, puszki z fasolą... To, co go interesowało, znalazł na podłodze przy kasie: gruby plik świeżutkich gazet, owinięty jeszcze folią dla ochrony przed śniegiem.

Właściciel kiosku, krępy mężczyzna bez trzech palców u lewej ręki, z siwiejącą brodą i złotym zębem, burknął „dzień dobry” i rozciął folię nożem.

166

-Jeeezu... - mruknął, biorąc gazetę z góry i pokazując Loganowi pierwszą stronę. — Mieli skurwiela w garści i go wypuścili! Przecież to się w pale nie mieści!

Środek strony zajmowały cztery zdjęcia: David Reid, Peter Lumley, Inch i Bernard Duncan Philips. Sprzątacznik był nieostry, pochylony nad szuflę z rozjechanym królikiem, obok stał jego dwukołowy wózek na padlinę. Dwaj chłopcy uśmiechali się do czytelnika ze szkolnych fotografii. Inch był w kostiumie z pantomimy.

Biegący u góry nagłówek krzyczał „Dom grozy: w stercie gnijących zwierząt znaleziono zwłoki dziewczynki!”. Drugi, poniżej, obwieszczał: „Morderca kilka godzin wcześniej został zwolniony z aresztu”.

Co lin Miller znowu uderzył.

- Banda zasranych klaunów! Tyle są warci. Coś panu powiem: wy-

starczyłoby mi pięć minut sam na sam z tym świrem. Kurna, mam wnuki w tym wieku!

Logan bez słowa zapłacił za gazetę i wyszedł.

Znów padał śnieg. Grube płatki spływały z ciemnego nieba, z chmur podświetlonych pomarańczowym blaskiem latarni. Cała Union Street lśniła od świątecznych ozdób i lampek, ale Logan nie zauważał dekoracji. Stał niedaleko kiosku i czytał w świetle padającym ze sklepowej witryny.

Szczegółowy opis życia Sprzątacza: schizofrenia, dwuletni pobyt w Cornhill, śmierć matki, kolekcja zwierzęcych trupów. Miller dotarł nawet do ludzi, którzy napadli Philipa pod szkołą; ich wypowiedzi ociekały słusznym gniewem i oburzeniem. Policja potraktowała ich jak bandytów, kiedy zaatakowali tego czuba, a on przez cały czas ukrywał wśród truchwał martwe dziecko!

Krzywiąc się, czytał o tym, jak policja aresztowała Sprzątacza, ale inspektor Inch - który wolał przechadzać się po scenie, gdy zboczeniec porywał, gwałcił i mordował małe dzieci - kazał go zwolnić. I to wbrew radom miejscowego bohatera, sierżanta Logana „Łazarza” McRae.

Logan jęknął z rozpacz. Cholerny Miller! Wydawało mu się pewnie, że wyświadcza mu przysługę, przedstawiając go jako głos rozsądku, ale Inch się wścieknie. Pomyśli, że Logan sam poszedł do „Press and Journal” i wszystko im opowiedział, wbijając mu w ten sposób nóż w plecy.

W komendzie czekał na niego ojczym Petera Lumleya. Wyglądał, jakby nie spał od miesiąca, zionął przetrzawionym piwem i whisky tak ostro, że od jego oddechu tapeta by się sfilcowała. Czytał gazety. Wiedział, że kogoś aresztowali.

Logan zabrał go do pokoju przesłuchań i słuchał jego wrzasków. Sprzątaczu, gdzie jest jego syn! Policja powinna zmusić go do mówienia! Jeśli tego nie potrafią, on im chętnie pomoże! Muszą znaleźć Petera!

Po jakimś czasie Logan zdołał go uspokoić i wyjaśnił, że człowiek, którego zatrzymali, może nie mieć nic wspólnego z zaginięciem Petera. Zapewnił, że policjanci robią co w ludzkiej mocy, żeby chłopca odszukać. Poradził, żeby pan Lumley wrócił do domu i się zdrzemnął. W końcu zmęczenie wzięło górę i Lumley dał się odwieźć radiowozem do siebie.

Zanim dzień na dobre się zaczął, Logan już zdążył poczuć się paskudnie. Żołądek zwinął mu się w supeł - i nie była to tylko kwestia bólu świeżych blizn. Zrobiło się wpół do dziewiątej, a Insch nadal nie dawał znaku życia. Szykowała się burza z piorunami - Logan będzie w samym jej środku.

Poranna odprawa zaczęła się i skończyła. Wyznaczył ekipy, przydzielił zadania. Jeden zespół miał przepytac wszystkich mieszkańców domów w promieniu półtora kilometra od miejsc, gdzie ostatnio widziano dzieci - przed śmiercią i po. Czy ktoś zwrócił uwagę, żeby kręcił się tam Sprzątaczu? Drugiej grupie przypadło grzebanie w archiwum w poszukiwaniu wszelkich śladów działania Bernarda Duncana Philipsa. Trzecia, zdecydowanie największa ekipa, miała najgorsze zadanie: przekopać się przez tonę rozkładających się zwierzęcych zwłok w poszukiwaniu odciętego penisa. To już nie była robota dla zakładu oczyszczania miasta, tylko śledztwo w sprawie morderstwa.

Nikt nie zapytał, co się stało z Inschem; nikt słowem nie wspomniał o pierwszej stronie „P & J” - ale Logan wiedział, że wszyscy czytali gazetę. W sali dawało się wyczuć ledwie tłumioną wrogość. Ludzie doszli do wniosku,

który łatwo było przewidzieć: podejrzewali, że to Logan poszedł do gazet i wyrolował inspektora.

Posterunkowa Watson nie chciała mu nawet spojrzeć w oczy.

Kiedy odprawa się skończyła i wszyscy bez entuzjazmu wyszli z sali, Logan odszukał inspektor Steel. Siedziała u siebie w gabinecie, z nogami na stole, paląc papierosa i pijąc kawę. Na zagraconym biurku leżała rozłożona gazeta. Kiedy zapukał i wszedł do pokoju, podniosła na niego wzrok i zasalutowała mu kubkiem.

- Dzieńdoberek, Łazarz. Szukasz następnej ofiary?
- To nie ja! Wiem, jak to wygląda, ale ja tego nie zrobiłem!
- Dobrze, dobrze. Niech pan zamknie drzwi i zaparkuje gdzieś tyłek.

Wskazała mu sfatygowane krzesło po drugiej stronie biurka. Zrobił, co kazała, i uprzejmie wymówił się od papierosa.

- Mógłby pan iść z tym do gazet... - zaczęła Steel, stukając palcem w gazetę. - Ale musiałby pan albo być tak głupi, że nie powinno się panu

168

pozwoić samodzielnie oddychać, albo mieć poważne ambicje polityczne. Jest pan ambitny, panie bohaterze?

- Słucham?
- Wiem, że nie jesteś głupi, Łazarzu. - Steel skinęła ręką z papierosem.

- Prasa prędzej czy później zawsze ugryzie człowieka w dupsko, ale to... To może zrujnować karierę Inscha. Gdyby się go pan pozbył, to mając pra sę po swojej stronie, byłby pan murowanym kandydatem na jego miejsce. Szeregowi pracownicy znienawidziliby pana, ale jeśli to kogoś nie rusza, może dalej piąć się po drabinie. Następny szczebel: nadinspektor.

- Przysięgam, z nikim nie rozmawiałem! Sam też chciałem wypuścić

Sprzątacza, bo nie mieliśmy żadnych dowodów przeciwko niemu. Nawet odwiozłem go do domu!

- To dlaczego ten dziennikarz jedną ręką głaszcze pana po dupci, a drugą spuszcza manto Inschowi?

- Nie wiem. - Kłamczuch. - Uważa się za mojego przyjaciela. Rozmawiałem z nim kilka razy, ale za każdym razem konsultowałem się z Inschem. - Kłamczuch do potęgi. - On chyba nie lubi inspektora.

No, to przynajmniej było prawdą.

- Potrafię go zrozumieć: mało kto lubi Inschy'ego. Ale mnie się podoba. Kawał chłopca. Jak widzisz taki zad, to wiesz, że będzie w co wbić zęby.

Logan usiłował nie wyobrazić sobie tej sceny. Steel zaciągnęła się papierosem i wypuściła dym między zębami, uśmiechając się z zadowoleniem.

- Rozmawiał pan z nim?

- Z inspektorem? - Logan zwiesił głowę. - Jeszcze nie.

- Aha... Był tu, wcześniej rano. Widziałam na parkingu ten jego terenowy dziwkolot. Pewnie coś knuje z dowództwem: przeniosą pana do Gorbals.

Uśmiechnęła się szeroko, a Logan zachodził w głowę, czy mówi poważnie, czy kpi sobie z niego.

- Pomyślałem, że może pani mogłaby z nim porozmawiać...

Inspektor parsknęła śmiechem.

- Mam zapytać, czy pana lubi?

Logan poczuł, że się rumieni. Wiedział, czego się spodziewać po Steel - czy naprawdę mógł się po niej spodziewać współczucia i zrozumienia? Może rzeczywiście był za głupi, żeby samodzielnie oddychać?

- Przepraszam. - Wstał od biurka. - Muszę wracać do pracy.

- Wkurwi się - powiedziała Steel, kiedy drzwi już się za nim zamy

kały. - Może nie na pana, może na tego Millera, ale się wkurwi. Będzie wrzeszczał. A gdyby nie chciał słuchać, proszę nie zapominać, że nie da

169

się zrobić omletu, nie rozbijając jaj. Nie pan zaczął? W porządku. Ale nie znaczy, że nie może pan na tym skorzystać. Logan stanął jak wryty.

- Skorzystać?

-Ambicja, panie bohaterze. Czy się to panu podoba, czy nie, może pan zająć jego miejsce. W paskudny sposób, to prawda, ale dochrapie się pan inspektora. - Steel przypaliła nowego papierosa od niedopałka poprzedniego. Wrzucony do kawy pet zasyczał cicho. - Niech pan to sobie przemyśli.

Tak też zrobił. Myślał o tej sprawie przez całą drogę do swojego mini-pokoju operacyjnego. Ta sama posterunkowa siedziała przy telefonie, spisując nazwiska i zawiadomienia. Po aresztowaniu Sprzątacza i roztrąbieniu sprawy przez gazety i telewizję wszyscy krewni i znajomi Królika mieli coś do powiedzenia. Zamordowana dziewczynka? Już mówię: widziałem, jak wsiadała do śmieciarki, razem z tym facetem z gazet. Serio...

Zaczęły też splotać ze służby zdrowia informacje dotyczące dziewczynek, które w ostatnich czterech latach chorowały na gruźlicę. Lista na razie była krótka, ale w miarę upływu czasu będzie się wydłużać.

Logan przebiegł wzrokiem po nazwiskach; posterunkowa zresztą sprawdziła i odrzuciła już większość przypadków. Interesowały ich tylko dzieci w wieku od trzech i pół do pięciu lat. Do wieczora powinni ją zidentyfikować.

Spodziewał się tego telefonu, ale i tak żołądek zwinął mu się w lodowatą kulę: proszę się zgłosić do gabinetu komisarza. Teraz oberwie mu się za coś, czego nie zrobił. Przecież był niewinny - poza tym że okłamał Colina

Millera. Oraz inspektora Inscha.

- Przejdę się trochę - poinformował posterunkowa przy telefonie.

- Chwilę mi to zajmie.

W gabinecie komisarza było jak w piekle. Logan stanął wyprężony jak struna przed olbrzymim dębowym biurkiem. Splótł dłonie za plecami. Inspektor Insch siedział w niby-skórzanym (i niby-wygodnym) fotelu dla gości. Nie patrzył na sierżanta. Za to inspektor Napier z wydziału wewnętrznego wpatrywał się w Logana takim wzrokiem, jakby miał przed sobą wytwór nieudanego eksperymentu naukowego.

Za biurkiem siedział poważny mężczyzna o czaszce okrągłej jak kula armatnia - i prawie równie bezwłosej. Miał na sobie galowy mundur, zapięty pod samą szyję. Zły znak.

- Sierżant McRae... - Głos robił jeszcze większe wrażenie niż postać jego właściciela: wypełniał cały pokój złowrogim napięciem. - Wie pan, dlaczego pana wezwałem.

170

To nie było pytanie: na biurku leżał egzemplarz „Press and Journal”, precyzyjnie ułożony w taki sposób, żeby jego krawędzie biegły równoległe do klawiatury komputera i książki zatrzymań.

- Tak jest, panie komisarzu.
- Ma pan coś do powiedzenia?

Zwolnią go. Sześć dni temu wrócił do pracy, a teraz wyrzucą go na poblížniony tyłek. Powinien się nie wychylać i siedzieć spokojnie na zwolnieniu. Żegnaj, emeryturo.

- Tak, panie komisarzu. Chciałbym powiedzieć, że inspektor Insch cieszy się moim pełnym zaufaniem i poparciem. Nie sprzedałem tej historii

Colinowi Millerowi i nie twierdziłem, że nie zgadzam się z decyzją pana inspektora o zwolnieniu Sprzą... pana Philipsa. Wtedy, w tamtych okolicznościach, to była słuszna decyzja.

Komisarz rozparł się w fotelu. Zetknął dłonie czubkami palców.

- Ale w ogóle rozmawiał pan z Millerem, prawda, sierzancie?
- Tak, panie komisarzy. Dzwonił do mnie dziś o wpół do siódmej rano i pytał o szczegóły aresztowania pana Philipsa.

Inspektor Insch poruszył się niespokojnie. Zaskrzypiał skaj.

- A skąd, do cholery, wiedział, że go aresztowaliśmy? To nie jest informacja ogólnodostępna! Coś panu powiem...

Komisarz uciszył go gestem.

- Zapytałem go o to - ciągnął Logan, przechodząc do postawy „zeznające go policjanta”. - Powiedział, że na tym polega jego praca, że wie różne rzeczy. Nie pierwszy raz Miller dysponuje informacjami, których mieć nie powinien. Wiedział, że znaleźliśmy ciało Davida Reida. Wiedział, że morderca okaleczył zwłoki i dokonał na nich pośmiertnie gwałtu. Wiedział, że znalezione przez nas zwłoki dziewczynki są w stanie rozkładu. Ma u nas informatora.

Brwi człowieka za biurkiem uniosły się pytająco, ale z jego ust nie padło ani jedno słowo. Metoda inspektora Inscha. Tylko że Logan nie miał ochoty na takie gierki.

- To nie ja! Nigdy nie powiedziałbym dziennikarzowi, że nie zgadzam się z decyzją przełożonego o zwolnieniu podejrzanego z aresztu! Miller chce mieć swojego człowieka w komendzie i wydaje mu się, że jeśli mi „pomocze”, osiągnie swój cel. Jemu chodzi tylko o jak największą sprzedaż gazety!

Komisarz milczał. Cisza się przedłużała.

- Jeżeli oczekuje pan mojej dymisji, panie komisarzy...

- To nie jest komisja dyscyplinarna, sierżancie. Gdyby tak było, zapewnilibyśmy panu pomoc federacyjnego prawnika. - Komisarz obejrzał się na Napiera i Inscha. - Proszę zaczekać za drzwiami, w recepcji. My to jeszcze przedyskutujemy i zawiadomimy pana o naszej decyzji.

171

Ktoś napełnił wnętrze Logana lodowatym betonem.

- Tak jest, panie komisarzu.

Wyszedł z pokoju sztywno, z podniesioną głową. Zamknął drzwi.

Wywałą go, jak nic. Albo co najmniej przeniosą gdzieś poza Aberdeen.

Znajdą jakieś zapomniane zadupie i każą mu tam do końca życia patrolować ulice. Albo gorzej: organizować pogadanki w szkołach.

W końcu rudowłosa inspektor wydziału wewnętrznego z haczykowatym nosem zawołał go do gabinetu. Logan stanął na baczność przed biurkiem komisarza i czekał na uderzenie topora.

- Sierżancie... - Komisarz wziął do ręki gazetę z biurka, złożył ją w pół i wyrzucił do kosza. - Ucieszy się pan zapewne, kiedy powiem, że panu wierzymy.

Skwaszona mina inspektora Napiera nie uszła uwagi Logana. Werdykt chyba nie był jednogłośny.

Komisarz usiadł i zmierzył Logana wzrokiem.

- Inspektor Insch twierdzi, że jest pan dobrym policjantem. Inspektor Steel również. Ich zdaniem nie jest pan typem człowieka, który pobiegłby z taką sprawą do mediów. Szanuję moich oficerów i kiedy mówią mi, że nie jest pan... - Zawiesił głos i posłał Loganowi wyćwiczony uśmiech. - Kiedy utrzymują, że nie udzieliliby pan wywiadu bez konsultacji z nimi, jestem skłonny im wierzyć. Jednakże...

Logan stał sztywno i czekał na decyzję o przeniesieniu.

- No właśnie. Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby taka sprawa przeszła bez echa. Mogę ogłosić, że inspektor Inch cieszy się naszym pełnym zaufaniem, bo to prawda, ale to nie załatwi sprawy. Te artykuły: najpierw pantomima, potem zwolnienie Philipsa na niespełna dzień przed tym, jak znajdujemy u niego martwe dziecko... - Komisarz podniósł rękę, zanim Inch zdążył otworzyć usta. - Osobiście nie uważam, aby inspektor popełnił jakiś błąd. Nie zmienia to jednak faktu, że takie historie szkodzą naszej reputacji. Co druga gazeta w kraju opublikowała mniej lub bardziej przeredagowaną wersję artykułu Millera: „Sun”, „Daily Mail”, „Mirror”, „Independent”, „Guardian”, „Scotsman”... Kurczę, nawet „Times”! Wszyscy ogłosili, że policjanci z Grampian to kretyni. - Poprawił się na fotelu i przyglądał mundur. - Lothian i Borders znów wydzwania do komendanta; twierdzą, że mają ludzi z odpowiednim doświadczeniem w takich sprawach i chętnie nam „pomogą”. - Zmarszczył brwi. - Dlatego musi być widać, że coś robimy. Opinia publiczna żąda głów, ale nie zamierzam im rzucić inspektora Incha na pożarcie. - Odetchnął głęboko. - Pozostaje nam tylko jedno: musimy ugłaskać Colina Millera. Wygląda na to, że pan się z nim jakoś dogaduje, sierżancie. Proszę z nim jeszcze porozmawiać. Przeciągnąć go na naszą stronę.

172

Logan zaryzykował rzut oka na Incha. Twarz inspektora przypominała gradową chmurę. Napier wyglądał, jakby głowa miała mu eksplodować.

•Panie komisarzu?

•Jeżeli nadal będziemy mieli kłopoty z dziennikarzami i fatalną prasę, nie pozostanie mi nic innego, jak zawiesić inspektora Incha w obowiązkach, z zachowaniem pełnego wynagrodzenia, do czasu wyjaśnienia sprawy,

oraz przekazać sprawę morderstw policji Lothian i Borders.

-Ale... panie komisarzu, tak nie można! - Logan spoglądał na przemian to na komisarza, to na inspektora. - Nie mamy lepszego człowieka niż inspektor Insch! To nie była jego wina!

Komisarz pokiwał głową i uśmiechnął się do Inscha.

- Miał pan rację: lojalność. Właśnie, sierżancie: należy w takim razie zrobić wszystko, aby do tego nie dopuścić. Znajdźcie źródło przecieku. Nie interesuje mnie, kto podsyła informacje Millerowi: to się musi skończyć.
- Może pan być spokojny, komisarzu - burknął Insch. - Jeśli go znajdę, nigdy już z nikim nie porozmawia.

Napier zeszywniał.

- Oby tylko nie przekroczył pan przepisów, inspektorze. - Najwyraźniej nie podobało mu się, że Insch próbuje go wyręczyć w znalezieniu kreta. - Żądam dla winnego oficjalnego przesłuchania przed komisją dyscyplinarną i bezwarunkowego zwolnienia ze służby. Bez możliwości powrotu. Bez żadnych sztuczek. Czy to jasne?

Insch pokiwał głową. Oczy żarzyły mu się jak dwa węgielki w zaczerwienionej twarzy.

Komisarz się uśmiechnął.

- Świetnie. Możemy zatrzeć fatalne wrażenie, jeśli tylko uda nam się uzyskać wyrok skazujący. Zatrzymaliśmy Philipa. Wiemy, że jest mordercą. Teraz potrzebujemy tylko świadków i dowodów. Wszystko jest pod kontrolą. - Wstał. - Zobaczycie panowie: za dwa tygodnie będzie po wszystkim. Sytuacja wróci do normy.

Mylił się.

Insch szedł z Loganem do głównego pokoju operacyjnego, klnąc pod nosem jak szewc. Nie był zadowolony. Logan zdawał sobie sprawę, że polityka obłaskawiania Colina Millera nie pasowała do wizji świata inspektora

173

- przez niego inspektor przed całym krajem wyszedł na niekompetentnego durnia. Insch chciał się zemścić, a nie patrzeć, jak jego sierżant włazi dziennikarzowi w tyłek.

- Naprawdę nie rozmawiałem z Millerem.

-Nie?

- Nie. I chyba dlatego to zrobił: najpierw pantomimę, a teraz to. Nie chciałem mu nic powiedzieć bez konsultacji z panem. To mu się nie spodobало.

Insch nie odpowiedział. Wyjął z kieszeni paczkę żelatynowych miśków i zaczął im po kolei obgryzać główki. Nie poczęstował sierżanta.

- Panie inspektorze, czy nie moglibyśmy po prostu wydać oświadczenia? No bo proszę pomyśleć: ciało dziewczynki przeleżało w tej szopie lata. To, że zwolniliśmy go po pobiciu, nic nie zmieniło.

Insch zatrzymał się przed drzwiami.

• To nie tak, sierżancie. Wgryźli mi się w dupsko i tak łatwo nie puszcza.

Słyszał pan, co powiedział komisarz: jeśli to się nie skończy, odbiorą mi sprawę i oddadzą ją Lothian i Borders.

• Nie chciałem tego, panie inspektorze.

Po twarzy Inscha przemknęło coś w rodzaju uśmiechu.

- Wiem. - Poczęstował Logana, który wziął sobie zielonego miśka.

Zelka miała smak srebrników. Insch westchnął. - Proszę się nie martwić, porozmawiam z naszymi żołnierzami. Wytlumaczę im, że nie jest pan szczurem.

Ale Logan i tak czuł się jak szczur.

- Proszę o uwagę! - zwrócił się Insch do siedzących przy biurkach posterunkowych. Ucichli. - Widzieliście dziś w gazetach moje zdjęcie. W środę wieczorem wypuściłem Sprzątacza z aresztu, a następnego dnia w jego kolekcji trupów znaleźliśmy zwłoki dziewczynki. Wychodzi na to, że jestem niekompetentnym błaznem, który w dodatku lubi się przebierać w śmieszne ciuszki, zamiast ścigać bandziorów. Czytaliście również o tym, że sierżant McRae odradzał mi zwolnienie Sprzątacza, ale ja, jak rasowy idiota, nie posłuchałem go.

Rozległy się złowrogie pomruki pod adresem Logana, ale Insch uciszył je, unosząc rękę. Nie powstrzymał jednak spojrzeń spode łba.

-Wiem, że w tej chwili uważacie sierżanta McRae za najgorszego gnoja, ale nie macie racji. To nie sierżant sprzedał historie prasie. Czy to jasne? Jeśli dowiem się, że ktoś z was ma do niego jakieś ale... - Inspektor wykonał gest naśladujący poderżnięcie gardła. - A teraz do roboty. Powiedzcie pozostałym. Śledztwo trwa. Dorwiemy drania.

174

Wpół do jedenastej sekcja zwłok już trwała. Było to paskudne, śmierdzące "widowisko i Logan starał się nie zbliżyć do stołu - ale nigdzie nie było dość daleko. Choć wentylator pracował z pełną mocą, odór był obezwładniający.

Ciało pękło, kiedy ludzie z ekipy kryminologicznej próbowali wydobyć je ze sterty zwierzęcych zwłok. Resztki organów wewnętrznych zdrapywali z

betonowej posadzki.

Wszyscy w prosektorium mieli na sobie stroje ochronne: jednorazowe białe kombinezony, foliowe pokrowce na buty, lateksowe rękawiczki i maski na twarzach - tyle tylko, że tym razem maska Logana nie była natarta maścią rozgrzewającą. Isobel przesuwała się wolno wzdłuż stołu, poszturchując obrzmiałe zwłoki dłonią w podwójnej rękawicy i metodycznie nagrywając szczegółowe sprawozdanie na dyktafon. Kochaś - Brian - dreptał za nią jak niedorozwinięty szczeniak. Kudłaty onanista. Jak zwykle rzucała się w oczy nieobecność Inscha, który wykorzystał wyrzuty sumienia Logana, i znów się nim wyręczył. Nie zabrakło prokuratora i drugiego patologa. Oni też trzymali się tak daleko od zwłok, jak to tylko możliwe bez wychodzenia z prosektorium.

Nie dało się stwierdzić, czy dziecko zostało uduszone jak David Reid: skóra na szyi zupełnie zgniła, a poza tym coś zdążyło obgryźć ciało z mięsa - i to nie tylko białe, wijące się larwy, których było mrowie, lecz szczur, lis albo inny padlinożerca. Zimny pot perlił się na czole Isobel, raz nawet głos uwiązł jej w gardle. Ostrożnie wyjmowała organy z plastikowych torebek, do których je sprzątnięto, i próbowała je kolejno identyfikować.

Logan był święcie przekonany, że nigdy już nie pozbędzie się smrodu z nozdrzy. Już sekcja zwłok małego Reida nim wstrząsnęła, ale to... To było stokroć gorsze.

- Ustalenia wstępne - zaczęła Isobel, kiedy po zakończeniu autopsji szorowała ręce. - Cztery pęknięte żebra. Na czaszce ślad uderzenia tępym narzędziem. Złamane biodro. Złamana noga. Wiek: pięć lat. Włosy blond. W zębach trzonowych dwie plomby. - Więcej mydła. I dalsze szorowanie. Jakby chciała zetrzeć ciało do kości. Logan nigdy jeszcze nie widział, żeby

praca tak ją poruszyła. - Przybliżony czas zgonu: od dwunastu do osiemna-
stu miesięcy temu. Przy tak daleko posuniętych procesach rozkładu trudno
to dokładnie stwierdzić... - Wzdrygnęła się. - Będę musiała zbadać tkanki
w laboratorium. Zrobić testy.

Logan położył jej lekko dłoń na ramieniu.

- Przepraszam - powiedział.

Nie bardzo wiedział, za co przeprasza. Za to, że ich związek się rozpadł? Że
po aresztowaniu Angusa Robertsona nic ich już nie łączyło? Że tam, na

175

dachu wieżowca, wycierpiała to, co wycierpiała? Że nie zjawił się wtedy
szybciej... Że musiała kroić jak indyka rozkładające się zwłoki dziecka?

Uśmiechnęła się smutno, łzy zalśniły jej w kącikach oczu. Przez chwilę
coś między nimi zaiskrzyło. Krótki moment wspólnej czułości.

Brian zburzył nastrój.

- Przepraszam, pani doktor. Telefon na trójce. Przełączyłem z biura.

Chwila przeminęła. Isobel wyszła.

Kiedy Logan jechał przez miasto w stronę farmy i jej makabrycznych
skarbów, Sprzątacza badał psychiatra. Sierżant nie liczył na to, że Bernarda
Duncana Philipsa uda się postawić przed sądem: nie było tajemnicą, że jest
wariatem - fakt, że zeszkrobane z ulic martwe zwierzęta trzymał w trzech
stodołach, poniekąd go zdradzał. I jeszcze zabite dziecko. Smród nie dawał
się zapomnieć.

Logan otworzył okno na tyle, na ile się odważył przy stale padającym
śniegu. Niesione wiatrem płatki wpadały czasem do środka i topiły się w
cieple z dmuchaw. Tę autopsję miał zapamiętać na bardzo, bardzo długo.

Wzdrygnął się i podkreślił ogrzewanie.

Z powodu dużych opadów śniegu miasto powoli zamierało. Samochody ślizgały się albo stały w korku na całej długości South Anderson Drive; niektóre wylądowały na krawężniku, inne warkotały bezsilnie na / środku czteropasmowej ulicy. Na szczęście policyjny vauxhall radził sobie ze śniegiem bez zarzutu.

Przed sobą widział migające żółte światło piaskarki, która na dwóch pasach rozsypywała mieszankę soli z piaskiem. Kierowcy nie podjeżdżali do niej za blisko, żeby piach nie porysował im lakieru.

- Lepiej późno niż wcale.
- Słucham, panie sierżancie?

Logan nie znał posterunkowego, który prowadził auto. Wolałby dostać posterunkową Watson, ale inspektor nie chciał o tym słyszeć. Osobiście wybrał sierżantowi takiego współpracownika, który nie powinien uprzykrzać mu życia z powodu porannego artykułu. Poza tym Jackie znów musiała iść do sądu: jej onanista z damskiej przebieralni nie występował tym razem w charakterze świadka, lecz oskarżonego. Rozprawa nie powinna potrwać długo. Złapano go na gorącym uczynku. Dosłownie. W damskiej szatni, z wykrzywioną twarzą i fiutem w garści jechał na ręcznym aż miło. Wprowadzenie oskarżonego, przyznanie się do winy, okoliczności łagodzące i wyrok: prace społeczne. Zdąży wrócić do domu na herbatkę. Może Jackie chętniej spotka się z Loganem, kiedy będzie miała za sobą udany dzień w sądzie?

176

Przebiecie się przez Drive i dotarcie na farmę zajęło im dwa razy więcej czasu niż zwykle. Widoczność była fatalna - sięgała najwyżej pięćdziesięciu

metrów, dalej wszystko rozpływało się w zadymce.

Tłum trzęsących się z zimna i kichających kamerzystów i dziennikarzy kulił się pod bramą farmy. Pilnowało jej dwóch policjantów, którzy pod żółtymi kamizelkami odblaskowymi mieli tyle ciepłych ubrań, ile się tylko zmieściło. Za bramę nie wpuszczono żadnego reportera. Na szpiczastych hełmach zbierał się śnieg, nadając policjantom nieco świąteczny wygląd, który trochę psuły ich miny: byli przemarznięci, zmęczeni i mieli szczerze dość armii dziennikarzy. Podtykali im mikrofony pod nos, zadawali pytania i nie pozwalali wrócić do ciepłego radiowozu.

Na wąskiej drodze tłoczyły się samochody osobowe i furgonetki. BBC, Sky News, ITN, CNN - nikogo nie brakowało. W świetle telewizyjnych reflektorów śnieg odcinał się oślepiającą bielą od ciemnoszarego nieba. Zatraskane wypowiedzi do kamery skończyły się, gdy w zasięgu wzroku pojawił się samochód Logana. Chwilę później reporterzy rzucili się na niego jak piranie. Znalazłszy się w środku wygłodniałego stada, Logan robił to, co mu poradził Insch: trzymał głowę na kłódkę i starał się nie zwracać uwagi na wpychające się drzwiami i oknami mikrofony i kamery.

- Panie sierżancie, czy to prawda, że przejmuje pan sprawę?
 - Sierżancie McRae! Tutaj proszę! Czy inspektor Insch został zawieszony?
 - Czy Bernard Philips jest mordercą?
 - Czy przed znalezieniem zwłok wiedział pan o tym, że Philips jest psychicznie niezrównoważony?

Pytań było więcej, ale większość tonęła w ogólnej kakofonii. Posterunkowy ostrożnie prowadził samochód przez tłum, zbliżając się do zamkniętej bramy. Rozległ się głos, na który Logan czekał od początku:

- Łazarz, nareszcie! Jaja sobie zaraz odmrożę!

Colin Miller z zaróżowionymi policzkami i czerwonym nosem, w czarnym płaszczu, grubych zimowych butach i futrzanej czapie wyglądał jak Rosjanin.

-Wsiadaj.

Miller wgramolił się na tylne siedzenie, zaraz za nim wsiadł jeszcze jeden okutany po uszy mężczyzna. Logan odwrócił się gwałtownie - i skrzywił z bólu, kiedy poraniony brzuch przypominał mu o spinających go szwach.

- To jest Jeny. Mój fotograf.

Fotoreporter zdjął grubą rękawicę i podał rękę sierżantowi. Logan nie wyciągnął ręki.

177

- Przykro mi, Jeny, ale umowa dotyczy tylko jednego człowieka. Udo stępnimy później oficjalne fotografie policyjne, ale nie możemy sobie pozwolić, żeby w świat poszły jakieś zdjęcia bez autoryzacji. Zostajesz.

Miller uśmiechnął się przymilnie.

- Daj spokój, Jerry to równy gość. Nie będzie robił żadnych krwawych fotek. Prawda, Jerry?

Jerry się zmieszał. Logan nie miał wątpliwości, że właśnie takich zdjęć po nim oczekiwano.

- Nie. Tylko ty.

- Niech to szlag! - Miller ściągnął futrzaną czapkę i strzasnął z niej śnieg pod nogi. - Przykro mi, Jerry. Wracaj do wozu. W termosie pod siedzeniem kierowcy jest kawa. Tylko nie zjedz wszystkich pierniczków.

Fotograf zaklął pod nosem, wysiadł i zaczął się przepychać przez tłum.

- W porządku - zagaił Logan, kiedy ruszyli dalej w śnieżycy. - Wyjaś

nijmy sobie parę zasad. Zachowujemy prawa do publikacji, dostarczamy zdjęcia. Jeżeli chcemy, żebyście dla dobra śledztwa coś pominęli, nie drukujecie tego.

-A ja mam wyłączność na ten materiał. - Uśmiech Millera był wręcz obrzydliwy. - Czyli nie wchodzicie w taki układ z nikim więcej. Logan kiwnął głową.

- Jedno złe słowo o Inschu i osobiście urwę ci łeb.

Miller parsknął śmiechem i podniósł ręce, udając, że się poddaje. -Dobrze, tygrysie. Nie drażnimy panienki z pantomimy. Umowa stoi.

- Posterunkowi mają rozkaz odpowiadać na twoje pytania, dopóki nie będą one niestosowne.

- Czy ta twoja zgrabna posterunkowa też tu będzie?

-Nie.

- Szkoda. Chętnie zadałbym jej niestosowne pytanie - Miller był wyraźnie zawiedziony.

Zaczęli od przebrania się w gumowe kombinezony z maskami przeciwgazowymi, po czym Logan zaczął oprowadzać gościa po farmie. Budynek numer 1: pusty, tylko na posadzce resztki śluzu i zgniłej mazi. Dopiero w szopie numer 2 Miller naprawdę miał okazję zaciągnąć się smrodem. Zrobił się dziwnie milczący, kiedy weszli między rozkładające się, futrzane ciała.

Same rozmiary stosu były oszałamiające. Połowę truchwał przeniesiono już do stojących na zewnątrz kontenerów, ale i tak zostały ich tu setki: bor-

178

suki, psy, koty, króliki, mewy, wrony, gołębie, czasem sarna. Cokolwiek zginęło na ulicach Aberdeen, trafiło tutaj i powoli gniło.

W środku sterty widniało odgradzone policyjną taśmą zagłębienie. Tu znaleziono ciało dziewczynki.

- Rany boskie... - Maską tłumiała głos Millera. - Co za makabra!
- Mnie to mówisz?

Ekipę poszukiwawczą znaleźli w szopie numer 3: policjanci w takich samych jak oni niebieskich kombinezonach rękami przegrzebywali stertę rozkładających się zwierzęcych zwłok. Sztuka po sztuce przenosili je na stół, poddawali oględzinom i wyrzucali do kontenera.

- Czego tu szukają? - zdziwił się Miller. - Dlaczego nie grzebią w tej stercie, gdzie była dziewczynka?
- Philips ponumerował budynki, od jednego do pięciu. Szóstka to dom mieszkalny. Wygląda na to, że zamierzał je po kolei zapęłnić. Wszystkie.

Dwóch posterunkowych wyciągnęło ze stosu skudłonego mieszańca spaniela z labradorem i przeniosło go na stół.

-Tę szopę zapęłnił dopiero w połowie. Jeżeli to on porwał Petera Lumleya, tu właśnie powinniśmy go znaleźć.

Mimo osłaniających twarz Millera okularów ochronnych Logan widział, jak dziennikarz marszczy brwi.

- Skoro szukacie zwłok drugiego dziecka, to czemu w taki sposób? Po co oglądacie te truchła jedno po drugim? Wystarczyłoby przerzucić szuflę cały ten gnój. Byłby spokój.
- Być może szukamy tylko fragmentów ciała. K-awałka Davida Reida na razie nie znaleźliśmy.

Miller spojrział na stos trupów i rozgrzebujących go ludzi.

-Jezu... Szukacie jego fiutka? W tym?! No to albo należy wam się medal, albo leczenie w psychiatryku. - Na stół trafił kolejny królik, który po

krótkich oględzinach wylądował w pojemniku.

Śnieg powoli pochłaniał stojące na dworze kontenery: gruba warstwa puchu pokrywała je od góry, przy ścianach tworzyły się zaspę. Logan patrzył, jak do pojemnika trafia następna szufla ładunku, kiedy nasza go paskudna myśl.

W kaloszach źle się biega, zwłaszcza po głębokim śniegu, ale zdążył dopaść kontenera, zanim ostatnia martwa mewa zsunęła się do wnętrza.

- Proszę poczekać - powiedział, łapiąc mężczyznę za rękaw. Nie, nie mężczyznę: kobietę. Bezkształtne kombinezony były kompletnie bezpłciowe. - Gdzie przełożyliście to, co tam było?

Stali w tumanach śniegu. Kobieta spojrzała na niego jak na wariata.

- Słucham?

179

- To, co było w kontenerze na początku. Miejscy śmieciarze pierwsi zaczęli tam przerzucać ciała zwierząt. Co z nimi zrobiliście? Już są obejrzane?

Na twarzy posterunkowej odmalowało się niechętnie zrozumienie.

- Cholera jasna! - Cisnęła łopatę w śnieg. - Szlag by to trafił! - Trzy głębokie wdechy poprzedziły ciąg dalszy: - Przepraszam, panie sierzancie. Od rana się w tym babrzemy. Po prostu wrzucamy trupy do środka. Nikt nie wpadł na to, żeby przejrzeć te, które były tam wcześniej.

Zgarbiła się i zwiesiła głowę. Logan dobrze wiedział, co czuje.

-Nic się nie stało. Opróżnimy kontener na podłogę w jedyńce i przejrzymy wszystko. Jedna grupa zostaje tutaj i robi to, robiła, druga przejdzie do jedyńki. -Ależ będzie radocha. -Powiem im.

Właściwie dlaczego nie, pomyślał. I tak mnie nienawidzą. Przynajmniej dam im jakiś powód.

Nowina została przyjęta dokładnie tak, jak sobie wyobrażał. Jedyne, co mógł zrobić, żeby choć trochę poprawić ludziom nastrój, to zapropono[^] wać swoją pomoc. Przynajmniej przez jakiś czas.

I tak właśnie spędził popołudnie. Miller elegant przełknął dumę i też złapał za szufłę. Pół spaniel, pół labrador czekał na nich na szczycie stosu. Ostatni wpadł, pierwszy wyszedł. Powoli przekopywali się przez zawartość kontenera.

Logan dałby sobie głowę uciąć, że po raz trzydziesty oglądał tego samego rozpekniętego królika, kiedy rozległ się krzyk.

Ktoś wybiegł z szopy numer 3, przyciskając rękę do piersi. Pośliznął się i wyłożył jak długi. Na chwilę przestał krzyczeć, bo zabrakło mu tchu w piersi.

Wszyscy pobiegli w jego stronę. Logan dotarł na miejsce, kiedy krzyk rozległ się ponownie.

Z grubej gumowej rękawicy skapywała krew. Sączyła się przez malutki, równy otworek pośrodku dłoni. Mężczyzna zerwał z twarzy maskę i okulary i Logan rozpoznał posterunkowego Steve'a. Mimo nawoływań kolegów nie zamierzał się uspokoić, tylko wrzeszczał jak opętany, ściągając zakrwawioną rękawicę. Między kciukiem i palcem wskazującym miał wygryzioną dziurę pulsującą krwią, która po niebieskiej gumie kombinezonu spływała w śnieg.

- Co się stało?!

Steve krzyczał, dopóki ktoś nie chlasnął go otwartą dłonią w policzek. Logan nie miał pewności, ale wydawało mu się, że był to Simon Rennie.

- Steve! - ryknął Rennie, zamachując się po raz drugi. - Co się stało? Steve wytrzeszczył oczy, zerkając to na stodołę, to na swoją zakrwa

wioną dłoń.

180

- Szczur!

Ktoś wyciągnął spod kombinezonu pasek od spodni i mocno zacisnął go na nadgarstku Steve'a.

•Jej, Steve... - Rennie zerknął na ranę w dłoni przyjaciela. - To musiał być naprawdę duży szczur.

•Duży! Kurwa, wielki jak rottweiler! Ależ to boli!

Napakowali śniegu do plastikowej torebki i wcisnęli w nią dłoń Steve'a. Śnieg najpierw wolno poróżwiał, a potem zaczął się czerwienić. Logan założył mu na worek zapasową gumową rękawicę i kazał Renniemu odwieźć rannego do szpitala. Na sygnale i ze światłami.

Miller podszedł do niego, kiedy światła na dachu radiowozu zaczęły migać. Samochód zawrócił niepewnie na trzy na śliskiej drodze, włączył syrenę i zniknął w zadymce.

- No - mruknął Logan i spojrzał na Millera. - Jak ci się podoba pierwszy dzień na służbie?

23

Logan został na farmie tak długo, jak mógł, razem z resztą przeglądając zwierzęce zwłoki. Mimo kombinezonu czuł się brudny. Po zdarzeniu ze szczurem wszyscy byli podminowani; nikt nie chciał skończyć na ostrym dyżurze w oczekiwaniu na zastrzyki przeciw tężcowi i wścieklicznie.

Nie mógł jednak zostać do końca - w komendzie czekało go jeszcze sporo pracy. Popielatego na twarzy Millera wysadził przy bramie prowadzącej na

drogę dojazdową: był skonany i zamierzał jechać prosto do domu, żeby się napić, wejść pod prysznic i szorować tak długo, aż skóra zacznie krwawić.

Tłum dziennikarzy przerzedził się i zostali tylko najtwardsi: siedzieli w samochodach z włączonymi silnikami i ogrzewaniem ustawionym na pełną moc. Na widok wozu Logana porzucili ciepłe schronienia i wylegli na dwór.

Bez komentarza. Tyle usłyszeli.

Nie zastał Inscha w komendzie. Poszedł prosto do pokoju operacyjnego. Wyciągnięcie aktualnych informacji od ludzi przy telefonach nie należało do przyjemności - widać było, że mimo zapewnień inspektora nadal uważają Logana za łajdaka w mundurze. Nikt nie powiedział tego wprost, ale raporty były lakoniczne i boleśnie konkretne.

181

Zespół pierwszy, rozpytujący wśród sąsiadów: „Czy widzieliście państwo tego człowieka?“, przyniósł z obchodu tradycyjną mieszaninę sprzecznych zeznań. Tak, widziano Sprzątacza, jak rozmawiał z tymi chłopcami. Nie, nikt go nie widział. Tak, widzieliśmy go. Ludzie z posterunku w Hazlehead zorganizowali nawet blokadę drogową przy której wypytywali kierowców, czy widzieli coś po drodze do i z miasta. Szanse były niewielkie, ale inicjatywa cenna.

Zespół drugi zajął się życiorysem Bernarda Duncana Philipsa - i najlepiej im się powiodło. Na biurku inspektora leżała gruba szara koperta, w której zebrano wszystkie informacje na temat Sprzątacza. Logan usiadł na skraju blatu i zaczął przeglądać plik kserokopii, faksów i wydruków komputerowych. Zainteresował go opis zgonu matki Philipsa.

Pięć lat wcześniej rozpoznano u niej raka jelit. Chorowała od dawna. Bernard przerwał doktorat i wrócił z St. Andrews do domu, żeby się nią

opiekować. Lekarz domowy próbował namówić ją do skorzystania \ z pomocy szpitalnej, ale nie chciała o tym słyszeć - a Bernard poparł ją i przepędził lekarza z farmy, wymachując kilofem. Wtedy właśnie zwrócono uwagę, że ma chyba problemy z głową.

Dopiero brat matki, który pewnego dnia znalazł ją leżącą bez przytomności w kuchni na podłodze, zmusił ją, żeby wybrała się do szpitala. Przeprowadzono badania, pobrano próbki tkanek... To był rak. Próbowali terapii, ale w lutym nastąpiły przerzuty do kości, a w maju matka Bernarda zmarła. Nie w szpitalu, lecz we własnym łóżku.

Przez następne dwa miesiące Bernard mieszkał z nią pod jednym dachem. Kiedy pracownica opieki społecznej poszła sprawdzić, co u nich słychać, smród zatrzymał ją na progu domu.

Tak oto Bernard Duncan Philips trafił na dwa lata do Cornhill, jedyne w Aberdeen szpitala dla pacjentów wymagających „szczególnej troski”. Dobrze reagował na leki, zwolniono go więc i przekazano pod opiekę środowiska. - Znaczyło to mniej więcej tyle, że potrzebne im było wolne łóżko dla jakiegoś następnego nieszczęśnika. Bernard bez reszty oddał się pracy, którą zlecił mu zakład oczyszczania miasta - czyli zeskrobywaniu rozjechanych zwierząt z ulic.

To dużo wyjaśniało.

Pracę zespołu trzeciego Logan znał z pierwszej ręki i wiedział doskonale, że postępuje powoli. Polecenie przekopania już zapełnionych kontenerów nie ułatwiło im życia, ale przynajmniej mogli mieć pewność, że niczego nie przeoczyli. Tyle że w tym tempie przerycie się przez trzy stodoły trupów zajmie im czas co najmniej do poniedziałku - pod warunkiem że komisarz zgodzi się na nadgodziny.

W prywatnym pokoju operacyjnym Logana nie było nikogo. Czekwały na niego wyniki badań laboratoryjnych wymiocin, które Isobel znalazła w ranie na ciele dziewczynki. DNA nie pasowało do próbki pobranej od Normana Chalmersa. Poza tym laboratorium nie miało nic ciekawego. Jedynym śladem łączącym Chalmersa z dziewczynką pozostawał sklepowy rachunek. Poszłaka, nic więcej. Musieli go zwolnić; dobrze, że miał na tyle oleju w głowie, żeby zmyć się po cichu, zamiast odchodzić w świetle dziennikarskich reflektorów. Jego adwokatowi pewnie nieźle się oberwało.

Na biurku czekało na Logana elegancko wydrukowane podsumowanie zeznań naocznych świadków. Przejrzał je z powątpiewaniem: większość wyglądała na urojenia.

Obok znalazł krajową listę dzieci płci żeńskiej w wieku do lat czterech, leczonych na gruźlicę. Nie była długa: zawierała tylko pięć nazwisk i adresów.

Przysunął sobie telefon i zaczął dzwonić.

Było po szóstej, kiedy Insch zajrzał do pokoju i zapytał, czy znajdzie chwilę dla niego. Miał dziwną minę i Logan nabrał przekonania, że nie przynosi dobrych wiadomości. Zasłonił dłonią mikrofon w słuchawce i powiedział, że zaraz przyjdzie.

Na linii miał posterunkowego z Birmingham, który przebywał właśnie w towarzystwie ostatniej dziewczynki z listy małych gruźliczek. Tak, żyła, miała się dobrze... A czy Logan wie, że jest mulatką z Karaibów? Raczej nie mogła być białą dziewczynką z kostnicy.

- Dziękuję za poświęcony mi czas. - Logan westchnął ciężko, odłożył słuchawkę i skreślił ostatnie nazwisko. - Pech - powiedział, kiedy Insch

przysiadł na biurku i zaczął grzebać w zawalających je papierach. -

Wszystkie dziewczynki w interesującym nas wieku, leczone w przeszłości na gruźlicę, są całe i zdrowe.

- Wie pan, co to oznacza, sierżancie. - Insch wziął do ręki plik zeznań, które Logan wyróżnił jako pochodzące od ludzi mieszkających najbliżej Chalmersa i jego kontenera na śmieci. - Jeżeli była leczona na gruźlicę, to nie u nas. Nie jest...

- ...Brytyjką.

Logan spuścił głowę i oparł ją na dłoniach. Na świecie były dziesiątki miejsc, gdzie regularnie odnotowywano przypadki gruźlicy: większość terytorium dawnego Związku Radzieckiego, Litwa, wszystkie kraje afrykańskie, Daleki Wschód, Ameryka... W wielu z nich nie prowadzono nawet ewidencji. Stóg siana nagle ogromnie się rozrósł.

183

- Chce pan usłyszeć dobrą wiadomość? - spytał Insch bezbarwnym głosem.
- Chętnie.
- Wiemy, kim była dziewczynka z farmy Sprzątacza.
- Tak szybko?

Inspektor skinął głową i odłożył zeznania na miejsce. Zdążył je już dokumentnie przemieszać.

- Przejrzeliśmy listy zaginionych z ostatnich dwóch lat i dopasowaliśmy zdjęcia dentystyczne. To Lorna Henderson. Wiek: cztery i pół roku. Matka zgłosiła zaginięcie córki, kiedy wracały do domu z Banchory. Jechały South Deeside. Pokłóciły się: Lorna cały czas marudziła, że chce dostać kucyka, a matka nie chciała jej go kupić i w końcu powiedziała: „Albo przestaniesz

gadać ciągle o tym kucyku, albo wrócisz do domu piechotą".

Logan pokiwał głową. Każda matka czasem tak robi. Jego własna matka załatwiła w ten sposób jego ojca.

- Sęk w tym, że Lorna naprawdę bardzo, ale to bardzo chciała dostać tego kuczka. - Insch wyjął z kieszeni zgniecione opakowanie owocowych landrynek, ale nie wyjął żadnej, tylko tępo wpatrywał się w paczuszkę.

-No i matka spełniła groźbę: zatrzymała samochód, kazała małej wysiąść, a potem odjechała. Niedaleko, tylko za pierwszy zakręt, pewnie z pięćset metrów. Tam się zatrzymała i czekała. Ale Lorna nie przyszła.

- Jak mogła wyrzucić czteroletnie dziecko z auta?!

Insch zaśmiał się, ale nie był rozweselony.

-I kto to mówi? Gość, który nie ma dzieci. Kiedy tylko małe dranie nauczą się mówić, gęby im się nie zamykają, do czasu, aż włączają się hormony i stają się nastolatkami, bo wtedy nawet siłą słowa z nich nie wyciągniesz. Czterolatka, której na czymś zależy, potrafi marudzić dzień i noc. Żadna matka tego nie wytrzyma. I tu też tak było. Ale ona nigdy więcej nie zobaczyła córki.

Teraz też jej nie zobaczy. Kiedy ciało zostanie wydane z kostnicy, nie będzie mowy o otwarciu trumny. Nikt nie powinien oglądać tego, co znajdzie się w środku.

- Już wie, że znaleźliśmy jej córkę?

Insch chrząknął i schował nietkniętą paczkę cukierków.

- Nie. Zaraz do niej jadę. Powiem jej, że pozwoliła, żeby jej dziecko porwał świr, który pobił je na śmierć i schował pod stertą zwierzęcych truchel.

Witamy w piekle.

- Jedzie ze mną posterunkowa Watson - ciągnął inspektor. - Może pan też się przyłączy?

184

Słowa mogły się wydać nonszalanckie, ale głos, którym je wypowiedziano, nonszalancki nie był. Inspektor miał fatalny humor - co właściwie po ostatnim tygodniu nie powinno dziwić. Miał nadzieję, że przekupi Logana, kusząc go obecnością posterunkowej, marchewki w mundurze.

Logan i tak by z nim pojechał. Nie rwał się do powiedzenia matce, że jej dziecko nie żyje, ale Insch naprawdę potrzebował wsparcia.

- Pod warunkiem że później pójdziemy na drinka.

Rangę rover inspektora zatrzymał się przy krawężniku, górując nad małutkimi renault i fiatami zaparkowanymi po obu stronach ulicy i przystrojonymi nieskalanie białymi czapami śniegu. Podczas jazdy niewiele rozmawiali - tylko funkcjonariuszka z wydziału spraw rodzinnych przez cały czas gruchała i pomrukiwała przyjaźnie do łaciatego, śmierdzącego spaniela, który siedział z tyłu za fotelami.

Okolica była niebrzydka: drzewa, trochę trawy, a z dachu widziałyby się nawet pola uprawne. Segment stał na końcu szeregowej, piętrowej zabudowy, bielonej szorstkim tynkiem z drobnymi kamyczkami; odłamki kwarcu i kamyków lśniły w blasku latarni jak drobiny śniegu.

Śnieżycy się skończyła i z nieba spadały pojedyncze płatki, szybując w nocnym powietrzu. We troje podeszli do drzwi, wydeptując przy okazji ścieżkę w śniegu po kostki. Insch prowadził. Wcisnął guzik i ze środka dobiegła grana na dzwonkach melodyjka. Dwie minuty później drzwi otworzyła niezadowolona kobieta po czterdziestce. Miała mokre włosy, była otulona

puchatym, różowym szlafrokiem. Nie miała makijażu, tylko smuga rozma-
zanego tuszu do rzęs spływała jej z kącików oczu w stronę uszu. Włosy
opadały jej na twarz jak kawałki wilgotnego sznurka. Irytacja zniknęła z jej
twarzy, gdy ujrzała stojącą z tyłu umundurowaną posterunkową Watson.

•Pani Henderson?

•Boże... - Ścisnęła poły szlafroka. Zbladła jak ściana. - Chodzi o Ke-vina,
tak? Jezu... Kevin nie żyje!

•Kevin? - Inspektor się zmieszał. - Jaki K.evin?

•Mój mąż. - Roztrzęsiona kobieta cofnęła się w głąb przedpokoju. -Boże,
Boże...

•Pani Henderson, pani mąż żyje. My...

•Bogu niech będą dzięki! - Z wyraźną ulgą zaprosiła ich do salonu o
różowych ścianach w paski. - Przepraszam za bałagan. Zwykle w nie-
dziele sprzątam, ale dziś miałam podwójną zmianę w szpitalu. -
Rozejrzała się po pokoju. Zabrała z sofy porzucony fartuch pielęgniarki i
położyła go na deskę do prasowania. Na wpół opróżniona butelka
dżinu dyskretnie zniknęła w kredensie. Nad kominkiem wisiała
fotografia stylizowana

185

na obraz olejny: mężczyzna, kobieta i jasnowłosa dziewczynka. Mąż, żona i
zabite dziecko. - Kevin teraz tu nie mieszka, oczywiście... To znaczy chwi-
lowo. - Zawiesiła głos. -Wyprowadził się kiedy nasza córeczka zaginęła.

- No właśnie, pani Henderson... To dlatego tu jesteśmy.

Wskazała im miej sca na wysiedzianej sofie, obitej brązową skórą w ró-
żowo-żółty rzucik.

- Dlatego, że Kevin ze mną nie mieszka? Ale to tylko chwilowe...

Insch wyjął z kieszeni foliową koszulkę. W środku grzechotały dwie różowe spinki do włosów.

-Poznaję je pani?

Wzięła koszulkę do ręki, przyjrzała się z bliska spinkom - i drugi raz pobladła.

- To Lorny! Jej ulubione spineczki! Nie wychodziła bez nich z domu! Skąd je pan ma?

-Znaleźliśmy ją.

- Znaleźliście... O Boże!

- Przykro mi, pani Henderson. Lorna nie żyje.

Kobieta zamknęła się w sobie.

- Herbata - powiedziała. - To nam dobrze zrobi. Gorąca, słodka herbata.

Przemknęła do kuchni, aż załopotały poły szlafroka.

Kiedy po nią przyszli, płakała do zlewu.

Dziesięć minut później byli z powrotem w salonie. Insch z Loganem siedzieli na sofie, posterunkowa Watson i pani Henderson na równie wysiedzianych fotelach od kompletu, a policjantka z wydziału spraw rodzinnych stała za plecami gospodyni i, trzymając jedną rękę na jej ramieniu, próbowała ją pocieszyć. Logan zaparzył herbatę w sporym imbryku i postawił go na stoliku zawalonym „Cosmopolitanami”. Każdy dostał swoją filiżankę. Nikt nie pił.

- To wszystko moja wina. - Odkąd przyjechali, pani Henderson skurczyła się o dwa rozmiary. Szlafrok coraz bardziej upodabniał się do obszernej płaszczki. - Gdybyśmy jej kupili tego cholernego kucyka...

Inspektor przesunął się na sofie.

- Przykro mi, że panią o to proszę, ale musi nam pani opowiedzieć o tamtej nocy, kiedy Lorna zaginęła.
- Nie wierzyłam, że tak się stanie. No wie pan, że nie wróci. Myślałam, że po prostu uciekła i pewnego dnia przejdzie przez te drzwi i wszystko będzie normalnie. - Zapatrzyła się w głąb filiżanki. - Kevin nie mógł tego znieść. Miał do mnie pretensje. Codziennie. „To twoja wina!”, powtarzał. Miał rację. To była moja wina. A potem... Tę kobietę poznał w su-

186

permarkecie, tam gdzie pracuje. - Westchnęła. - Ale wcale jej nie kocha. Po prostu chce mnie ukarać... No przecież ona w ogóle nie ma piersi! Jak można pokochać kobietę bez piersi? On się z nią spotyka tylko po to, żeby mi zrobić przykrość. Ale wróci. Zobaczycie. Któregoś dnia stanie w progu i wszystko znów będzie dobrze.

Umilkła i przygryzła od środka policzek.

- Tamtej nocy, kiedy Lorna zaginęła... Pani Henderson, widziała pani wtedy kogoś na drodze? Może jakiś samochód?

Podniosła głowę znad herbaty. Oczy miała szkliste, wzrok nieobecny.

- Słucham? Nie pamiętam... To było dawno, a ja się na nią naprawdę zezłościłam. Czemu nie kupiliśmy jej tego zakichanego kucyka?!
- Może jakaś ciężarówka?
- Nie. Nie pamiętam. Już wtedy mnie przesłuchiwaliście!
- Mężczyzna z wózkiem na dwóch kołach? Pani Henderson zamarła.
- Do czego pan zmierza?

Insch nie odpowiedział. Patrzyła na niego przez chwilę, a potem zerwała się na równe nogi.

- Chcę ją zobaczyć!

Inspektor ostrożnie odstawił filiżankę na dywan.

•Przykro mi, ale to niemożliwe.

•To moja córka, do cholery! Chcę ją zobaczyć!

-Lorna zmarła bardzo dawno i jest... Nie, nie chce jej pani widzieć. Proszę mi zaufać. Lepiej żeby zapamiętała ją pani taką, jaka była za życia. Pani Henderson spojrzała z góry na jego łysiejącą czaszkę.

- Kiedy ją znaleźliście? Kiedy znaleźliście Lornę?!

-Wczoraj.

•Rany boskie... - Zakryła usta ręką. - To on, prawda? Ten z gazet. Zabił ją i zakopał w tym syfie!

•Proszę się uspokoić, pani Henderson. Został aresztowany. Nie ucieknie.

•Łajdak! - Rzuciła filiżanką o ścianę. Odłamki porcelany bryznęły na wszystkie strony, na tapecie została plama z letniej herbaty z mlekiem. - Zabrał mi dziecko!

W drodze powrotnej też niewiele rozmawiali. Kobieta z wydziału spraw rodzinnych zadzwoniła po sąsiadkę, żeby zajęła się panią Henderson, która rozplakała się na jej widok jak bóbr. Płakały razem, a Insch ze swoimi ludźmi wymknęli się z domu.

Droga, którą wracali do centrum, była cicha jak grób. Spadło dużo śniegu i po ulicach jeździły tylko piaskarki.

ma sylwetka: ojczym Petera Lumleya brnął przez zaspę, wykrzykując imię pasierba. Logan wpatrywał się w żalną, przemarzniętą postać, dopóki nie zniknęła im z oczu. Lumley nadal miał przed sobą te najgorsze odwiedziny policji - te, przy których usłyszy, że znaleziono zwłoki Petera.

Insch zadzwonił do archiwum i poprosił o adres Kevina Hendersona: pan Henderson mieszkał z pozbawioną biustu sprzedawczynią z supermarketu w mniej szacownym rejonie Rosemount.

Drugi raz byli świadkami podobnej, bolesnej sceny - tyle że obeszło się bez użalania się nad sobą. Kevin wściekał się i kłął, a jego dziewczyna siedziała na kanapie i zalewała się łzami. To do niego niepodobne, mówiła. Zwykle jest taki łagodny.

Wrócili na komendę.

-Jezu, co za dzień... - mruknął umęczony Insch. Szurając nogami, szedł do windy. Kciukiem wcisnął przycisk i drzwi, o dziwo, od razu się otworzyły. Wsiadł, zostawiając Logana i Watson na korytarzu. - Mam propozycję. Przebierzcie się i spotkajmy się tu o piątej. Mam dwa formularze do wypełnienia. Potem pójdziemy na drinka.

Watson przeniosła wzrok na Logana i z powrotem na inspektora. Można było pomyśleć, że szuka wymówki, ale zanim zdążyła coś powiedzieć, drzwi windy zamknęły się za Inschem.

Logan odetchnął z ulgą.

- Jeżeli nie chce pani iść, nie ma sprawy - powiedział. - Powiem inspektorowi, że była pani wcześniej umówiona.

- Aż tak bardzo chce się pan mnie pozbyć?

Logan uniósł brwi.

- Nie. Wcale nie. Pomyślałem tylko... Po tym, *co* napisali w gazie

tach. .. No... - Wskazał na siebie. - Zdrajca.

Watson się uśmiechnęła. Z całym szacunkiem, panie sierżancie, ale czasem niezły z pana dupek. Przecież znam Millera. Wiem, co z niego za palant. - Spoważniała.

- Nie wiedziałam, czy pan chce, żebym poszła. Wie pan, nawrzucałam temu gościowi w samochodzie...

Logan aż się rozpromienił.

- Ależ skąd! Nic się nie stało. Poważnie. To znaczy, samo nawrzuwanie nie było w porządku... - Widząc, że uśmiech Watson blednie, brnął dalej, modląc się, żeby znów wszystkiego nie schrzanić. - Ale to nie ma nic do rzeczy. Chcę, żeby pani z nami poszła. Zwłaszcza jeśli inspektor stawia.

- Zawahał się. - To znaczy, nie chodzi o to, że nie chciałbym, gdybym to ja stawiał... Po prostu...

Umilkł, zanim zdążył wybełkotać coś głupiego. Watson spojrzała na niego badawczo.

- W porządku - stwierdziła w końcu. - Pójdę się przebrać. Spotkamy się przy wejściu.

Poszła sobie. Logan został sam na środku korytarza, święcie przekonany, że Jackie Watson się z niego śmieje. Poczzerwieniał jak piwonia.

W recepcji Duży Gary szykował się do kolejnej nocnej zmiany. Uśmiechnął się i pomachał Loganowi.

- Witam, Łazarzu. Cieszę się, że wreszcie cię doceniają.

Logan zmarszczył pytająco brwi, a Gary wyciągnął spod biurka „Eve-ning Express”, popołudniówkę wydawaną przez tych samych ludzi, co „Press and Journal”. Pierwszą stronę zdobiło zdjęcie ludzi w niebieskich gumowych kombinezonach, grzebiących w stercie martwych zwierząt. „Dom grozy:

dzielni policjanci w poszukiwaniu dowodów".

- Niech zgadnę... - westchnął Logan. - Colin Miller w akcji? Gary postukał się palcem w nos.

- Strzał w dziesiątkę, panie bohaterze.

- Wiesz co, Gary? Kiedy tylko przeskoczę cię rangą, wywalę cię stąd na zbity pysk i wrócisz do patrolowania ulic.

Gary mrugnął porozumiewawczo.

- A do tego czasu będziesz mnie musiał znosić. Ciasteczko?

Podsunał paczkę kit katów Loganowi, który mimo woli się uśmiechnął. I wziął jednego herbatnika.

- Co jeszcze pisze Miller?

Gary wypiął pierś, przerzucił stronę w gazecie i zaczął czytać na głos swoim najlepszym szekspirowskim głosem:

- Pitu, pitu, śnieg i lód, pitu, pitu... Kwieciste bzdury o tym, jacy to nasi policjanci są dzielni, że tak rozgrzebują tę „makabryczną kopalnię śmierci”. Dalej pitu, pitu, poszukiwania „dowodów rzeczowych, które pozwolą ocalić nasze dzieci przed potworem”. O, to ci się spodoba: „Policjant bohater, Logan »Łazarz« McRae, razem ze swoimi ludźmi sortował trupy”. Poza tym uratowałeś życie Steve'owi Jacobsowi, kiedy szczur się na niego rzucił. Niech pana Bóg błogosławi, panie sierżancie! - Gary zasalutował z emfazą.

- Posterunkowy Rennie zajął się Steve'em. Ja tylko kazałem go zawieźć do szpitala.

- Ba! Inni by o tym nie pomyśleli! - Gary otarł wyimaginowaną łzę z kącika oka. - Jesteś dla nas wszystkich natchnieniem.

- Nie cierpię cię - odparł z uśmiechem Logan.

Myślenie o posterunkowej Watson jako Jackie przychodziło mu znacznie łatwiej, kiedy ubierała się po cywilnemu. Surową czerń munduru

189

zastąpiły dzinsy i czerwona bluza; kręcone kasztanowe włosy opadały swobodnie na ramiona. Wkładając ocieplaną kurtkę, przeklinała długie, płaczące się loki. Przynajmniej jedno z nich ubierało się zimowo - Logan został w roboczym garniturze. Nigdy nie przebierał się w pracy: skoro do domu miał dwie minuty piechotą, nie widział w tym wielkiego sensu.

Jackie dołączyła do nich w recepcji, wyprosiła u Gary'ego kit kata i zajała go ze smakiem. Logan odczekał, aż przełknie i spytał:

- Jak się dziś spisał więzień?

Gryzła, żuła, przełykała, aż w końcu wykrztusiła, że został -jak zwykle - skazany na czterdzieści dwie godziny prac społecznych na rzecz miejskiego wydziału parków i wpisany do rejestru przestępców seksualnych.

- Jak zwykle?

Watson wzruszyła ramionami.

- Zawsze trafia do parków - odparła, parszając okruchami czekolady.

- Sadzi, piele, naprawia sprzęt. No wiesz. - Przełknęła. - Sędzia się nad nim zlitował, zwłaszcza po zeznaniach w sprawie Cleavera. Jeszcze raz to przerobili, tylko bez Sandy'ego-Węża, który próbowałby udowodnić, że to wytwór pokręconej wyobraźni chłopaka. Muszę przyznać, że i mnie jest go żal. Wyobrażacie sobie taki dom? Ojciec was molestuje, matka chleje, a kiedy trafiacie do szpitala, pieprzony Gerald Cleaver obmacuje was pod kocem.

Logan i Gary w milczeniu wspomnieli zniewieściałego pielęgniarza, który lubił małych chłopców.

-Wiecie co? - odezwał się w końcu Gary. - Gdyby nie Sprzątac, założyłbym się, że to Cleaver mordował dzieciaki.

- Jakim cudem? Siedział już w areszcie, kiedy zniknął Peter Lumley. Gary się zmieszał.
- Mógł mieć współnika.
- Poza tym Cleaver obmacywał, ale nie zabijał - wtrąciła Watson.

- Wolał żywych.

Logan się skrzywił. Nie podobał mu się obraz, który podsuwała wyobraźnia, ale Jackie miała rację. Duży Gary nie składał jednak łatwo broni.

- Może już mu nie staje? I dlatego zaczął zabijać?
- Od sześciu miesięcy mamy go pod kluczem. To nie on.

- Nie mówię, że to on. Ale pasowałby. - Gary zmarszczył brwi. - I po myśleć, że was poczęstowałem, niewdzięczne łobuzy.

190

24

Jeden drink zamienił się w dwa, dwa w trzy, trzy w curry i dalsze cztery kolejki. Zanim Logan pożegnał się z inspektorem Inschem i posterunkową Watson, świat wrócił na właściwe tory. Wprawdzie w obecności inspektora nie mogli z Jackie nic zakombinować, ale miał wrażenie, że gdyby nie Insch, to może by się udało.

Wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia o czwartej trzydziści nad ranem, kiedy wyczołgał się z łóżka, wypił tyle wody, ile sam ważył, i znów poszedł spać.

Przyszedł do pracy punktualnie o siódmej rano, mimo że była sobota - na biurku inspektora leżał gotowy raport z sekcji zwłok Lorny Henderson. Insch był już u siebie. Siedział przy biurku, ciut bardziej zaróżowiony na twarzy niż zazwyczaj.

Lorna Henderson zginęła od uderzeń tępym narzędziem. Zgniecione żebra zmiażdżyły lewe płuco, cios w czaszkę strzaskał lewą skroń, uderzenie w tył głowy dokończyło dzieła. Noga była złamana tuż nad kolaniem. Czteroletnia dziewczynka została pobita na śmierć. Sprzątacze poszedł na całość.

- Myśli pan, że coś z niego wydobędziemy? - spytał Logan, odwracając zdjęcia z autopsji przodem do blatu, żeby nie musieć ich oglądać.
- Wątpię - prychnął inspektor. - Ale to bez znaczenia. I bez tego mamy dość dowodów; nie wyślizgnie się. Nawet Sandy-Wąż mu nie pomoże. Pan Philips spędzi resztę życia w pierdlu w Peterhead, tam, gdzie miejsce wszystkich takich czubów. - Wyjął z kieszeni landrynki i puścił je w obieg po pokoju operacyjnym. Kiedy do niego wróciły, zaczął wyjadać pozostałe. - Zawiezie pan dziś znów Millera na farmę?

Wypowiadając nazwisko dziennikarza, Insch krzywił się, jakby próbował opisać ohydny woń.

- Nie. - Logan uśmiechnął się szeroko. - Jakoś się nie wyrywa. Nie wiem czemu.

Piątkowa wycieczka dała reporterowi w kość: sobotnie wydanie „Press and Journal” wypowiadało się o policjantach w samych superlatywach. Artykuł przypominał ten z „Evening Expressu”, z tą różnicą, że zawierał więcej redakcyjnych wtretów i komentarzy. W każdym razie inspektor został usunięty w cień.

- A co u pana słyhać, sierżancie? - zainteresował się Insch. - Jak tam

sprawa pływaka?

191

- Pomalutku.
- Inspektor Steel mówi, że wziął pan na cel braci McLeodów? Logan pokiwał głową.
- To do nich pasuje. Ostra robota. Własnoręczna. Insch prawie się uśmiechnął.
- Mają to po tatusiu. I co, uda się ich za to przyskrzynieć?

Sierżant powstrzymał się od wzruszenia ramionami. Odpowiedź wcale nie była oczywista.

- Robię, co mogę. Laboratorium bada ubranie denata, może coś znajda. Jeśli nie, może któryś z klientów coś chlapnie...

Logan przypomniał sobie ulewę i wbiegającego do bukmachera Dun-cana Nicholsona. Insch włożył do ust coś zielonego.

- Wątpię. Wyobraża pan sobie durnia, który chciałby im podpaść? Rozszarpaliby go na strzępy.
- Słucham? - Logan otrząsnął się z zamyślenia. - A, oni... Pewnie tak. Simon McLeod powiedział, że to było ostrzeżenie. Komunikat, który wszyscy w mieście zrozumieli.
- Wszyscy w mieście, tak? - Insch zgryzł landrynkę. - Jak to możliwe, że ja o niczym nie wiem?
- Nie mam pojęcia. Ale mam nadzieję, że może Miller mnie oświeci.

O dwunastej Logan zasiadł do lunchu: przed nim stał ogromny talerz zapiekanki z mięsem, uzupełniony frytkami i fasolą. Prince of Wales był staromodnym pubem: wyłożone drewnem ściany, prawdziwe *ale*, niski sufit

pożółkły od dymu wydmuchniętego przez pokolenia palaczy. W tej chwili panował w nim tłok - roilo się od mężczyzn, którzy dali się swoim żonom i dziewczynom wyciągnąć na przymusowe sobotnie zakupy, a teraz zasłużyli na nagrodę: kufel zimnego piwa i paczkę krewetkowych chrupek.

Lokal składał się z małych sal połączonych krótkimi korytarzami. Logan z Millerem siedzieli w salce blisko wejścia, przy oknie, chociaż widok nie był oszałamiający: mieli przed sobą drugą stronę ulicy - wysokie granitowe domy, szare, ponure, mokre od marznącej mżawki.

-I jak? - zagaił Miller, nadziewając na widelec strąk fasolki. - Łajdak zaczął zeznawać?

Logan przeżuł i przełknął chrupiący kawał ciasta z mięsem. Żałował, że nie może splukać zapiekanki piwem i przy okazji pozbyć się resztek kaca, ale w oczach komendanta picie na służbie było jak bzykanie owcy, musiał więc zadowolić się lemoniadą.

- Śledztwo trwa - wykrztusił niewyraźnie.
- Trzeba mu przybić dupsko do ściany. Świr pieprzony.

192

Miller nie był na służbie i mógł pić, ale zamiast dark island z kufla popijał z kieliszka schłodzone semillon chardonnay, pasujące do pasztecików z łososiem. Logan z uśmiechem patrzył, jak sączy wino. Miller był dziwakiem, ale prawdę mówiąc, sierżant zaczynał go lubić. I nie przeszkadzał mu fakt, że Inch omal nie przyplacił ich znajomości utratą posady. Eleganckie garnitury, wino, croissanty i masywna złota biżuteria reportera świetnie się uzupełniały.

Odczekał, aż Miller weźmie do ust spory kęs łososia i zapytał:

- George Stephenson?

- Mfff... - Na gustowną koszulę barwy kości słoniowej posypały się okruszki francuskiego ciasta. - Co George Stephenson?

- Mówiłeś, że masz dalsze informacje. Coś, o czym nie wiem. Uśmiech Millera sprawił, że posypało się jeszcze więcej okruchów.

- Wiem na przykład, gdzie ostatni raz widziano go żywego.

- W TurfnTrack? - domyślił się Logan.

- Bingo. W Turfn'Track.

Tego się spodziewał. Trzeba to tylko udowodnić.

- Jak powiedział mi jeden z braci McLeodów: wszyscy mieli się do wiedzy, że „nie wolno tak pogrywać”. To miało być ostrzeżenie. Powiesz mi coś o tym?

Miller bawił się kieliszkiem. Patrzył, jak światło przesącza się przez wino i pada na blat stołu. Złota plamka tańczyła po słojach drewna.

- Wiesz o tym, że wisiał miejscowym bukmacherom grubszą kasę?

- Wiem, mówiłeś. Ile?

- Dwieście pięćdziesiąt tysięcy sześćset czterdzieści dwa funty.

Tym razem Logan był pod wrażeniem. To naprawdę kupa forsy.

- To dlaczego go zabili? Trup nie spłaci długu. A poza tym to był człowiek Malka Majchera. Malkie nie lubi takich numerów.

- Fakt, to ryzykowne. Jeśli ktoś stuknie żołnierza Malka bez jego zgody, Majcher rozjedzie go jak walec.

Logan zmartwiał. Tego tylko w Aberdeen brakowało, żeby wybuchła w nim wojna gangów. Ależ by była zabawa...

- Więc dlaczego go zabili? Miller westchnął.

Odłożył nóż.

- Zabili go, żeby było wiadomo, że tak się nie robi.
- Co to ma znaczyć, do cholery? - To znaczy...

Miller rozejrzał się po salce. Jeden korytarz prowadził do lady, przy której odbierali lunch, drugi, w tej chwili niewidoczny, zaczynał się w przeciwległym rogu pomieszczenia i łączył z barem. Goście rozmawiali,

193

jedli, pili, cieszyli się, że w tak paskudną pogodę nie muszą błąkać się po ulicach. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Wiesz, dla kogo Geordie pracował. Takich ludzi nie wolno drażnić. Raz może ci się uda, ale dwa razy? Będzie po tobie. Kapujesz?
- Już to przerabialiśmy.
- To fakt.

Dziennikarz coraz bardziej się niepokoił.

- Wiesz, jak to się stało, że wylądowałem w słonecznym Aberdeen? - Widelcem skinął na okno. Pogoda była ohydna. - Dlaczego odszedłem z „Sun” i zaczepiłem się tutaj, w tej dziurze? - Zniżył głos, żeby nikt nie słyszał, jak nazywa Aberdeen „dziurą”. - Przez narkotyki. I dziwki.

Logan wytrzeszczył oczy.

Miller zmarszczył brwi.

- Nie chodziło o mnie, durniu. Pisałem o koce, którą przerzuca się do Glasgow z Edynburga. Do Edynburga szmuglują ją prostytutki, wiesz: foliowy woreczek w dupie i gotowe. Kiedy mają ciotę, pies niczego nie wyniucha. A jeśli nawet, to wszystkim jest głupio i nie wiedzą, jak się zachować. - Upił łyk wina. - Zdziwiłbyś się, ile koki wchodzi takiej litewskiej kurewce do pochwy. Cała góra!
- Co to ma wspólnego z Geordiem?

- Zaraz do tego dojdę. Harowałem jak Clark Kent: grzebałem w bagnie, robiłem świetną robotę, dostawałem nominacje do nagród takich i owakich. Dziennikarz Śledczy Roku. Propozycje książek. Działo się... No i w końcu dowiedziałem się, kto za tym wszystkim stoi, nie? Znałem nazwisko. Wiedziałem, kto odpowiada za przysyłanie napakowanych prochami panienek do kraju.
- Niech zgadnę: Malcolm McLennan.
- Dwóch wielkich jak byki skurwieli dorwało mnie na Sauchie-hall Street. W biały dzień! Wpakowali mnie do jakiegoś czarnego wozu i grzecznie poprosili, żebym dał sobie spokój i nie rozgrzebywał dalej tej historii. Chyba że chcę stracić palce. Albo nogi.
- I co? Dałeś sobie spokój?
 - Kurwa mać! Jeszcze się pytasz?! - Miller jednym łykiem opróżnił kieliszek do połowy. Wzdrygnął się. - Bałem się, że jakiś kutas oberźnie mi paluchy tasakiem! A Maik Majcher szepnął słówko komu trzeba i wylali mnie z roboty. Żadna gazeta w centrum kraju mnie nie chciała. - Westchnął ciężko. - No i wylądowałem tutaj. Nie zrozum mnie źle: to fajne miejsce. Na robotę nie narzekam, często trafiam na czołówkę, mam niezłą brykę, mieszkanie, poznałem fajną pannę... Pieniądze mniejsze niż kiedyś, ale nie narzekam. No i przede wszystkim nadal żyję.

194

Logan zmierzył wzrokiem siedzącego przed nim człowieka: garnitur na miarę, złote błyskotki, jedwabny krawat - a była to zwykła deszczowa sobota w Aberdeen.

- To dlatego gazety nie zająknęły się ani słowem o znalezieniu Geor-diego w porcie? Boisz się coś napisać, żeby Majcher się nie dowiedział?

- Jeśli jeszcze raz coś o nim napiszę, pożegnam się z dziesięcioma małymi świnkami. - Miller poruszył palcami przed twarzą Logana. Błysnęły sygnety. - Dlatego będę milczał jak grób.

-Ale ze mną rozmawiasz. Miller wzruszył ramionami.

- To, że jestem dziennikarzem, nie oznacza, że jestem pozbawionym zasad, amoralnym pasożytem. Albo adwokatem. Mam sumienie. Mówię ci, co wiem, żebyś mógł złapać mordercę, ale nie wychylam się, żeby nie stracić palców. W sądzie będziesz zdany na siebie: ja wyjeżdżam do Dordogne. Dwa tygodnie francuskiej kuchni i wina. Żadnego zeznawania.

- Wiesz, kto to zrobił, prawda?

Reporter dopił wino i uśmiechnął się krzywo.

- Nie. Ale jeśli się dowiem, tobie pierwszemu powiem. Tyle że już nie szukam. Mam bezpieczniejszą robótkę.

- To znaczy?

Miller tylko uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Niedługo przeczytasz. Na razie muszę lecieć. - Wstał i zarzucił na ramiona gruby czarny płaszcz. - Mam spotkanie z facetem z „Telegraphu”: chcą zrobić czterostronicowy dodatek do niedzielnego wydania: „W poszukiwaniu umarłych: polowanie na aberdeenńskiego mordercę dzieci”. Piękna rzecz.

Na początku w Danestone rozciągały się tereny rolnicze -jak prawie wszędzie w okolicach Aberdeen, ale Danestone wyróżniało się tym, że najdłużej opierało się zakusom przedsiębiorców budowlanych. Z tego też powodu zanim buldożery rozjeździły tamtejsze zielone pola, nastąpiła era budowania szybko i blisko siebie. Nie pojawiły się tu tradycyjne ściany z

szarego granitu i stalowoszare dachy z łupku. Ich miejsce zajęły domy schlapane białawym tynkiem, kryte esowatą dachówką i stojące przy krętych ślepych uliczkach. Jak na co drugim anonimowym przedmieściu.

W przeciwieństwie do centrum Aberdeen, gdzie wśród wysokich granitowych kamienic słońce zachodziło całą godzinę wcześniej, osiedle zbudowane na południowym stoku wzgórza nad Donem cieszyło się mnóstwem słonecznego światła. Wadą było sąsiedztwo kurzej ферmy, papierni

195

i oczyszczalni ścieków - ale przecież nie można mieć wszystkiego. Dopóki nie powiał zachodni wiatr, wszystko było w porządku.

Tego dnia wiatr nie wiał z zachodu, lecz z wyciem dał z przeciwnej strony, wprost znad Morza Północnego, zacinając lodowatym deszczem.

Logan zadrzał i zamknął okno w samochodzie. Zaparkował niedaleko piętrowego segmentu w szeregowcu, z ogródkiem, który w tej ulewie sprawiał wrażenie na wpół martwego. Siedzieli tak od godziny - do towarzystwa miał łysego policjanta z dochodzeniówki, ubranego w zimową kurtkę. Obiekt się nie pojawił.

- Gdzie on jest? - Posterunkowy wtulił się głębiej w kurtkę. Odkąd wyjechali z komendy, nieustannie narzekał na psią pogodę, na pracę w soboty, na deszcz, na zimno, na głód, na pełny pęcherz.

Logan powstrzymał westchnienie. Jeśli Nicholson wkrótce się nie pokaże, jutro gazety doniosą o następnym morderstwie: „Policjant mazgaj uduszony własnymi genitaliami!” Zastanawiał się właśnie, czy za zabicie marudy dostanie tylko order, czy od razu tytuł szlachecki, kiedy obok vauxhalla przejechało znajome volvo - zielone, poobijane, nadgryzione przez rdzę. Kierowca zaparkował z takim entuzjazmem, że wepchnął się na chodnik, po

czym odwrócił się i sięgnął po coś na tylne siedzenie.

- Idziemy.

Logan otworzył drzwi wozu i wybiegł na deszcz. Kierowca mruknął coś pod nosem, ale ruszył za nim. Dobiegli do volvo w chwili, gdy Nicholson wysiadał, trzymając w rękach foliowe torby. Na widok sierżanta zbladł.

•Dzień dobry, panie Nicholson. - Logan uśmiechnął się bohatersko, chociaż strużka zimnej wody ściekła mu właśnie za kołnierz. - Możemy zobaczyć, co pan niesie w tych siatkach?

•W siatkach? - Woda lśniła na wygolonej głowie Nicholsona, ściekając z niej jak pot. Schował ręce za plecy. - W jakich siatkach?

Nieszczęśliwy posterunkowy podszedł bliżej i burknął spod obszytego futrem kaptura:

•Już ja ci pokażę, w jakich siatkach!

•Aaa, w tych? - Torby znów znalazły się na widoku. - Zakupy. Z Te-sco. Kupiłem sobie coś na obiad. A teraz przepraszam panów...

Logan ani drgnął.

- To reklamówki z Asdy, nie z Tesco, panie Nicholson.

Nicholson spojrział najpierw na niego, potem na ponurego policjanta.

- No bo... ja... no... To recykling. Używam ich po kilka razy. Wiecie panowie, trzeba dbać o środowisko.

Posterunkowy zrobił następny krok do przodu.

- Ja ci dam środowisko, łajzo...

196

- Wystarczy - przerwał mu Logan. - Jestem pewien, że pan Nicholson tak samo jak my nie ma ochoty stać dalej na deszczu. Pójdziemy do pana, panie Nicholson? Czy pojedziemy na posterunek? Tam też jest

ciepło

i sucho. Moglibyśmy pana podwieźć.

Dwie minuty później siedzieli w małej, pomalowanej na zielono kuchni, słuchając perkotania czajnika. Mieszkanie prezentowało się sympatycznie, choć do największych nie należało. Wzorzysta tapeta na ścianach, bordiury, fryzy, drogie oliwkowe dywany, duże, masowo produkowane reprodukcje w ramach. Ani śladu książek.

- Piękne mieszkanko - stwierdził Logan, spoglądając na Nicholsona. Ogolona głowa, tatuaże, kolczyków w uszach tyle, że łapał go chyba każdy

wykrywacz metalu od Aberdeen po Dundee. - Sam pan je urządzał?

Nicholson mruknął coś o żonie, która uwielbia remonty. Wszystko było dobrane pod kolor: czajnik, toster, mikser, kafelki, kuchenka. Zielone. Podobnie jak wykładzina na podłodze. Jakby człowiek siedział w środku wielkiej żaby.

Siatki z Asdy stały na stole.

- Może zajrzemy do środka, panie Nicholson?

Logan otworzył jedną z nich - i zdziwił się na widok paczki boczku i puszki z fasolą. W drugiej znalazł chipsy i herbatniki w czekoladzie. Zmarszczył brwi i wysypał zawartość toreb na stół. Herbatniki, chipsy, fasola, boczek... A na samym dnie leżały dwie pękate szare koperty.

-A to co?

- Nie mam pojęcia! Widzę je pierwszy raz w życiu!

Teraz to już nie deszcz spływał po twarzy gospodarza: Nicholson naprawdę się pocił.

Logan naciągnął lateksowe rękawiczki i wziął do ręki jedną z kopert.

Śmierdziała dymem papierosowym.

- Chce mi pan coś powiedzieć, zanim ją otworzę?
- Ja je tylko przenoszę. Nie wiem, co jest w środku... Nie są moje!

Logan wysypał na blat zawartość koperty. Fotografie. Kobiety wieszające pranie, kobiety idące spać... Ale większość zdjęć przedstawiała dzieci. W szkole. W ogródku. Jedno, przestraszone, siedziało na tylnym siedzeniu samochodu. Logan mógł się spodziewać wielu rzeczy, ale nie czegoś takiego. Wszystkie zdjęcia były z tyłu opatrzone nazwiskami. Nie było adresów. Tylko nazwiska.

- Co to ma być, do cholery?!
- Przecież mówiłem: nie wiedziałem, co jest w środku! - odparł Nicholson piskliwym, przerażonym głosem. - Tylko je przenoszę.

Posterunkowy spojrzał na niego spode łba, oparł mu dłonie na ramionach i z impetem posadził go z powrotem na krześle.

- Ty zboku pieprzony! - Wziął do ręki zdjęcie chłopczyka w piaskownicy, bawiącego się pluszowym królikiem. - Tak go znalazłeś? Gadaj! Zrobiłeś zdjęcie małemu Reidowi, a potem pomyślałeś, że chciałbyś go mieć? Ty gnoju!
- Wcale nie! To nie tak!

-Duncanie Nicholson, aresztuję pana pod zarzutem morderstwa. - Logan wstał. Kiedy spojrzał na rozrzucone na stole zdjęcia dzieci, ogarnęły go mdłości. - Panie posterunkowy, proszę poinformować aresztanta o przysługujących mu prawach.

W ciasnym wnętrzu nie było właściwie miejsca dla czterech techników z ekipy kryminologicznej, kamerzysty, fotografa, Logana, posterunkowego i

dwóch umundurowanych posterunkowych, ale jakoś się jednak wcisnęli. Nikt nie chciał stać na deszczu.

Zawartość kopert została ponumerowana i popakowana w osobne torebki; w drugiej nie było zdjęć, tylko pieniądze i drobna biżuteria.

Na piętrze, naprzeciwko łazienki znajdował się schowek: prawie metr długości, metr dwadzieścia szerokości - ledwie mieścił się w nim komputer, droga kolorowa drukarka i stołek barowy. Drzwi zamykały się tylko od środka.

Na ścianach wisiały półki, a na nich stały w rzędach płyty CD-ROM, ponumerowane i oznaczone datami. Spod blatu, na którym stał komputer, wyciągnęli pudełka wydruków świetnej jakości, na błyszczącym papierze, przedstawiających kobiety i dzieci - głównie dzieci. W sypialni znaleźli najnowocześniejszy aparat cyfrowy.

Z dołu dobiegło łomotanie do drzwi. Wszyscy zamarli.

Drzwi skrzypnęły i się uchyliły.

- Dunky? Mógłbyś mi pomóc z... Kim pan jest, do cholery?

Logan wyjrzał z góry do przedpokoju: kobieta w zaawansowanej ciąży, w czarnym skórzanym płaszczu i z naręczem siatek wpatrywała się z niedowierzaniem w tłum policjantów.

- Gdzie Duncan? Coście zrobili mojemu mężowi, dranie?!

25

Wiadomość dotarła do Logana przez policyjne radio, o trzeciej, kiedy właśnie wracał do komendy: w procesie Geralda Cleavera, który od czte-

rech tygodni znajdował się w centrum zainteresowania mediów, zapiull wreszcie wyrok.

-Niewinny?! Jakim cudem uznali, że jest niewinny? -zdziwił się Lo-gan, gdy kierowca wprowadził ich wóz na parking.

- To przez Węża.

Sandy Moir-Farquharson znowu w akcji.

Wysiedli i prawie pobiegli do sali odpraw. W środku był tłok; większość obecnych przemokła chyba do szpiku kości.

- Uwaga! - Przemawiał komendant we własnej osobie, jak zwykle elegancki, w świeżo odprasowanym galowym mundurze. - Będzie tłum, i to wkurzony.

Mało powiedziane. Protestująca dzicz stała się ostatnio stałą ozdobą gmachu sądu. Wszyscy chcieli zobaczyć, jak Gerald Cleaver dostaje dożywocie w Peterhead. Wypuszczenie go na wolność podzielała na nich jak podpalenie lontu przy lasce dynamitu i wrzucenie im jej w spodnie.

Do tej pory policja utrzymywała w okolicy sądu minimalne siły, które wystarczały, aby kontrolować sytuację - ale teraz sytuacja miała się radykalnie zmienić i komendant nie zamierzał ryzykować.

- Oczy całego świata są zwrócone na Aberdeen - ciągnął, przybierając dumną pozę. - Z każdym mijającym dniem ruch antypedofilski rośnie w siłę. I słusznie. Nie możemy jednak pozwolić, aby nieliczna grupka nie doinformowanych ludzi uczyniła z postulatu ochrony dzieci wymówkę dla stosowania przemocy. Musimy to załatwić spokojnie, bez tarcz i hełmów. Zwykle działanie prewencyjne. Czy to jasne?

Kilka osób pokiwało głowami.

- Będziecie reprezentować to, co w tym mieście najlepsze. Niech

wszyscy wiedzą, że Aberdeen traktuje prawo z należyтым szacunkiem.

Komendant zawiesił głos, jakby spodziewał się oklasków, po czym oddał głos inspektor Steel, która -jako odpowiedzialna za sprawę Geralda Cleavera - zaczęła przydzielać zadania.

Logan nie należał do policji mundurowej, toteż jego nazwiska - podobnie jak innych ludzi z wydziału kryminalnego - nie było na liście, ale powlókł się bez entuzjazmu za ostatnim zespołem. Zatrzymał się przy wejściu do komendy i spojrzał na wściekły tłum, zgromadzony w zacinającym deszczu przed gmachem sądu.

Ludzi było więcej, niż się spodziewał - co najmniej z pięć setek. Wypełniali całą przestrzeń przed budynkiem, tłum stał na schodach, przelewał się nawet na teren parkingu „Tylko dla pracowników i gości sądu”. Ekipy telewizyjne stanowiły wysepki spokoju w morzu twarzy i transparentów.

„Precz z Cleaverem bandytą!”

199

„Czapa dla Cleavera!”

„Zboczeniec!”

„Życie zażycie!”

„Śmierć pedofilskiemu ścierwu!”

Skrzywił się na widok ostatniego z tych haseł. Nie ma nic gorszego niż pałający słusznym gniewem głupcy, którzy mają tłuszczę po swojej stronie. Kiedy poprzednio emocje sięgnęły zenitu, wybito szyby w trzech gabinetach pediatrycznych. Tym razem zapowiadało się polowanie na fe-tyszystów stóp.

Sprawy nie wyglądały dobrze.

Śpiewali i wykrzykiwali obelżywe hasła pod adresem sądu: mężczyźni i kobiety, rodzice i dziadkowie, zebrani w kupie, żądni krwi. Brakowało tylko

wideł i pochodni.

Nagle tłum ucichł.

Przeszkłone drzwi otworzyły się i przed budynek wyszedł Sandy Moir--Farquharson. Sam, bez Cleavera. Policjanci nie zamierzali oddać Cleave-ra tłumowi, nawet jeśli w duchu uważali, że jest winny.

Sandy-Waż uśmiechnął się do zgromadzonych jak do starych, dobrych przyjaciół. To była jego wielka chwila. Zjechały się telewizje z całego świata. Dziś naprawdę zabłyśnie.

Wokół niego wyrósł las mikrofonów.

Logan wyszedł na deszcz. Niezdrowa ciekawość popychała go coraz dalej, aż znalazł się dość blisko, by słyszeć słowa adwokata.

-Panie i panowie - zaczął Moir-Farquharson, wyjmując z kieszeni marynarki złożoną kartkę papieru. - Mój klient nie może w tej chwili spotkać się z państwem, ale poprosił mnie o odczytanie następującego oświadczenia. - Odchrząknął i wypiął pierś. - „Chcę podziękować wszystkim tym, których życzliwe słowa dodawały mi otuchy podczas procesu. Zawsze twierdziłem, że jestem niewinny i dziś dobrzy obywatele Aberdeen oczyścili mnie z zarzutów”.

W tym momencie ciszę zaczęły mącić gniewne pomruki.

- Rany boskie... - mruknął policjant stojący obok Logana. - Nie mogli mu przetłumaczyć, żeby trzymał język za zębami?
- „Teraz... - Sandy musiał podnieść głos. - Teraz, kiedy odzyskałem dobre imię, zamierzam...”

Dalej nie doszedł.

Z tłumy wyskoczył młody, barczysty, niechlujnie ubrany mężczyzna, przepchnął się przez krąg dziennikarzy i wyrzwał adwokata pięścią. Prosto

w nos. Sandy zatoczył się, potknął i przewrócił. Tłum ryknął z aprobatą.

200

Jak spod ziemi wyrosła grupa policjantów w mundurach. Złapali i obezwładnili napastnika, zanim zdążył kopnąć leżącego prawnika, a potem pomogli wstać krwawiącemu z nosa Moir-Farquharsonowi i odeskortowali go z powrotem do sądu, prowadząc przed nim skutego napastnika.

Przez następne pół godziny nic się nie działo, tylko marznący deszcz padał bez przerwy. Większość gapiów zniechęciła się i rozproszyła po barach lub wróciła do domów i na miejscu została tylko garstka protestujących. Dopiero wtedy nieoznakowany mikrobus z zaciemnionymi szybami wyjechał z sądu i skierował się w stronę centrum.

Gerald Cleaver wyszedł na wolność.

Logan stanął w długiej kolejce ociekających wodą i pociągających nosami policjantów obojga płci. Personel stołówki wydzielał miski parującego szkockiego rosółu. Komendant stał obok tacy ze sztuccami, ścisnął dłonie funkcjonariuszy i gratulował im doskonale wykonanego zadania.

Logan z równą wspaniałomyślnością przyjął zupę i podał rękę komendantowi, po czym, kłapiąc przemoczonymi butami, przeszedł do stołu przy zaporowanym oknie. Rosół był gorący, smaczny i znacznie bardziej użyteczny niż uścisk dłoni. No i darmowy.

Zachwycony inspektor Insch usadowił się po drugiej stronie stołu, między dwoma przemoczonymi posterunkowymi. Promieniał.

- Prosto w nos! Pac! W nocha! - Uśmiechnął się szeroko i zanurzył łyżkę w zupie. - Bach! - Odłożył łyżkę. Widzieliście to? Wąż stoi sobie jakby nigdy nic, opowiada te swoje bajki, a tu ktoś wyskakuje i ładuje mu

fangę w nos. Bum!

Uderzył pięścią w otwartą dłoń, aż siedzący obok posterunkowy podskoczył, nie trafił łyżką do ust i oblał sobie krawat.

- Przepraszam, synu. - Insch podał mu serwetkę. - Prosto w ten zasrany nochal! - Po prostu promieniał. - To będzie wieczorem w wiadomościach. Nagram sobie i zawsze, kiedy będę chciał się pośmiać... - Udał, że celuje pilotem w telewizor i wciska guzik. - Bum! Prosto w nos. - Westchnął z satysfakcją. - W takie dni rozumiem, po co wstąpiłem do policji.
- Jak zareagowała inspektor Steel? - zainteresował się Logan.
- Słucham? A, ona... - Insch spoważniał. - Fanga jej się podobała, ale wkurzyła się, że sąd zwolnił tego ohydneho zboka. - Pokręcił głową. - Wieki trwało, zanim udało jej się namówić ofiary, żeby zeznawały; ci biedacy musieli tam stanąć, przed wszystkimi, i opowiadać, co ten zboczeniec z nimi wyprawiał. Wąż ich upokorzył, Cleaver wyszedł i całe to cierpienie poszło na marne.

Przy stole zapadła cisza. Wszyscy skupili się najedzeniu.

201

- Chce go pan zobaczyć? - spytał Insch, kiedy Logan skończył zupę.
- Kogo ? Cleavera?

-Nie, naszego bohatera! - Inspektor podniósł ręce, udając, że ma je skute kajdankami. - Z tym, który szybuje jak motyl i żądli jak pięścią w nos.

Logan się uśmiechnął.

- Czemu nie?

Przy celach kłębił się tłumek podekscytowanych, rozgadanych poli-

cjantów. Insch warknął na nich i kazał się im wynosić. Nie wiedzieli, że to nieprofesjonalne? Czy naprawdę ludzie mają myśleć, że to w porządku tak napaść na kogoś? Zawstydzeni funkcjonariusze ulotnili się i przed pomalowanymi na niebiesko drzwiami zostali tylko Logan, inspektor i sierżant pełniący dyżur w areszcie. Sierżant wpisywał właśnie nazwisko na tabliczce przy drzwiach celi. Loganowi wydało się dziwnie znajome, ale go nie rozpoznał.

- Możemy złożyć wizytę waszemu podopiecznemu? - spytał Insch, kiedy sierżant skończył pisać.
- Słucham? Pewnie, panie inspektorze, proszę bardzo. To pan prowadzi śledztwo?
- Mam taką nadzieję.

Cela była mała, ale wcale nie przytulna: brązowe linoleum, kremowe ściany, drewniana ławka pod ścianą. Jedyne naturalne światło wpadało przez dwa małe okienka z matowymi, kuloodpornymi szybami, wstawione u góry w zewnętrzną ścianę. Śmierdziało spoconą pachą.

Mieszkaniec celi leżał na ławce, skulony w pozycji płodowej, i cicho pojękiwał.

- Dziękuję, sierżancie - powiedział Insch. - Damy sobie radę.
- W porządku. - Strażnik wycofał się z celi i mrugnął porozumiewawczo do Logana. - Gdyby nasz Muhammad Ali sprawiał jakieś problemy, proszę mi dać znać.

Drzwi zamknęły się z głuchym, metalicznym łoskotem. Insch przysiadł na ławce obok skulonej postaci.

- Panie Strichen? A może po prostu: Martin? Postać drgnęła.

- Martinie, czy wiesz, dlaczego się tu znalazłeś?

Głos inspektora był cichy i przyjazny. Logan pierwszy raz słyszał, żeby Insch w ten sposób zwracał się do podejrzanego.

Martin Strichen dźwignął się powoli, usiadł i zwiesił nogi. Na podłodze odbiły się wilgotne ślady skarpet. Zabrano mu sznurówki, pasek i inne potencjalnie niebezpieczne przedmioty. Był potężnie zbudowany - nie gruby,

202

ale naprawdę ogromny: ręce, nogi, dłonie, szczęki... Spojrzenie Logana spoczęło na dziobatej twarzy - i już wiedział, skąd zna aresztanta. Martin Strichen to onanista z damskiej przebieralni, którego posterunkowa Watson odprowadzała na przesłuchania do sądu i którego osobiście odwiózł raz do Craiginches. Zeznawał w sprawie Geralda Cleavera. Nic dziwnego, że wyrznął Sandy'ego w nos.

- Puścili go.

Głos był ledwie słyszalny, niewiele głośniejszy od szeptu.

- Wiem, Martinie. Wiem. Nie powinni go zwolnić, ale tak się stało.
- Puścili go. Przez niego. Insch pokiwał głową.
- Czy to dlatego uderzyłeś pana Moir-Farquharsona? Niewyraźna, stłumiona odpowiedź.

•Posłuchaj, Martinie. Spiszemy teraz małe oświadczenie, a potem poproszę cię, żebyś je podpisał. Dobrze?

- Puścili go.

Insch łagodnie wrócił do wszystkich wydarzeń tego popołudnia, szczególnie rozkoszując się momentem zadania ciosu i każąc Loganowi spisywać zeznania chłopaka w nienaturalnej policyjnej nowomowie. Zeznania równały

się przyznaniu do winy, ale Insch bardzo się starał zrzucić całą winę na Sandy'ego-Węża. Zgodnie z faktami, zresztą. Martin podpisał zeznanie i został zwolniony z aresztu.

- Dokąd pójdziesz? - spytał Logan, kiedy szli korytarzem.

- Mieszkam z matką. Sąd mi kazał, dopóki nie odpracuję kary.

Zgarbił się jeszcze bardziej. Inspektor poklepał go po plecach.

- Ciągłe pada. Jeśli chcesz, możemy cię odwieźć do domu radiowo-
zem.

Chłopak się wzdrygnął.

- Matka powiedziała, że mnie zabije, jak jeszcze raz zobaczy radiowóz pod domem.

- No dobrze, jak chcesz.

Podali sobie z Inschem ręce. Dłoń inspektora zniknęła w potężnej łapie Strichena.

- Martin... - Insch spojrzał w stroskane, orzechowe oczy chłopaka.

- Dziękuję.

Stanęli z Loganem przy oknie i patrzyli, jak Strichen znika za kurtyną deszczu. Była dopiero czwarta - a już zapadł zmrok.

- Podczas przesłuchania odgrażał się, że zabije Moir-Farquharsona

- powiedział Logan.

- Poważnie?

203

- Myśli pan, że może coś wykombinować? Inspektor się uśmiechnął.

- Miejmy nadzieję.

W pokoju przesłuchań numer 3 nikt się nie uśmiechał. W środku panował niemiłosierny tłok: do środka wcisnęli się inspektor Insch, sierżant McRae, jakaś przemoknięta do suchej nitki posterunkowa i Duncan Nicholson. Taśma rejestratora przesuwiała się z cichym pomrukiem, na umieszczonej w rogu kamerze migłała czerwona lampka.

Insch nachylił się nad stołem i wyszczerzył zęby w uśmiechu, jakim krokodyl obdarzają schorowane gnu.

- Na pewno nie chce się pan przyznać, panie Nicholson? Oszczędzi nam pan wszystkim kłopotów. Proszę nam tylko powiedzieć, co pan zrobił z ciałem Petera Lumleya.

Ale Nicholson tylko przesunął dłonią po łysej głowie, ścierając pot. Odrastające włosy zachrobotwały mu pod palcami. Wyglądał fatalnie: pocił się, dygotał, obejmował ramionami i strzelał oczami na wszystkie strony.

Rozległ się szelest, gdy Insch otworzył foliową koszulkę i wyjął z niej zdjęcie chłopca na trójkołowym rowerku. Chłopiec znajdował się w ogródku na tyłach domu; między suszącym się, lekko rozmazany ręcznikiem i parą dzinsów widać było kawałek sznura do bielizny. Insch podniósł fotografię, aby odczytać nazwisko na odwrocie.

- Proszę mi powiedzieć, panie Nicholson, kto to jest Lukę Geddes? Nicholson oblizał wargi i nerwowo spojrział na drzwi, na posterunkowa- wszędzie, tylko nie na chłopca na rowerze.

- Czy to jedna z twoich młodych ofiar? Następny na liście do złapania, zabicia i zerżnięcia? Nie? To może ten... - Inspektor wyjął z koszulki następne zdjęcie. Przedstawiało blondynka w szkolnym mundurku, idącego samotnie ulicą. - Coś sobie przypominasz? Coś drgnęło w głowie? A może wcale nie w głowie? Staje ci? - Wyciągnął następną fotografię. - A

ten? - Chłopiec, który siedział w samochodzie, wyglądał na przerażonego. - To twój wóz? Volvo, prawda?

•Ja nic nie zrobiłem!

- Nie chrzań! Kłamiesz jak najęty. Zgnijesz w pudle.

Nicholson z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Mam jeszcze inne fotki - wtrącił Logan. - Chce je pan zobaczyć, panie Nicholson?

Otworzył szarą tekturową teczkę i wyjął z niej zdjęcia z sekcji zwłok Davida Reida.

- Rany boskie... - Nicholson poszarzał na twarzy.

204

- Pamięta pan Davida Reida, prawda? Miał trzy latka, kiedy go pan porwał, udusił i zgwałcił.

-Nie!

•Niemożliwe. Na pewno go pan pamięta. Przecież wrócił pan po niego z sekatorem, żeby zabrać sobie kawałek na pamiątkę.

•Nie! Boże, nie! Nic nie zrobiłem! Ja go tylko znalazłem! Nawet go nie dotknąłem! - Nicholson chwycił się kurczowo stołu, jakby bał się, że za chwilę oderwie się od podłogi i roztrzaska o sufit. - Nic nie zrobiłem!

•Nie wierzę ci, Duncanie. - Insch posłał mu swój krokodyli uśmiech. - Jesteś ohydny gnojkiem i zamierzam cię wsadzić do paki. W Peterhead przekonasz się na własnej skórze, co się robi z takimi jak ty. Z takimi, którzy krzywdzą dzieci.

•Ja nic nie zrobiłem! - Po twarzy Nicholsona pociekły łzy. - Przysięgam! Nic nie zrobiłem!

Pół godziny później Insch ogłosił „przerwę techniczną”. Zostawili aresztanta w towarzystwie posterunkowej i wrócili do pokoju operacyjnego. Nicholson był wrakiem człowieka: płakał, zawodził, trząsał się. Inspektor nappełnił jego serce bojaźnią i chciał, żeby teraz podusił się trochę we własnym sosie.

Dla zabicia czasu popijali kawę, pojadali galaretki i rozmawiali o martwej dziewczynce znalezionej u Sprzątacza. Ekipa cały dzień spędziła na farmie, przekopując się przez stosy zwierzęcych trupów. Nic nie znaleźli.

Logan wyjął z teczki szkolne zdjęcie Reida: uśmiechnięty chłopiec miał trochę krzywe zęby i szopę włosów całkowicie odpornych na próby uczesania. W niczym nie przypominał ciemnych, obrzmiałych, nadgniłych zwłok z prosektorium.

- Pan naprawdę myśli, że to on to zrobił?
- Sprzątacz? - Insch wzruszył ramionami. - Nie wygląda na to, prawda? Tym bardziej że złapaliśmy tego chłoptasia z kolekcją zdjęć. Może być i tak, że to jakaś siatka pedofilska. To by dopiero był syf, co? Cała banda świrów na wolności.
- Nicholson nie ma żadnych rozbieranych zdjęć.
- To znaczy? - Insch spojrzał podejrzliwie na Logana. - Pana zdaniem to zdjęcia artystyczne?
- Nie. Przecież wie pan, o co mi chodzi. To nie jest pornografia. Ciarki mnie przechodzą, jak widzę te zdjęcia, ale to nie porno.
- Może nie chce patrzeć na nie w ten sposób. Może tak wygląda u niego selekcja. Siedzi dzieciaki, robi im zdjęcia, a potem wybiera szczęśliwego zwycięzcę konkursu piękności. - Insch złożył palce na podobieństwo

pistoletu i udał, że strzela do fotografii. - A potem ma porno na żywo. Stereo i w kolorze.

Logan nie dał się przekonać, ale nic nie powiedział.

Jakiś posterunkowy zajrzał do pokoju i powiedział, że niejaki pan Moir--Farquharson chce się z nimi widzieć i strasznie się naprzykrza wszystkim, którzy nie chcą go wpuścić. Insch wydał wargi, pomyślał chwilę, w końcu kazał zaprowadzić Węża do pokoju zatrzymań.

- Jak pan myśli, czego chce? - zapytał Logan, kiedy drzwi zamknęły się za posterunkowym.

Inspektor się uśmiechnął.

- Wyplakać się... Zresztą, kogo to obchodzi? Ponabijamy się z jego cierpienia. - Zatarł ręce. - Czasem Bóg się do nas uśmiecha, mój chłopcze.

Sandy Moir-Farquharson czekał na nich w pokoju zatrzymań na parterze. Nie wyglądał na zadowolonego. Wąski kawałek białego plastra przecinał skrzywiony nos, pod oczami miał ciemne placki. Przy odrobinie szczęścia mogłyby się z nich wykształcić piękne, czarne oczy.

Siedział przy stole, na którym leżała aktówka. Bębnił po niej niecierpliwie palcami, patrząc spode łba na Inscha i Logana.

- Pan Far-kuar-son... - odezwał się inspektor. - Miło pana znów widzieć.

Sandy-Wąż posłał mu mordercze spojrzenie.

- Zwolniliście go - powiedział półgłosem, z groźbą w głosie.
- Owszem. Złożył zeznanie i został zwolniony warunkowo do poniedziałku, do godziny szesnastej.
- Złamał mi nos!

Dla podkreślenia wagi tych słów uderzył pięścią w stół, aż aktówka

podskoczyła.

-Nie wygląda pan najgorzej, panie Far-kuar-son. Ba, powiedziałbym wręcz, że złamany nos dodaje panu męskiego uroku. Prawda, sierżancie?

Logan przytaknął z kamiennym wyrazem twarzy.

Sandy spojrzał na nich podejrzliwie, ale nie umiał stwierdzić, czy z niego kpią.

- Serio? - zapytał w końcu.

- Jak najbardziej - odparł Insch z miną pokerzysty. - Ktoś powinien był dawno złamać panu nos.

Sandy zmarszczył brwi.

- Wiecie panowie o tym, że grożono mi śmiercią? I że ktoś oblał mnie wiadrem świńskiej krwi?

206

-Tak.

- A o tym, że Martin Strichen był już notowany za podobne wyskoki?

- Panie Far-kuar-son... Kiedy został pan oblany krwią, pan Strichen przebywał w areszcie. Poza tym przeanalizowaliśmy listy z pogrózkami, które pan otrzymywał. Pochodziły z co najmniej czterech różnych źródeł. Żaden nie został nadany w Craiginches, w związku z tym najprawdopodobniej nie wysyłał ich pan Strichen. - Inspektor się uśmiechnął. - Jeśli jednak takie jest pana życzenie, możemy dla bezpieczeństwa przenocować pana w komendzie. W piwnicy mamy przeurocze cele. Podrzucimy panu jakieś poduszki, wstawi się kwiaty i będzie jak w domu!

Jedyną odpowiedzią było wrogie spojrzenie adwokata. Insch był wniebowzięty.

- A teraz pozwoli pan, panie Far-kuar-son, że zajmiemy się niecierpiący-
mi zwłoki sprawami służbowymi. - Wstał i skinął na Logana. - Gdyby ktoś
próbował wcielić tamte groźby w życie, proszę koniecznie do nas zadzwonić.
Sierżant McRae odprowadzi pana do wyjścia. - Uśmiechnął się znowu.
- Uważaj, żeby nie kradł zastawy, Logan. Wiesz, jacy są prawnicy.

Logan odprowadził Moir-Farquharsona do drzwi wejściowych.

- Coś panu powiem - odezwał się adwokat, wyglądając na zalaną
deszczem ulicę i niebo barwy popiołu. - Ja też mam dzieci. A ten grubas
zachowuje się tak, jakby jedynym celem mojego życia było wypuszczanie
zbrodźców na ulice.

Logan nie ukrywał zdumienia.

- To przez pana Gerald Cleaver wyszedł na wolność.

Moir-Farquharson zapiął płaszcz.

-Bynajmniej.

-Ależ tak! Rozniósł pan akt oskarżenia na strzępy! Adwokat
spojrzał mu w oczy.

- Gdyby był nie do ruszenia, byłbym bezradny. To nie ja wypuściłem
Cleavera, tylko wy.

-Ale...

- Wybacz pan, sierżancie, mam inne obowiązki.

Duncan Nicholson wiercił się niespokojnie, jakby ktoś podłączył go do
prądu. Koszulę miał całkiem przepoconą. Jego wzrok bezustannie błądził po
ścianach celi, nie zatrzymując się dłużej ani na chwilę.

Logan wrócił na swoje miejsce przy magnetofonie i przygotował go do
nagrywania.

- Żądam... Macie mi zapewnić bezpieczeństwo! - wykrztusił Nichol

son, zanim sierżant włączył sprzęt.

207

- Craig inches może być? Jest bezpieczne - powiedział Inschl. - Oczywiście tylko tymczasowo, do czasu przeniesienia do Peterhead.

- Nie! Ma być jak na filmach, ochrona, kryjówka... - Nicholson podrapał się w policzek. - Zabiją mnie, jak się dowiedzą, że ich wsypałem!

Dolna warga zadrżała mu i przez chwilę Logan spodziewał się, że znów wybuchnie płaczem. Inschl wyciągnął paczkę galaretek i wybrał dwie.

- Niczego nie obiecuję - powiedział, obracając w ustach dwa pomarańczowo-truskawkowe dinozaury. - Proszę włączyć nagrywanie, sierżancie.

Nicholson zwiesił głowę i wbił wzrok w drżące dłonie.

- Ja... Pracuję dla bukmacherów, dla lichwiarzy... No wiecie. - Głos mu się załamał. Wziął głęboki wdech, żeby móc mówić dalej. - Jestem takim jakby kontrolerem od windykacji długów. Siedzę klientów, którzy nie płacą, robię zdjęcia im i ich rodzinom, potem je drukuję, w domu, i... i daję ludziom, którym są winni pieniądze. - Osunął się na krzesło jeszcze niżej. - Oni ich straszą, szantażują tymi zdjęciami. Żeby płacili.

Insch uśmiechnął się krzywo.

- Rodzice muszą być z ciebie dumni - stwierdził z przekąsem.

Łza spłynęła po twarzy Nicholsona. Otarł ją rękawem.

• To nie jest nielegalne! Można fotografować ludzi, a ja nic innego nie robiłem. Nic! Palcem nie tknąłem żadnego dziecka!

• Bzdura! - prychnął inspektor. Pochylił się i oparł na stole zaciśnięte pięści. - Chcę usłyszeć, co robiłeś w środku nocy w rowie, w Bridge of Don, z okaleczonym ciałem trzyletniego dziecka. I chcę się dowiedzieć, skąd wzięłeś kopertę pełną pieniędzy i biżuterii. - Wstał. - Jesteś wstręt-

nym gnojkiem, Nicholson. Zaslugujesz na to, żeby resztę tego nędznego życia spędzić za kratami. Możesz tu zostać i łągać do woli, a ja przez ten czas porozmawiam z prokuratorem generalnym. Tak go nakręcę, że przybije cię za jaja do ściany. Koniec przesłuchania. Godzina...

- Pośliznąłem się! - Nicholson zalał się łzami. Był przerażony. - Błagam!
Po prostu się pośliznąłem!

Logan westchnął.

- To już nam pan mówił. Ale co pan tam robił?

- Miałem... zlecenie do wykonania. - Nicholson spojrzał Loganowi w oczy i sierżant już wiedział, że pękł.

- Proszę mówić dalej.

- Dostałem robotę. Starsza kobieta, wdowa. Trzyma w domu gotówkę, trochę srebra, biżuterii...

- I co? Okradłeś ją?

Nicholson pokręcił głową. Łzy spadały jak diamenty i eksplodowały na laminowanym blacie.

208

- Nie zdążyłem. Byłem narąbany, napruty strasznie. Nie dałbym rady nigdzie się włamać. Ale inne rzeczy z kradzieży trzymałem zakopane pod drzewem nad rzeką. No wie pan, żebyście nic nie znaleźli, gdybyście zrobili mi rewizję w domu. - Wzruszył ramionami. Mówił coraz ciszej i coraz mniej wyraźnie. - Byłem nawalony jak stodoła. Chciałem przeliczyć, ile już mam, zanim obrobię tę staruszkę. Lało potwornie. Pośliznąłem się i zjechałem po skarpie, ile tam jest... Z pięć metrów? Po ciemku, w tym cholernym deszczu. Podarłem kurtkę, dzinsy, mało łba sobie nie rozwalilem o jakiś kamulec. No i wylądowałem w rowie. Próbowałem wyleźć

na górę, wspiąć się po tej płycie wiórowej, ale patrzę, a ona się rusza. W dodatku coś pływa w wodzie. - Zaczął szlochać. - Najpierw pomyślałem, że to zdechły pies, bulterier jakiś czy co... No bo... No, był cały czarny. Chciałem spieprzać w cholere, ale zobaczyłem, że coś się błyszczy, jakby łańcuszek czy coś... - Wzdrygnął się. - Pomyślałem, że to może mój. Widzi pan? Tak się najebałem, że myślałem, że to z mojego towaru. Podszedłem, wyciągam rękę, a wtedy to czarne się obróciło, ja patrzę, a to nieżywe dziecko. Zacząłem krzyczeć, wrzeszczeć...

Logan nachylił się nad Nicholsonem.

- Co było dalej?
- Spieprzyłem stamtąd najszybciej, jak się dało. I poszedłem prościutko do domu, pod prysznic, żeby zmyć ten trupi syf. Potem zadzwoniłem na policję.

I ja się zjawilem, pomyślał Logan.

- Co to było? - zapytał. - Co?
- To, co się błyszczało. Co to było? Gdzie to jest?
- Sreberko. Kawalek zasranego sreberka. Insch spojrzął wilkiem na Nicholsona.

- Chcę dostać nazwiska wszystkich tych biedaków, których okradłeś.

I masz oddać fanty. Wszystkie! - Przeniósł wzrok na fotografię w foliowej koszulce. - Poza tym podasz nam nazwiska bukmacherów, dla których robiłeś zdjęcia. Jeśli komuś z ludzi, którzy na nich są, coś się stało, obojętne co, na przykład spadł z roweru, postawimy ci zarzut współudziału w na padzie. Jasne?

Nicholson ukrył twarz w dłoniach.

- Dziękuję za pomoc w śledztwie, panie Nicholson - powiedział in

spektor, uśmiechając się wielkodusznie. - Logan, bądź tak miły i odprowadź naszego gościa od celi. Tylko wybierz mu coś ładnego, z południową wystawą, widokiem z okna i balkonem.

Nicholson płakał przez całą drogę do celi.

209

26

Wstępny raport z laboratorium przyszedł niedługo po szóstej i nie wróżył nic dobrego. Duncana Nicholsona łączyło z Davidem Reidem tylko to, że znalazł zwłoki chłopca. A na okres zaginięcia Reida miał niepodważalne alibi. Insch wysłał dwóch posterunkowych do kryjówki, w której Nicholson miał trzymać łupy: wrócili z bagażnikiem pełnym kradzionych towarów.

Wyglądało na to, że ich nowy aresztant nie kłamał.

A to oznaczało, że głównym podejrzanym znów stawał się Sprzątac - tyle że Logan jakoś nie bardzo mógł się z tym pogodzić. Nie wierzył, żeby Sprzątac mógł być pedofilem mordercą, nawet jeśli w jednej z szop na farmie trzymał zwłoki dziecka.

W końcu Insch zarządził przerwę.

- Trzeba iść się przespać - stwierdził. - Zamknęliśmy, kogo trzeba; do poniedziałku rana nigdzie się nie ruszą.

- Do poniedziałku?

Inspektor skinął głową.

- Tak. Proszę wziąć sobie wolne w niedzielę, sierżancie. Pamiętaj, abyś dzień święty święcił. Niech sobie pan obejrzy jakiś mecz, napije się piwa, poje chipsów, zabawi. - Uśmiechnął się chytrze. - Może zabierze pan jakąś miłą posterunkową na kolację?

Logan poczerwieniał. I nic nie powiedział.

- Mniejsza z tym. Nie chcę tu pana widzieć przed poniedziałkiem.

Kiedy Logan wychodził z komendy, już nie padało. Sierżant dyżurny przekazał mu następne trzy wiadomości od ojca Petera Lumleya, nadal święcie przekonanego, że policja może jeszcze znaleźć jego syna. Logan próbował go okłamać, pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze - ale nie potrafił. Obiecał, że zadzwoni, gdy tylko czegoś się dowie. Nic więcej nie mógł zrobić.

Noc z chłodnej zrobiła się przeraźliwie zimna, na chodnikach pojawiła się cieniutka warstwa lodu. Wyszedł na Union Street, otuliła go para własnego oddechu. Polarna pogoda.

Ulice były dziwnie puste jak na sobotni wieczór. Nie miał ochoty wracać do pustego mieszkania, jeszcze nie teraz. Wybrał Archibalda Simpsona.

W pubie zebrał się tłum hałaśliwej młodzieży, skupionej wokół dzbanków z koktajlami. Żeby nie marznąć, zamierzali się upić możliwie jak najszybciej. Kiedy przyjdzie pora zamykania pubów, będzie rzyganie, bijatyka, niektórzy skończą na dołku. Albo na ostrym dyżurze.

210

-Ach, być znowu młodym i głupim - mruknął, przeciskając się do długiego drewnianego baru.

Dolatywały go strzępki rozmów, których można się było w takim miejscu spodziewać: ludzie przechwalali się, jak bardzo schlali się poprzedniej nocy i zapowiadali, że dziś spiją się jeszcze bardziej. Ale poza oczywistymi wątkami alkoholu i seksu w rozmowach przewijał się jeszcze jeden temat: uniewinnienie Geralda Cleavera.

Stał przy barze, czekając, aż któryś z obszarpanych Australijczyków go

obsłuży, i słuchał grubasa w żółtej koszuli, który robił wykład chudemu facetowi w koszulce i kamizelce: Cleaverto śmieć. Policja spieprzyła sprawę, skoro dali czubowi wyjść. Przecież to oczywiste, że był winny; nie słyszałeś o tych zabitych dzieciakach? A oni wypuścili pedofila na wolność!

Znacznie więcej klientów skarżyło się zresztą na „durnych policjantów”: Logan słyszał jeszcze kilka narzekań w podobnym tonie. Czy ci ludzie nie wiedzieli, że właśnie do Archibalda policjanci przychodzą się napić po służbie? Także w tej chwili musiało tu być sporo ludzi z dziennej zmiany, którzy wpadli na piwko. Pewnie też psioczyli na wypuszczenie Cleavera. I wydawali kasę za nadgodziny.

Kiedy wreszcie doczekał się na swoją Stellę, wziął kufel i zaczął wędrować po ogromnym pubie, szukając kogoś znajomego, z kim mógłby pogadać. Uśmiechnął się i pomachał grupce posterunkowych; bez mundurów z trudem ich rozpoznał. W kącie sali dostrzegł przy stoliku znajomą postać, spowitą w kłęby papierosowego dymu i otoczoną przygnębionymi sierżantami i posterunkowymi. Kobieta zadarła głowę i wydmuchnęła kolejną porcję dymu w chmurę pod sufitem. Spojrzała na Logana i uśmiechnęła się krzywo.

Jęknął w duchu: zobaczyła go. Będzie musiał podejść.

Któryś z posterunkowych przesunął się, robiąc mu miejsce przy stoliku. Nad ich głowami telewizor mamrotał coś półgłosem - akurat leciały reklamy warsztatów samochodowych, knajp i podwójnych okien, wypełniające czas między właściwymi programami.

-Łazarz... - powiedziała inspektor Steel, przeciągając nasycone dymem samogłoski. - Co słychać? Jest pan już nadinspektorem?

Nie powinien się do niej przysiądać. Nie powinien w ogóle zaglądać do

Archibalda - lepiej było kupić naprzeciwko pizzę na wynos i wrócić do domu.

- Jeszcze nie. Może w poniedziałek.
- W poniedziałek? - Zaśmiała się chrapliwie, kołysząc się na krześle i obsypując popiołem z papierosa policjanta, który zrobił miejsce Loganowi. - „Może w poniedziałek”. Urocze. - Spuściła wzrok na zastawiony

211

szkłem stół. Zmarszczyła brwi. - Pijemy! - Wyjęła z kieszeni sfatygowany skórzany portfel i podała go ubrudzonemu popiołem policjantowi. - Kolejka dla wszystkich, posterunkowy. Ludzie umierają z pragnienia!

- Tak jest, pani inspektor.
- Whisky! - Steel uderzyła otwartą dłonią w stół. - Podwójna! Dla wszystkich!

Chłopak wziął portfel i poszedł do baru. Steel nachyliła się do Logana.

- Tak między nami mówiąc, chyba się chłopak wstawił - obwieściła konspiracyjnym szeptem, po czym wyprostowała się i uśmiechnęła radośnie. - Widzi pan, Inschy dostał kopa w tyłek za pantomimę i Sprzątacza, a my dopuściliśmy do uniewinnienia Cleavera. Teraz co najmniej jeden etat inspektorski się zwolni.

Logan nie wiedział, co odpowiedzieć. Steel spochmurniała.

- Przepraszam - powiedziała. Wyrzuciła peta i wdeptała go w podłogę. - Gówniany dzień.
- To nie wasza wina, że Cleaver wyszedł. Jeżeli do kogoś można mieć pretensje, to najwyżej do Węża.
- Napijmy się za to!

I jednym haustem opróżniła szklaneczkę whisky. Znajomo wyglądający

posterunkowy, który siedział naprzeciwko Logana i zerkał w telewizor, złapał ją za rękę.

- Zaraz będzie!

Logan i Steel odwrócili się na krzesłach. Przez ekran przebiegła zapowiedź miejscowych wiadomości. Gwar w pubie nagle ścichł. Wszyscy policjanci w cywilu zapatrzili się w telewizory.

Kobieta - znacznie mniej atrakcyjna niż można się spodziewać po prezenterce - siedziała za biurkiem i z poważną miną mówiła coś do kamery. Nagłośnienie było za słabe, żeby zrozumieć słowa, ale nad lewym ramieniem spikerki wyświetliło się zdjęcie Geralda Cleavera, a potem obraz ze studia został zastąpiony retransmisją sceny przed sądem. Tłum wymachiwał transparentami, a po chwili cały ekran wypełniła kobieta pod pięćdziesiątkę, z dumą ściskająca tablicę „Śmierć pedofilskiemu ścierwu!” Przez bite piętnaście sekund meła bezzębnymi dziąsłami, ogarnięta słusznym gniewem, ale tłum w pubie nie usłyszał ani słowa. Na ekranie pojawiło się kolejne ujęcie gmachu sądu, widocznego nad głowami ludzi. Dwuskrzydłowe szklane drzwi właśnie się otwierały.

- Zaraz się zacznie... - powiedziała inspektor Steel z zadowoleniem. Sandy Moir-Farquharson wyszedł z sądu i zaczął czytać oświadczenie klienta. Kamerzysta zrobił najazd na jego twarz - w samą porę, aby

212

wychwycić postać mężczyzny, który wyskoczył z tłumu i wyrzucił wężyka pięścią w twarz.

W pubie rozległy się wiwaty.

Na ekran wróciło poważne, zatroskane oblicze spikerki, która coś powiedziała - po czym pojawiła się powtórka boksterskiego ciosu.

Drugi wybuch wiwatów i braw.

Następne wiadomości dotyczyły już wzmożonego ruchu na drodze z Dyce do Newmacher. Zadowoleni goście wrócili do swoich drinków.

Inspektor Steel z rozmarzonym uśmiechem na twarzy pochłonęła następną whisky.

- Widzieliście w życiu coś piękniejszego?

Logan musiał przyznać, że widok był niesamowity.

- Wiecie co? - Steel zapaliła następnego papierosa. - Chętnie podałabym rękę temu chłopakowi. Co tam rękę, na jedną noc mogłabym być hetero. Ten facet to prawdziwa gwiazda!

Logan usiłował nie wyobrazić sobie inspektor Steel i Martina Striche-na w romantycznej sytuacji. Bez powodzenia. Chcąc odsunąć od siebie ten obraz, spojrzął w telewizor. Ekran wypełniło zdjęcie Petera Lumleya, poszukiwanego od wtorku. Rude włosy, piegi, uśmiech. Cięcie. Ujęcie farmy Sprzątacza. Cięcie. Konferencja prasowa. Komendant - poważny i zaangażowany.

Kiedy tak patrzył na zmieniające się obrazki, dobry humor powoli go opuszczał. Peter leżał gdzieś martwy, a jego dręczyło przeczucie, że wciąż nie złapali człowieka, który za to odpowiada. Obojętne, co na ten temat myślał Insch.

1 znów zaczęły się reklamy. Warsztat w Bielside, sklep odzieżowy w Rosemount i rządowa kampania poprawy bezpieczeństwa na drogach. Patrzył, jak samochód hamuje z piskiem opon, ale nie udaje mu się uniknąć potrącenia chłopca przechodzącego przez jezdnię. Dzieciak był nieduży. Zderzak i atrapa chłodnicy trafiły go w bok i wybiły mu nogi w powietrze. Przekoziołkował, spadł na maskę, rozbił sobie głowę o blachę, w końcu

spadł na asfalt. Scenę pokazano w zwolnionym tempie; każde uderzenie było makabrycznie wyreżyserowane i precyzyjnie sfilmowane. Hasło „Zwolnij. Nie zabijaj” przecięło ekran.

Logan patrzył na telewizor z coraz bardziej zbolałym wyrazem twarzy.

-Cholera...

Pomylili się.

Dopiero o ósmej wieczorem wszyscy zebrali się w prosektorium: Insch, Logan i Isobel - chyba najbardziej niezadowolona z powodu

213

przymusowego wezwania do kostnicy. Miała na sobie czarną wieczorową suknię z głębokim dekoltem - co wcale nie oznaczało, że Logan miał okazję pogapić się dłużej na jej odsłonięte ciało. Na sukienkę włożyła jaskrawy, pomarańczowy sweter. Wcisnęła ręce do kieszeni, żeby nie marzły jej w zimnym, aseptycznym wnętrzu. Logan wyciągnął ją z teatru.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego - uprzedziła, patrząc na Logana w sposób, który nie pozostawiał cienia wątpliwości, że nie ma rzeczy ważniejszych niż wizyta z nowym kochaniem na premierze *Cyganerii* w Szkockiej Operze Narodowej.

Inspektor przyszedł w dzinsach i znoszonej niebieskiej bluzie. Pierwszy raz Logan widział go ubranego inaczej niż w garnitur - nie licząc kostiumu do pantomimy. Patrzył spode łba, kiedy sierżant przeproszał - kolejny raz - za ściągnięcie ich do kostnicy w sobotni wieczór.

- No dobrze. - Logan podszedł do chłodni i znalazł szufladę, w której przechowywano zwłoki dziewczynki znalezione na farmie Sprzątacza. Zacisnął zęby, otworzył ją i cofnął się odruchowo, gdy odór rozkładu

zmieszał się ze sterylną wonią prosektorium. - Jest. - Starał się oddychać tylko przez usta. Krzywił się przy tym okropnie. - Wiemy, że zginęła od uderzeń tępym przedmiotem...

- Wiem! - przerwała mu Isobel. - Przecież napisałam o tym w raporcie. Uszkodzenia czaszki, z przodu i z tyłu, spowodowały rozległe uszkodzenia mózgu i śmierć.

- Tak. - Logan wyjął z akt zdjęcia rentgenowskie i podniósł je do światła. Wskazał na klatkę piersiową. - Widzicie?

- Pęknięte żebra - burknęła Isobel. - Czy po to wyciągał mnie pan z teatru, żeby pokazać mi rzeczy, o których sama panu powiedziałam, sierżancie? - Ostatnie słowo dosłownie ociekało jadem.

Logan westchnął.

- Spokojnie. Myśleliśmy, że obrażenia były wynikiem pobicia dziecka przez Sprzątacza...

- Bo pasują do pobicia. I o tym też napisałam w raporcie! Długo jeszcze będziemy bić pianę? Mówił pan, że pojawiły się nowe dowody!

Logan odetchnął głęboko i ułożył zdjęcia w taki sposób, że utworzyły pełny wizerunek szkieletu dziecka. Złamane biodro, noga, żebra, strzaskana czaszka. Cały obraz mierzył niespełna sto dwadzieścia centymetrów.

Sierżant przyklęknął i stopy szkieletu na zdjęciach dotknęły ziemi.

- Żebra - powiedział. - Widzicie, jak wysoko są nad ziemią? Widzieli. Na razie niczym im nie zaimponował.

- Co z tego?

- Może obrażenia nie były jednak skutkiem pobicia?

-No nie! To żalosne! Dziewczynka została śmiertelnie pobita.

- Zobaczcie, jak daleko są żebra od ziemi - powtórzył Logan.

Cisza.

- Samochód - wyjaśnił, poruszając rentgenogramami jak makabryczną marionetką. - Najpierw uderza w biodro. - Zgiął utworzony ze zdjęć szkielet w pasie. - Żebra trafiają w górną część atrapy chłodnicy. - Mocno przekrzywił główkę dziecka. - Lewa strona czaszki uderza o maskę. Kierowca wciska hamulec. - Wyprostował szkielet i przechylił go w kierunku podłogi. - Dziewczynka spada na jezdnię i łamię prawą nogę. Potylicą roztrzaskuje się o asfalt. - Położył zdjęcia na posadzce.

Insch i Isobel przyglądali się im bez słowa przez pełną minutę. Inspektor odezwał się pierwszy:

-Ale jak to się stało, że trafiła do domu strachów na farmie Sprzątacza?

- Bernard Duncan Philips, pseudonim Sprzątacznik, nadszedł ze swoim wózkiem i szuflą i zrobił to, co zawsze.

Insch spojrzał na Logana z taką miną, jakby sierżant właśnie porwał w ramiona trupa z chłodni i zaczął z nim tańczyć polkę.

- Przecież to jest martwe dziecko, do diabła! Nie jakiś królik!
- Dla niego to bez różnicy. - Logan spojrzał na wyłożone w szufladzie zwłoki. Czuł ucisk w piersi. - Po prostu: jeszcze jeden trup do zeskrobania z jezdni. Była w szopie numer 2. Zanim ją znalazł, wypełnił już cały jeden budynek.

Insch rozdziawił usta. Spojrzał na Logana. Spojrzał na Isobel. Spojrzał na rentgenogramy.

-A to drań...

Isobel milczała. Wcisnęła dłonie głębiej w kieszenie swetra. Minę miała nieszczęśliwą.

- Co pani na to? - spytał Logan.

Wyprostowała się i - głosem jak zmrożony kwas - przytaknęła, że obrażenia dziecka mogły powstać w wyniku przedstawionej przez niego sytuacji. Że z powodu zaawansowanego rozkładu zwłok niemożliwe było ustalenie kolejności urazów, które poza tym pasowały do ciężkiego pobicia. Że i tak zrobiła, co mogła, biorąc pod uwagę stan ciała. Nie można się po niej spodziewać, że będzie jasnowidzem.

- Drań - powtórzył Insch.

-Nie zabił jej. - Logan zamknął szufladę. Głuchy metaliczny łoskot poniósł się echem wśród wyłożonych białymi kafelkami ścian. - Wracamy do punktu wyjścia.

215

Stróż Philipsa - „stosowna osoba dorosła” - stawiał się na komendzie po półtorej godzinie gorączkowych poszukiwań telefonicznych. Okazał się nim ponownie emerytowany nauczyciel Lloyd Turner, który wyglądał jak przywleczone przez kota, umęczone zwierzątko. Zalatywało od niego miętkami, jakby pił w samotności i nie chciał, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział. Cień wieczornego zarostu zmiękczył krawędzie wąsika. Grzebał w papierach, kiedy Logan przygotowywał sprzęt i nagrywał wstępną formułę przesłuchania.

- Bernardzie? - Inspektor przebrał się w zapasowy garnitur. - Chcemy, żebyś opowiedział nam o tej zabitej dziewczynce.

Sprzątaczkę rozglądał się rozpaczliwie po pokoju. Turner westchnął ciężko.

- Już próbowaliśmy, panie inspektorze - powiedział zmęczonym głosem

sem. - Bernard jest chory. Potrzebuje pomocy, nie więzienia.

Insch spochmurniał.

- Bernardzie - zaczął, tym razem z większym naciskiem. - Znalazłeś ją, prawda?

Turnerowi mało oczy nie wyszły z orbit.

- ZnaJazł? - Spojrzał z ukosa na siedzącego przy nim śmierzącego obszarpańca. Nie posiadał się ze zdumienia. - Znalazłeś ją, Bernardzie?

Sprzątaczone poruszył się nerwowo na krześle i wbił wzrok w swoje ręce. Drobne bordowe strupy pokrywały je na podobieństwo pasożytów. Przy paznokciach skóra była oskubana i ogryziona do krwi; w ten sposób próbował zapanować nad nieposłusznymi dłońmi. Nie podniósł głowy, ale zaczął mówić - cichym, potulnym głosem:

- Na drodze. Znalazłem ją na drodze. Trzy jeże, dwie wrony, jedna mewa, jeden rudy kot, dwie angory, czarna i biała, jedna dziewczynka, dziewięć królików, jedna sarna... - Oczy zaszły mu mgłą, głos zaczął się łamać. - Moje piękne martwe rzeczy...

Łza zaszklila mu się w kąciaku oka, wymknęła spod długich rzęs, spłynęła po ogorzałym policzku i wsiąkla w brodę.

Insch założył ręce na piersi i usiadł na swoim krześle.

- Zabrałeś zabitą dziewczynkę i umieściłeś w swojej kolekcji.
- Zawsze zabieram je do domu. Zawsze. - Sprzątaczone pociągnął nosem. - Nie można ich wyrzucać jak zwykłe śmieci. Nie takie martwe rzeczy, które kiedyś były żywe w środku.

Logan przypomniał sobie nogę dziecka sterczącą z worka na wysypisku śmieci.

- Widziałeś coś jeszcze? - zapytał. - Kiedy ją zabierałeś, widziałeś

jakiś samochód, ciężarówkę, cokolwiek...

Sprzątacznik pokręcił głową.

216

- Nic nie widziałem. Tylko zabitą dziewczynkę na poboczu. Połamana, zakrwawiona, jeszcze ciepła.

Loganowi zjeżyły się włosy na głowie.

- Żyła jeszcze? Bernardzie, czy kiedy ją znalazłeś, była jeszcze żywa?

Sprzątacznik osunął się na stół, oparł łokcie o zniszczony blat, a twarz na przedramionach.

- Czasem jak coś zostanie przejechane, nie od razu umiera. Czasem czekają, żebym przyszedł i ich przypilnował.

- Jezu...

Odstawili Sprzątacznika do celi i spotkali się bez niego w pokoju przesłuchań: Logan, Insch i „stosowna osoba dorosła”.

- Zdajecie sobie panowie sprawę, że teraz będziecie musieli go wypuścić? - spytał Turner.

Logan uniósł brwi.

- Jeszcze czego - odburknął inspektor.

Nauczyciel westchnął i usiadł ciężko na jednym z niewygodnych, plastikowych krzeseł.

- Możecie mu zarzucić co najwyżej niezgłoszenie wypadku i nielegalne pochowanie zwłok. - Przetarł twarz dłonią. - Wszyscy wiemy, że prokuratura królewska nie uzna tych argumentów za wystarczające do wszczęcia procesu: jeden dobry biegły psychiatra i będzie po zawodach. Philips nie zrobił nic złego, w każdym razie w jego pojęciu. Dziewczynka była po prostu jednym z wielu trupów, jakie znalazł na poboczu. Robił to,

co do niego należy.

Logan starał się nie kiwać potakująco głową; inspektor nie byłby zadowolony.

Insch zgrzytnął zębami i spojrzał spode łba na Turnera, który w odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Przykro mi, ale Philips jest niewinny. Albo go wypuścicie, albo pójdę z tym do gazet. Zresztą przed sądem jeszcze stoją ekipy telewizyjne; materiał ukaże się w porannych wiadomościach.

- Nie możemy go zwolnić. Ludzie go rozszarpią.

- Czyli przyznaje pan, że nie zrobił nic złego?

Głos Turnera zabrzmiał wyjątkowo protekcyjnie, zupełnie jakby nagle znalazł się znów na lekcji i przyłapał inspektora na paleniu w krzakach.

- Posłuchaj no, słonko: to ja tu zadaję pytania. - Insch sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu słodyczy, ale nic nie znalazł. - Po uniewinnieniu Cleavera wszyscy ci czcigodni idioci szukają kozła ofiarnego. A ten gość trzymał w szopie zwłoki dziecka. Byłby pierwszy do odstrzału.

217

- W takim razie zapewnijcie mu ochronę. Porozmawiamy z prasą i wyjaśnimy im, że Bernard jest niewinny. Że wycofujecie wszystkie zarzuty.
- Wcale nie! - wtrącił Logan. - Ukrywał zwłoki.
- Panie sierżancie... - odparł z politowaniem Turner. - Pan chyba czegoś nie rozumie. Gdybyście poszli z takim zarzutem do sądu, przegralibyście. A prokurator generalny nie ma ochoty na kolejną wpadkę; wystarczy mu porażka w sprawie Cleavera. Musicie zwolnić pana Philipsa z aresztu. Pozostaje tylko zapytać, ile pieniędzy podatników zmarnujecie, zanim się na to zdecydujecie?

Logan z Inschem stali w pustym pokoju operacyjnym, spoglądając na gęstniejący tłum na parkingu. Turner dotrzymał słowa: stał teraz przed kamerami i rozkoszował się swoją chwilą sławy. Tłumaczył całemu światu, że Bernard Duncan Philips został oczyszczony ze wszystkich zarzutów. System działał jak należy.

Turner miał rację: prokurator w ogóle nie chciał słyszeć o tej sprawie. Komendant zresztą też nie był zachwycony. Sprzątacznik miał więc wylądować w kryjówce w Summerhill.

- I co teraz? - spytał Logan. Do tłumy dołączyła właśnie następna ekipa.

Dochodziła jedenasta w nocy, a kamer wciąż przybywało.

- Teraz? Jestem skończony. Najpierw ta przeklęta pantomima, potem Cleaver, uniewinniony po dwunastu latach molestowania nieletnich, a teraz Sprzątacznik wychodzi na wolność. Ile go trzymaliśmy, czterdzieści osiem godzin? Góra sześćdziesiąt. Zjedzą mnie żywcem.

-A może i my powinniśmy porozmawiać z mediami? Pogadałbym z Millerem. Może jakoś by nam pomógł? Insch parsknął niewesołym śmiechem.

- „Prowincjonalny dziennikarzyna w ostatniej chwili ratuje karierę inspektora”. - Pokręcił głową. - To się nie uda.

- Warto spróbować.

Koniec końców Insch musiał przyznać, że nie ma nic do stracenia.

- W końcu właśnie udało nam się zapobiec straszliwej pomyłce sądowej - stwierdził Logan. - To już coś, prawda?

- Jasne. - Inspektor zgarbił się, przygnębiony. - Ale jeśli Sprzątacznik i Nicholson są niewinni, morderca grasuje w najlepsze i wybiera sobie następne ofiary, a my nie mamy zielonego pojęcia, kim jest.

Kiedy Logan wygramolił się z łóżka i poczłapał pod prysznic, niedziela drapała już w okna jego mieszkania zimowymi paluchami. Porywisty wiatr miotał małymi, zmrożonymi płatkami śniegu na wszystkie strony. Było zimno, ciemno i na pewno nie był to obiecany dzień odpoczynku.

Z ponurą miną wbił się w szary garnitur i błąkał po mieszkaniu, od-
wlekając moment, w którym będzie musiał stawić czoło ohydnej aurze. Zadzwoił telefon: Colin Miller, jedyny i niepowtarzalny, dopraszał się o swój materiał na wyłączność.

Logan bez entuzjazmu zszedł po schodach i otworzył drzwi wejściowe. Kiedy zmagał się z wiatrem, do sieni próbowało się wedrzeć z pół tony niesionego wiatrem lodu. Śnieg zaatakował go tysiącem zimnych brzytw, tnąc odsłoniętą skórę, aż zaboląły go policzki i uszy.

Dzień był mroczny jak dusza prawnika.

Superwóz Millera czekał przy krawężniku. W środku paliła się lampka, z głośników leciała muzyka poważna, a sam dziennikarz pochylał się nad gazetą. Logan zatrzasnął drzwi domu, nie przejmując się tym, że pobudzi sąsiadów. Dlaczego, do cholery, ma być jedynym człowiekiem, który nie śpi w taki beznadziejny poranek? Ślizgając się, dopadł samochodu i wskoczył na siedzenie pasażera, wnosząc z sobą kłębowisko śnieżnych płatków.

- Uważaj na obicia! - zawołał Miller, przekrzykując operowe dźwięki.

- To skóra.

Ściszył muzykę. Cienka warstewka śniegu na płaszczu Logana poma-lutku się roztopiała.

•Co to, nie będzie dziś maślanych bułeczek? - zdziwił się Logan. Wy-

trząsnął śnieg z włosów, zanim zdążył stopnieć i spłynąć mu za koszulę.

•Chciałbyś pewnie wythłuścić mi tapicerkę, co? Mam propozycję: jeśli będę zadowolony z rozmowy, kupię ci hamburgera z jajkiem. Może być?

Logan odparł, że wolałby zjeść smażoną kupę.

- A skoro już o tym mowa... Skąd miałeś kasę na taką wypasiona brykę? Myślałem, że dziennikarze przymierają głodem.

-No wiesz... - Miller wzruszył ramionami. Ruszyli. - Kiedyś wyświadczyłem gościowi przysługę, nie opublikowałem pewnego tekstu...

Logan uniósł pytająco brwi, ale reporter nic więcej nie powiedział.

W niedzielny poranek nie było wielkiego ruchu na ulicach, ale przy tej pogodzie nieliczne samochody i tak ledwie pełzały. Miller ulokował się za

219

ciężarówką, która kiedyś była biała, teraz zaś od góry pokrywał ją zlodowaciały śnieg, a ze wszystkich innych stron gruba na trzy palce warstwa brudu. Jakiś dowcipniś tradycyjnie napisał z tyłu „Brudas”. Napis błyszczał w reflektorach samochodu Millera, kiedy powoli jechali przez miasto w stronę Summerhill.

Nowy dom Sprzątacza niczym nie różnił się od innych stojących przy tej samej ulicy: betonowe pudełko z ogródkiem, zagrzebanym pod coraz grubszą białą pierzynką. Na środku stała smętnie wierzba, uginająca się pod ciężarem śniegu i lodu.

- Świetnie - powiedział Miller, parkując za starym renault. - Idziemy zrobić wywiad.

Odkąd Logan opowiedział mu o wypadku, podejście dziennikarza do Sprzątacza diametralnie się zmieniło. Nie zamierzał wieszać Philipa za genitalia - w każdym razie nie teraz, kiedy stał się ofiarą konsumpcyjnego

społeczeństwa, które osoby chore psychicznie porzucało na pastwę losu.

Wysoka policjantka w cywilu obudziła Philipsa i sprowadziła go na parter, na spotkanie z dziennikarzem. Miller umiał prowadzić takie rozmowy - Sprzątaczu czuł się przy nim odprężony i ważny. Nowiuteńki cyfrowy dyktafon pracował bezszelestnie, stojąc na stoliku, który najlepsze lata miał już dawno za sobą. Wrócili do czasów błyskotliwej kariery akademickiej Philipsa, przerwanej chorobą matki, po czym ostrożnie prześliznęli się po początkach choroby psychicznej i śmierci starszej pani Sprzątaczonej, niech spoczywa w pokoju. Logan nie słyszał na razie nic, czego nie miałby już w aktach, popijał więc zbyt mocną herbatę, zaparzoną w pękniętym, brązowym czajniczku i liczył wymalowane na tapecie róże i niebieskie kokardy.

Dopiero kiedy Miller przeszedł do sprawy Lorny Henderson, zabitej dziewczynki z szopy numer 2, sierżant nadstawił ucha.

Niestety, mimo najlepszych chęci reporter nie był aż tak dobry w swoim fachu, żeby wyciągnąć z Philipsa coś więcej, niż udało się to Inschowi. Na najmniejszą wzmiankę o dziewczynce Sprzątaczu robił się nerwowy i spięty.

Nie powinni zabierać mu martwych rzeczy. Należały przecież do niego.

- Bernardzie, daj spokój - odezwała się policjantka, wstawiając wodę na herbatę. - Nie ma powodu się denerwować.
- Moje. Kradną moje rzeczy! - Philips zerwał się na równe nogi. Talerz ciasteczek w czekoladzie spadł ze stołu. Para rozognionych oczu spo-częła na Loganie. - Jest pan policjantem! Oni mnie okradają!

Logan z trudem powstrzymał westchnienie.

- Muszą je zabrać, Bernardzie. Pamiętasz, jak przyjechaliśmy do ciebie z tym człowiekiem z rady miejskiej? Ludzie chorują od takich rzeczy. Tak jak twoja mama. Pamiętasz?

Sprzątaczu zamknął oczy, zacisnął kurczowo szczęki, zgrzytnął zębami. Przycisnął pięści do czoła.

- Ja chcę do domu! To moje rzeczy!

Policjantka odstawiła czajnik i próbowała go uspokoić kojącymi słowami, tak jakby bełkoczący od rzeczy dorosły mężczyzna był małym chłopcem, który przed chwilą upadł i otarł sobie kolano.

- Ćśś - powtarzała, głaszcząc go po ramieniu dłonią z mnóstwem pierścionków - Ćśś. Już dobrze. Wszystko będzie dobrze. Tutaj nic ci nie grozi, jesteś bezpieczny. Nic ci się nie stanie.

W końcu Philips dał się ugłaskać i przysiadł na skraju krzesła. Lewą stopą zgniótł przy tym herbatnika na dywanie. Ale wywiad już się właściwie zakończył. Nawet najsprytniejsze i najostrożniejsze pytania Millera drażniły Sprzątacza, który powtarzał w kółko jedną i tę samą skargę: chciał wrócić do domu, żeby go nie okradli.

Plaża w Aberdeen była pusta i zimna. Ołowiane Morze Północne wściekało się i burzyło, na przemian pojawiając się i ginąc za zasłoną śnieżycy. Łoskot fal barwy granitu uderzających o betonowe nabrzeże wybrzmiewał rytmicznie w zawodzącej wichurze. Woda bryzgała na pięć metrów do góry, wiatr porywał pianę i ciskał nią w witryny sklepów.

W ten niedzielny poranek większość lokali pozostała zamknięta. Sklepiki z pamiątkami, lodziarnie i parki zabaw nie mogły liczyć na oszałamiające obroty. Miller z Loganem siedzieli w przytulnej Inversnecky Cafe, przy oknie, zajadali się kanapkami z wędzonym bekonem i popijali mocną kawę.

• Strata czasu - powiedział Miller. - Cholerna strata czasu. - Oderwał wystający z kanapki pasek słoniny. - To ty powinieneś mi postawić śnia-

danie, a nie ja tobie.

- Coś chyba dla siebie znalazłeś?

Miller wzruszył ramionami i odłożył słoninę do pustej popielniczki.

- Tak. Wiem teraz, że facetowi brakuje piątek klepki. Bez dwóch zdań. Ale trudno powiedzieć, żeby to było coś nowego, nie uważasz?

- Nie mam wielkich wymagań. Chodzi tylko o to, żeby ludzie się dowiedzieli, że nie zabił tej dziewczynki i dlatego musieliśmy go wypuścić.

Reporter wgryzł się w bułkę i zaczął żuć w zadumie.

- Twoi szefowie muszą naprawdę robić w gacie, jeśli kazali ci wybłągać u mnie laurkę.

Logan otworzył usta - i zamknął je, zanim coś powiedział. Miller mrugnął porozumiewawczo.

- To nie wstyd, stary. Zrobi się. Midasowe dotknięcie, patent Colina Millera, załatwi sprawę. Na pierwszą stronę damy rentgeny. Poprosi się

221

grafików, żeby trzasnęli serię obrazków pod hasłem „volvo rozjeżdża dzieciaka”. Bułka z masłem. Ale to wyjdzie dopiero w poniedziałek. Oglądałeś dziś telewizję? Szaleństwo. Zanim ja coś wydrukuję, wasza primadonna z pantomimy wyleci z hukiem z roboty. Wypuścił Sprzątacza. Dwa razy.

- Philips nikogo nie zabił.
- Nie w tym rzecz. Publika widzi, co się dzieje: zabici chłopcy w rowach, martwe dziewczynki w foliowych workach, dzieci molestowane na prawo i lewo. Cleaver uniewinniony, chociaż wszyscy wiedzą, co zrobił. A teraz jeszcze Sprzątacza wychodzi z aresztu. - Miller odgryzł następny kęs. - Dla nich Philips to morderca.
- Przecież nie jest mordercą!

- Prawda nikogo już nie obchodzi. I dobrze o tym wiesz, stary.

Chcąc nie chcąc, Logan musiał przyznać rację dziennikarzowi. Przez chwilę jedli w milczeniu.

-A jak się ma twoja druga robótka? - zapytał w końcu sierżant.

- Która?

- Powiedziałeś mi, że odpuszczasz sobie Geordiego Stephensona, bo masz bezpieczniejszy temat.

Miller upił łyk kawy.

-Aaa, ten... - Wyjrzał przez okno na śnieżycę i rozjuszony morze.

-Nieszczególnie.

I umilkł.

Logan odczekał chwilę, aby mieć pewność, że szczegóły nie wypłyną samoistnie, i zapytał:

- Co to miało być?

- Hm? - Miller otrząsnął się z zamyślenia. - Już mówię. Chodzą słuchy, że jakiś gość rozpytuje na mieście o rzadki towar. Naprawdę rzadki.

- Prochy?

Miller pokręcił głową.

- Nie. Żywy inwentarz.

- To znaczy? Świnie? Kury? Krowy?

- Inny żywy inwentarz.

Logan odsunął się od stołu i zmierzył małomównego dziennikarza wzrokiem. Twarz Millera, w której zwykle dało się czytać jak w książce, tym razem była nieprzenikniona.

- Czego szuka ten kupiec?

Miller wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Nikt nic nie mówi. W każdym razie nic sensownego. Może chodzi mu o kobietę, a może o mężczyznę, może o chłopca, a może o dziewczynkę...

222

- Nie można tak po prostu kupić człowieka!

W spojrzeniu Millera politowanie mieszało się z pogardą.

- Gdzieś ty się chował? Przypląnąłeś do Clyde w skórcie od banana?

Oczywiście, że można! Przejdź się w Edynburgu odpowiednią ulicą, a kupisz, co ci się żywnie spodoba: broń, narkotyki... Kobiety też. - Pochylił się nad stołem i zniżył głos do szeptu. - Nie mówiłem ci, że Maik Majcher importuje panienki z Litwy? Jak myślisz, co z nimi potem robi?

- Myślałem, że wynajmuje...

Miller zaśmiał się z goryczą.

- To też. Wynajmuje i sprzedaje. Na egzemplarze używane dostaje się rabat. - Westchnął ciężko, widząc niedowierzanie malujące się na twarzy Logana. - Widzisz, najczęściej kupują alfonsi. Jak któraś z laseczek przedawkuje, idą do sklepu Malka i biorą nową. Świeże Litwinki chodzą za śmieszne pieniądze.

-Rany boskie...

- Mało która mówi po angielsku. Kupuje się taką, uzależnia od hery, orze się nią na maksa, a jak się zużyje, wywala na bruk. A ona wtedy nie ma już szans na znalezienie przyzwoitego zajęcia.

Siedzieli w ciszy, którą mącił tylko odległy syk ekspresu do kawy i dobiegający zza podwójnej szyby stłumiony łoskot sztormowych fal.

Logan postanowił nie iść do biura. Tak przynajmniej powtarzał sobie,

kiedy Miller wysadził go przy Castlegate. Zamierzał przemknąć się do Oddbins, kupić dwie butelki wina, jakieś piwo, a potem usiąść przed kominkiem w domu. Książka, wino, herbata.

Tymczasem wkrótce wylądował w recepcji komendy policji i patrzył, jak woda z roztopionego śniegu kapie na linoleum.

Jak zwykle czekały na niego wiadomości od ojczyma Petera Lumleya. Starał się nie myśleć o nich za wiele - była przecież niedziela i w ogóle nie powinien przychodzić do pracy. Poza tym nie mógł się zmusić do odbycia kolejnej rozpaczliwej rozmowy telefonicznej. Usiadł więc przy biurku i spojrzął na zdjęcie Geordiego Stephensona, próbując wyczytać coś z jego martwych oczu.

Opowieść Millera o ludziach na sprzedaż dała mu do myślenia. Ktoś w Aberdeen chciał kupić kobietę - i oto zjawia się Geordie, przedstawiciel jednego z największych importerów żywego towaru w kraju. Przyjeżdża w interesach - może są to inne interesy, bo przecież chodzi mu o nieruchomości, a nie o prostytutki, ale jednak...

- Spieprzyłeś sprawę, co, Geordie? - powiedział portretowi z prosekto-
rium. - Przejechałeś kawał drogi z Edynburga, żeby załatwić małą robótkę,

223

a skończyłeś, pływając w porcie twarzą do dołu, bez kolan. Nie udało ci się nawet przekupić miejskiego planisty. Ciekaw jestem, czy powiedziałaś szefowi, że ktoś chciałby kupić dziewczynę. Po co? Gotówka. Żadnych pytań. Raport z sekcji zwłok Stephensona leżał na biurku Logana. Nieprze-czytany. Tyle się w tym tygodniu działo, że zwyczajnie nie starczyło mu czasu. Wziął teczkę do ręki i zaczął kartkować jej zawartość, kiedy rozdzwoniła mu się komórka.

- Logan, słucham.
- Sierzancie? - Dzwonił Insch. - Gdzie pan jest?
- W komendzie.
 - Logan, jak rany, nie masz domu? Kazałem ci znaleźć sobie miłapo-sterunkową i wrzucić luz.
- Wiem, panie inspektorze. - Logan się uśmiechnął. - Przepraszam.
- Teraz już za późno.
- To znaczy?
 - Ruszaj tyłek i jazda do parku Seaton. Przed chwilą miałem telefon. Znaleźli Lumleya.
- Logan zwiesił głowę.
- Rozumiem.
 - Będę tam za... Boże, ale śnieżycą. Za pół godziny, może nawet czterdzieści minut. Tylko dyskretnie, sierzancie: bez koguta, bez syreny, po cichutku. Jasne?
- Tak jest.

Latem park Seaton był uroczym miejscem: szerokie trawniki, wysokie, stare drzewa, scena. Ludzie urządzali sobie tu pikniki, grywali w piłkę, kochali się w krzakach. A po zmierzchu obrywali po głowie i tracili portfele - z parku było blisko do akademików uniwersytetu, nowych naiwnych nigdy nie brakowało.

Tego dnia park przypominał jednak scenografię do *Doktora Żywago*. Dzień rozpoczął się na dobre, niebo jednak bynajmniej nie pojaśniało - ciemne i ponure wisiało nad ziemią i sypało śniegiem.

Logan szedł w towarzystwie posterunkowego okutanego jak Eskimos.

Skurczybyk wykorzystywał sierżanta w charakterze wiatrochronu. Zmierzali w stronę niskiego, betonowego budynku w samym środku parku. Jego nawietrzną ścianę pokrywała biała, lodowa skorupa. Na zimę toalety publiczne zamykano i każdy, kogo przypiliło, musiał odcedzać kartofelki za krzakiem.

Obeszli budynek od tyłu, zadowoleni, że osłania ich od wiatru, i stanęli przed wejściem do ulokowanej w małej wnęce części dla kobiet. Drzwi były uchylone, drewno w miejscu zamknięcia połupane i rozszczepione.

224

Solidna mosiężna kłódka zwisała bezużytecznie z wyłamanej skobla. Logan pchnął drzwi i wszedł do środka.

Miał wrażenie, że w toalecie jest jeszcze zimniej niż na dworze. Dwóch umundurowanych policjantów pilnowało trójki dzieci w wieku od sześciu do dziesięciu lat. Para z ich oddechów mieszała się w powietrzu. Dzieciaki na przemian wyglądały to na znudzone, to znów na podekscytowane. Jeden z policjantów spojrzał na Logana.

- Trzecia kabina - powiedział.

Sierżant skinął głową i poszedł się rozejrzeć.

Peter Lumley nie żył - Logan wiedział to w chwili, gdy otwierał pomalowane na czarno drzwi kabiny. Leżał na podłodze, skulony wokół muszli klozetowej, jakby chciał się do niej przytulić. W zimnym świetle ogniście rude włosy miały blady matowy odcień; na woskowej zsiniałej skórze piegi prawie znikły. Podwinięta koszulka zasłaniała buzię i ręce dziecka, odsłaniając brzuch i plecy. Poza nią chłopiec był nagi.

-Biedny maluch...

Logan zmarszczył brwi. Nie mógł podejść bliżej, żeby nie ryzykować zatarcia śladów, ale było oczywiste, że Peterowi niczego nie brakowało.

W toaletach robił się tłok. Insch - czerwony na twarzy i klnący na czym świat stoi - zjawił się zaraz po lekarzu i ludziach z ekipy kryminolo-gicznej. Chłopcy z biura identyfikacji ofiar zgodnie z poleceniem przyszli w cywilnych ubraniach, piechotą, zostawiwszy furgonetkę ze sprzętem na parkingu przy katedrze Świętego Makarego, gdzie nie zwracała uwagi.

Inspektor otrząsnął śnieg z butów. Wszyscy włożyli białe kombinezony, trzęsąc się i narzekając na wściekły ziąb.

- Co mamy? - spytał Insch, kiedy lekarz dyżurny ściągnął kombinezon i zaczął myć ręce w umywalce.
- Chłopiec nie żyje, nie wiem od jak dawna. Zamarzł na kość. Przy takiej pogodzie trudno stwierdzić, kiedy nastąpiło stężenie pośmiertne.
- Przyczyna śmierci?

Lekarz wytarł ręce o podszewkę kurtki.

- Królowa Zimy będzie musiała to potwierdzić, ale moim zdaniem uduszenie.
- Tak jak poprzednio. - Insch zniżył głos, żeby żywe jeszcze dzieci go nie usłyszały. - Są ślady gwałtu?

Lekarz skinął głową. Insch westchnął.

- No właśnie. - Lekarz owinął się, opatulił i pozapinał kolejne warstwy ciepłego ubrania. - Jeśli już nie jestem potrzebny, spadam w jakieś cieplejsze okolice. Na przykład na Syberię.

225

Po stwierdzeniu zgonu ludzie z ekipy w rękawiczkach zaczęli oglądać wszystko, co znaleźli w pobliżu: zbierali włosy i włókna, szukali odcisków palców. Fotograf pstrykał bez ustanku, kamera rejestrowała wszystko i wszystkich. Tylko ciało pozostawało nietknięte. Nikt nie chciał się narażać

na gniew pani patolog - od czasu powrotu Logana do służby Isobel wypracowała sobie naprawdę niezłą reputację.

- Dziś mija tydzień, prawda? - spytał Insch. Stali pod ścianą i przyglądali się ekipie w akcji. Logan przytaknął. Inspektor wygrzebał z kieszeni paczkę galaretek i puścił je wkoło. - I to jaki tydzień, psiakrew - dodał, żując. - Nie myślał pan o tym, żeby iść na urlop? Statystyki miałyby szansę wrócić do normy.

- Bardzo, kurwa, śmieszne. - Logan schował ręce do kieszeni. Nie chciał nawet myśleć o tym, jak ojczym Lumleya przyjmie wiadomość o śmierci chłopca.

Insch ruchem głowy wskazał trójkę dzieci, stojących przy wejściu. Powoli siniały z zimna.

- Co z nimi?

- Mówią, że lepił bałwana. - Logan wzruszył ramionami. - Któremuś zachciało się siku, przyszli tutaj i znaleźli zwłoki.

Spojrzał na dzieci: dwie dziewczynki, ośmio- i dziesięcioletnia, i chłopiec, najmłodszy, sześć lat. Rodzeństwo. Identyczne zadarte nosy i duże, piwne oczy.

- Żal mi ich - stwierdził Insch.

- A mnie nie. Jak pan myśli, jak się tu dostali? Śrubokrętem wyłamali skobel. Patrol złapał ich na gorącym uczynku. - Logan wskazał dwóch zmarzniętych posterunkowych. - Gówniarze by uciekli, gdyby ci dwaj się nie napatoczyli i ich nie złapali.

Insch przeniósł wzrok na policjantów.

- Patrol? Tu, w Seaton? W taki dzień? - Zmarszczył brwi. - Dziwne, nie uważa pan?

Kolejne wzruszenie ramion.

- Tak mówią.

-Hm...

Posterunkowi niepewnie przestępowali z nogi na nogę.

- Myśli pan, że ktoś widział, jak podrzucano ciało?

- Wątpię.

- Ja też.

- Ciała nie podrzucano, tylko je tu schowano. Dzieciaki musiały się włamać. Drzwi zostały zamknięte na kłódkę już po umieszczeniu zwłok w kabinie. Czyli, że to morderca założył kłódkę. Myślał pewnie, że to bez-

226

pieczna kryjówka, że będzie mógł spokojnie wrócić po ciało, kiedy przyjdzie mu na to ochota. Nie wziął jeszcze trofeum. Inspektor uśmiechnął się złowrogo.

- To znaczy, że wróci. A my możemy go złapać.

Zjawiała się doktor Isobel MacAlister: weszła do ubikacji w grubym, wełnianym płaszczu, niosąc ze sobą tuman śniegu. Była w paskudnym humorze. Stała w drzwiach i jednym spojrzeniem ogarnęła sytuację; na widok Logana spochmurniała jeszcze bardziej. Można było pomyśleć, że ma do niego pretensje: nie dość, że popsuł jej wieczór w teatrze, to jeszcze wykazał jej pomyłkę. Uznała, że dziewczynka została zakatowana. A przecież Isobel zawsze ma rację.

- Panie inspektorze - odezwała się, całkowicie ignorując mężczyznę, z którym kiedyś sypiała. - Załatwmy to szybko, dobrze?

Insch wskazał trzecią kabinę i Isobel - w kaloszach - poszła zbadać zwłoki.

- Czy tylko mnie się tak wydaje, czy naprawdę zrobiło się jeszcze zimniej? - spytał szeptem Insch.

Wieczorem poinformowali rodziców. Państwo Lumleyowie milczeli; wyczytali wszystko z twarzy Logana i inspektora, gdy tylko policjanci stanęli w drzwiach. Lumleyowie siedzieli bez słowa na sofie i trzymali się za ręce, słuchając złowieszczych słów Inscha.

Pan Lumley wstał bez słowa, zdjął płaszcz z wieszaka i wyszedł.

Żona odprowadziła go wzrokiem. Odczekała, aż drzwi się za nim zamkną, i dopiero wtedy załżała się łzami. Funkcjonariuszka wydziału spraw rodzinnych podbiegła, podsuwając jej rękaw, w który mogłaby się wypłakać.

Logan i Insch wyszli.

28

Plan był prosty. Liczbę osób odwiedzających miejsce zbrodni zredukujecie się do minimum, kłódka zawiśnie z powrotem na drzwiach. Ciało zostanie dyskretnie usunięte, dwóch funkcjonariuszy będzie stale obserwować toaletę - z daleka, z przytulnego, ogrzewanego samochodu, zaparkowanego w taki sposób, żeby roztaczał się zeń dobry widok na damską łazienkę. Padający stale śnieg przykrył ślady wokół toalet, pozostawiając po sobie gładką białą równinę, z której nie sposób się było domyślić, że ktoś tam

227

wchodził. Dzieciom, które znalazły zwłoki, powiedziano, że mają trzymać język za zębami, jeśli nie chcą zostać oskarżone o włamanie. Nikt nie powinien się dowiedzieć, że znaleziono ciało Petera Lumleya. Morderca wróci z

sekatorem, aby zabrać pamiątkę, a wtedy policjanci go aresztują. Czy mogło być coś prostszego?

Artykuł Millera o tragicznym losie Bernarda Duncana Philipsa - Sprzątacza - trafił na stronę czwartą i znalazł się wśród doniesień o nowych traktorach i dobroczynnej wyprzedaży. Materiał był bardzo dobry, nawet jeśli spadł z czołówki. Miller przedstawił Sprzątacza jako postać godną współczucia, u której tragiczna śmierć matki wywołała zaburzenia w psychice; człowieka inteligentnego, o którym społeczeństwo wołało zapomnieć i który sam musiał teraz zmagać się z otaczającym go, niezrozumiałym światem. Naprawdę wyglądało na to, że policja w Grampian wiedziała, co robi, zwalniając go z aresztu.

Gdyby był to jedyny artykuł Millera w „P & J”, wszyscy w komendzie byliby zadowoleni. Tymczasem drugi przygotowany przez niego materiał zajmował pierwszą stronę gazety i zaczynał się bijącym po oczach nagłówkiem: „Morderca dzieci znowu uderzył! W publicznej toalecie znaleziono zwłoki chłopca”.

- Skąd on się o tym dowiedział, do ciężkiej cholery?!

Insch uderzył pięścią w stół. Podskoczyły kubki, papiery i wszyscy policjanci w sali odpraw.

Plan złapania mordercy, kiedy wróci po swoje trofeum, spalił niniejszym na panewce. „Press and Journal” nie szczędził czytelnikom makabrycznych szczegółów, zionąc słusznym oburzeniem.

-Mieliśmy szansę dorwać skurwiela, zanim znów kogoś zabije! -Insch trząśł się ze złości. Porwał gazetę z biurka i odwrócił ją tak, żeby wszyscy mogli zobaczyć pierwszą stronę. - Mogliśmy go złapać! A teraz zginie

kolejne dziecko, bo jakiś kutafon nie umie trzymać ryja na kłódkę!

Rzucił gazetą, która pofrunęła w powietrze, a po uderzeniu o ścianę rozpadła się deszczem luźnych stron. Za plecami Inscha stał inspektor Napier w galowym mundurze. Miał rude włosy, ale poza tym wyglądał wypisz, wymaluj jak śmierć we własnej osobie. Nic nie mówił - patrzył tylko spod zmarszczonych brwi na zebrany w sali tłum.

- Powiem wam, co teraz zrobię - mówił dalej Insch. Wyjął z kieszeni brązowy skórzany portfel, otworzył go i wyciągnął garść banknotów.
- Ten, kto pierwszy przyjdzie do mnie z nazwiskiem, dostaje tę kasę. -
Z impetem rzucił pieniądze na stół.

228

Przez chwilę było całkiem cicho.

Logan wyjął portfel i dorzucił do stosiku całą swoją gotówkę.

Zapoczątkował lawinę: posterunkowi, detektywi w cywilu, sierżanci - wszyscy zaczęli opróżniać kieszenie i dokładać się do stosu. Kiedy skończyli, na stole powstała całkiem pokaźna kupka gotówki - może nie największa w kategorii nagród pieniężnych, ale na pewno darowana od serca.

- Pięknie. - Insch uśmiechnął się kwaśno. - Ale dalej nie wiemy, kto jest tą gadułą.

Wrócili na swoje miejsca. Insch chyba był z nich dumny; wyraz twarzy Napiera trudniej było odczytać: wodził wzrokiem po zebranych w sali ludziach, szukał śladów wyrzutów sumienia, niepokojąco często wracał spojrzeniem do Logana.

- No dobrze - ciągnął Insch. - Albo mamy wśród nas łajdaka, który myśli, że jak się dorzuci do puli, zostanie oczyszczony z podejrzeń, albo kret Millera podlega komuś innemu. Mam nadzieję, że zachodzi ten drugi

przypadek. - Spoważniał. - Bo jeśli to ktoś z was, własnoręcznie go ukrzyżuję. - Usiadł na skraju biurka. - Sierzancie McRae, proszę przydzielić zadania.

Logan wyczytał nazwiska z listy. Jedne zespoły miały dokładnie przeczesać park, inne przejść się po domach i popytać, czy nikt nie widział, jak podrzucano zwłoki, a reszta miała zająć się sprawdzaniem doniesień telefonicznych od zatroskanych obywateli - większość zgłoszeń przyszła wkrótce po tym, jak rozeszła się wieść o zwolnieniu Sprzątacza z aresztu. To wprost niesamowite, ilu ludzi nagle przypomniało sobie, że widziało dwukołowy wózek Philipa w pobliżu miejsc, gdzie znikwały dzieci.

Odprawa dobiegła końca i sala powoli pustoszała. Wychodzący spoglądali przelotnie na stosik pieniędzy przy wyjściu; twarze mieli zacięte i ponure jak pogoda za oknem. W końcu w pokoju zostali tylko Logan, Insch i Napier.

Insch zgarnął pieniądze do dużej szarej koperty, na której dużymi, czarnymi literami napisał „Nagroda”.

- Jakież pomysły?

Logan odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Ktoś z ekipy kryminologicznej? Zawsze się ich wzywa do zgonów.

Napier z powątpiewaniem uniósł brwi.

- To, że wasz zespół zrobił zrzutkę, nie oznacza jeszcze, że wszyscy są w nim niewinni. To może być każdy. - Mówiąc to, patrzył Loganowi w oczy. - Każdy.

Insch - z marsem na czole i nieobecny spojrzeniem - pograżył się w zadumie.

- Mogliśmy go złapać - powtórzył jeszcze raz. Zakleił kopertę. - Mogliśmy obstawić okolicę i sam wlałby nam w ręce.

Logan pokiwał głową. Mogli go mieć. Napier nie spuszczał z niego wzroku.

- Trudno. - Insch z westchnieniem schował kopertę do kieszeni na piersi. - Pan wybaczy, inspektorze, o dziewiątej mamy autopsję. Nie chcemy libyśmy się spóźnić, bo dawna sympatia Logana wypruje nam flaki.

Kiedy zeszli do mieszczącego się w podziemiach prosektorium, pani doktor miała już publiczność. Kudłaty kochaś miotał się wokół niej na swój zniewieściały, kretyński sposób. Trzech studentów medycyny stało obok, trzymając notatniki w pogotowiu - najwyraźniej spieszno im było dowiedzieć się, jak pokroić zamordowanego czterolatka. Isobel nie zaszczyciła Logana spojrzeniem; z inspektorem przywitała się oschłym dzień dobry.

Na stole leżał nagi Peter Lumley, chorobliwie blady i bardzo, bardzo nieżywy. Studenci notowali, kochaś skamlał, a Isobel cięła, badała, pobierała, ważyła. Powtórka z Davida Reida, z tą różnicą, że zwłoki nie zdążyły aż tak się rozłożyć i nie zostały okaleczone: uduszony jakimś kablem, najprawdopodobniej w plastikowej izolacji, sztywny przedmiot wprowadzony do odbytu po śmierci.

Kolejne martwe dziecko na stole w prosektorium.

Kiedy dręczony mdłościami Logan wrócił do siebie, w swoim pokoju operacyjnym nikogo nie zastał. Ze ściany spoglądała pozbawiona wyrazu twarz Geordiego Stephensona. Dwie sprawy. Obie dalekie od rozwikłania.

Na biurku czekała na niego pękata koperta z laboratorium, zaadresowana „Sierżant Łazarz McRae”

- Łobuzy...

Usiadł przy biurku i otworzył kopertę. Wypadł z niej raport laboratoryjny, z którego wyrzucono wszystkie zrozumiałe słowa i zastąpiono je niemożliwym do rozszyfrowania żargonem, oraz wykonany z kremowej żywicy odlew szczęki z zębami.

Logan wyjął zęby z torebki. Zmarszczył brwi. Ktoś spartolił robotę: miał dostać odlew zębów, których ślady znaleziono na ciele Geordiego - zębów Colina McLeoda. A te, owszem, pasowałyby do Colina, ale pod warunkiem że byłby wilkołakiem. Lekko szczerbatym wilkołakiem...

Ciarki przeszły mu po plecach, kiedy sięgnął po nieprzeczytany jeszcze raport z sekcji zwłok Stephensona. Fragment odnoszący się do śladów pogryzienia nie pozostawiał cienia wątpliwości.

Logan zamknął oczy i zaklął.

230

Pięć minut później wybiegł przez drzwi wejściowe, ciągnąc za sobą zaskoczoną posterunkową Watson.

Turf n'Track wyglądał równie niechlujnie i niegościnnie jak ostatnim razem. Śnieg nie przydał mu radosnej, świątecznej aury - przeciwnie, przysadziste betonowe klocki wyglądały jeszcze bardziej ponuro niż zwykle. Watson wprowadziła wóz na parking i czekali - słuchając zawodzenia wiatru i wpatrując się w kłęby śniegu - na potwierdzenie, że radiowóz Q-31 zajął pozycję na tyłach lokalu. Q-31 zwykle nie patrolowało tej okolicy, ale akurat teraz byli wolni.

Ktoś zapukał w okno po stronie pasażera. Logan podskoczył.

Na zewnątrz stał zdenerwowany mężczyzna z grubym ochraniaczem na ramię i rękę. Logan uchylił okno.

- Ten owczarek... duży jest?

Po jego minie było widać, że modli się o odpowiedź przeczącą. Logan pokazał mu odlew szczęki, czym specjalnie go nie uszczęśliwił.

•No tak... Spory. I zębów ma dużo. - Westchnął. - Super.

Sierżantowi przypomniał się posiwiały pysk psa.

•Nie wiem, czy to pana pocieszy, ale ma już swoje lata.

- Aha... - Treser był coraz bardziej przygnębiony. - Duży, zębaty, do świadczonego.

Miał ze sobą stalowy pręt z plastikową pętlą na jednym końcu. Kiedy uderzył się nim w głowę, kropelki wody bryznęły do wnętrza samochodu.

Radio zatrzeszczało i ludzie z Q-31 zameldowali, że zajęli pozycję. Czas ruszać.

Logan wygramolił się z wozu i stanął na śliskiej nawierzchni. Posterunkową pierwsza dopadła do drzwi Turf n'Track. Przywarła plecami do ściany przy drzwiach, z pałką gotową do ciosu - zupełnie jak na filmach. Sierżant ruszył za nią - zgarbiony, z rękami w kieszeniach i czerwonymi od mrozu uszami. Za nim szli dwaj treserzy, którzy przy drzwiach wzięli przykład z posterunkowej, ściskając w dłoniach metalowe tyczki.

Logan spojrział na całą trójkę i pokręcił głową.

- To nie *Policjanci z Miami*.

Uchylił drzwi, zza których dobiegł ogłuszający zgiełk.

Śmierdziało mokrym psem i dymem z ręcznie skręcanych papierosów. Przystąpił próg i czekał, aż wzrok przywyknie mu do półmroku. W rogach pomieszczenia, nad kontuarem, ryczały dwa włączone telewizory. Oba były nastawione na relację z tego samego wyścigu psów. Obraz podskakiwał, głośniki rzeziły.

Czterej mężczyźni, siedzący na wyszczerbionych plastikowych krzesłach, nie odrywali wzroku od telewizorów i wrzeszczeli ile sił w płucach:

- Szybciej, kurwo leniwa! Szybciej!

Narwańca nie było nigdzie widać, ale jego pies z wywieszonym ozorem leżał na podłodze przy elektrycznym kominku. Sierść parowała mu od gorąca.

Powiew wiatru z otwartych drzwi wdarł się w półmrok, niosąc tuman śniegu. Zafurkotały wiszące na ścianie plakaty. Jeden z mężczyzn, potężnej budowy, ubrany jak kloszard, który zrobił sobie wolne, nie odwracając się, krzyknął.

- Zamknijcie te cholerne drzwi!

Wiatr zmierzwił sierść owczarka. Łapy psa drgnęły, jakby przyśniło mu się, że za czymś biegnie. Za czymś smakowitym - może za królikiem. A może za policjantem.

Watson i treserzy wśliznęli się do środka i zamknęli za sobą drzwi. Patrzyli na śpiącego owczarka jak na bombę zegarową. Jeden z treserów obliznął nerwowo wargi, opuścił pętlę na kiju tuż nad podłogę i krok za krokiem posuwał się naprzód; gdyby udało się schwytać psa, dopóki śpi, może nikt nie zostałby pogryziony. Klienci cały czas wpatrywali się w telewizory. Treser zbliżył się do owczarka na tyle, że czubek pętli zawisł dosłownie centymetry od pyska zwierzęcia. Chart z żółtym numerem startowym wpadł właśnie na metę wyścigu, o włos wyprzedzając konkurenta z numerem niebieskim. Dwaj kibice zerwali się z krzesel i zaczęli wiwatować, dwa pozostali klęli jak szewcy.

Pies zastrzygł uszami i zadarł łeb. Przez ułamek sekundy wpatrywał się w

tresera, drąg i pętlę.

Treser kwiknął i rzucił się na niego - ale nie dość szybko. Psisko zerwało się na równe nogi i wszczęło wściekły jazgot. Pętla chybiła, drąg uderzył o kominiek i strzaskał szkło.

Czterej mężczyźni odwrócili się i spojrzeli na psa. A zaraz potem - na czworo policjantów.

-Co jest, kurwa?!

Wszyscy czterej wstali: zaciśnięte pięści i tatuaże. Zęby obnażone jak u owczarka.

W głębi rozległ się trzask i otworzyły się drzwi na zaplecze. W progu stanął Simon McLeod. W pierwszej chwili na jego twarzy malowała się irytacja, zaraz potem złość.

-Nie chcemy kłopotów! - zawołał Logan, przekrzykując szczekanie psa. - Musimy porozmawiać z Dougiem MacDuffem.

232

Simon sięgnął ręką do przełącznika i zgasił światło. Zrobiło się ciemno. Szarozielona poświata telewizorów nie rozjaśniała wnętrza, podkreślała tylko kontury sylwetek.

Treser pierwszy krzyknął z bólu. Trzask, warknięcie, łoskot ciała padającego na podłogę. Obok głowy Logana świsnęła pięść. Uchylił się i sam uderzył na oślep. Poczul pod knykciami pękającą skórę i kość, usłyszał stłumiony krzyk, coś ciepłego bryznęło mu na policzek. Znowu trzask. Modlił się w duchu, żeby to nie była posterunkowa Watson.

Pies szczekał jak najęty - w przerwach między kąsaniem i warczeniem. Telewizory ryczały ogłuszająco: szykował się następny wyścig, charty już czekały w boksach startowych. Ktoś dźgnął Logana prętem w plecy. Sierżant

zatonął się, potknął o leżące ciało i padł jak długi na ziemię. Czyjaś stopa stąpnęła ciężko tuż obok jego głowy, ale zaraz znów zniknęła.

Białe światło zalało pomieszczenie. Logan wykręcił szyję i zobaczył w progu skuloną postać. Jeden treser leżał na ziemi; rozwścieczony owczarek tarmosił go za opatulone osłoną ramię. Posterunkowa Watson krwawiła z nosa, ale założyła nelsona barczystemu, wytatuowanemu mężczyźnie. Drugi z napastników przytrzymał drugiego tresera, a trzeci bandyta systematycznie okładał go po brzuchu. Logan leżał na człowieku w jedno-częściowym kombinezonie, który stracił większość przednich zębów.

Sylwetka w drzwiach okręciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki.

Doug Narwaniec!

Logan zaklął, podniósł się i skoczył do drzwi. Czyjaś dłoń zacisnęła mu się na kostce i runął na podłogę. Wyrznął z całej siły o deski; blizny na brzuchu zawyły z bólu. Druga ręka złapała go wyżej, za podudzie.

Stęknął z bólu, namacał w ciemności walającą się po podłodze butelkę z whisky, złapał ją jak pałkę i uderzył. Z tępym dźwiękiem trafił w głowę przeciwnika. Ręce zaciskające się na nodze zwiotczały.

Odczołgał się do tyłu, wstał i zataczając się, wypadł na dwór. Brzuch palił go żywym ogniem, tak jakby ktoś wstrzyknął mu do żołądka benzynę i ją podpalił. Syknął przez zaciśnięte zęby, wyciągnął komórkę i kazał Q-31 ruszać do bukmachera, ale już! Oparł się o barierkę oddzielającą rząd sklepów od parkingu. Doug mógł wprawdzie próbować biec, ale nie był już młodzieniaszkiem - daleko nie ucieknie.

Z lewej: pusta ulica i zaparkowane samochody, ginące w tumanach śniegu. Z prawej: szara przestrzeń ceglano-betonowych komunalnych bloków, kolejne samochody. I ktoś wbiegający do jednego z ponurych budyn-

ków.

Odkleił się od barierki i rzucił w pościg. Radiowóz Q-31 z wyjąca syreną i włączonymi światłami wpadł na parking.

233

Wiatr ciał mu twarz igiełkami lodu. Chodnik był zdradliwy, w każdej chwili groził pośliznięciem w marznącej brei. Logan brnął pod górkę, w stronę kamienicy, w której zniknął Doug. Dwoma skokami pokonał schodki i z łomotem wpadł przez frontowe drzwi do środka. Było cicho i ciemno. Para z jego oddechu zamglila powietrze. Ciemne plamy przy futrynach, ciągnące się w dół mniej więcej od wysokości pasa, świadczyły o tym, że ktoś regularnie obsikuje sąsiadom drzwi. Odór moczu w zimnym powietrzu gryzł w nozdrza.

Logan stanął jak wryty. Był zdyszany, oczy łzawiły mu od smrodu uryny. Doug mógł się schować w pierwszym lepszym mieszkaniu - albo czyhać na schodach, tuż poza zasięgiem światła padającego przez drzwi. Logan ostrożnie przesunął się do przodu. Douga nie dostrzegł, ale tylne drzwi na klatkę schodową były uchylone.

-Cholera jasna...

Odetchnął głęboko i wybiegł na tyły domu, w zadymkę.

Osiedle zbudowano w taki sposób, że rzędy dwu- i trzypiętrowych bloków oddzielono komunalnym pasem zieleni - który nawet w najlepszych czasach nie był przesadnie zielony. Świeże ślady, powoli ginące pod padającym śniegiem, prowadziły do bloku naprzeciwko.

Logan przebiegł za nimi przez następny dom. Ulica, kolejny rząd bloków. Trzasnęły drzwi. Pośliznął się, ale przemknął przez jezdnię, otworzył drzwi, przebiegł korytarzem i znów wypadł na dwór. Tym razem jednak nie miał przed sobą kolejnych bloków, lecz dwumetrowe ogrodzenie z siatki,

oddzielające placyk przy bloku od pasa zapuszczonej ziemi niczyjej. Dalej rozciągały się tereny przemysłowe, nad którymi górowały dwa wieżowce: Tillydrone.

Doug MacDuff wspinał się na siatkę.

- Stać, policja! - Logan brnął przez śnieg, potykając się, ślizgając, ale zanim dopadł do ogrodzenia, stracił Douga z oczu. - Co ty, psiakrew, jakiś Houdini jesteś? - mruknął.

Dopiero wdrapując się na płot, zrozumiał, w jaki sposób Doug zniknął. Siatka oddzielała osiedle Sandilands Estate od przebiegających na północ od miasta torów kolejowych. W gąszczu krzewów i chwastów wykop, którym poprowadzono tory, był kompletnie niewidoczny. Doug zjechał po stromej skarpie na jego dno.

Już nie biegł tak szybko. Kulejąc, uciekał wzdłuż torów. Jedną rękę przyciskał do brzucha.

Logan przewinął się przez górną krawędź ogrodzenia i spadł na ziemię. Nogi spod niego wyjechały - a grawitacja załatwiła resztę. Stoczył się po skarpie jak kamień, przedzierając się przez kępy kolcolistów i paproci, i wylądował na ostrym żwirze przy torach. Zawył z bólu. Z rozcięcia

234

na wierzchu dłoni sączyła się krew, w głowie szumiało mu od uderzenia o ziemię, ale najgorsza była eksplozja bólu we wnętrznościach. Od spotkania z Angusem Robertsonem minął rok, ale Potwór z Mastrick wciąż umiał zadać mu ból.

Wysokie stoki osłaniały dno wykopu przed wiatrem: śnieg sypał równo w nieruchomym powietrzu jak wolno opadająca puchowa kołdra.

Logan leżał na boku, jęczał z bólu i walczył z atakiem mdłości. Śnieg

osiadał na nim spokojnie. Nie mógł się poruszyć, miał jednak doskonały widok na oddalającego się Douga, który właśnie w tej chwili obejrzał się za siebie i stwierdził, że policjant, który przed chwilą go ścigał, teraz leży bezradnie niemal na samych torach kolejowych i krwawi. Zatrzymał się i patrzył na Logana. Para buchała mu z ust w olbrzymich obłokach.

Zawrócił i ruszył ku Loganowi. Sięgnął do kieszeni. W jego dłoni coś błysnęło. Coś ostrego.

Zimny dreszcz przeszył Logana.

-O Boże...

Próbował się przetoczyć, podnieść z ziemi, zanim Doug go dopadnie, ale ból w brzuchu był nie do zniesienia i nawet wizja nieuchronnej śmierci nie mogła go zmusić do wstania.

- Nie trzeba było mnie gonić - wysapał zdyszany Doug. - Wystarczyło pilnować swojego nosa. A teraz? Będę ci musiał dać nauczkę, panie Wieprzu.

Podniósł rękę: trzymał w niej nóż tapicerski z rozłożonym ostrzem. -Nie, Boże, nie... Znowu to samo!

- Bardzo lubię boczek. - Twarz Douga była czerwona, pomarszczona i poznaczona siną siatką pękniętych naczynek. Pokryte bielmem oko miało kolor śniegu, a krzywy uśmiech był brązowy od nikotyny. - Ale żeby boczek był smaczny, trzeba go cienko pokroić.

-Nie...

Logan rozpaczliwie próbował przewrócić się na brzuch.

- Chyba się nie rozpłaczesz, świnió, co? A może jednak? Rozryczysz się jak wstrętny bachor? No, nie zdziwiłbym się. Bo to będzie kurewsko bolało.

-Nie... Proszę! Nie musisz...

-Nie muszę? - Doug parsknął śmiechem, który szybko przeszedł w chrapliwy kaszel. Splunął czarno-czerwoną śliną. - Co mam do stracenia? - zapytał, kiedy już złapał oddech. - No? Mam raka, świnió. Taki miły gość ze szpitala powiedział, że daje mi rok, góra dwa lata. I to będzie główniany czas. A wy mnie chcecie przyskrzynić, skurwiele. Mam rację?

235

Logan zacisnął zęby i zaczął się podnosić. Zdążył się dźwignąć na kolana, kiedy Doug postawił mu nogę na plecach i pchnął mocno. Logan uderzył pierś o żwir.

-Aaaa...

-No więc. Chcecie mnie zamknąć. Żywy już z pierdła nie wyjdę; wcześniej rak zeżre mi płuca i kości. Co mi zrobią, jeśli cię teraz poszatkuje? I tak kipnę przed końcem odsiadki. Jeden trup czy dwa... Co to za różnica?

Logan stęknął i obrócił się na plecy. Zimne płatki śniegu padały mu teraz na twarz.

Niech mówi. Niech gada jak najdłużej, może ktoś przyjdzie. Któryś z naszych. Watson. Ktokolwiek. Boże, błagam, niech się ktoś zjawi!

- Czy... Czy to dlatego zabiłeś Geordiego Stephensona?

Doug się roześmiał.

- Co jest? Myślisz, że teraz sobie pogadamy jak starzy kumple i ja się do wszystkiego przyznam? Niech stary pierdziel gada, to może puści farbę? - Pokręcił głową. - Za dużo oglądasz telewizji, świnió. Zamiast puścić farbę, po prostu wypruję ci flaki.

Pogroził Loganowi nożem.

Logan kopnął go w kolano. Mocno. Rozległ się suchy trzask i Doug upadł. Wypuścił z ręki nóż i złapał się za kolano.

- Ty skurwysynu!

Sierżant zacisnął zęby, syknął z bólu, przeturlał się na bok i wymierzył Dougowi drugiego kopniaka - tym razem w głowę, pozostawiając kilkucentymetrowe rozcięcie.

Doug stęknął i złapał się za krwawiącą skroń. Logan kopnął po raz trzeci. But zmiażdżył dwa palce Douga.

-Kurwa mać!

Mógł być stary i walczył z rakiem, ale zapracował na reputację twardziela w najostrzejszych szkockich więzieniach. I to ciężko. Teraz wyszczerzył zęby i na czworakach wycofał się poza zasięg ciosów Logana - a potem rzucił się na niego i zacisnął mu na gardle poplamione nikotyną palce. Z wykrzywioną w okrutnym grymasie twarzą zaczął dusić sierżanta.

Logan złapał go za ręce, próbując rozewrzeć ich uścisk, ale dłonie Douga przypominały żelazne imadło. Świat powoli przybierał czerwony odcień, w uszach dudniło tętno. Zacisnął jedną dłoń w pięść, wziął zamach i uderzył Douga sierpem w twarz. Stary sapnął, ale nie puścił. Krzywiąc się, Logan bił raz za razem; krew z ran bandyty skapywała mu na twarz i barwiła śnieg na różowo, a on walczył o życie. Doug miał już pękniętą szczękę, niewidzące oko skryło się pod opuchlizną, a Logan okładał go bez litości. Świat czerniał.

236

Jeszcze raz, i jeszcze, i jeszcze... W końcu zaciśnięte na gardle dłonie osłabły, Doug zwiotczał i osunął się w zakrwawiony śnieg.

Przewieźli Douga MacDuffa na ostry dyżur, gdzie trafił prosto do pokoju diagnostycznego. Wyglądał jak śmierć. Pomarszczoną twarz pokrywała rozrastająca się szybko mozaika krwiałaków, oddech miał płytki i rzęzący. W karetce, w drodze do Szpitala Królewskiego, nie odzyskał przytomności - leżał bezwładnie na noszach i krwawił z poobijanej twarzy.

Pielęgniarze nie odezwali się do Logana słowem - dowiedzieli się, że to on tak pobił biednego emeryta.

Roztrzęsiony Logan patrzył, jak pielęgniarka podłącza Douga do stojaka z aparaturą, której popiskiwanie wyznaczało rytm bicia jego serca. Dopiero potem podniosła wzrok na stojącego przy noszach sierżanta.

Będzie pan musiał stąd wyjść. - Zaczęła rozpinać Dougowi koszulę.
- Został poważnie pobity.

- Wiem - przyznał. Nie wspomniał o tym, że osobiście pobił MacDuffa.

Głos miał chrapliwy, zboląły.

- Jest pan może krewnym? - spytała pielęgniarka z profesjonalną troską i zainteresowaniem, ostrożnie odsłaniając tors MacDuffa.

-Nie, policjantem. Sierżant McRae. Znieruchomiała ze zmartwiałą twarzą.

- Mam nadzieję, że złapiecie tego, kto to zrobił. Powinien dostać dożywocie! Żeby tak pobić staruszka!

Pojawił się lekarz: niski, łysawy, podenerwowany mężczyzna z notatnikiem. Nie chciał nawet słyszeć, że Logan jest policjantem: wszyscy musieli opuścić pokój, żeby pacjenta można było spokojnie zbadać i rozpocząć leczenie.

-Nazywa się Douglas MacDuff - powiedział Logan, starając się nie stracić cierpliwości. - Jest podejrzany o morderstwo. Może być niebezpieczny.

Pielęgniarka cofnęła się od noszy, wycierając dłonie o fartuch. Lateksowe rękawiczki skrzypnęły tępo na niebieskim materiale. Dźwięk przebił się przez rytmiczne ping i bip aparatury.

Logan ostrożnie dotknął szyi. Z wysiłkiem przełknął ślinę.

- Przyślę kogoś, żeby miał go na oku - zapowiedział.

237

Pielęgniarka uśmiechnęła się do niego niepewnie, ale ponieważ lekarz zaczął już opukiwać pacjenta, odetchnęła głęboko i wróciła do pracy.

Logan ściągnął jakiegoś funkcjonariusza, kazał mu mieć MacDuffa na oku i wyszedł. Na korytarzu omal nie wpadł na pielęgniarkę popychającą wózek zastawiony fiolkami pełnymi leków. Odwrócił się, chcąc przeprosić, i spojrzał w znajomą twarz: matka Lorny Henderson miała potężnego siniaka pod okiem. Próbowwała go zamaskować grubą na dziesięć centymetrów warstwą makijażu, ale niewiele to pomogło.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Nerwowym gestem musnęła opuchliznę pod okiem i uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Nic mi nie jest. - Głos odrobinę się jej łamał. - Czuję się świetnie. A pan?
- Czy ktoś panią uderzył, pani Henderson?

Przygłodziła błękitny pielęgniarski fartuch. Odparła, że nie. Wpadła na drzwi. Zwykły pech. Nic się nie stało.

Logan potraktował ją znakiem firmowym inspektora Inscha - przedłużającym się milczeniem.

W końcu fałszywy uśmiech się rozplynął. Twarz pani Henderson była blada i obwisła.

- Kevin wpadł do domu. Pijany. - Skubnęła przypiętą do piersi plakietkę z nazwiskiem. Nie patrzyła Loganowi w oczy. - Myślałam, że wrócił do mnie, wie pan... Że rzucił tamtą sukę bez biustu. Ale on tylko powiedział, że to przeze mnie Lorna zginęła. Że nie powinnam jej była wysadzać z auta. Że to ja ją zabiłam... - Podniosła wzrok. Oczy jej się zaszklily. - Próbowałam mu wytłumaczyć, że razem będzie nam łatwiej przez to przejść. Że moglibyśmy nawzajem się wspierać. Że nadal go Kocham i wiem, że on też mnie Kocha. - Jedna duża łza spłynęła jej po policzku. Otarła ją wierzchem dłoni. - Rozzłościł się i zaczął krzyczeć jeszcze głośniejszym głosem... Zasłużyłam sobie. To moja wina! On już nie wróci...

Rozplakała się, zapomniała o wózku i pobiegła przed siebie korytarzem.

Logan patrzył, jak znika za dwuskrzydłowymi drzwiami. Westchnął ciężko.

Posterunkowa Watson siedziała w poczekalni z głową odchyloną do tyłu i zwitkiem zmiętego papieru toaletowego przyciśniętym do twarzy. Papier był cały czerwony.

- Jak nos? - spytał Logan, sadowiąc się na sąsiednim krześle. Z trudem powstrzymywał dreszcze.
- Boli. - Spojrzała na niego kątem oka. - Ale chyba nie jezdź złamany. A co u naszego więźnia?

238

Logan wzruszył ramionami i natychmiast tego pożałował.

- Co z innymi? - zakrzeczał.

Jackie Watson wskazała drugą część korytarza, gdzie mieściły się pokoje zabiegowe.

- Jeden dreser ma pęgnięte żebra. Reszta okej. - Uśmiechnęła się i zaraz

skrzywiła z bólu. - Auć! Któryś z damtych stracił zęby.. - Znów zerknęła z ukosa na Logana, który chyba dziesiąty raz obmacywał sobie szyję. -A ty jak?

Rozchylił kołnierzyk koszuli, odsłaniając przyduszone gardło w pełnej krasie. Watson skrzywiła się odruchowo, tym razem ze współczuciem. Palce Douga zostawiły na skórze czerwonosine ślady. Dwa największe sińce rysowały się z boków tchawicy: to kciuki, którymi próbował wydusić z Logana życie.

- Co ci się stało?!

- Upadłem i nie mogłem wstać. - Logan roztarł obolałą szyję. -A pan MacDuff postanowił ten mój stan utrwalić.

Błysk światła na ostrzu. Wzdrygnął się. -A to drań!

Logan prawie się uśmiechnął. Miło było dla odmiany mieć kogoś po swojej stronie.

Inspektor Inch był mniej wyrozumiały. Kiedy wrócili do komendy - Logan z nową fiolką środków przeciwbólowych, posterunkowa Watson z potwierdzeniem, że nos nie został złamany - sierżant dyżurny przekazał im wiadomość: Logan miał natychmiast zameldować się u inspektora.

Kiedy wszedł do gabinetu, Inch stał tyłem do drzwi. Ręce miał splecione za plecami, łysina błyszczała w świetle lamp. Patrzył przez okno na padający nieubłaganie śnieg.

- Co pan sobie wyobrażał, sierżancie?! Że co pan robi, do cholery?!

Logan roztarł szyję i odparł, że usiłował aresztować zabójcę Geordiego Stephensona. Inch westchnął.

- Sierżancie, pobił pan starszego człowieka do nieprzytomności.

W szpitalu stwierdzono, że jego stan jest ciężki. Co będzie, jeśli umrze?

Wyobraża pan sobie, jak to będzie wyglądało w gazetach? „Policjant pobił emeryta na śmierć”. Co pan wyprawia?!

Logan odchrząknął. Nie powinien był tego robić. Bolało.

- Działiałem w obronie własnej.

Insch okręcił się na pięcie. Twarz miał czerwoną jak burak.

239

-Można się bronić, ale żeby zmasakrować starszego... - Urwał, widząc posiniaczoną szyję Logana. - Co się stało? Watson się zapomniała przy kolejnej malince?

- MacDuff próbował mnie udusić, panie inspektorze.

- To dlatego go pan pobił? Logan skinął głową i się skrzywił.

- Inaczej by mnie nie puścił. - Wyjął z kieszeni foliową koszulkę i drżącą ręką rzucił ją inspektorowi na biurko. Brzęknął tapicerski nóż. - Chciał mnie nim pokroić.

Insch wziął nóż do ręki, obrócił go w palcach, obejrzał z bliska.

- To miłe, że stare metody wciąż się sprawdzają- stwierdził i spojrzał Loganowi w oczy. - Zostanie pan prawdopodobnie zawieszony do czasu wyjaśnienia tej sprawy. Jeżeli Doug postanowi złożyć skargę... - Wzruszył ramionami. - Wie pan, jaka jest sytuacja. Nie potrzebujemy złej prasy.

- On chciał mnie zabić...

- Pobił pan staruszka do nieprzytomności. Powody nie mają znaczenia, ludzie tylko to zobaczą. Brutalność policji w najgorszym wydaniu.

Logan nie wierzył własnym uszom.

- Odstawi mnie pan na boczny tor?

- Ja nic nie zrobię, sierzancie. Wydział wewnętrzny mi nie pozwoli. Nie mam takich kompetencji.

W pokoju operacyjnym znajdował się tylko Logan i jego papiery. Na biurku stał kubek zimnej kawy i napoczęta paczka czekoladek, a sierżant siedział w półmroku i usiłował opanować dreszcze.

Nóż.

Przetarł twarz dłonią. Od dawna nie wracał pamięcią do tamtej nocy: leży na dachu bloku, na wpół przytomny, a Angus Robertson razem za razem dźga go nożem... A teraz za sprawą Narwańca wspomnienia ożyły.

Wypełnił wszystkie wymagane formularze, tłumacząc, jak doszło do tego, że z jego winy stary wyładował w szpitalu. Spędził wesołe pół godziny w towarzystwie inspektora Napiera, który zadawał mu sugerujące odpowiedź pytania i nie pozostawił cienia wątpliwości co do dalszego rozwoju sytuacji. Teraz pozostało tylko siedzieć i czekać na informację o zawieszeniu w czynnościach służbowych. Minął tydzień, odkąd wrócił do pracy, i już mógł się pożegnać z karierą w policji. I to nie ze swojej winy.

Westchnął i spojrzał na martwą twarz Geordiego Stephensona. Najgorsze było to, że Douga będzie teraz trudniej skazać: przysięgli zobaczą w nim nieszczęśliwego dziadunia pobitego przez policję, która próbuje go zrobić w morderstwo edynburskiego bandziora. Jak ten starowina mógł

240

kogoś zabić? Jest przecież taki delikatny! Prokurator generalny palcem nie kiwnie w tej sprawie.

Logan spuścił głowę i oparł ją na stosie papierów.

- Psiakrew! - Uderzał czołem o blat, mruczając do rytmu: - Psia-krew,

psia-krew...

Przerwał mu wściekły dzwonek telefonu komórkowego. Westchnął, wyjął aparat z kieszeni i podniósł do ucha.

- Logan, słucham - powiedział bez entuzjazmu.
- Sierżant McRae? Mówi Alice Kelly, poznaliśmy się wczoraj, pamięta pan? Opiekowałam się panem Philipsem...

Przed oczami stanęła mu nieładna policjantka w cywilu, z mnóstwem pierścionków na palcach.

- Tak, pamiętam. - Usiadł prosto. - Ale czemu mówi pani „opiekowałam”? Gdzie on jest?

- No właśnie... Dlatego dzwonię. - Zakłopotane milczenie. - Posterunkowy Harris poszedł do sklepu po mleko i chipsy. Ja brałam akurat prysznic...

- Proszę mi nie mówić, że go zgubiliście!
- Nie, nie zgubiliśmy. Nie tak zupełnie. Pewnie wyszedł się przejść. Wróci, jak tylko się ściemni...

Logan zerknął na zegarek: wpół do czwartej. Już się ściemniło.

- Szukaliście go?
- Posterunkowy Harris szuka cały czas. Ja siedzę w domu, bo może wróci. Logan znów uderzył głową w stół.
- Halo? Halo?! Czy coś się stało?
- Nie wróci - wycedził Logan przez zaciśnięte zęby. - Zgłosiliście zaginięcie do centrali?

Znowu to samo: wstydliva pauza.

- Do diabła z tym, sam ich zawiadomię.
- A co ja mam zrobić?

Logan -jako dżentelmen - nie odpowiedział.

Dziesięć minut później wszystkie radiowozy w Aberdeen otrzymały rozkaz wypatrywania błakającego się po ulicach Sprzątacza - chociaż nie trzeba było jasnowidza, żeby domyślić się, dokąd pójdzie: prosto na farmę, do szop pełnych trupów.

Z Summerhill do Cults był ładny kawałek drogi, zwłaszcza w śnieżycy, ale Sprzątacz przywykł do długich spacerów. Ze swoją prywatną kostnicą na kółkach przemierzał przecież wszystkie ulice i zaułki, zbierając po drodze zabite zwierzęta.

241

Tym razem jednak nie dotarł tak daleko. Trzy i pół godziny później znaleziono go w lasku w Hazlehead w kałuży zamarzającej krwi.

Lasek wyglądał baśniowo - tylko czerń i biel, stare, powykręcane drzewa skute warstewką lodu i przysypane śniegiem. Logan wolniutko prowadził samochód wąską krętą drogą biegnącą przez środek lasku. Musiał bardzo uważać, żeby nie wpaść w poślizg i nie wylądować na drzewie.

Dwa kilometry od wjazdu do lasu znajdował się parking - utwardzony przez lata użytkowania plac, teraz pokryty śniegiem. Na środku rósł potężny, samotny jesion w zimowej szacie, otoczony policjantami krzątającymi się po parkingu bez żadnego widocznego celu. Wydmuchiwali kłęby pary i odmrażali sobie klejnoty rodowe.

Logan zatrzymał samochód obok brudnej furgonetki biura identyfikacji ofiar, wyłączył silnik i wysiadł. Zimne powietrze było jak uderzenie w twarz. Trzęsąc się z zimna, przeszedł do namiotu rozstawionego nad miejscem zbrodni, i modlił się w duchu, żeby w środku było cieplej. Nie było. Najwięcej miejsca zajmowała kałuża krwi, gęstniejąca od poły-

skujących w świetle reflektorów kryształków lodu. Wszędzie było pełno śladów butów, a odcisk ludzkiego ciała na śniegu przecinał kałużę krwi na dwoje. Sprzątacze leżały na boku, gdy wraz z krwią uchodziło z niego życie.

Logan złapał za rękę fotografa - był nim Billy, łysiejący kibic piłkarski, którego znał już z wysypiska. Na głowie miał tę samą co wtedy biało--czerwoną czapkę z pomponem.

- Gdzie ciało?
- W szpitalu.
- Jak to?
- Przeżył. - Fotograf spojrział na plamę czerwieni pod nogami, po czym przeniósł wzrok na Logana. - Na razie.

I w ten oto sposób Logan drugi raz tego dnia wylądował w poczekalni Szpitala Królewskiego w Aberdeen. Bernarda Duncana Philipsa przyjęto z pękniętą czaszką, połamanymi zębami, złamanymi rękami, jedną nogą i palcami oraz obrażeniami wewnętrznymi, które mogły powstać od wielokrotnego skakania mu po brzuchu. Trafił prosto na salę operacyjną, lecz tym razem dzicz odwaliła kawał dobrej roboty. Lekarze nie dawali mu szans na przeżycie.

Logan czekał na wieści z sali operacyjnej, bo i tak nie za bardzo miał się gdzie podziać. Nie zamierzał siedzieć w komendzie i czekać na decyzję o zawieszeniu. Dopóki siedział w poczekalni z wyłączonym telefonem, mógł udawać, że nic złego się nie dzieje.

242

Cztery godziny później przyszła po niego pielęgniarka i z poważnym wyrazem twarzy poprowadziła go labiryntem korytarzy na OIOM. Przy łóżku Sprzątacza stał lekarz, który wcześniej badał Douga MacDuffa.

Przeglądał opis przypadku.

- Co z nim?

Lekarz podniósł wzrok.

- To znowu pan?

Logan spojrział na obandażowaną postać na łóżku.

- Jest tak źle, jak wygląda?

Westchnienie.

- Mózg jest uszkodzony, na razie nie wiemy jeszcze, jak poważnie.

Ale jego stan jest stabilny.

Przez chwilę ciszę mącił tylko płytki oddech Philipsa.

- Co z nim będzie?

Lekarz wzruszył ramionami.

- Chyba w porę zatamowaliśmy krwotok wewnętrzny. Jedno panu po
wiem: nie będzie miał dzieci. Ma zmiażdżone oba jądra. Ale wyżyje.

Logan skrzywił się odruchowo.

~A co z tym mężczyzną, którego wcześniej przywiozłem? Doug

MacDuff...

- Źle. - Lekarz pokręcił głową. - Bardzo źle.

-Ale wyjdzie z tego?

- Obawiam się, że nie mogę panu udzielić takiej informacji. Tajemnica lekarska. Musiałby pan zapytać pana MacDuffa osobiście.
- Tak zrobię.
- Ale nie teraz. To starszy człowiek i dużo dziś przeszedł. Dochodzi północ, niech śpi. - Lekarz spojrział smutno na sierżanta. - Może mi pan zaufać: nigdzie sobie nie pójdzie.

Śnieg przestał padać, niebo przecierało się i przypominało czarną jak

atrament misę odwróconą do góry dnem. Światła miasta przyćmiewały gwiazdy. Logan wyszedł ze szpitala w lodowaty mrok.

Karetka na sygnale zajęła pod wejście.

Odwrócił się do niej plecami i wszedł do samochodu. Przednia szyba natychmiast zaparowała. Włączył komórkę. Właściwie - czemu nie? O tej porze i tak już nikt do niego nie zadzwoni.

Miał pięć wiadomości: cztery od Colina Millera, który dopytywał się o los Sprzątacza, i jedną od posterunkowej Jackie Watson, która pytała, czy ma jakieś plany, bo jeśli ma, to nie ma sprawy, ale gdyby nie miał, to może poszliby do kina albo nie do kina, może po prostu na drinka, bo to był

243

ciężki dzień... A nawet jeśli nie miałby ochoty nigdzie chodzić, to może po prostu by do niej zadzwonił? Wiadomość nagrano o ósmej, kiedy Logan czekał na zakończenie operacji Sprzątacza.

Wybrał numer Watson. Było późno, po dwunastej, ale może jeszcze nie za późno...

Telefon dzwonił, dzwonił i dzwonił, aż w końcu metaliczny głos automatu poinformował go, że przepraszamy, wybrany abonent jest w tym momencie nieosiągalny, prosimy spróbować później.

Drugi raz tego dnia bił głową w twardej przedmiot, wybijając rytm dla recytowanego potoku przekleństw. Kierownica skrzypiała cicho przy każdym uderzeniu w plastik.

To nie był dobry dzień.

Kiedy przez przednią szybę dało się normalnie patrzeć, dodał gazu i z dużą prędkością wyjechał ze szpitalnego parkingu. Miał paskudny nastrój. Zacisnął zęby i podjeżdżając do skrzyżowania, wcisnął hamulec w podłogę.

Z ponurą satysfakcją śledził wysiłki samochodu, którego tył desperacko usiłował wyprzedzić przód. Wtedy dodał gazu, wyrównał i poślizgiem wjechał w główną drogę. Na światłach stała jakaś ciężarówka. Kusilo go, żeby wcisnąć gaz do dechy i wpasować się jej w tyłek.

Ale tego nie zrobił. Zaklął tylko pod nosem i zwolnił.

Aż podskoczył w fotelu, słysząc jazgot komórki. Posterunkowa Watson, Jackie, oddzwoniła! Uśmiechnął się i przycisnął telefon do ucha.

•Halo? - odezwał się z całym entuzjazmem, na jaki było go stać.

•Łazarz? To ty? - Dzwonił Colin Miller. - Od paru godzin próbuję cię złapać, stary!

Logan siedział nieruchomo. Światło zmieniło się z czerwonego na żółte.

- Wiem. Odsłuchałem wiadomości.

•Pobili Sprzątacza, słyszałeś? Co się stało? Powiedz coś! Logan odmówił.

•Jak to? Daj spokój, myślałem, że jesteśmy kumplami. Logan zmarszczył brwi, wpatrując się w ciemną zimną noc.

•Po tym, co zrobiłeś? Nie jesteś moim kumplem. Zaskoczenie.

Cisza.

- Co takiego zrobiłem? O czym mówisz? Palcem nie tknąłem waszej primabaleriny! Napisałem wam laurkę! Czego jeszcze ode mnie chcesz?!

Światło wreszcie zmieniło się na zielone. Ciężarówka ruszyła, zostawiając Logana z tyłu.

•Ogłosiłeś całemu światu, że znaleźliśmy Petera Lumleya.

•No i co? Przecież naprawdę go znaleźliście, więc...

•On by tam wrócił. Morderca. Wróciłby po ciało, a my byśmy go złapali!

•Co takiego?!

•Ukrył zwłoki, bo zamierzał po nie wrócić. Ale skoro wyskoczyłeś z tym swoim zasranym materiałem na pierwszą stronę, wie i nie przyjdzie.

Morderca grasuje, a ty spieprzyłeś nam najlepszą okazję złapania go!

Następny zaginiony dzieciak idzie na twoje konto, kapujesz?!

Mogliśmy go mieć!

Znowu chwila ciszy. Kiedy Miller znów się odezwał, ledwie było go słychać - dmuchawy ogrzewania prawie go zagłuszały.

- Chryste Panie, nie wiedziałem. Przecież gdybym wiedział, słówka bym nie pisnął! Przepraszam!

Chyba naprawdę było mu przykro. Logan wziął głęboki wdech i wrzucił bieg.

Musisz mi powiedzieć, kto jest twoim informatorem...

- Wiesz, że nie mogę tego zrobić. Po prostu nie mogę.

Logan z westchnieniem ruszył spod świateł, kierując się w stronę centrum.

- Posłuchaj, Łazarz, właśnie skończyłem robótkę... Może byśmy skoczyli gdzieś na drinka? W porcie sąjszycze czynne knajpy. Ja stawiam.

Logan odmówił i się rozłączył.

Ruch był niewielki. Zaparkował pod domem i powlókł się po schodach na górę. W mieszkaniu było zimno i podkręcił ogrzewanie. Patrzył, jak światła migoczą za oknem, i użalał się nad sobą. Starał się nie myśleć o nożu.

Automatyczna sekretarka migąła do niego czerwoną lampką, ale znalazł na niej tylko następne wiadomości od Millera. Posterunkowa Watson nie

zadzwoiła z informacją, że czeka na niego w negliżu, z butelką wina. Przydałby się też jakiś tost.

Zaburczało mu w brzuchu. Dochodziła pierwsza w nocy, a on od śniadania zjadł tylko parę czekoladek i trochę prochów przeciwbólowych. W kuchni znalazł paczkę herbatników i butelkę czerwonego wina. Otworzył obie. Nalał sobie kieliszek shiraz, zjadł ciastko i poszedł do salonu.

- Nie popijać alkoholem - powiedział, wnosząc toast do lustra.

Sącył właśnie drugi kieliszek, kiedy ktoś zadzwonił do drzwi. Zaklął i podszedł do okna. Po drugiej stronie ulicy parkował znajomy sportowy wóz. Colin Miller stał na progu ze skruszoną miną i dwoma wypchanymi torbami ze sklepu.

- Czego?

- Posłuchaj, wiem, że jesteś wpieniony, ale ja nie zrobiłem tego celowo. Gdybym wiedział, siedziałbym cicho. Naprawdę jest mi przykro. Serio. - Miller uśmiechnął się przepaszająco i pokazał torby. - Na zgodę?

Usiedli w kuchni. Obok shiraz Logana stanęło chardonnay Millera i cały zestaw plastikowych naczyń, z których unosiła się mocna, korzenna woń tajskiego jedzenia na wynos.

245

- Znam właściciela - wyjaśnił Miller, nakładając sobie na talerz curry z krewetkami tygrysimi. - Kiedy mieszkał w Glasgow, wyświadczyłem mu kilka razy przysługę. No i ma otwarte do późna.

Logan musiał przyznać, że jedzenie jest smaczne. Znacznie lepsze niż herbatniki popijane winem.

•Więc co? Przejechałeś kawał drogi w tym śniegu tylko po to, żeby przywieźć mi coś do jedzenia?

- Ciekawe, że o tym wspomniałeś... - Miller nałożył sobie górę podsmażanego makaronu. - Widzisz, mam, jeśli można tak powiedzieć, dylemat moralny.

Logan znieruchomiał z widelcem uniesionym w pół drogi do ust. Na widelcu czekał nadziany kawałek kurczaka.

- Wiedziałem!
- Spokojnie, tygrysie. - Miller uśmiechnął się. - Dylemat jest następujący: mam świetną historię, ale wiem, że jeśli ją opublikuję, na bank zrujnuję komuś karierę.

Logan spojrzał na niego z ukosa.

- Biorąc pod uwagę to, jak załatwiłeś inspektora, jestem zdziwiony, że w ogóle masz jakieś opory.
- Trafna uwaga. Ale widzisz, sęk w tym, że ja chyba lubię gościa, któremu mogę zaszkodzić.

Logan włożył do ust ostro doprawiony kęs mięsa.

- No i? Co to za historia?
- O tym, jak policjant bohater pobił staruszkę na śmierć.

30

W e wtorek rano w pracy Logan starał się nie patrzeć ludziom w oczy. Nikt się nie odezwał, ale czuł na sobie ich spojrzenia i zdawał sobie sprawę, że plotka podąża jego śladem przez cały gmach, aż do sali odpraw na poranne spotkanie z inspektorem. Spał fatalnie; śniły mu się wieżowce, płonące niebo i błyszczące noże. I twarz Angusa Robertsona, kiedy z obłąkańczym grymasem na twarzy szatkował mu brzuch.

Inspektor był na stanowisku, czyli na skraju biurka. Jarzeniówki odbijały mu się w łysinie. Nie patrzył na Logana, bez reszty koncentrując się na paczce galaretek. Jadł ostrożnie, żeby nie pobrudzić czarnego garnituru czerwono-pomarańczowym proszkiem.

246

Logan czuł, że się czerwieni, zajmując swoje stałe miejsce w pierwszym rzędzie krzeseł.

Insch słowem nie wspomniał o artykule w porannym „P & J” - o tym, który zajmował całą pierwszą stronę i miał dalszy ciąg w postaci dłuższego niż zazwyczaj komentarza redakcyjnego na stronie dwunastej. Inspektor poinformował za to o napadzie na Sprzątacza i o tym, że ekipy skierowane do przeczesania okolicy wróciły z pustymi rękami i solidnym katarem. Rozdał zadania na nowy dzień i zakończył odprawę.

Logan pierwszy zerwał się z krzesła i skoczył do wyjścia, ale Insch nie zamierzał mu tak łatwo odpuścić.

- Sierzancie... - Głos miał słodki jak melasa. - Mogę pana prosić na minutkę?

Logan musiał więc stać na środku jak idiota i czekać, aż wszyscy wyminą go po drodze do wyjścia, patrząc wszędzie, tylko nie na niego. Nawet Watson nie chciała mu spojrzeć w oczy. Może dobrze - i bez tego czuł się fatalnie.

Kiedy za ostatnim z funkcjonariuszy zamknęły się drzwi, Insch wyciągnął egzemplarz porannej gazety i położył go na stole.

- Łazarz został wskrzeszony, prawda? Nie jestem człowiekiem religijnym, sierzancie, ale wygląda na to, że pańska kariera zawodowa też w cudowny sposób ożyła.

Popukał w nagłówek: „Morderca aresztowany. Policjant bohater stoczył

walkę na śmierć i życie!". Poniżej znajdowało się zdjęcie Douga MacDuffa z czasów, gdy osadzono go w więzieniu za napaść ze śrubokrętem na biznesmena. Z okrytym bielmem okiem, wściekłym grymasem twarzy i ognistymi tatuażami nie wyglądał na dobrodusznego dziadunia.

Miller musiał wykorzystać wszystkie swoje kontakty w „P & J”, żeby ten materiał trafił na czołówkę. Nie zaszkodziło, że był o niebo bardziej poczytny niż „Akcja dobroczynna Tillydrone wystartowała z wielkim impetem!”

- Inspektor Napier dostał szału. - Insch cały się rozpromienił. - Ponieważ wygląda na to, że w najbliższym czasie nie wyleci pan z pracy, inspektor Steel zasugerowała, żeby ruszył pan cztery litery, pojechał do szpitala i przesłuchał Douga Narwańca.

- Ja? Nie wolałaby tego zrobić osobiście?

Sierżanci z dochodzeniówki nie dostępują zwykle zaszczytu przesłuchiwania osób podejrzanych o morderstwo bez inspektora, który potrzy-
małby ich za rączkę.

- Nie. Tłumaczyła mi coś, że nie lubi psiarzy. No, radzę się pospieszyć.

247

Logan wypożyczył następnego z długiego szeregu rdzewiejących vauxhalli i wziął sobie posterunkową Watson do pomocy. Bez słowa wyprowadziła wóz z parkingu. Dopiero kiedy znaleźli się daleko od komendy, wybuchnęła śmiechem.

- To nie jest zabawne.

Przestała się śmiać - ale nie uśmiechać.

- Przepraszam, panie sierżancie.

Cisza.

Jechali przez Rosemount. Pogoda poprawiła się na dłużej, piękne błękitne niebo skrzyło się nad szarym, błyszczącym granitem domów.

- Sierżancie... - Watson odchrząknęła i zaczęła jeszcze raz: - Sierżancie, jeśli chodzi o tę wiadomość, którą nagrałam wczoraj na sekretarce...

Loganowi serce zabiło żywiej.

- No więc... - Ustawili się w długim rzędzie pojazdów, za autobusem.

- Dopiero później sobie to przemyślałam. Bo wie pan, nie chciałam, żeby źle mnie pan zrozumiał. Kiedy pan nie oddzwonił, pomyślałam, że mógł się pan poczuć urażony. Albo coś w tym guście.

Wszystko na jednym oddechu.

Uśmiech na twarzy Logana stężał. Wycofywała się. Udawała, że to wszystko było jedną wielką pomyłką.

- Byłem w szpitalu. Musiałem wyłączyć komórkę, a wiadomość od słuchałem dopiero po północy. Dzwoniłem, ale wyłączyła pani telefon...

-Ojej...

- No właśnie.

Oboje zamilkli.

Słońce prażyło przez przednią szybę, nagzewając wnętrze auta niczym mikrofalówkę na kółkach. Na następnym skrzyżowaniu autobus skręcił w prawo, a Watson w lewo. Domy miały już świąteczne przybrania: choinki, lampki wokół drzwi, wieńce, odświętnie ubrane elfy. W którymś ogródku stał nawet plastikowy renifer z czerwoną żarówką zamiast nosa. Niezwykle gustowny.

Logan patrzył na przysypane śniegiem domy, gapił się na ozdóbki i dekoracje - i myślał o swoim pustym mieszkaniu. Nie dostał ani jednej

świętecznej kartki. Może powinien kupić choinkę? W zeszłym roku nie była mu potrzebna: spędził Boże Narodzenie w ogromnym domu rodzinnym Isobel, gdzie w ogrodzie rosły dwie prawdziwe choinki, na czas świąt przystrojone najmodniejszymi ozdobami. Rodzina wyjechała, mieli cały dom dla siebie. Pieczoną gęś kupili u Marksa i Spencera; Isobel nie przepadała za siekaniem, obieraniem i przyrządzaniem. Kochali się przez cały ranek.

248

A w tym roku skończy się pewnie na tym, że na święta wpadnie do rodziców. I spotka u nich całą rodzinę. Spory, żale, picie, wymuszone uśmiechy, ten cholerny monopol...

Widok idącego ulicą człowieka wyrwał go z zamyślenia. Mężczyzna brnął przez śnieg ze spuszczoną głową. Jim Lumley, ojczym Petera.

- Proszę się na chwilę zatrzymać - powiedział Logan.

Watson zjechała do krawężnika.

Wysiadł, zaciągnął się grudniowym powietrzem i ruszył w ślad za zgarbioną postacią. Buty chrzęściły mu na śniegu. Wyciągnął dłoń i popukał mężczyznę w ramię.

- Panie Lumley?

Lumley się odwrócił. Oczy i nos miał równie mocno zaczerwienione. Brodę porastała niechlujna szczecina, włosy były w nieładzie. Patrzył na Logana tępo, dopóki coś nie zaskoczyło mu w głowie.

- Nie żyje - powiedział. - Przeze mnie.

- Panie Lumley, to nie pańska wina. Wszystko w porządku? - Pytanie było kretyńskie, ale Logan nie mógł się powstrzymać. Oczywiście, że nie wszystko było w porządku: pedofil uprowadził, zabił i zgwałcił mu synka.

Facet umierał od środka. - Może odwieźć pana do domu?

Coś, co w dawnych czasach mogło być uśmiechem, przemknęło przez nieogoloną twarz Lumleya.

- Lubię chodzić piechotą. - Szerokim gestem ogarnął zaśnieżony chodnik i śniegowe błoto na jezdni. - Szukam Petera. - Łzy napłynęły mu do oczu i pociekły po policzkach. - Wypuściliście go!

-Wypuściliśmy... Kogo? - Chwilę trwało, zanim Logan zdał sobie sprawę, że mężczyzna ma na myśli Sprzątacza. - Panie Lumley, on...

-Muszę już iść.

Lumley okręcił się na pięcie i pobiegł przed siebie. Logan westchnął i odprowadził go wzrokiem. Wsiadł do samochodu.

•Znajomy? - zainteresowała się Watson. Włączyli się do ruchu.

•Pamięta pani chłopca, którego znaleźliśmy w toalecie w parku? To jego ojciec.

- Jezu... Biedny facet.

Logan nie odpowiedział.

Zaparkowali samochód na miejscu z napisem „Tylko dla personelu szpitala” i weszli do recepcji. Korytarz był szeroki, przestronny, pozbawiony zbędnych przepierzeń, na podłodze widniał herb szpitala, w rogu ustawiono ogromne, łukowato wygięte biurko. Logan zapytał grzecznie, gdzie znajdzie pana Douglasa MacDuffa. Dwie minuty później szli już długim, wyłożonym linoleum korytarzem.

249

Narwaniec leżał w jednoosobowym pokoju, przed którym straż pełnił młody posterunkowy z książką w rękach. Na widok Logana i Watson zerwał się na równe nogi i rzucił lana Rankina* na siedzenie.

- Spokojnie, posterunkowy - powiedział sierżant. - Nikomu nie powiem. Proszę nam przynieść trzy kawy i może pan wracać do opowiadań o bohaterskich policjantach.

Posterunkowy z wyraźną ulgą zmył się po kawę.

W pokoju było gorąco. Słońce świeciło przez okno, drobinki kurzu wirowały leniwie w świetle grudniowego poranka. Telewizor, wiszący wysoko na ścianie naprzeciw łóżka, był włączony, ale bez dźwięku. Pacjent pótleżał na łóżku, oparty na poduszkach. Wyglądał fatalnie. Prawą połowę twarzy miał całą w sińcach, zapuchnięty oczodół zmienił się w wąską szparkę - ale nawet z tą opuchlizną wyglądał na wychudzonego. Logan z trudem mógł uwierzyć, że ten człowiek omal go wczoraj nie zabił gołymi rękami.

- Sie masz, Dougie. - Przyciągnął sobie stojące w kącie krzesło do stóp łóżka i usiadł na nim.

MacDuff nie zareagował. Bez ruchu wpatrywał się w rozświetlony, milczący ekran. Logan obejrzał się przez ramię najpierw na telewizor, potem na posterunkową Watson. Wzięła do ręki leżącego na szafce pilota i wyłączyła odbiornik.

Staruszek na łóżku westchnął dychawicznie.

- Oglądałem to - wysyczał niewyraźnie. Dopiero teraz Logan zwrócił uwagę, że w szklance obok łóżka pławi się sztuczna szczeka.
 - Rany gościa, Doug, załóż zęby! Wyglądasz jak żółw!
- Wal się - odburknął bez przekonania Narwaniec.

Logan się uśmiechnął.

- No, cieszę się, że uprzejmości mamy z głowy i możemy przejść do rzeczy. Zabiłeś George'a Stephensona.

•Bzdura.

-Nie gadaj, Doug. Laboratorium dostarczyło nam mocnych dowodów. Ślady zębów na nogach Geordiego pasują do mordy twojego psiaka. A rzepek Stephensona ktoś odrąbał maczetą. To przecież znak firmowy Douga MacDuffa. Jak to było? McLeodowie ci go przytrzymali, a ty rąbałeś?

Doug prychnął lekceważąco.

-Nie, Dougie, nie uwierzę, że sam dałbyś sobie radę z takim skurczybykiem. Ile ty masz lat, dziewięć dych? Przecież musiałeś mu obciąć

* Ian Rankin - szkocki autor powieści kryminalnych, których akcja zwykle osadzona jest w Edynburgu (przyp. tłum.).

250

kolana! - Logan opadł na oparcie krzesła, wyciągnął nogę i położył but na łóżku. - Wiesz co? Powiem ci, jak to według mnie wyglądało. Popraw mnie, gdybym się mylił.

Posterunkowa Watson stanęła dyskretnie w kącie i robił notatki.

- Geordie Stephenson przyjechał z Edynburga w interesach. Na luzie, pewny siebie. Przy okazji postanowił się zabawić i zaczął chodzić do bukmacherów. Przegrywał, i to ostro, ale nie bardzo miał z czego spłacić długi. A tego w Turf n'Track nie lubią. - Logan zawiesił głos. - Ile ci odpalili za to, że go załatwiłeś? Tygodniową emeryturę? Dwie? Cztery? Oby to była jakaś większa kasa, bo Stephenson pracował dla Malka Majchera. A kiedy Majcher się dowie, że puknąłeś jego człowieka, żywcem obedrze cię ze skóry.

Bezzębne usta Douga rozciągnęły się w uśmiešku. -Ależ ty pieprzysz...

- Taaak? Wiesz, Dougie, widziałem, co zostaje z ludzi, kiedy Malkie z nimi skończy. Ręce. Nogi. Fiuty. Nie masz szans. - Sierżant mrugnął po rozumiewawczo. - Dlatego mam propozycję. Ty nam opowiesz o braciach McLeodach i ich ulubionych metodach odzyskiwania długów, a ja załatwię ci zapuszkowanie w takim miejscu, że Malkie cię nie dorwie.

Tym razem Doug parsknął śmiechem. Logan zmarszczył brwi.

-Co jest?

-Facet, ty... - Suchy kaszel wstrząsnął całym ciałem Narwańca. -Kurwa... - Następne kasznięcie, głębsze, z piersi. - Nic... - i znowu: - ...nie wiesz. - Ten atak kaszlu trwał dłużej i był tak gwałtowny, że całe łóżko zadygotało. MacDuff zasłonił usta drżącą, prawie przezroczystą dłonią i osunął się na poduszki. Wylał rękę o pierś, zostawiając czerwono-czarny ślad na piżamie. - Prawda, świnió?

- Mam sprowadzić lekarza?

Pacjent zaśmiał się z goryczą, ale śmiech szybko rozplynał się w spazmatycznym kaszlu.

-Nie ma potrzeby - wysapał, dysząc szybko i płytko. - Widział mnie dziś rano. Pamiętasz, świnió, jak ci mówiłem, że mam raka? No więc mam, ale nie został mi już wcale rok życia ani tym bardziej dwa lata, tylko najwyżej miesiąc. - Uderzył się zakrwawioną ręką w pierś. - Jeden wielki guz.

Zapadła cisza. Pyłki szybowały w powietrzu niczym złote iskierki w oszałamiającym słońcu.

-A teraz spadajcie stąd i dajcie mi umrzeć w spokoju.

Bernard Duncan Philips nie leżał w pojedynczym pokoju, tylko w dwójce na oddziale intensywnej opieki. Przy wąskim łóżku zgromadzono masę

aparatury: czujniki, monitory, wentylatory - wszystko, co lekarze mieli do dyspozycji, podpięli do zmasakrowanego ciała Sprzątacza. Logan i Watson stali w drzwiach, popijając letnią, zalatującą plastikiem kawę, którą posterunkowy w końcu im przyniósł.

Doug Narwaniec wyglądał kiepsko, ale Sprzątacz prezentował się o wiele gorzej. Było widać tylko bandażę i siniaki. Obie ręce i jedną nogę miał w gipsie, przez co przypominał postać z taniej komedijki. Zamiast maski tlenowej miał założoną rurę z nakładką na nos, trzymającą się na elastycznym pasku biegnącym wokół głowy i umocowaną taśmą klejącą do policzków.

- W czym mogę pomóc? - spytała niewysoka kobieta w stroju pielęgniarki: niebieskich spodniach i bluzce z krótkimi rękawami. Nad lewą piersią miała przypięty odwrócony do góry nogami zegarek.
- Jak się czuje?

Pielęgniarka zmierzyła Logana fachowym spojrzeniem.

- Państwo z rodziny?

- Nie, z policji. -Pan nie żartuje...

- Co z nim?

Sięgnęła po zawieszoną na łóżku historię choroby.

- Jest lepiej, niż się spodziewaliśmy. Operacja się udała. Dziś rano na godzinę odzyskał przytomność. - Uśmiechnęła się. - To było zaskoczenie. Ja, na przykład, obstawiałam śpiączkę. No, jedni przegrywają inni wygrywają.

Wtedy Logan po raz ostatni widział Sprzątacza żywego.

Inspektor Steel nie była zaskoczona faktem, że nic nie wycisnęła z Narwańca. Siedziała spokojnie, z nogami na biurku, i wydmuchiwała kółka z dymu pod sam sufit.

- Wybaczy pani, że pytam... - odezwał się Logan, wiercąc się niespokojnie na krześle naprzeciwko. - Ale dlaczego nie chciała pani z nim sama porozmawiać?

Roześmiała się z pobłażaniem.

•Znamy się z Dougiem od dawna. Kiedy zaczynałam karierę w policji, on był w kwiecie wieku... - Uśmiechnęła się kwaśno. - Powiem tak: ścięliśmy się trochę wtedy.

•Co z nim zrobimy?

Westchnęła. Dym jak fala mgły przemieścił się nad biurkiem w stronę sierżanta.

- Pójdziemy do prokuratora i pokażemy mu dowody rzeczowe. Zapozna się z nimi, stwierdzi, że możemy iść z tym do sądu, a my powiemy: super. Wtedy obrońca Douga powie, że jego klient za miesiąc wykituje. Na co pro-

252

kurator stwierdzi, że w takim razie pieprzyć go; nie ma sensu wyrzucać pieniędzy w błoto. - Pogrzebała w zębach nadłamanym paznokciem, obejrzała śmieć, który znalazła i pstryknęła nim na ziemię. - Dougie umrze, zanim sprawa trafi na wokandę. Już chyba lepiej nie wywoływać wilczura z lasu. - Zawiesiła głos, jakby coś nagle przyszło jej do głowy. - Rozmawiał pan z lekarzem? Dougie naprawdę umiera, czy robi pana w jajo?

- Rozmawiałem. Naprawdę jest umierający.

Steel pokiwała głową. Ognik papierosa poruszył się w górę i w dół w półmroku.

- Biedny, stary Dougie.

Logan jakoś nie potrafił mu współczuć, ale postanowił się z tym nie wychylać.

Wrócił do siebie i zdjął ze ściany zdjęcia Stephensona - to otrzymane od policji Lothian i Borders, i fotografię z kostnicy. Skoro MacDuff był 1 krok od śmierci, nie będzie winnych w sprawie morderstwa Geordiego.

Stephenson nie miał żony, dzieci, rodzeństwa, nikogo, kto zgłosiłby się po ciało. Nikt nie będzie płakał po żołnierzu Malka Majchera - poza samym Maikiem. A co Maik zrobi Dougowi, jeśli ten za miesiąc i tak umrze?

2to w męczarniach, jak twierdził lekarz. Co najwyżej mógłby skrócić jego cierpienie, o czym Doug dobrze wiedział. Może to dlatego śmiał się, kiedy Logan wspomniał o zemście. Ale to już i tak nie miało znaczenia.

Odłożył do akt wszystko, co miało związek ze Stephensonem, włączając w to raport z wczorajszych wydarzeń. Zostało jeszcze trochę papierkowej roboty, ale poza tym sprawa była martwa jak sam denat.

Po spakowaniu portretów Stephensona w pokoju został już tylko plan miasta i zdjęcie bezimiennej dziewczynki, której kamienna twarz spoglądała na niego ze ściany.

Jedna z głowy, jedna do załatwienia.

Usiadł i po raz n-ty przejrzał zeznania wszystkich, którzy mieli blisko do komunalnego kontenera na śmieci. Ktoś z nich zabił dziewczynkę, rozebrał i próbował poćwiartować, potem owinął zwłoki taśmą klejącą i wrzucił do pojemnika. Jeśli nie Norman Chalmers - to kto?

31

N iebo nad Rosemount o zachodzie słońca przybrało barwy intensywne; go pomarańczu i ognistej czerwieni. Z poziomu ulicy było widoczne jako

wąskie wstążki wściekłych barw, obramowane konturami dwupiętrowych kamienic z szarego granitu. Tu i ówdzie siarkowożółte latarnie uliczne migotały i pomrukiwały w ostrym, grudniowym powietrzu, rzucając na budynki chorobliwą poświatę. Było dopiero po czwartej po południu.

Posterunkowej Watson udało się tym razem - zgoła nieoczekiwanie - znaleźć wolne miejsce do zaparkowania dokładnie naprzeciwko domu Normana Chalmersa. Kontener na śmieci stał na wprost drzwi wejściowych: ogromny, czarny, beczkowaty, sięgający człowiekowi do piersi, spłaszczony z boków i przykuty do latarni. Tam właśnie wyrzucono zwłoki dziewczynki i stamtąd zabrali ją śmieciarze, aby razem z resztą odpadków wywieźć na wysypisko.

W laboratorium przebadano cały pojemnik, ale wynikło z tego tylko przekonanie, że któryś z mieszkańców domu jest fetyszystą i lubi skórzane zabawki.

- Ile domów chcemy obskoczyć? - spytała Watson, oparłszy plik zeznań na kierownicy.

- Zaczniemy od środka i będziemy się posuwać w stronę krańców ulicy.

Razem siedem domów, po sześć mieszkań w każdym, daje...

- Czterdzieści dwa mieszkania. Jezu, to będzie trwało wieki!

- A potem druga strona.

Watson spojrzała na najbliższy budynek - i znowu na Logana.

- Nie mogliby tego załatwić jacyś posterunkowi?

- Tacy jak pani? - Logan się uśmiechnął.

- No tak, ale ja już mam zajęcie: wożę pana w różne miejsca i w ogóle. Jak weźmiemy się do tego we dwójkę, życia nam nie starczy!

- Im dłużej będziemy tak siedzieć, tym później skończymy.

Zaczęli od domu Chalmersa.

Parter, lewe drzwi: starsza pani, która nie chciała im spojrzeć w oczy. Włosy żółte jak mocz, oddech cuchnący sherry. Otworzyła im drzwi dopiero wtedy, kiedy Logan wrzucił jej legitymację przez szparę na listy, a ona zadzwoniła na posterunek, żeby sprawdzić, czy nie ma do czynienia z jednym z tych pedofilów, o których tyle się ostatnio mówi. Sierżant postanowił jej nie uświadamiać, że od mniej więcej dziewięćdziesięciu lat nic jej ze strony pedofilów nie grozi.

Parter, prawe drzwi: czwórka studentów, z których dwoje jeszcze spało. Nikt nic nie widział, nikt nic nie słyszał. Studiowanie to pracochłonne zajęcie.

- Akurat - mruknęła Watson.
- Faszystka - odparł student.

Pierwsze piętro, lewe drzwi: nieśmiała, samotna kobiecina w ogromnych okularach, z jeszcze większymi zębami. Nie, nikogo nie widziała

254

i niczego nie słyszała, ale proszę mi powiedzieć, czy to wszystko nie jest okropne?

Pierwsze piętro, prawe drzwi: nikogo nie ma w domu.

Drugie piętro, lewe drzwi: samotna matka z trzyletnim dzieckiem. I znów to samo - nic nie widziałam, nic nie słyszałam. Logan miał wrażenie, że można by się dopuścić królobójstwa w jej łazience, a ona i tak niczego by nie zauważyła, nawet gdyby w tym samym czasie brała prysznic.

Drugie piętro, prawe drzwi: Norman Chalmers. Jego wersja się nie zmieniała. Nie mają prawa tak go dręczyć. Zaraz zadzwoni po adwokata.

Z powrotem na ulicę.

- Pięknie. - Logan schował ręce do kieszeni. - Sześć mamy z głowy.

Jeszcze siedemdziesiąt osiem.

Watson jęknęła.

- Spokojnie. - Uśmiechnął się. - Jeśli będzie pani bardzo, bardzo grzeczna, po wszystkim stawiam piwo.

Trochę się rozchmurzyła, a Logan omal nie dorzucił zaproszenia na kolację, gdy nagle zobaczył swoje odbicie w szybie samochodu. Było ciemno i szczegóły mogły mu umknąć, ale widział, że w oknach świecą się światła. We wszystkich.

Odwrócił się i zadarł głowę: każde okno od frontu było rozświetlone - nawet w pustym mieszkaniu na pierwszym piętrze, po prawej. W tym właśnie oknie mignęła mu twarz: ktoś wyjrzał na ulicę. Na ułamek sekundy ich spojrzenia się spotkały - a potem twarz, przestraszona, zniknęła.

Przestraszona - i znajoma.

-No, no, no... - Logan poklepał Watson po ramieniu. - Ktoś tu się przed nami chowa.

Wrócili na klatkę i posterunkowa zaczęła się dobijać do drzwi.

- Wiemy, że jest pan w domu. Widzieliśmy pana!

Oparty o balustradę Logan przyglądał się, jak Watson łomocze w pomalowane na czarno drzwi. Wziął ze sobą plik zeznań i teraz je przerzucał, szukając tego, które pasowało do numeru domu i mieszkania. Pierwsze piętro, prawa strona, numer 17... Pan Cameron Anderson. Pochodził z Edynburga i produkował zdalnie sterowane pojazdy.

Watson kciukiem jednej ręki wcisnęła guzik dzwonka, a drugą nie przestawała dobijać się do drzwi.

- Albo pan otworzy, albo wyłamie te cholerne drzwi!

Taki hałas na klatce schodowej - i nikt się nim nie zainteresował. Nikt nie

wyrżał, żeby zobaczyć, co się dzieje. Wyraźne poczucie wspólnoty.

Minęły dwie minuty, drzwi się nie otworzyły. Logan miał złe przeczucia.

255

- Proszę je wyważyć.

- Słucham? - Watson odwróciła się i szepnęła głośno: - Nie mamy nakazu!

Nie możemy tak po prostu wyłamać drzwi. Blefowałam, żeby...

- Wyważamy je. Natychmiast.

Posterunkowa cofnęła się o krok i kopnęła w drzwi tuż poniżej zamka.

Rozległ się głośny łoskot, drzwi otworzyły się do środka i odbiły od ściany.

Zdjęcia na ścianach zaklekotały w ramach. Watson wpadła do salonu, Logan wparował do sypialni. Pusto.

Podobnie jak piętro wyżej u Chalmersa nie było drzwi do kuchni, ale i w kuchni nikogo nie zastali. Pozostała łazienka. Zamknięta na klucz.

Logan pociągnął za klamkę i uderzył otwartą dłonią w drzwi.

- Panie Anderson?

Ze środka dobiegł szloch i odgłos lejącej się wody.

- Cholera jasna!

Spróbował jeszcze raz, a potem zrobił miejsce Watson, dając jej znak, żeby powtórzyła przedstawienie z korytarza.

Niewiele brakowało, żeby skopała drzwi z zawiasów.

Do małego przedpokoju buchnęły kłęby pary. Łazienka była wyłożona drewnem, jak sauna, częściowo kryjącym farbę na ścianach w paśkudnym odcieniu awokado. Całą ścianę naprzeciw drzwi i sedesu zajmowała wanna z prysznicem. Zasłonka była zaciągnięta.

Logan zerwał zasłonę. Ubrany mężczyzna klęczał w wodzie i złamaną żyletką raz za razem ciął się po przegubach dłoni.

Zabrali go prosto na ostry dyżur, nie czekając nawet na karetkę; od szpitala dzieliło ich niecałe pięć minut jazdy. Owinęli mu nadgarstki papierowymi ręcznikami i zapakowali je w foliowe torby znalezione w kuchni, żeby nie zakrwawił im całego samochodu.

Cameron Anderson pokpił próbę samobójczą. Cięcia były za płytkie, żeby otworzyć żyły, w dodatku wykonane w poprzek, zamiast wzdłuż ich biegu. Parę szwów i noc na obserwacji załatwią sprawę. Logan uśmiechnął się na tę wieść i zapewnił pielęgniarkę, że pan Anderson zostanie otoczony najtroskliwszą opieką w celi w komendzie głównej policji. Spojrzała na niego w taki sposób, jakby chciała zeszkrobać go z podeszwy buta.

- Co z panem?! Przecież ten człowiek próbował się zabić!
- Jest podejrzany o dokonanie morderstwa...

Więcej sierżant nie zdążył powiedzieć, bo pielęgniarka zmarszczyła brwi.

- Ja pana znam! Pan tu był wczoraj. To pan pobił tego staruszka!

- Nie mam czasu na pogawędki. Gdzie on jest?

256

Skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na niego spode łba.

- Albo natychmiast pan stąd wyjdzie, albo wezwę ochronę.
- Doskonale. A co pani powie na zarzut utrudniania śledztwa?

Logan wyminął ją i wszedł w korytarz oddzielający wydzielone parawanami przegródki. Andersona rozpoznał po biadoleniu z edynburskim akcentem.

Siedział na skraju ambulatoryjnego łóżka, kołysząc się w przód i w tył, i płakał. Przez szloch przebijały się czasem strzępki słów. Logan rozgarnął zasłonki i usiadł na czarnym plastikowym krześle naprzeciw łóżka. Watson weszła za nim. Zajęła pozycję w kącie, trzymając notes w pogotowiu.

- Witam ponownie, panie Anderson - zagaił przyjaźnie Logan. - A może po prostu Cameron?

Anderson nie podniósł głowy. Na bandażu na lewym nadgarstku pojawiła się czerwona plamka. Nie odrywał od niej oczu.

- Tak się zastanawiałem... - ciągnął Logan. - Bo widzisz, Cameron, pewien facet przyjechał z Edynburga do Aberdeen. Znalezione go martwego w porcie. Gazety wydrukowały jego zdjęcie, plakatami oblepiliśmy pół miasta, ale nikt się nie zgłosił. Chyba ludziom nie spodobało się, że ktoś oberznął mu maczetą kolana.

Słyszając słowo „oberznął”, Anderson skrzywił się boleśnie; po „macze-cie” kwiknął cicho.

- Wiesz, co mnie martwi, Cameron? Że ty też do nas nie zadzwoniłeś. Przecież na pewno widziałeś portret. Był nawet w telewizji. - Logan wyjął z kieszeni złożoną kartkę papieru, która po rozwinięciu zmieniła się w zdjęcie żywego Geordiego Stephensona. Nosił je od czasu, kiedy od wiedzali bukmacherów. Podstawił je pod nos zapłakanemu niedoszłemu samobójcy. - Poznajesz go, prawda?

Anderson zerknął przelotnie na fotografię i wrócił do oględzin bandaża, ale po tym krótkim spojrzeniu Logan wiedział już, że ma rację. Cameron Anderson. Geordie Stephenson. Różne nazwiska, ale takie same grubo ciosane rysy, takie same kręcone włosy. Andersonowi brakowało tylko pornograficznych wąsów.

Coś powiedział, ale tak cicho, że nie dało się zrozumieć ani słowa. Logan położył zdjęcie na podłodze. Stephenson spojrzał martwymi oczami na siedzącego na łóżku człowieka.

•Dlaczego chciałeś popełnić samobójstwo?

- Myślałem, że to on.

Znowu mamrotanie, ale tym razem przynajmniej słyszalne.

- On? To znaczy kto?

- On. - Anderson zadrżał. - Ten stary.

257

- Jak wygląda?

- Stary. Siwy. - Szponiasto zakrzywionymi palcami pokazał na gardło.

- Wytatuowany. Bielmo na oku. Jak ścięte jajko.

- Dlaczego miałby przyjść? - Logan usiadł wygodniej. - Czego od ciebie chce?

- Geordie był moim bratem. Ten stary... - Cameron podniósł dłoń do ust i zaczął metodycznie ogryzać paznokcie, do żywego. - Przyszedł tu, do domu. Powiedział Geordiemu, że ma dla niego wiadomość. Od pana McLennana.

- Od McLennana? Malka Majchera? - Logan przysunął się do łóżka.

- Jaką wiadomość?

- Wpuściłem go, a on uderzył czymś Geordiego. Geordie upadł, to wtedy zaczął go kopać. - Anderson spojrzał błagalnie na Logana. Po białych policzkach płynęły mu łzy. - Chciałem go powstrzymać, ale mnie też uderzył...

To wyjaśniało siniec, który zwrócił uwagę Logana, kiedy Cameron wpuścił ich do budynku.

- Jak brzmiała ta wiadomość?

Tajemniczy komunikat, który według Simona McLeoda miał być znany całemu miastu. Poza policją.

- Opluł mnie... - Szloch, srebrzysta strużka z nosa. - Wywłókł Geor

diego z mieszkania i powiedział, że po mnie wróci. Myślałem, że to on!

Logan patrzył na siedzącego przed nim człowieka: kołysał się na łóżku, płakał, ciekło mu z nosa - i kłamał. Wyrzwał przecież przez okno i widział Logana i Watson przy samochodzie. Musiał zatem wiedzieć, że to nie Doug Narwaniec po niego przyjechał.

- Co to była za wiadomość?

Cameron machał ręką bez ładu i składu. Plama na bandażu rosła.

- Nie wiem. Powiedział tylko, że wróci.
- A co z dziewczynką?

Anderson zareagował tak, jakby Logan go spoliczkował. Dobre dziesięć sekund trwało, zanim otrząsnął się i spytał:

- Jaką dziewczynką?
- Wiesz, z jaką, Cameron. Z tą, którą martwą znaleźliśmy w worku na śmieci należącym do twojego sąsiada z góry. Pamiętasz ją? Taki miły policjant przyszedł i spisał twoje zeznanie.

Anderson przygryzł wargę. Nie chciał spojrzeć Loganowi w oczy.

Nic więcej z niego nie wyciągnęli. Posiedzieli przy nim do czasu, aż dwóch umundurowanych posterunkowych przyjechało i zabrało go do aresztu.

258

Strażnik Douga MacDuffa był w połowie książki, kiedy Logan i Watson znów zameldowali się pod drzwiami. Nudził się przez cały dzień; mógł tylko czytać i flirtować z pielęgniarkami. Logan znowu posłał go po kawę.

W pokoju Douga panował półmrok. W szarozielonej poświacie telewizora cienie wiły się i podskakiwały. Można by pomyśleć, że wrócili do Turf

n'Track, z tą różnicą, że tym razem nikt nie chciał ich skopać na śmierć. Ciszę mącił tylko szmer klimatyzacji, pomruki aparatury i świszczący oddech starego człowieka na łóżku, wpatzonego w cichy telewizor. Logan usadowił się u stóp łóżka, tak jak poprzednio.

- Siemanko, Dougie - zaczął pogodnie. - Przynieśliśmy ci winogrona.

Postawił papierową torbę na kocu, między stopami staruszka.

Doug powęszył, ale nie oderwał wzroku od ekranu.

- Właśnie odbyliśmy bardzo ciekawą rozmowę, Dougie. Na twój temat. - Logan wziął sobie winogrono. W chorobliwym świetle telewizora wyglądały jak przeżarte gangreną guzy. - Twierdzi, że napadłeś i wprowadziłeś świętej pamięci Geordiego Stephensona. Widział cię przy tym, Dougie, wiesz? Co ty na to? Najpierw zdobyliśmy dowody rzeczowe, teraz mamy jeszcze świadka.

Żadnej reakcji.

Logan poczęstował się następnym winogronem.

- Świadek twierdzi też, że zabiłeś małą dziewczynkę. - To było kłamstwo, ale zablefować nigdy nie zaszkodzi. - Tę, którą znaleźliśmy w worku na śmieci.

Doug stracił zainteresowanie programem i spojrzał zdrowym okiem na Logana - ale tylko na chwilę, bo zaraz znów wrócił wzrokiem do telewizora.

- To skurwysynek...

Cisza się przeciągała. W półmroku rozjaśnianym nieziemską poświatą odbiornika Narwaniec - z wychudłymi policzkami i wpadniętymi głęboko oczami - wyglądał jak szkielet. Zęby nadal trzymał w szklance.

- Dlaczego ją zabiłeś, Dougie?

- Coś ci powiem... - Cichy, zgrzytliwy głos MacDuffa brzmiał jakby

dobywał się przez warstwę tłuczonego szkła. - Kiedyś to był ze mnie prawdziwy ogier. I to wcale nie tak dawno. Babki się zabijały o to, żebym je posunął. Ale babki, prawdziwe kobiety. Nie jestem zbokiem.

Logan patrzył, jak Doug odchrząkuje ciemną flegmą do kaczki.

- Dowiedziałem się, że Geordie mieszka w Rosemount, u swojego przyrodniego brata pedryla. Poszedłem z wizytą. Geordie zaczął się stawać, wiesz, co to nie on. A ja to niby stary dziadyga, nie? „Idź, dziadku,

259

do domu, bo ci laskę połamię". - Bezzębny uśmiech zmienił się w śmiech, a ten płynnie przeszedł w atak kaszlu. Zdyszany MacDuff opadł na stos szeleszczących poduszek. - Więc wyjechałem mu z kopa, tak od razu, jeszcze w salonie. Na to wyskakuje z sypialni ten jego niby-braciszek w różowym szlafroku. Myślę sobie, normalna sprawa, pewnie idzie sobie zrobić kąpiel z pianką czy coś. Ale wtedy usłyszałem, jakby dziecko płakało.

- Pokręcił głową na to wspomnienie. - Kutafon jeden stoi tam i drze ryja: „Nie wchodź tam! Nie wolno!" Ale mnie to chuj obchodzi. Chciałem zobaczyć, co jest grane, a ten kochaś nie chce mnie wpuścić. „Nie masz prawa!" i takie tam. - Doug uderzył pięścią w otwartą dłoń. - Pierdut mu w ryło! Patrzę, w sypialni jest dziewczynka. Mała. I goła, tylko w czapce Myszki Miki, takiej z uszami, no wiesz... - Spojrzał na Logana, szukając oznak potwierdzenia, ale wstrząśnięty sierżant nie zareagował. - No więc patrzę na tę rozebraną dziewczynkę, odwracam się i widzę tego skurwiela, który też niewiele ma na sobie. - Skrzywił się. - Wróciłem do salonu i spuściłem mu wpierdol.

Logan otrząsnął się na tyle, żeby zapytać:

- Co się stało z dziewczynką?

Narwaniec spojrział na swoje ręce. Leżały na kocu podkurczone jak zasuszone szpony. Wykrzywione artretyzmem stawy zaczynały puchnąć i boleć.

-Dziewczynka... - Odchrząknął. - Przyszła, kiedy go tłukłem. Nie była stąd, tylko gdzieś z zagranicy. Nie wiem, kurwa, może z Niemiec albo z Norwegii... Na pewno nie stąd. Patrzy na mnie tymi wielkimi orzechowymi oczami i płacze. I wygaduje świństwa. „Zrobię ci laskę”. Albo „Rznij mnie w dupę”. I tak powtarza w kółko. - Wzdrygnął się i znowu rozkaszał. Napad kaszlu trwał długo, a kiedy wreszcie ustał, Doug był biały jak ściana. - Trzyma... Trzyma mnie za nogę, goła jak święty turecki, beczy i mówi, żebym ją rznął w dupę. I wtedy ją... no, odepchnąłem. - Zniżył głos. - Wpadła na kominek. Bęc, głową o kamień.

Znów zapadła cisza. Doug się zamyślił, Logan i Watson próbowali się pozbierać po tym, co usłyszeli. MacDuff odezwał się pierwszy:

- Wziąłem Geordiego, zawiozłem go w spokojne miejsce i załatwiłem. Szkoda, że nie słyszeliście, jak wył, kiedy obciąłem mu kolana. Skurwiel.

Logan odchrząknął.

- Dlaczego oszczędziłeś jego brata?

Doug posłał mu smutne spojrzenie.

- Miałem inną robotę. Chciałem wrócić następnego dnia, pokazać mu, jak kończą takie pojeby jak on. Wziąłbym nóż do tapet i wiecie... Ale jak wróciłem, wszędzie było pełno glin. Następnego dnia też, i potem też...

260

Logar pokiwał głową. Pierwsza ekipa z policji przyjechała aresztować Normana Chalmersa. Potem chodzili po domach, wypytywali, szukali świadków. A Doug Narwaniec cały czas ich obserwował.

- Stałem w deszczu i śniegu jak ostatni palant i pracowałem na zapalenie płuc, dodatek do raka.

Doug zapatrzył się gdzieś w dal i umilkł. Ślepe oko błyszczało odbitym światłem telewizora. Logar wstał.

- Zanim wyjdziemy... Jeszcze jedna rzecz mnie zastanawia. Jaką wiadomość chcieliście przekazać miastu?
- Wiadomość? - Narwaniec wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Nie okrada się własnego pracodawcy.

32

W klaustrofobicznym pokoju przesłuchań było gorąco i duszno. Kaloryfer w kącie zionął ciepłem, a zamknięte okno nie przepuszczało ani odrobiny świeżego powietrza. Serowy smrodek brudnych stóp i odór spoconych pach wypełniał pomieszczenia. Cameron Anderson siedział przy stole i kłamał.

Logan z Inschem siedzieli naprzeciw niego i z kamiennymi twarzami słuchali, jak po raz kolejny winą za wszystko obarcza Douga Narwańca MacDuffa. On sam nie miał nic wspólnego z zabitą dziewczynką.

- No dobrze. - Insch skrzyżował ramiona na potężnej piersi. - Twierdzi pan, że MacDuff przyprowadził dziewczynkę ze sobą.

Anderson uśmiechnął się przymilnie.

- Tak było.
- Doug Narwaniec, wielokrotny morderca, człowiek, który żyje z tego, że robi ludziom krzywdę, wziął ze sobą czteroletnie dziecko i poszedł porwać pańskiego brata, a następnie odrąbać mu kolana, tak? Co to była za okazja: Tydzień z Wnukiem w Pracy?

Anderson oblizwał spierzchnięte wargi.

- Mówię tylko, jak było - powtórzył chyba po raz dwudziesty.

Radził sobie zdumiewająco dobrze - tak jakby nie pierwszy raz był przesłuchiwany przez policję. Jakby miał praktykę. Sęk w tym, że nie był notowany.

- Ciekawe... - Insch wyciągnął paczkę galaretek, poczęstował Logana, sam wziął jedną i schował opakowanie do kieszeni. - Widzi pan, Doug

261

twierdzi, że kiedy przyszedł, pan był z małą w sypialni. I że miał pan na sobie tylko szlafrok. I że ją pan dymał.

- Douglas MacDuff kłamie.
- Jeśli tak, to dlaczego mała zginęła?
- Popchnął ją na kominek.

Był to chyba jedyny element wspólny w wersjach Narwańca i Andersona.

-A jak to się stało, że znalazła się w worku na śmieci pańskiego sąsiada?

- Ten stary okleił ją przyklepcem i włożył zwłoki do worka.
- On twierdzi, że pan to zrobił.
- Kłamie. -Ach tak...

Insch zacmokał. Cisza się przedłużała. Inspektor próbował swojego firmowego numeru już parokrotnie, ale Anderson nie był takim durniem, na jakiego wyglądał. Nie puścił pary z ust.

Inspektor oparł się na stole i spojrzał aresztantowi w oczy.

-Naprawdę mamy uwierzyć, że Doug Narwaniec pozbył się w ten sposób ciała? Człowiek, który bez problemu oberznął pańskiemu bratu rzepki kolanowe, nie dał rady poćwiartować zwłok?

Anderson wzdrygnął się, ale nic nie powiedział.

- Wiemy, że próbował ją pan pokroić, ale nie dał pan rady. Zrobiło się panu niedobrze, w końcu się pan porzygał. No i trochę wpadło do rany.

- Insch uśmiechnął się jak rekin. - Wiedział pan o tym, że z wymiocin można pozyskać próbkę DNA, panie Anderson? Mamy ją w laboratorium. Wystarczy, że ją dopasujemy i będzie po panu.

Anderson trochę się podłamał.

- Bo ja... Właściwie to... - Rozejrzał się rozpaczliwie po pokoju, szukając wyjścia z sytuacji. Szukając natchnienia. I po chwili się uspokoił.

- Nie byłem z wami do końca szczery - stwierdził beznamiętnie.

- No to mnie pan zaskoczył...

Anderson udał, że nie słyszy sarkazmu w głosie inspektora.

- Nie chciałem psuć bratu reputacji.

- Czego? - uśmiechnął się Insch. - Reputacji drobnego bandziorka?

- Geordie zjawił się u mnie dwa tygodnie temu - ciągnął niezrażony Anderson. - Powiedział, że przyjechał do Aberdeen w interesach i nie ma gdzie spać. Przywiózł ze sobą dziewczynkę; mówił, że to córka jego dziewczyny. Opiekował się nią bo matka wyjechała na urlop na Ibizę. Nie wiedziałem, co się święci, ale tego wieczoru, kiedy został zabity, wróciłem do domu i zastałem ich nagich w łóżku. Pokłóciliśmy się i kazałem mu

262

się wynosić. Zagroziłem, że wezwę policję. - Anderson spojrzał na swoje dłonie, jakby miał na nich wypisaną ściągawkę. - Ale właśnie wtedy przyszedł ten stary. Powiedział, że ma wiadomość dla Geordiego. Wpuściłem go i poszedłem sprawdzić, czy z małą wszystko w porządku, bo bałem się, że Geordie mógł jej zrobić krzywdę... Aż tu nagle słyszę jakiś łomot w salonie.

Wpadam tam i widzę, jak Geordie zwija się na podłodze, a ten stary bije go i kopie. Geordie krzyczy, ja próbuję odciągnąć starego, ale on jest jak zwierzę! I wtedy... Wtedy z sypialni wyszła ta dziewczynka i złapała go za rękę. A on... - Głos uwiązał Andersonowi w gardle. - Odepchnął ją, prosto na kominek. Podbiegłem, chciałem jej pomóc wstać, ale już nie żyła. Stary rzucił się na mnie. - Przeszedł go dreszcz. - Miał... Miał nóż. Kazał mi ją poćwiartować. Groził, że jak nie, to mnie pochlasta. Nie dałem rady. Próbowałem, ale nie mogłem.

Zwiesił głowę i opowiedział, jak MacDuff go pobił, kazał mu okleić zwłoki dziecka taśmą i schować je do worka na śmieci - ale Anderson nie miał worka w domu. Dzień później mieli zabierać śmieci i Chalmers wystawił przed drzwi prawie pusty worek. Anderson zabrał go, włożył do środka ciało i zniósł je do komunalnego kontenera przed domem. Było bardzo późno, ciemno, nikt go nie widział. Wrzucił dziewczynkę do pojemnika i przywalił innymi workami. Stary powiedział mu, że jest teraz współnikiem w morderstwie i jeśli zgłosi się na policję, to go zamkną.

- Fascynujące - zauważył oschle Inch.

- Powiedział, że mnie zabije, jak komuś powiem. Więcej go nie widziałem. Ani Geordiego, ani tej małej.

Siedzieli przez chwilę w ciszy, w której słyhać było tylko cichy terkot rejestratora.

- Był pan bratem Geordiego Stephensona, tak? - odezwał się Logan.

- Dlaczego macie różne nazwiska?

Anderson poruszył się niespokojnie. Różne matki. On był synem naszego ojca z pierwszego małżeństwa. Rodzice się rozeszli i Geordie dostał panińskie nazwisko matki, Stephenson. Potem tata ożenił się drugi raz i

sześć lat później ja się urodziłem.

Znowu zapadła cisza - i znowu to Logan ją przerwał:

- Co pan na to, że w jamie ustnej dziewczynki znaleźliśmy resztki spermy?

Anderson zbladł.

- Ile mam postawić na to, że próbka będzie odpowiadała pańskiemu DNA? Jak zwali pan to na Douga?

Insch był nie mniej zaszokowany od Andersona, który poruszał ustami jak ryba. Bezgłośnie.

263

- Sierzancie... - powiedział w końcu inspektor. - Mogę pana prosić na słówko?

Przesłuchanie zostało przerwane. Logan z Inschem wyszli na korytarz, zostawiając Andersona pod czujną strażą posterunkowego. Twarz inspektora wykrzywił paskudny grymas.

- Dlaczego nikt mi nie powiedział, że w ustach dziewczynki znaleźliśmy ślady nasienia?
- Bo nie znaleźliśmy. - Logan się uśmiechnął. - Ale on o tym nie wie.
- Łgarz z pana, sierzancie McRae. - Insch uśmiechnął się z ojcowską dumą. - Widział pan jego minę? Jakby się zesrał.

Nie skończyli rozmowy, kiedy jakaś zatroskana posterunkowa podbiegła do nich i powiedziała o Sprzątaczu. Lekarz ze szpitala zadzwonił pod 997: ktoś skrócił męki Bernarda Duncana Philipsa.

Insch zaklął i przetarł zmęczone oczy.

- Miał być pod ochroną, ale udało mu się uciec, dostać łomot, trafić do szpitala i dać się zabić! - Oparł się ciężko o ścianę. - Proszę nam dać

pięć minut - odpowiedział posterunkowej i wrócili z Loganem do pokoju przesłuchań.

Pojechali brudnym rangę roverem Inscha; okna były pomazane w miejscach, gdzie spaniel inspektora obwąchiwał i lizał szkło. Insch prowadził. Jechali przez zaśnieżone Rosemount.

Logan gapił się przez okno na granitowe szeregowce. Myślami błądził na przemian wokół Sprzątacza i wysilonej rozmowy z Jackie Watson, jaką odbyli, jadąc tą samą drogą.

Skręcili, kierując się w stronę szpitala. Widok za oknem wywołał wspomnienia Logana. Zapatrzył się na domy po swojej stronie - i przypomniał sobie plastikowego renifera z czerwonym świecącym nosem. To tu spotkali ojczyma Petera Lumleya, który ciągle szukał syna - chociaż wiedział, że chłopiec nie żyje...

- Ma pan gębę jak świnia zad - stwierdził Insch. Wrzucił kierunko wskaz, sygnalizując skręt w Westburn Road. - Co się stało?

Logan wzruszył ramionami. Przed oczami cały czas stała mu żałosna postać Lumleya, jak brnie w zaspach ze spuszczoną głową, powłócząc nogami, w spodniach mokrych od śniegu i błota.

- Nie jestem pewien, ale... chyba nic takiego.

W szpitalu było potwornie gorąco - nastawione na maksimum ogrzewanie walczyło z zimowym chłodem i powodowało aseptyczną, tropikalną duchotę. W pokoju Philipsa było równie ciepło, za to jeszcze ciaśniej niż

264

gdzie indziej: stłoczyli się w nim ludzie z ekipy kryminologicznej, fotograf, Insch i Logan, wszyscy w białych papierowych kombinezonach, niczym

członkowie jakiejś awangardowej trupy tanecznej.

Drugie łóżko było puste - zapłakana starsza pielęgniarka poinformowała Logana, że mężczyzna, który je zajmował, zmarł po południu z powodu niewydolności wątroby.

Flesz na przemian ładował się piskliwie i strzelał z cichym trzaskiem, zalewając zmasakrowane zwłoki powodzią światła. Philips leżał bezwładnie w poprzek łóżka, jedna ręka w gipsie zwieszała się nad podłogą, krople krwi tężały powoli na czubkach bladych palców. Bandaże przy oczach i wokół ust poczerwieniały od krwi, opatrunki na piersi nasiąkły nią tak bardzo, że wydawały się czarne.

-Gdzie ten posterunkowy, który miał go pilnować?! - Insch był wściekły.

Posterunkowy z głupią miną podniósł rękę i wyjaśnił, że na ostrym dyżurze była rozróżba: dwóch pijaczków pobiło się z wykidajłą. Pielęgniarki zawołały go na pomoc.

Insch wziął głęboki wdech i policzył w myślach do dziesięciu.

- Domyślam się, że stwierdzono już zgon?

Jakaś policjantka odparła, że nie, wywołując lawinę przekleństw ze strony inspektora.

- To jest szpital! Roi się tu od lekarzy, do cholery! Niech któryś z tych leni przyjdzie tu i stwierdzi zgon!

Czekając na przybycie lekarza, Insch z Loganem obejrzelili ciało najdokładniej, jak mogli, nie dotykając go.

- Pchnięty ostrym narzędziem - stwierdził inspektor, przyglądając się z bliska małym regularnym otworom w bandażach. - Nóż? Jak pan myśli?

- Raczej nie. Tępo ścięty czubek. Śrubokręt? Nożyczki? Dłuto?

Insch zajrzał pod łóżko w poszukiwaniu narzędzia zbrodni, ale znalazł tylko kałużę krwi. Logan przez ten czas kontynuował oględziny zwłok. Wszystkie ślady pchnięć wyglądały tak samo: do piętnastu milimetrów długości, dwa milimetry szerokości. Ciosy zadano w lewą część ciała. Morderca musiał wpaść w furję - rany były liczne i zadawane gwałtownie. Zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić tę scenę: Sprzątacze leży nieprzytomny, morderca podchodzi z lewej strony łóżka - dalej od drzwi - i zadaje ciosy: jeden, drugi, trzeci.

Otworzył powieki i cofnął się o krok. Zbierało mu się na mdłości. Wszędzie było pełno krwi - nie tylko na zwłokach i podłodze, ale także na ścianie. Zadarł głowę: krew zbryzgała nawet białawe płytki na suficie. Po

265

zabiciu Philipa morderca musiał wyglądać jak psychopata z horroru. Tacy ludzie rzucają się w oczy.

Nie był to ani przypadkowy akt przemocy, ani atak rozwścieczonej tłuszczy. To była zemsta.

- O co chodzi? Dokąd mnie zabieracie?

Napięty, poirytowany głos należał do równie zdenerwowanej właścicielki - wysokiej lekarki w białym kitlu, ze stetoskopem na szyi.

Logan podniósł ręce w obronnym geście i odsunął się od łóżka.

-Potrzebujemy kogoś, kto stwierdzi zgon, zanim będziemy mogli przenieść ciało.

Lekarka spojrzała na niego spode łba.

- To chyba oczywiste, że ten człowiek nie żyje. Widzi pan to? - Wskażała na przypięty do kitla identyfikator. - Tu jest napisane „Lekarz”. A to

oznacza, że umiem rozpoznać trupa!

Inspektor Insch wyprostował się i wyjął z kieszeni policyjną legitymację.

- A pani to widzi? Tu jest napisane „Inspektor”. A to oznacza, że oczekuję, że będzie się pani zachowywać jak osoba dorosła, zamiast wyładowywać swoje frustracje na moich podwładnych. Czy to jasne?

Lekarka zmroziła go wzrokiem, ale nie odpowiedziała. Dopiero po chwili złagodniała i odparła:

- Przepraszam. Miałam długi, beznadziejny dzień.

Insch pokiwał głową.

- Nie wiem, czy to będzie jakieś pocieszenie, ale wiem, co pani czuje. - Odsunął się od łóżka i wskazał podziurawione zwłoki Sprzątacza.

— Może pani w przybliżeniu określić czas zgonu?

- To łatwe: między za kwadrans dziewiąta i kwadrans po dziesiątej. Insch z uznaniem pokiwał głową.

- Rzadko się zdarza, żebyśmy tak szybko znali czas zgonu.

- To proste - odparła z uśmiechem lekarka. - Wtedy był ostatni obchód. Sprawdzamy wszystkich pacjentów. Za piętnaście dziewiąta jeszcze żył, a piętnaście po dziesiątej już nie.

Inspektor podziękował jej i chciał dodać coś jeszcze, gdy nagle pager na biodrze lekarki zapiszczał donośnie. Chwyciła go, odczytała wiadomość, zaklęła, przeprosiła i wybiegła z pokoju.

Logan wpatrywał się w krwawe szczątki Bernarda Duncana Philipsa. Jakaś natrętna myśl nie dawała mu spokoju, ale nie umiał jej sprecyzować - dopóki nie doznał olśnienia.

- Lumley - powiedział.

- Co takiego? - Insch spojrział na niego takim wzrokiem, jakby sierżantowi

nagle wyrosła druga głowa.

266

- Ojczym Petera Lumleya. Pamięta go pan? Ciągłe kręci się po okolicy. Kiedy ostatnio go widziałem, oddalał się od szpitala. Obwinił Sprzątacza o śmierć syna.

-No i?

Logan skinieniem głowy wskazał zakrwawione zwłoki.

- Wygląda na to, że wyrównał rachunki.

33

Zbliżała się północ. W Hazlehead było ciemno i zimno. Śnieg zalegał tu gęściej niż w centrum miasta, drzewa rysowały się na jego tle jak plamy w teście Rorschacha. Latarnie rzucały plamy żółtego światła. Cienie tańczyły w migotliwym niebieskim blasku policyjnych kogutów. Większość okien w bloku była ciemna, ale w kilku poruszenie firanek świadczyło o tym, że ktoś ciekawie wygląda na dwór. Zastanawia się, czego chce policja.

Policja chciała Jima Lumleya.

Mieszkanie Lumleya wyglądało zupełnie inaczej niż podczas ostatniej wizyty Logana. Przypominało chlew. Pojemniki po jedzeniu na wynos walały się po dywanie razem z puszkami po tanim piwie. Wszystkie zdjęcia, zebrane z całego mieszkania, powieszono w salonie: jeden wielki fotomontaż z życia Petera Lumleya.

Jim Lumley nie stawiał oporu, kiedy Insch zadzwonił do drzwi i wpadł do środka, ciągnąc za sobą Logana i dwóch mundurowych. Stał przed nimi w brudnym wymiętym kombinezonie, nieogolony, z włosami sterczącymi jak

kolce u porażonego prądem jeża.

- Jeśli szukacie Sheili, to jej tu nie ma - poinformował ich i opadł na sofę. - Wyprowadziła się dwa dni temu do matki.

Wyjął puszkę piwa z plastikowej oprawki i otworzył ją.

- Nie przyjechalśmy po Sheilę, panie Lumley, tylko po pana. Pociągnął łyk piwa.
- Sprzątaczu.

Piwo ściekło mu po brodzie, ale nawet nie próbował go wytrzeć.

- Tak, Sprzątaczu - przytaknął Logan, sadwiąc się w drugim końcu sofy. - Nie żyje.

Jim Lumley pokiwał głową i utkwiał wzrok w puszcze.

- Chce nam pan o tym opowiedzieć, panie Lumley?

267

Lumley odrzucił głowę w tył i opróżnił puszkę. Piana pociekła mu z kącików ust na kombinezon.

- Nie bardzo jest co opowiadać... — Wzruszył ramionami. - Chodziłem sobie tak i szukałem Petera, a tu on mi się nawinął. Taki samiutki, jak na zdjęciu w gazecie. Szedł sobie.

Sięgnął po następne piwo, ale Insch wyjął mu je z ręki, zanim Lumley zdążył je otworzyć, i kazał posterunkowym zrobić rewizję w poszukiwaniu narzędzia zbrodni.

Lumley zgarnął leżącą na sofie poduszkę i przycisnął ją do piersi niczym termofor.

- No więc poszedłem za nim. Do lasku.
- Do lasku? - Nie tego spodziewał się Logan. Insch spojrzał na niego znacząco, zanim sierżant zdążył powiedzieć coś więcej.

•Szedł sobie spokojnie, spacerkiem, jakby nic się nie stało. Jakby Peter wcale nie zginął! - Lumley poczerwieniał, intensywny kolor rozlał się na skórze od szyi po twarz i uszy. - Złapałem go. Chciałem... tylko porozmawiać, powiedzieć mu, co o nim myślę... - Przygryzł wargę, wpatrując się w szew na poduszce. - Ale zaczął krzyczeć. Uderzyłem go. Żeby się zamknął. Żeby przestał. Aleja nie mogłem przestać. Biłem go i biłem... Rany boskie, pomyślał Logan. Podejrzewaliśmy, że Philipa zmasakrował tłum, a to był jeden człowiek!

- Potem... Potem znów zaczął padać śnieg. Zrobiło się zimno. Zmyłem śniegiem krew z rąk i twarzy i wróciłem do domu. Opowiedziałem Sheili o wszystkim. Lumley wzruszył ramionami. - Spakowała się i odeszła.

•Łza spłynęła mu po twarzy, zostawiając po sobie czysty ślad. Pociągnął nosem, szukając resztek piwa w pustej puszcze. - Jestem potworem... jak on...

•Zajrzał do puszki i zobaczył ciemność. - Mówicie, że nie żyje, tak?

Zmiażdżył puszkę w dłoni.

-Nie, nie żyje, psiakrew! - przytaknął Insch i zerknął na Logana. -Ktoś podziurawił go jak sito.

Na mokrej od łez twarzy Lumleya pojawił się uśmiech.

- Dobrze mu tak.

Małeńkie płatki delikatnej bieli spływały z ciemnopomarańczowego nieba - lampy uliczne podświetlały szare chmury od spodu. Logan i Insch patrzyli, jak dwaj posterunkowi pakują Lumleya do radiowozu i odwożą na komendę.

- Niewłaściwy człowiek, właściwy powód - odezwał się Insch, buchając parą z ust. - Czyli pół na pół. - Poczęstował Logana cukierkami w kształcie buteleczek coli. - Nie? Jak pan chce.

Wziął garść i zjadał po jednym, kiedy szli do rangę rovera.

- Myśli pan, że go zamkną? - spytał Logan. Inspektor uruchomił silnik i włączył ogrzewanie na pełną moc.
- Pewnie tak. Chociaż szkoda, że to nie on go zadźgał. Sprawa byłaby załatwiona.
- To co, wracamy do szpitala?
- Do szpitala? - Insch spojrział na zegarek na desce rozdzielczej wozu. - Dochodzi pierwsza w nocy! Powiesi mnie. - Żona inspektora słynęła z tego, że nie wybacza łatwo późnych powrotów. - Kazałem naszym ludziom pozbierać zeznania świadków, rano je przejrzymy. Zresztą tam i tak połowa ludzi teraz śpi.

Podwiózł Logana do domu. Sierżant odczekał, aż chrzęszczący oponami rangę rover zniknie mu z oczu i dopiero wtedy otworzył drzwi. Na automatycznej sekretarce paliła się lampka. Przez moment pomyślał, że może to znowu posterunkowa Watson, ale kiedy włączył odtwarzanie, w głośniczku zatrzeszczał głos Millera. Reporter wiedział już o zasztyletowaniu Sprzątacza i domagał się nowych informacji na wyłączność.

Logan chrząknął, nacisnął „Kasowanie” i poszedł spać.

Środa zaczęła się zgodnie z tą nocną zapowiedzią: Logan nie zdążył wybiec spod prysznic i odebrać telefonu, kiedy włączyła się automatyczna sekretarka - Miller znowu chciał pociągnąć go za język. Nie odebrał telefonu. Reporter gadał do siebie, a Logan poszedł do kuchni zaparzyć herbatę i zrobić sobie tosta.

Wychodząc z domu, skasował wiadomość, nie odsłuchując jej porządnie. Wątpił, żeby był to ostatni telefon od Millera w tym dniu.

Poranna odprawa przebiegała w sennej atmosferze. Insch ziewał rozdzierająco, relacjonując nocne wydarzenia w szpitalu i pokoju przesłuchań. Cały dzień miało im zająć wypytywanie świadków. Znowu.

Logan został dłużej, czekając aż wszyscy wyjdą. Wymienili uśmiechy z Watson, która dołączyła do grupy przepytującej lekarzy, pielęgniarki i pacjentów. Nadal był jej winny piwo.

Insch siedział tam gdzie zawsze - na skraju biurka, szukając po kieszeniach czegoś słodkiego.

-Miałem przecież jakieś draże... - mruzczał właśnie, kiedy Logan podszedł i zapytał o plan działania. Poszukiwania na froncie cukierniczym zakończyły się fiaskiem. Insch kazał sierżantowi sprowadzić Camerona Andersona do pokoju przesłuchań. - Zna pan procedurę: naburmuszony posterunkowy stoi w kącie i wpatruje się w aresztanta. Niech mu się zwieracze skurczą.

269

O dziewiątej minęła prawie godzina, odkąd Anderson znalazł się w gorącym jak piekarnik pokoiku w towarzystwie patrzącego wilkiem policjanta i - zgodnie z przewidywaniami Inscha - zaczynał dostawać kota.

- Panie Anderson... - zagaił oschle inspektor, kiedy wreszcie zaczęło się właściwe przesłuchanie. - Bardzo się cieszę, że mimo licznych zajęć znalazł pan dla nas trochę czasu.

Anderson sprawiał wrażenie przerażonego i wykończonego, jakby przepłakał całą noc.

- Domyślam się, że wymyślił pan całkiem nowe, cudowne wyjaśnienie wieczornych wydarzeń - ciągnął Insch, pogryzając galaretkę. - Może to robota kosmitów?

Oparte na stole dłonie Andersona drżały, podobnie jak jego cichy, piskliwy

głos:

- Poznałem Geordiego dopiero, kiedy miałem dziesięć lat. Jego mama umarła na raka piersi i wtedy zamieszkał z nami. Był ode mnie większy...

- Anderson zniżył głos tak bardzo, że Logan musiał go poprosić, żeby mówił głośniej, bo nic się nie zarejestruje. - Robił różne rzeczy...

Łza spłynęła mu po twarzy. Przygryzł wargę i opowiedział im o swoim bracie.

Geordie przyjechał z Edynburga przed trzema tygodniami. Miał coś załatwić dla szefa. Wydawał pieniądze w takim tempie, jakby lada dzień miały wyjść z mody. Dużo grał, ale nie wygrywał. Ta sprawa z planistą nie wyszła - ale do tego czasu i tak przepuścił całą kasę, jaką dostał na łapówkę. Próbował postraszyć urzędnika. A potem musiał się szybko wynosić z miasta.

- Wepchnął go pod autobus - powiedział Insch. - Facet leży w Szpitalu Królewskim. Ma strzaskaną czaszkę i złamaną miednicę. Umrze.

Anderson nie podniósł wzroku; po prostu mówił dalej:

- Tydzień później wrócił. Podobno jego pracodawca wypytywał go o te przepuszczone pieniądze. On już nie miał ani grosza, a ludzie od buk machera ciągle nachodzili mnie w domu. W końcu przyszli i zabrali Geordiego. Kiedy następnego dnia wrócił, sikał krwią. - Wzdrygnął się. Łzy napłynęły mu do oczu. - Ale miał plan. Powiedział, że zna kupca na specjalny towar. Towar, który on może załatwić.

Logan przysunął się bliżej. To o tym mówił mu Miller: ktoś chciał kupić „żywy inwentarz”.

- Zniknął na dwa dni, a potem wrócił z taką wielką walizką. W środku była ta dziewczynka. Naćpana. Geordie powiedział, że ona rozwiąże

wszystkie nasze problemy. Chciał ją komuś sprzedać, spłacić bukmache rów i zwrócić kasę szefowi. Nikt by jej nie szukał.

270

- Jak się nazywała? - spytał Logan. W pokoju panował upał, ale głos sierżanta był lodowaty.

Anderson wzruszył ramionami. Oczy mu się szklily, na czubku nosa zbierała się gotowa w każdej chwili spaść kropelka.

-Nie wiem. Była z zagranicy. Gdzieś chyba z Rosji. Jej matka była dziwką w Edynburgu, sprowadzoną na zamówienie, ale umarła. Przedawkowała. Ta mała, no wiecie, była na zbyciu... - Pociągnął nosem. - Geordie ją zgarnął, zanim ktoś inny się o nią upomniał.

- Czyli zamierzaliście z bratem sprzedać czteroletnie dziecko jakie muś zboczeńcowi, tak?

Insch nawet specjalnie nie próbował ukryć groźby w głosie. Poczernieniał wściekle, oczy lśniły mu jak czarne diamenty.

- Ja nie miałem z tym nic wspólnego! To on! Wszystko on!

Inspektor milczał.

-Nie znała angielskiego, a on nauczył ją paru słów, takich... no...

-Anderson ukrył twarz w dłoniach. - Świństw. Nie wiedziała, co mówi.

- Wykorzystywaliście ją. Nauczyliście ją mówić: „Rznij mnie w dupę”, a potem właśnie to robiliście.

- Nie! Wcale nie! Nie mogliśmy! - Na twarz Andersona wypłynął rumieniec. - Geordie mówił, że musi być... wiecie... dziewicą.

Logan skrzywił się z odrazą.

- Więc tylko kazaliście jej robić loda, tak?

- To był pomysł Geordiego! Kazał mi! - Łza spłynęła po twarzy więźnia. -

Tylko raz. Zrobiłem to tylko jeden raz. Akurat ten stary przyszedł. Zaczął bić Geordiego, ja mu chciałem przeszkodzić, a wtedy ta mała wyszła z pokoju i zaczęła wygadywać świństwa, których ją Geordie nauczył. Chwyciła się starego, a on ją odepchnął. Przewróciła się, uderzyła głową w kominek i umarła. - Anderson spojrzał błagalnie na Inscha. - Powiedział, że najpierw zabije Geordiego, a potem wróci po mnie! - Przetarł oczy rękawem, ale łzy nie przestawały płynąć. - Musiałem się jej pozbyć! Leżała przy kominku, naga i nieżywa. Pomyślałem, że ją poćwiartuję, ale nie dałem rady. To było... - Wzdrygnął się i znów otarł łzy. - Owinąłem ją przylepce. Nalałem jej bielinki do buzi, żeby... no wie pan, oczyścić... - Potem musiał pan znaleźć jakiś worek, żeby ją do niego zapakować. Anderson pokiwał głową. Kropelka oderwała się od czubka nosa i rozbryznęła na stole między drżącymi dłońmi. - I wyrzucił ją pan na śmietnik. - Mhm... Przepraszam...

271

Po złożeniu zeznania, w którym Cameron Anderson przyznał się do seksualnego wykorzystywania czteroletniej dziewczynki, zamknęli go w celi i załatwili mu na następny dzień przesłuchanie w sądzie. Obeszło się bez fajerwerków. Po spotkaniu z Andersonem nikt nie był w nastroju do świętowania.

Logan wrócił do siebie, westchnął ciężko i zdjął ze ściany przypięte pineskami zdjęcie dziewczynki. Czuł pustkę w środku. Po złapaniu człowieka, który wykorzystał dziecko i pozbył się jego zwłok, jakby to były domowe śmieci, czuł się splugawiony, jakby był jego współnikiem. Wstydził

się, że jest człowiekiem.

Insch usiadł na rogu stołu i pomógł Loganowi układać zeznania w równy stosik.

- Ciekawe, czy dowiemy się kiedyś, kim była.

Logan podrapał się po policzku. Ślad zarostu zachrząścił mu pod palcami.

•Wątpię.

•Nieważne. - Insch wrzucił plik zeznań do teczki z aktami i ziewnął przeciągle. -1 bez tego mamy dość zmartwień.

Sprzątaacz.

Tym razem pojechali do szpitala służbowym samochodem. Prowadziła Watson.

W Szpitalu Królewskim w Aberdeen panowało znacznie większe ożywienie niż poprzedniego wieczoru. Przyjechali akurat w porze lunchu: serwowano coś z gotowanymi ziemniakami i kapustą.

- Chodźmy do jakiejś pustej sali - powiedział inspektor, kiedy mijali kucharkę popychającą parujący, zalatujący kapustą wózek.

Zebrali wszystkich policjantów, którzy rozmawiali z pacjentami i personelem, w pustym pokoju. Nie było rewelacji, ale cierpliwie wysłuchali wszystkich zeznań i podziękowali posterunkowym za współpracę. Nikt nic nie widział ani nie słyszał. Policjanci przejrzeni nawet taśmy wideo z kamer ochrony, ale i na nich nie znaleźli zalanej krwią postaci, wybiegającej nocą ze szpitala.

Insch wygłosił coś w rodzaju podnoszącego na duchu przemówienia i odesłał ich z powrotem do swoich zajęć. Zostali tylko Logan i Watson.

- Znajdźcie sobie jakieś użyteczne zajęcie - powiedział, znajomymi ruchami rozpoczynając rewizję w kieszeniach. - Ja idę porozmawiać z tą

lekką, którą wczoraj spotkaliśmy.

I odszedł, nie przerywając poszukiwań słodczy.

- To jak? - spytała z entuzjazmem posterunkowa Watson. - Od czego zaczniemy?

272

Logan przypomniał sobie spotkanie w kuchni i widok nóg Jackie wystających spod koszulki.

•Hm... - mruknął. To nie był ani czas, ani miejsce na takie wspomnienia. -

Możemy sami przejrzeć te taśmy. Może coś przeoczyli?

•Pan tu rządzi. - Watson zasalutowała żartobliwie.

Logan starał się skoncentrować na pracy, kiedy szli korytarzem w stronę pokoju strażników. Bez powodzenia. W końcu, przy windzie, zebrał się na odwagę.

•Ciągle jestem pani winien piwo - powiedział. Pokiwała głową.

•Pamiętam. Wsiedli.

•Fajnie. - Logan wcisnął guzik i z udawaną nonszalancją oparł się o poręcz w windzie. - Może dziś?

•Dzisiaj?

Poczuł, że się rumieni.

- Chyba że ma pani inne plany, to możemy się umówić jakoś inaczej...

Dureń.

Winda zatrzymała się z szarpnięciem. Watson się uśmiechnęła.

- Dziś będzie w sam raz.

Ze szczęścia nie mógł wykrztusić ani słowa, dopóki nie doszli do pomieszczenia ochrony. Było nieduże i w znacznej mierze wypełnione przez długie czarne biurko, nad którym wisiały małe monitory. Magnetowidy pracowały pełną parą, rejestrując obraz z kamer. A pośrodku tego wszystkiego siedział niestary mężczyzna o jasnoblond włosach, z mnóstwem pieprzyków, w standardowym brązowym mundurze ochroniarskim z żółtymi wypustkami. Na głowie miał wysoką czapkę. Wyglądał jak kupa w cylindrze.

Wyjaśnił, że w pokoju, który zajmował Philips, nie ma kamer, są natomiast zainstalowane na wszystkich korytarzach, przy wyjściach i na ostrym dyżurze. Jest też kilka na różnych oddziałach, ale z filmowaniem chorych ludzi poddawanych kuracji bywają „problemy” - kwestie prywatności i takie tam.

Na biurku leżał stos kaset z nocy. Policja już je przeglądała, ale jeśli Logan chciałby je jeszcze raz obejrzeć, nie ma sprawy.

Zadzwoił telefon Logana; w małym pomieszczeniu dzwonek wydał się podwójnie głośnie i natarczywy.

- Proszę pana... - Ochroniarz spojrzał na niego z ukosa. - Tu nie wolno używać telefonów komórkowych!

Logan przeprosił i wyjaśnił, że to zajmie tylko chwilkę.

273

Miller.

-Łazarz? A już myślałem, że poleciałeś w kosmos!

- Jestem zajęty. — Logan odwrócił się plecami do strażnika. - Czy to coś pilnego?
- To zależy od punktu widzenia. Masz tam gdzieś telewizję?
- Słucham?

- Telewizor. Takie ruszające się obrazki...

- Wiem, co to jest telewizor.

-No to super. Włącz sobie. Na Grampian.

- Da się na nich oglądać normalną telewizję? - zapytał Logan umundurowaną kupę.

Nie, odparła kupa, ale chorzy w pokojach mają telewizory.

Trzy minuty później stali przed odbiornikiem wyświetlającym jakąś amerykańską operę mydlaną. Pacjentka na łóżku, starsza pani z farbowanymi na fioletowy odcień włosami i zębami w szklance, pochrapywała donośnie.

-Adelajdo... - mówił właśnie opalony blondyn o idealnych zębach i brzuchu jak tarka. - Twierdzisz, że to moje dziecko?

Dramatyczna muzyka, zbliżenie brunetki z przesadzonym makijażem i nadmuchanymi piersiami - i przerwa na reklamy. Windy. Chipsy. Proszek do prania. Aż w końcu na ekranie pojawiła się twarz Geralda Cleavera. Siedział w skórzanym fotelu, ubrany w sweter na guziki, niczym dobroduszny wujaszek.

- Próbowali zrobić ze mnie potwora - powiedział. Cięcie. W następnym ujęciu Cleaver szedł na spacer z rozbrykanym labradorem. - Oskarżali mnie o zbrodnie, których nie popełniłem. - Cięcie. Cleaver siedzący na niskim kamiennym murku, zbolały i cierpiący. - Przeczytajcie o roku spędzonym w piekle, tylko w „News of the World”, tylko w tym tygodniu!

- O mój Boże... - stęknął Logan, kiedy na ekranie zawirowało logo gazety. - Tego nam jeszcze brakowało.

która postanowiła zapłacić Cleaverowi za jego bajdurzenie. Strażnik właśnie poprawiał czapkę i szykował się do akcji.

- Kłopoty? - zainteresowała się posterunkowa Watson.
- Ktoś kradnie marsy ze szpitalnego kiosku! - wyjaśnił.

274

I wybiegł.

Patrzyli, jak znika za rogiem, pędząc na miejsce przestępstwa. Watson uśmiechnęła się półgębkiem...

- Ten to ma ciekawe życie...

Przy biurku siedział teraz inny strażnik - krępy, po pięćdziesiątce, zaczesany na pożyczkę, z brwiami jak u teriera. Siedział nad poranną gazetą - na pierwszej stronie rzucał się w oczy nagłówek „Morderca dzieci zasztyletowany!” - i popijał napój pobudzający. Kiedy Logan wyjaśnił mu, po co przyszli, chrząknął i wskazał stosik ponumerowanych kaset.

Logan i Watson usiedli przy konsoli z magnetowidem i zaczęli przedzierać się przez kilometry taśmy. Poprzednia ekipa ułatwiła im życie, przewijając taśmy do czasu, w którym zamordowano Sprzątacza. Przeglądali je powoli, słuchając siorbania i cmokania strażnika.

Na ekranie migwały cyferki, obraz przeskakiwał nerwowo - kamera rejestrowała jedną klatkę na trzy lub cztery sekundy, przez co nagranie przywodziło na myśl eksperymentalny film animowany produkcji kanadyjskiej. Obraz był rozmazany, poruszony, ale kiedy ktoś znalazł się blisko obiektywu, dało się go rozpoznać - i w ciągu pół godziny Logan rozpoznał kilka z kilkuset twarzy, które mignęły mu w różnych częściach szpitala: lekarza, który opatrywał Douga Narwańca; pielęgniarkę, która uznała go za potwora, bo pobił staruszkę; posterunkowego, który pilnował podstarzałego

żołnierza McLeodów; lekarkę, która stwierdziła zgon Sprzątacza; chirurga, który przez siedem godzin zszywał Loganowi bebechy; siostrę Henderson z podbitym okiem, w zwykłym ubraniu - sportowej bluzie, džinsach, adidasach, z torbą na ramieniu.

- Ile jeszcze jest tych kaset? - spytał.

Watson przeciągnęła się i ziewnęła rozziewając.

- Przepraszam. - Zmitygowała się. - Jeszcze dwie z kamery przy wyjściach i koniec.

Logan włożył następną taśmę do odtwarzacza. Boczne wejście. Ludzie przechodzili przed obiektywem - zagadani, roześmiani albo pochyleni i skuleni, kiedy wychodzili na dwór, w zawieję. Nic podejrzanego. Ostatnia kasetka pochodziła z kamery w recepcji ostrego dyżuru i była nagrana z normalną szybkością, aby wyłapać wszystkie - aż nazbyt częste - aspołecznie zachowania, które bywają następstwem ostrego picia. Na tym nagraniu Logan rozpoznał więcej znajomych; wielu z nich w przeszłości sam aresztował: za sikanie po bramach, drobne kradzieże, wandalizm. Jeden trafił do więzienia za raczenie się winem w ogródku jednego z domów w Union Terrace. Ale i na tej taśmie nie znaleźli nic niezwykłego - jeśli nie liczyć chwili, w której dwóch wstawionych facetów rzuciło się na potężnie

275

zbudowanego wykidajkę z ręką na temblaku. Krzyki, przewrócone krzesła, krew. Pielęgniarki próbowały ich rozdzielić, aż w końcu do recepcji wpadł posterunkowy i załatwił sprawę trzema solidnymi psiknięciami z miotacza gazu. Po tej akcji awanturnicy głównie tarzali się po podłodze i krzyczeli wniebogłosy. Nadal nigdzie nie było widać mordercy.

Logan przetarł zmęczone oczy. Cyfrowy zegar na nagraniu wskazywał

dziesiątą dwadzieścia. Posterunkowy z miotaczem gazu odczekał chwilę i sprawdził, że wszyscy żyją. Dziesiątą dwadzieścia pięć: bohaterki policjant dostaje kubek herbaty i wraca na posterunek pod drzwiami pokoju Philipsa. Dziesiątą trzydzieści... Nuda. Nic nie znajdują.

Nagle w kadrze pojawiła się siostra Henderson. Siniak pod okiem był o wiele wyraźniejszy niż na poprzednich ujęciach. Logan zmarszczył brwi i zatrzymał taśmę.

- Co się stało? - Watson spojrzała bacznie na monitor.

- Widzi pani coś ciekawego?

Posterunkowa przyznała, że nie. Logan postukał w ekran.

- Jest w stroju pielęgniarki.

- Co z tego?

- Na tamtej taśmie ma normalne ubranie. Watson wzruszyła ramionami.

- Przebrała się.

- Ma torbę. Jeśli się przebrała, to czemu nie zostawiła torby z ubraniami w szafce?

- Może tu nie mają szafek?

Logan zapytał strażnika, czy w szatni dla pielęgniarek są szafki.

- Są. Ale jeśli wydaje się wam, że puszczę wam filmik z babskiej szatni, to się grubo mylicie!

- Prowadzimy śledztwo w sprawie morderstwa!

- To mnie nie interesuje. Nie będzie gołych pielęgniarek. Logan cały się zjeżył.

- Posłuchaj no, słonko...

-Nie mamy tam kamer. - Strażnik uśmiechnął się, odsłaniając komplet sztucznych zębów. - Chcieliśmy zainstalować, ale administracja nie chciała o tym słyszeć. Bali się, że obrazki będą nas rozpraszać. Trochę szkoda, można by zbić fortunę na takich nagraniach...

Część biurowa szpitala prezentowała się o wiele sympatyczniej niż oddziały dla pacjentów. Woń środków odkażających i linoleum zastąpiły świeże powietrze i dywany. Logan znalazł chętną do pomocy sekretarkę z tlenionymi włosami i irlandzkim akcentem i używając całego swojego uroku osobistego, namówił ją, żeby pozwoliła mu przejrzeć dziennik dyżurów z ubiegłej nocy.

276

- Bardzo proszę. - Wskazała wypełnioną datami i liczbami tabelkę na ekranie komputera. - Siostra Michelle Henderson... Wczoraj miała podwójny dyżur. Wyszła o wpół do dziesiątej.

- Wpół do dziesiątej, tak? Dziękuję pani. Bardzo nam pani pomogła.

Uśmiechnęła się do niego, zadowolona, że mogła się do czegoś przydać. Gdyby chciał jeszcze o coś zapytać, bardzo proszę zadzwonić. Kiedy zechce. Dała mu nawet wizytówkę. Logan powinien się cieszyć, że nie widział miny posterunkowej Watson, gdy chował wizytówkę do kieszeni.

- I co? - spytała Watson, kiedy wracali windą na parter.

- Henderson schodzi z dyżuru o wpół do dziesiątej. O dziewiątej pięćdziesiąt rejestruje ją kamera przy wyjściu, przebraną i gotową do wyjścia. O dziesiątej trzydzieści widzimy ją znowu w stroju pielęgniarki. Wychodzi. - Watson chciała coś powiedzieć, ale triumfujący Logan nie dał jej dojść do słowa. - Szukaliśmy zakrwawionego rzeźnika. A pani Henderson po prostu przebrała się i wyszła ze szpitala jakby nigdy nic.

Wzięli sobie dwóch mundurowych i zadzwonili na komendę. Insch był w paskudnym nastroju; można by pomyśleć, że ktoś wygarbował mu skórę rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem.

-Gdzie wyście się podziewali, do diabła?! - burknął, zanim Logan zdążył cokolwiek powiedzieć. - Od godziny do pana wydzwaniam!

- Jesteśmy w szpitalu, panie inspektorze. Tu nie wolno używać ko mórek.

Wyłączył telefon głównie po to, żeby Colin Miller mu się nie na- przykrzał.

- Mniejsza z tym. Zaginęło następne dziecko!

Logan zmartwiał.

-Tylko nie to...

- No właśnie. Biegiem do parku Duthie, do oranżerii. Ściągamy tam wszystkie ekipy, będziemy szukać. Pogoda się pieprzy, śnieg zasypie wszystkie ślady i dowody. W tej chwili to nasze najważniejsze zadanie.

-Panie inspektorze, właśnie jedziemy aresztować siostrę Michelle Henderson...

- Kogo?

-Matkę Lorny Henderson, dziewczynki, której zwłoki znaleźliśmy u Sprzątacza na farmie. Była wczoraj w szpitalu. Obwinia Sprzątacza o śmierć córki i rozpad małżeństwa. Miała motyw i sposobność. Prokurator się zgadza: mamy nakaz aresztowania i rewizji.

W słuchawce zapadła cisza, potem dało się słyszeć stłumione słowa: Insch zmył komuś głowę.

277

- W porządku - odezwał się w końcu takim głosem, jakby zamierzał

komuś za chwilę rozbić głowę. - Zgarnijcie ją, wrzucicie do celi i przyjeżdżajcie do parku. Sprzątacze jest martwy, a ten dzieciak może jeszcze żyć.

Stali na najwyższym stopniu schodków. Logan nacisnął dzwonek: skoczna melodyjka rozbrzmiała po raz czwarty.

Watson zaproponowała, że wyważy drzwi. Miała zaczerwienione policzki i nos, jej oddech unosił się w powietrzu kłębamii pary. Dwaj posterunkowi - wyzwolenicy z ekipy przeczesującej szpital - gorąco jej przytaknęli. Zrobiliby wszystko, byle tylko przestać marznąć.

Logan już miał się zgodzić, kiedy drzwi uchyliły się i w szparze pojawiła się twarz Michelle Henderson. Jej fryzura wyglądała jak barłóg szympansa.

- W czym mogę pomóc? - zapytała. Nie zdjęła łańcucha z drzwi. Jej oddech zalatywał przetrawionym dżinem.

- Proszę otworzyć, pani Henderson. - Logan pokazał legitymację. - Na pewno nas pani pamięta. Musimy porozmawiać o tym, co wydarzyło się dziś w nocy.

Przygryzła wargę i powiodła wzrokiem po całej czwórce. Na tle śniegu przywodzili na myśl czarne kruki, czekające na żer.

- Nie mogę. Muszę się wyszykować do pracy.

Próbowała zamknąć drzwi, ale Watson zdążyła wsunąć but w szczelinę.

- Proszę otworzyć albo wyłamiemy drzwi.

Henderson wyraźnie się zaniepokoiła.

- Nie możecie!

Jedną ręką przytrzymała rozchylający się pod szyją szlafrok. Logan pokiwał głową i z wewnętrznej kieszeni wyjął plik dokumentów.

- Owszem, możemy, ale to nie będzie konieczne. Proszę otworzyć.

Wpuściła ich.

Poczuli się jak w piecu. Tym razem w małym mieszkanku panował porządek - kurze starte, dywan odkurzony, nawet „Cosmopolitany” na stoliku leżały ułożone w równy stosik. Gospodyni usiadła na fotelu, podciągając kolana pod brodę jak mała dziewczynka. Szlafrok rozchylił się przy tym i siedzący na sofie Logan musiał bardzo uważać, żeby nie podziwiać odsłaniających się przed nim widoków.

- Wiesz Michelle, po co przyjechaliśmy, prawda?

Nie chciała mu spojrzeć w oczy.

Cisza się przeciągała.

278

•Powinam... Muszę się zbierać. Idę do pracy - powiedziała Henderson, ale nie wstała z fotela. Mocniej objęła kolana rękami.

•Co zrobiła pani z narzędziem zbrodni, pani Henderson?

-Nie mogę się spóźnić. Margaret ma dziecko w przedszkolu, musi wyjść wcześniej, żeby zdążyć je odebrać. Jeśli się spóźnię...

Logan skinął głową. Dwaj mundurowi wymknęli się z salonu, żeby rozejrzeć się po mieszkaniu.

- Ma pani zakrwawione ubranie, prawda?

Skrzywiła się, jakby ją uderzył, ale nic nie powiedziała.

- Zaplanowała to pani? Chciała, żeby zapłacił za to, co zrobił pani córce?

Nadal żadnej odpowiedzi.

- Mamy panią na taśmie, pani Henderson.

Wpatrywała się w punkt na dywanie, który jakimś cudem uniknął kontaktu z odkurzaczem.

- Panie sierżancie?

Logan podniósł wzrok: jeden z policjantów stał w drzwiach do salonu z naręczem potraktowanych wybielaczem ubrań: dżinsy, koszulka, bluza, para skarpetek i adidasy miały prawie biały kolor.

- Wisały w kuchni nad kaloryferem. Jeszcze mokre.

- Pani Henderson?

Nic.

Logan westchnął.

- Michelle Henderson, aresztuję panią pod zarzutem zamordowania Bernarda Duncana Philipsa.

Wypielegnowany park Duthie znajdował się nad Dee, miał własny stawek, scenę i replikę Igły Kleopatry. Rodziny go uwielbiały; na rozległych otwartych przestrzeniach i wśród starych drzew dzieci mogły się wysza-leć i nawet przysypany trzydziestocentymetrową warstwą świeżego puchu park nadal wykazywał oznaki życia. Bałwany na różnych etapach rozwoju upstrzyły białą równinę niczym menhiry - milczący strażnicy, władcy wszystkiego, co w zasięgu wzroku.

Jamie McCreath, który za dwa tygodnie, dzień przed Wigilią, skończyłby cztery lata, zaginął. Poszedł do parku na spacer z mamą - dwudziestoparoletnią kobietą, której rude włosy miały odcień jesiennych liści i wymykały się spod szydełkowej czapeczki z błazeńskim złotym pomponem. Siedziała roztrzęsiona na ławce w oranżerii i płakała wniebogłoso. Zaniepokojona kobieta z dzieckiem w wózku bezskutecznie usiłowała ją pocieszyć.

279

Oranżeria - olbrzymia wiktoriańska konstrukcja z malowanej na biało stali,

podtrzymująca tony szkła i chroniąca kaktusy i palmy przed panującym na zewnątrz mrozem - tętniła życiem. Wszędzie roilo się od policjantów w mundurach.

Logan znalazł Inscha na łukowatym mostku, przerzuconym nad błękitnym stawem, w którym pływały złoto-miedziane rybki.

- Panie inspektorze?

Insch obejrzał się przez ramię. Miał chmurną minę, która nadawała mu wygląd bezsilnego tępaka.

- Nie spieszył się pan.

Logan nie chwycił przynęty.

- Pani Henderson nie chce nic powiedzieć. Całe ubranie, które miała w szpitalu, znaleźliśmy na kaloryferze. Suszyło się. Włała do prania tyle wybielacza, że mało nie przeżarł materiału na wylot.

- Ekipa kryminologiczna?

- Kazałem im obejrzeć pralkę i kuchnię. Te ubrania musiały dosłownie ociekać krwią. Coś znajdziemy.

Inspektor w zadumie pokiwał głową.

- Przynajmniej tyle... Dzwonił do mnie komendant: to ostatnie zaginione dziecko na naszym terenie. Czterech najlepszych ludzi z Lothian i Borders już tu jedzie.

Logan jęknął. Tego jeszcze brakowało.

- No właśnie. Pokażą zaściankowym glinom z zadupia, jak się załatwia takie sprawy.

- Co się stało?

Inspektor wzruszył ramionami.

- Za duży rozgłos, za małe postępy.

•Nie, nie, tutaj... - Logan gestem ogarnął otaczającą ich dżunglę pod szkłem. - Co tu się stało? Gdzie ten mały?

-A, no tak. - Inspektor wskazał wejście do oranżerii, przesłonięte kępą tropikalnych drzew. - O jedenastej pięćdziesiąt pięć matka z synem wchodzi do oranżerii. Jamie McCreath uwielbia rybki, za to ptaszków się boi. Boi się też tego przekłętego gadającego kaktusa. No więc podchodzą tutaj, siadają na krawędzi mostku i patrzą na rybki. Pani McCreath spotyka przyjaciółkę. Idzie się z nią przywitać, chwilę rozmawiają. Mija jakieś piętnaście minut, ona patrzy, a Jamiego nigdzie nie widać. Zaczyna go szukać. - Inspektor wskazał ścieżki oplatające staw i krzyżujące się w zaroślach. -Ani widu, ani słychu. Czyta gazety, ogląda telewizję i teraz zaczyna się bać. Wrzeszczy tak, że słyhać ją w całej oranżerii. Jej przyjaciółka dzwoni na policję... Cztery ekipy przeszukują oranżerię: zagłęda-

280

ją pod każdy krzak, każdy mostek, do wszystkich kryjówek i schowków. Wszędzie. Dwa patrole wyszły... - Skinieniem głowy Insch wskazał rozciągający się za zaparowanymi szybami park. - Jak tylko przyjedzie więcej ludzi, pošlemy ich do parku. Logan pokiwał głową.

- Co pan o tym myśli?

Insch pochylił się i oparł łokciami o balustradę mostka. Z kamienną twarzą przyglądał się leniwie pływającym rybom.

- Bardzo chciałbym myśleć, że po prostu znudziło mu się tak siedzieć i gdzieś sobie poszedł. Że lepi w tej chwili bałwana. Ale tak naprawdę... Tak naprawdę to myślę, że tamten go dorwał. I że go zabije.

Insch zażyczył sobie sprowadzenia do Duthie ruchomego centrum operacyjnego - podrasowanego wozu kempingowego, czyli samochodu z brudną kanciastą nadbudówką z białymi ścianami i napisem „Policja Grampian”. W środku mieścił się mały, wydzielony pokój przesłuchań, a resztę przestrzeni zajmowały dwa biurka i stolik z kuchenką mikrofalową i czajnikiem. Ten ostatni perkotał non stop, wypełniając mikroskopijne pomieszczenie kłębamii pary.

Wysiłki ekip poszukiwawczych nie przynosiły żadnych skutków, a śnieg żarłocznie pochłaniał wszelkie ślady. Wiatr niósł go po parku, wypełniając nim wszystkie zagłębienia i nadając przedmiotom białe, zaokrąglone kształty.

Logan siedział za biurkiem przy wejściu. Obrywał zimnem po nerkach za każdym razem, gdy drzwi się otwierały i kolejna przemarznięta postać wtaczała się do środka, strzepywała śnieg z butów i łakomym wzrokiem spoglądała na czajnik. Przeglądał na laptopie listę wszystkich sprawców przestępstw seksualnych w Aberdeen. Liczył na to, że jeżeli dopisze mu szczęście, znajdzie kogoś mieszkającego nieopodal parku Duthie - dla kogo park byłby dogodnym terytorium łowów. To „jeżeli” było ogromne, bo przecież dwa pozostałe ciała znaleziono zupełnie gdzie indziej: jedno nad brzegiem Donu, drugie w parku Seaton, czyli także niedaleko rzeki przepływającej przez północną część miasta.

- Może teraz szukamy kogoś innego? - zasugerował.

Insch podniósł głowę znad papierów.

- Nie chcę o tym słyszeć! Wystarczy mi jeden świr, który porywa dzieci!

Logan zadrżał, bo drzwi znów się otworzyły i do środka weszła posterunkowa z nosem czerwonym jak piwonia. Zrobiła sobie gorący rosół, a sierżant wrócił do spisu zboczeńców, gwałcicieli i pedofilów. Dwóch mieszkało w Ferryhill, rejonie bezpośrednio przylegającym do parku, ale obu oskarżono o gwałt na dorosłych, dwudziestoparoletnich kobietach. Wydawało się mało prawdopodobne, żeby nagle zaczęli porywać, mordować i wykorzystywać seksualnie czteroletnich chłopców - ale Logan na wszelki wypadek posłał po nich radiowozy.

Poszukiwania na razie nie przynosiły efektów. Inch porzucił nadzieję znalezienia Jamiego McCreatha w oranżerii i posłał wszystkich do parku.

Natrafił na jedno znajome nazwisko: Douglas MacDuff. Doug Narwaniec. Nie figurował w rejestrze przestępców seksualnych, ale dwadzieścia lat temu był podejrzanym w sprawie o gwałt. Inne nazwiska rozpoznawał tylko dlatego, że przed tygodniem już tę listę przeglądał, próbując wytypować mordercę Davida Reida i Petera Lumleya.

Zaczynał go dręczyć ból głowy - jedna z nagród za siedzenie w przeciagu przy tym cholernym laptopie. Najgorsze, że nic nie osiągnął. Trudno uwierzyć, że to dopiero środa: jedenaście dni temu wrócił do pracy. Tak właśnie wygląda graniczenie czasu pracy. Pokręcił głową i ścisnął palcami nasadę nosa, próbując rozmasować narastający ból.

Otworzył oczy i jego wzrok padł na kolejne znajome nazwisko: Martin Strichen, Howesbank Avenue 25. Człowiek, który jednym ciosem sprowadzał oślizłych prawników do parteru. Sandy-Wąż miał czelność twierdzić, że do zwolnienia Cleavera doszło z winy policji... Logan uśmiechnął się pod nosem, przypominając sobie scenę przed sądem. Bach! Prosto w nos.

Insch spojrział na niego znad raportu trzęsącej się z zimna posterunkowej.

- Co pana tak bawi, do diabła?

Jego mina nie pozostawiała wątpliwości: nie było z czego się śmiać.

- Przepraszam, panie inspektorze. Przypomniałem sobie właśnie, jak Sandy'emu złamali nos.

Wyraz rozdrażnienia zniknął z twarzy Inscha. Może jednak było się z czego pośmiać.

- Bum! - Uderzył pięścią w drugą dłoń. - Mam to nagrane. Poproszę kogoś, żeby zgrał mi to na dysk. Przyda mi się jako tapeta. Bach!

Logan roześmiał się i wrócił spojrzeniem do laptopa. Lista była jeszcze długa.

Dziesięć minut później stał przed laminowanym planem Aberdeen na ścianie centrum operacyjnego. Pokreślili go czerwonym i niebieskim pisakiem, tak jak ten w komendzie: czerwone kropki oznaczały miejsca upro-

282

wadzenia dzieci, niebieskie - miejsca znalezienia zwłok. Właśnie przybyło trzecie czerwone kółko: park Duthie.

-1 co? - zainteresował się Insch, widząc, że Logan od pięciu minut stoi bez ruchu i wpatruje się w plan.

- Słucham? Te parki mnie zastanawiają. Petera Lumleya znaleźliśmy w Seaton, teraz McCreath zniknął z Duthie...

Logan postukał się pisakiem w zęby.

- No i? - Głos Inscha nie zdradzał nadmiaru cierpliwości.
- David Reid nie pasuje.

Insch burknął groźnie i zapytał, co właściwie, do cholery, Logan ma na myśli.

Sierżant postukał pisakiem w mapę.

- David został porwany z placu zabaw i porzucony nad rzeką w Bridge of Don. Obeszło się bez parków.
- Rozmawialiśmy już o tym!
- To prawda, ale wtedy mieliśmy tylko dwóch porwanych chłopców. Może to za mało, żeby odkryć prawidłowość.

Drzwi otworzyły się z impetem. Do środka dmuchnął huraganowy wiatr, niosąc tumany śniegu i posterunkową Watson. Zamknęła drzwi i otrzepała się ze śniegu, tworząc miniaturowe zaspy na wykładzinie.

- Jezu, ale ziąb!

Nos miała jak wiśnia, policzki jak jabłka, wargi jak dwa sine kawałki krojonej w paski wątroby. Złowrogie spojrzenie Inscha przesunęło się z Logana na Watson i z powrotem, ale posterunkową, nieświadoma tych oględzin, otuliła dłońmi czajnik, usiłując wykraść z niego całe ciepło.

- Coś musi w tym być - powiedział Logan, wpatrując się w plan miasta i stukając pisakiem w zęby. - Ale my tego czegoś nie widzimy. Co wyróżnia tego chłopca? Może właśnie nic, może to wszystkie te miejsca coś łączy...

W oczach Inscha błysnął płomyczek nadziei. - Ale co?

- Nie mam pojęcia. - Logan wzruszył ramionami. - Wiem, że coś musi być, ale nie umiem tego wskazać.

I wtedy inspektor Insch stracił cierpliwość. Wyrznął pięścią w biurko, aż papiery podskoczyły, i zapytał, co właściwie, do kurwy nędzy, Logan sobie wyobraża? Zaginęło następne dziecko, a on umie tylko uprawiać jakieś kretyńskie gierki? Twarz inspektora przybrała buraczany odcień, kropelki śliny bryzgały na wszystkie strony, mieniając się w jarzeniowym świetle.

Zamierzał wyładować całą złość na pierwszym obiekcie, który mu się nawinął.

283

Watson chrząknęła znacząco, wykorzystując fakt, że musiał zrobić przerwę na nabranie oddechu. Spojrzał na nią takim wzrokiem, że odruchowo cofnęła się o krok, przyciskając czajnik do piersi jak tarczę.

-Co jest?!

- Wszystkie są zarządzane przez miasto... ? - wykrztusiła Watson najszybciej, jak mogła.

Logan spojrział na plan. Miała rację. Wszystkimi zaznaczonymi przez niego miejscami zarządzało miasto. Wydział parków. Przed domem Lumleyów był kawałek takiego terenu, plaża, z której zniknął David Reid, też była własnością komunalną. Podobnie jak ten odcinek brzegu rzeki, gdzie go znaleziono.

Coś zaskoczyło.

- Martin Strichen - stwierdził Logan, wskazując na ekran laptopa.

- Jest na liście. Zawsze dostaje taki sam wyrok: prace społeczne w wydziale parków. - Postukał palcem w mapę, rozmazując niebieskie kółko wokół parku Seaton. - To stąd wiedział, że toalety będą zamknięte aż do wiosny!

Watson pokręciła głową.

- Ale, panie sierżancie, Strichen został skazany za masturbację w damskiej szatni, a nie molestowanie małych chłopców.

Insch jej zawtórował, ale Logan nie dał się łatwo zbyć.

• Na basenie, prawda? A kogo kobiety zabierają na basen? Dzieci! Te, które są za małe, żeby przebierać się same, idą z mamą do przebieralni: małe

rozebrane dziewczynki i...

- ..mali rozebrani chłopcy! - dokończył Insch. - To łajdak. Zawiadomić wszystkie posterunki i radiowozy. Dawajcie mi tu tego Strichena.

Na sygnale i z kogutem przemknęli z parku Duthie do Middlefield; wyłączyli syrenę, dopiero znalazłszy się w okolicy domu Strichena. Nie chcieli go spłoszyć.

Segment przy Howesbank Avenue 25 znajdował się w środku szeregowca przy długiej ulicy w północno-zachodnim narożniku Middlefield. Za rzędem białych tynkowanych domów rozciągał się wąski pas zarośli, a dalej nieużywane kamieniołomy granitu, skąd stromo w dół schodziło się do papierni i kurzej fermy w Bucksburn.

Wiatr smagał tyły domów, skowycząc potępieńczo i podrywał w powietrze kłęby śniegu zalegające zmrożoną ziemię, które mieszały się ze spadającymi z góry świeżymi płatkami. Śnieg czepiał się ścian, jakby ktoś otulił je skrzącą się watą. W ciemnych oknach mieniły się bożonarodzeniowe choinki i weseli Święci Mikołajowie. Niektórzy mieszkańcy próbowali

284

stylizować okna na stare, z wieloma szybkami w ołowianych oprawkach - za pomocą czarnej taśmy izolacyjnej i śniegu w sprayu. Bardzo elegancko.

Zaparkowali za zakrętem, żeby samochodu nie było widać z domu. Insch, Watson, Logan i posterunkowy, o którym Logan nie umiał myśleć inaczej jak tylko „drań Simon Rennie”, wysiedli na śnieg. Prokurator potrzebował trzech minut, żeby podpisać nakaz aresztowania Martina Strichena.

- No to jesteście. - Insch zmierzył wzrokiem dom pod numerem 25, jedyny przy całej ulicy bez choinki w oknie. - Watson, Rennie: idźcie na

tył. Nikt nie wchodzi, nikt nie wychodzi. Dajcie znać, jak zajmiecie pozycję. - Wyciągnął z kieszeni komórkę. - My wchodzimy od frontu.

Mundurowi ruszyli na tyły domu, kuląc się przed niosącym lodowe igiełki wiatrem. Insch zmierzył wzrokiem Logana.

- Da pan sobie radę?
- Słucham?
- Jeśli pójdzie na noże, da pan radę? Nie chciałbym, żeby mi pan tu wykitował.

Logan pokręcił głową. Przemarznięte czubki uszu płonęły mu żywym ogniem.

- Proszę się nie martwić, panie inspektorze. - Wiatr porwał jego oddech, zanim zdążył uformować się w obłoczek pary. - Schowam się za panem.
- I dobrze. - Insch się uśmiechnął. - Niech pan tylko uważa, żebym pana nie przygniótł, jak się przewrócę.

Telefon w kieszeni inspektora zabrzączał dyskretnie. Watson i Rennie zajęli pozycję.

Frontowe drzwi numeru 25 od lat nie oglądały świeżej farby. Spod warstwy starej, obłazącej, niebieskiej wyzierało szare, próchniejące, iskrzące się od szronu drewno. Za dwiema półmatowymi szybkami widać było ciemny przedpokój.

Insch nacisnął dzwonek. Po trzydziestu sekundach nacisnął go ponownie, a chwilę później - po raz trzeci.

- Idę, już idę! Komu się tak spieszy, do diabła?!

Głos dobiegł z głębi domu. Zaraz potem w korytarzu zapaliło się światło i zamajaczył w nim jakiś cień. Rozległy się stłumione przekleństwa, jednak nie aż tak ciche, żeby nie dało się ich zrozumieć.

- Kto tam?

Głos był kobiecy, ale tak chrapliwy po latach picia i palenia, że brzmiał równie zachęcająco jak warczenie wściekłego rottweilera.

285

- Policja.

Chwila wahania. Ale drzwi pozostały zamknięte.

- Co ten mały drań znowu przeszkrobał?
- Proszę otworzyć.
- Małego drania nie ma.

Inspektor Insch powoli zaczynał się czerwienić.

- Proszę natychmiast otworzyć te przeklęte drzwi!

Szczęk, stuk, zgrzyt. Drzwi się uchyliły. Twarz, która zza nich wyjrzała, była pomarszczona i zawzięta. W kąciку wąskich wykrzywionych ust tkwił papieros.

- Powiedziałam już: nie ma go. Przyjdźcie kiedy indziej.

Insch miał wyraźnie dosyć tej zabawy. Wyprostował się, oparł całym ciężarem na drzwiach i pchnął. Kobieta zatoczyła się do tyłu, a inspektor korzystając z okazji, przeszedł przez próg i stanął w przedpokoju.

- Nie możecie wejść bez nakazu! Znam swoje prawa!

Insch pokręcił głową, wyminął ją, przeszedł przez małą kuchnię i otworzył tylne drzwi, wpuszczając do środka zmarzniętych Watson i Rennie-go. Powiało śniegiem.

- Nazwisko? - zapytał inspektor, celując palcem prosto w rozeźloną kobietę.

Była ubrana, jakby spodziewała się nowego złodowacenia: gruby wełniany pulower, równie gruba i także wełniana spódnica, wełniane skarpety, futrzaste

kapcie, a na to wszystko obszerny rozpinany sweter w kolorze brudnego brązu. Jej włosy wyglądały jak ułożone w latach pięćdziesiątych - i od tamtej pory nietknięte: skręcały się w błyszczące, jakby przetłuszczone loki, przyciśnięte do głowy spinkami i burą siatką.

Skrzyżowała ręce na piersi, podpierając obwisły biust.

- Jeśli macie nakaz, to chcę go zobaczyć.

- Psiakrew! - zaklął Insch. - Ludzie dziś oglądają za dużo telewizji.

- Wyjął nakaz aresztowania i podstawił jej go pod nos. - Gdzie on jest?

- Nie wiem. - Cofnęła się do zapuszczonego salonu. -Nie jestem jego niańką.

Inspektor zrobił krok w przód. Twarz miał fioletową, na szyi i czole wystąpiły mu żyły. Kobieta skuliła się jak uderzona. Głos Logana złagodził napięcie:

- Kiedy ostatnio go pani widziała?

Odwróciła się w jego stronę.

- Dziś rano, jak wychodził na te swoje prace społeczne. Zawsze dostaje prace społeczne, zasraniec. Zbok paskudny. No bo przecież nie może sobie znaleźć uczciwej roboty, nie? Woli się zabawiać ptaszkiem w przebieralniach.

286

- No dobrze. Gdzie miał dziś pracować?

- A skąd mam wiedzieć? Dzwoni do nich zawsze rano, łachudra, a oni mu mówią, gdzie ma jechać.

- Do kogo dzwoni?

- Do służb miejskich, a niby do kogo?! Numer jest na stoliku przy telefonie.

Na stoliku niewiele większym niż znaczek pocztowy stał brudny telefon

bezprzewodowy. Obok leżał notesik z napisem „Wiadomości”. Przy bazie aparatu do udającego mahoń blatu leżał przypięty pineską list na papierze z godłem rady miejskiej Aberdeen: na tarczy podpartej przez dwa stojące lamparty widniały trzy wieże obwiedzione czymś w rodzaju drutu kolczastego. Bardzo szlachetny herb. Było to zawiadomienie z wydziału parków o nakazie prac społecznych dla Martina Strichena.

Logan wyjął telefon komórkowy, wybrał numer i porozmawiał chwilę z człowiekiem odpowiedzialnym za kontakty ze Strichenem.

- Chcecie zgadywać? - zapytał, kiedy się rozłączył.
- Duthie? - domyślił się Insch.
- Brawo.

Logan z Inschem wyciągnęli od matki dane samochodu Martina, a Rennie i Watson przeszukali w tym czasie dom. Watson wróciła z zaciętą miną i sekatorem zapakowanym w foliową torebkę.

Kiedy pani Strichen usłyszała, co jej synek zrobił, była przeszczęśliwa, mogąc pomóc policji w zamknięciu go w więzieniu do końca życia. Zasłużył sobie, mówiła. Nigdy nie było z niego żadnego pożytku. Żałowała wręcz, że nie udusiła go zaraz po porodzie. Albo że nie zadźgała go wieszakiem, zanim jeszcze przyszedł na świat. Bóg jej świadkiem, że będąc z małym draniem w ciąży, wypłała tyle dzinu i whisky, że powinien ducha wyzionąć.

- Mało prawdopodobne, żeby wrócił do domu, w ramiona kochającej mamusi - stwierdził Insch, kiedy gospodyni poszła na piętro do łazienki.

- Szczególnie teraz, kiedy puścimy jego nazwisko i rysopis w radiu i telewizji. Ale nigdy nic nie wiadomo. Dlatego wy dwoje, Watson i Rennie, zo staniecie tu z wiedźmą z Middlefield. Nie podchodźcie do okien; nie chcę, żeby ktoś się dowiedział, że tu jesteście. Jeżeli chłoptaś wróci, wezwijcie

wsparcie. Gdybyście chcieli sami się nim zająć, najpierw upewnijcie się, że nic wam nie grozi.

Watson patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Panie inspektorze! Przecież on tu nie wróci! Proszę mnie tu nie zostawiać. Posterunkowy Rennie da sobie świetnie radę sam.

287

Rennie prychnął i pokręcił głową.

- No, dziękuję bardzo...

Watson zmarszczyła brwi.

• Wiesz, o co mi chodzi. Panie inspektorze, ja się przydam. Mogłabym...

• Pani posterunkowa - przerwał jej Insch. - Jest pani jednym z moich najcenniejszych podwładnych. Szanuję pani profesjonalizm. Nie mam natomiast czasu na to, żeby głaskać pani niedopieczzone ego. Zostanie pani tutaj i będzie mieć oko na wszystko. Jeżeli Strichen wróci, potrzebny tu będzie ktoś, kto w razie potrzeby go załatwi.

Rennie sprawiał wrażenie urażonego, ale miał dość rozumu, żeby się nie odzywać.

Inspektor zapiął płaszcz.

- Pan idzie ze mną, sierżancie.

Insch z Loganem wyszli. Posterunkowa Watson z pochmurną miną patrzyła, jak drzwi się za nimi zamykają. Simon Drań podszedł do niej.

- Rany, Jackie... - odezwał się z płaczliwym amerykańskim akcentem. - Jesteś taka super. Obronisz mnie, jak ten zły tu wróci? - Zatrzepotał rzęsami.

- Ale z ciebie czasem palant.

Watson poszła do kuchni zaparzyć herbatę. Rennie

uśmiechnął się i pobiegł za nią. - Nie zostawiaj mnie! Nie

zostawiaj mnie!

Logan nastawił ogrzewanie na maksimum i czekał, aż przez przednią szybę znów będzie coś widać.

- Jest pan pewien? - spytał.

Inspektor namierzył właśnie otwartą paczkę galaretek w kieszeni płaszcza i obierał je z farfocli. Włożył czerwoną do ust i poczęstował Logana.

Następna w kolejce była zielona, czysta.

- Słucham?

Sierżant wziął galaretkę.

- Co będzie, jeśli on faktycznie tu wróci?

Insch wzruszył ramionami.

- Nie bez powodu nazywają ją Żyletą. Mógłbym tu przysłać armię naszych ludzi w mundurach, ale tylko by go przepłoszyli. Musimy działać dyskretnie. Postawię dwa cywilne samochody przy ulicy kawałek stąd. Powinni go zobaczyć, zanim trafi do domu, ale osobiście uważam, że przy czai się w którejś z kryjówek w miejskich parkach. Zresztą nawet gdyby okazał się kompletnym idiotą i jednak tu przyszedł, wątpię, żeby sprawił

28?

Watson. większy kłopot. Nigdy nie był notowany za napaść, za prawdziwą przemoc

- Wężowi dał w pysk!

Insich uśmiechnął się z satysfakcją.

- Fjakt. Jedyne dobre uczynki w życiu. Mniejsza z tym, my dwaj mamy ważniejsze sprawy na głowie. Wracamy do jaskini nietoperzy. - Wyciągnął rękę w kierunku komendy.

Wyjechali na jezdnię, w zadymkę, zostawiając za sobą dom przy Howesbaak Avenue i posterunkową Watson.

36

wszystkie radiowozy, zaopatrzone w opis sfatygowanego forda fiesty, szukały Martina Strichena. Technicy z laboratorium znaleźli na sektorze ślady krwi, która wciekła w zawias - grupa krwi pasowała do Davida Rei-da.

Gdziekolwiek Strichen był, zamierzali drania znaleźć.

Cztery godziny czterdzieści pięć minut.

Inspektor Insch i sierżant McRae tracili czas w komendzie. Przyjechali ważniacy z Edynburga: dwóch sierżantów z dochodzeniówki w elegancko odprasowanych granatowych mundurach, dobranych do nich koszulach i krawatach, jeden inspektor o twarzy jak spód popielniczki i psycholog kliniczny, pan Bushel, który nalegał, by tytułować go „doktorem”.

Inspektor prowadził w przeszłości dwa śledztwa w sprawie seryjnych morderstw - i oba zakończyły się sukcesem: jedno, gdy na Carlton Hill, przy wschodnim końcu Princes Street, znaleziono sześcioro uduszonych uczniów, drugie - po długim oblężeniu na terenie starówki. Nikt nie przeżył; troje cywilów i jeden policjant przypłacili akcję życiem. Zdaniem Logana nie były to imponujące osiągnięcia.

Nowy inspektor miał lodowaty wzrok, kiedy przysłuchiwał się, jak Insch wprowadza gości w tajniki śledztwa, i zadawał bardzo celne pytania. Nie był głupi - to wydawało się oczywiste. Zaimponowało mu, że już po znalezieniu drugiej ofiary Logan z Inschem zidentyfikowali mordercę.

Doktor Bushel był nieznośnie zarozumiały. Martin Strichen idealnie

pasował do sporządzonej przez niego charakterystyki - tej, w której „nie wykluczał choroby psychicznej”. Tylko w ogóle do niego nie docierało, że opracowany przez niego profil wcale się im do złapania Strichena nie przydał.

289

- Tak to w tej chwili wygląda - zakończył Insch, triumfalnym gestem ogarniając cały pokój operacyjny.

Inspektor z Edynburga pokiwał głową.

- Chyba niepotrzebna wam nasza pomoc - stwierdził cichym, poważnym głosem, z leciutkim południowym akcentem. - Wiecie, kogo szukacie, rozesłaliście ludzi... Pozostaje czekać. Prędzej czy później gdzieś wypłynie.

Ale prędzej czy później Inschowi nie wystarczało. Prędzej czy później oznaczało, że mały Jamie McCreath dołączy do grona zabitych.

Doktor Bushel wstał i zaczął oglądać wiszące na ścianie fotografie miejsc zbrodni. Wydawał przy tym zagadkowe pomruki i mówił do siebie:

-Hm... No tak...

- Panie doktorze? - zagadnął go inspektor.- Jak pan sądzi, gdzie teraz się pojawi?

Psycholog odwrócił się do nich. Światło odbiło się w okrągłych szklach okularów.

- Nie będzie się spieszył. Od dawna to przecież planuje.

Logan spojrzał znacząco na Inscha. O mój Boże...

Odchrząknął.

- Nie uważa pan, że to raczej reakcja instynktowna? Coś jak odruch kolanowy...

Doktor Bushel spojrział na niego jak na głupiutkie dziecko, które jednak postanowił łaskawie oświecić.

- To znaczy?
- W wieku jedenastu lat był wykorzystywany seksualnie przez Geralda Cleavera. W niedzielę znaleźliśmy małego Lumleya, zanim Strichen zdążył wrócić i okaleczyć zwłoki. Dziś telewizja nadała reklamę: Cleaver sprzedał swoją historię do gazet. To może być dla Strichena za dużo. Jeśli tego nie zniesie, zadziała bez namysłu.

Lekarz uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Ciekawa teoria - przyznał. - Sęk w tym, że laikowi łatwo pomylić sygnały. Bo widzi pan, w tej sprawie są pewne typowe elementy, których nie sposób wychwycić niewprawnym okiem. Strichen to człowiek bardzo systematyczny. Dokłada wszelkich starań, żeby zwłok ofiar nie znaleziono. Żyje w wyimaginowanym, silnie zrytualizowanym świecie, a to oznacza, że musi przestrzegać surowych reguł, które sam sobie narzucił. Gdyby tego zaniedbał, stałby się zwykłym potworem żerującym na dzieciach. Tymczasem on się wstydzi tego, co robi... - Wskazał na zrobione w prosektorium zdjęcie krocza Davida Reida. - Udaje, że ofiara nie jest mężczyzną. Dla-

290

tego odcina genitalia. Wmawia sobie, że jego zbrodnia nie jest wcale taka okrutna, bo przecież nie okalecza małych chłopców. - Zdjął okulary i przetarł je końcówką krawata. - Martin Strichen musi jakoś usprawiedliwić swoje poczynania, choćby przed sobą samym. Musi odprawić rytuał. Nie będzie się spieszył.

Logan odezwał się dopiero wtedy, kiedy Insch zaprowadził gości do stołówki, wrócił do pokoju operacyjnego i na chwilę zostali sami.

- Co za pieprzenie!

Insch pokiwał głową i po raz setny tego dnia przeszukał kieszenie.

- To fakt. Tylko że ten bubek pomógł złapać czterech recydywistów, w tym trzech morderców. Na ludziach zna się równie dobrze jak bakteria, ale ma doświadczenie.

- Co robimy? - westchnął Logan.

Insch zarzucił poszukiwania cukierków i po prostu wetknął ręce do kieszeni.

- Co robimy? Siedzimy i czekamy. Może będziemy mieli szczęście.

Latem z okien na tyłach domu rozciągałby się widok na porośniętą ostrą trawą pagórki, złocące się w słońcu i ciągnące po horyzont. Szara połać Bucksburn byłaby niewidoczna. A przy dobrym dniu, kiedy papiernia nie pluła pod niebo cumulusami dziwnie pachnącej pary, wzgórze, pola i lasy na drugim brzegu Donu lśniłyby jak szmaragdy. Istny bukoliczny raj, kompletnie odizolowany od ruchliwej dwupasmowej drogi w wykopie.

Teraz jednak nic nie było widać. Zwykły opad śniegu przeszedł w zadymkę i posterunkowa Watson, stojąc przy oknie w największej sypialni, ledwie widziała płot ogrodu za domem. Z westchnieniem odwróciła się plecami do ponurego popołudnia i ciężkim krokiem zeszła na parter.

Matka Strichena siedziała zgarbiona w przesadnie puchatym fotelu, obitym wesołym materiałem w maki i różyczki. Z kącika ust zwisał jej niedopałek papierosa; w popielniczce na stoliku dogorywały takich dziesiątki. W telewizji leciała opera mydlana. Watson nie cierpiała oper mydlnych - ale Simon Drań je uwielbiał. Siedział na kwiecistej sofie, gapił się w ekran i wypijał jedną herbatę za drugą.

Watson wzięła dwa ostatnie herbatniki z otwartej paczki na stoliku i

stała przed elektrycznym piecykiem. Zamierzała się rozgrzać i była nawet gotowa zaryzykować przypalenie spodni. W domu było lodowato. Pani Strichen na cześć gości włączyła piecyk, ale nie obeszło się bez narzekania. Bo wiecie państwo, prąd nie jest za darmo, o nie. A jak ona miała sobie radzić, kiedy ten mały łajdak nie przynosił do domu ani grosza? Pani Duncan, która mieszkała niedaleko, to co innego. Jej syn był dilerem

291

narkotyków i opływał w dostatki. Co rok dwa razy jeździli na urlop za granicę! Teraz akurat siedział w Craiginches - trzy lata za posiadanie z zamiarem sprzedaży - ale przynajmniej się starał!

Kiedy para buchająca z nogawek spodni stała się zbyt gorąca, Watson przeniosła się do kuchni i wstawiła wodę na herbatę. Znowu. W tej przeklętej lodówce tylko herbata ratowała człowieka od zamarznięcia.

Kuchnia była malutka: kwadrat linoleum, pośrodku stół, pod ścianami blaty, wszystko w kolorze nikotynowej żółci. Watson zdjęła z suszarki trzy kubki. Szczęknęły, kiedy stawiała je na blacie, ale nie chciało jej się sprawdzać, czy się nie wyszczerbiły. Trzy torebki z herbatą. Cukier. Wrzątek. Ale mleka było już tylko dla dwojga.

- Pieprzyć to.

Nie było mowy, żeby przy takim zimnie zrezygnowała z herbaty. Simon napije się bez mleka.

Zaniosła herbatę do pokoju. Postawiła dwa kubki na stoliku. Pani Strichen chwyciła swój bez słowa podziękowania. Rennie zdążył powiedzieć:

-Ooo, super...

I zorientował się, że dostał herbatę bez mleka. Posłał Watson spojrzenie udręczonego szczeniaka.

- Nic z tego. Mleko się skończyło.

Spojrzał zawiedziony w głąb kubka z ciemnym płynem.

- Jesteś pewna?

- Nie ma ani kropelki.

Pani Strichen spojrzała na nich krzywo, wypuszczając przez zęby chmurę dymu.

- Przepraszam państwa, ale oglądam.

Na ekranie facet z wielką głową i nierównym zarostem oglądał telewizję i popijał herbatę. Rennie znów spojrzał do kubka.

- Mogę iść kupić mleko - zaproponował. -1 ciastka. Watson wyjadła herbatniki do końca.

- Insch kazał nam się stąd nie ruszać - westchnęła.

- Wiem, ale przecież Strichen nie wróci. A mnie ile nie będzie, pięć minut? Dziesięć? Na rogu jest kiosk...

Tym razem pani Strichen wyjęła papierosa z ust.

- Moglibyście się wreszcie zamknąć?!

Wyszli do przedpokoju.

- Przecież zaraz wrócę. A poza tym nawet gdyby wrócił, skopiesz mu tyłek i już. Dwa nasze samochody są w pobliżu.

- Wiem, wiem... - Watson spojrzała przez ramię na telewizor i jadłowitą matkę Strichena. - Po prostu wolałabym nie łamać rozkazów.

292

- Ja nikomu nie powiem, a ty? - Rennie zdjął z wieszaka jeden z wiszących na nim grubych płaszczy. Zalaatywał trochę starą fryturą, ale powinien dobrze chronić przed chłodem. - Nie pocałujesz mnie na do widzenia?

•Nie pocałowałam cię, nawet gdybyś był jedynym facetem na Ziemi.

- Watson popchnęła go do drzwi.- Przynies frytki. Z solą i octem.

Rennie zasalutował niezdarnie. -Tak jest!

Drzwi się za nim zamknęły. Watson wróciła do salonu gapić się bezmyślnie w ekran i sączyć herbatę.

Trudno było uwierzyć, że miejski wydział parków w Aberdeen zarządza lub utrzymuje taką masę nieruchomości. Ich listę przefaksował jakiś ponury jegomość, niezbyt zadowolony z tego, że wezwano go z powrotem do biura za piętnaście siódma wieczorem. A teraz należało wszystkie te budynki odwiedzić i przeszukać. Doktor Bushel był absolutnie przekonany, że Strichen zabrał Jamiego właśnie do jednego z nich.

Loganowi nie chciało się zwracać mu uwagi, że to oczywiste.

Szansa na to, że z długiego spisu wybiorą właściwy dom, były minimalne. Nie zdążą. Jamie McCreath nie dożyje czwartych urodzin.

Próbując ograniczyć listę potencjalnych kryjówek, Logan poprosił gburę z wydziału parków o podanie wszystkich miejsc, w których Martin Strichen odbywał przymusowe prace społeczne. Ta lista okazała się niewiele krótsza od pierwszej, bo Strichen regularnie popadał w tarapaty, odkąd skończył jedenaście lat. Odkąd wpadł w brudne łapy Geralda Cleavera. Grabił liście, przycinał krzewy, pryskał chwasty i przetykał kible w większości miejskich parków.

Logan ułożył listę w odwróconym porządku chronologicznym i rozesłał ludzi po miejscach, w których Strichen ostatnio pracował. Po sprawdzeniu ich mieli szukać dalej, w zakątkach, które wcześniej odwiedził. Przy odrobinie szczęścia powinni znaleźć chłopca, zanim morderca go skrzywdzi, ale sierżant miał złe przeczucia. Owszem, złapią Strichena, ale

dopiero za kilka dni, w jakimś Stonehaven albo Dundee. Na pewno nie będzie się kręcił po Aberdeen i okolicach. Przecież wszystkie gazety wydrukują jego portret, telewizje wyemitują zdjęcie, radio poda rysopis. Złapią go i wtedy zaprowadzi ich w końcu do zwłok zamordowanego chłopca.

- Jak leci?

Insch stanął w drzwiach pokoiku Logana. W głównym pokoju operacyjnym zebrało się zbyt wielu psychologów, żeby sierżant dobrze się tam czuł. A tu, w ciszy i skupieniu, mógł przynajmniej spokojnie organizować poszukiwania.

- Pościg trwa.

Inspektor pokiwał głową i podał mu wyszczerbiony kubek z mocną kawą.

- Nie słyszę nadziei w pana głosie - przyznał, sadowiąc się na biurku i zerkając na listę potencjalnych kryjówek mordercy.

Logan musiał mu przyznać rację.

- Nic więcej nie możemy zrobić. Ludzie znają rozkazy, wiedzą, w jakiej kolejności gdzie szukać... To wszystko. Albo go znajdziemy, albo nie.
- Chciałby pan szukać razem z nimi?
- A pan nie?

Inspektor uśmiechnął się smutno.

- Pewnie, że tak. Ale muszę się opiekować gośćmi... Wie pan, przywi leje rangi. - Zsunął się z biurka i poklepał Logana po plecach. -Ale pan to co innego. Jest pan zwykłym sierżantem. Proszę się stąd zabierać.

Logan wziął z parkingu niebieskiego, nadzartego rdzą vauxhalla. Dochodziła siódma i było już ciemno. W środę wieczór ruch na ulicach był niewielki, większość ludzi wracała po prostu z pracy i w tak paskudną

pogodę nie zamierzała już ruszać się z domu. Tylko najwięksi twardziele przebiegali z pubu do pubu w blasku świątecznych lampek.

Im mniej samochodów jeździło po ulicach, tym szybciej śnieg obejmował miasto w posiadanie; lśniący czarny asfalt przybierał najpierw szarą, a później białą barwę. Logan nie miał konkretnego pomysłu, dokąd powinien jechać - po prostu nie chciał siedzieć beczynnie. Wolał być jeszcze jedną parą oczu wypatrujących wozu Martina Strichena.

Pojechał do Rosemount, nie wysiadając z samochodu, zwiedził park Wiktorii i okoliczne ulice. Przy minusowej temperaturze, śniegu i wietrze wiejącym z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę Martin Strichen na pewno zaparkowałby jak najbliżej miejsca, w które się udawał. Zwłaszcza mając ze sobą porwane dziecko.

Nigdzie w okolicach parku Wiktorii nie wypatrzył trędowatej fiesty Strichena, przejechał więc na drugą stronę ulicy, do Westburn. Ten park był znacznie większy, poprzecinany zaśnieżonymi teraz drózkami. Z chrzęstem opon samochód brnął przez zawieję, a Logan wypatrywał kryjówek, w której mógłby się zmieścić wóz Strichena.

Nic nie znalazł.

Zapowiadała się długa noc.

Posterunkowa Watson patrzyła przez kuchenne okno, jak wściekła wichura niesie tony śniegu. Simon wyszedł przed kwadrans. Od tam-

294

tej pory nuda i zniechęcenie zmieniły się w nerwowe wyczekiwanie. Nie przejmowała się tym, że Martin Strichen mógłby wrócić - Simon Drań miał rację: potrafiłaby mu skopać tyłek. Ba, bez fałszywej skromności mogła

uznać, że potrafiłaby skopać tyłek większości ludzi. Ciężko zapracowała na swój przydomek. Martwiło ją co innego... Chociaż, prawdę mówiąc, nie do końca wiedziała co.

Może nie podobało jej się to, że wyłączono ją z śledztwa i kazano czekać nie wiadomo na co? Powinna chodzić po mieście, robić coś konkretnego, a nie tkwić na odludziu, oglądać opery mydlane i popijać herbatę. Westchnęła, zgasiła światło w kuchni i patrzyła, jak pada śnieg.

Nieoczekiwany dźwięk kompletnie ją zaskoczył: szczęknięcie zamka we frontowych drzwiach. Włosy stanęły jej dęba.

Wrócił! Palant skończony wrócił do domu, jakby nigdy nic! Ze złowrogim uśmiechem na twarzy wyszła na palcach z kuchni i stanęła w ciemnym przedpokoju. Skrzypnęła naciśnięta klamka. Watson napięła mięśnie, a kiedy drzwi się otworzyły, chwyciła intruza, wytrąciła go z równowagi i rzuciła na plastikową matę przy progu. Wskoczyła mu na pierś i wzięła zamach.

Intruz wrzasnął i zasłonił twarz rękami.

Rozpoznała Simona Drania.

•Ojej - powiedziała. Opuściła rękę i zeszła z niego. - Przepraszam.

•Rany, Jackie! - Spojrzał na nią przez palce. - Jeśli tak bardzo chciałaś na mnie posiedzieć, wystarczyło poprosić.

•Pomyliłam cię z kimś. - Watson pomogła mu wstać. - Nic ci się nie stało?

•Poszukam w bieliźniarce na górze czystych bokserów, ale poza tym w porządku.

Przeprosiła go jeszcze raz i pomogła mu wnieść zakupy do kuchni.

- Kupiłem przy okazji błyskawiczne obiady - powiedział, wytrząsając na stół zawartość toreb. Co chcesz: kurczak z grzybami, wołowina z pomidorami czy ostre curry?

Watson wybrała kurczaka, Rennie curry; skwaszona pani Strichen mogła ewentualnie skusić się na to, co zostało. Kiedy makaron zaczął rozmiękać w garnku z wrzątkiem, Rennie opowiedział Watson o swojej wycieczce po sklepach. Ponieważ u wylotu ulicy, naprzeciwko sklepików, parkował jeden z samochodów podesłanych przez Inscha, chwilę pogawędził z siedzącymi w nim policjantami. Byli stąd, z Bucksburn, i wcale im się nie podobało nowe zadanie. Strata czasu! Strichen nie wróci. Ale gdyby jednak mu się zdarzyło, spuszcza mu niezłe bęcki za to, że przez niego tak wymarzli.

295

- Mówili coś o poszukiwaniach? - zainteresowała się Watson, z roztrągnięciem mieszając pęczniejący makaron.
- To jakiś absurd: masa budynków i żadnego pomysłu, gdzie gościa szukać.

Watson westchnęła i wyjrzała przez okno. Śnieg padał tak samo jak przedtem.

- Zapowiada się długa noc.
- Nie przejmuj się. - Rennie uśmiechnął się złośliwie. - Ona ma *East Enderów* na kasetach.

Watson jęknęła z rozpaczą. A jeszcze przed chwilą myślała, że gorzej być nie może.

W Westburn również nie było śladu fiesty Martina Strichena. Nie pierwszy raz Logan złapał się na myśli, że Strichen najprawdopodobniej po prostu wyjechał z Aberdeen. Przecież na pewno już się zorientował, że go szukają; od opuszczenia komendy Logan słyszał w lokalnym radiu chyba z tuzin apeli do mieszkańców. Na miejscu poszukiwanego sam byłby w

połowie drogi do Dundee.

Powolutku jechał przed siebie.

Od czasu do czasu mijał go jadący w przeciwnym kierunku radiowóz. Oni też, jak on, przeczesywali ulice. Może warto spróbować w Hazlehead? Chociaż to i tak nie miało znaczenia: Jamie McCreath najprawdopodobniej już był martwy.

Westchnął i skręcił w North Anderson Drive.

Komórka rozdzwoniła się natarczywym sygnałem. Zjechał na bok, aż samochód wskoczył na zlodowaciały występ skrywający krawężnik.

- Logan, słucham.

•Łazarz, staruszk... Co słyszeć? Przeklęty Colin Miller.

Logan westchnął ciężko.

•Czego chcesz, Colin?

•Słucham radia, czytam biuletyny dla prasy... Co się dzieje?

Obok przejechała ciężarówka z przyczepą. Metrowej wysokości fala brudnego mokrego śniegu schlapała vauxhalla. Logan patrzył, jak tylne światła wozu niczym para czerwonych ślepi znikają za pobliskim rondem.

- Dobrze wiesz, co się dzieje! Przez to, że wydrukowałeś tę swoją historyjkę, straciliśmy najlepszą szansę złapania tego gnoja! - Wiedział, że jest nieuczciwy, że efekt był zgoła niezamierzony, ale w tej chwili niewiele go to obchodziło. Był zmęczony, sfrustrowany i potrzebował kogoś, na kogo mógł sobie pokrzyczeć. - Porwał następne dziecko, bo ty musiałeś obwieścić światu, że znaleźliśmy zwłoki tamtego malucha... - Zawiesił

296

głos. W końcu dostrzegł to, co przez cały czas miał jak na talerzu. - O żesz kurwa! - Wyrznął pięścią w kierownicę. - Kurwa, kurwa, kurwa!

- Facet, weźże się uspokój. Co się stało?

Logan zgrzytnął zębami. Jeszcze raz uderzył w kierownicę.

• Co się dzieje? Masz atak?

• Wiedziałeś o każdym trupie, prawda? O każdym jednym pieprzonym trupie!

Następna ciężarówka śmignęła ulicą. Vauxhall cały się zatrzęsł od podmuchu powietrza.

- Łazarzu?

- Isobel!

W słuchawce zrobiło się cicho.

• To ona jest twoim informatorem, prawda? Wygrzebuje łakome kąski i ci je dostarcza. Żeby ten twój szmatławiec lepiej się sprzedawał! - Logan krzyczał. - Ile jej płacisz?! Ile było warte życie Jamiego McCreatha?!

• To nie tak! Ja... My... - Zapadła cisza, a kiedy Miller znów się odezwał, prawie szeptął: - Po prostu czasem, kiedy wraca do domu, opowiada mi, jak było w pracy.

Logan spojrzał na telefon takim wzrokiem, jakby ten pierdnął mu w twarz.

- Słucham?

Westchnienie.

- Bo my... Isobel ciężko pracuje. Potrzebuje kogoś, z kim mogłaby po rozmawiać. Nie wiedzieliśmy, że tak się to skończy, przysięgam... Ale...

Logan wyłączył telefon. Powinien dawno się zorientować. Opera, fajne auto, ubrania, lepsze zarcie i gęba jak rynsztok. Cały Miller. To on był „kochasiem” Isobel.

Siedział sam w samochodzie, w śnieżycy, po ciemku, z zamkniętymi

oczami i klął z zapamiętaniem.

Gdyby miała obejrzeć jeszcze jedną zasmarkaną operę mydlaną, zaczęłaby krzyżeć. Pani Strichen przerzuciła się z telewizji na oglądanie odcinków nagranych na kasetach. Żałośni ludzie, wiodący żalosne życie, miotający się w żalosej beznadziei. Jezu, co za nuda. W dodatku w całym domu nie było ani jednej książki, nie pozostało więc nic innego, jak siedzieć w salonie i poddać się bombardowaniu serialami.

Watson poszła do kuchni. Nie chciało jej się nawet zapalać światła. Wyrzuciła do kosza karton po obiadku błyskawicznym. Co za strata czasu!

- Jackie? Wstaw wodę na herbatę, skoro już jesteś w kuchni.

297

Westchnęła.

- Na co umarł twój ostatni niewolnik?
- Z mlekiem i cukrem!

Pomrukując gniewnie, nalala wody do czajnika i postawiła go na kuchence.

- Ostatni raz! - zapowiedziała, wróciwszy do salonu. - Teraz będzie twoja kolej.

Rennie wytrzeszczył oczy.

- Ale... Przegapię początek *Emmerdale*!

- Przecież jest nagrany, jak możesz go przegapić? Zatrzymaj.

Pani Strichen zdusiła w popielniczce następnego peta.

- Czy wy dwoje zawsze się tak kłóćcie? - Wyjęła papierosy i zapalniczkę. - Jak dzieci, psia mać, jak dzieci...

Watson zgrzytnęła zębami.

- Jak chcesz herbaty, to ją sobie zrób. Odwróciła się.

- Gdzie idziesz?

- Siku. A co, nie wolno? Rennie zasłonił się rękami.

- Dobrze już, zrobię herbatę. Rany, tak jakby było się o co sprze-
czać...

Dźwignął się z sofy i zebrał puste kubki. Watson z uśmiechem satysfakcji
weszła na schody.

Nie słyszała, jak otwierały się tylne drzwi.

37

w łazience była jedna z tych niewdzięcznych spłuczek: ile razy by się
ciągnęło za dźwignię, zawartość muszli nie chciała zniknąć. Posterunkowa
Watson siedziała na brzegu wanny. Nacisnęła i zajrzała pod klapę. No,
przynajmniej papier spłynął. A reszta rozrzedziła się na tyle, że nikt nie
zwróciłby na nią uwagi.

Podobnie jak w całym domu, w łazience również było przeraźliwie zimno.
Wzdrygnęła się, umyła ręce, zerknęła na poszarzały ręcznik wiszący na
drzwiach - i wytarła ręce o spodnie.

Kiedy otworzyła drzwi, ktoś stał tuż przy nich. Odkoczyła. Zaparło jej
dech w piersi. Strichen wrócił! Niewiele myśląc, uderzyła pięścią prosto

298

w twarz - i dopiero w ostatniej chwili, kiedy mózg nadażył za wzrokiem,
cofnęła rękę. To nie był Martin Strichen, tylko jego matka, z wybałuszonymi z
przerażenia oczami. Stały i patrzyły na siebie, słysząc, jak krew dudni im w

uszach.

- Proszę tak nie robić! - Watson opuściła rękę.
- Wyjdź stąd - mruknęła drżącym głosem pani Strichen, patrząc na posterunkową jak na wariatkę. - Bo mi pęcherz pęknie. - Wyminęła Watson, jedną ręką przytrzymując poły swetra, w drugiej ściskając „Evening Express”. - Twój chłopak parzy tę herbatkę i parzy. Nie spieszy mu się.

Trzasnęła drzwiami, zostawiając Watson samą w półmroku u szczytu schodów.

- Urocza kobieta - mruknęła Watson. - Nic dziwnego, że wychowała potwora.

Schodząc na dół, myślała o piwie, które sierżant McRae był jej winien. Byłoby znacznie lepsze niż następny kubek herbaty. Mamrocząc pod nosem, usiadła na sofie. Napisy rozpoczynające *Emmerdale* zamarły na ekranie na tle jakichś pól. Jak to miło, że na nią poczekali.

- Simon! Chodź już. Co ty tam robisz tyle czasu? Szczurek, woda, mleko. To nie takie trudne. - Klapnęła na sofę i zmarszczyła brwi. - Jak rany... - Zwlokła się z kanapy i weszła do kuchni. - Nawet herbaty nie umiesz...

Na linoleum ktoś leżał nieruchomo. Posterunkowy Rennie.

- Jasny gwint!

Sięgnęła po przypiętą do ramienia krótkofalówkę. Świat eksplodował burzą żółto-czarnych fajerwerków.

Nie straciła przytomności na długo; zegar na kuchence wskazywał, że upłynęło zaledwie pięć minut. Jęknęła, usiłując usiąść, ale coś było nie w porządku z jej rękami i nogami. Kuchnia zawirowała jej przed oczami i

Watson osunęła się na podłogę.

Zamknęła powieki, ale to tylko pogorszyło sprawę. Czowała na języku metaliczny smak, lecz nie mogła splunąć: ktoś wepchnął jej szmatę w usta. Ten sam ktoś związał jej ręce za plecami i kostki razem.

Przetoczyła się na plecy. Kuchnia znów zakręciła się wokół niej. Odczekała, aż świat znieruchomieje, i odwróciła się plecami do salonu i twarzą do tylnego wejścia.

Rennie leżał na brzuchu, twarz miał bladą i oklapłą. Był tak samo związany jak ona. W świetle kuchennej lampy ciemne włosy były błyszczące i czerwone od krwi.

299

Z góry dobiegał odgłos splukiwania toalety. Szszszuuu! Raz zarazem.

Obróciła się. Tym razem wrażenie, że zaraz głowa jej odpadnie, ustąpiło znacznie szybciej.

Szszszuuu! Szszszuuu! Szszszuuu!

Obok kosza na śmieci stała torba sportowa. Duża, oblepiona śniegiem na szwach.

Watson próbowała brodą wcisnąć przycisk nadawania na krótkofalówce, która nadal tkwiła w okolicy jej barku, ale mimo starań nie mogła go dosięgnąć.

Nagle w kuchni zjawiała się para nóg. Grube rajstopy ginęły pod grubą wełnianą spódnicą. Za nimi rozciągał się ciemny korytarz. Watson zadarła głowę i spojrzała na panią Strichen. Pani Strichen wybałuszyła oczy i poruszała bezgłośnie szeroko otwartymi ustami, wpatrując się w związane sylwetki na podłodze. Nagle okręciła się na pięcie. Oparła ręce na biodrach.

- Martin? Martin! - Miała głos nosorożca zabójcy. - Co ty sobie wy

obrażasz, łobuzie jeden?

Padł na nią cień.

Z podłogi Watson dostrzegła tylko zarys potężnie zbudowanego mężczyzny o wielkich, trzepoczących nerwowo dłoniach. Jak skrzydła ptaka w klatce.

-Mamo...

- Żadne „mamo”, durniu! Co to ma być?!

-Janie...

-Znowu zadawałeś się z małymi chłopcami, tak?! - Pani Strichen szturchnęła syna wyprostowanym palcem w pierś. - Przez ciebie przyjechała tu policja! Niedobrze mi się robi na twój widok! Gdyby ojciec żył, sprząbby cię tak, że byś popamiętał! Ty rozmemłany zboczeńcu!

-Mamo, ja...

- Zawsze byłeś pasożytem! Robalem, którego wyhodowałam na własnej piersi!

Martin cofnął się o krok.

-Mamo, nie...

-Nigdy cię nie chciałam! Byłeś moją największą pomyłką, słyszysz?! Paskudną, przekłętą, ohydą pomyłką!

Watson śledziła poruszenia nóg: Martin odwrócił się plecami do matki i wybiegł do salonu, ale pani Strichen nie zamierzała mu łatwo odpuścić. Poszła za nim, jazgocząc jak zardzewiała piła łańcuchowa.

- Nie odwracaj się w ten sposób ode mnie, ścierwo! Dwa lata, słyszysz?! Ojciec siedział od dwóch lat, kiedy cię urodziłam! Wszystko zniszczyłeś! Nigdy nie było z ciebie pożytku!

-Nie...

Martin mówił cicho, ale Watson wyraźnie słyszała groźbę w jego głosie.

Pani Strichen jej jednak nie wychwyciła.

- Żeby zabawiać się z chłopcami! Ty popaprańcu wstrętny! Gdyby ojciec żył...

- To co? To co?! Co by było, gdyby ojciec żył?! - zagrzemiał Martin. Trząsał się ze złości.

- Sprząbaj cię na kwaśne jabłko! Tobo właśnie zrobił!

Coś rozbiło się z trzaskiem w salonie. Wazon. Albo dzbanek.

Korzystając z hałasu, Watson podkurczyła nogi i odepchnęła się od linoleum, przesuając się po podłodze ruchem gąsienicy. Zbliżała się do przedpokoju - i telefonu.

- Wszystko przez ciebie!

- Nie obwiniaj ojca za to, kim jesteś, obleśny draniu!

Wydostała się z kuchni i poczuła pod policzkiem szorstki chodnik leżący w przedpokoju. W salonie znów coś rozbiło się o ścianę.

- To on mi to zrobił! On! - W głosie Martina pobrzmiwały łzy, ale nie były w stanie zamaskować targającej nim wściekłości. - To on wsadził mnie do szpitala! On mnie oddał temu... temu... Cleaverowi! Co noc, rozumiesz?! Co noc!

- Nie mów tak o ojcu!

- Co noc! Ten skurwiel Cleaver wykorzystywał mnie noc w noc!

Dywan się skończył, zaczęła się plastikowa mata. Watson dotarła do telefonu.

- Ty żałosna cioto!

Rozległo się plaśnięcie ciała o ciało. Na chwilę zapadła cisza.

Watson zaryzykowała rzut oka do salonu, ale zobaczyła tylko ruchome cienie na tapecie. Martin Strichen przykucnął, trzymając się ręką za twarz. Matka stała nad nim.

Posterunkowa podczołgała się jeszcze kawałek, zrównała ze stolikiem i mogła swobodnie zajrzeć zarówno do salonu, jak i do położonej w głębi maleńkiej jadalni. Obok deski do prasowania leżał stos ubrań. Na ich tle pani Strichen szykowała się właśnie do wymierzenia synowi kolejnego policzka.

- Ty wstrętny, ohydny łajdaku! - Każdemu słowu towarzyszyło głośnie plask! w twarz.

Watson szturchnęła stolik barkiem. Odgłos uderzenia utonął w ogólnym rozgardiaszu. Słuchawka zachybotwała się na bazie raz, potem drugi, w końcu osunęła się na ziemię. Nikt nie słyszał, jak uderza w plastikową matę.

- Powinnam cię udusić, jak tylko się urodziłeś!

301

Watson udało się złapać telefon, musiała tylko strasznie wykręcić głowę, żeby widzieć przyciski. Wybrała kciukiem numer alarmowy i z niepokojem zajrzała do salonu. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Jazgot pani Strichen zagłuszał wydawane przez telefon dźwięki, ale na wszelki wypadek odczołgała się z zasięgu jej wzroku. Przycisnęła słuchawkę uchem do podłogi, lokując zakneblowane usta jak najbliżej mikrofonu.

- Policja, słucham.

Ze wszystkich sił starała się coś powiedzieć, ale wydała z siebie tylko serię stłumionych pomruków.

- Może pani powtórzyć? Nie zrozumiałam.

Watson spróbowała jeszcze raz. Pociła się.

- To numer alarmowy policji. - Głos w telefonie nie brzmiał już przy

jaźnie. - Nie wolno sobie robić takich żartów!

Watson mogła tylko jeszcze raz stęknąć.

- Dość tego. Zaraz o tobie zamelduję, dowcipnisiu!

Nie. Nie! Namierzcie telefon i przyślijcie pomoc!

W słuchawce zapadła cisza.

Podniosła się, wściekła, podczołgała, złapała słuchawkę i zaczęła wybierać numer jeszcze raz.

Coś załomotało o podłogę, głucho, z mlaśnięciem.

Oderwała wzrok od telefonu i spojrzała w głąb pokoju. Pani Strichen chwiejnym krokiem szła w stronę sofy. Twarz miała białą jak padający na dworze śnieg. Za nią stał Martin z żelazkiem w ręce i z dziwnie spokojną miną. Jego matka zatoczyła się, potknęła, oparła o poduszki, żeby złapać równowagę - a on stanął nad nią, zamachnął się żelazkiem i uderzył z całej siły. Trafił w tył głowy. Pani Strichen upadła na ziemię jak worek ziemniaków.

Watson poczuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Roztrzęsiona zaczęła wciskać guziki telefonu.

Pani Strichen trzęsącą się ręką sięgnęła za oparcie sofy. Martin trzymał żelazko w jednej ręce, drugą przytrzymując napięty sznur z wtyczką. Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na jego twarzy, schylił się i zarzucił matce sznur na szyję. Jej stopa tłukła głucho o dywan, kiedy syn wyduszał z niej resztki życia.

Watson zacisnęła zęby, porwała telefon i odpędziła do kuchni. Płakała na całego z bezradności i żalu, przerażona widokiem morderstwa. I świadoma, że będzie następna.

Wzięła głęboki, drżący wdech, przymknęła oczy i przywołała z pamięci

numer komórki sierżanta McRae. Przez otwarte drzwi kuchni słyszała słabnące łomotanie stopy pani Strichen o podłogę.

302

Wybrała numer Logana, po czym w wyćwiczony już sposób upuściła telefon, położyła się przy nim i przycisnęła twarz do słuchawki. No szybciej! Odbierz!

Pstryk.

- Logan, słucham.

Wrzasnęła ile sił w płucach. Knebel podszedł jej aż pod nos, ale spod niego wydobył się tylko słaby pisk.

- Halo? Kto mówi?

Nie! Nie! Musiał ją usłyszeć!

-To ty, Miller?

Wrzasnęła ponownie, tym razem bluzgając najgorszymi przekleństwami. Nie mogła mu darować, że jest takim skończonym durniem.

Cień Martina Strichena padł na kuchenną podłogę. Cały czas trzymał w ręce żelazko. Błyszczący spód był wysmarowany gęstą czerwoną krwią, do której przykleiły się przetłuszczone skręcone włosy.

Przeniosła wzrok na jego twarz, której prawą stronę pokrywały krwawe piegi. Popatrzył na nią ze smutkiem, podniósł słuchawkę i przez chwilę słuchał, jak Logan dopytuje się, z kim rozmawia. Potem spokojnie nacisnął czerwony guzik i przerwał połączenie.

Nożyczki wyjął z górnej szuflady, pod czajnikiem. Ostrza zabłysły w zimnym świetle. Uśmiechnął się do Jackie.

Ciach, ciach, ciach.

- Teraz zrobimy to porządnie...

Logan spojrział na trzymaną w ręku komórkę i zaklął. Jakby miał mało zajęć, to jeszcze głuche telefony! Wywołał na ekran numer, z którego przed chwilą dzwoniono: miejscowy, ale nie znał go. Zmarszczył brwi, wcisnął „Połącz” i słuchał popiskiwań aparatu.

Telefon dzwonił i dzwonił. Nikt nie odbierał. No dobrze, pomyślał. Spróbujemy inaczej. Zanotował numer i zadzwonił do centrali, prosząc, aby podali mu odpowiadający numerowi adres. Zajęło im to prawie pięć minut, ale w końcu usłyszał:

- Pani Agnes Strichen, Howesbank Avenue 25, Aberdeen...

Nie czekał na kod pocztowy. Krzyknął tylko „Kurwa mać!” i wcisnął gaz do dechy.

- Proszę posłuchać - powiedział do mężczyzny z centrali, rozpędzając podstarzałego vauxhalla. - Inspektor Insch postawił w Middlefield dwa samochody. Macie je tam natychmiast posłać.

303

Kiedy dojechał na miejsce, dwa wozy stały już pod domem pod numerem 25. Wiatr trochę zelżał, brudnopomarańczowe niebo prószyło grubymi płatkami śniegu. Powietrze miało smak pieprzu.

Logan nacisnął hamulec i vauxhall wpadł w poślizg na zaśnieżonym asfalcie. Zatrzymał się dopiero na krawężniku. Sierżant wygramolił się z auta i ślizgając się na schodach, wpadł do domu, który Martin Strichen dzielił z matką.

Pani Strichen leżała na podłodze w salonie, na brzuchu. Z tyłu czaszki miała potężne wgniecenie, na gardle grube czerwone pręgi. Z kuchni dobiegał gwar podniesionych głosów. Zastał tam dwóch mundurowych:

jeden pochylał się nad leżącym na podłodze człowiekiem, drugi mówił do krótkofalówki:

- Powtarzam: mamy rannego policjanta!

Logan rozejrzał się po kuchni. Jego wzrok spoczął na stercie ubrań w kącie obok kosza. W progu stanął trzeci policjant.

- Sprawdziliśmy cały dom - wysapał zdyszany. - Nikogo nie ma.

Logan szturchnął stos ubrań. Na wierzchu leżało coś, co w przeszłości było czarnymi spodniami. Pod spodem znalazł resztki czarnego swetra i białej koszuli z pętelkami na ramionach, żeby było o co zaczepić policyjne naramienniki.

Obejrzał się przez ramię: czwarty policjant stanął w przedpokoju jak wryty.

-Gdzie ona jest?

•W domu nikogo nie ma, panie sierżancie.

•Psiakrew! - Logan zerwał się na nogi. - Wy dwaj... - Wskazał tych

dwóch, którzy przed chwilą skończyli przeszukiwać dom. - Biegiem!

Ma posterunkową Watson. Przeszukajcie każdą ulicę, zajrzyjcie w każde drzwi, sprawdźcie każdą dziurę!

Stali jeszcze przez chwilę, spoglądając na nieruchomego Renniego na podłodze.

- Szybciej!

Wybiegli frontowymi drzwiami.

- Co z nim? - zapytał, przechodząc nad Renniem i otwierając drzwi prowadzące na tyły domu. Ściana zimnego powietrza zwała się do przedpokoju.

- Oberwał w głowę z tyłu. Paskudnie. Oddycha, ale źle z nim.

Logan pokiwał głową.

-Zostań przy nim. - Wskazał palcem ostatniego posterunkowego. - Ty idziesz ze mną.

W ogródku za domem śnieg sięgał im do kolan. W zaspach pod ścianami wspiął się prawie do okien. Wydeptana w nim ścieżka prowadziła w mrok.

304

- Cholera jasna!

Logan zacisnął zęby i wszedł w śnieg.

38

To była zwykła betonowa buda, szopa przy drodze do kamieniołomów. Bawił się tam w dzieciństwie. Nie, nie bawił: ukrywał. Chował się przed ojcem. Przed światem.

W śnieżycy ledwie majaczyła szara granitowa misa kamieniołomu. Robotnicy werznięli się prosto w skalną ścianę, odsłonili urwisko, a potem zaczęli wydobywać kamień spod ziemi. Pozostawili po sobie głębokie, zdradzieckie jezioro. Nawet w środku lata woda była w nim ciemna i zimna, przy brzegach rósł istny las czepliwych glonów, w którym kryły się wózki sklepowe, a dalej rozpościerała się bezdenna otchłań. Nikt w nim nie pływał, odkąd pod koniec lat pięćdziesiątych utopiło się tam dwóch chłopców.

To było nawiedzone miejsce. Siedziba umarłych. Świetnie nadawało się do jego celów.

Skąd się wzięła policja w domu? Coś było nie w porządku, nie powinno ich tam być...

Sięgający kostek śnieg chrząścił mu pod butami, kiedy dysząc ciężko, szedł w stronę szopy. Byli ciężcy, aż bolały go ramiona, ale wiedział, że warto się pomęczyć.

Grzeczna dziewczynka. Nie wyrywała się.

Tylko raz kopnął ją w głowę - potem była grzeczniutka. Nawet się nie poruszyła, kiedy ją rozbierał.

Ręce mu się trzęsły, kiedy dotykał jej skóry, chłodnej i miękkiej. Ciął i ciął, aż została tylko w majtkach i staniku. Przerażało go to, co skrywały. Przyprawiało go o ból...

I wtedy zadzwonił telefon. Dzwonił i dzwonił, kiedy zarzucił ją sobie na ramię, podniósł torbę i wyszedł tylnym wyjściem. Już po niego jechali.

Na drzwiach betonowej budy wisiała solidna mosiężna kłódka. Obok wisiała tabliczka z napisem „Uwaga: grozi zawaleniem. Wstęp wzbroniony”.

Stęknął, cofnął się o krok i kopnął w drzwi przy samej kłódce. Drzwi zadudniły i ugięły się od ciosu, ale kłódka nie puściła. Kopnął drugi raz, potem trzeci. Łoskot poniósł się echem po kamieniołomie i zagłuszył trzask pękającego drewna. Skobel się wyłamał.

305

W środku było ciemno i zimno; wieloletnie pokłady kurzu maskowały myszy i szczurzy smrodek. Uśmiechnął się nerwowo i zsunął kobietę z ramienia na betonową posadzkę. Jej biała skóra zdawała się świecić w ciemności. Zadrżał, udając, że to z zimna - ale wiedział, że w rzeczywistości drży z jej powodu.

Obok postawił wielką torbę. Wiedział, że później zrobi mu się niedobrze. Okropnie niedobrze. Mdłości będą trwały, aż zostanie tylko żółć i wstyd.

Ale to później. Na razie krew tętniła mu ogłuszająco w uszach.

Zmarzniętymi, pozbawionymi czucia palcami otworzył suwak.

- Hej... - zagadnął.

Skulony w torbie Jamie McCreath otworzył oczy i zaczął krzyczeć.

Gęsty śnieg szybko zasypywał ślady i wygładzał podłoże. Logan zatrzymał się z poślizgiem i powiódł wzrokiem dookoła. Trop systematycznie oddalał się od domu, biegnąc prosto w ciemność - i w tej chwili zniknął na dobre.

Zaklął szpetnie.

Zasapany posterunkowy, którego ze sobą zabrał, właśnie się z nim zrównał.

- Co teraz, panie sierżancie? - wydyszał.

Logan próbował zgadnąć, dokąd mógł pójść Martin Strichen, niosąc posterunkową Watson. Niech to szlag! Przecież mówił Inschowi, że zostawienie tylko dwojga ludzi w domu to zły pomysł.

- Rozdzielimy się - postanowił w końcu. - Musimy objąć poszukiwaniami jak największy teren.

-Gdzie mam...

- Gdzie chcesz! Masz ją znaleźć!

Wyjął komórkę. Urażony posterunkowy skreślił pod kątem czterdziestu pięciu stopni i ruszył przed siebie.

- Mówi sierżant McRae - powiedział do kobiety, która odebrała telefon. - Gdzie moje wsparcie?

-Chwileczkę...

Znowu przebiegł wzrokiem pozbawioną wszelkich punktów orientacyjnych okolicę. Miał wrażenie, że ktoś wymazał cały świat gumką, pozostawiając tylko białą płaszczyznę pod żółtawym niebem.

- Halo? Panie sierżancie? Inspektor Insch mówi, że już jadą. Posterunkowi z Bucksburn powinni być za dwie minuty.

Usłyszał odległe zawrozczenie syren. Śnieg skutecznie wytłumiał dźwięki.

Pobrnął dalej wśród zasp. Lodowata woda powoli wsiąkała mu w spodnie; nogi wydawały mu się coraz cięższe. Dyszał jak lokomotywa, para z oddechu otulała go jak osobista zasłona dymna.

306

Miał coraz gorsze przeczucia. Szanse na znalezienie Martina Strichena w nocy i przy takim śniegu były minimalne - przynajmniej dopóki nie sprowadzą psów. Może powinien poczekać na psy? Ale wiedział, że nie da rady siedzieć beczynnie. Coś musiał zrobić. Cokolwiek.

Teren lekko się podniósł, śnieg sięgnął mu do kolan. Z mozołem pokonał przewyższenie, a kiedy znalazł się w najwyższym punkcie, serce podeszło mu do gardła. Ziemia się skończyła. Stał na skraju przepaści, z jedną nogą w powietrzu, i młócił rozpaczliwie ramionami, żeby nie stracić równowagi.

Zatoczył się w tył, stanął na twardym gruncie i centymetr po centymetrze podpełzł do krawędzi urwiska. Kamieniołom. Trzy czwarte koła wycięte w litej skale, z ciemnym jeziorem na dnie. Szybujące w dole płatki śniegu dodatkowo wzmagają zawroty głowy. Od wody dzieliło go dobre piętnaście, może dwadzieścia w pionie. Serce waliło mu jak młotem, krew wrzała i dudniła w uszach.

U stóp urwiska, blisko brzegu jeziora, stał pudełkowaty domek z betonu. W wybitym oknie błysnęło słabe żółte światelko, które zaraz zgasło.

Logan zawrócił i puścił się biegiem.

Oświetlone latarką wewnątrz nie stało się przesadnie przytulne. W stożku

żółtawego blasku cienie wydawały się gęstnieć i nabierać treści.

Posterunkowa Watson jęknęła i uchyliła jedno oko. Głowę miała pełną rozpalonej waty. Czuła metaliczną woń miedzi. Całe ciało miała zimne, jak zamarznięte. Zadygotała. Zadudniło jej w głowie.

Wszystko było niewyraźne, obraz to wyostrzał się, to rozmazywał. Miała coś do zrobienia, coś ważnego...

Dlaczego było jej tak strasznie zimno?

- Doszła pani do siebie?

Głos należał do mężczyzny, drżał, był nerwowy, prawie nieśmiały.

Nagle wszystkie elementy układanki wróciły na swoje miejsca.

Próbowała zerwać się z ziemi, ale wciąż była związana. Kiedy się szarpnęła, pomieszczenie zawiroowało wokół niej, ściany zbiegły - i zaraz rozsunęły z powrotem, jak w jakiejś diabelskiej sztuczce. Zacisnęła powieki. Syknęła. Dudnienie powoli ustępowało. Kiedy znów otworzyła oczy, spojrzała wprost w zatroskaną twarz Martina Strichena.

- Przepraszam. - Drżącą ręką odgarnął jej włosy z twarzy. - Nie chciałem pani uderzyć, ale nie miałem wyjścia. Nie chciałem zrobić pani krzywdy... Dobrze się pani czuje?

Zabelkotała coś pod kneblem.

- To dobrze. - Najwyraźniej nie zrozumiał steku przekleństw, jakie mu posłała. - Bardzo dobrze.

307

Wstał, odwrócił się do niej plecami i przykucnął nad ogromną torbę, którą widziała wcześniej w kuchni. Cicho, prawie szeptem zaczął śpiewać *Jadą, jadą misie*. Głaskał coś, co znajdowało się w torbie.

Watson rozejrzała się po wnętrzu, szukając czegoś, co nadawałoby się

na broń. Kiedyś mieściło się tu jakieś biuro. Przy drzwiach na ścianie wisiał metalowy stelaż na karty do odbijania czasu pracy. Naprzeciw niegoostał się popleśniały już i wzdęty kalendarz z rozebranymi panienkami. Nie było żadnych mebli. Zostały tylko pokryte graffiti ściany i zimna betonowa podłoga.

Znów przebiegł ją dreszcz. Dlaczego było tak piekielnie zimno? Spuściła wzrok i z przerażeniem stwierdziła, że jest prawie naga.

- Nie bój się, maleńki - wyszeptał Strichen.

Z torby dobiegł cichy szloch, który ściał krew w żyłach Jackie Watson. Jamie McCreath żył! A ona miała być świadkiem morderstwa!

Napięła wszystkie mięśnie i szarpnęła się w więzach. Były mocno zaciśnięte, bez odrobiny luzu. Ręce i nogi drżały jej z wysiłku, ale uzyskała tylko tyle, że sznur werznął się głębiej w ciało.

- Z tobą będzie inaczej niż ze mną. - Strichen głaskał chłopca i wydał kojące pomruki. - Ja przez całe życie zmagam się z tym, co zrobił mi Gerald Cleaver, a ty... Ty będziesz wolny. Nic nie będziesz czuł. - Watson słyszała łzy w jego głosie. - Będziesz bezpieczny.

Przetoczyła się na plecy. Stęknęła, kiedy naga skóra zetknęła się z betonem.

Strichen wyjął dziecko z torby i posadził je obok Watson.

Jamie nadal miał na sobie pomarańczowo-niebieski zimowy kombinezon i czapkę z dwoma pomponikami. Oczy miał ogromne i pełne łez, dwie srebrzyste strużki sączyły mu się z nosa do buzi. Trząsł się od powstrzymanego płaczu.

Strichen jeszcze raz pochylił się nad torbą i wyjął z niej kawał kabla w izolacji. Z wprawą zawiązał i zacisnął supły na obu końcach. Jeden wziął

do lewej ręki i dwa razy owinał dłoń przewodem; to samo zrobił z drugim węzłem w prawej ręce. Pociągnął i z zadowoleniem pokiwał głową.

Spojrzał smutno na szarpiącą się w więzach posterunkową.

- Po tym wszystko będzie dobrze - powiedział. - Muszę tylko... - Zarumienił się. - No wie pani... Rozkręcić się. Potem będzie dobrze. Zrobimy to i będzie po wszystkim. Nie będę już tego więcej potrzebował.

- Przygryzał wargę i szarpnął kabel. - Będę normalny. Wszystko będzie dobrze.

Odetchnął głęboko i zrobił pętlę z kabla - w sam raz takiej wielkości, żeby przeszła Jamiemu przez główkę.

308

Przerażony chłopiec zakwilił. Nie odrywał oczu od wijącej się rozpaczliwie Watson.

- Jada, jada misie, hop, siup, tra la la...

Watson wyprostowała gwałtownie nogi, podparła się łokciami i wygięła plecy w łuk, jakby chciała stanąć na głowie. Strichen podniósł głowę. Śpiew zamarł mu na ustach, kiedy rozchyliła nogi najszerszej, jak mogła przy związanych kostkach, i skoczyła w jego stronę, mierząc w głowę. Nie zdążył zareagować. Oplotła mu nogami szyję i ścisnęła z całej siły.

Przerażony Strichen wytrzeszczył oczy. Watson usiłowała skrzyżować nogi w kostkach, lewą nad prawą, żeby ścisnąć jeszcze mocniej i zmiażdżyć mu tchawicę. Ręce miał zaplątane w prowizoryczną garotę i mógł tylko bezsilnie okładać Watson otwartymi dłońmi po udach.

Stęknęła triumfalnie i przełożyła kostkę nad kostką. Teraz mogła wykorzystać cały ciężar ciała i z ponurą satysfakcją patrzeć, jak Strichen sinieje na twarzy. Zamierzała go tak trzymać, aż wyzionie ducha.

Strichen wpadł w panikę. Wyplątał wreszcie ręce z kabla i zaczął ją na oślep drapać i okładać pięściami, trafiając głównie w brzuch.

Ból eksplodował jej w żołądku, ale tylko zamknęła oczy. Nie rozluźniła uścisku.

Wbił jej zęby w udo, tuż nad kolaniem, i zagryzł z całej siły. Poczuł w ustach krew. Szarpnął głową, próbując oderwać kawał ciała.

Wrzasnęła pod kneblem, a Strichen ugryzł ponownie, nie przestając przy tym bić i drapać. W końcu trafił w nerki. Watson zwiotczała.

W sekundę wyzwolił się z uścisku jej ud i na czworakach cofnął się pod ścianę. Zatrzymał się dopiero wtedy, gdy uderzył plecami o beton. Krew ściekała mu po brodzie, kiedy rozcierał szyję i próbował odzyskać oddech.

- Jesteś... taka sama jak inne! - wychrypiał.

Jamie McCreath rozbeczał się na dobre. Piskliwy płacz dźwięczał echem w betonowych ścianach.

- Zamknij się! - Strichen wstał z wysiłkiem, złapał chłopca za ręce i podniósł go z podłogi. - Zamknij się, słyszysz? Zamknij się!

Odpowiedzią był jeszcze głośniejszy wrzask.

Z twarzą wykrzywioną w okrutnym grymasie Strichen wymierzył chłopcu bolesny policzek. Rozciął mu wargę i rozbił nos. Zrobiło się cicho.

- Boże... Boże, przepraszam...

Strichen puścił chłopca. Był przerażony.

Patrzył na zapłakanego, pociągającego nosem malucha i poruszał nerwowo rękami. Nie bardzo wiedział, jak zatrzeć wrażenie po uderzeniu.

- Przepraszam, nie chciałem...

309

Wyciągnął ręce, ale Jamie McCreath z oczami jak spodki skulił się,

cofnął i zasłonił twarz rączkami w rękawiczkach.

Strichen spojrzął spode łba na Watson. Leżała na boku, dysząc przez knebel. Krew płynęła jej z ugryzień na udach.

- To wszystko twoja wina! - Splunął krwią na beton. - To przez ciebie zrobiłem mu krzywdę!

But trafił ją w brzuch i prawie oderwał od podłogi. Zadławiła się krzykiem, czując ogień we wnętrznościach.

- Jesteś taka sama jak inne!

Drugi kopniak, tym razem w żebra. Strichen krzyczał na cały głos:

- Byłoby dobrze! Wszystko zepsułaś!

Drzwi eksplodowały.

Logan wpadł do mrocznego wnętrza jak taran. W bladym świetle leżącej na ziemi latarki zobaczył wszystko naraz: półnągą Watson, leżącą na boku z zaciśniętymi z bólu powiekami; Jamiego McCreatha z zakrwawioną buzią, cofającego się pod ścianę; Martina Strichena, biorącego zamach do następnego kopnięcia.

Strichen znieruchomiał. Właśnie odwracał się w stronę drzwi, gdy Logan zderzył się z nim i obaj polecili na ścianę. Pięść ześliznęła się z boku po głowie sierżanta. Wysoki pisk zadźwięczał mu w uszach. Nie interesowała go uczciwa walka - mierzył prosto w krocze. Uderzył z całej siły.

Strichen stęknął, zatoczył się i jedną ręką złapał za genitalia. Poszarzał na twarzy i zwymiotował sobie na ubranie.

Logan nie czekał, aż skończy. Złapał go za włosy z tyłu głowy i wyrzucił ją o ścianę. Zadudniło głucho. Zapleśniały kalendarz pod wpływem wstrząsu spadł z gwoźdźca. Strichen zatoczył się do tyłu. Twarz miał całą we krwi. Sierżant wykręcił mu rękę na plecy.

Masywny, kościsty łokieć trafił Logana pod żebra. Poznaczony bliznami brzuch zapłonął bólem. Sierżant syknął z bólu i osunął się na ziemię.

Strichen chwiejnie wyszedł na środek pomieszczenia. Stęknął, starł krew z twarzy, a potem rzucił się w stronę Jamiego McCreatha, jedną ręką chwycił go za przód kombinezonu, w drugą złapał torbę i wybiegł na dwór.

Logan dźwignął się na kolana. Przez chwilę nie był w stanie dalej się ruszyć, tylko dyszał ciężko i modlił się, żeby mu wnętrzności nie wypadły. W końcu wstał i dopadł do drzwi.

Zatrzymał się w progu: nie mógł zostawić Watson w takim stanie. Cofnął się do niej, widocznej w blasku porzuconej latarki. Na jej brzuchu i udach puchły wściekle czerwone pręgi; krew z dwóch śladów po ugryzie-

310

niu spływała na posadzkę. Rozwiązał jej ręce, pomógł usiąść, czując przy tym, jak połamane żebra przemieszczają się jej pod skórą.

- Nic ci się nie stało? - Wyjął jej knebel. Zostały po nim głębokie, zaczerwienione ślady wokół ust.

Wypluła kłęb mokrej szmaty, rozkaszała się i skrzywiła z bólu. Złapała się za obolałe żebra.

- Biegnij! - syknęła. - Złap drania...

Logan narzucił jej swój płaszcz na ramiona i potykając się, wybiegł na śnieg.

Na całym obwodzie wykutego przez ludzi urwiska migotały latarki, echo niosło szczekanie psów. Od strony południowej zbliżały się dalsze latarki. Śnieg lśnił w ich świetle, jakby płonął.

Niecałe dwieście metrów od Logana ludzka sylwetka zatrzymała się w biegu.

Strichen.

Odwrócił się, walcząc z wyrywającym mu się dzieckiem i rozglądając się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Pływające światło latarek padło mu na twarz.

- Daj spokój, Martin! - zawołał Logan i kulejąc, ruszył w jego kierunku. Jedną ręką ścisnął obolały brzuch. - To koniec. Nie masz dokąd uciec.

Wszy

scy widzieli twoje zdjęcie. Wszyscy wiedzą, jak się nazywasz. To koniec.

Sylwetka obróciła się w jego stronę.

- Nie! - zakwilił Strichen. Oczy wychodziły mu z orbit ze strachu. - Nie! Wsadzą mnie do więzienia!

Logan pomyślał, że to chyba oczywiste - i tak też powiedział.

- Zabijałeś dzieci, Martinie - dodał. - Zabijałeś i gwałciłeś. Okaleczałeś zwłoki. Co sobie wyobrażałeś, że dokąd trafisz? Do ośrodka wypożyczkowego?

- Zrobią mi krzywdę! - Strichen płakał. Każdy szloch zaznaczał się w ciemnościach obłokiem białej pary. - Tak jak on! Jak Cleaver...

- Martinie, to już koniec...

Jamie McCreath wiał się, kopał i wrzeszczał ile sił w płucach. Strichen wypuścił z ręki torbę, żeby lepiej go chwycić, ale wtedy chłopiec wysliznął mu się z uchwytu i spadł na ziemię.

Logan skoczył naprzód.

Strichen wyjął nóż.

Logan stanął jak wryty. Żołądek zwinął mu się w supeł, kiedy ostrze błysnęło w ciemnościach.

- Nie pójdę do więzienia! - krzyknął Martin, wodząc wzrokiem od

Logana do coraz bliższych policjantów i z powrotem.

Zapomniany przez niego Jamie McCreath wstał i zaczął biec.

-Nie!

Martin odwrócił się i zobaczył, że maluch pędzi przez śnieg tak szybko, jak pozwalają mu na to krótkie nóżki. Tylko że zamiast biec w stronę latarek i szczekających psów, biegł w głąb kamieniołomu.

Martin rzucił się w pogoń, z nożem w ręce, krzycząc:

-Tam jest niebezpiecznie! Wracaj!

Logan zacisnął zęby, próbując zapomnieć o bólu, i też zaczął biec, ale był bardzo daleko.

Strichen wpadł stopą w niewidoczne pod śniegiem zagłębienie i upadł. Natychmiast znów się zerwał, ale Jamie miał już sporą przewagę; wbiegał coraz głębiej w granitową nieckę kamieniołomu - prosto w stronę czarnego jeziora, gdy nagle zatrzymał się gwałtownie. Dalej biec nie mógł: przed nim rozciągała się połać ciemnej, lodowatej wody. Odwrócił się. Był przerażony.

Strichen biegł za nim.

- Tam jest niebezpiecznie!

Ważył znacznie więcej niż mały chłopiec. Lód, który bez trudu utrzymał ciężar Jamiego, nie miał szans w zetknięciu z blisko stu kilogramami żywej wagi Strichena. Rozległ się huk jakby wystrzału karabinowego. Mężczyzna zatrzymał się z poślizgiem, rozłożył szeroko ramiona i znieruchomiał.

Następny huk, jeszcze głośniejszy.

Strichen wrzasnął przeraźliwie.

Stojący cztery metry dalej Jamie patrzył na niego i wytrzeszczał oczy.

Lód pękł z łoskotem i Strichen zniknął w otworze, w którym zmieściłaby się furgonetka. Poleciał prosto w dół. Woda pochłonęła jego krzyk.

Jamie krok za krokiem podkrał się do skraju dziury i zajrzał w atramentowy mrok. Martin Strichen nie wypłynął.

39

Śnieg opadał miękko na ziemię. Logan stał i śledził wzrokiem znikające w oddali światła karetki. Zabrali Watson: wstrząs, wychłodzenie, paskudne siniaki, dwa pęknięte żebra. Przez to pogryzienie musiała dostać zastrzyk przeciwțężcowy. Ratownik twierdził, że to nic poważnego - na pewno nie po tym, jak człowiek pomyślał, co mogło się wydarzyć...

Wsiadł do vauxhalla, którego wcześniej wypożyczył ze służbowego parkingu. Uruchomił silnik, włączył ogrzewanie. Oparł głowę na kierownicy i jęknął cicho. Posterunkowa Watson i mały Jamie jechali do szpitala, Simon Drań już tam był - a Martin Strichen i jego matka nie żyli.

Podniósł wzrok. Przy krawężniku właśnie zatrzymał się luksusowy samochód. Drzwi od strony kierowcy otworzyły się i ze środka wynurzyły się dwie długie elegancko ubrane nogi. Przyjechała pani patolog, co tylko dodatkowo go przygnębiło.

Isobel MacAlister wyglądała jak dziewczyna Bonda w zimowym stroju z ogromnych ilości futra i wielbłędziej skóry. A najbardziej bolało, że doskonale w nim wyglądała.

Odgarnęła kosmyk włosów, wciskając go pod futrzany kaptur, i sięgnęła do wozu po torbę lekarską.

Isobel + Miller = WNM.

Wielka Nieskończona Miłość.

Gdyby następnego dnia poszedł prosto do inspektora z wydziału we-

wewnętrznego, Napier wyprowadziłby ją skutą z komendy szybciej, niż człowiek zdąży powiedzieć „poważne naruszenie obowiązków służbowych”. Przynajmniej dałby spokój Loganowi.

Wpatrywał się tępo w dom Strichena. Isobel byłaby skończona; żadna komenda policji nie chciałaby jej zatrudnić. Nigdy. Jak to powiedział Miller? Że Isobel czasem musi się komuś wygadać... Że potrzebuje kogoś, kto będzie na nią czekał. Tak jak czekał Logan. Kiedyś, w dawnych, złych czasach.

A teraz poczuje dotyk jej chłodnych dłoni, kiedy znajdzie się na stole w prosektorium. Z metką na dużym palcu stopy.

- Super... - mruknął. Przez przednią szybę dało się wreszcie wyjrzeć. - Piękna wizja. A jaka zdrowa...

Westchnął i ruszył.

Miasto było ciche i spokojne, kiedy przemykał North Anderson Drive. Po ulicach jeździły tylko taksówki i tiry, wycinając w pokrytych śniegiem drogach równoległe czarne wstęgi. W światłach reflektorów tryskający im spod kół rozjeżdżony śnieg i bryzgi wody tworzyły złociste fajerwerki.

Policyjne radio trzeszczało i pojękiwało prawie bez przerwy; wieści szybko się rozchodziły. Strichen nie żyje! Chłopiec uratowany! Watson w białźnie!

Skrzywił się i wyłączył odbiornik - ale cisza okazała się jeszcze gorsza. W ciszy różne „co by było, gdyby...” mnożyły mu się w głowie jak króliki.

Co by było, gdyby zamiast w lewo, pobiegł w prawo? Gdyby dotarł na miejsce pięć minut później? Gdyby nie zatrzymał się, kiedy Strichen wyciągnął nóż? Gdyby go dopadł...

Postanowił o tym nie myśleć, włączył drugie radio, to normalne, i nastawił Northsound. Z głośników gruchnęła muzyka - dyskretne potwierdzenie, że ze światem wszystko jest w porządku.

Postukiwał palcami w kierownicę w rytm melodii. Napięcie powoli ustępowało. Może dobrze, że tak się to skończyło. Że Strichen zginął. Na pewno lepiej dla niego, że nie trafił do Peterhead, gdzie co trzeci osadzony był następnym Geraldem Cleaverem.

Ale Logan i tak wiedział, że będzie miał koszmary.

Przebiegł północną część miasta, gdzie na ulicach towarzyszył mu tylko śnieg i kule światła z ulicznych latarni. Muzyka z radia ścichła, a po jakichś dziesięciu sekundach przerwy i rozchichotanych przeprosinach dla słuchaczy, spiker odczytał wiadomości. Wciąż nadawano rysopis Martina Strichena i proszono mieszkańców o zachowanie czujności - a przecież Strichen już nie żył.

Zanim dotarł na Queen Street, wesole wskazówki zegara dobiegły prawie do wpół do jedenastej. Zostawił wóz na parkingu na tyłach komendy i powłókł się do środka, zastanawiając się, gdzie się wszyscy podziali: w gmachu było cicho jak w grobie. Bardzo stosownie.

Pół godziny. Potem zadzwoni do szpitala i zapyta o stan posterunkowej Watson. A najpierw napije się kawy. Albo herbaty. Czegokolwiek, byle było ciepłe. Nie zdążył przejść przez recepcję, kiedy ktoś go zawołał:

- Łazarz!

Duży Gary jak zwykle opryszał okruszkami wafli całe biurko. Uśmiech miał tak szeroki, że zmieściłby się w nim wieszak. W poprzek.

Drugi dyżurny, z telefonem przy uchu, podniósł głowę. Też się uśmiechnął i pokazał Loganowi uniesiony kciuk. Gary wypadł przez drzwi i

złapał Logana w niedźwiedzi uścisk.

-Ty nasz skarbie!

Miło było zostać docenionym, ale blizny na brzuchu Logana zawyły z bólu.

- Wystarczy! Wystarczy!

Duży Gary puścił go i uśmiechając się z ojcowską dumą, cofnął się o krok. Przestał się uśmiechać, widząc zbolaną minę sierżanta.

- Rany, przepraszam! Nic ci się nie stało?

Logan machnął ręką. Zacisnął zęby i starał się oddychać jak najwolniej, tak jak uczyli go w szpitalu. Wdech. Wydech. Wdech. Wydech...

- Jesteś bohaterem, Łazarzu - stwierdził Gary. - Prawda, Erie?

Drugi sierżant dyżurny skończył już rozmawiać przez telefon i przytaknął, że tak, oczywiście, Logan jest bohaterem.

314

Logan postanowił jak najszybciej zmienić temat.

•Gdzie są wszyscy?

•W lokalu obok. - Czyli w pubie. - Komendant stawia. Nie mogliśmy cię złapać przez radio.

-Aha...

Uśmiechnął się. Wolał im nie tłumaczyć, dlaczego wyłączył to drań-stwo.

- Na twoim miejscu też bym tam poszedł - powiedział Gary.

Wyglądało na to, że szykuje się do kolejnej próby zmiżdżenia Łazarzowi żeber i rozerwania ran na brzuchu. Logan odsunął się i powiedział, że zaraz pójdzie.

Jak na środowy wieczór w Archibaldzie Simpsonie było wyjątkowo

głośno. Gdziekolwiek Logan spojrzeł, policjanci i policjantki spożywali alkohol w ilościach równych ich ciężarowi. Nastrój był uroczysty jak w sylwestra - z tą różnicą, że nikt się nie bił.

Ktoś go rozpoznał i zgiełk wzmógł się i przeszedł w chóralny śpiew, jakby żywcem przeniesiony ze stadionowych trybun. Nagle wszyscy próbowali poklepać go po plecach, napić się z nim, uścisnąć mu rękę albo pocałować - zależnie od tego, w jakim akurat byli nastroju.

W końcu przedarł się przez tłum i znalazł sobie względnie spokojny zakątek. Wypatrzył potężną sylwetkę inspektora Inscha i dosiadł się do niego. Insch podniósł wzrok, rozpromienił się i wyrznął Logana w plecy. Po drugiej stronie stolika siedzieli goście z Edynburga - inspektor i sierżanci, rumiani i zadowoleni, zaczęli mu głośno gratulować i tylko klinicysta sprawiał wrażenie, jakby uśmiech, którym powitał Logana, groził mu trwałymi obrażeniami ciała.

- Dziś komendant stawia! - oznajmił Insch i jeszcze raz grzmotnął Logana w plecy. - Pokazujesz przy barze legitymację i pijesz za darmo! Jednym haustem opróżnił kufel z piwem do połowy. Logan powiódł wzrokiem po wnętrzu pubu. Co za tłum. Elita policji z Grampian. Ten wieczór będzie komendanta kosztował majątek.

40

Czwartkowy poranek w komendzie głównej policji Grampian był cichy i uroczysty - głównie dlatego, że dziewięćdziesiąt pięć procent

315

funkcjonariuszy miało kaca. Nikt nie wiedział, na jaką kwotę opiewał nocny

rachunek, ale z pewnością na pokazną. Po piwie, wódce i red bullach wszyscy przeszli na tequilę. Teoretycznie rzecz biorąc, bar powinien zostać zamknięty na trzy godziny przed tym, jak ostatni imprezowicz wytoczył się na śnieg, ale kto miał ścigać właściciela za nieprzestrzeganie warunków licencji na sprzedaż alkoholu? Trzy czwarte miejscowej policji siedziało przecież w środku i darło się, że chcą więcej limetek i soli.

Krzywiąc się niemiłosiernie, Logan przywłókł się do pracy. Na śniadanie wypił irn-bru* i zjadł kilka proszków przeciwbólowych. Pokarm w stanie stałym nie wchodził w grę.

Ranek przyniósł błękitne niebo i ostry wiatr. Śnieg pokrył się lodową skorupką.

Na wpół do dziesiątej zaplanowana była konferencja prasowa, co śmiertelnie przerażało Logana. Ktoś wlaź mu do głowy i próbował wycisnąć jej zawartość przez uszy. Jego oczy, zazwyczaj błyszczące i w miarę niebieskie, przypominały ślepią bohaterów *Narzeczonych Drakuli*.

W sali odpraw powitały go ściszone wiwaty i wykrzywione cierpieniem twarze wiwatujących. Skinął im ręką i usiadł na swoim stałym miejscu.

Insch uciszył zebranych i rozpoczął odprawę. Prawdę mówiąc, wyglądał świeżo jak skowronek - mimo że o drugiej w nocy najgłośniejszym dopominał się o płonące drambuie. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Zrelacjonował wieczorne wydarzenia, wywołując w stosownym momencie burzę oklasków, a potem wszyscy wrócili do normalnej policyjnej roboty: przeszukania, telefony, wizyty u ludzi...

Logan z Inschem zostali sami.

- No! - Inspektor usadowił się **na** biurku i wyjął z kieszeni świeżutką paczkę drażetek owocowych. - Jak się czujemy?

- Poza tym, że orkiestra dęta wygrywa mi we łbie tusz? Nie najgorzej.
- To dobrze. - Insch zaczął skubać opakowanie. - Kwadrans po szóstej rano nurkowie znaleźli zwłoki Strichena. Zaplątał się w zielsko pod lodem.

Loganowi nawet nie chciało się uśmiechnąć.

- To dobrze.

- Dla pańskiej wiadomości: za wczoraj dostanie **pan oficjalną pochwałę**. Nie umiał spojrzeć inspektorowi w oczy.
- Ale Strichen zginął.

* Irn-bru - szkocki napój bezalkoholowy, w Szkocji popularniejszy nawet od coca-coli (przyp. tłum.).

316

- No zginął - westchnął Insch. - Jego mamuśka również. Ale ocaleli Jamie McCreath i posterunkowa Watson. I żaden dzieciak więcej nie umrze.

- Oparł niedźwiedzią łapę na ramieniu Logana. - Świetnie się pan spisał.

Konferencja prasowa przypominała jarmark: pokrzykiwania dziennikarzy, błysk fleszy, uśmiechy gwiazd telewizji... Logan starał się znieść to wszystko z godnością.

Niespokojny Colin Miller czekał w głębi sali, aż konferencja dobiegnie końca. Pogratulował Loganowi uratowania chłopca. Powiedział, że wszyscy są z niego dumni. Wręczył mu najnowszy numer gazety z triumfalnym nagłówkiem: „Policjant bohater przechytrył mordercę dzieci! Jamie cały i zdrowy wrócił do mamy! Zdjęcia na stronach 3-6...”

Przygryzł wargę, wziął głęboki wdech i spytał:

- Co teraz?

Logan wiedział, że nie chodzi mu o dalszy ciąg sprawy Strichena. Od rana zadawał sobie to samo pytanie - odkąd przyszedł do pracy i nie udał się prosto do biura inspektora Napiera i jego bandziorów z wydziału wewnętrznego. Gdyby doniósł na Isobel, byłaby skończona, ale jeśli nic nie powie, sytuacja może się powtórzyć i znów mogą stracić szansę ujęcia mordercy, zanim ten zabije po raz kolejny. Westchnął ciężko. Właściwie nie miał wyboru.

- Ze wszystkim, czego się od niej dowiesz, przychodzisz najpierw do mnie, zanim cokolwiek puścisz do druku. Jeśli tego nie zrobisz, ja idę prosto do prokuratora, a wtedy Isobel ląduje w bagnie. Proces karny, więzienie i tak dalej. Jasne?

Miller spojrzał mu w oczy. Jego twarz niczego nie wyrażała.

- Jasne. Umowa stoi. - Wzruszył ramionami. - Po tym, co o tobie opowiadała, spodziewałem się raczej, że od razu pójdziesz do wydziału wewnętrznego. Że skorzystasz z pierwszej nadarzającej się okazji, żeby się jej pozbyć.

Uśmiech Logana był równie wymuszony jak słowa:

- No to się pomyliła. Mam nadzieję, że będziecie ze sobą szczęśliwi.

Odwrócił wzrok.

Miller zniknął, a Logan wrócił do recepcji i przez szklane drzwi gapił się na padający śnieg. Wdzięczny niebiosom za chwilę wytchnienia usiadł na jednym z niewygodnych fioletowych krzeseł, odchylił się do tyłu i oparł głowę o szybę.

Jackie wydobreje. Pojedzie do niej po południu z naręczem winogron, pudłem czekoladek i zaproszeniem na kolację. Kto wie, może wyniknie z

tego coś dobrego? Uśmiechnął się, przeciągnął i ziewnął z rozkoszą.

Barczysty mężczyzna wszedł do recepcji, strząsając śnieg z płaszcza. Mógł mieć pięćdziesiąt kilka lat. Nosił wypielęgnowaną, mocno już posiwiałą bródkę. Zdecydowanym krokiem podszedł do biurka sierżanta dyżurnego.

- Dzień dobry. - Wzdrygnął się, jakby coś go ugryzło. - Chciałbym porozmawiać z tym detektywem o biblijnym imieniu.

Sierżant dyżurny wskazał na Logana.

- Oto nasz biblijny bohater, proszę uprzejmie.

Mężczyzna przeszedł po wyłożonej linoleum posadzce. Stanowczy krok był leciutko zmacony wpływem whisky, której Bóg jeden wie, ile musiał wypić dla kurazu.

- Pan Biblijny Detektyw? - zapytał nieco piskliwie, przeciągając zgłoski.

Logan przytaknął, chociaż wiedział, że lepiej byłoby tego nie robić.

Przybysz wyprężył się jak struna, wypiął pierś i podniósł dumnie brodę.

- To ja ją zabiłem - powiedział. Słowa wyskakiwały mu z ust jak wystrzelone z karabinu maszynowego. - Zabiłem ją i jestem gotów ponieść konsekwencje...

Logan przetarł oczy. Tego mu teraz brakowało: następne zmartwienie.

- Kogo? - zapytał, starając się nie okazać zniecierpliwienia. Bezskutecznie.

- Tę dziewczynkę. Tę, którą znaleźliście na farmie... - Głos mu się załamał, a Logan dopiero teraz zauważył, że ma zaróżowione oczy, a policzki i nos czerwone od płaczu. - Piłem wtedy... - Zadrżał, dręczony wspomnieniem.

- Nie zauważyłem jej... Myślałem... Przez cały ten czas... Kiedy aresztowaliście tego człowieka, myślałem, że uda mi się zapomnieć. Ale

został zabity, prawda? To moja wina...

Wytarł oczy rękawem i rozkleił się na dobre. Wybuchnął płaczem.

A więc to był człowiek, który przejechał Lornę Henderson. Człowiek, przez którego zginął Bernard Duncan Philips. Człowiek, przez którego siostra Henderson popełniła morderstwo.

Logan westchnął i wstał.

Jeszcze jedna rozwiązana zagadka.

Jeszcze jedno zrujnowajj&^cig.

Podziękowania

Ta książka jest wytworem fikcji literackiej. Nieliczne zawarte w niej fakty pochodzą od ludzi, którzy odpowiedzieli mi na całe mnóstwo niedorzecznych pytań. Dlatego właśnie dziękuję: sierżantom Jacky Davidson i Mattowi MacKayowi z policji w Grampian za wyjaśnienia procedur policyjnych stosowanych w Aberdeen; doktor Ishbel Hunter, starszej technik-patolog w Szpitalu Królewskim w Aberdeen, za wyraziste opisy sekcji zwłok; oraz Brianowi Dicksonowi, szefowi ochrony w „Press and Journal”, za oprowadzenie mnie po redakcji.

Szczególne podziękowania należą się mojemu agentowi Philipowi Patterso-nowi za to, że słodkimi słówkami przekonał Jane Johnson i Sarah Hodgson z HarperCollins do opublikowania mojej książki. Dziękuję także wspaniałym Lucy Van-derbilt, Andrei Joyce i całemu zespołowi za kawał dobrej roboty przy wyjaśnianiu kwestii międzynarodowych praw autorskich. Andrei Best, Kelly Ragland i Saskii van Iperen dziękuję za przygarnięcie mnie.

Dziękuję Jamesowi Oswaldowi za wsparcie w pierwszym okresie pracy

oraz Markowi Haywardowi, który zanim został urzędnikiem podatkowym, był moim pierwszym agentem w Marjacą, za to, że zasugerował mi, abym porzucił pisanie idiotycznych sciencefiction i spróbował stworzyć powieść o seryjnym mordercy.

Ale nade wszystko dziękuję mojej niegrzecznej żonie - Fionie: za filiżanki herbaty, poprawki gramatyczne i ortograficzne, za to, że postanowiła nie czytać książki z obawy, że mogłaby się jej nie spodobać, a także za to, że od tylu lat ze mną wytrzymuje.

I jeszcze jedno: Aberdeen wcale nie jest takie zle, jak by się mogło wydawać. Naprawdę...